

# Kristin Hannah

## OTCHŁAŃ

*Kentowi - najlepszemu bratu na świecie. To dla Ciebie ją pisałam.*

*Także Tomowi i Lon Adonisom, przyjaciołom i niezwykłym gospodarzom. Oni pierwsi opowiedzieli mi o Shakerach\*.*

*oraz Benjaminowi i Tuckerowi - jak zawsze.*

---

\* Dziewiętnastowieczna sekta religijna, tzw. Wyznawcy Powtórnego Wyjścia Chrystusa (przyp. tłum.).

## Prolog

*Wybrzeże oceanu, hrabstwo Maine, 1882*

Był niezmiernie stary i sądził, że człowiek w jego wieku widział już wszystko. Od siedemdziesięciu jeden lat łowił ryby na lodowatych wodach Atlantyku, jak czynili to przed nim ojciec i dziad. Stawiał czoło gniewnym odmętom, które chłostały sztormami ukochaną nadbrzeżną krainę. W maleńkiej łodzi o płaskim dnie lawirował pośród sennego błękitu i w oparach mgieł tak gęstych, że nie widział własnych dłoni zaciśniętych na stylisku wiosła. I jeszcze nigdy na wodnym pustkowiu nie poczuł lęku, który ogarnął go dzisiaj.

To ta kobieta budziła w nim strach!

Zerkał na nią spod postrzępionego ronda kapelusza i bezskutecznie usiłował zdusić zainteresowanie. Równie dobrze mógł otwarcie dać mu wyraz, gdyż ona zdawała się nie zwracać uwagi na jego obecność, jakby zapomniała, że starzec w ogóle istnieje. Szukał słów, którymi mógłby się zwrócić do obdarzonej wdziękiem baśniowej istoty, która jak milcząca Madonna siedziała w rozkołysanej skorupce rybackiej łodzi.

O nogi objęły jej się odrapane pułapki na homary. Zgarbione plecy znamionowały jakąś dotkliwą porażkę. Błede dłonie zacisnęła kurczowo na fałdach brunatnej opończy z szorstkiej wełny, a utkwione w zamglonej linii horyzontu oczy przepełniał smutek.

Błękitne fale z chlupotem uderzały o burty płaskodenki i strzelały do góry słonym prysznicem. Na dnie łodzi powstała kałuża, lecz kobieta nawet nie drgnęła, by uchronić od zamoczenia znoszone buty.

Rybak czekał w nadziei, że kobieta przemówi lub coś zrobi, ale

ona po prostu siedziała nieruchomo, wpatrzona w przestrzeń. Długie, targane wiatrem pasma kasztanowych włosów smagały blade policzki i osiadały na wygiętej w łuk dolnej wardze pełnych ust. W podmuchu morskiej bryzy łopotał dziwaczny czepek uszyty z białej, niemal przezroczystej tkaniny. Wreszcie starzec przerwał milczenie, wskazując wyciągniętą dłonią poszarpaną grań:

- To Czyściec.

Za całą odpowiedź kobieta jedynie skinęła milcząco głową. Zwinnie skierował łódeczkę ku wyspie, mrużąc powieki w jaskrawym blasku słońca. Kontury wysp migotały i tańczyły mu przed oczami, to zdając się znikać w morskiej toni, to wynurzając się nad rozkołysane grzbiety fal jak dumnie wzniesiona pięść. Ten skalisty skrawek był ostatnim bastionem lądu, za nim, jak okiem sięgnąć, rozciągał się bezmiar Atlantyku, aż stapał się z niebem na odległym horyzoncie. Łódeczka podpływała coraz bliżej spienionego przyboju, którego huk dochodził już wyraźnie do uszu obojga. Fale rozbijały się o granitowe urwisko i wzlatywały ku niebu fontanną piany.

- Skieruję łódź dokoła wyspy, do zatoki po drugiej stronie... tam jest nieco spokojniej.

- Nie - sprzeciwiła się głosem nieoczekiwanie gardłowym i zmysłowym, jakby anioł przemówił tonem szynkarki, doświadczonej w sztuce uwodzenia. - Wysiądę tutaj... teraz to i tak nie ma znaczenia.

- Ale morze jest wzburzone, panienko... Kiedy podniosła ku niemu oczy, zauważył, że zniknął z nich smutek. Patrzyły na niego z chłodnym, niewzruszonym uporem.

- Panie, czy mam wysiąść tutaj i popłynąć wplaw do brzegu? Przez chwilę nie mógł odzyskać głosu. Westchnęła i zebrała fałdy spódnicy.

- Nie! Niechże da spokój... znam niewielką zatoczkę z prawej burty. Chyba uda mi się przybić tam do brzegu, choć może nami nieźle rzucić.

Zaśmiała się - pusty dźwięk, aż poczuł gęsią skórkę na ramionach.

- Zapewniam, że mnie to nie będzie przeszkadzać! Oderwał wzrok od jej oczu i zmierzył uważnym spojrzeniem poszarpaną grań. Z doświadczenia wiedział, że od biedy można zaryzykować wplynięcie do jednej z licznych skalnych niecek. Złudnie spokojne miniaturowe baseny nadawały zachodniemu cyplowi wyspy

pozory łatwo dostępnego lądu, ale on wiedział, że decyduje się na ryzykowny i trudny manewr. Nie powinien jej ustępować. Ostatecznie był kapitanem tego stateczku. Niechby sobie skakała prosto za burtę, skoro taka jej wola! Już otwierał usta, gdy ponownie ujrzał bezdenny smutek tych zagubionych oczu. Poczuł się, jakby ubyło mu pięćdziesiąt lat. Znowu był młody i wiedział, że choćby miał zapłacić wysoką cenę, nie

może jej zawieść. Zająknął się i zamiast szorstkiej odmowy wykrztusił jedynie:

- Proszę się mocno trzymać, panienko! - po czym skupił się bez reszty na ryzykownym manewrze dobijania. Morze stawiało mu zawzięty opór i usiłowało odepchnąć go od brzegu, ale starzec nie ustępował ani na jotę. Raz po raz kierował dziób płaskodenki ku wypiętrzonym skałom na krańcu cypla. Na ułamek sekundy toń nabrała aksamitnej gładzi, a nadbiegająca fala jakby zawahała się i cofnęła, pozwalając łodzi pomknąć do przodu. Drewniane poszycie jęknęło bolesną skargą, gdy stateczek otarł się o podwodne głązy. Przez cały ten czas kobieta ani drgnęła.

- Panienko?

Bardzo powoli podniosła głowę i rybak ze zdumieniem ujrzał w jej oczach łzy. Pasażerka nie próbowała ich ukryć.

- Niech mnie diabli! - zakłęta cicho. Gardłowy głos uwiązał jej w gardle. Z gracją tancerki wyprostowała się w chyboliwej łodzi i zgrabnym susem wyskoczyła na dające pewne oparcie skały. Dopiero teraz zauważył niewielką torebkę zwisającą ze szczupłego przegubu. Rozsupłała troczki i wygrzebała zwitek pogniecionych banknotów i pierścionek. Wyciągnęła ku niemu dłoń:

- Proszę!

Zielonkawe papierki łopotały na wietrze. Rybak zmarszczył czoło.

- Może mi pani zapłacić, kiedy już bezpiecznie wylądujemy na stałym lądzie, panienko... poza tym, to o wiele za dużo.

Wpatrzyła się w jakiś punkt za nimi i przebiegł ją mimowolny dreszcz. Rybak odwrócił się; stwierdził, że kobieta patrzy na Urwisko Samobójcy, wznoszące się nad nimi dwudziestoma metrami pionowej ściany. Przeniósł wzrok z powrotem na pasażerkę.

- Jeśli nie przyjmie pan zapłaty, otworzę dłoń i pieniądze pofruną z wiatrem! Zmieszany, oblizał spierzchnięte wargi. Wzruszyła ramionami.

- Dobrze, jak pan chce...

Rzucił się do przodu i w ostatniej chwili powstrzymał wiotczejące palce. Gdy zacisnął je w garści powykręcanej od starości i słonej wody, poczuł ciepłą wilgoć gładkiej skóry. Doznał uczucia, jakby wejrzał w głąb duszy tej kobiety.

Nagle wyrwała dłoń z uścisku. Rybak powoli rozwarł palce i wśród pogniecionych banknotów ujrzał wąską złotą obrączkę bez ornamentów. Nie podnosząc wzroku, szepnął:

- To obrączka ślubna!

Odpowiedziała mu nieco wymuszonym uśmiechem.

- Pospolici tego świata tak by ją nazwali - zgodziła się sucho. Zamrugał, na próżno szukając słów, jakichkolwiek, którymi zdołałby

skruszyć posępną rezerwę. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to

nieporadne błaganie:

- Proszę ze mną wrócić, panienko!

- Niech pan sobie nie zaprzęta mną zbytnio głowy. Proszę za te pieniądze zabrać żonę na wakacje, proszę obdarować pierścionkiem w dowód miłości, bo to zdaje się właściwy powód, dla którego ludzie wręczają sobie obrączki ślubne...?- Jej wargi drgnęły, a stężyły na nich uśmiech na mgnienie oka złagodniał. - Ma pan dzieci?

Skinął głową.

- Trzy córki w Portsmouth.

- Dzieci... - wypowiedziała to słowo z cichym, niemal nabożnym szacunkiem. Na dźwięk jej głosu ścisnęło mu się serce. - Niech pan je odwiedzi, niech pan je uściska... powie im, jak bardzo je pan kocha!

Zanim zdołał wymyślić odpowiedź, cofnęła się i naciągnęła na czoło workowaty czepek.

- Do widzenia...

Z podniesioną głową i sztywno wyprostowanymi plecami ruszyła w górę oślizgłego od fal urwiska. Patrzył, jak jej sylwetka maleje w oddali, aż stała się tylko zwiewnym, bladym cieniem w blasku słońca. Niezmordowanie wspinała się po stromym zboczu, aż dotarła na wąską półkę, która powiodła ją na szczyt urwiska. Zmarszczył czoło i osłoniwszy dłonią oczy zastanawiał się, czego ta zagadkowa kobieta szuka na

niegościnnym pustkowiu. Wspomniała, że jest malarką i chce zobaczyć widok z wyspy, ale jakoś jej nie wierzył. Na chwilę stracił ją z oczu. Pojawiła się ponownie jakby za sprawą

magii - wysmukła kreseczka czerni na tle głębokiego błękitu niebios. Wiatr wydał czepek na jej głowie. Kobieta przysunęła się nad brzeg

urwiska. Nagle rybak zrozumiał, po co tu przyjechała. Szepnął wyschniętymi wargami:

- Jezusie, Maryjo, Józefie święty!

Patrzył bezradnie, jak kobieta podnosi dłoń do szyi i po chwili w powietrzu zawirowała brunatna opończa, to wznosząc się w nagłym podmuchu, to opadając sflaczałym strzępem, aż dotknęła wzburzonych fal u stóp urwiska. Przez chwilę wydęta wiatrem tkanina żeglowała po ciemnej toni, po czym zniknęła bez śladu. Rybak wyteżył płuca w desperackim okrzyku:

- Panienko!

Próżno się wysilał, wiatr zdusił słaby starczy głos, połknął go z równą łatwością, z jaką morze wessało ciężki płaszcz. Kobieta postąpiła jeszcze bliżej urwiska i zerwała z włosów niedorzeczny biały czepeczek, wyrzucając go wysoko w powietrze. Uwolnione z uwięzi kasztanowe pasma smagały policzki i powiewały wokół dumnie wzniesionej głowy.

Wtedy kobieta skoczyła.

Poczuł, jak przetacza się przez niego fala lęku, paraliżując go śmiertelnym chłodem. Przez długą jak wieczność minutę stał nie mogąc ani się ruszyć, ani oddychać.

Więc chciała umrzeć! Bezlitosna prawda zapiekła jak ostre smagnięcie: chciała umrzeć, a on jej w tym pomógł. Pędem rzucił się do łodzi, boleśnie kalecząc sobie kolana o drewnianą ławkę. Wepchnął wiosła w dulki i z niespodziewaną siłą, zrodzoną z przerażenia i rozpacz, zaczął się przedzierać przez przypyływ, na przekór prądom wykręcając wąską łódkę. Dwie z walających się na dnie pułapek na homary zderzyły się z ogłuszającym trzaskiem, potoczyły pod przechyloną burtę i wpadły do morza. Lodowata fala zalała mu twarz, słone rozpryski żądliły oczy. Próbował przekrzyczeć huk kipieli:

- Już płynę, panienko!

Pewnymi, długimi pociągnięciami przebijał się przez prawie metrowe grzywacze. Przeczesał wzrokiem odmęty, aż ją dostrzegł -ciemną plamę unoszącą się na rozkołysanej powierzchni. Skierował płaskodenkę dziobem wprost w tamtą stronę. Kobieta leżała z twarzą

zanurzoną w wodzie, bezwładna jak szmaciana lalka. Rzucił wiosła na dno łodzi i wychyliwszy się daleko za burtę, zanurzył dłonie w lodowatej wodzie. Poczuł w palcach nasiąknięte pasma włosów. Pospiesznie owinał je sobie wokół przegubu. Zacerpnął głęboki oddech i zbierając całą siłę, jaka jeszcze pozostała w starczym ciele, wciągnął ją do łodzi.

Leżała jak martwa. Długie pasma wodorostów wiły się w rozrzuconych wokół głowy puklach jak oślizgłe węże, kładły się zielonkawym cieniem na nieruchomej szyi i rozrzuconych na boki ramionach. Rybak nieśmiało zgarnął z twarzy mokre sploty warkoczy i wodorostów.

„Och, słodki Jezu...!” - przemknęło mu przez głowę, a żołądek skurczył się w napadzie nagłych mdłości. Jej piękna twarz została zniekształcona nie do rozpoznania. Krew ciekła strużką z lewego ucha i zbierała się wokół głowy w czerwoną kałużę, jaskrawo kontrastując z przeraźliwą bladością skóry. Cała lewa strona twarzy była sina, a z głębokich skaleczeń strumieniem płynęła krew. Najwidoczniej kobieta uderzyła głową w podwodną skałę. Rybak pochylił się nisko i wyteżył słuch w nadziei, że pochwyci szmer oddechu.

Owszem, oddychała, płytko i z wysiłkiem, ale ten odgłos wydał mu się najśłodszy dźwiękiem na ziemi. Nagle zachłysnęła się i wykrztusiła łyk wody. Odetchnął głęboko, czując nieopisaną ulgę. Z wielką ostrożnością wsunął dłoń pod jej głowę i ułożył ją starannie na wąskiej ławeczce. Ponownie wstrząsnął nią spazm, bezwładne członki zadrgały pod jego dotykiem. Kiedy wyjął dłoń, ujrzał, że jest cała pokryta krwią. Zaczął trząść się na całym ciele. Zerwał z siebie koszulę i obwiązał jej głowę najlepiej, jak umiał, usiłując zatamować krwawienie.

- Co teraz?! - zakrzyknął bezradnie w przestrzeń. - Co teraz?!

Stary doktor Mather nie poradzi sobie z takim przypadkiem! Więc kto? Miała strzaskaną czaszkę, pewnie i tak umrze. Nikt nie mógł jej uratować... nikt nie zdoła przywrócić życia i urody tej szalonej, pięknej

kobiecie.

*Szalona...* to słowo obudziło w nim pewne wspomnienie: jakby zesłał je Bóg w odpowiedzi na jego modlitwy.

Już wiedział, gdzie jest jej miejsce.

## 1

Doktor Ian Carrick zdjął druciane okulary i położył je na biurku. Z ust wydarło mu się piec znużenia westchnienie. Palcami roztarł grzbiet nosa. Powierzchnię biurka zaścilały arkusze kosztownego papieru, pokryte atramentowymi bazgrołami. Jeszcze więcej walało się po podłodze wokół mebla. Koło łokcia, zgarbiony jak zmęczony starzec, sterczał mikroskop. Obok czekała kupka szklanych płytek laboratoryjnych.

Oparł się w fotelu i małymi łydkami pociągał szkocką, zerkając na porozrzucane papiery. Jego wzrok padł na napis na tytułowej stronie. Litery zamazywały się przed zmęczonymi oczami: *Przetaczanie krwi jako metoda w leczeniu zatrucia tlenkiem węgla.*

- Fascynujące! - Aż się zdziwił, taką goryczą zabrzmiał jego głos. Właściwie czemu w ogóle się trudził? W Nowym Jorku i tak już nikt nie dba o jego mądrości. Ostatni artykuł, zawierający sumę dawnych doświadczeń w leczeniu posocznicy położniczej, został zignorowany przez całe środowisko - z wyjątkiem starego przyjaciela, doktora Halsteda. Chwycił szklankę i poderwał się z fotela, aż gęsto zapisane kartki rozsypały mu się pod stopami. Niecierpliwie torował sobie wśród nich drogę. Przy oknie zatrzymał się i wyjrzał na zewnątrz, na sine chmury zwiastujące burzę nadciągającą nad niedostępne, skaliste wybrzeże.

Wiatr i deszcz chłostały poszycie dachu, wstrząsały wiekowymi okiennicami i wdzierały się niesamowitym jękiem przez wszystkie i szczeliny. Dom otaczały karłowate krzewy i kolczaste nadmorskie sosny, których poszarpane kontury odcinały się na tle sinego nieba, rozświetlonego księżycem w pełni.

Z rozmachem otworzył okno i oparł się o parapet. Deszcz kasał go w policzki, spływał po powiekach, a zmrużone oczy rozróżniały jedynie niewyraźne zarysy pograżonego w mroku dziedzińca i bladą plamę księżycy. Takie noce niegdyś popychały go do działania, użyczały dziekijenergii, aż siodłał konia i gnał przed siebie... albo wskakiwał do łodzi i wiosłował we wzburzoną otchłań... albo wabił do łoża ponętą dziewczkę. Taka noc zapalała ogień w sercu, podsycala ducha, podszeptowała, by uwierzył w swoją niemal boską potęgę.

Odsunął się od okna, żałując, że nie ma następnej flaszki whisky lub czegokolwiek, co pomogłoby mu położyć kres przeklętej samotności.

Zacisnął powieki i ciężko oparł się o ścianę. Wysączył ostatnie krople trunku i wypuścił szklankę z bezwładnych palców, z satysfakcją nasłuchując, jak rozbija się o podłogę. Przeczesał palcami włosy i utkwiał wzrok w rozkołysanych odmětach. Liczył srebrne grzywy fal, rozbijających się o czarne gazy na plaży jego rezydencji.

Niegdyś nie było dnia, który spędzałby samotnie. Obrazy dawnego życia powoli zacierały się w pamięci, stępionej mrocznym odosobnieniem jego obecnej egzystencji, ale wciąż potrafił przywołać wspomnienia nieustającego ruchu, roześmianych głosów, szalonych zabaw, trunku płynącego strumieniami, namiętych igraszek miłosnych. Życie płynęło jak *staccato* zmieniających się szybko obrazów:

strojne odzienie, rżnięte kryształy, obnażone ciała... z wystawnego przyjęcia spieszył na szumny bal, jak motyl w pośpiechu przeskakujący z kwiatka na kwiatek. Łapczywie spijał nektar, szukając czegoś, co nie miało nazwy ani treści. Zawsze znajdował się w centrum uwagi, jakby wiecznie przebywał na scenie skąpanej w światłach reflektorów. Nie zakosztował samotności. Wtenczas uważał się za człowieka światowego, znudzonego wszystkim - poza jedyną pasją, jaka go zżerała: medycyną. Jakże się mylił!

Do diabła, w tamtych upojnych dniach nie znał smaku nudy ani koszmaru lęku, chociaż codziennie przez tyle lat spoglądał na śmierć. Nie pojmował, jak bezdenne może być mrok przerażenia i żalu... aż do dnia, gdy jego życie skończyło się w rozbryzgach krwi, w męce zdrady i w hańbie utraconego honoru. Gdyby wtenczas wiedział to, co wie teraz...

Z czarnych myśli wyrwało go w samą porę pukanie do drzwi. Wyprostował się i oderwał od ściany.

- Proszę wejść!

Drzwi uchylły się wolniutko i przez małą szparkę dobiegi głos:

- Doktorze Carrick?

Przewrócił oczami w sardonicznej drwinie.

- Nie, to mister Hyde!

- Tak, proszę pana - drzwi otworzyły się szerzej i do pokoju weszła starszawa, pulchna jejmość - gospodyni. Dźwigała tacę zastawioną parującymi półmiskami. Nozdrza drgnęły, chłonąc znajomą woń fasolki zapiekanej z szynką. Gosposia zmrużyła oczy, niepewnie robiąc krok do przodu.

- Raczej tu ciemno, panie doktorze.

- Owszem, Edith.

- Naturalnie, proszę pana... jeśli pan sobie tego życzy...

- Tak, Edith. Życzę sobie tego.

Zaaferowana, wkroczyła do pokoju, wyciągając przed siebie tacę jak ofiarny dar. Już dosięgała biurka, gdy zawadziła stopą o brzeg perskiego dywanu i całym ciałem poleciała do przodu, łan, niewiele myśląc, chwycił pulchne ramię, by ją uratować przed upadkiem. Natychmiast zołentował się, jaki popełnił błąd. Dotknięcie ludzkiego ciała zdawało się rozsadzać jego dłonie płomieniem gorąca. Zachwiał się i cofnął rękę, ale było za późno. Wizja, która stanęła mu przed oczami, zapałała mu dech: Edith wyrывa na pół opróżnioną flaszkę whisky z powykręcanych reumatyzmem palców męża... wrzeszcząc piskliwie: „Natychmiast wyrzuć z mojego łóżka tę dziwkę!” Z jej ust wyrывają się gorzkie, szarpiące trzewia spazmy szlochu...

Jak z oddali dobiegł go odgłos z trudem powstrzymanego westchnienia. Taca z brzękiem upadła na podłogę. Gęsty, brązowy sos zaczął wyciekać ze srebrzystego naczynia i kapać na zagryzmołony atramentem arkusz papieru. Wizja zniknęła. łan syknął pod nosem:

- A niech to diabli!

Zacisnął dłonie w pięści, by powstrzymać ich drżenie. Gorący puls w opuszkach palców stopniowo ustępował. Biedna Edith wyglądała, „lakby zbierało jej się na mdłości.

- Przepraszam, panie doktorze... potknęłam się. T...to było nie...

niechcący... przepraszam...

Okręciła się gwałtownie, aż zaszurgotała gruba wełna spódnicy, i wybiegła, zatraskując za sobą drzwi, łan zamknął oczy i przygarbił się pod brzemieniem tępego bólu, który zdawał się zgniatać skronie żelaznym imadłem. Oddychał chrapliwie.

Jak długo jeszcze będzie miał siłę to znosić? Po raz tysięczny zadał sobie to pytanie. Jak długo może znosić życie w odosobnieniu, nie śmiać nikogo dotknąć, nie zaznać cudzego dotyku?

Pierwszy rok był najgorszy: obawiał się, że postrada zmysły. Myślał z dreszczem zgrozy, że niepojęty „dar” pozazmysłowego odczuwania wchłonie go, wessie całego, aż po prostu przestanie istnieć. Nie zaszło jednak nic dramatycznego i po jakimś czasie przestał oczekiwać jakiegos przełomu - właściwie przestał oczekiwać czegokolwiek. Żył dalej - dzień po dniu, oddychając, jedząc, śpiąc.

Grając komedię pozorów...

Dzień, w którym umarł, to była niedziela. Dzień święty. Kiedy łan powracał wspomnieniem do tamtych chwil - co czynił z ponurą regularnością - dzień wydawał mu się zwyczajny, jak tyle innych przed nim; diabelnie zwyczajny. Słoneczny i pogodny, choć w powietrzu czuło się cierpki ziąb - zapowiedź nadchodzącej zimy. łan rozpoczął go dokładnie tak samo, jak wszystkie poprzednie dni swego życia: ze ślepą wiarą w celowość swych działań, pełen optymizmu jak dobrze nadmuchany balon. Przeprowadził operację wycięcia wyrostka robaczkowego, od której próbowali go odwieść najbardziej zaufani koledzy.

Jak zawsze, wahanie i zwątpienie otoczenia dodało mu tylko ostrogi do tym śmielszych wystąpień, a tamtego dnia wywołał niemałe poruszenie wśród medycznego światka Nowego Jorku, robiąc coś istic niesłychanego: założył rękawice i w nich przeprowadził operację, zmuszając do takiej samejkwstawagancji swojego asystenta. Nie poprzestał na tym; z bezprzykładnym uporem nalegał, by jego zwierzchnik, doktor Jones, zgasił cygaro, które ów znamienity konował miał zwyczaj kopcić wykonując zabiegi.

Oczywiście wywołał niezgorszy skandal, lecz operacja zakończyła się niezrównanym sukcesem: ani śladu infekcji pooperacyjnej, tej strasznej gorączki, która zabijała większość pacjentów w ciągu pierwszego

tygodnia po zabiegu.

Żadnej gorączki... nie wtedy, jeszcze nie wtedy. Wtedy napawał się podziwem kolegów, spijał słodczych pochwał i komplementów, które wbijały go w dumę i umacniały w przekonaniu, że jest wszechmocny. Wyrazy uwielbienia wypełniały uszy i zatruwały duszę pewnością, że potrafi zawojować wszystko i wszystkich - a przynajmniej pewną nader ponętą damę, o zdobyciu której marzył.

Westchnął, czując w sercu znajomy skurcz skruchy. Jak to możliwe, że jedna chwila, jedna błędna decyzja wystarczyły, by jego całe życie potoczyło się po równi pochyłej w przepaść? Tysiące razy obracał w głowie tę dręczącą myśl, nieskończenie zadawał sobie pytanie bez odpowiedzi: czemu uparł się, by złożyć wizytę Charlottcie, czemu nie pobiegł do którejś z kobiet, co tłumnie oblegały jego progi, aż zbyt chętnych, by poddać się jego uściskom?

Ach, nie! On, zaślepiony arogancką pychą i zapatrzony w siebie, musiał pójść do tej jedynej, która go odrzuciła - do jedynej prawdziwie cnotliwej i niewinnej istoty, jaką miał zaszczyt spotkać w hulaszczym mieście. Późną nocą zapukał do jej drzwi, wiedząc, że męża nie zastanie, uzbrojony w butelkę schłodzonego szampana i tuzin przepysznych róż. Ona próbowała mu się opierać z męstwem godnym chwały, lecz jakże żałosne były jej wysiłki w obliczu zręcznych zabiegów galanta łasego na wdzięki prostodusznej dziewczyny z wiejskiego dworku! Cnota, która czyniła ją niedostępną, użyczała jej w oczach łana niezrównanego powabu, ale w rzeczywistości los nie obdarzył jej specjalną urodą, więc nie nawykła do kawalerskich zalotów i nie знаła sztuki uników i wykrętów. Łan czarował ją uśmiechem i coraz ciaśniej zaciągał się pochlebstwem, oblegał ją ze zręcznością zrodzoną z długich lat praktyki... wreszcie młoda mężatka zapomniała o powadze ślubnej przysięgi, złożonej niegdyś sześćdziesięcioletniemu oblubieńcowi.

Charlotto, jesteś taka piękna... czy on ci to mówi? Czy całuje te ponętne usta, czy wdycha upajający zapach twojej skóry, czy smakuje spragnionym językiem aksamit twoich piersi? Czy składa hołdy w świątyni twego ciała, Charlotto, czy uwielbia je tak jak ja? Czy on

umie cię dostrzec... taką, jaka jesteś, olśniewającą w swej krasie - czy też jesteś dla niego jedynie matką jego dzieci i gosposią w jego domu? Ach, Charlotto, pójdz ze mną do łóża, pozwól mi kochać cię... jesteś taka piękna...

Przestał o nią dbać w tej samej sekundzie, gdy znalazła się w owym łóżu. Ani ona sama, ani jej dotyk, ani słowa - nic, co czyniła, nie mogło go poruszyć ani wypełnić straszliwej pustki, która panowała w jego duszy od wczesnego dzieciństwa. Zrobił to, po co przyszedł i zapadł w krótki, niespokojny sen, a kiedy się obudził, nie potrafił sobie nawet przypomnieć smaku jej pocałunków. Skrzywił się i ostrożnie przetoczył na bok, pragnąc niepostrzeżenie wyślizgnąć się z łóżka i wymknąć bez kłopotliwych wyjaśnień. Powoli sięgnął po koszulę i spodnie i zaczął się ubierać. Nagle ujrzał cień w uchylonych drzwiach sypialni i błysk srebra na lufie pistoletu. To był ostatni obraz, jaki zachowała jego pamięć. Kolejne zamazują się i migają jak senne wizje, to oderwane, to stapiając się ze sobą w niezrozumiałe koszmary.

- Carrick, ty draniu! Zabiję cię...!

W mroku pokoju lufa pistoletu połyskuje mdłym blaskiem, a na jej końcu wykwita miniaturowe, płomiennie pomarańczowe słońce. Świat zastyga w śmiertelnym zaskoczeniu. Ciało cofa się pod gwałtownym uderzeniem pocisku, w piersi wybucha nieopisany ból i jak fala płynnego ognia rozlewa się po żyłach. Wzrok mętnieje, ciało traci równowagę i leci w przepaść, spada, spada...

Śmierć. Otacza go i wsysa w siebie feeńa rozpalonego do białości światła. Poddaje się jego ciepłu, uwodzicielskiemu jak kłamstwa, które prawil tylu kobietom. Unosi się na świetlistej fali, dryfuje bezwolnie, pragnie pozostać na zawsze w przytulnych objęciach nurtu, nigdy już nie zaznać przejmującego chłodu ziemskiej egzystencji. Rozkoszuje się świadomością, że oto opuściła go gorycz rozczarowania i udręka niespełnienia. Jest tylko światło: oślepiające, przeszywające, brzemiennie obietnicą błogości.

Do cholery, łan, walcz ze mną! Nie poddawaj się!

Słowa nadbiegają nie wiadomo skąd i wdzierają się w upojny letarg. Zamrugał i spojrzal w dół. Leżało tam jego ciało, nagie, wyciągnięte na stole przykrytym prześcieradłem. Dokoła skaczą jak utrapione owady chirurdzy, wtykają w niego paluchy, szturchają, sondują. Na

jego piersi pyszni się purpurowy kwiat krwi i ścieka gęstymi kroplami no pościeli prosto na zabłoconą posadzkę. W samym środku czerwiem zieje czeluść poszarpanej rany wlotowej pocisku.

Ktoś z rozmachem wali go w klatkę piersiową, Ian czuje siłę uderzeń, widzi, jak ciało podskakuje pod ciosami, lecz nie doznaje bólu, wypełnia go tylko mglisty niepokój, który stopniowo przybiera na sile, w miarę jak olśniewające światło ciemnieje i odpływa. W głębi umysłu rodzi się lęk i wdzierają się lodowatym chłodem w krwiobieg, ogarnia go przerażającą drętwotą. Nie jest gotowy! Jeszcze coś pozostało mu do zrobienia... coś...

Czuł, jak życie wysącza się z niego kropla po kropli, drży jak pierzasty obłok tuż za jego zasięgiem. Bał się śmierci.

„Pozwól mi żyć! Pozwól mi żyć!” Słowa wypełniły go milczącym krzykiem, aż zaczął dygotać z udreki, by je wypełnić głosem. Z martwych ust w ciele rozciągniętym na stole operacyjnym nie wybiega nawet najlżejszy szepot.

„Proszę Cię, Boże!” Wpadł w panikę. Cóż mógł obiecać Bogu, którego lekceważył przez prawie całe życie? Jakie zaklęcie otworzyłoby przed nim drzwi powtórnej szansy? Nie przychodziło mu do głowy nic poza własną rozpaczliwą, bezwartościową potrzebą życia. „Proszę, pozwól mi wrócić!”

Pchnięcie, potężny skok w przestrzeni - i oto znalazł się ponownie w swoim ciele. Poczuł ból przeszywający pierś, ból tak silny, iż przeląkł się, że rozerwie go na strzępy. Spod rzęs pociekły łzy i potoczyły się w dół policzków.

- Serce zaczęło bić, Bogu dzięki! Chris, podaj mi skalpel. Muszę znaleźć tę przeklętą kulę!

A potem już tylko płatanina obrazów bez znaczenia i dotyk licznych dłoni, ugniatających, szczypiących, szarpiących. Potem nic.

Obudził się następnego ranka spocony z bólu w szpitalnym pokoju, Jasnym od słonecznego blasku, mętnym od kurzu wirującego w ukośnej wiązce promieni. Posłyszał odgłosy kaszlu za drzwiami i szuranie pantofli na podłodze korytarza. Podniósł głowę. Biel łóżek. Pociągnął nosem. Mdły zapach gazu z kinkietów na ścianach.

Spróbował usiąść. Pierwszą osobą, którą zobaczył, była pielęgniarka pochylająca się nad nim z zawodowo troskliwym wyrazem twarzy. nią tłoczyła się gromadka mężczyzn w białych kitlach. Siostra

dotknęła go w czoło - ot, przelotne muśnięcie tłustego palca... lecz to wystarczyło! Nieoczekiwana wizja trafiła go jak cios bokserki. Pielęgniarka skulona w mrocznym zakątku wstrzykuje sobie morfinę w żyłę... słychać, jak chrapliwy oddech wyrównuje się powoli pod działaniem narkotyku, widać drżący uśmiech ulgi na wykręconej głodem twarzy.

Ian odepchnął ją od siebie z gniewnym warknięciem i krzyknął, by trzymała się z daleka od morfiny, jeśli chce go dotykać! Siostra wciągnęła gwałtownie powietrze, a jej oczy zaokrągliły się ze strachu, gdy napotkała spojrzenie doktora Halsteda i pozostałych medyków. Potem zamieszanie i wrzawa, gdy Halstead gniewnym ruchem zatrzymał pielęgniarkę i szarpnął do góry rękaw kitla, odsłaniając zdradliwe znaki po igle i siniaki od wkłuc na bladym ramieniu.

Ian zacisnął oczy, za wszelką cenę usiłując stłumić ból pulsujący w tyle czaszki i osobliwe ciepło w opuszkach palców. Pomyślał, że nieoczekiwana wizja jest wytworem wyobraźni pobudzonej lekami, a jej spełnienie - czystym przypadkiem.

Ale natchodziły go kolejne obrazy, towarzysząc każdemu, nawet przypadkowemu dotknięciu, oślepiając go, przytłaczając, aż osunął się na posłanie, drżąc z przerażenia i wyczerpania.

Nowina rozeszła się po mieście lotem błyskawicy, z oszałamiającą prędkością sięgnęła przez kontynent. Doktor Carrick umie czytać w ludzkich umysłach... Doktor Carrick widzi przeszłość! To klątwa... To dar... To magia...

Ludzie przybywali z daleka, z Kalifornii i Florydy, skradali się do niego ściskając w dłoni strzępek tkaniny z sukni, zaśnieździły zegarek, wyblakłą litografię -jedyne, co im pozostało po drogich zaginionych... przybywali piechotą i konno, w wózkach inwalidzkich i o kulach, wszyscy ożywieni nadzieją cudu z rąk słynnego doktora Carricka. Sączyli mu w uszy smutki i żale, aż miał wrażenie, iż w jego żyłach zamiast krwi zaczyna płynąć cudze cierpienie. Zadawali mu zdyszane pytania, które go zabijały, bo nie znajdował na nie odpowiedzi. Wyraz rozczerwania i klęski w ich oczach był jak bicz tnący aż do kości.

„Pomóż mi! Pomocy! Błagam, niech pan mi pomoże...”

Początkowo szczerze usiłował pomóc tym nieszczęśnikom, którzy nękali go w czasie rekonwalescencji.



Próbował i ponosił klęskę. I znowu. I jeszcze raz... „Dar” okazał się okrutną drwiną, złośliwym

I żartem losu. Poznawał ludzkie sekrety, lecz nie potrafił nikomu pomóc, nie umiał odnaleźć zaginionych bliskich ani dotykając żalonych pamiątek przywracać zdrowia. Nie mógł już nawet leczyć, bo każdy dotyk wywoływał ten sam nieznośny ogień w opuszkach palców, pulsujący ból pod powiekami i potok niechcianych wizji. Odsuwał się od ludzi coraz dalej, coraz bardziej zalękniony, aż w końcu w ogóle przestał wychodzić z pokoju. Gdy tylko nabrał sił, uciekł ze szpitala, ale i to nie pomogło. Zalewały go urywane, niezrozumiałe wizje. Obrazy cudzych tajemnic opadały go z duszącą siłą przy każdym zetknięciu z cudzym ciałem. Nic nie zmniejszało ich naporu: ani rękawiczki, ani alkohol czy narkotyki, choć próbował wszystkiego. Wreszcie pojął, że nie ucieknie.

Jedynym ratunkiem było ścisłe odosobnienie, odcięcie od wszelkich kontaktów.

Dlatego znalazł się w tym domu. Wyglądał z okna luksusowej celi w targaną wichurą ciemność i skręcał się w spazmatycznym cierpieniu. Żałował, iż w ogóle poznał Charlotte, że owej nocy zapukał do jej drzwi.

Nie mógł zapomnieć. Nie mógł przestać wspominać.

Odrzucił się od okna i objął dłońmi pękające z bólu skronie śliskie od potu. Z przymkniętymi oczami i bijącym sercem krążył jak zaszcute zwierzę po mrocznym pokoju, a każdy krok uświadamiał mu coraz okrutniej, że znajduje się w położeniu bez wyjścia.

W gorzkie myśli wdarł się cichy odgłos pukania. Burknął:

- Proszę wejść! - i natychmiast pożałował oschłego tonu głosu. Nie zamierzał przemówić tak szorstko. Nigdy nie zamierzał, choć nie umiał intencji przekuć w czyn.

Drzwi otworzyły się lekko i do pokoju wsunęła się nieśmiało szczupła rudowłosa kobieta, bezszelestnie sunąc po deskach podłogi bosymi stopami. Przez chwilę nie mógł skupić wzroku, lecz wreszcie, rozpoznał przybyłą.

- Maeve?

Przytaknęła szybkim ruchem głowy i zrobiła kolejny krok ku niemu, nerwowo zacierając dłonie przyciśnięte do ciała na wysokości P talii. Lęk usztywnił kąciki jej ust i wyźłobił głębokie zmarszczki na czole.

- O co chodzi, matko?

- Ian... - wyszeptala jego imię łagodnym, melodyjnym głosem, jakby nuciła kołysankę. To właśnie za takim tonem tęsknił na próżno jako dziecko!

Spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem, usiłując zdecydować, czy ma do czynienia z osobą w pełni świadomą, czy z ofiarą demencji umysłowej, ale pulsowanie w skroniach nie pozwalało mu jasno myśleć. Cóż, przynajmniej nazwała go po imieniu. To już coś...

- O co chodzi? - powtórzył.

- T...tu jest kobieta... - śpiewny głos zamilkł niepewnie i przez ułamek sekundy na jej twarzy pojawił się wyraz oszołomienia, jakby zapomniała, z czym przyszła. Pomyślał, że oto ma odpowiedź na pytanie o jej stan.

Jednak ma napad demencji!

- Kto tu jest? Znowu Dolley Madison, żona prezydenta? - nie udało mu się powstrzymać goryczy w głosie.

- Nie, Ianie. Nie jestem dzisiaj szalona. Tu naprawdę jest kobieta, istota z krwi i kości. Przywiózł ją poławiacz homarów. Jest... ranna. To słowo przywołało go do przytomności.

- Ranna?- poczuł jakby trzepot motyli skrzydeł w żołądku i natychmiast prawidłowo zinterpretował ten objaw: obudziła się w nim nadzieja. Lecz równie szybko dreszcz tej dawno nie zaznanej emocji minął: oczywiście, znowu rojenia obłąkanej! W sieni na dole na pewno nie czekała żadna ofiara wypadku.

- Oczywiście, matko. Ranne kobiety bez przerwy szukają pomocy w szpitalu wariatów.

Maeve podeszła bliżej i po raz pierwszy tego wieczoru spostrzegł, jak trzeźwo patrzy jej jasne, niemal przezroczyste oczy koloru orzechów laskowych. A więc przynajmniej w tej chwili nie cierpi na omamy, zamknięta w niedostępnym dla innych świecie obłądu.

- To nie jest szpital wariatów, tylko mój dom, a ona potrzebuje pomocy, Ianie! Jesteś przecież lekarzem...

Zesztywniał i impulsywnie odwrócił się do okna. Utkwił wzrok w ołowianym burzowym nieboskłonie.

Maeve wiedziała przecież, że nie może nikomu pomóc!

- Nie jestem lekarzem. Już nie - rozejrzał się za butelką szkockiej, bo nagle poczuł, że rozpaczliwie potrzebuje się napić, choć ręce

trzęsły mu się tak bardzo, że nie spodziewał się, by mógł utrzymać szklanekę.

- Och, lanie...

Dawniej nuta rozczarowania w jej głosie rozdarłaby mu duszę, teraz poczuł zaledwie przelotne ukłucie żalu.

- Odeślij ją!

- Ależ, lanie, mógłbyś...

Okręcił się na pięcie i spojrzął jej prosto w oczy.

- Chciałbym jej pomóc... słodki Boże, chętnie dałbym sobie uciąć rękę, gdyby tylko sprawiło to, że znowu mogę leczyć! Ale wiesz, że nie mogę. Teraz idź i zostaw mnie!

- Nie - w głosie matki zabrzmiał nieoczekiwanie twardy, zdecydowany ton. - Ty potrzebujesz jej pomóc, a ona potrzebuje twych umiejętności, by przeżyć.

- Jak? Jak mam ją leczyć? Gdy tylko jej dotknę...

- Ja... będę twoimi dłońmi.

Zesztywniał w zdumieniu, które odebrało mu głos.

- Co takiego?

Rzuciła mu spojrzenie tak nabrzmiałe obietnicą i miłością, że przez ułamek chwili niemal jej uwierzył.

- Zaufaj mi... jeszcze tylko ten jeden raz, lanie.

Chciał się wycofać z powrotem do swej ciemnej, zacisznej skorupy. Chciał wpełznąć w najciemniejszy zakątek tego diabelskiego domu i upić się w trupa, aby wraz z przytomnością zabić to uczucie bezradności i goryczy, aby zgasić promyk złudnej nadziei. Uświadomił sobie wszak, że tym razem pokusa jest zbyt silna, potrzeba zbyt paląca. „*Będę twoimi dłońmi*”...

Po prostu nie mógł odmówić.

-tacyjenci stali ściśnięci dokoła sofy jak rój podnieconych, bzy-czących pszczoł. Wymieniali między sobą nieskładne uwagi, w większości pozbawione sensu i nie dokończone, Ian objął całą gromadkę Jednym przelotnym spojrzeniem, pełnym odrazy. Oto Andrew -osiemnastolatek z zaburzeniami psychiki, które kazały mu uparcie ponawiać próby samobójcze; za nim stoi Johann, wydziedziczony Przez rodzinę arystokrata, w ostatnim, terminalnym stadium syfilisu;

i Lara, opóźniona w rozwoju piętnastolatka o umyśle dziecka. Tuż przy poręczy sofy kobieta w średnim wieku, cierpiąca na urojenie, że jest królową Wiktoń, i siedemdziesięcioletnia staruszka Dotty, która była szpiegiem w czasach wojny domowej. Ta odzywała się wyłącznie szeptem i do tego szyfrem, a dni spędzała w schowku na szczotki, rozmawiając z niewidzialnymi sojusznikami w wojennych zmaganiach.

Ich zimowe szlafroki z wełny w nieokreślonym odcieniu burości tworzyły wokół leżącej na sofie rannej pozornie nieprzebytą barierę. Ian zwolnił kroku, przejęty nagłą niechęcią przed wkroczeniem w szary tłumek. Kiedy przebywał z dala od nich, zamknięty w swojej samotni, mógł sobie wmawiać, że nie istnieją. Ale teraz, tutaj, stanowili żywe świadectwo nieszczęścia, jakim obłąd piętnuje swoje ofiary. Przebiegł go dreszcz i jak zwykle doznał uczucia, że tonie w czeluściach rozpaczliwej niemocy.

Uśmiechnął się gorzko na myśl o ironicznej odmianie swego losu:

niegdyś fetowany i rozpieszczany przez najwyższe sfery, dzisiaj zapomniany między odrzutkami tego samego społeczeństwa, zamieszkującym ten przybytek zagubionych i przeklętych dusz. Machnął ręką, by odgonić natrętne myśli, i syknął:

- Odsuńcie się!

Posłyszał odgłos podobny do świstu, gdy wszyscy jak na komendę wstrzymali oddech.

- Przyszedł, jest tutaj! - Szeptane zduszonymi głosami słowa niosły się przez mrok obszernej bawialni i stłoczeni ludzie natychmiast rozstąpili się jak fale Morza Czerwonego przed zastępami Izraelitów. Usiłował nie zwracać uwagi na utkwione w nim spojrzenia pełne nabożnego szacunku. Szkoda, że nie może w ogóle zabronić im na siebie patrzeć! Całe lata zajęło mu wbicie im do głów, że w żadnym wypadku nie wolno go dotykać, nigdy, przenigdy - ale wciąż nie mógł wyperswadować im spojrzeń nieskrywanego hołdu i

uwielbienia - jakby patrzyli w oblicze Boga, za jakiego się kiedyś uważał.

Obszedł kanapę i ukląkł obok ciała rozciągniętego na białym brokacie pokrycia. Leżała nieruchomo jak trup. Zmierzwione włosy rozsypały się wokół głowy sztywnymi od morskiej soli strąkami, szyję okręcało pasmo wodorostów. Z obu uszu ciekły strużki krwi, a trzecia sączyła się z lewego nozdrza, jaskrawą czerwieńią barwiąc ciemniejący

„Siniec, rozlany na całym policzku. Rysy twarzy były niewidoczne pod maską sińców i zadrapań. Nie potrafiłby określić jej wieku -mogła mieć równie dobrze piętnaście, co pięćdziesiąt lat.

Maeve pojawiła się u jego boku jak żywy cień, podtykając mu pod rękę kosztowną skórzaną torbę, której nie używał od lat.

- Czy wyczuwasz puls? - spytał, ale nie uzyskał odpowiedzi. Rzucił jej ostre spojrzenie. - Matko, przyprowadziłaś mnie tu, obiecując, że będziesz swoimi dłońmi zastępować moje. Rób, co ci każę. Musisz zmierzyć jej puls!

Maeve przysunęła się nieznacznie i pochyliła nad nim, a potem uczyniła coś niesłychanego - dotknęła go! W jego mózgu zaroilo się od obrazów eksplodujących bólem i udręką: ujrzał ją, jak stoi nad grobem jego ojca, smukła i opuszczona jak wierzba płacząca. Poczul niszczycielski smutek samotnej i pustejegzystencji. Powrócił ból w skroniach i oślepił go na wszystko poza dojmującą rozpaczą matki.

- lanie, masz ręce, które uzdrawiają. To twój dar... - odsunęła się, a on zachwiał się pod naporem sprzecznych impulsów i pragnień. Usłyszał, jak z głuchym stukiem stawia na podłodze tuż przy nim lekarską torbę. - Użyj ich! - Po czym wycofała się w krąg obłąkanych, którzy w ciągu długich lat choroby stali się jej rodziną, Ian westchnął konwulsyjnie, uwalniając nieświadomie wstrzymywany oddech i podniósł wzrok, a pacjenci odwzajemnili mu się spojrzeniami szczerego, bezkrytycznego uwielbienia. Poczul nieprzeparte pragnienie, by rzucić się do ucieczki i biec, dokąd oczy poniosą. - Ty potrzebujesz jej pomoc, lanie.

- To, czego potrzebuję, to łyk czegoś mocnego - wymamrotał, wpatrzony w drżące jak w gorączce dłonie. Przez tyle czasu nie dotknął nikogo z własnej woli... to było diabelnie bolesne, zbyt bolesne! A jeśli przeżyje w wyobraźni jej wypadek? Jedno dotknięcie wystarczy, by cisnąć go w otchłań cierpienia, a nie przybliży go ani na jotę do celu, jakim jest ocalenie jej życia. A jeśli ranna umrze W chwili, gdy będzie jej dotykał? Sama myśl o zapierającym dech „(,,i jaki wówczas przemknie jego zmysły, sprawiła, że poczul Gaikiem realne mdłości. Matka łagodnie przynagliła:

- lanie?

Zapał się w sobie i spróbował zetrzeć umysł do czysta, jak wyciera s! gąbką szkolną tablicę, usunąć zeń wszystkie myśli i obawy.

Przygotował się na uderzenie znajomego bólu. Gdy dłonie przestały drzeć, a oddech odzyskał równy rytm, wyciągnął rękę.

Pacjenci wstrzymali oddech i poczul, jak zacieśniają krąg za jego plecami.

Pierwszy dotyk był zwykłym muśnięciem palca po zakrwawionym łuku szyi. Nieśmiałą, nic nie znaczącą próbą.

Nie ujrzał nic, zupełnie nic!

Serce zaczęło mu bić szybciej. Coś było nie tak. Przecież jej dotknął, krótko co prawda i lekko, ale nigdy przedtem nie czyniło to najmniejszej różnicy! Dotknął jej i nie ukazał się żaden obraz.

Nadzieja uczyniła wyłom w zbroi rezygnacji, w której się zasklepił, osłabiła jego cyniczną akceptację okrutnego losu. Chciał z nią walczyć, ale była za silna. Przebiegła mu przez głowę myśl jak piekące smagnięcie bicz: Może tym razem to się nie wydarzy? Od razu skarcił się za naiwność. Do tej pory zawsze się zdarzało.

- lanie, czy ona żyje?

Głos matki zdawał się dobiegać z nieprzebytej dali, ledwie przebijał się przez ogłuszający łomot serca w piersi. Pot zaczął mu ściekać po czole. Starł gęste krople drżącą dłonią i z wysiłkiem przełknął ślinę. Ledwie odważył się oddychać, gdy ponownie wyciągnął rękę i ujął przegub rannej. Jego palce odruchowo objęły smukły nadgarstek, poszukały pulsujących naczyń. Poczul szybkie trzepotanie pod chłodną gładkością skóry.

Nie poczul nic poza tym! Nadal nie wiedział o niej niczego, z wyjątkiem faktu, że jeszcze żyje.

Uświadomił sobie ten cud i łzy zapiekły go pod powiekami. Ponownie usłyszał nalegający głos matki:

- lanie?

- Żyje.

- Ale czy umrze?

- Nie wiem... - W chwili, gdy wypowiedział te słowa, poczuł przyływ dawnej mocy. Powróciły zapomniane, zdało się, celowe ruchy. Świadomość, że wie, co czynić i potrafi to, wprawiła go w uniesienie, unicestwiając gorycz sześciu lat dobrowolnej izolacji. Nareszcie znalazł się człowiek... - kobieta! - której umysł pozostaje przed nim zamknięty.

Zagadkowa sprawa. Słodki Jezu w niebiesiech, zagadkowa sprawa! Usiadł prosto.

- Przygotujcie łóżko na drugim piętrze i wrzątek, przynieście mi alkohol! - Podniósł wzrok i przynaglił zastygły krąg: - No, już!

Pacjenci rozbiegli się jak spłoszone owady. Minęło zaledwie kilka chwil, a Maeve ponownie pojawiła się u jego boku i podała mu szklankę wypełnioną do połowy szkocką. Popatrzył na nią osłupiały, zanim przypomniał sobie, że poprosił o alkohol. Za plecami matki ujrzał królową Wiktorię z imbryczkiem.

- Czy służba przyniosła milordowi filiżankę?

...I wrzątek.

Wysiłkiem woli zdusił okrzyk desperacji.

- Andrew! - ryknął wniebogłosy. Wychudły młodzieniec o pożółkłej cerze wyłonił się z cienia pod ścianą, wbijając w niego szeroko otwarte oczy.

- Tak, panie?

- Czy będziesz mi asystował? Chłopak przełknął ślinę.

- Będę zaszczycony, proszę pana.

Ian spojrzął z naciskiem na przeguby młodzika, wciąż obandażowane po próbie samobójstwa w zeszłym miesiącu.

- Czy mogę ci zaufać, że umiesz obchodzić się z nożem?

- Nigdy nie ponawia dwa razy tego samego sposobu, by się wyeksponować na tamten świat- wtrącił przeciągle Johann zza pleców Maeve. - Gdyby okazał podobną konsekwencję, może wreszcie by mu się udało!

Andrew skrzywił się, jak uderzony.

- Panie Carrick, może mi pan zaufać.

- Dobrze... oto rzeczy, których potrzebujemy, słuchaj uważnie:  
mnóstwo bandażu i kilka ostrych noży.

Andrew odwrócił się na pięcie i wybiegł z pokoju, a Ian poderwał ^ę na nogi i zaczął wydawać polecenia tym samym nie znoszącym sprzeciwu, zdecydowanym głosem lekarza, jakiego używał niegdyś.

- Johann, znajdź Edith i przyprowadź ją tutaj. Powiedz, że potrzebuję kory wierzbowej, parafiny i laudanum, niech je od razu zabierze ze swojej apteczki. Matko, potrzeba mi kilku flaszek alkoholu - nie jednego drinka. Rozumiesz? Kilku butelek!

Maeve uśmiechnęła się promiennie.

- Oczywiście, synu.

- Wiktońo...

Staruszka uderzyła go w nos wachlarzem.

- Dla ciebie, młody zuchwalcze, jestem Jej Wysokością. Nie zapominaj się! Zacisnął zęby.

- Czy Wasza Wysokość raczy przynieść mi kilka prześcieradeł i wiaderko lodu? Zmarszczyła czoło i zaczęła się rozglądać z cieniem troski w oczach.

- Mój odźwierny...

- Natychmiast!

Królowa pobladła i pobiegła po lód.

Ian ominął wzrokiem Larę, wpatrzoną w całe to zamieszanie nieprzytomnym wzrokiem. Podbiegł do sofy i zagarnął nieprzytomną kobietę w ramiona. Spojrzął na nią z przelotnym zaciekawieniem, jakże też wygląda jej oblicze pod gęstą siecią sińców i ran. Zdjął z jej szyi ośliżte pasmo wodorostów i upuścił je na podłogę.

- Walcz ze mną, księżniczko!

Nie drgnęła. Oddychała płytko, ledwie dosłyszamie, lecz płomyk życia tlił się w niej i kusił szansą na ocalenie.

Szansa - nic więcej. Ani mniej.

Poczuł przyływ adrenaliny jak za dawnych dni. Zupełnie jak w dawnych, dobrych czasach.

## 2

W cisnął pod pachę zakurzoną flaszkę z kwasem karbolowym i z rozmachem otworzył drzwiczki biblioteczki. Zaczął zrzucać na podłogę jedno za drugim opasłe, zakurzone tomiska. W pośpiechu przerzucał kartki, szukając jakichś wskazówek, ale niewiele w nich było informacji o obrażeniach głowy. Kiedy już dowiedział się wszystkiego, co miały do zaoferowania podręczniki medyczne, zbiegł na dół do sypialni, w której umieszczono ranną.

Znajdowali się tu już Maeve, Andrew i królowa Wiktoria, wszyscy zdyszani, objuczeni ekwipunkiem. Lampa u wezgłowia rzucała mdłe światło na przejętą trójkę i malowała na białym tynku ściany za ich plecami chwiejne, wydłużone cienie.

Z piersi królowej Wiktorii wyrwało się głębokie westchnienie.

- To jest szalenie ciężkie. Daję słowo, że...

- Zostaw to i leć po więcej. Wasza Wysokość! I ty także, matko. Potrzeba nam dużo więcej lodu i czystych prześcieradeł. Ruszajcie się!

Andrew wysunął się do przodu. W chudych, żyłastych ramionach dźwigał stertę prześcieradeł. Białe płótno połyskiwało szarością w migotliwym odbłasku lampy. Spod łokcia wystawało ostrze noża. Na sieniej stali igrał srebrzysty poblask.

- P...przyniosłem prześcieradła z pralni. Nie znalazłem żadnych bandaży...

- Dobrze. Zaczynj drzeć płótno na pasy szerokości mniej więcej Pięciu centymetrów. Ale najpierw umyj porządnie ręce mydłem

wypłucz je w kwasie karbolowym. Nie dopuść, by prześcieradła

walały się po podłodze! Połóż je na łóżku - Ian podbiegł do drzwi i wytknął głowę na zewnątrz. Wrzasnął w mrok korytarza:

- Mydło! Potrzeba tu mydła, do ciężkiej cholery! Pospieszcie się!

Nie minęła minuta, a pojawiła się Lara z potężnym ułomkiem szarego mydła, Ian wyrwał je z pulchnych paluszków i zaczął szorować ręce, spłukując je obficie piekącym kwasem karbolowym. Dopiero gdy uznał je za dostatecznie czyste, powrócił do łoża, na którym spoczywała ranna. Ukląkł i przyjrzał jej się badawczo. W ciszy pokoju słyszał swój urywany, zdyszany oddech. Ten odgłos nadawał całej sytuacji pozór nierzeczywistości: jakby przyglądał się samemu sobie z pewnej odległości, nie biorąc udziału w dramacie rozgrywającym się w tych czterech ścianach. Za plecami słyszał trzask płótna, które Andrew rozdzierał nożem. Naprężona tkanina sprzeciwiała się jęklivym poświstem. W okopconym kloszu lampy u wezgłowia pełgał i skręcał się syczący czerwonożłoty płomyk.

Kobieta leżała nieporuszona jak trup.

Ian przysunął się jeszcze bliżej i nie wstając z kolan wsunął dłoń pod zakrwawioną głowę. Instyktownie znieruchomiał, czekając na zalew obrazów... nie pojawił się ani jeden. Czuł pod palcami zwykły dotyk ludzkiej skóry - tak normalny, że zachciało mu się płakać.

Przesunął delikatnie palce po poranionym ciele, przez posklejane krwią i wodorostami kosmyki włosów, aż odnalazł nie grubsze od włosa pęknięcie u podstawy czaszki. Obmacywał, naciskał, sondował, klasyfikując obrażenia w ten sam bezosobowy sposób, jakiego nauczył się w latach praktyki w nowojorskim szpitalu. Cały czas prowadził cichy monolog:

- Lewe potyliczne stłuczenie mózgu. Rozlane obrażenia prawego płata czołowego. Pęknięcie podstawy czaszki tuż nad rdzeniem kręgowym - oderwał na chwilę palce i potrząsnął głową. - Jezu, ależ miała szczęście!

Na schodach rozległ się głośny tupot i do pokoju wpadła Edith, objuczona prześcieradłami i butelkami. Między jednym zdyszaniem oddechem a drugim. Wykrztusiła:

- Już jestem, panie doktorze! Jak mogę jeszcze pomóc?  
- Poszukaj Maeve i Wiktorii, posłałem je po lód i diabli je wzięli. Musimy ją całą nim obłożyć - szczególnie głowę. Trzeba obniżyć temperaturę czaszki.

- Ależ biedactwo nabawi się zapalenia płuc...

- Nie wtrącaj się, Edith.

- Przepraszam najmocniej, panie doktorze - gosposia przełknęła i wybiegła jak strzała z pokoju, Ian powrócił do pacjentki, tamponem z prześcieradła ocierając krew płynącą z nosa. Tak był tym pochłonięty, że ledwie dotarło do niego, że Andrew skończył przygotowywać szarpie.

- Bandaże gotowe, doktorze. Czy będzie pan operować? Pragnął tego z całej mocy. Słodki Jezu, jakże tęsknił za chłodnym uchwytem skalpela! Niechby obudziło się znajome pulsowanie energii w żyłach, poczucie pewności siebie, wypływającej z niedoścignionej biegłości w sztuce. Zapagnął znowu poczuć się bogiem. Ale tym razem po prostu nie mógł. Nie wolno mu było ryzykować.

- Nie, Andrew. Jej obrażenia wymagają zbyt skomplikowanej operacji, poza tym umarłaby w wyniku zakażenia. Przekłety kwas karbolowy to nędzna namiastka środka odkażającego. Nie, wszystko, co mogę uczynić, to zmniejszyć ucisk na mózg. Miejmy nadzieję, że krwawienie przez uszy i nos zapobiegnie krwotokowi wewnętrznemu. No, i schłodzimy jej czaszkę - ale organizm musi sam zwyciężyć w bitwie o życie.

Przez następną godzinę pracował jak szatan, by utrzymać w niej ten skrawek szansy, jaki jej pozostał. Golił, ciął, bandażował i owijał, aż lepkie od krwi palce zdrętwiały mu ze zmęczenia. Wreszcie wyprostował się, świadom, że zrobił wszystko, co mógł. Wyprosił z pokoju wszystkich poza Maeve i osunąwszy się na stołek przy wezglowiu, ukrył twarz w usmarowanych krwią dłoniach. Kobieta leżała na łóżku z bezwładnymi ramionami przyciśniętymi do boków i głową w grubym kokonie bandaża. Krew była wszędzie - na jego dłoniach i ubraniu, na podłodze i łóżku. Całe ciało rannej pokrywała dziesięciocentymetrowa warstwa pokruszonego lodu. Błękitne kryształki migotały w świetle lampy jak klejnoty, spowijając raną baśniowym płaszczem, jakby była gościem z krainy ułudy. Lód rozsypał s' na poduszce wokół jej głowy. Krew zabarwiła przezroczyste kopczyki miniaturowych perełek odcieniem różu. Połowę twarzy spowijał przesiąknięty krwią bandaż, druga połowa była nabrzmiałą masą purpurowych siniaków i obrzęków. Opatrunek zniekształcił Jedyne widoczne oko tak, że trudno było je rozpoznać.

Musiał zgolić trójkąt włosów z tyłu głowy, a resztę zaczesał do przodu i związał w dwa nieporządne, pokryte zaschłą krwią warkoczyki, które opadały wzdłuż nieruchomych ramion. Powinien był ogolić ją do zera, ale nie miał na to czasu, poza tym pewnie i tak nie miało to znaczenia. Była straszliwie osłabiona. Puls bił nieregularnie, z długimi przerwami, oddech był tak płytki, że niemal niewyczuwalny. Nawet nie szczękała zębami, chociaż - na litość boską! - leżała na prawdziwym lodowym pościeliu.

- Nie umieraj... - wyszeptał, a usłyszawszy w swoim głosie nutę błagalnej rozpacz, wcale się nie zawstydził. Wiedział, że pragnienie, by ocalała, ma podłoże egoistyczne. Zawsze był egoistą w swej chęci dokonywania medycznych cudów. Ale tej pacjentki, której mógł bezpiecznie dotykać i uzdrawiać, potrzebował tak rozpaczliwie, jak nikogo dotychczas. Ona miała moc ocalić go, zwrócić mu jego profesję, jedyny cel istnienia. Mogła stać się pierwszą od lat prawdziwą pacjentką.

- Czy przeżyje?

Ciche pytanie Maeve wdarło się w jego pogmatwane myśli. Z westchnieniem znużenia spojrzął na pacjentkę beznamiętnym okiem medyka. Straszliwy obrzęk mózgu nieco ustąpił i miał nadzieję, że będzie się zmniejszała, gdyż krew nadal wyciekała z lewego nozdrza. Obmył głowę rannej kwasem karbolowym i owinął warstwą wodoszczelnego jedwabiu, potem zastosował dokładnie osiem warstw płóciennego bandaża nasączonego środkiem dezynfekującym i zwieńczył opatrunek dwoma warstwami wilgotnej gutaperki. Całość poleił stopioną żywicą i płynną parafiną i dodatkowo owinął dwukrotnie nawoskowaną taftą. Głowa rannej przypominała teraz popękana piłkę do krokieta, nasadzoną na korpus szmacianej lalki, Ian naśladował co do joty technikę Josepha Listera, lecz nie miał wielkiej nadziei, że uratuje pacjentkę.

- W każdym razie zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, matko! Maeve uklękła obok niego i spłótła dłonie na podółku. Rudawe kędziory miała związane luźno u nasady karku. Jej ciało zaczęło się kołysać prastarym rytmem do-przodu-i-do-tyłu-i-znowu-do-przodu... w palcach trzymała wytarty strzępek satyny. Od lat nie

wypuściła z dłoni tej żalostnej wstążeczki - skrawka ślubnego welonu. Oczy zasnuła mgiełka, zniknął z nich trzeźwy błysk. Rozpoznał te oznaki:

matka powracała do krainy obłąkańczych iluzji. Westchnął jeszcze raz i przeczesał palcami czuprynę.

- Idź po Edith, matko. Powiedz, żeby przyprowadziła tu tego

mężczyznę. Maeve przestała się kołysać i popatrzyła na niego tępym wzrokiem.

- Jakiego mężczyznę?

- Poławiacza homarów, który ją tu przywiózł.

- Ach, ten? Poczęstowałam go kubkiem gorącej kawy i odesłałam biedaka w swoją drogę. Ian osłupiał i minęła długa chwila, zanim odzyskał głos.

- Oczywiście spytałaś go o nazwisko? Pochwyciła gniew w jego głosie i zaczęła kołysać się szybciej. Unikała jego spojrzenia.

- Oczywiście!

- No, więc?

- No, więc co?

- Jego nazwisko, matko. Jak się nazywa?

- Kto?

Desperackim wysiłkiem woli pohamował wybuch.

- Mężczyzna, który ją przywiózł.

- Ach, ten. Zaraz, w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć...

- Jezu! Zmarszczyła czoło.

- Nie, gdyby nazywał się Jezus, zapamiętałabym z pewnością. Chyba zaczynało się na „B”. A może na „R”?

- Och, matko! - pochylił się do przodu i przymknął oczy, pocierając skronie.

- O co ci chodzi? - wciąż unikała jego spojrzenia, wpatrując się w skrawek tkaniny, który szarpała i wykręcała w palcach.

- Kim ona jest, u diabła? Skąd się tu wzięła? Jak doszło do jej

wypadku? Matka nagle znieruchomiała i spozrzała na niego w przeblysku zrozumienia.

- Och! - wyszeptała głosem ściśniętym wstydem, który wypełnił orzechowe oczy. - Ten rybak wspomniał coś o wypadku na łodzi.

Zdegustowany Ian odwrócił się i apatycznie popatrzył na pacjentkę. Może nigdy nie dowiedzą się, kim jest... kim była.

- Jaka będzie? - spytała nieśmiało Maeve.

Nie usiłował nawet rozszyfrować znaczenia jej pytania.

- Co masz na myśli?

- No, wiesz... czy będzie... normalna?

W głosie matki zabrzmiała nuta niemal religijnego szacunku, gdy wypowiedziała słowo „normalna”. Normalność była dla niej tak ważna;

domyślał się dlaczego. Ani przez jeden dzień życia nie udało jej się pozostać normalną. Znowu westchnął, czując się nagle krańcowo wyczerpany.

- Nie wiem, matko... ale to raczej mało prawdopodobne. Maeve zamknęła oczy i przyspieszyła tempo kołysania, obracając wstążeczkę w palcach.

- Mam nadzieję... że obudzi się normalna... na umyśle. Wiem, że chciałyby odzyskać zmysły. Być normalna.

Odwrócił się, niezdolny znieść jej widoku i świadomości, że ból na jej obliczu jest odzwierciedleniem jego własnej udręki. Odsuwał od siebie myśl, że żadne z nich nie może nic zmienić - absolutnie nic.

- Tak, matko. Ja też bym tego chciał. Wszyscy byśmy tego chcieli...

-Dacznie wpatrywał się w zniekształcone rysy jej twarzy, doszukując się osoby pod skorupą ran i bandaży. Wciągnął w nozdrza zapach wosku, kwasu i krwi, znajoma woń, którą pachniały korytarze nowojorskiego

szpitala. Nigdy nie dawało się ich wywietrzyć, a już w salach operacyjnych woń wprost wżarła się w ściany i sprzęt. Nie dawało się jej usunąć za pomocą mydła i wody, toteż bywalcy tych pomieszczeń nawet nie próbowali tego robić.

To była woń śmierci. Dźwignął nowe wiaderko lodu i wysypał zawartość koło jej głowy, zgarniając kryształki na kupkę wokół ściśle obandażowanej czaszki. Potem z rozmachem odstawił puste wiadro na podłogę, aż brzęknęło, ale on nawet tego nie usłyszał. Wycofał się rakiem, nie spuszczać wzroku z rannej. Po omacku otworzył okiennice, odwrócił się i wyjrzał na świat.

Burza dawno już ucichła, a brzeg oceanu spowijał jak okiem sięgnąć ponury tuman gęstej mgły. Gdzieś dalej na pewno wynurzało się słońce, oświetlając słabym blaskiem bladoszary całun, ale z okna rozpościerał się jedynie widok na lepkie, duszące melancholią opary.

„Czy będzie normalna?”

Nie potrafił zapomnieć pytania matki. Kiedyś byłby się martwił jedynie o to, czy pacjentka przeżyje. Lecz ostatnie lata nauczyły go irzynałmniej tego, że istnieje życie będące jedynie funkcją bijącego erca i życie prawdziwe i pełne. Znał ból istnienia w stanie nienor- nalności, straszliwą udrękę izolacji, torturę inności odgraniczającej id zwykłych ludzi. Już nigdy nie będzie mógł wmawiać sobie, że

ocalenie życia to zwycięstwo warte każdej ceny. Zaciśnął powieki i oparł czoło o wyziębioną szybę, pokrytą kroplami

wilgotnej mgły. Boże, nie zwracaj jej tylko połowy życia... niech odzyska wszystko lub nic.

- Wszystko lub nic - szepnęła, a kąciki ust podniosły mu się w gorzkim uśmiechu. Szyba zaparowała od jego oddechu. Taką samą modlitwę powinien był zmówić sześć lat temu, zamiast błagać jak żaloszny głupiec: „Daj mi żyć!”

Kiedy odwrócił się do wnętrza pokoju, ujrzał twarze zerkające z korytarza przez uchylone drzwi.

- Wejdźcie... - Był zbyt zmęczony, by się im dłużej opierać. Chcieli zobaczyć raną kobietę, a on nie mógł ich za to winić. Ostatecznie jej przybycie było najbardziej interesującym wydarzeniem, jakie zaszło w Domu Zapomnienia od wielu lat. Pacjenci wchodzili powoli, szurając pantoflami po podłodze. Jeden po drugim przyciągali krzesła i zasiedli wokół łóżka ciasnym kręgiem, jak jakieś zwariowane kółko różańcowe, które przyszło zawodzić modły nad potrzebującą duszyczką. Pokój wypełnił się pomrukiem przyciszonych głosów. Raptem Ian uprzytomnił sobie, że jest zadowolony z ich obecności. Może uda im się dosięgnąć świadomości kobiety skrytej w kokonie bandaży, może dźwięk ich głosów wyrwie ją ze śpiączki?

Wątpa to była nadzieja, ale jedyna, jakiej mógł się chwycić.

- Oó!... bezdenna otchłań męki, nie do opisanja. Owijał ją, drażył tło szpiku kości, pożerał tkanki ciała mikroskopijnymi, ostrymi jak brzytwy ząbkami. Ciął, palił, nękał, ziębił...

Straszliwie pragnęła wykrzyzczyć swoją udrękę, ale zdołała jedynie Udusić słaby jęk, wahający odgłos, podobny do wydawanego przez tamto zwierzę - białe, kędzierzawe, na czterech nogach. *Burak*...

*Onuca?* Słowa opływały ją, unosiły w migotliwym, wielobarwnym nurcie zmiennych, całkowicie niezrozumiałych znaczeń. Znowu przywołała obraz tamtego zwierzęcia, ujrzała, jak pasie się w stadzie, ale jego nazwa wciąż stanowiła dla niej zagadkę. Poruszyła się niespokojnie, czując piekące użądlenia zimna na całym ciele. Wstrząsnął ją dreszcz, który sprawił, że zęby zagrały słaby werbel, a koniuszki palców zadygotały.

- Słodki Jezu... coś mruczy...

Głos. Nadszedł stamtąd - zza granicy lodowatej ciemności.

Spróbowała przemówić, krzykiem prosić o pomoc, ale żadne słowo nie wydarło się z obolałej piersi, nie wybiegło na spierzchnięte wargi. Znowu wstrząsnął ją dreszcz, aż zachłysłnęła się jego siłą i zakrzywionymi w szpony palcami przeorała wilgotną tkaninę, na której leżała.

Owieczka! Nagle wybuchło jej w głowie miano wełnistego zwierzęcia. Odepchnęła je lekceważąco, gdyż przestało ją już obchodzić. Nieznośne łupanie w skroniach, aż bała się, że rozsądzi czaszkę. Odbierające wzrok ciosy, ogłuszająca agonia cierpienia. Serce uderzało ciężko, z wysiłkiem tłocząc krew, a jego łomotanie zagłuszało inne odgłosy - z wyjątkiem szmerów jej własnego organizmu, świadczących dobitnie o



tym, że żyje.

Gdzie jestem?

Tylko ta jedna składna myśl, zanim umysł zwinął się w kłębek pod uderzeniem wściekłej nawałnicy bólu. Zacisnęła kurczowo powieki, oddychając chrapliwie. O Boże, o Boże, o Boże... Jak to boli, to boli, to boli...

Nie mogła dłużej wytrzymać. Zachłysnęła się krzykiem - a przynajmniej miała wrażenie, że krzyczy, pragnęła móc krzyknąć... a potem wszystko się skończyło.

Znowu bezwolnie dryfowała, niesiona z powrotem w błogosławiony mrok zapomnienia. Z powrotem tam, dokąd nie sięga ból.

### 3

Wzrok Iana mimowolnie padł na butelkę szkockiej stojącą na ciemnozielonym blacie nocnego stolika. Niewymownie pragnął pokrzepić się łykiem czegoś mocnego, ale od czterech dni zabraniał sobie tej przyjemności. Chciał być trzeźwy, gdy ranna się ocknie.

Jeżeli w ogóle się ocknie...

- Proszę, zbudź się! - powiedział niemal niedosłyszalnym szeptem i wcale się nie zawstydił, słysząc własny głos zdławiony lękiem. Był bezgranicznie zmęczony. Od czterech dni trzymał warte przy jej łóżku, godziny mijały, stapiając się ze sobą w jednolity strumień oczekiwania. Chorobliwa fascynacja nakazywała mu nie spuszczać z niej wzroku, liczyć każdy wysiłony oddech i modlić się każdą cząstką duszy, by móc oddychać za nią.

W ciągu tych czterech dni zaczęła być dla niego kimś więcej niż tylko pacjentką, którą usiłuje ocalić. Stała się jego światem. Początkowo usiłował zachować profesjonalną rezerwę, lecz wnet porzucił daremne próby. Nie umiał się już zdobyć na chłodną rzeczowość, którą niegdyś przywdziewał równie naturalnie, co frak na wieczorne przyjęcie. Tak wielka była siła jego pragnienia, by przeżyła, że czasami zapierała niu dech. Każde spojrzenie na nieprzytomną postać na łóżku okupywał tęnym bólem w piersiach i doskonale znał jego źródło. Pewnie umrze, nie obudziwszy się nawet.

- Otwórz tylko oczy... - szeptał. - Błagam! Przycupnął na samej krawędzi mahoniowego krzeselka o siedzeniu wyłożonym słomianą matą. Stopy zaplótł o zieloną ramę łóżka

i patrzył na nieruchomą postać skąpaną w mdłym świetle księżycy wpadającym przez uchylone okno. Diamentowe iskrzenie obrarno-wujące jej sylwetkę przypominało mu o ciągłej konieczności dosypywania lodu. Mimo nieustannego schładzania ciała chora płonęła w coraz wyższej gorączce, a on nie mógł już nic zrobić, by temu zapobiec.

Siniaki na jej twarzy pociemniały i wyglądały obecnie naprawdę zastraszająco. Niemożliwe stały się jakiegokolwiek starania, by rozróżnić pod nimi kobiece rysy. Ian z wysiłkiem porzucił smętne rozważania, by skupić się na postępach, które, aczkolwiek niewielkie, pozwalały mieć nadzieję. Chora zaczęła przyjmować płyny odżywcze przez rurkę, a trzeci podobny do kokonu opatrunek wokół głowy przestał wreszcie przesiąkać krwią. Oznaczało to, że krwotok z wewnętrznych obrażeń ustął i stopniowo zmniejsza się obrzęk mózgu. Być może rzeczywiście jest przed nią szansa... jeśli nie wda się śmiertelne w skutkach zapalenie płuc.

Tak bardzo chciała żyć - niemal równie mocno, jak pragnął tego on sam. Widział oznaki uporczywego czepiania się życia w każdym chrapliwym oddechu wybiegającym ze spierzchniętych ust.

Pochylił się ku niej i ujął bezwładną dłoń. Leżała w jego dłoni nieruchomo, wilgotna i obojętna. Głaskał rozpalone palce, zauważając giętkość przegubu, złotawy meszek pokrywający grzbiet dłoni, twarde odciski na każdym opuszku.

Powoli dostawał fiksacji na jej punkcie. Zdawał sobie z tego sprawę, ale niewiele czynił, by temu zapobiec. Nie pragnął nawet powstrzymać postępów owej szczególnej formy obłądu, bo pierwszy raz od wielu lat rzeczywiście czuł, że żyje. Czasem, gdy czuwał przy jej łożu późną nocą, przymykał oczy i wyobrażał sobie, jak się budzi z uśmiechniętą twarzą, jak wybucha perlistym śmiechem i kiwa na niego ręką.

Obłąd.

To czysty obłąd tak dbać o jej przeżycie, modlić się o całkowite wyzdrowienie! Wiedział o tym i nie mógł się pohamować. Pragnął, potrzebował ujrzeć, jak się budzi. Ocalić w swym żalnym życiu jeszcze tę jedną

istotę. Ponownie poczuć się lekarzem...

Posłał uśmiech nieruchomej postaci swojej pacjentki. Z powodu obrażeń nie widział jej twarzy, ale nie dbał o to. W jego oczach była skończoną pięknnością, królową urody wśród wszystkich znanych mu

Sibiet. Była jego boginią, zagadkową mużką... jego drogą powrotu do taktyki medycznej. *f.* Wiedział już, jakie nada jej imię: blask księżycy - symbol magii (tajemnicy).

- Selena... - czułym gestem odgarnął skołtunione, krwawe pasmo włosów z policzka. - Walcz, walcz z gorączką, Seleno! Ledwie wypowiedział te słowa, ciszę zburzyło staccato szeptów ak seña z karabinu maszynowego. Okręcił się na krześle i ujrzał ludzi stłoczonych pod ścianą. Boże, powinien wczoraj wyrzucić ich tą! Nic tu po nich, a i oni nie mają tu przecież czego szukać.

- Zamknąć mi się albo wynocha!

Jonami wystąpił do przodu, wysunął ze zwykłą sobie zawadiacką manierą biodro i oparł na nim szczupłą dłoń, po czym wydał z siebie przeciągłe, przesadne westchnienie.

- Panie doktorze. Nie da się ukryć, że wśród naszej gromadki nastąpił rozłam w sprawie nadania imienia temu ludzkiemu warzyw.

Ian ściągnął brwi w grymasie, którym miał nadzieję zmusić do milczenia teatralnego głupka. Wstał i zdecydowanym krokiem podszedł do wystraszonej grupki.

- Patrzcie no...

- Gdzie? - przerwała skwapliwie Maeve, podkreślając gotowość do posłuszeństwa.

Ian zerknął na matkę, zauważył zamglone, zapatrzone w nieokreśloną dal oczy i rękę ściskającą jedno z myśliwskich trofeów ojca. Dzisiaj wybrała wypchanego borsuka z mordką na wieki wykrzywioną w obronnym grymasie. Obracała między palcami sztywne ciało pokryte szczecina, pewna, że dusza jej Herberta obrała sobie właśnie w jednym z tych stworzonek miejsce pobytu - cały jej kłopot polegał tylko na tym, że nie wiedziała, w którym. Przejęty znajomą odrazą, Ian odwrócił spojrzenie i przebiegł wzrokiem resztę dobranego towarzystwa nieudaczników. Zanim zdążył otworzyć usta, zaczęli gadać jedno przed drugim, kłócąc się jak stadko sójek.

- Ja ją znalazłem... - rzucił ktoś zapalczywie.

- Ale ja otworzyłam drzwi! - upierała się Edith.

- To chyba ja zaniósłem ją na sofę - wycedził Johann. - Gdyby u ciebie, wciąż leżałyby w kałuży krwi na dywanie w sieni!

- Ja jestem królową i to ja mam prawo obdarzyć imieniem moją nieszczęsną, anonimową poddaną.

- M...mnie się zaś wydaje, że powinniśmy głosować - szepnęła nerwowo Andrew i spojrzał na Iana, szukając poparcia. Podniósł drżącą dłoń: - Głosuję za Seleną!

- Mięczak! - syknął Johann zza pleców młodzieniaszka. - Ja głosuję za Yioletką, bo to imię świetnie pasuje do koloru jej skóry. Maeve, na co ty się zdecydujesz?

Maeve zaszepnęła coś do wypchanego stworzonka, które trzymała w ramionach, po czym zwróciła poważne spojrzenie na Jo-hanna.

- Ojciec Iana mówi, by nadać jej imię Colleen.

- Och, okropieństwo! Straż! Wrzucić ich do lochu w Tower! -zaskrzeczała królowa Wiktoña i wyduła potężną pierś, z namaszczeniem stukając w podłogę sosnową laską, która służyła jej za berło. Ian miał tego dość. Wrzasnął, aż wszyscy przykucnęli:

- Cisza! Nieważne, jak ją nazwiecie.. Kiedy się obudzi, sama nam powie swoje prawdziwe imię... o ile się obudzi. Do tej pory będę ją nazywał Seleną, a wy możecie pozostawać przy swoich wariackich pomysłach.

- Nie! - syknęła Doty. - Nie wolno nigdy wypowiadać prawdziwego imienia... to zbyt niebezpieczne. Mów na nią po prostu Mewa. Johann przewrócił wymownie oczami.

- Naprawdę, ktoś powinien wbić naszej pani szpieg do głowy wypełnionej sieczką, że wojna domowa dawno już się skończyła! Cóż, mimo wszystkich sporów uważam, że musimy zdecydować się na jedno imię dla biedaczki - inaczej zupełnie się zagubi.

- Kto się zagubi? - spytała Maeve, głaszcząc borsuka. Ian zaczerpnął głęboki oddech i zmusił się do

spokoju. Teraz bardziej niż kiedykolwiek przydałby mu się łyk szkockiej! Dostatecznie trudno było mu znieść demencję matki. Cały ten cyrk pomyślników wokół niej był dodatkowym obciążeniem.

- Matko, Johann ma na myśli moją pacjentkę.

- Aha...

Andrew ponownie zabrał głos, w którym brzmiała nuta prośby:

- Uważam, że powinniśmy zgodzić się z wyborem doktora Carricka.

- No, dobrze - powiedział Johann. - Niech będzie Seleną!

- Więc wszyscy jesteśmy zgodni! - próbował zamknąć sprawę Ian, doprowadzony na skraj cierpliwości.

- Zgodni w czym? - Maeve zmarszczyła czoło.

- Pacjentka, matko. Będziemy ją nazywać Seleną. Mars na jej czole pogłębił się.

- Ach, to! Sądziłam, żeśmy to uzgodnili całe wieki temu!

^Jorączka opadła.

Słowa Edith przedarły się przez czerwonawą mgłę wyczerpania. Ułynęła spora chwila, zanim zrozumiał ich znaczenie.

Gorączka... opadła.

Zerwał się tak gwałtownie, że krzesło zakołysało się i mało brakowało, by się przewróciło. Zanim dobiegł do łóżka, otrząsnął się z resztek snu.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście, doktorze - podała mu długi termometr Hicksa. Obrócił w palcach szklany cylinder i odczytał wskazania srebrzystego słupka rtęci. Kolana ugięły się pod nim w przypiływie ulgi tak ogromnej, że dopiero teraz w pełni zdał sobie sprawę z głębi obsesji na jej punkcie. Z niemal maniacką siłą pragnął, by przeżyła, choć właściwie nie wierzył, by jego życzenie mogło się spełnić. Byłoby to wysoce nieprawdopodobne, szczególnie biorąc pod uwagę jego pogląd na naturę boskiego miłosierdzia. Chwycił się oparcia krzesła, by nie upaść.

- Jezu! Odczyt jest niemal normalny!

- Powiedział pan, że jeśli gorączka spadnie, biedactwo ma szansę wyjść z tego. Uśmiechnął się do poczciwej gospośki.

- To przynajmniej początek, Edith. Teraz prędko, zrzucmy z niej cały ten lód i pozamykajmy okna. Trzeba ją przebrać w ciepłą flanelową koszulę i majtki i koniecznie zmienić pościel.

- Tak jest, doktorze - odpowiedziała z uśmiechem i wybiegła z pokoju, zostawiając go na chwilę samego z pacjentką. Przyciągnął krzesło bliźutko łóżka Seleny i opadł na słomiane siedzenie, z którym w ciągu minionych dni nieomal się zrósł. Zalała go porywająca fala „czucia dla kobiety, która leżała przed nim wciąż nieruchoma, ale o krok bliżej wyzdrowienia.

- Dokonałaś tego! - głos mu się załamał. - Zrobiłaś to... - ujął jej dłoń i rozkoszował się dotykiem skóry - ciepłej i suchej, znamionującej zdrowego człowieka. - Tak trzymać, Seleno! Odrabiasz za mnie całą pracę.

Leżała bezwładna i nie dawała znaku, że cokolwiek -słysz, widzi czy rozumie. Wargi, z których zwisała rurka nawet nie drgnęły, ale chrapliwy, rytmiczny oddech brzmiał w jego uszach jak najpiękniejsza muzyka. Był świadkiem zacieklej walki o życie, a ona, Selena, ani przez chwilę się nie poddawała!

- Ja nie próbowałem tak usilnie jak ty - wyszeptał, zaskoczony wyznaniem, w którym zadźwięczała nuta absolutnej szczerości. Przez całe życie wybierał zawsze łatwiejsze rozwiązania i szedł na skróty, uciekając od wszystkiego, co go wprawiało w zmieszanie czy przerażało. Nie zwykł otwarcie przyznawać się przed sobą do tchórzostwa ani niepowodzeń, ale teraz, siedząc sam na sam ze swoją boginią, nie potrafił uciec od krytycznych myśli, od wspomnień o strzaskanych fantazjach i niespełnionych marzeniach. Nagle w pamięci stanęły mu tamte chwile - a było ich bez liku! - o których sądził, że pogrzyżyły się na dobre w otchłani zapomnienia.

Chwile, gdy Maeve brała go w ramiona i czytała mu bajki, głaszcząc go po głowie i całując w czótko, i chwile, gdy spoglądała na niego zmaconymi oczami, niepewna jego imienia. Kiedy wrzeszczała na niego w obecności jego przyjaciół, wypominając mu jakąś wyimaginowaną przewinę. A do tego mroczne dni po śmierci ojca, gdy matka snuła się po całym domu jak potępiona dusza, jęcząc, szlochając, niezdolna rozpoznać nikogo i nic wokół siebie. Przez prawie dwa lata nie odezwała się ani słowem z wyjątkiem

monologów do wypchanych zwierząt z myśliwskiej kolekcji ojca, którą zabrała do swego pokoju. Noce, kiedy stał w otwartych drzwiach jej sypialni, kryjąc szczupłe chłopięce ciało w cieniu framugi, i słuchał, jak przemawia do milczących stworzonek. W tamtych dniach oboje potrzebowali pociechy, ale ona nigdy do niego nie przyszła, nigdy nawet nie spojrzała mu w oczy.

Tyle niepowodzeń. Tyle utraconych szans... \

Odchylił się w krzesło i westchnął głęboko.

- Chryste Panie, Seleno! Czemu nie potrafię zapomnieć? Co jest ze mną nie tak?

Spojrzał w dół, na milczącą postać na łóżku i uświadomił sobie, że wyjawiał jej o sobie i swoich udrękach więcej niż komukolwiek innemu. Trochę go to spłoszyło. Podczas nieskończonych godzin czuwania przy rannej zdążył ją obdarzyć wymaginowaną osobowością, przeszłością i przyszłością. Co gorsza - bo świadczyło to o jego obłędzie - okazało się, że zdążył się zakochać w dziele własnej fantazji - w kobiecie, która w rzeczywistości nie istniała. Niech Bóg ma go w swojej opiece!

JL<sup>^</sup>ryfowała. Unosiła się na skrzydłach wiatru, który nareszcie otulał ją ciepłem, zamiast ziębić do szpiku kości. Kojący nurt kołysał ją lekko, miękko, jak... taką niewielką rzecz, zieloną, osadzoną na gałęzi... Zmarszczyła czoło, usiłując wygrzebać z pamięci właściwe słowo.

Trud okazał się ponad jej siły i myśl odpłynęła, zostawiając po sobie jedynie mgliste uczucie, że coś było niezupełnie tak, jak należy. Potem nawet ten powierzchowny niepokój minął.

- Jaksiędzisiajczujesz... bogini? - z przyjaznej ciemności dobiegł niski, dudniący bas. Spróbowała otworzyć oczy. Czuła, jak powieki drgnęły i powoli, niechętnie wędrują do góry - jak drzwi o zardzewiałych po wiekach lenistwa zawiasach. Ujrzała coś - jakby kolistą plamę, jaśniejszą od mroku dokoła. Nie, nie tyle kolistą, co owalną. Twarz... twarz otoczona złotawą poświatą. Aureolą!

Anioł...

- Odzieńdobry! - ten sam głos, miękki, pieściwy i poufały, jak głos zażyłego przyjaciela. Zdała sobie sprawę, że słyszała go już przedtem i rozpoznaje, choć nie ma pojęcia, do kogo należy. Towarzyszył jej w mrocznej wędrowce przez lodowate pustkowie cierpienia, nie opuszczał w chwilach zwątpienia i nawoływał: walcz, Seleno! Nie miała pojęcia, co by to miało znaczyć ani czego od niej chciał, ^e w jakiś niepojęty sposób ten głos dodawał jej otuchy.

' - Czy ci jeszcze zimno?

Bezsensowna gmatwanina. Poczwała ból w skroniach. Powrócił żywy ogień, który palił gardło. t - ...wieszkimjesteś?

i. Wyczuwała w głosie oczekiwanie, nadzieję, potrzebę i bardzo j ^ciała ją zaspokoić, ale nic nie rozumiała, więc jak mogła spełnić

jego żądania? Przytłoczyło ją poczucie bezsilności i rozdrażnienia. Wiedziała, że głos przemawia do niej i że powinna być w stanie mu odpowiedzieć, ale nie pamiętała odpowiednich słów, a nawet gdyby sobie przypomniała, nie wiedziała, jak sformułować głoski ani co odpowiedzieć. Na znak irytacji wydusiła z siebie odgłos podobny do niskiego pomruku, ale nawet ten prymitywny sposób ekspresji zawiódł, gdyż palone żywym ogniem gardło odmówiło współpracy i dźwięk zamarł jej w krtani.

- Czynałabyś się... może... wody?

Wody? Zdumiała się, usłyszawszy to słowo, bo było dla niej zrozumiałe! O, tak, wody! Woda zgaasi nieznosny ogień w krtani... jak ma mu o tym powiedzieć?

Anioł pochylił się niżej i wyciągnął to coś, co tkwiło w jej gardle. Ból eksplodował z niewiarygodną siłą... zadrzała i jęknęła słabo. Potem nagle przeszkoda w krtani zniknęła, a ból zelżał.

- Gotowepij - poczuła na szyi ciepły i mocny dotyk. Napierał na jej głowę, która zaczęła się podnosić. Ruch był stopniowy i powolny, ale i tak rozbijał w skroniach olbrzymi młot, który miażdżył jej czaszkę. Ze spierzchniętych ust wydarło się żałosne miauknięcie. Mało brakowało, a osunęłaby się z powrotem w mrok.

- Ciii... zarazbędziedobrze...

Anielskie oblicze falowało tuż przed oczami, wciąż niewyraźne, jak obraz o zamazanych konturach. Na wargach poczuła coś rozkosznego, chłodnego i pojęła, że to ściekają na nie krople wody. Czuła jej woń i rozpoznawała ją. W ustach zebrała się ślina, a w głowie zakręciło jej się od rozpaczliwego pragnienia. Niestety, nie pamiętała, jak się to robi. Pod powiekami zaczął tętnić rosnący pęcherz bólu i źrenice zasnuły

się piekącą wilgocią.

- Niepłacz... wszystko jest dobrze... otak -między spragnione wargi wsunęła się chłodna i gładka twardość - rozpoznała szkło! Anioł miał łagodne i wprawne dotknięcie, które przyniosło natychmiastowe ukojenie. Dziwaczna wilgoć w oczach wyschła błyskawicznie, a z przechylnego naczynia popłynęła wprost do gardła struga chłodnej, czystej wody.

Zakrztusiła się, zakaszła, a potem mimowolnie, jakby niechcący... Przełknęła. Tak się to właśnie nazywało - przełykanie. Tego po niej oczekiwał. Piła łączywie, czuła ciepłą wilgoć spływającą do spieczonego gardła. Wreszcie, wyczerpana, osunęła się na miękkość za plecami i przymknęła powieki. Owinęła się wokół niej znajoma pomroka i przez chwilę poczuła lęk - obawę, że już nie wynurzy się z ciemności, że nie zdoła się obudzić i nigdy nie ujrzy oblicza anioła ani nie usłyszy łagodnego głosu. Serce zabiło szybciej.

Znowu do niej przemawiał. Niski, przyjemny głos otulał ją jak opończą chroniącą przed chłodem. Natychmiast ogarnął ją spokój i ufnie otworzyła oczy. Poszło jej łatwo, co więcej, tym razem ujrzała go wyraźnie, gdyż wzrok odzyskał ostrość. Był tak przystojny, że przez mgnienie oka zaparło jej dech w piersiach. Miał czuprynę złotą jak moneta z czystego kruszcu, mieniącą się w blasku słońca, a jego oczy przypominały barwę... co? But? Liść? Nie wiedziała, znowu nie potrafiła przywołać słowa dla opisanie koloru tych tęczywek, ale to było bez znaczenia, skoro miała przed sobą anioła, który zstąpił z niebios. A może patrzyła w oblicze samego Boga? Tak, pomyślała sennie. Dostała ocalenia z ręki samego Boga. Z tą błogą myślą bez lęku osunęła się w znajomy mrok.

y^tworzyła oczy!

Jeszcze teraz, po upływie wielu godzin, Ian nie przestawał po raz nie wiadomo który przeżywać tej cudownej chwili, krótkiej jak jedno uderzenie serca. W jego myślach urosła do wydarzenia monumentalnej wagi. Pacjentka nie wypowiedziała ani słowa, ale to nic nie znaczyło. Absolutnie nic.

Otworzyła oczy! To był prawdziwy cud.

Szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, zbiegł zarośniętą ścieżką wyłożoną granitowymi płytami i zanurzył się w nieprzeniknionej ciemności. Nad głową połyskiwał księżyc jak wspaniała, opalizująca kula, skąpana w nieziemskiej poświacie. Wokół panowała niezmacona cisza, przerywana tylko stukotem jego obcasów na wytartych płytach. Morze dawało o sobie znać odległym pomrukiem fal uderzających o skały. Wcisnął ręce w kieszenie i zaśmiał się na cały głos. Chryste, Jakie to wspaniałe uczucie!

Ponownie obracał w pamięci obraz Seleny, budzącej się ze śmiertelnego snu. Wreszcie ujrzał mroczny, tajemniczy brąz jej oczu! Samo wspomnienie wystarczyło, by przeszył go gorący dreszcz

uniesienia, jakby krew w żyłach strzeliła fontanną iskier. Uświadomił sobie, że do tamtej chwili nie wierzył w jej przebudzenie. Oczekiwał że będzie leżała pogrążona w śpiączce na wąskim łóżku i zniknęła stopniowo jak cień.

Przez całe lata przedstawiał sobie Wszechmocnego jako okrutnego żartownisia, który zasiada na złocistym tronie i igra z losem nieszczęśliwych zamieszkujących Ziemię, przedstawiając ich jak pionki na boskiej szachownicy losu. Tę wizję potrafił zrozumieć, bo doskonale tłumaczyła wszystko, co mu się przydarzyło. Odpłacał Stwórcy zapiekłą nienawiścią, a był tak pewien swych racji, że mógł pędzić żywot w mroku odosobnienia, pielęgnując urazę, skrywając klątwę przed samym sobą i obojętnym światem.

Ta wizja przeminęła bezpowrotnie. Bóg nareszcie odpowiedział na jego modlitwy.

Skręcił na szlak prowadzący do niewielkiego ogródka matki, jej oczka w głowie, który pielęgnowała gorliwie i z zapamiętaniem. Otworzył furtkę i wszedł w czworokąt ozdobnego płotu z kutego żelaza, tworzącego w mroku nocy oazę subtelnej elegancji. Każdy kwiat, wyhodowany ręką matki, był nieskazitelnie biały. Dobierała gatunki celowo, by płatki odbijały księżycową poświatę. W środku ogrodu wznosiła się obszerna altanka zwieńczona łukowatym sklepieniem, poszarzała od starości. Wokół drewnianych słupków wiły się grube, brązowe pnącza wisterii, a pod ich płaszczem stała samotnie granitowa ławeczka. Nogi rzeźbione w lwie łapy wbiły pazury w srebrzysty dywan narcyzów.

Starannie zamknął za sobą furtkę i podszedł do ławeczki. Poczul chłód i twardość granitu; przymknął oczy. Uniósł głowę tak, by snop księżycowych promieni obmywał twarz magicznym blaskiem. Zazwyczaj podczas pełni trzymał się z dala od dziedzińca, bo światło srebrzystego dysku wzmagало jego paranormalne moce.

Czasami w szczególnie księżycowe noce potrafił czytać w ludzkich myślach nie dotykając nikogo, nawet nie zbliżając się - wystarczyło mu przywołać przed oczy obraz czyjejś twarzy... Dzisiaj nie dbał o to, czy przypadkiem pozna czyjeś tajemnice, bo przepełniała go zbyt wielka radość i nadzieja, by się bał czegokolwiek, nawet ciążyącej na nim klątwy.

Mogę ją uzdrowić... ocalić. Mogę jej dotykać!

Umysł przepełniały oszałamiające perspektywy, obrazy szczęśliwej przyszłości przyzywały, uwodziły, prowokowały. Oto spełniło się marzenie, którego nawet nie śmiał ubrać w słowa! Całkowite uzdrowienie będzie jego największym triumfem zawodowym. Świat medycyny stanie na baczność! Kiedy skończy kurację, kobieta w pełni odzyska zdrowie. Lekarze będą się zjeżdżali z najdalszych krańców kontynentu, by ujrzyć jego dzieło, dotknąć jej, zbadać zdumiewający przypadek graniczący z cudem. A ujrzawszy, dadzą wszem i wobec świadectwo, że uleczył ją Ian Carrick - niezaprzeczalnie najznakomitszy medyk na świecie.

Przymknął oczy, by ujrzyć obrazy swej przyszłej chwały w całej krasie barw. Wielka aula uniwersytetu Harvarda wypełniła się po brzegi rozentuzjasmowanymi kolegami po fachu. Usłyszał grzmot ich oklasków, gdy wychyleni naprzód patrzyli zachłannie, jak prowadzi Selenę - swoją pacjentkę - na scenę. A ona, cud stworzony jego rękami, uśmiecha się, rozgląda, rozmawia swobodnie - po tak rozległych urazach mózgu! Z pewnością doczekają się owacji na stojąco.

Już niedługo. „Zbudź się jutro, a zaczniemy wielkie dzieło”.

Ach, nie mógł się doczekać chwili, gdy ponownie otworzy oczy. Chętnie oddałby duszę, by ujrzyć, jak Selena uśmiecha się, przytomna i pełna życia. Usłyszeć jej głos, poznać jej myśli...

Podniósł wzrok w niebo i zaśmiał się z całego serca, przepełnionego radością. „Czy tego właśnie żądasz? Mojej duszy?”

- Jasne! - odezwał się półgłosem. - Możesz ją sobie wziąć... bezużyteczny, niepotrzebny atrybut!

Na co mu była dusza, skoro świat znowu stał przed nim otworem, mieniąc się wszystkimi barwami, oferując przebaczenie i akceptację?

Znowu był jego na każde skinienie!

#### 4

Wyczuła, jak dryfuje w stronę światła, które przyzywało, wabiło, zachęcało... Bardzo powoli otwierała oczy. Blask wdarł się pod powieki przenikliwym bólem. Zamrużyła kilka razy, by lepiej dojrzeć otoczenie, ale zamazane kształty nadal tonęły w jednostajnej szarości. Mimo wszelkich starań, obraz pozostał irytująco niewyraźny i zamglony. Nie dostrzegła nic znajomego.

- Omójboże... wezwijcie doktora!

Wokół niej stali jacyś ludzie, przytłaczając ją taką kakofonią odgłosów, że wystraszona wtuliła się całym ciałem w znajomą miękkość posłania, obiema dłońmi kurczowo ściskając koronkowy obrębek kołdry. Zamazane kontury nieznanymi postaciami przysunęły się bliżej. Słyszała stłumiony szmer licznych oddechów, szurnięcia stóp na podłodze, głuchy stuk kolana zderzającego się z ramą łóżka. Patrzyli na nią. Wydawali z siebie niezrozumiałe dźwięki, ich usta otwierały się i zamykały, palce zachłannie wyciągały się w jej stronę. Spowiła ją sieć niezrozumiałych hałasów. Przymknęła powieki, próbując odnaleźć pokrzepiającą ciemność, ale tym razem mrok usunął się daleko, w najgłębsze zakamarki świadomości, a światło pieściło jej skórę przyjemnymi doznaniem. Zdecydowała się pozostać w dziwnym, kłopotliwym świecie.

- Obudziła się?

- Przyszedł jest tutaj! - niezrozumiałe odgłosy wybuchły gejerem podniecenia i wzmożonego szurania. Skurczyła się na posianiu, przestraszona i obolała. Ból był wszędzie, palił wysuszone gardło,

dźwiał skronie potężnym młotem. Zacisnęła powieki w niewypowiedzianej modlitwie, by otaczająca ją ciżba ucichła, by odeszła i zostawiła ją w spokoju, by...

- Ojakiemaszseleno! Witaj powrotem!

Na dźwięk tego głosu wzburzone zmysły obmyła fala spokoju. Naprężone ciało zwiotczało, palce rozluźniły się i wypuściły skraj pościeli, dygocząc po długim wysiłku. Bóg... czy może anioł, który ją ocalił. Powoli otwierała oczy i odkryła, że tym razem widzi niemal ostro. Ujrzała wianuszek zatroskanych twarzy,

lecz ludzie nie tłoczyli się już nad jej posłaniem. Nie czując ich bliskości, mogła swobodnie oddychać. To obcy, pomyślała. Nieznajomi...

Bóg stał wśród nich i na nim skupiała się cała uwaga. Nadludzko przystojną twarz opromieniał przyjazny uśmiech otuchy. Płynnym ruchem zgiął się i usiadł przy niej. Poczwała, jak ugina się materac, usłyszała, że deski łóżka zaskrzypiały pod jego ciężarem.

- Nielichonaswystraszyłaś...

Nie rozumiała znaczenia dźwięków, ale ton głosu był znajomy, łagodny i pełen troski, aż przebiegł ją dreszcz zadowolenia. Poczwała przyływ serdecznych uczuć do złotowłosego mężczyzny, do owego boga, który swoim głosem wyprowadził ją z mroku i którego dotknięcie przynosiło taką ulgę. Do oczu znowu napłynęła gorąca, piekąca wilgoć.

- Nieplaczseleno. Nieplacz. - Opuszkciem palca starł wilgoć z jej powiek. Podziwiała melodię słów, nadal ich nie pojmując. Zapragnęła unieść się ku niemu i przycisnąć dłonie do muskularnego torsu, poczuć ciepło jego ciała i rytmiczne bicie serca. Za jego plecami obcy przysunęli się bliżej. Odwrócił się i rzucił z rozdrażnieniem:

- Uspokójkcie się!

Wystarczyła krótka chwila, gdy nie był zwrócony do niej, by ogarnął ją chłód, a mroczny cień samotności przygasił poprzednią radość. Krew w żyłach zatętniła dojmującym lękiem, którego źródło „zybko odkryła.

Nie opuszczaj mnie! Ujrzała, jak błagalne słowa formują się w jej „myśle, tym razem wyraźne i zrozumiałe. Rozpaczliwie próbowała Je wypowiedzieć, poprosić go, by wsunął się pod jej kołdrę i nigdy Jiz nie zostawiał jej samej, ale gdzieś na szlaku wędrówki z mózgu „owa uległy zniekształceniu i wybiegły na wargi jedynie chrapliwym

jęknięciem. Usłyszał ten odgłos i odwrócił się ku niej, uśmiechając się jeszcze piękniej niż poprzednio.

- Wszystkodobrze. Niemusisznicmówić.

Mówić? Ten dźwięk - „mówić” - uderzył ją czymś znajomym. Aha, to słowo... - własne odkrycie wielce ją zdumiało. Usiłowała dopasować nowo zdobyty skrawek wiedzy do pozostałych, ale poniosła sromotną klęskę. Uczepiła się kurczowo jedyne, co zrozumiała: słowo musiało mieć jakieś znaczenie! Zmarszczyła czoło. To bardzo ważne, by sobie przypomniwała... niestety, wysiłki spetzły na niczym.

Odgarnął z jej oczu splątane kosmyki włosów i dobre samopoczucie powróciło. Nie chciała więcej zastanawiać się nad słowami, które powinny coś znaczyć, a były tylko pustymi dźwiękami. Przymknęła oczy, by tym lepiej rozkoszować się jego dotykiem. Dopiero gdy odsunął dłoń, zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Jej włosy były zmierzwione i skołtunione! Nagle zastanowiło ją, jak też może wyglądać. Czy była godna uwagi boga, który ją odwiedzał? Czy sama wyglądała jak upadły anioł - obramowana fałdami prześcieradeł delikatnego koloru kości słoniowej, z ramionami osłoniętymi bujną falą loków? Nie potrafiła przywołać przed oczy obrazu samej siebie, nie pamiętała, jak wygląda - ani koloru oczu, ani barwy włosów, niczego... ale zdecydowała, że nie ma to najmniejszego znaczenia. Odbijała się w błękiecie spojrzenia boga, a ono mówiło jej wyraźnie, że patrzenie na nią sprawia mu przyjemność.

- Dokonałpantegodoktorzecarrick. Ocaliłjapan...

Ocalił - kolejne słowo, które niemal pojmowała, chociaż dokładne znaczenie umykało przed nią, drażniąc świadomość sznurem dziwnych, w niczym ze sobą nie powiązanych obrazów: budynek banku, szklany słoń z ciasteczkami, krzyż z rozciągniętym na nim półnagim mężczyzną... ocalić. Ocalenie.

Zrozumienie przyszło jak brzask - powoli, niedostrzegalnie, wkra-dając się w umysł niczym trzepotliwe ciepło. Ten bóg ocalił jej istnienie. Utrzymał ją przy życiu. Ale... jak tego dokonał? I dlaczego to było konieczne? Poza wszystkim zaś, jak ją odnalazł? Chciała zadać pytanie, ale gardło zapłonęło nieznośnym ogniem, a ból popłynął falą aż do żołądka.

- Chwileczkę... - Usunął z jej ust długi, cienki przedmiot, a ona

odetchnęła przeciągle, czując ogromną ulgę. Ból zelzał, ustąpił niemal. Zmusiła się, by powtórzyć próbę:

- Gdzie... - Zmarszczyła czoło, tracąc trop tego, co chciała powiedzieć. „Gdzie” - co znaczyło to słowo? Wybiegło na jej usta tak naturalnie, jakby je w przeszłości pojmowała i używała bez świadomego wysiłku. Niedysiejsza łatwość opuściła ją, odpłynęła jak senna wizja, którą darmo usiłujemy przywołać po przebudzeniu. Pozostało jedynie mgliste, dręczące wspomnienie.

- Maine. - Bóg odpowiedział na pytanie, które jej uciekło, słowem wypranym dla niej ze znaczenia. Znowu aksamitna fala głębokiego głosu przebiegła ją kojącą pieszczotą, ponownie ustąpił nawet ów dokuczliwy ból w gardle. - Jesteś w rezydencji Lethe, czyli Domu Zapomnienia na wybrzeżu Maine. Ja się tobą opiekuję.

Tylko niektóre słowa zlewały się z sobą, ale wciąż nie miała pojęcia, co znaczą. Natomiast wyraźnie pojmowała, że bóg czeka na jej reakcję. Przez umysł przebiegła lawina obrazów. Z każdą nową myślą, z każdą wizją, dla której nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa, rosło jej zmieszanie i zwątpienie. Mięśnie szyi i barków stężyły w dokuczliwym napięciu. Pragnęła, by bóg został u jej boku, przemawiając kojącym głosem i odgarniając włosy z jej twarzy. Bez niego osunie się ponownie w mrok; czuła to, wiedziała z całą pewnością, że to on jest światłem, dzięki któremu zdoła powrócić, i że nie zniesie jeszcze jednego zapadnięcia się w nicość!

Słowa, niezrozumiałe i niewyraźne, drażniły jej uszy. Próbowwała skupić uwagę na jednym. Usiłowała znaleźć sposób na porozumienie się, ale każda myśl grzęzła w beładnej płataninie wizji wypełniających umysł. Przelknęła ślinę i przymrużywszy powieki podniosła wzrok na boga, chcąc choćby spojrzeniem przykuć go do siebie.

Bóg nie odwrócił oczu. Błękitne tęczęwki patrzyły na nią bez „tfugnięcia, jakby trzymał ją w aksamitnych, krzepiących objęciach. ‘romienny uśmiech ogrzewał ją jak słoneczny blask. Odezwał się Zgodnie:

- Nazywam się Ian. A ty?

Z pełnym skupieniem śledziła ruch jego warg i zdawało jej się, że odróżnia trzy oddzielne słowa. Zebrała się w sobie, by je powtórzyć.

- Nazywam... się... Ian.

*Przez twarz boga przebiegł nieznaczny skurcz, promienny uśmiech nieco osłabi.*

- Powiedz: Ian

Zrobiła coś nie tak. Rozczarowała go! Wpatrywała się w niego i wargi jej drżały od wysiłku, by wyłowić odpowiedź z tych przepastnych oczu. Nic nie przychodziło jej do głowy. Tak bardzo się starała, by go zadowolić... ale spowijał ją jakby kokon, lepki i gęsty niczym chmura. Nie mogła przebić się przez nieskończone warstwy zamazanej szarości.

„Powiedz”. Co oznaczało to słowo: „powiedz”? Zmarszczyła brwi w wysiłku koncentracji, wbijając wzrok w błękitne oczy, jakby kryły w sobie wyjaśnienie zagadki. Nagle ją olśniło - wiedziała, zupełnie po prostu, zwyczajnie! Powiedz - znaczyło, że ma mówić. Ma powiedzieć słowo, powtórzyć ten dźwięk - „Ian”. Chciał, żeby powtórzyła! Otworzyła usta... i okazało się, że zapomniała, co ma powiedzieć. Wydała z siebie żalony jęk bezsilności. Bóg popatrzył na nią przeciągle.

- Wszystko jest dobrze - odezwał się w końcu. - Kim jesteś? „Kim jesteś?” - gwałtownie usiłowała rozszyfrować tajemniczy język, odnaleźć ukryte znaczenie słów. „Kim jesteś?” Bóg westchnął niemal niedosłyszalnie.

- Dobrze już... dobrze... na dzisiaj starczy. Nazwaliśmę cię Selena - na razie musi tak zostać - odwrócił się bokiem i czuła, jak materac unosi się nieco, gdy bóg usuwa się z łóżka. Opuszczał ją!

- Nie! - sięgnęła po jego ramię i wczepiła się w nie kurczowo. „Nie opuszczaj mnie” - błagalne słowa wybuchły w głowie potokiem zrozumiałych głosek. Walczyła z własną niemocą, by wytłumaczyć mu, co czuje i czego pragnie. Musi wyjaśnić koszmar mrocznej nicości, która przysiadła w kącie pokoju, czekając... czekając... Oczy piekły pod ukąszeniami wilgotnych, gorących żądań, które zbierały się w krople i ściekały po jej policzkach. Całe ciało wstrząsał bezsilny dreszcz - nie mogła znaleźć słów! Pomiędzy mózgiem i ustami jej prośba ginęła, zamieniała się w bełkot. Nie spuszczała z niego wzroku, czując wstyd zmieszany z lękiem. „Błagam...” - to jedno słowo tłuło jej się po głowie, lecz nie dawało się uchwycić, przekuć w głoski.

- Chcesz, żebym został?

Został - zostać. To słowo było darem od Boga, nieskończenie doskonałym. Właśnie tym, czego potrzebowała. Pojęła je!

- Tartak - wyrzuciła gorączkowo, pospiesznie i ujrawszy grymas na jego twarzy, domyśliła się, że znowu zrobiła coś źle. Z ust wymknęło jej się niewłaściwe słowo, którego on nie zrozumiał. Ponownie odwrócił się, by odejść. Zaciśnęła mocniej palce, czując pod miękką tkaniną rękawa twardość mięśni. Spróbowała



jeszcze raz: - Balkon. - Nie, to nie tak. Znowu się pomyliła.

Uśmiech na jego twarzy nieco posmutniał.

- Wydobrzejesz - mruknął i odgarnął zmierzwione kosmyki z jej czoła. Delikatnie startł wilgoć z jej policzków. - Nie płacz!

Płacz - to o wilgoci płynącej z oczu. Nagle przypomniała sobie, że krople ściekające spod powiek nazywają się łzami. Ach, więc zapłakała.

- Jeszcze wszystkobędziedobrze... aleteraz potrzebujesz snu -

usłyszała bezdenny smutek w jego westchnieniu, ujrzała go w ruchu ręki. Posłała mu uśmiech, chociaż kosztował ją wiele bólu. Chciała wyrazić uczucia, które nosiła w sercu, upewnić złotowłosego boga, że już wszystko jest dobrze, że jego obecność jej wystarcza, że on jest tym, czego jej potrzeba. Nie pamiętała! Nie umiała znaleźć słów, które uwolniłyby jej uczucia, nie umiała opisać swojego stanu - ale wiedziała. Ta wiedza istniała w jakimś pierwotnym zakamarku duszy:

kochała swojego boga. Położyła dłoń na jego dłoni i czując płynące z niej pokrzepiające ciepło, wyszeptła:

- Nazywam się... Ian.

Jasne, że wszystko jest dobrze. Przecież jest przy niej bóg.

Wciąż uśmiechnięta, zapadła w sen.

Ian patrzył na śpiącą. Jej twarz wygładziła się, napięcie odeszło. Nie sądził, by ponownie zapadła w śpiączkę. Spała po prostu

zdrowym snem. Odezwała się do niego i dotknęła go! Jeszcze czuł ciepły dotyk

^oni na swym ramieniu. Na opuszkach palców pozostała wilgoć jej łez. Była oszołomiona, traciła wątek myśli, niewątpliwie cierpiała na ataki afazji - można było tego oczekiwać, nie było w tym nic Anormalnego po takich obrażeniach. Przeczytał tuziny mądrych

ksiąg i w żadnej nie znalazł odpowiedzi, w jaki sposób uszkodzenie mózgu mogło wpłynąć na zachowanie ozdrowieńca. Każdy przypadek był inny, ale we wszystkich występował jakiś stopień afazji. To oczywiste, że Seleno ma trudności w odnajdywaniu właściwych słów, że nie radzi sobie z mówieniem i nie pamięta składni ani morfologii języka angielskiego. To normalne...

Westchnął i nagle poczuł się niezmiernie stary.

Zdążył zapomnieć, jak to jest być lekarzem. W ciągu sześciu długich lat wyidealizował sobie tę wizję: wspomnienie doskonałych, pełnych uniesienia dni spędzonych na leczeniu chorych. Pamiętał wyłącznie sukcesy, uzdrowienia, przyjęcia - same wesole barwy. Udało mu się pogrzebać w niepamięci poczucie niepewności, lęk przed niepowodzeniem, nieustanną obawę, że pacjent może umrzeć albo wyjść z kuracji z nieodwracalnie uszkodzonym mózgiem.

Jezusie słodki, jak mógł o tym zapomnieć? Jak mógł zapomnieć niekończące się noce spędzone bezsennie w pokoju chorego, wypełnione nadśłuchiowaniem powolnego oddechu i modlitwą, by nie okazał się ostatnim?

Jak wtedy udawało mu się przetrwać mękę oczekiwania?

Przypomniał sobie bez trudu. Pewność siebie, ufność we własne siły. To były narzędzia, za pomocą których manipulował swoim światem, przeżywał dzień po dniu, odsuwał od siebie klęski i rozkoszował się zwycięstwami. Był zadufany w sobie aż do arogancji. Wierzył w siebie - w biegłość rąk, w moc uzdrawiania.

Jakże teraz potrzebna mu była owa pewność siebie!

Afazja jest objawem najzupełniej normalnym. Rekonwalescencja przebiega pomyślnie.

Obracał te słowa w głowie jak zaklętą formułkę, aż udało mu się w nie uwierzyć.

Za wcześniej jeszcze stawiać niepomyślną diagnozę. Musi ponawiać starania i nie przestawać wierzyć w siebie i w nią. Razem pokonają potwora, o którym lekarski świat sądził, że jest niepokonany. Razem zatriumfują - doktor Carrick i jego najtrudniejsza pacjentka zmieniają na zawsze oblicze medycyny.

- Razem, Seleno - ujął jej dłoń. - Razem przejdziemy tę drogę. Wyzdrowiejesz!

przymknął oczy i jeszcze raz wyobraził sobie aulę uniwersytecką garvarda i swój olśniewający powrót do

profesji.

Wszystko będzie przebiegało tak, jak zaplanował - bo on tego oczekuje, żąda, domaga się. Selena ocknie się i... oczywiście, jej umysł został uszkodzony, nawet bardzo, ale to nie jest stan nieodwracalny. On będzie z nią pracował, będzie nad nią czuwał, stawiał wciąż nowe zadania. Jeśli potrzeba, poświęci życie, ale ją uzdrowi. Zrobi wszystko,

by tego dokonać.

Jeśli będzie musiał, stworzy ją od nowa. Wstał i pochylił się nad śpiącą. - Wróć, Seleno. Ale teraz muszę iść. Obiecałem lachmytom, że

zdam im raport.

W szycy czekali w salonie.

Stał przed drzwiami i ościagał się przed ich otwarciem, niechętnie myśląc o tym, że musi do nich iść. W ciągu sześciu lat spędzonych w Lethe starał się trzymać od nich tak daleko, jak to było możliwe. Ostatecznie byli tu tylko dlatego, by ukoić jego poczucie winy. Chciał, by Maeve nie czuła się tak strasznie samotna i z pełnym wyrachowaniem błędnie interpretował jej prośby o towarzystwo. Oczywiście jej chodziło o to, by to Ian był u jej boku, ale on inaczej zaspokoił jej potrzebę:

sprowadził do Lethe obłąkańców, zamienił rezydencję w szpital dla umysłowo chorych, takich jak jego matka, i udawał, że to załatwia sprawę. Dał jej rodzinę, zamiast być jej rodziną. Owa gromadka nieudaczników, których zdrowe społeczeństwo usunęło z zasięgu wzroku, by oczyścić zbiorowe sumienie, nie potrzebowała lekarza. Czasami musiał przepisać lekarstwo na bóle głowy albo instruować Edith przy opatrunku czy szyciu rany - nic trudniejszego, nic bardziej odpowiedzialnego. Był ich strażnikiem i niczym więcej - rodzinom biedaków zupełnie to wystarczało. Dom Zapomnienia dostarczał ich „ewnym azylu i służył tym, czego domagało się społeczeństwo -P°zorami. Udawanie zaś przychodziło wszystkim, nie wyłączając Iana, z wielką łatwością. Zamknijmy ich na uboczu i udawajmy, że nie *aeJ*^, a wszystko wróci do upragnionego stanu równowagi.

Otworzył drzwi do salonu - i błyskawicznie tego pożałował. Ilekroć tu wchodził, osaczały go wspomnienia po zmarłym ojcu, podstępnie kryjąc się tuż pod powierzchnią świadomości, lecz nie mniej dokuczliwe. Jakby w mrocznym wnętrzu wciąż unosiła się woń ojcowskiego cygara. Jako młody chłopak często tu zachodził i kulił się w kłębek na aksamitnym pokryciu sofy, czekając w zacisznej ciemności na jego powrót.

Dzisiaj przy kolacji znowu mnie nie poznała... czemu tak jest, papo? Czemu ona tak się zachowuje?

Ani mroczne wnętrza salonu, ani ojciec nie potrafili udzielić mu zadowalających wyjaśnień. I oto znowu stanął na progu w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania, których nie umiał nawet sformułować. Znowu zdany na czekanie...

Salon był rozmyślnie urządony tak, by robić wrażenie majestatu i powagi. We wnętrzu w barwach burgundzkiej czerwieni i czerni królował olbrzymi kominek wyrzeźbiony z mahoniu. Na błyszczącym gzymsie stały trzy srebrne lichterze, a w każdym osadzono świecę z krwistoczerwonego wosku. Ich płomienie rzucały migotliwy blask na powierzchnię siedemnastowiecznego lustra wiszącego na ścianie nad kominkiem. Obrazy w bogato zdobionych ramach pokrywały każdy cal powierzchni pozostałych ścian, wyłożonych tapetą winnej barwy, a woskowane deski podłogi zaścielały czerwono-czarna dywany o słynnym płaskim splocie rodem z francuskiego miasta Aubusson. Pokój był zarazem mroczny i krwawy - dokładnie tak, jak pragnął jego ojciec. Pokój mężczyzny w męskiej rezydencji, pełnej trofeów myśliwskich i obrazów żołnierzy umierających na polu chwały. Nawet stoliczki na ozdobne drobiazgi były masywne, a znajdowały się na nich nie wazony pełne kwiatów, lecz popielniczki. Żadna kobieta nie przyłożyła ręki do urządzania tego wnętrza - i było to wyraźnie widoczne w każdym szczególe.

- Jak ona się czuje, panie doktorze? Ian milcząc podszedł do kredensu i nalał sobie maderę do kielicha. W odpowiedzi wyręczył go Johann:

- Cóż, mój chłopcze, zaryzykuję stwierdzenie, że czuje się kiepsko. Chyba że przyjmujemy, iż rzeczywiście chciała odpowiedzieć słowem „tartak”. Oczywiście istnieje też prawdopodobieństwo, że biedaczka naprawdę ma na imię Ian - cóż to byłoby za zbieg okoliczności! -jak

zwykle nieznośnie przeciągał głoski, Ian nie spuszczał wzroku z czerwono-wonawo-złoty iskierek na powierzchni szlachetnego trunku.

- Przymknij się, Johann! - rzucił niedbale. Ten odpowiedział z przesadnym westchnieniem:

- Ach, doktorze... pana słowa znowu dodają mi takiej otuchy! Aż się nie mogę doczekać, jaką podporą mi pan będzie, gdy przyjdzie mi wreszcie umierać na mój wiemy syfilis!

Ian niechętnie podniósł głowę i spojrzał na odbicie Johanna w srebrzystej, lekko pofałdowanej tafli starego zwierciadła.

- Od lat już tak „umierasz”... mam wrażenie, że dramatyzowanie tego procesu sprawia ci wielką przyjemność.

W skrytych oczach Johanna pojawił się cień prawdziwego uczucia -gniewu lub bólu. Trwało to jednak tylko chwilę.

- Obiecałem komuś, że póki się da, będę dychał, nawet jeśli naprawdę chcę pożegnać się z życiem - urwał na chwilę, wziął głęboki oddech i zmusił wargi do uśmiechu, choć oczy pozostały nieruchome. - Tego naturalnie wszechpotężny doktor Carrick nie umiałby pojąć nawet częściowo.

- Doktorze? - przerwał mu Andrew proszącym tonem i Ian zdał sobie sprawę, że musi mu odpowiedzieć, inaczej chłopak nie przestanie pytać i zadręczy go. Jedyne inne wyjście to odwrócić się i uciec, a na to czuł się zbyt zmęczony.

Powoli zwrócił się twarzą do zebranych, którzy stłoczyli się we wschodnim kącie salonu. Andrew czekał na odpowiedź, stojąc niemal na baczność, przycisnąwszy ramiona do boków. Johann opierał się o ścianę, niedbale ocierając się barkami o malowidło przedstawiające chaos bitewny. Dotty kryła się za aksamitnymi zasłonami oddzielającymi salon od bawialni; najwidoczniej schowek na szczotki był dzisiaj pełen sprzętów i nie dawał schronienia. Królowa Wiktoña zasiadała w majestacie władzy na eleganckiej brokatowej kanapie, rozłożywszy fałdy wytartej spódnicy, jakby to był gronostajowy tren. Lara wcisnęła się w mroczny kącik u boku Maeve.

Ian westchnął na widok matki, która siedziała w bujanym fotelu, Ciskając wypchaną wiewiórkę i śmiejąc się cichutko do siebie - lub „o niej - i nieprzerwanie obracając w palcach strzępek ślubnego ^lonu. Wysączył ostatnie krople madery i odstawił kieliszek na gzyms. W rzeczy samej nie wiem, jak ona się czuje.

- Naturalnie wie pan. Jest pan przecież lekarzem - odparował Johann.

Ian zignorował zaczepkę.

- Dopiero co obudziła się ze śpiączki - po dwudziestu jeden dniach! Każdy na jej miejscu byłby... zdezołentowany. Ale jej zachowanie zdradzało, że pojmuję, co się dzieje wokół niej, a to uważam za pomyślny znak.

- Bardzo pomyślny - skomentował Andrew uroczyście.

- Och, na litość boską, czemu się na niego nie rzucisz i nie skończysz z tym wreszcie? - wybuchnął Johann, popychając młodzieńca ku łanowi. Ten syknął ostrzegawczo:

- Dość! Jezu, czemu ja się w ogóle z wami cackam? - Chwytał pusty kieliszek i niemal susami podążył do drzwi. Biegł za nim sarkastyczny głos Johanna:

- Łatwo to wyjaśnić, doktorze! Jest pan jednym z nas... i najwyraźniej pana droga Selena też do nas należy!

## 5

Znowu wszyscy byli w jej pokoju - bóg i grono tych obcych. Chciwe oczy zawisły na niej z napięciem. Czowała, jak opływa ją fala ich oczekiwania, jak uciska jej pierś nieustępliwym ciężarem. Czegoś od niej chcieli, ale czego? Owszem, rozpaczliwie pragnęła zadowolić boga- ale tak łatwo udato jej się poprzednio go rozczarować... w dodatku była śpiąca, a ból w skroniach paraliżował jej umysł. Bóg podszedł do łóżka i usiadł na swoim krześle. Usłyszała zgrzytanie drewnianych nóg na deskach podłogi, gdy przysunął się bliżej. Opłynął ją głos o gładkości i słodczy miodu:

- Seleno... może spróbujemy przeprowadzić kilka badań? Jęknęła. Mgliście przypomniała sobie o istnieniu gestu znamionującego odmowę, ale pamięć zadrwiła z niej okrutnie, odmawiając dalszego posłuszeństwa. Skupiła całą uwagę. Musi uczynić ten ruch -wiedziała, że trzeba coś zrobić z głową, pokręcić - z boku na bok? A może w górę i w dół? Przekorna pamięć stawiała opór. Spojrzała w Sór?, prosząc samymi oczami o wyrozumiałość.

- Proszę...

Serce jej drgnęło, gdy pochwyciła nutę błagania w jego szepcie i raz rozczarowania w błękitnych oczach. Przejęta wstydem, że tacie odmówić temu, który ją ocalił, dźwignęła się na łokciach. Ten Wysięk opłacała wzmożonym tętnieniem w skroniach i falą mdłości, Tora ścisnęła jej żołądek. Natychmiast wsparło ją mocne ramię ' Przyciągnęło bliżej. Odrzucił kołdrę i delikatnie podparł jej plecy ^ że usiadła na krawędzi łóżka. Bose stopy kołysały się bezwolnie,

nie sięgając podłogi. Przesiadł się koło niej na posłanie. Westchnęła z ulgą i przytuliła się do niego, wyczuwając policzkiem twardy muskuł ramienia.

- Poradzisz sobie dalej?

Wpatrzona w jego wargi, próbowała rozwikłać znaczenie słów, ale trudno jej było się skoncentrować, gdy skronie płonęły bólem. Znowu się odezwał, ale mówił za szybko... zawsze za szybko! Pytania, wiecznie te pytania i wyczekujące spojrzenie. Czekał - na co?

Uczucie bezsilności wzmożyło bolesne dudnienie w czaszce. Rozchyliła usta, ale wydarł się z nich jedynie gardłowy jęk, a potem, wreszcie, na świszczącym oddechu wykrztusiła zboląte: „...dalej...”

- Nie spiesz się, Seleno. Spróbuj się skupić.

Nie rozumiała! Ani jednego słowa. Rozdrażnienie przeszło w gniew. Powinna umieć mówić, pojmować jego pytania i odpowiadać na nie... raptem gniew ją opuścił, pozostawiając jedynie ognistą torturę bólu. Pochyliła umęczoną głowę i schowała ją w dłoniach. Niech to się skończy... niech ten ból odejdzie.

Wsunął dłoń pod jej ramię i przyciągnął ją bliżej.

- Nie martw się, Seleno. Wszystko będzie dobrze. Rozluźniła się w bezpiecznych objęciach jego ramion, minęło poczucie dręczącej potrzeby. Jego głos, jak zawsze, rozwiął lęk i cierpienie. Ciepła dłoń zacisnęła chwyt na jej ramieniu i delikatnie pomagała wstać.

- Trzymaj się mnie.

Deski podłogi rozkosznie chłodziły podeszwy stóp. Z jego pomocą przecięła pokój, minęła gromadkę obcych i podeszła do szklanej płaszczyzny wmurowanej w biel ściany. Jednym ruchem palca odsunął koronkowe fałdy i otworzył jej widok na świat.

Jakież to było piękne! Niespodziewana wspaniałość odjęła jej na chwilę dech. Od domu rozciągał się puszysty gazon aż po gęsty szpaler strzelistych, wiecznie zielonych świerków. Wśród kęp bujnej wiosennej trawy mrugały filuternie stulone pąki kwiecica. Na skraju tej wspaniałości rozciągał się ocean, jak nieskończony, migotliwy dywan srebra. Łagodnie fale rozmywały się u stóp kamienistej plaży. Nad wodą krążył samotny ptak, obwieszczając swoją obecność jęklwym krzykiem, to nurkując w dół ze złożonymi skrzydłami, to wznosząc się W lodowatobłękitny przestrzał horyzontu. Wyciągnęła do niego rękę i stuknęła kłykciami w coś niewidzialnego, lecz twardego. Cofnęła się, zalękniona i zmieszana.

- Chcę... - zdołała wykrztusić. Dotknął łagodnie jej przegubu i przyciągnął jej dłoń.

- Spróbujemy czegoś innego, dobrze?

Chciała wyjść tam, na zewnątrz, ujrzeć świat czekający za granicą tego mrocznego, pogrążonego w martwej ciszy pokoju, ale nie wiedziała, jak mu zakomunikować swoje pragnienie. Usta otwierały się i zamykały bezdźwięcznie. Myśli przybiegały posłusznie, ale nie potrafiła przełożyć ich na mowę. Znowu poczuła ból w skroniach. Bóg odprowadził ją do łóżka i podał niewielką tabliczkę. Patrzyła na owalny kształt z drewna, podziurkowany serią otworów. Podał jej kwadratowy klocek.

- Teraz włóż to w kwadratowy otwór! ,

Kwadratowy otwór - żadne z tych słów nie niosło zrozumiałego znaczenia. Nie miała pojęcia, czego od niej oczekuje. Gapiła się na drewno, które trzymała w palcach i próbowała nie myśleć o dokuczliwym łupaniu w skroniach.

- No, śmiało!

Bezsilne rozdrażnienie zalało ją falą nudności, a gdy atak minął, czuła się jedynie pusta i znużona, rzucona na pastwę opuszczenia. Co się dzieje z jej głową?

- Seleno...

Cisnęła klocek przez całą długość pokoju i chwiejnie dźwignęła się na nogi. Zataczając się i potykając, szła w kierunku stłoczonej gromadki obcych. Nie wiedziała, dokąd zmierza, ale dawała upust nagiej potrzebie

ruchu. Ludzie bez słowa rozstąpili się przed nią i zobaczyła za ich plecami mały stolik przykryty koronkowym, białym obrusem. W cynowym spodeczku tkwił masywny czarny cylinder, wieńczony złocistą świetlną plamką, która pulsowała rytmicznie. To łagodne pełganie urzekło ją czarem, zahipnotyzowało regularnym ^cerci. Odwróciła się do boga, by wyrazić swój podziw, ale słowa ^owu zgubiły się gdzieś na szlaku między umysłem a krtanią. On Patrzył na nią w milczeniu spod przymrużonych badawczo powiek. ^ierwszy raz poczuła w jego spojrzeniu chłód i obojętność, jakby Tracił pokładane w niej nadzieje. Żołądek ścisnął się bolesnym żalem i Pospiesznie odwróciła wzrok ku stolikowi. Bóg odezwał się, ale był

to tylko niezrozumiały potok głosek. Mówił zbyt szybko, poza tym nie chciała go słuchać! Chciała jedynie zobaczyć z bliska migotliwy ogień. Sięgnęła ciekawymi palcami...

- Nie!

Ostrzegawczy krzyk dobiegł ją o ułamek sekundy za późno, gdy już włożyła dłoń w płamę cudownego blasku, i poczuła dotkliwy ból w opuszkach palców, który zaparł jej dech. Wyrwała rękę z płomienia i spojrzała na zacerwienioną dłoń, na której szybko zaczęły się tworzyć pęcherze.

- Jezu Chryste!

Bóg rozepchnął obcych i chwyciwszy ją za przegub, pociągnął do komody. Przechylił dzban nad porcelanową miską. Z białego dzióbka popłynął strumień wody, w której zanurzył jej poparzone palce. Ból natychmiast roztopił się w chłodnej wilgoci..

Rzuciła zakłopotane spojrzenie na podstępny cylinder. Już nie wabił płomieniem, a na jego miejscu pojawiła się wąska strużka czerni, płynąca do góry. Ian wskazał ręką:

- Ogień. To jest ogień! Jezu Chryste...

Gdy tylko usłyszała „ogień”, przypomniała sobie. Cylinder to świeca, a ta przepiękna złocistopomarańczowa plamka to płomyk. Spojrzała na Iana, usiłując przekazać mu, że już wie, już pamięta. Gorączkowo poruszała ustami:

- Miotła.

Znowu rozczarowanie zasnuło cieniem błękitne oczy boga. Poczuła przygniatający ciężar wstydu.

- Biedactwo jest kompletną kretynką - dobiegł ją szept z grona obcych. Natychmiast odpowiedział mu drwiąco inny:

- Ty znasz się na tym najlepiej! - Bóg zagłuszył je karcącym krzykiem. Nie zrozumiała ani jednego słowa, ale pojęła ich rozczarowanie. Znowu zrobiła coś nie tak.

- Wracaj do łóżka, Seleno. Jutro spróbujemy znowu. - Bóg spojrzał na nią zachęcająco, a gdy milczała, westchnął i przewrócił oczami.

- Czy ty mnie w ogóle rozumiesz? Wracaj do łóżka, natychmiast! Przełknęła dławiącą grudę, która utkwiała jej w gardle. Owszem,

rozumiała - był nie tylko rozczarowany, lecz również zde gustowany

jej tępotą i nieposłuszeństwem.

Odwrócił się od niej. • - Edith, zajmij się nią.

- Boże... - musiała się dowiedzieć, w czym zblądziła! Niech jej powie, co ma zrobić, by przyjazny uśmiech powrócił na tę cudowną twarz! Spojrzał na nią, lecz w jego oczach wyczytała jedynie ogromne znużenie.

- Jutro. Jutro wszystko będzie dobrze - pocieszył, lecz widziała wyraźnie, że sam nie daje wiary własnym pokrzepiającym słowom. I ona nie dawała im wiary.

Ian przedzierał się przez gęstwę świerkowych gałęzi, łączących się wysoko nad głową jak sklepienie katedry, wyłoczone pierwszymi promieniami brzasku. Przez zielone łuki przeświecały figlarne iskierki słonecznego blasku, tańcząc złocistymi plamkami na brunatnym dywanie zeschniętych igieł. Zawsze o świetle panowała tu kojąca, świątynna cisza. Jedynie morze dyskretnym pomrukiem wdzierało się w milczenie lasu.

Przymknął powieki i oddychał głęboko, czując na policzkach maleńkie żądła wiatru, gdy wynurzył się z zagajnika na brzeg oceanu. Czarna opończa wydeła się za nim jak wełniany żagiel, falując na słonej bryzie. Wysoko nad głową krążyła skrzekliwa mewa.

Usiadł na obłym granitowym głazie i wyciągnął z kieszeni swój dziennik. Przewrócił kilka kartek, aż doszedł do pustej stronicy, nałożył okulary i zaczął nowy zapis:

*Dwudziesty pierwszy kwietnia 1882.*

*Dzisiaj przeprowadziłem serię badań zmysłów wzroku, słuchu i dotyku. Zakończyły się wielokrotnym niepowodzeniem. Pacjentka nie rozpadała przedmiotów codziennego użytku, nie potrafiła ich nazwać ani nie Przejawiała zrozumienia dla ich zastosowań. Nie wiedziała, że szyba jest farda i nie przepuszcza dotyku, a ogień parzy. Niemal do wszystkiego, c0 Ją. otacza, podchodzi Z tą samą dziecięcą nieświadomością.*

*W kwestii uszkodzeń w funkcjonowaniu umysłu...*

Urwał w połowie zdania, niezdolny skończyć. Ujrzał w wyobraźni ^te zniechęcające obrazy: Selena nie potrafi dopasować kwadratowego pionka do właściwego otworu. Selena porusza milcząco wargami, mając' niezrozumiale pod nosem... Selena płacze, rzuca mu błagalne spojrzenie, wkłada rękę w płomień...

Wykonywał niekończące się badania, lecz wszystkie przynosiły druzgocącą klęskę, jednak jego rozpacz pogłębiało uczucie, że choć chora ani jednego zadania nie wykonała prawidłowo, pojmując własną nieporadność i zagubienie. Chciała odnieść sukces równie silnie jak on. Znowu powtarzała się historia Maeve. Pragnął jej uzdrowienia jak gwiazdki z nieba - i wciąż na nowo odchodził z pustymi rękami.

Oczywiście od Maeve dawno już przestał czegokolwiek oczekiwać, ale w przypadku Seleny sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Musiał wierzyć, że ma przed sobą przyszłość. Jeśli tak nie jest, to i on jest skazany! Bez niej - pomyślnie uzdrowionej pacjentki - czeka go nicość i zapomnienie. Zakończy swe życie jako opuszczony mężczyzna w odległej samotni.

Nie! Stanowczo odrzucał samą myśl o niepowodzeniu. Owszem, Selena doznała poważnych obrażeń, a uszkodzenie mózgu było większe, niż początkowo sądził. Mimo to jest przecież w rękach doktora Carricka - wielkiego, niezrównanego doktora Carricka! Lekarza, przed którym kłaniali się z szacunkiem wszyscy mu współcześni chirurdzy. On potrafi ją wyleczyć, a kiedy już odtworzy jej człowieczeństwo, dokończy żmudną układankę połamanych fragmentów mózgu, to zyska szacunek i podziw większy niż kiedykolwiek przedtem. Ona stanie się jego największym triumfem! Zamknął oczy i oddał się marzeniom, rozkoszując się zwodniczym ukojeniem nadziei. Oto koledzy wpatrują się niedowierzającym, kornym wzrokiem, gdy prowadzi ją na scenę. Wstrzymują oddech, gdy pokazuje blizny po ranach na głowie. Wymieniają szeptem pełne zdumienia uwagi, gdy recytuje historię jej przypadku...

Kiedy już wystarczająco nasycił się krzepiącą mocą marzeń. pozwolił im zblaknąć, otworzył oczy i mocniej chwycił ołówek.

*W kwestii uszkodzeń w funkcjonowaniu umysłu za wcześniej jeszcze ferować jakiegokolwiek sądy. Sama niezdolność w formułowaniu zrozumiałych słów nie świadczy o nieodwracalnych zmianach.*

O, tak, pomyślał. Dobrze to ująłem.

Tak niewiele czasu upłynęło. Rekonwalescencja jest dopiero w początkowej fazie. Selena potrzebuje czasu. Należy jej pozwolić zarówno przebywać z ludźmi, jak i spędzać czas w samotności. Trzeba jej dać

szansę - nie naciskać, nie pospieszać. Być może wtenczas jej pamięć powróci, jak zatopiony strzęp tkaniny łagodnie wynurzający się na powierzchnię. Będzie mu oczywiście trudno utrzymać się na dystans, ale zrobi wszystko, by dać jej czas na zaaklimatyzowanie się w nowym, nieznanym środowisku, w którym się przebudziła. Musi się zmagać ze swoją niecierpliwością, by przez jakiś czas nie poddawać jej dalszym testom, nie skazywać na ponowne serie niepowodzeń. Będzie ją tylko pilnie obserwował i zapisywał jej każdy ruch, każdy krok, aż do chwili, którą uzna za stosowną, by wznowić starania. Wtedy -stopniowo, powoli, ostrożnie - zacznie pracować nad uzdrowieniem jej umysłu, tak jak już udało mu się przywrócić zdrowie ciału. To się musi udać!

Frzez wieki całe nie miała wizyty boga i straszliwie za nim tęskniła. Ile razy otwierały się drzwi, spoglądała ku nim w nadziei, że przyszedł, modląc się, by to on stanął w progu... ale mijały dni, a on nie powracał. Od tamtej chwili, gdy dowiodła, jaka jest nieposłuszna i głupia.

Dzisiaj czuła się lepiej niż wczoraj, była silniejsza i bystrzejsza, a wczorajszy dzień był lepszy od poprzedniego. W gardle już nie tkwiła rurka, która sprawiała jej tyle cierpienia, a wraz z nią zniknął palący ból krtani. Rzadziej nękały ją też bóle głowy. Wreszcie czuła się gotowa, by stawić czoło testom.

Odwróciła się na boku i utkwiała wzrok w szklanej tafli nad łóżkiem. Jakże się ta rzecz nazywa?

Okno - słowo nadeszło tak łatwo, że uśmiechnęła się mimowolnie. Przez szybę wlewał się do pokoju

złocisty potok, pieszcząc jej policzki nuękkim ciepłem, jak dotyk boga. Wciągała w nozdrza fale rozgrzanego Powietrza. Tuż za oknem trzepotały maleńkie listki, szemrząc, ocierały a? o szybę, gdy wiatr wiał w odpowiednim kierunku. Jakże pachną liście? Jaki mają dotyk? W jaki sposób utrzymują się za szybą i nie Jadają? Wzrok ześlizgnął się niżej i zatrzymał jak zahipnotyzowany °a miriadach drobinek pyłu, tańczących w świetlnej smudze z okna. Chciała je dotknąć, posmakować, powąchać! Wszystko, co widziała Wokół siebie, napełniało ją zdumieniem i ciekawością. W umyśle „oczyły yę coraz liczniejsze pytania. Cienka tafla szyby oddzielała

ją od cudownego świata, w którym liście utrzymywały się w powiei-rzu za sprawą magii, gdzie przez błękitne przestworza płynęły puszyste, wydęte kształty, oslepiające nieskazitelną bielą, i nur kowały uskrzydłone stworzonka, rozśpiewane i rozświergotane. Cał magiczny świat - tuż za zamkniętą dębową płaszczyzną drzwi je, sypialni.

Była pewna jego istnienia i pewna tego, że któregoś dnia może nawet dzisiaj? - bóg weźmie ją pod ramię i zaprowadzi do tego świata, pokaże wszystkie jego cuda i tajemnice.

Bądź posłuszna. Bądź... mądra.

Zamknęła oczy, powtarzając w myślach wszystkie przypomniane sobie słowa, którymi go olśni i wywoła uśmiech na jego twarzy Przedtem już raz go zawiodła, ale dziś była zdecydowana się poprawie Wiedziała, że odpowiedzi kryją się w jej głowie, zamknięte w schowku, do którego klucz utraciła w niezrozumiałych dla niej okolicznościach. Ale one wciąż tam były i tylko czekały, aż je uwolni.

Liście. Okno. Każda minuta przynosiła poprawę!

Nagle drzwi się otworzyły.

- Seleno, jakże się miewasz? - uśmiechnięty bóg wkroczył do pokoju, a za nim wsunęli się obcy i stanęli rzędem pod'ścianą. Na dźwięk jego głosu serce podeszło jej do gardła. Dzisiaj, powiedziała sobie stanowczo. Dzisiaj okaże się mądra! Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. Słyszała stukot obcasów, gdy podchodził do łóżka:

„klik, klik, klik” po deskach podłogi. Metaliczny werbel ołówka na srebrzystej oprawie książki, którą trzyma w rękach... nie, to taca! -”tuk, tuk, tuk”. Zebrała wszystkie siły, by przywołać na twarz promienny uśmiech, chociaż policzki wciąż miała boleśnie opuchnięte i przy każdym ruchu bolała ją szczęka.

Postawił tacę na nocnym stoliku obitym zieloną materią i usiadł przy niej na łóżku.

- Dzień dobry!

Uchwyciła rytm jego słów, mikroskopijną pauzę między dwoma zbiorami głosek. Dwa słowa: dzień - dobry. Dzień dobry - to było powitanie. Utkwiła wzrok w jego oczach. Musi mu zaimponować! Skupiła uwagę, obracając każde słowo w myślach.

- D...dobry... - zdołała wykrztusić tylko jedno i załała ją gorzka fala rozczarowania. On jej powiedział dwa słowa, a ona zdołała się

odwzajemnić tylko jednym! Tego drugiego nawet już nie mogła sobie przypomnieć, by go pozdrowić jak należy. W jego spojrzeniu odczytała równie głębokie rozczarowanie i zdała sobie sprawę, że bóg myśli. iż ona po prostu bezmyślnie powtarza wydawane przez niego dźwięki. Jak ma go przekonać, że zrozumiała i odpowiada? Zmarszczyła czoło w poszukiwaniu potrzebnych słów, ale ich nie znalazła.

- Seleno, dzisiaj zdejmujemy bandaż. Czy Edith uprzedziła

cię o tym? Słowa biegły jedno za drugim zbyt szybko! Patrzyła na mego bezsilnie.

- Nie martw się, wszystko jest w porządku. To naturalne, że jesteś zagubiona. To normalne. Seleno, nie będziemy na razie robić żadnych

testów. Zagubiona - to słowo miało znajomy dźwięk. Pojęła.

- Tak... zagubiona... - wychrypiała i ujrzała w jego oczach przyjemne zaskoczenie. Poczwała dumę z siebie - udało jej się, bóg ją zrozumiał!

Podniósł z tacy parę ... spodni, nie, to coś innego, metalowe i ostre. Delikatnie zaczął rozcinać bandaż na głowie: „snip, snip, snip” -świstały ostrza i płótno, warstwa po warstwie, osuwało się na podłogę, owijając

mu się wokół kostek. Położył jej palec na podbródku i delikatnie obrócił głowę w bok.

- Pęknięcie goi się ładnie, a siniaki na twarzy powoli znikają. Niedługo poznamy twoje rysy! O, tak, to wygląda ładnie... Ładnie, zrozumiała. Spodobała mu się!

- Dziękuję - słowo wyslizgnęło się z ust, zanim sama zdążyła Pojąć jego znaczenie.

- Seleno, wydajesz się dzisiaj dość silna, by znieść kąpiel. Edith Czystko przygotowuje.

Nie pamiętała, co to takiego „kąpiel”, ale jedno wiedziała: nie chciała Edith, chciała, by to on jej to zrobił. Spróbowała znaleźć właściwe słowa:

- Nie... ty.

le go gardłowy śmiech wydał jej się magicznym zaklęciem.

- Nawet taki nicpoń jak ja wie, co wypada, a co nie. O ile znam m zasadach przyzwoitości... Nie mogę, Seleno.

Nic - poń. Nic: brak, pustka. Znowu zgubiła sens i poczuła zmieszanie.

- Zagu...biona... - zaskrzeczała z wysiłkiem.

- Ciii... nic się nie stało - dotknął jej opuchniętej szczęki i przez chwilę, ulotną jak jedno uderzenie serca, zatrzymał palec na policzku. -Już niedługo, Seleno, będziesz w stanie mówić swobodnie i powiesz nam, czego chcesz i kim jesteś - pogłaskał posiniaczoną twarz.

Ale ona wiedziała, czego chce! Od chwili, gdy po raz pierwszy z otaczającego ją mroku dobiegł jego aksamitny głos! Chciała, by Ian został przy niej na zawsze, by nigdy nie opuszczał jej boku. Spróbowała mu to przekazać:

- Chcę... bóg... muszę... - znowu haniebnie straciła wątek! - Nie... aach. - Bezradne usta wykręciły się konwulsyjnie.

- Nie martw się, Seleno. Nakarmimy cię, wykąpiemy i spróbujemy jeszcze raz. Wszystko do ciebie wróci, obiecuję!

Tak się starała, by zrozumieć jego słowa. Rozpoznała znajomy zestaw głosek, który wciąż jej powtarzał. Stanowił część tego, co po raz pierwszy do niej powiedział: „walczseleno”. Wytężyła wszystkie siły, by wydusić z krtani to słowo:

- S...selena?

- Tak cię nazwaliśmy - Selena. Do chwili, gdy będziesz w stanie powiedzieć nam, jak się naprawdę nazywasz, nie mieliśmy innego pomysłu.

Beznadziejnie zagubiona! Oto mówi zbyt szybko...

Dźgnął się palcem w pierś.

- Ian... - potem dotknął jej delikatnie pod brodą. - Selena. Zrozumiała. Chciał, by zwracała się do niego „Jan”, a ona nazywa

się Selena.

Selena - tym razem słowo ześlizgnęło się z języka swobodnie

i melodyjnie, jak fragment pieśni. Jakie to piękne imię! Ian-bóg je

nadał...

- Selena... miłe - chciała powiedzieć coś jeszcze, ale pamięć znowu ją zawiodła.

## 6

- Edith, czy kąpiel gotowa?

- Tak, doktorze!

Selena nie rozumiała tych słów. Ian-bóg przemawiał do jednej z obcych istot - do pulchnej, szpakowatej kobiecinki o pomarszczonej twarzy. Teraz podszedł do łóżka i usiadł przy niej.

- Czy chcesz pójść o własnych siłach?

Podniosła na niego oczy i zagubiła się w przepastnym błękanie jego spojrzenia. Nagle uświadomiła sobie, że taką samą barwę mają skrzydła sójki. Radość trysnęła w niej wysoko, jak rozigrany, łaskotliwy strumień fontanny. Z jej ust mimowolnie wyslizgnął się dźwięk -niezupełnie śmiechu... miększy, lżejszy, dla którego nie znalazła określenia, ale poczuła się dobrze, wspaniale! Przepętniło ją szczęście ^ wielkie, że nawet ból w skroniach wydał jej się mało ważną drobnostką. Bóg był u jej boku, uśmiechał się do niej i zadawał jej



Pytanie.

Zadawał pytanie! Och, zapomniała. Zamrugwała, usilnie wygrzebując z Pamięci echo jego słów. Jak poprosić, by powtórzył... i żeby zrobił to bardziej...

- Wolno - przypomniała sobie nagle.

- Naturalnie - odpowiedział i zsunął kołdrę, którą była przykryta. - ^y - chcesz - pójść - o - własnych - siłach?

Znowu się zapomniała i zamiast wsłuchiwać się w znaczenie słów, „Pajała się ich brzmieniem i widokiem własnego ciała. Powoli, bardzo P°woli Ian unosił przykrycie, odsłaniając wychudłe, posiniaczone członki odziane w nocną koszulę z miękkiej tkaniny barwy kości słoniowej, obszytej koronką. Koszula zadarła się i pofałdowała wokół talii, a rąbek biegł ukosem na wysokości ud, odsłaniając niżej sterczące piszczele obciążone cienką jak pergamin skórą, Ian musnął palcem żałośnie chudą łydkę. Poczwała wilgotne ciepło dotknięcia.

- Czy chcesz iść sama... tak jak poprzednio?

Podniosła wzrok, świadoma, że umysł pragnie dać odpowiedź, lecz nie potrafi znaleźć słów. Potem znowu zdała sobie sprawę, że zapomniała, co powiedział.

Splótł palce z palcami jej dłoni, jakby rzucił jej niezbędną kotwicę. i łagodnie pociągnął do przodu. Plecy wygięły się w łuk, a straszliwie ciężka głowa opadła do tyłu. Ruch obudził ból, który przeszył ją palącym ostrzem. Jęknęła cichutko i zacisnęła powieki. Błyskawicznie przysunął się do niej i podtrzymał, głaszcząc napuchnięty policzek. Opiekuńczym ramieniem objął jej barki.

- Wszystko jest dobrze... oddychaj głęboko. Rozluźnij się. Słowa otuchy przesiąkały przez mgłę bólu w skroniach, zlewały się w jeden dźwięk pozbawiony znaczenia, ale miły... Jego głos otulił ją jak ciepłą kołderką, łagodząc cierpienie. Odrzuciła wszelkie inne wrażenia, aż przesywający ból zelżał i przeszedł w jednostajne pulsowanie. To dawało się wytrzymać. Wypuściła z ulgą nagromadzone w płucach powietrze i otworzyła oczy.

- Lepiej? Jeśli jest lepiej, kiwnij głową. Zmarszczyła czoło. Co to znaczy „kiwnij”? Jakby w odpowiedzi wziął ją za brodę i powoli, delikatnie powiódł jej głowę w górę, potem w dół.

- Kiwnij - powtórzył ruch kilka razy, aż upewnił się, że zrozumiała. - A teraz pokaż: czujesz się już lepiej?

Patrzyła przez chwilę z wahaniem, wreszcie skinęła głową, Ian uśmiechnął się promiennie:

- Świetnie!

Ostrożnie wsunął ramię pod jej ugięte kolana i pomógł wstać. Nie opuszczając jej boku, poprowadził ją powoli naprzód. Obcy rozstąpili się przed nimi z cichym pomrukiem. Ujrzała w przelocie chudą jak patyk, żółtowołosą dziewczynkę, która zapamiętała ssała własny kciuki a tuż obok drobną kobietę o rudych lokach. Chciała się do nich odezwać, ale zanim przyszło jej do głowy jakiekolwiek słowo, Ia0

wyprowadził ją poza krąg nieruchomych twarzy. Zamaszystym gestem, który ją rozśmieszył, zagarnął ją w objęcia i podniósł do góry. Bose łydki przerzucone przez muskularne ramię, bujały swobodnie w powietrzu. W mrocznym korytarzu unosił się rzeński powiew, Ian zatrzymał się przed niskimi drzwiczkami na końcu pasażu. Zaskrzypiały melodyjnie pod jego dłonią.

- Oto pokój kąpielowy.

Pomieszczenie było prześlicznie urządzone, tak odmienne od sterylnie białej sypialni, skąpane w powodzi różanego kwiecia w otulinie zielonych listków. Pokój przypominał jej czarowny świat z za okna, lśniący, wibrujący energią i radością życia.

Podeszła do ściany, chcąc zanurzyć dłonie w kwiatach - i dotknęła twardej, płaskiej powierzchni. Zmarszczyła czoło i przysunęła się bliżej, wachając łośosiowe płatki. Nie wydawały żadnej woni. Zbita z tropu, zerknęła na lana-boga, daremnie szukając słów dla wyrażenia swojego zmieszania.

- Tapeta - wyjaśnił, podchodząc bliżej. - Kwiatki są namalowane na papierze. - Sięgnął do stojącego na małym stolczku wazonu i wyjął z niego pojedynczy kwiat na długiej łydydze. - Ten jest prawdziwy!

Nie widziała nigdy czegoś równie ślicznego, tak skończenie doskonałego. Chciała go poczuć pod palcami, zanurzyć nos w miękkie płatki, z których powiała w jej stronę fala znajomej z dalekiej przeszłości,

upajającej woni. Chwyła pęk pełną garścią... i jęknęła, gdy kilkanaście ostrych jak szpileczki kolców wbiło się w jej bezbronne ciało. Przestraszona, rozwarła dłoń i patrzyła, jak na skórze pojawia się gęsta sieć kropelek czerwieni, Ian wyrwał jej kwiat i zmiażdżył pod obcasem.

- Niech to diabli!

- Nie! - Rzuciła się, by go zatrzymać, ale było już za późno - cudowne różane płatki poniewierały się na podłodze porwane w strzępy. Kwiat zwisał żałośnie na złamanej łodydze. Spoglądała

Upewnię.

- Kolce... następnym razem bierz ostrożniej. - A widząc, że nadal nie rozumie, chwycił jej dłoń i pokazał krwawe ślady. - Widzisz? ^li. Kolce. Och, Chryste... JI „ciąż nie rozumiała. Czy znowu zrobiła coś złego? Patrzył na nią

przez długą chwilę w milczeniu, wreszcie westchnął i pogłaskał ją po policzku.

- Kim jesteś, moja bogini, że nie pamiętasz, jakie zło potrafia wyrządzić kolce?

Znowu mówił zbyt szybko! Nie pojmowała jego słów, choć usłyszała smutek w jego głosie... jakby znowu się na niej zawiódł.

- Na razie, Seleno. Bądź posłuszna Edith. Ona cię wykąpie. Po czym odszedł. Selena stała na środku pokoju, przejęta lękiem przed nagłą samotnością. Zbierało jej się na płacz. Zagryzła dolną wargę, żałując, że nie ma pojęcia, w czym zawiniła. Wtem do łazienki wkroczyła energicznie Edith. Wyjęła ostrożnie drugi kwiat z wazonu, owinęła łodygę ręcznikiem i nie spuszczać wzroku z Seleny, wyciągnęła ku niej dłoń z różanym pączkiem.

- Weź to, dziewczeczko. To róża.

Róża! Tak nazywał się kwiat, który ją uządlił. Nagle przypomniała sobie, że bywają róże w wielu innych barwach.

- Zaprawię wodę do twojej kąpieli olejkim różanym, co, dziecko? Selena nie rozumiała, bo kobieta - miała na imię Edith? - mówiła zbyt szybko i z dziwnym zaśpiewem w głosie. Melodia jej słów zupełnie nie przypominała sposobu wyrażania się lana. Doszła jednak do wniosku, że lepiej będzie kiwnąć głową i udawać zrozumienie i zgodę. Lepiej to, niż ponownie kogoś rozczarować.

Skinęła potulnie. Edith podeszła do niej i zaczęła rozpinąć małe krążki przyłączone do jej nocnej koszuli. Selena patrzyła zafascynowana, jak pulchne, różowe palce ujmowały jeden po drugim perłowe krążki... guziki, jak sobie nagle uświadomiła, i przetykały je przez dziurki. Jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty.

- Unieś ramiona - zakomenderowała Edith. Selena kiwnęła głową i dalej stała nieruchomo. Edith ujęła ją za przegub i nacisnęła lekko: -Ramiona! - powtórzyła znacząco. Selena zrozumiała. Edith powtórzyła polecenie: - Unieś ramiona - i tym razem obie ręce dziewczyny uniosły się w górę. - Dobra dziewczynka! - z uznaniem pochwaliła starsza kobieta i ściągnawszy koszulę przez głowę swojej podopiecznej, rzuciła koronkowe cacko na oparcie fotelika obitego aksamitem w odcieniu burgunda. Zafascynowana Selena wpatrywała się w swoje obnażone ciało. Przesunęła dłoń po pagórkach piersi i poczuła, jak ciemnoróżowe brodawki sztywnieją i marszczą się pod dotykiem

palców. Przez gładką płaszczynę brzucha przebiegł mimowolny dreszcz. Edith zaśmiała się odrobinę nerwowo.

- Chodź do kąpieli, przestań się dotykać! - ujęła Selenę za rękę i poprowadziła do niskiego, białego stołeczka pod ścianą. Z tyłu biegła długa mosiężna rura, której koniec zniknął we wnętrzu pokrytej ornamentami skrzynki podwieszanej pod sufitem. Z pudełka zwisał cienki łańcuszek. Edith wskazała na białe siedzenie:

- Toaleta... pamiętasz, jak się tego używa?

Selena podeszła i zapatrzyła się na osobliwy mebel, czekając na jakąś wskazówkę z głębi pamięci.

.- Usiądź na niej, dziewczeczko... może to ci pomoże sobie przypomnieć?

Selena usiadła okrakiem na stołeczku, który okazał się śliski i chłodny, aż poczuła gęsią skórę na wewnętrznej powierzchni ud. Zagapiła się na mosiężną rurę, podziwiając jej barwę. Edith wyrwała ją z zapatrzenia lekkim dotykiem w ramię.

- Obróć się! - Selena spojrzała na nią pustym wzrokiem, więc Edith sama jej pomogła. Gdy tylko zasiadła przodem do pokoju nad owalnym otworem, powróciły wspomnienia. Wiedziała, czego się po niej oczekuje.

Kilka chwil później poczuła ciepły strumień między nogami i usłyszała plusk jakby miniaturowej kaskady.

- Posłuszna dziewczynka! - pochwaliła Edith, podając jej garść papieru. Selena i teraz domyśliła się, co ma zrobić, po czym wstała. Edith znowu ujęła ją za ramię.

- Teraz chodź tutaj... to jest wanna.

Biała, podłużna rynna wypełniona wodą też wydała jej się znajoma. Zrozumiała i powtórzyła z wolna:

- Wan...na... - podeszła bliżej i zauważyła obłok pary unoszący się nad powierzchnią wody. Wciągnęła w nozdrza wilgotne powietrze - niemal namacalnie przypomniawszy sobie gorący dotyk wody na skórze. Przytrzymała się oburącz śliskiej krawędzi i zaczęła się wdrapywać „o śnieżnobiałego wnętrza, lecz jeszcze zanim zanurzyła palce w ką-Pieli, ujrzała coś, co ją zaskoczyło. Z tyłu wanny znajdował się „rinek z różowego marmuru. Na palenisku płonął niewielki ogień, nad którym zawieszono olbrzymie lustro. Wewnątrz zwierciadlanej! zobaczyła drugą wannę i wchodzącą do niej obcą, też całkiem „kobietę. Zamarła zaskoczona i utkwiała wzrok w opuchniętej,

purpurowo posiniaczonej twarzy, a kiedy zmarszczyła brwi, kobieta w lustrze powtórzyła grymas

Selena odwróciła się do Edith w poszukiwaniu wyjaśnień, ale gdy chciała sformułować pytanie, zdołała jedynie wykrztusić:

- Kto...

Gospodyni wybuchnęła serdecznym śmiechem. Jego odgłos przypominał ptasie gruchanie i był przyjemnie niski.

- Seleno, dziewczeczko, to przecież ty sama! - wzięła podopieczną za rękę i podprowadziła ją do lustra. - To odbicie Seleny w lustrze. To ty.

Przyjrzała się nieznajomej twarzy. Z żółtawej opuchlizny policzków poprzecinanych świeżymi bliznami patrzyły na nią ciemnobrązowe oczy. Miała rozlane po całym obliczu czamopurpurowe sińce obrysowane żółtawą obwódką, która zachodziła na obrzmiałą linię podbródka. Pod napuchniętą, nabiegłą krwią skórą trudno było jej odczytać rysy twarzy, która należała ponoć do niej. Pamięć podpowiedziała jej słowo, którego szukała:

- Brzydka...

Do oczu nabiegły łzy i zamazały kontury odrażającego obrazu w lustrze. Była zadowolona z tego, że ukryły Jej ohydę za sitonawym welonem.

- Brzydka!

- Nie, dziewczeczko... wcale nie brzydka. Poraniona. - Edith dotknęła policzka Seleny. - Kiedy rany się zagoją, zniknie brzydota!

Selena nie próbowała nawet szukać sensu w słowach opiekunki, wpatrzona w ohydne odbicie, i pomyślała, że wreszcie rozumie, czemu Ian-bóg ją zostawił.

Ilylinyty dłużyły się nieznośnie, Ian wyciągnął kieszonkowy zegarek na łańcuszku i po raz nie wiadomo który sprawdził godzinę:

był kwadrans po jedenastej. Czemu to trwało tak długo?

- Toaleta księżniczki to widocznie czasochłonny proces - po' spieszył z wyjaśnieniem Johann. - Być może gasi pragnienie woda w wannie?

- Zamknij się, Johann! - warknął Andrew i czujnie skontrolował wyraz twarzy Iana. Ten starał się za wszelką cenę ignorować swoich

obląkańców, którzy czekali wraz z nim w salonie. Jedni kulili się po kątach, inni obsiedli krzesła albo podpierali framugi drzwi. Ich zbiorowe spojrzenie leżało na jego piersiach jak nieznośny, duszący ciężar. Nie odrywał wzroku od deseczki trzymanej w rękach.

Kwadratowy kółeczek w kwadratowy otwór? Nawet dziecko potrafiłoby sobie z tym poradzić, na litość boską! Nawet Maeve zrobiłaby to bez trudu.

- Trzyma pan tę planszę jak miecz - wycedził Johann, podchodząc leniwym krokiem do kominka. - Ona nie zda tego testu, przecież wie pan dobrze. Biedaczka, wszystko jej się pomieszało... wciąż jeszcze myśli, że ma na imię Ian.

Ian obrzucił go oziębłym, pogardliwym spojrzeniem.

- Owszem, zda.

Johann rozciągnął cienkie wargi w wymuszonym uśmiechu:

- Ach, marzyciel! Jakież to osobliwe... i jakież stosowne. Miłych snów! Maeve podniosła wzrok znad wypchanego zwierzątka na podolku.

- Zeszłej nocy śniło mi się, że pojechałam do Paryża. Ależ było pięknie!

Królowa Wiktoria chrząknęła złowieszczo:

- Pluję na Francję!

Ian podniósł zrozpaczone oczy do sufitu. Panie w niebiesiech, czy to się nigdy nie skończy? Zerknął ku drzwiom, rozważając myśl, by je pchnąć na oścież, wyjść i zaszyć się w swoim pokoju... ale ku swemu zdziwieniu stwierdził, że właściwie w tej chwili towarzystwo ludzi przynosi mu ulgę i dodaje otuchy. Wszyscy czekali na rozwój wydarzeń, bo i ich urzekła tajemnica Seleny. Każdy na swój pokręcony sposób piastował nadzieję, że dziewczyna przejdzie zwycięsko próby. Nawet Johann... Młodszy z obłąkańców, Andrew, bał się uwierzyć w Selenę, bo ^ ciężko pracował, by wytworzyć w sobie otoczkę nienawiści dla ^zystkiego i wszystkich na świecie, że nie mógł się teraz przyznać do Czucia troski o tę śpiącą królową, która niespodzianie nawiedziła ^the... ale Johann się przejmował, Ian widział wyraz troski w jego oczach, w sposobie, w jaki skradał się w cieniu korytarza przed „^wiamiję sypialni. Johann nie różnił się od reszty - Seleną też stała się ^ niego symbolem, Ian widział w niej szansę odzyskania swojej płodowej kariery, ale jaką szansę upatrywali w niej Johann i pozostali?

Na schodach rozległy się ociężałe kroki. Przez salon przebiegł przyciszony pomruk napięcia. Niemal wszystkie plecy wyprostowały się, wszystkie głowy wyciągnęły odrobinę do przodu. Kryształowa gałka u drzwi przekręciła się z wolna i do salonu weszła Edith z zaróżowionymi pulchnymi policzkami i włosami skręconymi parą w masę loczków.

- Jest gotowa... do pewnego stopnia... Ian zmarszczył czoło.

- Co to znaczy „do pewnego stopnia”?

- Nie udało mi się umyć jej włosów. Próbowалаm je zmoczyć i wykręcić, ale nie pozwoliła mi ich upiąć. Krzyczała - mam wrażenie, że próbowała mi w ten sposób przekazać, że ją boli.

- Ach... cóż, trudno. Dobrze się sprawiłaś.

- Naturalnie! - wtrącił niepoprawny kpiarz Johann. - Co tam kilka wszy między przyjaciółmi! Edith nadęła się, obrażona.

- Ta biedaczka nie ma ani jednej wszy!

- Nie zwracaj uwagi na tego błazna przeżartego syfilisem - prychnął Ian i zgarnął stosik obrazków ze stolika obok. Johann dworskim gestem przyłożył dłoń do piersi i westchnął z przesadnym uczuciem:

- Ach, lanie, jesteś dla mnie prawdziwą ostoją w trudnych chwilach!

Ian wsunął kilka obrazków za pazuchę kamizelki i wymaszerował z salonu. W westybulu zawahał się u stóp schodów, patrząc niepewnie w mroczną czeluść górnego korytarza. Raptem ogarnęło go uczucie, że powinien zawrócić, zrezygnować z bezsensownych prób. Johann miał rację. Dziewczyna nie przejdzie zwycięsko testów, szaleństwem byłoby wymagać od niej choćby najprostszych operacji myślowych. Nie cierpi na afazję powypadkową. Jej problem nie polega też tylko na zaburzeniach mowy - och, gdybyż mógł przyjąć, że słowa są w jej głowie, lecz nie potrafi ich wypowiedzieć, przełożyć na zrozumiałe dźwięki - nie, to było coś poważniejszego, czego nawet on nie jest w stanie naprawić.

Trwałe uszkodzenie mózgu.

Dotąd najwyższą siłą woli odpychał od siebie ową najczarniejszą diagnozę. Postanowił o niej nie myśleć, gdyż wtedy...

Zakazał sobie dalszych rozważań i położył dłoń na balustradzie schodów. Słyszał za plecami miękkie szuranie i wiedział, że stadk0

podopiecznych ruszyło za nim, zachowując pełne respektu milczenie. Lękali się, że nieopatrzne słowo czy głośniejszy hałas wprawia go w gniew, że zakaze im śledzić siebie. Postępowali za swoim drażliwym panem i władcą w bezpiecznej odległości kilku metrów, gdy ciemnym korytarzem szedł do jej sypialni. Pchnął uchylone drzwi, a oni zamarli, wsłuchani w zgrzyt wiekowych zawiasów. Chciwie wyciągali głowy, by zerknąć nad ramieniem lana do wnętrza.

Sypialnia była pusta!

Ian wpadł do środka i jednym spojrzeniem ogarnął wszystkie kąty. Okno było zamknięte, łóżko starannie zasłane, nikt nie siedział na krześle. Poczul, jak serce zaczyna mu walić oszalałym młotem. Jezu, gdzież ona może być? Już miał okręcić się i wybiec z sypialni, gdy kącikiem oka zauważył mignięcie bieli. Pochylił się nisko.

Leżała wciśnięta pod łóżko i paplała sama do siebie niezrozumiałe zbitki słów, łącząc je w zdania pozbawione sensu.

- Morela...krzesło...mysz...

- Seleno! - nie zdołał powściągnąć lęku w głosie. Dziewczyna wydała z siebie raptowny, chrapliwy odgłos i poczołgała się tyłem w jego stronę. Oniemiały obserwował falowanie pośladków, opiętych pantalonami obszytymi koronką. Potem z mroku wynurzył się tył głowy z wygoloną trójkątną łata, ledwie porosła brzoskwiniowym puszkciem. Wśród odrostów czerwieniła się nabrzmiała, świeża blizna. Nagle Selena odwróciła się i wyciągnęła do niego rękę. W dłoni zaciskała martwą mysz. Pogłaskała miękkie, szare futerko i uśmiechnęła się promiennie do lana.

- Jezusie słodki! - wybuchnął i zanurkował pod łóżko. Wytrącił Jej stworzonko z dłoni. Truchełko z miękkim plaśnięciem wylądowało „a podłozde i potoczyło się w ciemność pod materacem. Z twarzy Seleny powoli spęzł uśmiech.

- Nazywam się... Ian...?

Chryste! Z kim gada, z nim czy z tą myszą? Westchnął ciężko ‘ Praeczesał palcami czuprynę. Musiał się opanować, ucześcić resztek „adziei. Musiał próbować dalej.

- Chodźże tutaj, Seleno! - złapał ją za rękę i pomógł wygramolić się ^od łóżka. Posadził ją na posłaniu. Bose stopy dziewczyny „tysały się nad podłogą, dłonie splotła bezwładnie na podołku. Nie spuszczała z niego oczu, zastygłych w wyrazie zagubienia jak u małego dziecka. Tak go to wzruszyło, że niemal się rozpłakał.

- Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

Długo patrzyła na jego usta, z widocznym wysiłkiem obracając w mózgu usłyszane dźwięki, porządkując je i szukając dla nich znaczenia. Upłynęły dobre trzy minuty, lecz w końcu skinęła głową potakująco.

- Powąła... - usta wygięły się w grymas, który, miał nadzieję, oznaczał uśmiech.

- Dobrze... poprobujemy kilku pytań. Może zaczn... Dotknęła jego ramienia.

- Powoli...

- Przepraszam. Pytania - testy. Tak? Po dwóch minutach usłyszał:

- Tak.

- Czy mnie poznajesz? Skinęła głową.

- Ian-bóg.

Nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Ian, tylko Ian. Nie jestem bogiem!

- Ian - powtórzyła. Dosłownie wisiała mu wzrokiem na ustach.

- Gdzie jesteś?

W jej oczach pojawiło się zaskoczenie. Wiedział, że zrozumiała pytanie. Mars na jej czole pogłębił się w wysiłku pamięci. Wreszcie potrząsnęła głową przecząco.

- Sień.

Pomyślał, że miała na myśli „nie”.

- Nie wiesz, gdzie jesteś?

- Nie... wiem - grymas zawodu wzkrzywił jej twarz. Po dłuższej chwili starań wykrztusiła: - Powinnam... wiedzieć? Potrząsnęła głową.

- Nie, nie trzeba. Nic nie szkodzi. - Mówił prawdę. Nie było żadnego powodu, by orientowała się w miejscu pobytu. Kiedy nie spróbowała zapytać, powiedział sobie twardo, że to też nie nią znaczenia. - Kim jesteś?

- Selena.

- Nie... zanim stałaś się Selena. Kim byłaś przedtem?

Upłynęła przynajmniej minuta, zanim odpowiedziała, tym razem dobitniej i wyraźniej:

- Nie... wiem... kim... jestem.

Znowu czekał na jej pytanie, walcząc z rozczarowaniem i złością. Podniosła na niego oczy, w mroku których kryła się tajemnica. Poczuł, jakby coś go dusiło. Między nimi rozciągała się nieskończoność, a on wciąż czekał na pytania, które powinny nadejść. Tortura czekania wyostrzyła jego spostrzegawczość: zauważył, że jej tęczyówki mają barwę klonowego syropu, a oddech szmerze jak niewielki strumyk. Podziwiał mleczną gładkość szyi połyskującej w koronkowym rozcięciu nocnej koszuli. Za każdym kolejnym oddechem gasła jego nadzieja, że ma szansę powrotu do pełni władz umysłowych. Wreszcie zrozumiał, że nie przyjdzie jej do głowy zapytać, czy on przypadkiem wie, kim jest. Wygląda, jakby nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

- Nie potrafisz odpowiedzieć czy nie wiesz?

- Nie... wiem.

Oddzielając starannie słowa- chyba nawet przesadził, usiłując stłumić rozdrażnienie - zapytał:

- A chcesz wiedzieć?

- Czemu?

To proste pytanie wprowadziło go w oszołomienie. Jezu, jak mogła nie dbać o to, kim jest? Budzi się w obcym łóżku, otoczona nieznanymi ludźmi, kąpie ją obca kobieta, opatruje obcy lekarz, a jej jest wszystko Jedno? Żadnego zainteresowania, kim była, skąd pochodzi?

- Rodzina... - wyjąkał, chwytając się słomki. - Może zostawiłaś gdzieś rodzinę, ludzi, którzy cię kochają, którzy szukają cię - mówił za szybko, ale nie mógł się pohamować.

- Ian... - Zmarszczyła czoło i musnęła palcem jego policzek. Odsunął się i wstał. Plansza wyslizgnęła się ze zmartwiałych palców 'z głuchym stuknięciem upadła na podłogę, zapomniana, nieważna. Ułożyby udało jej się wsadzić kwadratowy kółeczek w kwadratowy otwór - nie zmieni to faktu, że jej umysł jest jak wytarta do czysta

-wilca. Była dorosłym dzieckiem, nie znającym parzącej właściwości gnia ani nieprzenikalności szkła... nie orientowała się, że martwe zży to nie zwierzątka domowe. Nieodwracalne uszkodzenia mózgu. Nle będzie więc jego cudem. Owszem, niewykluczona jest dalsza

poprawa - może nawet nadejdzie dzień, gdy opanuje sztukę składania słów w kompletne zdania, ale nic więcej. Marzenia o wybawieniu pozostaną tym, czym były od początku - czczymi mrzonkami. Nieosiągalnymi jak gwiazdy, jak blask księżycy...

Ale jeśli jego nadzieje runęły w gruzy, a przyszłe perspektywy wydają się ponure, cóż można by powiedzieć o jej przyszłości?

Podniosła na niego oczy i po raz pierwszy ujrzał w nich lśnienie łez.

- Ian... test...

Na widok jej twarzy poczuł tępy ból. Wbił wzrok w sufit, a z ust wydarł mu się gorzki śmiech. Mistrz kukulek znowu zwyciężył! Bo.' zesłał Ianowi być może jedyną na świecie pacjentkę, której mógł bezkarnie dotykać - ale uczynił ją nieuleczalnie chorą.

Ach, cóż za ironia. Jedyna osoba, która jest nieczuła na jej i paranormalną moc, okazała się pozbawiona umysłu! Nie kryje się w niej żadna tajemnica, którą mógłby rozwikłać, żaden sekret godny, zgłębnienia. Nigdy nie stanie się Pigmalionem dla swej Galatei. Co/. bliżej mu było raczej do osławionego doktora Frankenstein'a z powieści Mary Shelley - ogarniętego pragnieniem, by dorównać Bogu i stworzyć rozumną istotę z grudy ożywionego ciała.

Szaleństwo...

- Test - szepnęła zdławionym głosem.

- Nie! - cofnął się. - Dzisiaj nie będzie więcej testów. Dość już widziałem... - Odwrócił się i pobiegł do drzwi, ale ujmując gałkę nie potrafił się powstrzymać, by nie rzucić za siebie ostatniego spojrzenia.

Selena siedziała na łóżku jak żałosny kłębek gałganków, z głową wtuloną w ramiona osłonięte gęstwą skołtunionych, matowych od brudu włosów. Z jej oczu spływały łzy, rozpryskując się na biały® gorsie koszuli. Wiedział, że dziewczyna nie ma pojęcia, czemu zerwał się do odejścia, ani nie zdaje sobie sprawy, w czym zblądziła' Wiedziała jedynie, że Ian-bóg rozczarował się do niej... i że zostawia ją samą.

- Przepraszam, Seleno. - Głos mu się załamał. - Och, Jezu, jakże mi strasznie przykro. Przepraszam!  
Wybiegł z pokoju, trzaskając mocno drzwiami. Jego oblakaf12 trzódka czekała na korytarzu. Napierali ze wszystkich stron, papł^ jedno przez drugie, gestykulując, mrużąc między sobą.

- Spokój! - syknął Jonami, widząc twarz Iana. - Co się stało, Iana11'  
Z wolna dźwignął głowę i popatrzył na wianuszek wyczekujących twarzy. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu wyglądało na to, że tylko Jobann połapał się w sytuacji.

- Kiedy tam wszedłem, bawiła się martwą myszą- oznajmił znużonym tonem. Maeve podniosła głowę.  
- Naprawdę? - sięgnęła ochoczo po gałkę, Ian odruchowo wyciągnął dłoń, by ją zatrzymać, ale zdał sobie sprawę, czym to grozi, i cofnął rękę jak oparzony. - Nie dostaniesz tej myszy, matko... - rzucił wymowne spojrzenie na Edith. - Zajmij się tym, dobrze?

Starsza kobieta kiwnęła głową.  
- Oczywiście, doktorze. Zaraz potem nakarmię tę biedaczkę -skinęła w stronę zamkniętych drzwi sypialni.  
Ian ciężko oparł się o ścianę. Nigdy dotychczas nie czuł się taki zmęczony i wyzuty z wszelkiej nadziei... z sensu życia. Był sam -i już zawsze taki pozostanie.

- Tak, proszę cię. Andrew spytał nieśmiało:  
- Co pan chce zrobić, doktorze?  
- Pojęcia nie mam, Andrew - przyznał szczerze Ian i urwał. To, co miał za chwilę powiedzieć, napełniało go niewymownym poniżeniem: - Może powinienem wezwać alienistę? \*

- Musisz porozmawiać z jednym takim - pisnęła Maeve. - Takim i pomarańczową czupryną.  
- W szpitalu dla obłąkanych w Polluskjest ten doktor Welisby... -P^ypomniał cicho Johann.  
Ian drgnął, jakby przeszył go silny prąd. Tak, znał doktora Welisby.

- Welisby - powtórzyła Maeve drżącym głosem wypranym z ja-•^gokolwiek wyrazu. - On nie ma pomarańczowych włosów. - W jej ^ach zaśniły łzy.  
Ian westchnął i przymknął oczy. Nie chciał spotykać się ponownie z „elisybą, sama myśl o powrocie do tamtego piekła wprawiała go ft ^lerteme przerażenie. Ale z drugiej strony nie mógł tak po prostu -pomnieć o Selenie, odebrać jej ostatniej szansy i udawać, że nigdy

Archaiczne określenie psychiatry (przyp. tłum.).  
nie istniała. On sam mógł coś przeoczyć... a może jest jakaś radykalna kuracja uszkodzonego mózgu, o której nie ma pojęcia?

Welisby zna odpowiedź na takie pytania. Welisby to człowiek, jakiego mu potrzeba. Gdyby tylko pojechał z nim ktoś bliski, ktoś z rodziny albo przyjaciel! Niestety, długie lata odosobnienia pozbawiły go możliwości tego rodzaju wsparcia. Nagle Jonami wysunął się naprzód.

- Mógłbym z tobą pojechać...

Ian przełknął ślinę i utkwiał w starszym mężczyźnie niedowierzające spojrzenie. Gorączkowo szukał w myślach ciętej ńposty, przytyku, którym pokazałby Johannowi, gdzie jest jego miejsce... ale nic nie przychodziło mu do głowy. Jedyne, co się w niej tłukło, to myśl, że nie będzie musiał sam zstępować do piekła. W zaciemnionym powozie będzie mu dotrzymywał towarzystwa inny człowiek.

Skinął krótko głową i odwrócił wzrok w nadziei, że udało mu się ukryć przed Johannem malujący się w oczach wyraz wdzięczności.

- Wyruszamy z samego rana.

## 7

Selena siedziała na łóżku, nieutulona w płaczu. Oto zrobiła coś okropnie złego, choć nie miała najmniejszego pojęcia, o co chodziło. Wreszcie, wyczerpana szlochaniem, otarła łzy z napuchniętej twarzy i rzuciła się na posłanie. Kiedy tyt czaszki zetknął się z poduszką, ból przeszył jej głowę ze straszliwą siłą. Utkwiła umęczony wzrok w suficie, a łzy popłynęły jej po policzkach gorącym strumieniem.

Ian z niej zrezygnował! Widziała w jego wzroku rozczarowanie, a gdy usiłowała go dotknąć, przez jego twarz przemknął cień odrazy. Dostrzegła i zinterpretowała to właściwie - tego była pewna. Wiedziała, że jest bezsilna, by cokolwiek zmienić, nie umie mu powiedzieć, jak strasznie jej przykro... jak bardzo potrzebuje jego uśmiechu i głosu rozpraszającego mrok.

Chciał, żeby ją obchodziła własna tożsamość, ale czemu miałyby a? tym przejmować? Nie odnajdywała w sobie takich uczuć. Wszystko, co dotyczyło życia sprzed momentu przebudzenia, odeszło, przestało istnieć, jak płomień tamtej świecy, kiedy go dotknęła. Odeszło.

Owszem, próbowała... dla Iana. Próbowała wygrzebać jakieś od-Powiedzi z rozmiękłej papki, w którą zamieniła się jej pamięć. Nie szukała się niczego poza dziurą, ziejącą tam, gdzie powinny być ^ Upomnienia. A więc była niegrzeczna... nieposłuszna. Głupia. ^Ale zasługiwała chyba na ostatnią szansę? „Proszę...” - bełkotała.

O co właściwie prosiła? Nawet nie wiedziała, o co błagać, o co się modlić, czego wyglądać resztką nadziei.

Przetoczyła się na brzuch i wcisnęła brzydką, zniekształconą twarz w miękkie fałdy kołdry. Leżała tak, dopóki nie zaalarmowało jej ciche stukanie. Zamrugęła, by spędzić z oczu łzawą mgłę, i rozejrzała się za źródłem dźwięku.

- Ian? - powiedziała na głos i poczuła przyływ nadziei. Gałka w drzwiach obróciła się i do sypialni weszła pulchna kobieta, która ją kąpała. Edith - przypomniała sobie jej imię. Trzymała tacę zastawioną parującymi półmiskami. Za nią tłoczyło się kilku z tych obcych: filigranowa rudowłosa i szczuplutka dziewczynka, która wciąż ssąca palec - kciuk. Dziewczynka ssąca kciuk.

Edith cmoknęła ze współczuciem.

- Biedactwo! To przecież nie twoja wina, żeś słaba na umyśle... Selena pociągnęła nosem i wytarła go w rękaw. Wstała i podeszła do Edith. Przez oszołomiony umysł przelatowały oderwane słowa, formując się w niepewne zdania - pytania. Ale tylko jedno słowo znalazło w końcu drogę na jej wargi:

- Czemu?

Nagła bladeść powlokła policzki Edith, jakby uciekła z nich cała krew. Przez chwilę wpatrywała się w Selenę bez słowa. Wreszcie wykrztusiła:

- Nie znam odpowiedzi, dziewczeczko. Taka już wola Boga: zsyła na niektórych z nas choroby.

Podeszła do niej ruda kobieta i odezwała się melodyjnym, powabnym głosem, bardziej przypominającym śpiew niż mowę:

- Seleno?

Selena chciała zapytać ją o imię. - Butelka... odpowiedź? -jęknęła z głębi udręczonego serca. Nie potrafiła! Nie umiała znaleźć właściwych słów dla wyrażenia swych myśli. Nieoczekiwanie kobieta odpowiedziała na to nieme pytanie:

- Maeve. - I wyciągnęła rękę do dziewczyny, a gdy Selena ujęła jej chłodną dłoń, poczuła pokrzepiający uścisk. Dotyk rudowłosej przyniósł jej ulgę i odprężenie. - Ja cię rozumiem - dodała kobieta. Selena zajrzała w głąb smutnych, orzechowych oczu i uwierzyła. Nie wiedzieć czemu, ta kobieta naprawdę pojmowała jej niewypowiedziane myśli, rozumiała jej ból i lęk. Z wrażenia pod Selena ugięły się kolana. Po raz pierwszy, odkąd Ian ją zostawił, poczuła się nie tak samotna. „Dziękuję” - stosowne słowo pojawiło się w umyśle bez wysiłku.

- Wydma... - wyjąkała i zacisnęła powieki, przejęta wstydem, że nie potrafi nawet wyrazić prostej wdzięczności. Maeve wzruszyła

ramionami. - Nie martw się, dziecko. Stopniowo ci się poprawi. A jeśli nie...

to nie! Uwierz mi, do wszystkiego można przywyknąć!

- Maeve, przestań - zganiła ją pulchna, szpakowata kobieta. - Nie przygnębiaj biednej dziewczuszki. Może ona wcale nie wie, że jest, no, wiesz... - głos ścichł do szeptu. - ...Słaba na umyśle.

Maeve rzuciła gospodyni spojrzenie spode łba.

- Ależ wie o tym, zapewniam cię.

Edith zbladła, ale starała się zamaskować zmieszanie energicznymi ruchami: podeszła do łóżka i postawiła tacę na nocnym stoliku. Do nozdrzy Seleny dotarła smakowita woń, która mgliście jej coś przypomniła. Nagle zasłona pamięci podniosła się.

- Obiad! - To już wiedziała. Teraz pozostawało pytanie: co się z tym robi?

- Tak, dziewczeczko. Przyniosłam ci obiad. Mamy tu smaczną potrawkę z ryby.



Selena nie pojęła znaczenia słów, ale zapach wsparł pozornie zapomniany, lecz głęboko zakorzeniony instynkt i w żołądku rozległo się burczenie. Podeszła do tacy, ciągnąc za sobą Maeve. Zadarła długą do kolan koszulę i przysiadła na wyścielonym słomą taborecie, przysuwając go bliżej do stolika. Maeve usiadła koło niej, a dziecko z kciukiem w buzi stanęło za plecami Seleny, milczące, czujne na jej każdy gest. Edith nabrała pełną warząchew potrawy i nałożyła na talerz, który postawiła przed Selena.

- Masz, dziecko. Wcinaj.

Selena zmarszczyła czoło. Ma wcinąć? Pojawił się przed nią obraz nożyczek i zwoju tkaniny. Jakby znalazła się u krawcowej. Maeve

Podpowiedziała szeptem:

- Jedz...

Selena nie była wcale pewna, co znaczy „jedz”, ale usłuchała Powtórnego burczenia w żołądku i sięgnęła po kawałek różowego <sup>^</sup>ęsa pływający w gęstym sosie. Gorący płyn sparzył jej palce. - bolesnym skowym cofnęła rękę i pospiesznie wsadziła palce do kojącej obok szklanki. Mleko przelało się przez krawędź i chlupnęło serwetę, ale Selena poczuła natychmiastową ulgę i dumę, że

zapamiętała tę sztuczkę z przygody ze świecą. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Maeve łagodnie wyjęła jej dłoń ze szklanki i podała dziwny przedmiot - pasek metalu, zaokrąglony na jednym końcu. Nagle Selena przypomniała sobie: to łyżka. Maeve pomogła jej ułożyć palce na trzonku i pokazała, jak zanurzać wgłębioną część w talerzu, wyławiać kęs ryby i podnosić do ust. Selena pojęła wreszcie, co znaczy słowo „jedz”. Wciągnęła w nozdrza słodki aromat tymianku i uśmiechnęła się szeroko. Otworzyła usta, ale w porę przypomniała sobie parzące uczucie na opuszkach palców.

- Gorące - powiedziała i cofnęła łyżkę. Maeve pochwaliła:

- Dobrze... - I zaczęła dmuchać. Selena patrzyła zafascynowana, jak w srebrzystym wnętrzu przelewał się i falował czerwony płyn. Wreszcie Maeve stwierdziła:

- Nie jest gorące. Teraz jedz.

Selena nie posiadała się z podniecenia. Miała nareszcie uczucie normalności, jakby robiła coś, do czego przywykła, co czyniła już tysiące razy w życiu. Niemalże pamiętała obrazy z przeszłości - sama siebie spożywającą obiad. Pochyliła się nad łyżką i nabrała odrobinę na język. Strawa okazała się zupełnie bez smaku! Zmarszczyła czoło. Coś jednak było nie tak... zwróciła się do Maeve, szukając słów na wyrażenie swoich wątpliwości.

- Smak... - to było wszystko, na co mogła się zdobyć. Maeve uśmiechnęła się promiennie:

- Tak, prawda, że smaczne? Teraz jedz do dna, dziecinko. Musisz odzyskać siły.

Selena potrząsała głową w próżnym proteście. Maeve spojrzała jej prosto w oczy i uśmiech satysfakcji powoli zniknął z jej twarzy.

- Jedz już!

Selena poczuła ostre dźgnięcie lęku. Nie chciała, by i ta urocza dama odwróciła się od niej z pogardą i rozczarowaniem. Zaraz odejdzie i wyda ją na pastwę samotności. Trudno, jedzenie nie ma smaku, coś wydaje jej się nie tak, ale to nieważne. Zapatrzona w orzechowe oczy, skinęła głową i zaczęła jeść. Będę posłuszna, postanowiła w myślach. Będę grzeczną dziewczynką, tylko *tnę* zostawiajcie mnie samej! Nabrała pełne usta pozbawionej smaku

potrawy. Na oblicze Maeve powrócił uśmiech, napełniając Selenę ulgą. Drobną kobietą pogłaskała jej policzek chłodną dłonią.

- Nic się nie martw, dziecinko! Nie zostawię cię, nawet gdybyś nie była posłuszna. - Maeve odwróciła raptem wzrok, jakby przeszył ją cios. - Sama wiem, jak to boli!

Długo po tym, gdy zjadła niesmaczną potrawkę i patrzyła przez okno, jak powóz unoszący lana znika w ciemnościach podjazdu, położyła się i podciągnęła kołdrę pod samą brodę. W sypialni panowały nieprzeniknione ciemności. Szkoda, że nie zostawili jej świecy czy lampy, jakiegokolwiek źródła światła, które rozproszyłoby mrok i zmniejszyło dręczące poczucie samotności. Ale oni jej nie ufali. Dostatecznie już rozumiała szybką wymianę zdań, jakimi się porozumiewali między sobą, by uchwycić te słowa: znowu się oparzy i spali cały dom - tak właśnie powiedziała Edith. Przekreśliła się na bok i spojrzała w okno. Szklana tafla zapłonęła nagle luną księżycowego blasku - osrebrzony prostokąt zawieszony pozornie bez oparcia w

mroku pokoju. Blask spętał równie szybko, jak się pojawił. Szklana tafla znowu zatonała w czerni nocy. Przez chwilę Selenę ogarnęło osobliwe uczucie - jakby ciemność ją połknęła, jakby przestała istnieć. Na jedno uderzenie serca czas przestał płynąć, dziewczyna leżała na posłaniu, dysząc ciężko, wpatrzona w szybę w nadziei, że srebrny błysk pojawi się znowu. Ledwie zdołała powstrzymać pełne przerażenia szlochanie.

Blask nie powracał. Szyba zadrżała pod krótkim gwałtownym uderzeniem wiatru. Nagle Selenie wydało się, że noc wypełniła Wrzawa, choć jeszcze przed chwilą wokół panowała niezmacona cisza. Usłyszała głuchy tupot nóg za zaryglowanymi drzwiami i towarzyszący un pomruk przyciszonych rozmów. Ogarnięta strachem, skuliła się Pod kołdrą, szukając choćby pozornej ochrony.

Przed jej drzwiami tłoczyli się ci bezimienni ludzie pozbawieni ^arzy - czekając, wymieniając szeptem komentarze, chichocząc.

czuta się jeszcze bardziej osamotniona, brzydka, głupia - jakby Ogradzała ją niewidoczna bariera. Zawołała cichutko:

^ - Pomóżcie mi... proszę... - ale głos miała tak słaby, że ledwie uchwyciły go jej własne uszy. Obcy za drzwiami nie przestawali konferować stłumionym szeptem. Wsłuchiwała się w jednostajne szuranie stóp i czuła, że gorąco pragnie przyłączyć się do nich, ale wiedziała, że nic ją z nimi nie łączy, że nie miałyby im nic do powiedzenia. Pozostawał jej jedynie ów pusty pokój z pojedynczym oknem - jedynym łącznikiem ze światem.

Odrzuciła ciężką, puchową kołdrę i poderwała się z łóżka, po omacku pokonując drogę wzdłuż nierówności tynkowanego muru do okna. W chwili, gdy dotarła do nieskazitelnej gładzi szyb, jeden z obłoków oderwał się od zwału chmur i pożegłował przez odległą tarczę półksiężyca. Mdłe, sinawe światło rozrzedziło atramentową ciemność, nasyciło ją niesamowitą, błękitną poświatą. Zakołysały się gałęzie drzewa za oknem, zatrzeszczały potężne konary, zaszeleściły drobniutkie listeczki, przypominając jej nagle, że jest wiosna. Czarowny czas, gdy odradza się wszelkie życie. Ale nie jej życie: ona jest odmieńcem, nie podlega prawom świata zza okna, zamknięta na głucho w mrocznym pokoju.

Gdyby ż tylko on powrócił! Gdybyż tak w ogóle nie odjeżdżał...

Czy on niczego nie rozumiał? Czy nie obchodziło go, że ona nie ma nikogo innego? Że bez niego świat staje się przerażającym miejscem, chłodnym, samotnym i pustym? Nieznośnie długie tygodnie przeleżała w łóżku w szponach bezdennej ciemności, z pękającymi z bólu skrońmi i płonącym gardłem, ale wiedząc, że Ian jest obok. Słyszała jego głos, czuła dotyk. To on sprowadzał ją z niebezpiecznych wędrówek po labiryncie ciemności. To dla niego przemagała się i otwierała oczy.

Noc za oknem przyzywała tysiącem zmiennych, falujących cieni. Chciała się tam znaleźć, bo tam gdzieś był Ian. Chciała tego z całej siły rozpacz, jaką dawało jej poczucie opuszczenia. Musiała natychmiast posmakować życia, które wypełniało świat za oknem, poczuć nieznaną zapach deszczu i zapomniany pocałunek wiatru. Stać si? częścią całości.

Szyba wydawała się zwodniczo cienka. Tak łatwo byłoby ją stłuc. Tak łatwo...

Stłucz szybę! Dotknij świata! - przyzywało nieznane podstępny^ uwodzicielskim głosem. Cofnęła dłoń i zwinęła ją w pięść.

Nie. Głęboko w zakamarkach rozumu zrodziła się świadomość, że niebezpiecznie jest tłuc szkło. Można zrobić sobie krzywdę - „zranić się”. Zresztą wcale nie potrzebowała tłuc szyby. Wystarczyło ją uchylić - otworzyć okno. Uśmiechnęła się, bo nieoczekiwanie powróciła jej pamięć. Wiedziała, jak tego dokonać. Przekręciła metalową rączkę i pchnęła do góry dolną połowę okna. Zaskrzybiało, z trudem przesuując się po framudze, jakby nikt go nie otwierał przez całe lata. Przez szczelinę wtargnął do pokoju lodowaty podmuch wiatru i wilgoć nocy smagnęła jej policzki. Zaśmiała się triumfalnie. Jakże upojnie pachniał świat - czysto i świeżo! Deszcz osiadał na twarzy wielkimi kroplami. Przymknęła oczy i oddała się czarowi chwili. Chłonęła jej smak, zapach, wielorakość doznań - słodycz mżawki na skórze, chłodne zaproszenie wiatru niosącego woń słonej wody i wilgotnej ziemi. Drzewa szumiały, fale napływały i rozbijały się rytmicznym hukiem o czarne, wyniosłe skały.

Oparła dłonie na drewnianym parapecie i wysunęła głowę. Oddychała pełną piersią. Zagadkowy, zmysłowy świat zagarnął ją w swe objęcia, nappełnił upajającym poczuciem nieograniczonych możliwości.

Wszystko tam było, czekało na nią - wszystko, o czym mogła zamarzyć, czego mogłaby zapragnąć. Czekало na nią za oknem...

Wdrapała się na parapet. Biała, batystowa koszula opłynęła ją od szyi po kolana, wydęta wiatrem jak żagiel. Coraz silniejsze podmuchy igrały z potarganymi splotami kasztanowych włosów, chłostały policzki. Jak niecierpliwe żądła. Rąbek koszuli podrygiwał w rytm uderzeń serca. Po raz pierwszy od chwili, gdy się obudziła, poczuła, że naprawdę żyje. Zlizwała z warg słone krople i potrząsnęła głową.

Za jej plecami stuknął podniesiony rygiel w drzwiach, jęknęły zawiasy.

- Słodka Mario, Panno Święta! - krzyknął ktoś i rozległy się spieszne kroki. Jaskrawe światło rozdarło ciemność sypialni. - Nie ^acz, dziecko, zabijesz się!

Zabijesz się. Selena poczuła, jak wraz z tymi słowami do serca Odziera się bolesny ziąb. Spojrzała w dół. Trawnik rozciągał się pod „1^ czarną plamką, oddzieloną otchłanią dwóch pięter. Raptem uzmysłowiła sobie, że może spaść i zranić się, chociaż dotąd nie przyszło jej to do głowy. Poczuła, że czyjaś dłoń ujmuje ją mocno za nadgarstek y Postąpiła się chwiać.

- Jesteś bezpieczna, Seleno. - Głos mężczyzny zaprzeczał uspokajającej treści słów, bo był zduszony i drżący, jakby wcale nie była bezpieczna! Powoli, ogarnięta lękiem przed upadkiem, obróciła się i spojrzała wprost w bladoszare oczy wypełnione lękiem.

- Nazywam się Andrew - usłyszała. - Czy mnie pamiętasz? Nie pamiętała. Ani jego, ani żadnej postaci z anonimowego tłumu cieni czekających tuż za progiem... ale to nie miało teraz żadnego znaczenia. Znaczenie miały tylko jego ciepłe, silne palce wokół jej przegubu. Znaczenie miało to, że w końcu ktoś do niej przyszedł, dotknął jej i zdawał się troszczyć o jej los, o to, by nic jej się nie stało. Chciała mu odpowiedzieć, ale ani jedno słowo nie przychodziło jej do głowy. Jakby jakaś część mózgu zasnęła i nie dawała przywołać się z powrotem. Ogarnięta bezsilną rozpaczą, pochyliła się ku niemu. Pomyślała bez słów: „pomóż mi... pomóż...” Niema prośba przepełniła jej serce, aż pierś zdawała się pękać z bólu, z gorącej potrzeby, by przemówić. Słowa wciąż wymykały się jej, drwiły, tańczyły poza zasięgiem pamięci. Chłopiec - Andrew - pogładził jej wilgotny policzek i uśmiechnął się do niej smętnie, lecz z ujmującym zrozumieniem:

- Człowiek tutaj czuje się niekiedy strasznie samotny... - powiedział. Otoczył ją ramieniem i pomógł zeskoczyć z parapetu. Jedną ręką opuścił okno i zaprowadził ją do łóżka. Zdjął lampę z wysokiej półki i postawił na nocnym stoliku, po czym zwrócił się do reszty:

- Wejdźcie, już wszystko w porządku. Nic jej nie będzie. Ubrani na szaro ludzie wsunęli się do pokoju jak powolna, powłócząca nogami procesja cieni. Selena rozpoznała wśród nieb rudowłosą kobietę, Maeve, oraz dziewczynkę ssącą kciuk. Za nimi szła tęga pomarszczona dama w koronie na posiwiałych włosach. Wszystkie trzy stanęły półkolem u stóp łóżka. Andrew ukląkł u wezglowia. Z pochylonej głowy spadł mu na oczy ciemnoblond lok-Chłopak odgarnął go niecierpliwą dłonią.

- Wiemy, jak tu bywa samotnie... pierwsze dni potrafią być przerażające. Ale chcemy, żebyś pamiętała, że nie jesteś sama.' Dźwignął się na nogi i wycofał o krok. - Moje panie, teraz wasza kolej'

Ukoronowana kobieta wystąpiła naprzód i wetknęła Selenie szary kamyczek, doskonale okrągły i gładki.

- Moja nieszczęsna poddanko - oto kamyk zmartwień. Kiedy

poczujesz strach czy ogarnie cię samotność albo troska, pocieraj go między kciukiem i palcem wskazującym - wyrwała jej skalny okruch \ pokazała, jak ma się nim posłużyć, potem zwróciła kamyk Selenie i usunęła się pod drzwi. Dziewczyna gapiała się na kamyk, zbyt zaskoczona, by zareagować. Tym razem słowo nadeszło bez trudu:

dziwna kobieta wręczyła jej „podarunek”. Tak zachowywali się przyjaciele i bliscy krewni, rodzina. Usłyszała głos Andrew:

- Lara, teraz twoja kolej!

Dziewczynka - Lara - podeszła do łóżka i wyciągnęła zza pleców szmacianą lalkę, mocno nadszarpniętą zębem czasu. Brunatna sukienka kukielki miała na piersi wielką dziurę, przez którą wystawał kłęb konopi, w gałgankowej twarzy brakowało jednego czarnego guziczka-oka. Z tyłu szmacianej łysiny sterczało kilka splecionych czerwonych nitek, niegdyś służących za włosy. Dziewczynka wyjęła z buzi kciuk i utkwiała w Selenie zaskakująco bystre spojrzenie.

- To Sara - oznajmiła niewyraźnie i pospiesznie wetknęła kciuk z powrotem w usta. Selena wzięła od niej

„Sareę”. Szmaciana lalka była porwana i wyłysiała, lecz dawała pokrzepienie. Selena odruchowo przytuliła kukiełkę do piersi i zaczęła łagodnie kołysać. Lara posłała jej szeroki, szczerbaty uśmiech dziecka i Selena zrozumiała, że postąpiła właściwie.

Maeve kiwnięciem głowy wskazała kupkę jedwabiu koloru rdzawych liści.

- Przyniosłam ci suknię. Edith ją dopasuje na twoją miarę.

Na końcu do łóżka powtórnie podszedł Andrew i znowu ukląkł Przy wezglówiu. Kobiety skupiły się za jego plecami. Chłopiec ^ciągnął zza paska spodni niewielki prostopadłościan.

- To książka dla dzieci. Pomyśleliśmy, że możesz sobie pooglądać „brazki.

Selena pieczołowicie ujęła nieznany przedmiot i pogłaskała miękką \*orkę oprawy. Przez długą chwilę wpatrywała się z nabożną czcią ^n ostatni podarunek. Był naprawdę wspaniały, aż zaparło jej dech. „...drew rozwarł stronice i przed oczami dziewczyny pojawiły się „towa: Kot. Pies. Ja. Dom.

- ^edyś umiała czytać! Nowo odkryta wiedza oszołomiła ją, aż „uczwała zawrót głowy. Tak dziwnie i podniecająco było poznawać

fakty o samej sobie... Przełknęła ślinę i spojrzała na klęczącego przy niej Andrew. Wyraz szczerzej sympatii zmieszanej z troską w jego oczach dodał jej sił. Ten na pewno nie będzie jej wyśmiewał nie odrzuci jej z pogardą, gdy się przekona, że nie umie mówić i nic nie wie o otaczającym ją świecie. Ten był czuły i delikatny i wiedział, czym jest lęk, samotność i zagubienie. Być może właśnie on będzie potrafił jej pomóc, być może dzięki jego naukom zyska dość bystrości, by odzyskać lana. Zwilżyła językiem wargi, szukając odpowiednich słów.

- Fikuśne... ozdóbki.

Gdy tylko je usłyszała, zoñentowała się, że znowu trafiła kulą w płot. Nawet nie przypomiñala sobie znaczenia słów, które same wymknęły jej się z ust. Ściągnęła brwi w takim skupieniu, że aż poczuła znajomy pulsujący ból z tyłu głowy. Ludzie zgromadzeni wokół łóżka nie spuszczałi z niej czujnych oczu, lecz w ich spojrzeniu nie doszukała się ani pogardy, ani osądu. Po prostu czekali, aż się do nich odezwie. Wykrztusiła wreszcie:

- Cytryna - i pomyślała, że to jeszcze niezupełnie to, ale jest już blisko. - Cyta...czyta. Czytać!

Wyciągnęła palec w kierunku Andrew.

- Ty... mi... czyta.

- T...ty chcesz... żebym ci poczytał?

- Nie - potrząsnęła głową, ale nie zdołała wyjaśnić dokładnie, o co jej chodziło. Pomóż mi znowu czytać! Zdanie wirowało w jej umyśle, tętniło drażniącym rytmem, skoñczone, zrozumiałe... nieosiągalne. Bezskutecznie próbowała wydusić słowa prostej prośby - wszystkie wysiłki spełzały na niczym. Wreszcie poddała się i rzuciła posępne spojrzenie na czekającego cierpliwie chłopca. Na jego twarzy pojawił się żaloszny grymas.

- Nie rozumiem... chcesz, żebym ci poczytał?

- Oczywiście, że o to chodzi biedaczce! - zadecydowała wreszcie za nią Maeve. - Wszyscy tego chcemy.

Lara pokiwała z zapalem głową i wdrapała się na łóżko obok Seleny. W mgnieniu oka cała czwórka jej gości usadowiła się wygodnie na miękkim posłaniu. Młodzieniec, którego imię Selena zdążyła już zapomnieć, zaczął czytać. Spokojne, rytmicznie odmierzane słowa opływały Selenę, a każde z nich wdzieralo się głębiej w pokrętnie

meandry pamięci, wywołując znajome wizje: „królik... wóz. Słońce.

Rodzina...”.

Bardzo delikatnie, niemal niedostrzegalnie, Maeve splotła palce ; palcami Seleny. Subtelny dotyk koił, pocieszał, krzepił. Selena rozejrzała się po twarzach nachylonych tuż nad nią i poczuła, że w jej sercu wzbiera fala niewymownej czulości. Ludzie, których imion nie potrafiła nawet spamiętać dłużej niż na kilka chwil, ofiarowali jej coś więcej niż nieoczekiwane podarunki. Sprawili, że poczuła się bezpieczna i otoczona czyjąś troską. Szukając słów, odezwała się:

- Selena...

Andrew przerwał lekturę i spojrzał wyczekująco, inni podnieśli wzrok w ślad za nim.

- Selena... wy... rodzina- zdołała powiedzieć.

Dziewczynka ssąca kciuk - to była Lara! - aż się zakrztusiła z przejęcia i wyciągnęła palec z buzi. Patrzyła na Selenę szarymi oczami błyszczącymi od łez. Selena przypominała sobie, co oznacza taki wzrok. Tęsknota. To uczucie Selena potrafiła zrozumieć, ponieważ tęskniła za Ianem.

Andrew zaśmiał się niepewnie.

- No tak, chyba rzeczywiście jesteśmy twoją rodziną, Seleno! Chciała oderwać wzrok od Lary, ale przykuł ją wyraz bólu, lęku i nadziei w oczach dziecka. Po raz pierwszy dotarło do niej, że w owym samotnym domostwie nad oceanem nie jest jedyną zagubioną istotą.

## 8

Niebo spurpurowiało jedwabistym cieniem zmierzchu. W oddali promienie zachodzącego słońca osiadły na wyniosłej, białej wieży kościelnej, jakby uciepione spiczastego wierzchołka. Drzewa strojne młodymi pąkami kwieciami otulały po obu stronach wąski zwirowany gościniec. Bujnie ulistnione konary rozpościerały się nad powozem jakby w geście błogosławieństwa, stukając palcami gałązek w płócienny dach. Ian siedział wciśnięty głęboko w siedzenie obite aksamitem koloru czerwonego wina, kolanami dotykając drzwiczek. Jego okno na świat stanowiła kwadratowa tafelka zmętniałego od starości szkła i przez nie obserwował znużonymi oczami leniwie przesuwający się krajobraz. Przejechali miasteczko - niekończący się sznur białych, zadbanych domków o ścianach z desek. Każdy z nich tkwił pośrodku kwadratu starannie przyszczyżonej trawy, odgradzony od sąsiedniego szpalerem wiecznie zielonych drzew iglastych. W centrum osady niebieszczył się staw - w rodzaju tych, które zimą aż się prosiły o roześmianych, zarumienionych łyżwiarzy, a latem o gromadki rozleniwionych piknikowiczów. Powóz bez ostrzeżenia wpadł w dziurę w drodze, przechylając się na prawy bok. Ian zderzył się ze ścianą a na udach poczuł elektryzujący dotyk kolan Johanna. Jeszcze zanim odzyskał równowagę, napłynęła wizja: Sosnowa trumna bez jakichkolwiek ozdób... pobladła, ciemnowłosa kobieta przypięta pasami do łóżka zaślanego brudnymi prześcieradłami, skrzęcająca się w bólu, przez zaciśnięte zęby wykrzykuje imię Johanna... potem zatrząskujące się drzwi, metalicznie szczęką zamek.

Tym razem prócz obrazów wyobraźnia przyniosła coś więcej:

uczucia. Fale emocji tak potężnych, tak wszechogarniających, że wcisnęły lana w aksamitne oparcie.

Smutek. Żałoba tak bezdenna, że mógłby się w niej pogryźć, oddać jej duszę na wieczne zatracenie.

Ian poderwał głowę i ujrzał niezmacone, jak zawsze sardoniczne spojrzenie Johanna, z ust którego nie spełzał znajomy półuśmieszek.

- Cóż, *Herr Doktor*, ma pan zamiar wywróżyć mi teraz przyszłość? Ian przeszukiwał bacnym spojrzeniem każdy centymetr pociągłej, kościstej twarzy towarzysza. Starał się zgłębić wyraz zielonkawych, wodnistych oczu, a serce waliło mu jak obłąkane, zagłuszając turkot kół. W skroniach poczuł znajome ćmienie. Sarkastyczny uśmiech Johanna spełził, mężczyzna rzucił się w kąt powozu, odsuwając nogi jak najdalej od lana.

- Naprawdę odczytałeś moje myśli! Wspominałem żonę... Ian dobrze wiedział, że powinien milczeć, odgradzić się skorupą lodowatego spokoju, który tak długo stanowił jego cały świat, ale tym razem nie udało mu się zachować obojętności. Zbyt nim wstrząsnął ujrzenie przed chwilą obraz, zbyt bezpośrednio odczuł ogrom tamtego nieszczęścia.

- Nie wiedziałem...

Rysy Johanna nabrały nieoczekiwanej miękkości i choć raz uparty cynizm opuścił jego oczy, a z kącików warg zniknął gorzki grymas.

- Słyszałeś to co wszyscy: że to był skandal. - Potrząsnął głową. - Naprawdę to była zbrodnia...

Rozciągała się między nimi cisza w odróżnieniu od milczenia ^rzed kilku minut dziwnie krępująca. Wreszcie Johann zdecydował się przerwać ją niemal niedosłyszalnym szeptem:

- Wiesz... zakochałem się w Marii od pierwszego wejrzenia.

Ian nie wiedział, co powiedzieć.

- Musiała być wcieleniem wszystkich twoich marzeń.

- Johann odwrócił twarz i utkwiał spojrzenie w przeciwległym okienku. Sarbione ramiona obwisły, głowa na zwiotczącej szyi uderzała ładnie w mięką wyściółkę na ściance powozu. - Nie... ona była inna, moja

maleńka Marie. Och, mówili, że to \VKA; oczywiście tym się trudniła. Ale aby poznać całą prawdę °)’  
„^siałem wejrzeć głębiej, pod powierzchnię oczywistości,

wedrzeć się pod grubą warstwę makijażu, wyzywających przebrań i wyćwiczonych odzywek biegłej  
ladacznicy. - Spojrzał prosto na lana, który nie mógł nie zauważyć łez w oczach towarzysza. - Gdy ujrzałem  
ją oczami duszy, wiedziałem, że muszę rzucić cały świat do diabła i być z nią. A kiedy zachorowała na  
syfiliś, nie odstąpiłem jej. Pielęgnowałem ją w chorobie aż do końca.

- Drogo cię to kosztowało!

- Masz na myśli moją nieuchronną śmierć? - Johann parsknął cichym, zadziwiająco naturalnym i otwartym  
śmiechem. - Jeśli tylko to zdołałeś ujrzeć pod wpływem mojego dotyku, to szczerze mi cię żal, lanie.  
Proponuję, byś dotknął mnie jeszcze raz i sprawdź: dobre wspomnienia przeważają nad gorzkimi, jest ich  
więcej i są trwalsze, a miłość do niej była warta każdej ceny. Umarłem w chwili, w której ją opuściło życie,  
tylko moje ciało jeszcze o tym nie wiedziało.

Ian przypomniał sobie ból, którym nabrzmiało przelotne dotknięcie Johanna, i wiedział, że on mówi  
prawdę. Odwrócił spojrzenie, by dać towarzyszowi podróży szansę na chociaż tyle prywatności, ile można  
było znaleźć w ciasnym pudle powozu; utkwiał wzrok za oknem. Ostatnie białe domki zniknęły właśnie za  
zakrętem, żwirowy gościniec wcinął się w sosnowy zagajnik, przetykany klonami. Miejscami drzewa rosły  
tak blisko, splatając konary z sąsiadami, że nieopatrzny wędrowiec mógł łatwo zagubić się w mrocznej  
gęstwinie. Wjeżdżali w puszcę porastającą rozległe połacie stanu Maine, niezbadane przez kartografa,  
nietknięte stopą odkrywcy, gdzie noc zapadała wcześniej niż na otwartych równinach, a powietrze  
przepojone było słodkim aromatem mchu, bagien i leśnych sekretów. Niedługo znajdą się w sercu dzicy,  
skrytym przed „przyzwoitym” społeczeństwem zamieszkującym ten nadzwyczaj cywilizowany kraj.

Szpital w Pollusk nie różnił się niczym od innych publicznych azyli dla obłąkańców. Było to gmaszysko  
zimne, wzniesione z dala od ludzkich osiedli i starannie ignorowane przez ich mieszkańców. Senne  
miasteczka bardzo się rzecz jasna cieszyły, że mają w swoim stanie tak potrzebną instytucję tego rodzaju -  
jednocześnie żadna gmina nie chciała, by szpital - źródło przesądnego lęku - znajdował się w bezpośredniej  
bliskości „normalnych” osad. Ian dobrze znał opowieści osnute na kanwie domniemanych czy prawdziwych  
wydarzeń z takich miejsc, legendy straszniejsze niż historie o duchach, gawędy P0’

^tarzane na wszystkich rodzinnych i sąsiedzkich zebraniach, groźby, którymi znużeni nadzorem rodzice  
utrzymywali w ryzach nieposłuszną dziatwę. To były historie o szalonych mordercach, którzy siekierą  
cwiartowali swoje niewinne ofiary; o zabójcach dzieci i ogarniętych Iowawą manią wampirach... nie  
wszystkie całkiem wyssane z palca. gyło w nich dość prawdy, by poczciwi włościanie drżeli ze strachu na  
sąmą myśl o istnieniu podobnych miejsc. I akurat tyle, by wszyscy starannie je omijali.

Sam tego doświadczył kilka lat temu, bezpośrednio po powrocie do rodzinnej rezydencji Lethe, kiedy  
wypuszczał się jeszcze okazjonalnie do sąsiedniego miasteczka. Gdziekolwiek się zjawił, słyszał stłumione  
szepty i czuł spojrzenia wybałuszonych oczu. Staruszki zęgały się znakiem krzyża, gdy przechodził - nawet  
nie na tyle blisko, by otrzeć się o ich suknie. Jedna nawet zemdląła, kiedy nieopatrznie spojrzał jej prosto w  
oczy...

O, tak, wiedział, co znaczy być otoczonym zabobonnym strachem i traktowanym jak trędowaty - na  
odległość. Przypuszczał, że poczciwi prostaczkowie z wiejskich okolic Maine nie różnili się w niczym od  
mieszkańców większych miast. Odmienność wszędzie budziła nienawiść podszytą lękiem, a pensjonariusze  
podobnych przybytków byli największymi odmieńcami.

Aczkolwiek szpital, do którego zmierzali, nie gościł w swych murach morderców - jak zresztą wszystkie  
tego rodzaju instytucje. Znajdowały w nim schronienie nieszczęsne dusze, odrzucone przez społeczeństwo,  
gdyż nie udało im się znaleźć w nim miejsca dla swoich dziwactw i natręctw: cierpiący na melancholię,  
demencję, maniacy, ogarnięci monomanią, kretyni i debile. Smętni, opuszczeni ludzie, tacy jak matka lana.  
Bardziej zagrażali samym sobie niż Wędrowcowi, co przypadkiem zabłąkałby się w pobliże ich gniazda.  
„^cz jasna mieszkańcy Pollusk za żadną cenę nie daliby wiary tym Upewnieniom.

Powóz szarpnął i stanął, ale żaden z jego pasażerów nawet nie ‘,„gnał. Wreszcie odezwał się Johann:

- Nie cierpię tej zatraconej dziury! - Przebiegł go dreszcz, jak od modnego powietrza. Ciaśniej otulił się  
płaszczem. - Kiedyś tu PRebywałem. Wiedziałaś o tym? Kiedy się zakochałem w Marii, ^ wiadczyłem ojcu,

że chce ją poślubić. Wielki Frederick Strassborg

wychtostał mnie wtedy do nieprzytomności, omalżem nie wyzioną) ducha... a gdy wróciłem do zmysłów, poinformował mnie, że „żaden z jego synów nie ożeni się z kurwą”. - Prychnął nieprzyjemnym śmieszkiem. - Nigdy go przesadnie nie słuchałem, więc niebawem uciekliśmy z Marie i już byliśmy w kościele, gdy ojciec nas odnalazł. Odciągnął mnie od ołtarza siłą i przywiózł właśnie tutaj. Jak się pewnie orientujesz, prawo nie zajmuje wyraźnie określonego stanowiska w przypadkach uprowadzeń na łonie rodziny... więc trzymali mnie tu w zamknięciu trzy lata. Tyle trwało wyduszenie ze mnie przeprosin i obietnicy, że nigdy nie popełnię takiego głupstwa i nie ożenię się z Marie.

Ian nie pragnął kolejnej tak osobistej rozmowy z Johannem, w gruncie rzeczy bał się zwierzeń, ale nie mógł powściągnąć ciekawości:

- Co się potem stało? Johann wyszczerzył zęby.

- W dotrzymywaniu obietnic okazałem się równie mało utalentowany...

Zgrzytnęła rączka pod oknem powozu i obite aksamitem drzwiczki uchylły się, ukazując starszawego woźnicę. Za nim, wśród wysokich drzew, wznosiły się szare mury azylu. Masywna budowla przypominała drapieżnego ptaka z granitu, który przycupnął w absolutnym bezruchu i ciszy, wypatrując ofiary.

- Jesteśmy na miejscu, panie doktorze. Przez chwilę krótką jak uderzenie serca lana ogarnął lęk tak wielki, że nie mógł się ruszyć i ledwie oddychał. Johann powiedział cicho:

- Przyjechałeś w poszukiwaniu odpowiedzi, Ianie, której pilnie potrzebujesz.

Wiedział, że towarzysz ma rację, ale ta świadomość bynajmniej nie rozpraszała lęku. Sięgnął po płaszcz i otulił się nim po szyje' Poczuł nagły chłód w żyłach.

- Johann, przypilnuj, by nikt mnie nie dotknął! Towarzysz rzucił mu smętne, współczujące spojrzenie.

- Sądziłem, że o to właśnie chodzi w naszej wyprawie, doktorze' Ian udał, że nie rozumie, i bez słowa odpowiedzi wysiadł z powozu na drózkę prowadzącą do szpitalnych wrót. Chociaż zatrzaśnięte n3 głucho, wyglądały, jakby czekały na niego i tylko na niego: wielki®

drewniane odrzwia osadzone w solidnych murach o pseudogotyckiejarchitekturze. Wzdłuż fundamentów i drogi wejściowej ciągnął się nieskazitelnie przystrzyżony żywopłot. Elegancka ściana zieleni wyznaczała symboliczną granicę wokół granitowego budynku, a nieco dalej strzeliste drzewa stały na wiecznej straży, kołysząc się łagodnie w wieczornej bryzie, szepcząc między sobą opowieści o tym, co widziały za murami, o krzykach, jakie ich dochodziły zza zamkniętych na głucho okien... Johann stanął tuż za nim.

- Gotów?

Ian nie zdawał sobie sprawy, że się zatrzymał na progu ze wzrokiem utkwionym w zamknięte wrota. Na wszystkie moce piekiel! Nie jest gotów i nigdy nie będzie, ale i tak musi tam wejść. Głupiec, po co tu przyjeżdżał? Musiał koniecznie narażać się na ryzyko z powodu kobiety, która nie rokowała nadziei na poprawę? Ogarnęła go niepowstrzymana ochota, by odwrócić się i uciekać, gdzie oczy poniosą. Wcisnąć się w kąt powozu albo zaszyć w leśnej gęstwinie, tam gdzie dręczące wspomnienia błąkały się wprawdzie, ale przynajmniej nie wdzierały się w cudzą duszę. Poczuł nawet bardziej obłąkańczą chęć, by zwierzyć się Johannowi, opowiedzieć mu całą odrażającą historię o tym, co się tu wydarzyło, o wyjątkowej ohydzie pewnej zdrady.

Czas stanął w miejscu, jakby cały świat wstrzymał oddech. Wreszcie chwila słabości minęła i Ian sięgnął do klamki, lecz nagle zatrzymał się w pół gestu i zerknął na Johanna.

- Ja się przełamałem... ale czy ty jesteś gotów wejść? Towarzysz uśmiechnął się przelotnie.

- Cóż za pytanie! - Spoważniał. - Stawianie takich pytań, doktorze, J®st całkiem do ciebie niepodobne. Owszem, jestem gotów.

Ian podniósł rękę i zapukał. Po kilku chwilach uchylło się jedno wzdło wrót i na zewnątrz wytknął głowę smagły mężczyzna 0 ponurej twarzy i barczystych ramionach.

- Czubków przyjmujemy wyłącznie za dnia! - burknął i próbował zaInknąć drzwi, Ian pchnął je tak mocno, że wartownik zatoczył się 0 tyłu. Korzystając z tego, przybyli zgodnym ruchem wślizgnęli się 0 środka. W nozdrza buchnął tak silny smród niemytych ciał, że Ian ^chwiął się i przez chwilę wyglądało na to, że upadnie. Zgięty .-Pól, siłą woli powstrzymywał wymioty. Przełykał spazmatycznie

ślinę i zaciskał powieki. O beczkowate sklepienie korytarza obijały się echa licznych głosów, nawoływań i

jęków, stapiały się w drażniący uszy bełkot, jak monotony poszum skrzydeł trzmiela. Wartownik odzyskał równowagę i rzucił się ku nim.

- Hej, wy! Niech was jasna cholera!

Johann wysunął lekko stopę i przysadzisty mężczyzna potknął się i wyłożył jak długi na kamiennej posadzce. Johann przyłożył dłoń do piersi i cmoknął w udawanym zmieszaniu:

- Och, jej, czy to przeze mnie? Jakże niewymownie żałuję! Wartownik dzwignął się na kolana.

- Ty nędzny szcurku, wcale nie żałujesz... ale niebawem zaczniesz, i to bardzo.

Johann wskazał dłonią swojego towarzysza.

- Powinienem może przedstawić mojego, hm... pracodawcę. Oto doktor Ian Carrick.

Wartownik zastygł w miejscu, po czym bardzo powoli zwrócił twarz w kierunku Iana. Mrużył oczy, jakby chcąc dokładniej obejrzeć przybysza.

- To pan... jest doktor Carrick?

Ian dobrze znał to spojrzenie. W dawnych czasach widywał je niezliczone setki razy - wyraz zdumienia graniczącego z niewiarą w oczach, których właściciel właśnie zdał sobie sprawę, że stoi przed nim ucieleśniona legenda, przedmiot tylu plotek. Ciekawość kłóciła się w nim z rosnącym lękiem. Wartownik uczynił krok do tyłu. I do takiej reakcji Ian był przyzwyczajony.

- Doktor Welisby uprzedzał, że pan przyjedzie. Ale ja nie wierzyłem...

- Niewątpliwie to przenikliwa inteligencja zapewniła ci owo wielce odpowiedzialne stanowisko - wycedził Johann i demonstracyjne splótł ramiona na piersiach. - Może więc wreszcie zaprowadzisz nas do swego przełożonego?

Wartownik prześlizgnął się za ich plecami i pospiesznie zatrzasnął drzwi, po czym rzucił się naprzód korytarzem, a czynił to z takim pośpiechem, że potykał się o własne nogi. Kiedy uznał, że znalazł się w bezpiecznej odległości od przybyszy, rzucił przez ramię:

- Trzecie drzwi po prawej. Idźcie za mną. Ja... ja pobiegnę przodem i powiem doktorowi Welisby'emu, że już tu jesteście. - Zniknął, n1"1

jeszcze zamarło echo jego słów i tylko gasnące dudnienie kroków, w beczkowatym korytarzu świadczyło o tym, że był tu przed chwilą.

- Czy ludzie zawsze tak się wobec ciebie zachowują? - spytał Johann.

Ian poczuł przypływ niezmiernego znużenia, jakby przybyło mu w jednej chwili ze sto lat.

- To jakaś pomyłka.

- Cóż, wobec tego podążaj za mną, Ianie. Pomyłki to moja specjalność. - I Johann zaczął oddalać się w głąb korytarza. Jan stał przez chwilę nieruchomo w posępnej, szepczącej ciemności, całym sobą czując dotkliwą samotność. Odgłosy tego miejsca wdzierały się w odrętwiałe uszy: przeciągły krzyk kobiecy, tępe szuranie stóp bez końca wędrujących w kółko, sójczy gęgot rozmów pozbawionych sensu. Nic się tu nie zmieniło. Wciągając w nozdrza dobrze znajome wonie, poczuł narastające mdłości. Podniósł ręce do uszu, ale nic nie mogło go odgradzić od ryku bólu setek zbłąkanych dusz. Nie mógł zrobić ruchu. Stał jak wrośnięty w kamienną posadzkę.

„Ianie, tutaj tak cuchnie. Boję się”.

Zadrżał na całym ciele i owinął się płaszczem. Wciągnął do płuc zgniłe, wilgotne powietrze, nabrzmiałe odorem śmierci, agonii i zapomnienia.

„Przepraszam, Ianie. Cokolwiek zrobiłam... przepraszam, przepraszam! Błagam, nie zostawiaj mnie tutaj. Och, Boże miłosierny... Ianie... błagam...”

Gdzieś w oddali zatrzasnęły się z hukiem żelazne drzwi, wyrывая Iana z grząskiego bagna wspomnień. Johann, który zdążył się już oddalić spory kawałek, zatrzymał się i rzucił mu wymowne spojrzenie.

- To miejsce wyzwala demony pamięci, prawda? - głos mu drżał.

Ian nie odpowiadał. Resztką woli zmusił się, by ruszyć do przodu. Na końcu mrocznego korytarza ujrzeli węższą odnogę, gdzie lepką ciemność rozpraszały nieco pełgające płomyki gazowych lamp przymocowanych w regularnych odstępach do ścian. Skręcili za róg i nieoczekiwanie ujrzeli gromady ludzi stłoczonych wokół żółtawych Plam światła, jak chmary świetlików szybujących desperackim lotem ^żółtawy krąg ciepła. Wszyscy mamrotali głosami wypranymi



Jsiachkolwiek uczuć czy emocji: jedni sami do siebie, inni do Siadów, którzy wcale ich nie słuchali, Ian szedł naprzód, wymijając

mężczyznę, który rytmicznie walił głową w ścianę; kobietę o znużonym obliczu, skuloną w cienistym kąciku muru i zajęta wyrwaniem sobie włosów z cebulkami; innego mężczyznę w kaftanie bezpieczeństwa który tak zawzięcie żuł własny język, że krew tryskała na brudnoszare płótno jego kalesonów.

„Nie zostawiaj mnie tutaj, Ianie. Proszę”.

- Jezu! - wychrypiał Johann. Gdzieś przed nimi skrzypnęły drzwi i męski głos przedarł się przez chaotyczny zgiełk, aż ludzie na korytarzu przysiedli i ucichli.

- Ian! Tutaj!

Pacjenci rozpierzchli się jak na komendę, wtopili się w zakamarki, z których przyszli, jak stado owadów wpełza w popłochu pod chłodne kamienie. Korytarzem zbliżał się do nich z wyciągniętą dłonią sam dyrektor szpitala, Giles Welisby.

- Ian, stary druhu, cóż za niespodziewana wizyta! Cholernie się cieszę, że cię znowu widzę. Po tych wszystkich zaproszeniach na świąteczne rauty, które zostawiałeś bez odpowiedzi, obawiałem się już, że pożegnałeś się z tym pięknym światem!

Ian patrzył na wyciągniętą, coraz bliższą dłoń i czuł, że ogarnia go coraz większe przerażenie. Usiłował stłumić dziecinne, nierozumne uczucie, ale im silniej mu się przeciwstawiał, tym mocniejszy był instynkt, który nakazywał mu rzucić się do ucieczki. Czyżby miał się ośmieszyć? Ten człowiek wyciągał dłoń w powitalnym geście - nie było w tym nic innego. To tylko cholerne powitanie! - powtarzał sobie w myśli. Giles zatrzymał się wreszcie.

- Ianie? - pociągnęły, wyprane z barwy policzki dyrektora ściągnęły się w grymasie dezaprobaty, Ian rozumiał, że musi jak najszybciej zareagować - musi natychmiast zdobyć się na odpowiedź, inaczej cała wyprawa pójdzie na marne, bo Welisby, zamiast jak równego sobie, potraktuje go jak pariasa. Zaczerpnął głęboki oddech i wyciągnął do gospodarza dłoń w rękawiczce. Wewnętrznie zeszytniał w gotowości na nieuchronny potok obrazów. Zmusił do ruchu zdrętwiałe wargi:

- Giles... jak się miewasz?

Dłonie spotkały się, palce splotły w uścisku, a myśli Gilesa wdarły się do umysłu Iana chaosem fragmentarycznych wizji, urwanych fraz i uczuć. „Co się z nim właściwie działo? Chodziły jakieś plotki.-

paranormalne bzdury... medium... może postradał zmysły... nie wygląda

najlepiej...” - Jak miło cię widzieć, Ianie. Wyglądasz znakomicie! - Giles

wyszczrzył zęby w uśmiechu. Zbyt silne były w nim nawyki dżentelmena starej szkoły, by ośmielił się wypowiedzieć na głos pytania, które zadawał sobie w myślach, a Ian cieszył się z tego niezmiernie. - Nie dalej jak w zeszłym miesiącu moja pani dopytywała

się o ciebie. Wysupłał dłoń z uścisku. Lawina obrazów natychmiast się urwała

i ustąpiło znajome, łupanie w skroniach. Uradowany uczuciem ulgi, Ian zdał sobie sprawę, że zapomniał, co mówił do niego przed chwilą dyrektor, i za żadne skarby świata nie potrafił sobie przypomnieć. Ogarnął tamtego wzrokiem, o którym wiedział, że jest pusty jak spojrzenie obłąkańca i że Giles nie omieszka tego zauważyć.

- Ianie...? - przynaglił go kolega. Nagle zza jego pleców wysunął się Johann, wyciągając dłoń na powitanie.

- Jestem Johann Strassborg, doktorze Welisby.

Oblicze dyrektora wyrażało zaskoczenie nieoczekiwaną interwencją. Powoli obrócił się ku Johannowi, ujął jego dłoń i potrząsnął, ale cały czas wpatrywał się niepewnie w jego twarz. Stopniowo na czole pojawił się mars.

- Strassborg? Przypominam sobie pacjenta o tym nazwisku... -Poderwał głowę, a z policzków uciekła resztką krwi.

- Widzę, że pan skojarzył - skomentował Johann.

Żółtawą twarz Gilesa powlekl rumieniec tłumionego podniecenia. Odchrząknął i zwrócił się do Iana:

- Cóż więc po tylu latach nieobecności sprowadza cię do mojej leśnej pustelni?

Ian rzucił Johannowi dziękczynne spojrzenie.

- Kiedy cię odwiedziłem ostatni raz, właśnie przyjąłeś kobietę, ^tora spadła z konia i uderzyła głową o

kamień. Pamiętasz?

Siles skinął głową.

- Owszem, Elizabeth. . Mam teraz podobny przypadek. Pacjentka była nieprzytomna,

^y Ją do mnie przyniesiono. Pozostawała jakiś czas w śpiączce,

Suy się wreszcie przebudziła, zaczęła zdradzać objawy głębokich ^ „rzeń mowy i... innego rodzaju.

Giles skubał się zamyśleniu w obwisły podbródek. .

- Afazja?

- Tak, ale wydaje się, że to coś więcej. Wystąpiły, rzecz jasna wszystkie objawy, jakich należało oczekiwać: kłopoty natury semantycznej dotyczące doboru słów i morfologicznej poprawności, niezdolność formułowania poprawnych syntaktycznie zdań... ponadto mamy tu jednak do czynienia z problemami wskazującymi na ubytek władz umysłowych. Prawdopodobnie doszło do uszkodzenia mózgu, chociaż nie wykluczam jakiegś mało charakterystycznej formy amnezji.

- Co masz na myśli?

- Problemy nie ograniczają się do blokady wspomnień dotyczących wydarzeń z przeszłości. Są bardziej, jak by tu rzec... globalne. Ona nie tylko nie ma pojęcia, jak się nazywa, skąd pochodzi ani kim jest. Straciła też pamięć podstawowych doświadczeń, rzeczy, których nie sposób nie wiedzieć, które musiała kiedyś znać. Jest, powiedzmy... jak małe dziecko. Jak niemowlę, na litość boską! Nie wie, że ogień jest gorący, że nie da się przesunąć dłoni przez szybę, że martwa mysz to nie zabawka. Mówi do liści i oczekuje, że jej odpowiedzą.

Giles zmarszczył czoło.

- Całkowita utrata wiedzy wyuczonej plus'totalna amnezja dotycząca tożsamości? Niezwykłe, wielce niezwykle... Chciałeś poprosić, bym przyjął ją na obserwację? Mógłbym naturalnie...

- Nie!

Giles zeszywniał i cofnął się odruchowo, najwyraźniej urażony.

- Cóż, w takim razie... co mogę dla ciebie zrobić?

- Przepraszam cię, Giles. To nie chodzi o ciebie, rzecz jasna. Przyjechałem do ciebie jako do najlepszego alienisty, jakiego znano. Tylko to miejsce... związane z nim wspomnienia... - Celowo urwał. Oblicze Gilesa wy pogodziło się, w oczach pojawiło się zrozumienie.

- Tak, naturalnie, pojmuję. Jak się dzisiaj miewa urocza Maeve?

- Obawiam się, że bez zmian.

Giles pokiwał z wolną głową. Na chwilę zapanowało między nin" milczenie, po czym Giles odchrząknął.

- Wróćmy więc do naszej rozmowy. Przyjechałeś zobaczyć Bli-zabeth i jej postępy? Ian poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

- Ach, więc ona wciąż żyje?

„. Owszem - odpowiedział Giles niemal niedosłyszalnym szeptem. -Wciąż żyje i wciąż tu przebywa...

Wciąż tu przebywa - to nie był dobry omen! Ian lękał się zadać kolejne pytanie.

- Nastąpiła jakaś poprawa?

- Sądzę, lanie, że powinieneś sam ją zobaczyć. Potem możemy omówić szczegóły.

## 9

W mrocznym korytarzu kłębili się ci sami odziani na szaro ludzie. Dreptali w kółko lub przechadzali się bez celu wzdłuż chłodnych murów, Ian kroczył naprzód wyprostowany jak pika, mając Johanna po swej prawej stronie, a Gilesa po lewej. Raptem siwowłosa staruszka rzuciła się ku dyrektorowi i złapała go za ubranie koślawymi palcami zagiętymi w szpony.

- Muszę stąd wyjechać, doktorze Welisby, koniecznie... Giles nie zwolnił kroku. Kobieta osunęła się na posadzkę i została na niej jak kupka żalonych łachmanów.

Zewsząd otaczali ich ludzie. Zanosili się szlochom, czytali, wrzeszczeli, usiłowali przekrzywić ogólny harmider. Prośby i błagania zlewały się w jedno chóralne, jęklliwe zawodzenie.

- Okropna pomyłka...

- Mój mąż, dyrektorze Welisby! Czy widział się pan już dzisiaj z moim mężem?

- Tonę, tonę...

Ian starał się nie słyszeć nieskładnych zawodzeń. Wmawiał sobie, że w ciszy rozlega się tylko stukot obcasów na kamiennej posadzce i stłumiony brzęk kluczy, które Giles nosił przyczepione u paska. Jednak wszelkie sztuczki Jana okazały się daremne, zgiełk wypełnił mu czaszkę. Skręcili za róg. W tymże momencie ciżba - jakby na niemą komendę - rozpięzła się, zostawiając ich samych w pustym i cichym korytarzu. Monotonie białego tynku ścian przerywały w regularnych odstępach zamknięte drzwi- solidne, bez żadnego

okienka, zaopatrzone w masywne rygle. Przez szczeliny nad progiem niosły się spod nich ciche, stłumione jęki i płynęły donikąd ciemnym korytarzem. Giles objaśnił:

- To oddział katatoników. Nawet pacjenci boją się tu zabłądzić. Zatrzymał się przy ostatnich drzwiach i wyciągnąwszy pęk kluczy na mocnym łańcuszku, oddzielił od nich jeden. Wsadził go w otwór zardzewiałego zamka i przekręcił z niejakim wysiłkiem. Zanim pchnął drzwi na oścież, zwrócił się do Iana. W niepewnym świetle gazowej lampy jego twarz wydała się dziesięć lat starsza. Policzki powlokła woskowa bladeść, a na obliczu rysowała się wyraźna siatka zmarszczek. Odezwał się przyciszonym głosem:

- Kto raz tu trafi, nigdy już nie wychodzi.

Drzwi skrzypnęły pod jego dłonią niechętnym protestem, odsłaniając obszerny pokój zdumiewająco starannie, nawet komfortowo wyposażony. Ściany pomalowano na odcień kości słoniowej i obwieszono obrazami w rzeźbionych ramach. W centrum pomieszczenia stało wielkie łóżko pod baldachimem, zasłane śnieżnobiałą narzutą. W drewnianym bujanym fotalu siedziała stara kobieta, odwrócona ku kratom w oknie po lewej stronie. Twarz zasłaniały długie pasma kędzierzawych, szpakowatych włosów, opadających wiotkimi kosmykami aż na podolek. Ian pochwycił ciche, monotonne mruczenie, które wydobywało się z jej ust, ale nie zdołał odróżnić w nim żadnych słów, tylko nieskładny potok głosek i zająknięć. Dłonie kobiety spoczywały na kolanach niczym zakrzywione wędkarskie haczyki na przynętę. Na trzecim palcu lewej dłoni iskrzył się srebrny pierścień z brylantowym oczkiem.

Giles odezwał się niemal szeptem:

- Elizabeth?

Siedząca nie drgnęła, nie podniosła głowy. Giles gestem ręki Bakazał obu mężczyznom wejść do pokoju, podszedł do fotela i ukląkł P^y poręczy.

- Elizabeth, słonko! Przyprowaździłem panów, którzy chcą cię Poznać.

Przez nieskończenie długą chwilę nie było żadnej reakcji. Wreszcie Bfdzo powoli, jak gdyby każdy ruch groził bólem, kobieta odwróciła 8 °wę od okna. Blade poświata księżycyca przesączała się przez prze-A^y^ szybę i przesiana przez kraty kładła pasma srebrnego blasku

na szczupłej twarzycze. Z bliska okazała się dużo młodsza, niż myślą} stojąc w progu. Jej uroda, nawet w przyćmionym blasku księżycyca zapierała dech. Gęsta firanka atramentowoczamych rżęs osłaniała ocz\ o bursztynowych tęczówkach - oczy puste i szkliste. Z obwisłego kącika różanych ust sączyła się srebrzysta nitka śliny, plamiąc błękitną suknię. Giles wyciągnął z kieszeni surduta śnieżnobiałą chusteczkę i otarł plwocinę z jej warg. Zamrugła i widać było, że usiłuje skupić na nim wzrok. Z jej ust wydarł się skrzekliwy głos:

- To...papier. To czy...? To wiosna. - Zadarła podbródek i obrzuciła pokój nieobecny, szklistym spojrzeniem. - Wino szklanki pije! -Odwróciła się i ponownie zapatrzyła w okno. Fotel zaczął się kołysać rytmicznie, leciutko poskrzypując. Giles pochylił głowę.

- Możecie mi wierzyć lub nie, ale to jest jej dobry dzień -powiedział w przestrzeń, nie zwracając się do żadnego z nich.

Ian szukał cech, które odróżniałyby Elizabeth od Seleny. Próbował zignorować rzucające się w oczy podobieństwo obydwu przypadków:

ciąg absurdalnych fraz, tego samego rodzaju obrażenia głowy. Wypatrywał natomiast rozbieżności, choćby najmniejszej, która pozwoliłaby potraktować Selenę jako inny przypadek. Może Giles nie dość próbował? Może zrezygnował zbyt wcześnie, kiedy była jeszcze szansa? Kurczowo uchwycił się tej myśli.

- Jakie stosowałeś terapie?

- Wszystkie, jakie znam. Wstrząsy elektryczne, zawijanie w mokre prześcieradła, zimne kąpiele - co tylko

chcesz. Wypróbowałem każdą, choćby niepotwierdzoną praktyką teorię psychologiczną, nawet tę zwariowaną psychoanalizę Freuda. Nic nie działało. Ona nie jest wariatką, lanie, tylko jej mózg odniósł nieodwracalne uszkodzenia. To proste - i nic się z tym nie da zrobić. - Wzruszył ramionami. -Całkiem zwyczajnie, jej mózg już nie pracuje. Potrafi naśladować kilka słów, jak papuga. Umie się sama pożywić i jeśli naprawdę chce, potrafi chodzić - ale to właściwie kres jej umiejętności. Od czasu do czasu zaskakuje mnie składnym zdaniem, ale nieczęsto się to zdarza i jej stan nie ulega poprawie.

- A gdybyś spróbował...

Giles odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy. Po policzku spływała mu łza, której nie starał się ukryć.

- To moja córka.

przez sekundę długą jak wieczność Ian nie mógł wydusić z siebie słowa, przygnieciony nieznośnym ciężarem wstydu.

- Och, Giles... Jezu, jakże mi przykro!

Miał ochotę odwrócić się na pięcie i nie czekając ani chwili dłużej, uciekać z tego przedsiönka piekieł, nie oglądając się za siebie. Nie potrafił jednak odrzucić ostatniej słabej nadziei, która go tu przywiodła. Musiał dotknąć Elizabeth, wnikać w jej psychikę, zajrzeć do wnętrza jej umysłu. Musiał wiedzieć...

- Zostaw mnie z nią samą. Tylko na chwilę - prośba wyrwała mu się z ust, zanim zdążył pomyśleć, co robi. Giles poderwał głowę i spojrzał podejrzliwie.

- Czemu?

- Muszę dotknąć jej ręki. To wszystko... to potrwa tylko chwilę.

- A więc to prawda? Te plotki, że dotknięciem potrafisz czytać w cudzym umyśle?

- Czasami - odrzekł, ale po chwili uściślił wymijającą półprawdę: -Zazwyczaj. Giles wstał z kłęczek i spojrzał mu prosto w oczy.

- A jeśli ja nie chcę się dowiedzieć, co ona odczuwa? Ian nie spuszczał z niego spojrzenia.

- Witaj w moim piekle, Giles...

Kolega odwrócił się nieznacznie i utkwiał zamyślony wzrok w oknie.

- Jeśli to będzie ból... jeżeli gdzieś w środku ona czuje ból, cierpienie? Jeżeli jest zagubiona, samotna... nie mów mi! Jezu, błagam, nie mów mi tego!

Wyszedł z pokoju, a Johann poszedł w jego ślady, cicho zamykając ^ sobą drzwi, Ian ukląkł przed młodą kobietą, która zdawała się go „ie zauważać. Wciąż kołysała się w przód i w tył, mrucząc coś pod oosem. Na jej brodzie formowała się nowa nitka śliny.

- Elizabeth? - wyszeptał jej imię, błagając w myślach, by mu Opowiedziała. Fotel bujał się rytmicznie, mruczenie nie ustawało. Ł różowych ust wyrwał się cichy chichot, Ian ściągnął rękawiczkę \* zegnał po dłoń Elizabeth. Miała lodowate palce, zgięte jak stalowe ^ony. Pierwszy dotyk nie wywołał w nim żadnej reakcji: ani jednego „,,razu, myśli ni emocji. Przez głowę przeleciała mu myśl, że być

ze Jego dar odczytywania umysłów nie działa w przypadku tak ^?żko uszkodzonych mózgów. Wsunął się głębiej w stuloną dłoń,

oplótł chłodne palce swoimi i ścisnął delikatnie. W opuszkach obudziło się znajome pulsowanie. Pojawił się obraz, z początku zamglony, jak zalotna kokietka tańcząc na krawędzi świadomości Musiał uczynić wysiłek, by go schwycić. Skupił się, jak nigdy przedtem, próbując przyciągnąć ulotną wizję.

„Zielone pola usiane kwieciami... krople deszczu spływają po rdzawych jesiennych liściach... siwy jabłkowy kucyk galopuje wzdłuż krętego strumyka”.

Przerwała bujanie i odwróciwszy się wprost do niego, zawisła spojrzeniem apatycznych oczu na jego twarzy. Na wargi wypłynęło coś na kształt uśmiechu.

- Elizabeth?

- Elizabeth... - powtórzyła.

„Czarnowłosa dziewczynka zrywa kwiaty...”

Ian powoli wyciągnął dłoń z uścisku. Jednego mógł być pewien:

Elizabeth nie cierpiała. Nie czuła żadnego bólu; nie czuła właściwie nic. Jej umysł był jak czysta tablica, jak umysł niedorozwiniętego dziecka, którego stan nigdy się nie zmieni. Nigdy nie odzyska swojej dawnej osobowości, pozostanie warzywem o ciele kobiety. Umie formować słowa, ale nie ma pojęcia o ich

znaczeniu, nie wie co to uczucia, nie umie się uczyć.

Przez chwilę nieznośny ból w piersi zapał mu dech. Oto umarła ostatnia nadzieja. Mylił się całkowicie. Sądził, że opiekowanie się Seleną będzie przypominało opiekę nad Maeve... tymczasem to zadanie okazało się o wiele gorszą torturą. Maeve znała przynajmniej swoje imię i miewała lepsze dni. Nawet Elizabeth, której mózg został nieodwracalnie, beznadziejnie uszkodzony, snuła wewnątrz tej prześlicznej główki dziecinne myśli. W głowie Seleny panowała całkowita pustka. To dlatego jego paranormalne moce nie działały, kiedy jej dotykał. W jej umyśle nie było nic, dosłownie nic, jakby w ogóle nie istniał. Nic, co by mógł zobaczyć, ani strzępka obrazu czy wspomnienia-

Nie była szansą na jego zawodowe odrodzenie.

Rybak słusznie przywiózł ją do Lethe, bo tam właśnie było J@! miejsce: w Domu Zapomnienia, między innymi półgłówkami i obłąkanymi bez nadziei na wyzdrowienie. Uświadomiwszy sobie tę gorzkość prawdy, Jan poczuł użądlenie wstydu i przejmujące poczucie straty-Wstyd płynął ze świadomości, że jak zwykle myślał przede wszystkim o

sobie i swoich potrzebach. Strata odnosiła się do marzeń o powrocie do ukochanego zawodu. Nigdy nie uzdrowi Seleny, nigdy nie wydobędzie wibrującej życiem istoty z żalostnej skorupy kobiety, podobnej do tej, która siedziała przed nim na bujanym fotelu. Może być jej opiekunem, ale lekarza nie potrzebowała. Nie była dla niego nikim bliskim. Ot, dwoje ludzi pod tym samym dachem w domu wyrzutków, którzy znajdowali tutaj namiastkę bycia razem, chociaż nigdy nie umieli osiągnąć autentycznego porozumienia dusz.

Zabrzmiało to jak definicja piekła. W każdym razie on nie znał lepszej.

Seleną, Elizabeth. „SelenaElizabeth” - postaci dwóch kobiet złąły się w jego umyśle, stopiły ze sobą tak blisko, że nie umiał już ich odróżnić.

Dla jego bogini nie ma więc zbawienia. Żadnej przyszłości, tylko życie zależne od tych, którzy będą się nią opiekować. Lata spędzone w fotelu, wypełnione głaskaniem martwych stworzonek i mrużeniem monologów bez znaczenia.

A poprzez jej klęskę również Ian utracił swoją przyszłość. Czeka go szereg monotonna, mrocznych dni wypełnionych samotnością, jakby odsiadywał wyrok w odosobnionej celi więziennej. Westchnął ze znużeniem, dźwignął się na nogi i wyszedł z pokoju. Za drzwiami czekali Giles i Johann, stojąc ramię w ramię. Giles podniósł na niego udręczone oczy, w których czaiło się niewypowiedziane pytanie, Ian zamknął starannie drzwi, usiłując opanować dotkliwie łupanie w skroniach, znajomy skutek telepatycznego seansu.

- Nie, Giles, ona nie odczuwa żadnego bólu. Jest pogrążona w... w przeszłości. To chyba jej dzieciństwo. Od żadnej osoby, której stykałem, nie otrzymałem wrażenia takiego szczęścia i ukojenia.

Giles skulił się w sobie, jego twarz obwisła w żalostnym grymasie ulgi.

- Och, Boże... dzięki Ci, Panie...

Pierwszy raz Ian miał powody, by cieszyć się swym przeklętym darem.

- Przynajmniej tobie mogłem powiedzieć coś pokrzepiającego, Gilles. To mnie raduje.

Giles otarł oczy i spojrzał na niego.

- Teraz ty pozwól, że coś ci powiem, Ian. Wiem, jakie męki Pochodzisz, opiekując się Maeve, i uwierz, że to nic w porównaniu z torturą uszkodzenia mózgu. Zaprzedałbym duszę za jedną chwilę odzyskanej świadomości mojej córki. Gdyby choć na moment mnie poznała...

Skinął głową. Wiedział, że Giles oczekuje wyraźniejszej reakcji ale nie stać go było na nic poza tym mechanicznym gestem.

- Nie oczekuj od swojej pacjentki niczego. Odeślij ją do sanatorium w Bloomingdale czy Danvers, to dobre miejsca dla tego rodzaju przypadków. Zapomnij o niej, nie daj się wciągnąć emocjonalnie. To pułapka... to może ci złamać serce. - Głos Gilesa wibrował udręką, której nie mogły oddać żadne słowa.

Ian nie zdobył się na odpowiedź. Kiwnął głową na pożegnanie i podążył tam, skąd przyszedł. Słyszał za sobą kroki Gilesa i Johanna, ale nie zwracał na nic uwagi. Pragnął jak najszybciej wyrwać się z tego miejsca, które zabiło jego nadzieję.

Powóz toczył się szparko przez zagajniki i osady, koła turkotały po żwirze, wzbijając tumany kurzu na

wiejskich gościńcach. Wiatr chłostał cienkie ścianki, ulewny deszcz wybijał werbel na płóciennej plandecie dachu. Nieśmiały płomyk naftowej lampy umocowanej nad siedzeniem ledwie rozpraszał mrok ciasnego wnętrza.

Ian zacisnął poły płaszcza wysoko pod szyją. Było mu zimno - zimniej, niż kiedykolwiek w życiu. Płaszcz, mimo iż uszyty z grubej wełny, jakoś jednak nie chronił. Bardziej przydałaby się karafka whisky. Mógłby wczłogać się w jakieś ciemne, chłodne miejsce i pić, aż trunek zagłuszyłby wszystkie zmysły, aż nic na ziemi nie miałoby do niego dostępu.

- Jak się domyślam, otrzymałeś dokładnie to, czego się spodziewałeś - głos Johanna wdarł się w ciszę przerywaną dotychczas jedynie poświstywaniami wiatru i turkotem żelaznych obręczy kół na wybojach. Ian wyczuł, że towarzysz już od kilku minut przygotowywał swójS odżywkę. - W końcu czyż nie tak jest zawsze?

Ian z wielkim wysiłkiem uniósł głowę i popatrzył spode łba.

- Zagadkowy i filozoficzny... Widzę, Johann, że wróciłeś d° swojego zwykłego wcielenia.

- To jest nas już dwóch.

- Co masz na myśli?

- Skończył się twój przelotny flirt z człowieczeństwem.

- Gadaj zdrów, Johann! Przynajmniej ukołyszysz mnie do snu. W oczach Johanna zapłonął gniew.

- Jesteś ślepcem! Najbardziej ograniczonym, opętanym na swoim punkcie uparciuchem i największym egoistą, jakiego miałem pecha poznać w moim i tak niezbyt szczęśliwym życiu. Kiedy patrzę na ciebie, chce mi się rzygać.

- Och, daj spokój... łamiesz mi serce! - odciął się kąśliwie Ian. Johann pochylił się ku niemu.

- Ty głupcze! Kiedy się rodziłeś, bogowie pochylali się nad twoją kolebką i nazaczyli cię piętnem swej łaski. Zostałeś przeznaczony do wielkich rzeczy i obdarowany niezwykłym talentem... ale uciekasz przed nim jak rozpuszczony bachor!

Ian westchnął ciężko. Ogarnął spojrzeniem poważną twarz Johanna i poczuł się nagle stary, choć miał przecież dopiero trzydzieści pięć lat. Przedłużającą się ciszę ponownie przerwał Johann:

- Seleno to nie Elizabeth...

Jego słowa zaskoczyły Iana i zraniły go zarazem. Jezu Chryste! Wystarczył dźwięk jej imienia, miękki, pozbawiony ostrych akcentów, nabrzmiały mistycznymi sekretami księżycowej bogini, by poczuł ostry ból w sercu. Broniąc się przed nim, uciekł się do goryczy:

- O ile sobie przypominam, Seleno nie jest też Seleno!

- Już za późno, Ian.

Chciał zignorować zagadkową uwagę Johanna, ale nie udało mu się przyoblec stosownej na takie okazje maski obojętności; nie wtedy, gdy chodziło o Selenę. Bóg jeden wiedział, że Johann należał do iglicznych, którzy potrafili go zrozumieć, przejrzeć zasłonę goryczy i dotrzeć do sedna jego zbolącej duszy. Życie tych dwóch mężczyzn P°biegło podobnym torem. Obaj spadli z wyżyn zajmowanych przez „Mętnych ulubieńców losu do piekielnych czeluści, obaj dusili się w Pułapce opętania, wepchnięci w nią przez okoliczności pozostające P0^ ich kontrolą, odrzuceni przez świat, do którego nie pasowali.

spojrzał prosto w oczy Johanna. *Powiedz coś, co mnie ocali* - ^ysl nadbiegła nie wiadomo skąd i usidliła go tak bardzo, że poczuł lę P°nizony własną bezradnością.

- ^a późno na co? - starał się przybrać obojętny, zdawkowy ton.

- Hady doktora Wellsby'ego były godne uczonego medyka, pewnie nawet słuszne i przemyślane, ale na tym właśnie polega wasz problem panowie doktorzy! Sądzicie, że leczenie to kwestia wiedzy i nauki ale tak nie było nigdy i nigdy nie będzie! Uzdrawianie to sztuka, którą rządzi duch, a nie umysł. Aby uleczyć czyjeś ciało, trzeba zabrać się do tego sercem i duszą.

- Och, porada lekarska... dobrze się wybrałeś, Johann!

- Welisby to uczony idiota. Jeśli jest szansa na uzdrowienie Seleny nie szukaj jej w księgach ani na aptecznej półce, bo znajdziesz ją o wiele bliżej - w swoim własnym sercu. Musisz się zaangażować emocjonalnie... właśnie tak, jak do tej pory. Być może wszystko, czego potrzeba, to pragnienia, by ją uzdrowić - tak silnego jak twoje.

Ian prychnął pogardliwie. Już kiedyś dał się omamić podobnym nadziejom i nic dobrego z tego nie wynikło! , - Cóż więc według ciebie powinienem robić? Spędzić resztę dni ocierając ślinę ściekającą z jej brody?

- Jeżeli nic innego nie pozostanie, to czemu nie? No i musisz się modlić, by dane ci było zrobić dla niej coś więcej... nie zaprzestawaj modlitwy ani na chwilę, ani na jeden dzień!

Przymknął oczy, przypominając sobie niezliczone noce z dzieciństwa, gdy klęczał przy łóżku, modląc się o wyzdrowienie matki. Jakże chciałby zapomnieć tamte daremne błagania! Odezwał się głosem nabrzmiałym goryczą:

- Oczywiście modły zostaną wysłuchane... tak samo jak twoje! Johann odpowiedział niemal szeptem:

- Ja, widzisz, zapomniałem się modlić...

To wyznanie - szczere, proste, tętniące nieutulonym żalem - spadło na Iana z taką siłą, że poczuł, jak jego sceptycyzm słabnie, a cienka warstewka ochronna goryczy pęka i odpada, odsłaniając bolesną pustkę.

- Już tego wszystkiego próbowałem, Johann, i wiem, że to brama do krainy niezmiernego bólu. Wciąga cię i dusi, a ty... - Westchnął i wzruszył ramionami. - Spośród wszystkich ludzi właśnie ty powinieneś rozumieć, jakie to okropne: siedzieć przy kimś bliskim, patrzeć jak coraz głębiej zapada się w otchłań bez powrotu... i nie móc IM0 zrobić, absolutnie nic! - Potrząsnął głową i przeczesał czuprynę palcami. - Chryste, miałbym znowu przechodzić przez to wszystko.- •

Daremnie odsuwał od siebie wspomnienia o Maeve, o tamtej noc? sprzed wielu lat, gdy usiłował wypłatać się z koszmaru jej obłąkani?

Miał wówczas osiemnaście lat i nikogo, kto służyłby mu radą i oparciem. Wciąż pamiętał smak tamtych mrocznych chwil, chłodny dotyk śnieżnych płatków na twarzy i włosach.

Znalazł jawną kuchnię, nagą i drżącą. Krew z podciętych nadgarstków kapłała do miedzianej balii. Nawet usiłując kolejny raz odebrać sobie życie, zadbała, by Ian nie musiał wycierać plam na podłodze, więc mocno przytuliła zbite ramiona do piersi.

Nie pomyślała, jaki to będzie dla niego wstrząs, gdy znajdzie ją martwą. Nie martwiła się, że zabijając się, okazuje, jak mało dla niej znaczy rodzina, ani że syn zostanie na świecie zupełnie sam -wszystko, o czym pamiętała, to by nie nabrudzić. Skuliła się więc w kąpielowym cebrzyku - jednym z dwóch przedmiotów nie na swoim miejscu w nieskazitelnie wysprzątej kuchni... drugim był ociekający krwią nóż rzeźnicki. Ian poczuł, że dłużej już tego nie wytrzyma: gdy tylko zatamował krwawienie, załadował ją do powozu i pognał bez jednego postoju do szpitala. Oddał ją w ręce doktora Wellsby'ego i odszedł głuchy na jej wołanie. Koszulę i dłonie wciąż miał usmarowane krwią matki.

„Ian, nie zostawiaj mnie tutaj! Przepraszam za wszystko. Proszę Cię...”

W tamtej chwili skryztałizował się ostatecznie kształt jego osobowości: teraz było to dla niego jasne. Fakt, że potrafił odejść, głuchy na Jej krzyki i błagania, określił największą słabość jego charakteru. Cóż, dożę dziś obiecać Johannowi, że będzie się starał pomóc Selenie i może nawet uczciwie starać się dotrzymać słowa, ale we wszystko, co będzie czynił, włoży jedynie połowę serca, łatwo zapomni złożoną P^ięgę. Ponieważ to jedno było faktem: choroby umysłu przerażały 80.1 ów lęk odbierał mu resztę dobroci. Nie miało znaczenia, że po „ch miesiącach i dwóch kolejnych próbach samobójczych wrócił P° Maeve, że wyrwał ją z tamtego koszmaru. Nie znajdował odkupienia sgoizm i tchórzostwo, które stanowiły prawdziwe sedno jego

„y, ale mógł przynajmniej zachować uczciwość i nie odżegnywać s^ od prawdy.

- Nie potrafię, Johann - pochylił nisko głowę, zawstydzony własną „cią. Przepęłniała go odraza do samego siebie. „,a cię potrzebuje, potrzebuje twojej opieki.

„ „Ona” nie istnieje, Johann.

- Amnezja...

- Niczego się nie nauczyłeś od Wellsby'ego? To nie amnezja tylko nieodwracalne uszkodzenie mózgu. Nie odzyska pamięci i nigdy nie będzie normalna. Dlatego nie mogę odczytać jej myśli - bo nie ma nic, w co mógłbym wejrzeć, żadnych wspomnień, żadnych doznań z teraźniejszości, żadnych marzeń o przyszłości.

Johann patrzył na niego przeciągle, aż Ian poczuł się nieswojo. Wreszcie Johann sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta i wyjął szklaną fiolkę, Ian zmarszczył czoło.

- Co tam masz?

- Proszki na migrenę. - Powoli wyciągnął korek i wysypał na dłoń białe krążki. Potem rzucił pustą flaszeczkę na podłogę i zgniótł ją obcasem.

- Co robisz?

- Zobaczysz - pochylił się i podniósł jeden ze szklanych odprysków wielkości mniej więcej drobnej monety. Światło lampy odbijało się od ostrych krawędzi, wzniecając wielobarwne iskry - czerwone, błękitne i bursztynowe ogniki. Johann ciągnął głosem ściszone do uwodzicielskiego szeptu, aż Ian odruchowo pochylił się ku niemu, by nie uronić ani słowa: - Czemu wymagasz od tych, których kochasz, nudnej pospolitości?

Ian opadł na siedzenie i skrzyżował ramiona na piersi, mając sobie za złe, że w ogóle okazał zainteresowanie tanimi sztuczkami towarzysza.

- Jezu Chryste, Johann! Oszczędź sobie tych teatralnych wybiegów. Ja całkiem po prostu nie widzę niczego pociągającego w opętaniu ani w niedomogach umysłowych. Ale moje stanowisko to jeszcze nie zbrodnia.

- Powiedz, widziałeś flaszeczkę, zanim ją zgniotłem?

- Nie jestem ślepy!

- Była całkiem ładna i doskonale spełniała zadanie, do którego została wytworzona.

- Tak, i co dalej?

- Teraz spójrz na ten szklany okruch. - Johann obracał dłoń, aż kalejdoskop barwnych odprysków nabrał magicznej mocy. Pr<sup>o</sup> oczami Iana wirowała powolna karuzela plam - złotawych, P<sup>o</sup>

nurowych, czerwonych i pomarańczowych, zmiennych i nieprzewidywalnych jak wachlarz czarnoksiężnika. - To zwykły odłamek...

- Owszem.

- Ale nabrał niepowtarzalnego piękna i własnej wartości. Jeśli zdobędziesz się na wysiłek, by odrzucić ograniczenia i oczekiwania, jakie narzuca „normalność”, możesz się swobodnie rozkoszować grą barwnych świetlików. Ujrzysz coś, czego nie przewidziano, produkując flaszeczkę na lekarstwo. Zyskasz niespodziewany dar. - Johann zajrzał w chmurne oczy Iana i twarz pojaśniała mu pogodnym, szczerym uśmiechem, Ian wpatrywał się w poszarpaną szklaną krawędź tak długo, aż świetlne refleksy zlały się przed oczami, jakby patrzył przez lzy. Nie winił Johanna - skąd miał wiedzieć jego towarzysz, że Ian tysiące razy w życiu zastanawiał się nad tym samym, że zaciekle usiłował dopatrzeć się piękna w Maeve? Jako chłopiec codziennie budził się z tym samym postanowieniem - nie oczekiwać od matki niczego, tylko po prostu ją kochać, jak to umiał jego ojciec. Lecz potem nadchodziła chwila, gdy Maeve go nie poznawała albo gdy rozdrażniona dawała mu niezасłużonego klapsa - czy przechodziła mimo bez słowa... i za każdym razem ból odzywał się ze wznowioną siłą, a postanowienie pryskało. Teoria Johanna nie sprawdzała się w praktyce, przynajmniej w świecie Iana. Wolał brać rzeczywistość bez upiększeń, taką jaka była. Maeve do końca swych dni będzie osobą chorą, której zachowań nie da się przewidzieć, a Selena Pozostanie istotą pozbawioną sprawnie działającego mózgu. Dość zmarnował czasu na bezowocne marzenia. Czasami wydawało mu się, że upłynęło mu na nich całe życie. Był znużony i wyczerpany głębi rozczarowaniami.

- Nie masz zamiaru próbować, co? Nie dopuścisz już nawet do Ciebie nadziei, że Selena może wyzdrowieć.

- O nie, Johann! Nadziei nie porzucę. - Ian nie zdołał powściągnąć goryczy, nawet zresztą nie próbował, bo dawała mu wsparcie, bo to było uczucie, które przynajmniej nie sprawiało nieznośnego bólu. - tylko nie będę się przejmował. Przestało mi zależeć...

- Ale będziesz jej pomagał, kiedy wrócimy? Kiedy ty wrócisz, Johann. Ja wyjeżdżam z Lethe na jakiś czas.

- Ale...

uciszył go skinieniem.

- Nie tmdź się, Johann! I na litość boską, nie tłucz więcej fiolekt próbując dowieść swego. Jadę prosto na stację i na pocztę, a potem odwiedzę wszystkie inne dworce i urzędy pocztowe między nami i Nowym Jorkiem. Mam zamiar wywiesić ogłoszenia, że odnaleziono bezimienną kobietę bez twarzy, że znajduje się obecnie pod moja opieką i że poszukuję informacji o jej tożsamości. Może ten przeklęty poławiacz homarów



przeczyta i zgłosi się do mnie.

- Masz nadzieję, że ktoś przyjedzie i ją zabierze?
- Trafieś w sedno, Johann. Niech złamie serce komuś innemu!

## 10

Słyszała łagodne gulgotanie wody płynącej spokojnym strumieniem.

Rytmiczne plaskanie mokrej tkaniny na tarze.

Kobiety pogadujące między sobą ściszonymi głosami - zbyt cicho, by mogła uchwycić choć słowo.

Rozmawiały o czymś ważnym, o czymś znajdującym się tuż poza zasięgiem jej doznań. Selena czuła się przejmująco samotna; obrazy, dźwięki i poruszenia nie dochodziły do niej, jakby odgradzała ją od świata nieprzebyta bariera. Była jak obcy, jak tułacz w krainie mroku. Obserwowała i czekała, bo nic innego jej nie pozostało.

Przez umysł przepływały oderwane wizje, drażniąc fragmentami wspomnień: Wiklinowy kosz praczki, metalowe pudełko na herbatniki, niewielkie, doskonale okrągłe puzderko.

Nie umiała nazwać przedmiotów, które pojawiały się w jej wyob-razu. Nie potrafiła odnaleźć wspomnień, które by się z nimi łączyły.

- Cii, moje maleństwo. Cicho...

Te słowa Selena usłyszała wyraźnie, wymówione tuż przy uchu Pokojnym głosem, który wydał jej się znajomy. Zdała sobie nagle ^rawę, że cały czas spała i śniła: powróciła pamięć znaczenia tego

°wa i doznań z nim związanych.

Cii, kochanie... nigdy nie odchodzę tak daleko, jak sądzisz.

„,on gładząca jej policzek; miłe uczucie, nawet pomimo bólu, który vvc1^2 jeszcze drzemał wokół szczęk. owoli wynurzała się z odmętów snu. Dziwaczny sen odpłynął

w zapomnienie. Powróciła wizja sypialni tonącej w półmroku, który rozpraszał tylko blask srebrzystego sierpa zaglądnącego przez szybę W ciemnościach aksamitna kapa nabrała odcienia głębokiej szarości, jakby powleczone warstwą sadzy.

- Cicho, moje słodkie stworzonko. Nie trzeba płakać. Selena zwróciła twarz w kierunku głosu i spostrzegła, że przy jej łóżku siedzi zgarbiona kobieta. Szczupłe ramiona otuliła szalem z cieniuchnej koronki, jakby utkanej z pajęczych nici. Na głowie piętrzyła się masa niedbale ułożonych rudawozłotych kędziorów. Kobieta kołysała się w przód i w tył, ale lekko, nie ruszając przy tym stołka, na którym siedziała. W palcach miętosiła coś gładkiego, lśniącego... Klepsydra? Nie... latarnia... też nie. Selena próżno szukała słowa na opisanie strzępka srebrzystej bieli.

Maeve. Imię wślizgnęło się w jej myśl bez wysiłku. Umiała nazwać swoją opiekunkę. Selena poczuła przypływ ożywczej radości i spróbowała przypomnieć sobie odpowiednie słowa powitania między kobietami.

- Maeve... jak się... masz.

Maeve nie spojrzała na nią; zdawała się nawet nie słyszeć jej słów ani nie zauważać, że Selena się odezwała. Czyżby znowu powiedziała coś nie tak?

- Maeve! - powtórzyła.

- Usłyszałam twój płacz - odezwała się wreszcie tamta. - Nie musisz się bać, on wróci. Twój tata zawsze wraca.

Włoski na karku Seleny zjeżyły się pod wpływem niepokojącego uczucia, że coś jest nie w porządku. Podparła się na łokciach.

- Maeve?

Znowu żadnego znaku, że kobieta ją słyszy i rozpoznaje - spojrzenia, dotyku, odpowiedzi słowem czy choćby dźwiękiem. Mimo spuszczone) głowy siedzącej Selena dojrzała lśnienie łez w jej orzechowych oczach. Na wyblakłych rzęsach drżała owalna kropla, jakby opierając się prawu ciężenia, które nakazywało jej oderwać się i spaść.

Selena spojrzała w dół, na plamę wilgoci na staniku Maeve, gdzie biel nocnej koszuli pociemniała od łez. Maeve wyciągnęła tymczasem dłoń i znowu pogłaskała policzek Seleny. Miała delikatny, opiekuńczy dotyk

palców obciążniętych skórą wysuszoną jak pergamin. Zaczęła śpiewać niepewnym, zduszonym głosem:

- Cicho, kochanie, nie płacz już, mama utuli cię do snu... - Gt05

...ej się załamał. - Mama... nie może nic poradzić, prawda? Nic... -Selena pochwyciła bezbrzeżny ból w głosie przyjaciółki. Smutek, który wydawał się wysysać wszelkie żywotne soki z jej duszy. Zeszłego wieczoru Maeve śmiała się radośnie; teraz, nie wiedząc jak i czemu, osunęła się w mrok. Selena знаła to uczucie zapadania się w głąb samej siebie jak w pułapkę bez wyjścia.

- Znajdziesz... -jakie to słowo? Droga. - ...wyjść. Maeve dotknęła jej ust szczupłym palcem.

- Szsz, chłopcze - potrząsnęła głową i samotna łza stoczyła się z dłoni i roztopiła w plamie wilgoci na koszuli. Selenie przyszło do głowy tylko jedno i nie zawahała się ani chwili: gdyby to ona była na miejscu Maeve, to mogłoby jej pomóc. Zapraszającym gestem uniosła kóldrę.

- Maeve... spać.

Maeve podniosła oczy i na ułamek chwili jej spojrzenie oprzytomniało, odsłaniając rozpaczliwy głód skryty za mgłą oszołomienia.

- Spać - westchnęła i pokręciła odmownie głową. Selena poklepała materac obok siebie, żałując z całego serca, że nie potrafi znaleźć słów, które ulżyłyby Maeve w jej bólu. Jeśli nawet istniały, nie przychodziły jej do głowy - zamiast nich wypowiedziała więc te, które same wypłynęły na usta. Słowa zaproszenia, jedyne go daru, jaki mogła ofiarować udręczonej przyjaciółce: - Spać!

Maeve poderwała się na nogi, aż stołek zachwiał się i z głośnym hukiem przewrócił na podłogę. Zdawała się nawet nie słyszeć hałasu, do oczu powróciła szklista pustka. Patrzyła poprzez Selenę, jakby dziewczyna stała się niewidzialna.

- Twój tata powinien już wrócić do domu... - Pochyliła się i ucałowała czoło Seleny wilgotnymi, ciepłymi wargami. - Śpij spokojnie, „toje dziecko!”

- Dobranoc, Maeve...

Kobieta wzdrygnęła się i cofnęła nieznacznie.

- Nie ma dobrych! - szepnęła, a z oczu popłynęły świeże łzy.

...asniej zawinęła srebrzyste pasemko wokół palców i odeszła, zamykając za sobą drzwi. Selena zapatrzyła się na nie. Przez długie minuty

...e spuszczała z nich spojrzenia, a sen zupełnie ją opuścił.

...naia tę bezdenną czerń, w której się szamotała, gdy nie mogła się ^ „dzić; pamiętała ból i lęk, które spowijały całe ciało, dławiły krtani

...jak trumienny całun. Wtedy wyrwał ją z koszmaru głos lana, jak pas ratunkowy dla tonącej w bezmiarze pustki, jak most z królestwa ciemności do krainy światła i ciepła po drugiej stronie otchłani. Samo to, że on był i czekał tam, że obchodziło go, co się z nią stanie, że pamiętał - pomogło jej przetrwać. Nawet teraz wspomnienie tamtych powrotów wspierało ją i popychało, by nieustrudzenie dążyła naprzód

Ciekawe, czy Maeve też ma swój głos wołający w mrocznej ciszy?

Selena sama nie wiedziała, czemu jest pewna, że starsza kobieta nie słyszała nikogo, kto by jej dodawał otuchy, że w swej wędrówce jest bardziej nawet osamotniona i opuszczona - gdyby było inaczej, czemu pojawiłaby się tutaj w środku nocy z gorsem nocnej koszuli mokrym od łez?

Może poza Maeve tylko ona, Selena, zna torturę mrocznej pustki, udrękę zziębniętej samotności i zagubienia wewnątrz samej siebie? Jeśli tak, to ona jedna na ziemi potrafi jej pomóc. Selena poczuła, jak kąciki ust unoszą jej się w mimowolnym uśmiechu. Potrafi pomóc Maeve tak, jak łan pomógł jej!

Wtedy może samotność obu nieco zelżeje...

13tuk! Bang! Bang!

Z wolna świadomość jawy wracała do Seleny. Początkowo zdawało jej się, że odgłosy uporczywego stukania rozlegają się w jej głowie, jak echo kolejnego snu, który odbiegł w niepamięć, ale stopniowo zrozumiała, że te odgłosy dochodzą z zewnątrz. Podniosła się na łokciach i bystro rozejrzała wokół siebie. Stwierdziła, że komoda i fotel nie ruszyły się z miejsca, ale białe zasłony falują, ocierając się o tynkowaną ścianę. Odrzuciła puchową kóldrę i podeszła do okna. Jednym ruchem odciągnęła zasłonę.

Zza szyby spojrzała na nią rumiana twarz mężczyzny w podeszłym wieku. Czarne oczy rozszerzyły się w wyrazie zaskoczenia, a usta uformowały w literę „o”.

- Jasny gwint! - zakrzuszył się i wypluł z ust garść gwoździ. Zmarszczyła czoło. Na czymś stał... to była drabina. Chciał

zapytać, co robi, uczepony jej okna, ale na usta wybiegły niestosowne słowa:

- Niebo... stojąc.

potrząsnął głową i sięgnął do kieszeni, skąd wyjął nowy zapas gwoździ.

- Biedactwo! Rzeczywiście brak ci nie tylko piątej klepki, ale j kilku innych - tak, jak mówiła pani.

Selena patrzyła, jak wyciąga metalowy pręt z wiadra zawieszzonego na najwyższym szczeblu drabiny, jak przykłada go do framugi okna i zaczyna przybijać gwoździe, które trzymały go w miejscu. Wtedy dopiero zauważyła dwa identyczne pręty, które już tkwiły z lewej strony okna. W jej umyśle zrodził się mglisty niepokój. Zamykali ją, odcinali od świata, odbierali jego jedyny obraz! Sięgnęła po zasuwkę i pchnęła szybę, która ze stukiem zatrzymała się na górnej framudze. Robotnik poderwał głowę.

- Co, u diabła...

Patrzyła na niego z otwartymi ustami. Serce galopowało w piersi jak oszalały z popłochu koń. Nie znieśie zamknięcia jak zwierzę, w całkowitej samotności i mroku! Tyle ma do zrobienia, tyle nowych widoków czeka na nią na zewnątrz.

- Co... - pytanie tłuło się w jej mózgu, trzepotało, ale usta zdołały wypowiedzieć jedynie początek. „Co robicie? Czemu mnie zamykacie?”

- Mocuję pręty w oknie, panienko. Będzie panienka mogła wyglądać do woli, tylko nie zdoła się wydostać, i tyle.

Selena potrząsnęła gorączkowo głową. Gdzie słowa, których potrzebuje?!

- Nie... dziękuję... proszę.

- To polecenie doktora, panienko. Miałem je przybić już parę dni ^u, tylko w tym zamęcie zupełnie zapomniałem. Zeszłej nocy pani ^yła mi głowę. Zdaje się, że panienka zamyślała wyskoczyć, co?

Ściągnęła brwi.

- Lilia... ale ja...

- To dla panienki bezpieczeństwa, i tyle. Doktorzy zawsze każą zakratować okna.

Selena nie zrozumiała wszystkich słów, ale pojęła, co starszy Mężczyzna ma na myśli. Wspomniał, że to rozkazy doktora, a więc 0 „n polecił założyć pręty w jej oknie, by ją chronić. Nie po to, by ją „Więzić, lecz by nic jej się nie stało.

-^gle ogarnął ją smutek, łan nie rozumiał jej, tak jak i ona

przeważnie pojmowała go opacznie. Obawiał się, że wyskoczy i zabije się? Ale ona już opanowała tę lekcję, wiedziała, że zrobiłaby sobie krzywdę, że „spadłaby i złamała sobie tę cholerną szyję”.

Ale zeszłej nocy nie zdołała dać do zrozumienia, że pojmuje niebezpieczeństwo, i wszyscy uważają, że skoczyłaby na oślep w przepaść. Brali ją za „szaloną”! Za „głupią idiotkę”.

Mówili o „uszkodzeniu mózgu”. Przypomniała sobie, że to z ust łana po raz pierwszy usłyszała te słowa, wypowiedziane głosem pozbawionym nadziei, pełnym bezmiernego żalu... Teraz i ona pojęła, o co mu chodziło. Nie chciał jej takiej... uszkodzonej. Chciał, by była cała, zdrowa i urodziwa... Z trudem przełknęła ślinę. Oto dwie *rzeczy*, których nigdy nie osiągnie! Wiedziała już, że jest brzydka, i prawie się z tym pogodziła. Ale nie chciała okazać się do tego stopnia uszkodzona, by musieć odtąd do końca życia spędzać dni w zakratowanym pokoju. Samotnie...

Odwróciła się plecami do okna i puściła zasłonę, która opadła, falując łagodnie. Objęła się ramionami i zaczęła krążyć po niewielkim pomieszczeniu. Wreszcie, utrudzona i złamana, rzuciła się na łóżko.

Przywykła do niego. Odkryła go w sobie w chwili, gdy łan po raz pierwszy odwrócił się od niej z wyrazem rezygnacji i odrazy. Dostrzegał tylko to, co było widoczne z zewnątrz: jej brzydotę, niepowodzenia i ograniczenia. Jej samej w ogóle nie widział...

Westchnęła. Była zmęczona uczuciem zagubienia i dotkliwą samotnością. Była zmęczona ciągłym lękiem... podskórnie czuła, że już od bardzo dawna żyje pod taką presją. Ilekroć próbowała przywołać w pamięci swoje życie przed łanem, ogarniało ją poczucie beznadziejnego smutku.

„Dość już”. Dwa słowa, które wkroczyły w jej myśli, zabrzmiały śmiałością nieodwołalnego postanowienia i zagnieździły się w nich, z każdą chwilą nabierając mocy. Początkowo nie bardzo rozumiała’ co znaczą. Wydały jej się po prostu słowami. Ale nagle - wiedziała’ To przemawiało jej serce, podpowiadając, co ma robić - głośno i jasno, jak nigdy przedtem. Jej serce i dusza znużyły się smutkiem i łzami, melancholią owej namiastki żywota. A ona poczuła znużenie ciasnotą tego pokoju. Nie wystarczyło już oddychać, chciała naprawdę żyć. Nie będzie dłużej czekać, aż inni ludzie dadzą jej szansę, safflB zadba o swoje szczęście. Miała tak wiele do zrobienia dla siebie

i swojego dobra. Będzie się uczyć świata na własną rękę. Ten pokój nauczył ją już wszystkiego, co mógł, i nic więcej nie miał do zaoferowania: komoda, łóżko, kapa, okno, dzbanek, woda, miednica... czas wyostać się poza jego granice, poznawać i odkrywać.

„Co najpierw?

Ubrać się”.

Uśmiechnęła się z podziwu nad łatwością, z jaką jej umysł wygrzebał tę informację z pokładów nagromadzonej, nie wiedzieć kiedy i jak, wiedzy. Chwyciła suknię koloru rdzawych liści, rozkoszując się miękkością tkaniny na spierzchniętych dłoniach.

„Jedwab”. Poczowała podniecenie, że tak błyskawicznie odszukała odpowiednie słowo. Gdy tylko dotknęła mateśni, wiedziała, jak się nazywa - jedwab. Skoncentrowała się, by wypowiedzieć to słowo.

- Drzewo... - zmarszczyła czoło. Nieprawidłowo! Postanowiła się nie poddawać, ale próbować ponownie aż do skutku. Mijały minuty usilnych i, wydawało się, daremnych starań.

- Miotła. Zegar. Jedwab.

Z radości wyszczerzyła zęby. Owszem, trochę to trwało, ale czasu miała aż nadto! Nie była głupia. Nie była, i już! Potrzebowała tylko pomocy i zachęty. Odrobinę. Tylko kto miałby jej pomóc? Maeve sama była zagubiona, a łan odszedł.

Odpowiedź przyszła znieca, ale okazała się tak prosta, że Selena zdziwiła się, czemu nie pomyślała o tym wcześniej. Zeskoczyła z łóżka i podbiegła do drzwi, tłukąc pięściami w twarde deski. Chciała zawołać Andrew, ale głoski nie przychodziły na usta. Słyszając kroki w korytarzu, przestała się awanturować. Zza drzwi odezwał się cichy, ^ski głos:

- Selena, czy to ty?

- Andrew? - „Odsuń zasuwę! Potrzebuję twojej pomocy”. Próbowała powiedzieć to na głos: - Pomóc... Selenie.

Gałka poruszyła się, Selena cofnęła się akurat na czas, by uniknąć Wrzenia otwierających się gwałtownie drzwi. W mroku korytarza ^ala cała gromadka: Edith, Maeve, królowa i Andrew między nimi.

„ Co ci jest, dziewczeczko? - Edith dyszała ciężko, wycierając f^chne dłonie w umączony fartuch. Selena wiedziała, o co chce yosić, ale słowa znowu ją opuściły. Mijały powolne minuty, wypeł-

°ne zdyszczanymi oddechami oczekującej w napięciu gromadki.

Selena przymknęła oczy i tupnęła z rozdrażnienia wywołanego własna bezsilnością.

- Pomóc! - tyle zdołała z siebie wydobyć. Andrew pocieszał ją tymczasem:

- W porządku, Seleno. Masz czas. Ile tylko chcesz. Nie spiesz się. Zacisnęła mocno dłonie i wbiła w niego oczy, jakby czerpiąc siłę z jego spokojnejakceptacji.

- Koszyk. Nie! - potrząsnęła głową. - Selena nie... nie głupia... chora. Edith cmoknęła z troską.

- Biedactwo, z mózgu jej się zrobiła jajecznica! Maeve zwróciła na nią nieobecne, szkliste oczy:

- Owszem, Edith, to doskonały pomysł. Pan na pewno chętnie zje jajecznicę na kolację. Idź nakryj do stołu i nie zapomnij spytać pana, czy jest głodny.

- Uciszcie się obie! - nakazał szorstko Andrew. - Nie widzicie, że ona chce nam coś powiedzieć? - Przynsunął się bliżej, zachęcając Selenę kiwaniem głowy. - W porządku, próbuj dalej.

Selena wskazała na swoją głowę, potem na usta.

- Uszkodzone. - Widząc brak zrozumienia w oczach Andrew, powtórzyła gest, lecz z innym słowem: - Trudno. Maeve przytaknęła.

- Czasami każdemu trudno ująć myśli w słowa. Prawda, Herbercie? - zwróciła się do wypchanej sowy, którą tuliła w ramionach. Andrew aż się zadławił z podniecenia.

- Czy o to ci właśnie chodzi, Seleno? Skinęła głową i uśmiechnęła się szeroko.

- Tak. Myśleć... dobrze. Mówić... nie. Pomóc... Selenie. Twarz Andrew posmutniała.

- My ci nie pomożemy, Seleno. Jesteśmy obłąkani. Wariaci. Królowa zdzieliła go zdrowo w potylicę.

- Mów za siebie, motłochu! My, w których żyłach płynie królewskie krew, możemy być przerasowieni, ale nigdy obłąkani. Osobiście wie<sup>^</sup> mogłabym nauczyć tę dzierlatkę!

Selenie nie udało się nadążyć za słowami królowej, zamiast tego sięgnęła więc po dziecienną książkę z obrazkami i przycisnęła ją do pie<sup>^</sup>

- Czytać. Uczyć się. - Wskazała ręką okno. - Tam, wyjść-patrzeć. Przypominać słowa.

Andrew patrzył na nią zbity z tropu. - Nie przeszkadza ci, że jesteśmy wariatami? Uśmiechając się, dotknęła jego podbródka, pokrytego miękkim meszkiem młodzieńczego zarostu.

- Nie wariaci.

W oczach Andrew zalśniły łzy, choć na twarzy pojawił się niepewny uśmiech. Królowa potrząsnęła głową.

- Jezusie słodki! Patrzcie na to szczenię, zaraz zacznie skomleć! Otarł oczy.

- Pomogę ci, Seleno - odwrócił się ku szaro odzianej gromadce. - Co wy na to, obłąkańcy? To my nauczymy Selenę wszystkiego o życiu i świecie! Ale doktor Carrick będzie miał niespodziankę, kiedy wróci!

- Doktor Carrick niespecjalnie gustuje w niespodziankach - odezwała się powątpiewająco Edith.

Ukoronowana dama prychnęła pogardliwie i wzięła się pulchnymi dłońmi pod boki.

- Gównu mnie to obchodzi!

Andrew z wysiłkiem powstrzymał uśmiech, słysząc mało królewski okrzyk.

- Więc postanowione: będziemy uczyć Selenę wszystkiego, co musi wiedzieć o życiu. Edith podniosła oczy do sufitu.

- O, Panie litościwy! Czy to biedne dziecko nie dość ma własnych problemów?

## 11

Myślę, że przede wszystkim powinna się przyodziać - powiedziała królowa Wiktoña, zerkając na Selenę prze zrozbite szkieleto porzuczonego monokla. - Szaty to okno duszy.

Edith uniosła pytająco brwi.

- Naprawdę? Sądziłam...

- Proszę, zamilcz! - przerwała wyniośle królowa. - Od twoich utyskiwań boli mnie głowa.

Selena nie spuszczała z oczu swarliwych kobiet, pilnie wsłuchując się w ich przekomarzenia. Co jakiś czas udawało jej się wychwycić pojedyncze słowo - przyodziać, okno, głowa. Nie potrafiła złożyć ich tak, by tworzyły zrozumiałą całość, ale czuła, że przybliżyła się do celu. Słowa nadlatywały z zakamarków pamięci z coraz większą łatwością i coraz lepiej rozumiała, co się wokół niej mówi. Odkąd łan odjechał, minęły dwa zachody słońca, tego była pewna; z każdy<sup>®</sup> nowym dniem przybywało jej sił i umiejętności. Teraz bez wysiłku pamiętała imiona szaro odzianej gromadki: Lara, kobieta-dziecko, która ssie kciuk i marzy o własnej rodzimie; Andrew, poważny młodzieniec o żarliwych oczach, któremu wiecznie trzęsą się ręce<sup>6</sup> królowa Wiktoña, przemawiająca z dziwaczną manierą, nakazuje posłuch; Edith, gospodyni zarządzająca całym domem, prawie zawsze zagniewana na któreś z pozostałych. Czasami przez jej pokój p1'26, mykała milcząca, bojaźliwa Doty, spiesząca do swojej kryj<sup>^</sup> w jednym z licznych schowków czy przestronnych szaf. Sele<sup>''</sup> rozejrzała się. Kogoś tu brakowało.

- Gdzie się podziewa Maeve? - spytała odruchowo. Raptem wszyst-]ge rozmowy ustały i zapadła cisza tak głęboka, że aż głośna. Edith przycisnęła pulchną dłoń do ust i wyszeptwała nieśmiało:

- Słodka Maryjo!

Dopiero po dłuższej chwili Selena pojęła, co się stało - wyraziła swoje myśli płynnie i zrozumiale... i uczyniła to bez zastanowienia, z łatwością długiego nawyku. Poczwała, jak serce przyspiesza rytm uderzeń pod wpływem nowej nadziei. Czyżby to było sedno sekretu? Czy poprzednio zbyt silnie się skupiała i zbyt żarliwie dążyła do sukcesu? Może właśnie w ten sposób zamykała sobie do niego drogę? Może to był jej błąd. Obecność lana przyczyniała się do wzrostu napięcia i zdenerwowania, bo chciała mu zaimponować biegłością. i sprawnością. Pośród nowych przyjaciół czuła się swobodnie, bo nikt nie wywierał na nią nacisku. Uśmiechnęła się i spróbowała czegoś nowego:

- Maeve przyszła... - „do mojej sypialni wczoraj” - ...nocy. Uśmiech zgasł, plecy zgarbiły się pod ciężarem nowego niepowodzenia. Patrząc przepraszająco na Andrew, wzruszyła bezradnie ramionami.

- Nie tak... lepiej. Podszedł do niej.

- O wiele lepiej, Seleno! To normalne, że masz trudności z mówieniem. Niczego innego chyba nie należy się spodziewać po kimś, kto tak strasznie dostał po łepetynie!

Selena zrozumiała najważniejsze słowo: normalne. Ogrzało jej serce i nappełniło je nową nadzieją. Ujęła Andrew za rękę. Młodzieniec zamrugnął i uczynił ruch, jakby chciał ją wyrwać z uścisku.

- Co... co robisz?

- Dziękuję, Andrew.

Królowa sapnęła ironicznie.

- Bóg mi świadkiem, zaraz się pocałują!

Oblicze Andrew spłonęło rumieńcem. Wyszarpnął dłoń i okręcił

^ Da pięcie w stronę kobiet. Zmierzył je surowym spojrzeniem.

- Moje panie, nie zapominajmy, że od tej chwili jesteśmy wszyscy ^”^ycielami Seleny.

-^^. P°wtarzam więc: niech ona się przyodzieje! - królowa prychnęła - Szaty to okno duszy.

Edith pokręciła głową.

- Wasza Wysokość, chyba już kiedyś to omawiały i doszliśmy do wniosku, że to oczy są oknem duszy!

- Szaty.

- Oczy.

Sprzeczką stawała się coraz bardziej zagorzała, lecz w pojęciu Seleny było w niej coś niesłychanie komicznego, więc wybuchnęła śmiechem. Usłyszała chichot Lary u swego boku.

- Jak by to było, że oczy są ze szkła? Każdy głupi wie, że okna są ze szkła! - argumentowała poważnie królowa. Andrew posłał Selenie porozumiewawcze spojrzenie. Ujrzała, jak mruży oczy w uśmiechu, aż z kącików powiek rozeszły się wiązki drobnych zmarszczek; wargi zadrżały mu w powstrzymywanej wesołości. Edith ściągnęła brwi i potoczyła karcącym spojrzeniem po zasłuchanych twarzach.

- Wasza Wysokość, oni się z nas naśmiewają!

Oczy królowej zaokrągliły się i przez chwilę milczała ponuro. Wreszcie jeden kącik jej ust uniósł się w zadziomym uśmiechu, a z zaciśniętych warg spłynął gardłowy chichot. Zapadła głęboka cisza, którą przerwał głośny wybuch śmiechu. Wszyscy chwyтали się pod boki i zaśmiewali do łez, aż zatrzęsły się ściany pokoju. Selena nigdy jeszcze nie była świadkiem tak nieopanowanej wesołości. Poczwała się cudownie, przejmująco żywa. To było cudowne uczucie.

- Uwielbiam... się... śmiać! - wyjąkała Lara, odstawiając w uśmiechu wszystkie szczyby. Zataczali się i krztusili, aż stopniowo śmiech ucichł i zapanowała cisza- pełna ciepła i przyjacielskich uczuć. Królowa otarła łzy z pulchnych policzków i zwróciła się wprost do Seleny:

- Dziękuję, moje dziecko. Dawno już tak się nie ubawiłam!

- Ależ z największą przyjemnością! - odpowiedziała automatycznie. Królowa ostrzegawczo stuknęła ją zakrzywionym palcem po nosie.

- Ależ z największą przyjemnością. Wasza Wysokość. Tak należy się zwracać do mnie... albo ostatecznie możesz mnie tytułować królową Wiktoria.

Selena wpatrywała się w usta mówiącej, by nie przegapić żadnego ich drgnienia.

- Wasza... Wysokość.

Królowa rozpromieniła się w uśmiechu pełnym uznania.

- Oczywiście ja pierwsza będę miała z nią lekcje!

- Czego masz zamiar ją uczyć, królowo? - spytał ostrożnie Andrew.

- Podstawowych rzeczy: jak chodzić z książką na głowie, jak się ktaniać i jak pozdrawiać motłoch skinieniem dłoni... - obwisłe policzki zmarszczyły się w grymasie zamyślenia. - Niezbędna jest też etykieta obowiązująca w czasie podwieczorku.

- No tak, bez tego rzeczywiście nie da sobie rady w świecie -powoli wycedził Andrew. Królowa spojrzwała

na niego ostro.

- Czy sądzisz, że ona naprawdę wyjdzie stąd kiedyś na świat?

- Czemu nie miałyby wyjść? Nie jest obłąkana!

- Nie bardziej niż ja - oświadczyła dumnie królowa. - Gdyby nie knowania mojej starszej siostruni bliźniaczki. Sprytniej Wikci, byłabym teraz zasiadała na tronie, który mi się należy! - odwróciła się i zaczęła krążyć po pokoju, wachlując zaczerwienione z podniecenia policzki. Selena podeszła do królowej.

- Pomóż mi...

Królowa zatrzymała się w pół kroku i spojrzała prosto w oczy dziewczyny.

- Przyznajesz, że jestem jedyną prawowitą królową i dziedziczką tronu angielskiego?

Selena nie miała pojęcia, co znaczyło to skomplikowane pytanie, Wec po prostu skinęła głową. Królowa uśmiechnęła się triumfalnie.

- Wobec tego jeszcze dzisiaj zaczniemy studiować dziedzinę, w której jestem mistrzynią - etykiety.

Edith podniosła oczy do sufitu.

- To oczywiście stek bzdur. Ja nauczę ją czegoś naprawdę pożytecznego - gospodarstwa domowego. Jeśli uda jej się nie podpalić tego Ściernego domu, to zyska solidną umiejętność, która pomoże jej bedys ucziwie zarobić na życie. Nie trzeba biegle się wysławiać, Y być doskonałą gospodynią.

- Myśleć też zbyt biegle nie trzeba - rzuciła kąśliwie królowa.

Andrew zastanawiał się przez chwilę, po czym rozpromienił twarz \v „śmiechu.

- Nie posiadam zbyt wielu pożytecznych umiejętności, ale potrafię ^czyć ją więcej słów. Zacznę od tego, że oznaczę tabliczkami

^stko w domu i ogrodzie.

- A kto nauczy ją myśleć? - spytała Edith.

Spojrzeli po sobie z zakłopotaniem, wreszcie Lara podniosła rękę

- Jaja nauczę!

Królowa odsapnęła z widoczną ulgą.

- Uff. No, to wszystko postanowione. Wobec tego porozmawiajmy o czymś naprawdę ważnym: co ta panna włoży na podwieczorek? -Rozejrzała się po pokoju i zauważyła brązową jedwabną suknię - dar Maeve. - Ach, doskonale! - Porwała szatkę z fotela i wyciągnęła ją do Seleny. - Na dzisiaj nam wystarczy.

Selena pogłaskała miękką tkaninę.

- Jedwab...

- W rzeczy samej.

Edith podeszła do Seleny i dotknęła guziczków na gorsie jej koszuli nocnej.

- Guziki... pamiętasz, jak się z nimi obchodzić? Jak je rozpiąć? Selena, szczęśliwa, że pojmuje, czego od niej chcą, błyskawicznie rozpięła guziki i ściągnęła koszulę przez głowę, stając przed zebranymi naguteńka, jak ją Pan Bóg stworzył. Potoczyła dumnym wzrokiem po osłupiałych twarzach. Andrew przełknął ślinę i spłonął głębokim rumieńcem.

- Och, Boże! - wykrztusił chrapliwie. Edith napadła na niego jak furia, skrzeczając piskliwie:

- Wynoś się stąd, Andrew!

Chłopak wybiegł pospieszenie, zatraskując za sobą drzwi. Selena zrozumiała, że znowu zrobiła coś złe, ale nie miała najmniejszego pojęcia, o co chodzi. Rozpięła koszulę i ściągnęła ją - dokładnie tak, jak nauczyła ją Edith. Zerknęła na starszą kobietę.

- Żle?

Edith potaknęła.

- Nie rozbieraj się przy innych ludziach. Tak nie wypada. Selena ogarnęła wzrokiem twarze otaczających ją kobiet. Sądziła'

że „ludzie” oznacza obecność więcej niż jednej osoby, ale widoczna się myliła.

- Ludzie?

- Andrew - wyjaśniła Edith. - Nie rozbieraj się przy Andrew.

- Aha! - krzyknęła Selena. Widocznie w jego osobie było coś specjalnego, co odróżniało go od reszty. -

Rozumiem.

- To dobrze. Teraz zajmijmy się ubieraniem.

Edith pokazała Selenie, jak zawiązać w pasie pantalonki wykończone koronką i jak narzucić przez szyję zwiewną batystową koszulkę. Selena pilnie uważała, a królowa opisywała każdą jej czynność, by dziewczyna mogła sobie później przeczytać i odświeżyć w pamięci całą procedurę. Składało się bowiem na nią więcej ubrań, niż mogła sobie wyobrazić. Selena posłusznie powtarzała każde zasłyszane słowo - przynajmniej dwa razy - aż je pojęła i zapamiętała. Niewielkie brązowe przedmioty to buty, a jedwabne okrycia na nogi to pończochy. Edith podniosła do góry przedmiot w kształcie klepsydry, wykonany ze sztywnej białej satyny, z różowymi wstążkami przymocowanymi po obu stronach rozcięcia. Ten nowy składnik garderoby wydał się Selenie bardzo sztywny.

- Teraz gorset!

- Gorset... - powtórzyła. Stała nieruchomo, pozwalając Edith dopasować go na piersiach i pod pachami.

- Chwyć się ramy łóżka - poleciała gospodyni - i wciągnij oddech! Selena posłuchała. Edith szarpnęła troczki gorsetu. Selena zachłysnęła się. Rozpaczliwie łowiła powietrze otwartymi ustami. Miała wrażenie, że się udusi, przed oczami tańczyły jaskrawe białe światła. Puściła drewnianą obudowę łóżka i wykręciła się pod ramieniem Edith.

- Jeszcze nie dość ciasno, wracaj! - wołała gospodyni, biegnąc za „ią. Selena pochyliła głowę jak byk gotujący się do ataku i oparła ^e na biodrach.

- Nie. Gorset nie! - wielkimi haustami wciągała powietrze do „dręczonych płuc.

- Ale damy...

- Nie.

- Ależ inaczej nie wypada. Doktor Carrick...

Królowa uciszyła Edith skinieniem ręki.

- Doktora tu teraz nie ma. Poza tym, nawet gdy wróci, będzie się jak ^ykle chował w swojej mrocznej pustelni, więc co go to będzie „,chodzić, że Selena nie nosi gorsetu? Nawet tego nie zauważy!

„^th wzruszyła ramionami.

- Dobrze, poddaję się. Seleno, nie musisz zakładać gorsetu.

I dziewczyna uśmiechnęła się.

- Boli...

Królowa zaśmiała się serdecznie.

- Widzisz, Edith? Nawet półgłówek wie, że ta przeklęta rzecz jej szkodzi! Edith westchnęła.

- Jesteś królową, wydaj więc edykt zmieniający nakazy mody!

- Uczynię to... gdy tylko zdechnie ta lisczka, moja zła bliźniaczka! Wtedy kobiety będą mogły nosić... spodnie!

Usta Edith rozciągnęły się w szyderym uśmiechu.

- Nic dziwnego, że cię zamknęli w wariatkowie! Selena podniosła głowę z zainteresowaniem.

- Spodnie - jak Andrew? Edith potrząsnęła głową.

- Nie, Seleno. To absolutnie wykluczone!

Ytłówna ulica miasteczka Alabaster w stanie Maine okazała się wąska i błyszcząca w promieniach wschodzącego słońca jak minerał, od którego osada wzięła swą nazwę. Po obu stronach stały domki o ścianach zbitych z pomalowanych na białą desek - każdy w samiotkim środku prostokąta wyschniętej, pożółkłej trawy, każdy otoczony białymi sztachetkami tradycyjnego płotu, każdy głoszący opowieść o zwykłej, szarej codzienności jego mieszkańców. W godzinie przedświt w uśpionym miasteczku królowały jeszcze cisza i bezruch, ale łanowi łatwo przyszło wyobrazić sobie to miejsce w upalne letnie południe. Zatłoczone chodniki, na ulicy gęsto od pojazdów, przesycone ciepłą wilgocią powietrze, aż wibruje odgłosami życia: dziecięcym śmiechem, rozmowami dorosłych, rytmicznym stukotem końskich kopyt na ulicznym bruku-

Jego powóz pędził pustą obecnie ulicą, nie zatrzymując się ani nie zwalniając, co najzupełniej odpowiadało łanowi, który nie miał żadnego powodu, by przyjrzeć się bliżej osadzie, jakich setki widział w latach spędzonych w wiejskich regionach Nowej Anglii. Tkwiły pośród sielskiego krajobrazu pól jak perły rozsiane



na szmaragdowy!0 tle olbrzymiego obrazu.

Jeszcze jako dziecko Ian marzył skrycie o zamieszkaniu w takiir właśnie miasteczku, gdzie sąsiedzi znali się i odwiedzali w niedziel”6 wieczory na kolacji, gdzie matki nosiły fartuchy, zawsze się uśmiechał i nie rozmawiały głośno ze swymi zmarłymi mężami - jak to miała ^ zwyczaju jego rodzicielka. Johann odezwał się markotnie:

- Nienawidzę takich dziur. Z wierzchu ładniutkie, pod spodem zgnilizna. Ian rzucił mu gniewne spojrzenie.
- Kto tu teraz grzeszy cynizmem?

Jeszcze raz wyjrzał przez okno, za którym jaskrawopomarańczowy słoneczny dysk wynurzył się zza poszarpanej wierzchołkami drzew linii horyzontu, rzucając światło na wciąż uśpione domki. Johann wdzięcznym gestem zarzucił nogę na nogę.

- Ach, przepraszam najmocniej! Założę się, że przez całe życie żałowałaś, iż los nie dał ci wzrastać właśnie tutaj... Widać to prawda, co mówią: że w każdym naukowcu drzemie niepoprawny marzyciel.

Ian nie dał się wciągnąć w przekomarzania.

- Za chwilę dojedziemy do budynku miejscowego sądu. Oczekuję, że potem udasz się prosto do Domu Zapomnienia i przekazesz moje przeprosiny za niezapowiedziany wyjazd.

- Mowy nie ma!

- Jak to?

- Skoro musisz opuścić naszą uroczą księżycową boginię, trudno, nie mogę ci zabronić... ale sam będziesz musiał się wytłumaczyć ze swoich poczynań. Ja powiem im po prostu, że pojechałeś do miasta na operację mózgu i wymianę duszy. Taki przynajmniej powinien być prawdziwy powód twej nieobecności.

- Doskonale!

W powozie zapadła niezręczna cisza, Ian uparcie wpatrywał się w widok za oknem, chociaż niewiele mógł rozróżnić w jednostajnej smudze zieleni zmieszanej z bielą. Wreszcie powóz zwolnił i stanął. Usłyszeli, jak woźnica gramoli się z kozła, potem drzwi skrzypaneły i otworzyły się na zapyloną ulicę. W rześkim chłodzie poranka z ust cennego Fergusa z każdym ciężkim oddechem unosił się obłok P^ . Służący wskazał kciukiem budynek za swymi plecami.

- To właśnie miejscowy sąd, panie doktorze.

- Świetnie. Fergus, wyładuj moje bagaże i idź poszukać dla mnie P°wozu do wynajęcia, bo chcę bez zwłoki wyruszyć do Nowego „‘ku. Postaraj się o śmigły zaprzęg i dziarskiego woźnicę.

- A ten powóz?

- Pan Strassborg natychmiast wraca do Lethe... gdzie jest jego miejsce.

- Ach, lanie! - odezwał się Johann tonem szyderczej pogardy. - Łamiesz mi serce...

Ian udał, że nie słyszy melodyjnego śmiechu towarzysza. Wyskoczył z powozu i podążył piaszczystą dróżką prowadzącą do przysadzistego, piętrowego budynku o typowych dla tych obszarów ścianach z białych desek. Pod jednym dachem mieściło się tu miejskie więzienie, sala sądowa, biura adwokackie i urząd pocztowy, Ian przystanął na chwilę przed drzwiami z ręką na gałce, po czym zaczerpnął głęboki oddech i wszedł do środka.

Znalazł się w przestronnym pomieszczeniu, oświetlonym kilkoma lampami podwieszonymi u masywnych belek sufitu. W rogu, za koślawym biurkiem, siedział chudy, przygarbiony starzec. Na blacie tuż przy starczej dłoni leżał pęk zardzewiałych kluczy.

Staruszek podniósł wzrok i Ian ujrzał błysk nadziei w wyblakłych błękitnych oczach.

- Dzień dobry! - Oparłszy się dłońmi o biurko, starzec z niejakim trudem podniósł się na nogi. Okrążył biurko i podszedł do Iana z ręką wyciągniętą w kordialnym powitaniu. - Jestem Jed Larkham. Czym mogę panu służyć, młody człowieku?

Ian popatrzył na usianą wątrobianymi plamami dłoń o powykręcanych wiekiem palcach. Instynktownie wcisnął ręce do kieszeni płaszcza.

- Nazywam się doktor Ian Carrick.

Jed zatrzymał się jak wryty i pospiesznie schował dłoń. W załzawionych oczach mignął cień popłochu, świadczący o tym, że staruszek rozpoznał gościa. Z pomarszczonej twarzy uciekła wszystka krew.

- Doktor Carrick! - powtórzył nazwisko szeptem, jakby bojąc się? obudzić bestię, i odruchowo obejrzał się

na drzwi za plecami. - Cóż za niespodziewana wizyta... Słyszeliśmy, że... - Nagle zdał sobie sprawę, że lada chwila wypnie mu się coś niestosownego, i gwałtownie zacisnął wargi, łan skrzywił usta w uśmiechu gorzkiego rozbawienia'

- Oczywiście, jestem pewien, że wiele słyszeliście.

Jed przełknął ślinę i spiesznym krokiem powrócił za biurko jak oa bezpieczną redutę. Usiadł z łatwo czytelnym westchnieniem ulgi i dopiero po dłuższej chwili krępującej ciszy odważył się podnieść wzrok.

- Co pana sprowadza do Alabaster?

łan przeciął odległość dzielącą go od biurka i usiadł naprzeciw starszka.

- Znalazłem dziewczynę... właściwie kobietę... - urwał, nie znajdując odpowiednich słów. Jed nerwowo zabębnił palcami po biurku.

- Miejscową dzie...dziewczynę?

łan poderwał brodę i popatrzył na starca zmrużonymi oczyma.

- To nie są sprawy sercowe, panie Larkham. Ta kobieta została do mnie przywieziona jako ofiara wypadku, wymagająca pomocy medycznej. Chciałbym ją zwrócić rodzinie.

- Ach! - Urzędnik odetchnął. - Jeśli poda mi pan jej nazwisko, skieruję pana...

- W tym tkwi problem - przerwał łan. - Mózg pacjentki ucierpiał nieodwracalne szkody w wyniku jakiegoś upadku czy zderzenia... jednym słowem, ona nie pamięta swojego nazwiska... ani właściwie niczego. Jednak ktoś w tej okolicy musi wiedzieć o zniknięciu dorosłej kobiety.

- Wyznaczy pan nagrodę za informacje?

- Co, mam ściągnąć każdego chytrusa w promieniu tysiąca mil? Nie, wielkie dzięki. Szukam osoby czy osób - mam nadzieję, że okażą się jej krewnymi - które zgłoszą się po tę kobietę, a nie po domniemany zarobek.

Jed otworzył szufladę i wyjął arkusz papieru i pióro.

- Jak wygląda pana znajda?

- To też stanowi pewien problem... jest strasznie posiniaczona, ma Elegie obrażenia twarzy, więc trudno opisać jej rysy. Jednakowoż to i owo mogę panu powiedzieć: ma długie, kasztanowe włosy, bazowe oczy i około metra sześćdziesięciu centymetrów wzrostu. -

-tóbował przywołać jeszcze jakieś użyteczne szczegóły, dzięki którym ^zina mogłaby zidentyfikować jego podopieczną. - Ma wszystkie ^y, a gdy ją do nas przywieziono, nie miała na sobie żadnej biżuterii.

0 do wieku: może mieć od osiemnastu do pięćdziesięciu lat. Jed odłożył pióro i oparł podbródek na splecionych dłoniach.

I'' Niewiele to nam da.

- Jestem tego świadom. Czy nikt nie zgłaszał zaginięcia? Jed potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Wywieszę to ogłoszenie i będę miał uszy i oczy otwarte.

- Dziękuję, panie Larkham! - Odsunął krzesło i wstał. Bez dalszych ceregieli podążył do drzwi.

- Panie... doktorze Carrick?

Zatrzymał się, lecz nie raczył się odwrócić. Dobrze wiedział, co usłyszy. Zawsze tak było.

- Słucham, panie Larkham?

- Ja... to znaczy, wszyscy słyszeliśmy o pana wypadku.

- To nie był wypadek, panie Larkham.

- No tak, jasne... W każdym razie słyszeliśmy, że w następstwie tego, hm... incydentu został pan... hm... odmieniony. łan parsknął gorzkim śmiechem.

- Naszemu burmistrzowi - wie pan, jest nim teraz stary Thomas Markette - zaginęła niedawno córeczka, dwunastoletnia dziewczynka. Jedyny ślad, jaki pozostał, to strzęp jedwabiu z jej sukienki. Pomyślałem, że może gdyby... gdyby pan go dotknął...

łan zacisnął szczęki i powieki. Zawsze było tak samo! Ludzie bali się go i właściwie nie bardzo wierzyli w jego nadprzyrodzone zdolności, ale nie byli do końca pewni. Chcieli, żeby ich dowiódł... żeby rozwiązał dla nich niewyjaśnioną zagadkę i odnalazł beznadziejnie zaginionych, a wtedy, wtedy... na chwilę by uwierzyli. Lecz nie przestaliby się go lękać i odepchnęliby go od siebie natychmiast po zaspokojeniu próśb, niepomini

otrzymanej pomocy. A gdyby mu się nie powiodło - och, niechby Bóg miał go wtenczas w swej opiece!

Jed wyciągnął z biurka zakurzony i podarty strzępek koronki. Skrawek zwisał żałośnie z powykręcanych starych palców. I all popatrzył nań ze znajomym uczuciem paniki, bezsilności i poniżenia. Jakże sobą pogardzał za bezużyteczność osobliwego daru! Chciał powiedzieć starcowi, że nie ma żadnych paranormalnych mocy, że nie jest prawdziwym medium... ale nie potrafił się wykręcić. ^ zawsze, poczuł wyzwanie, nadzieję, że tym razem będzie inaczej? Powoli wyciągnął rękę po zmięty skrawek tego, co było niegdY” ozdobną szatką.

Nie spodziewał się żadnych wizji ani informacji i oczywiście żadnych nie otrzymał. Przez głowę przebiegła mu myśl, którą B11’

zapewne każdy trzymający ten żaloszny strzęp - że gdzieś tam błąka się zagubione, przerażone dziecko. Nic nie potrafił zrobić, by mu

pomóc. Rozwarł palce i wypuścił szmatkę, jakby zaczęła go nagle parzyć.

Lekuchny strzęp zakotył się leniwie w powietrzu i spłynął płamą bieli na zmatowiałą od starości politurę blatu biurka.

- Najwyraźniej źle pana poinformowano, panie Larkham. Mój dar... -kiedy wymówił to słowo, jego głos wprost ociekał sarkazmem -.”nie obejmuje odczytywania losów ze skrawka jedwabiu. Żegnam pana i życzę pomyślnego dnia!

Powinien już dawno przywyknąć do reakcji ludzi i zobojętnieć na nie. Wiedział, jak się zachowa Larkham, ale tak dawno już nie obracał się wśród ludzi żyjących w otwartym świecie, że zdążył się odzwyczaić. Albo to, albo wspomnienia zatarty się pod wpływem zbyt wielu butelek whisky i zbyt wielu samotnych nocy. W pewnym sensie zdążył zapomnieć, że jego dar przeraża i przyciąga jednocześnie, że ludzie widzą w nim coś więcej niż człowieka i zarazem coś mniej - wcielenie istoty będącej swoistym połączeniem szatana i archanioła. Oczywiście istniała też garstka zagorzałych... kibiców, którzy nie odstępowali go ani na krok, żądni jego dotknięcia jak salonowej sztuczki samozwań-czego cudotwórcy.

Wyrzwał na ulicę, gdzie czekał już Fergus z wynajętym powozem. Bez jednego spojrzenia wsiadł do środka i zastukał w sufit. Powóz szarpnął i potoczył się drogą prowadzącą do sąsiedniego miasteczka.

Kolejne miasteczko - kolejna para oczu wpatrzonych w niego z mieszaniną czujnego strachu i niepewności, czy niesławny doktor „ie dostanie zniecka ataku hysterii. Kolejna dłoń wyciągnięta do P°witania...

Westchnął. Może powinien zaprzestać poszukiwań? Kim właściwie była dla niego Selena? Stać go było, by ją do

onca życia odziewać i karmić bez uszczerbku dla swej okazałej

Wuny. Mogła dożyć swych dni pod jego dachem - bezimienna

-”ajda bez twarzy, w milczeniu, bezmyślnie snująca się mrocznymi ^tytarzanu. Czym byłaby jeszcze jedna zagubiona dusza w przycisku potępieńców? ‘-na] odpowiedź, zanim jeszcze przyszło mu do głowy pytanie:

^a nigdy nie stałaby się kolejną obłąkaną lokatorką Domu

Zapomnienia. Prześladowałyby go swoją obecnością. Czułby jg, istnienie, nawet nie widząc jej, w każdej sekundzie, każdego dnia przez resztę swojego godnego pożalowania życia. Każdy niepewny ruch wywoływałby u niego impuls, by przyjść jej z pomocą; każde bełkotliwe słowo kazałoby mu modlić się o następne, o poprawę o uzdrowienie. Pamiętał, jaką ją widział po raz ostatni - siedzącą na podłodze z beznadziejnie potarganymi włosami i umorusaną twarzą, z martwą myszą dyndającą między palcami. Potem przypomniał sobie Elizabeth, jak buja się na fotelu pod oknem, a srebrzysta niteczka śliny ciągnie się od jej ust po brodzie i ścieka na gors sukni... Te dwa obrazy stopiły się w jego wyobraźni w jeden, w portret Seleny. Ogarnęła go fala mdlącego poczucia straty i wstydu. Gdyby był silniejszy, gdyby był lepszym człowiekiem... gdyby stać go było, by ją otoczyć opieką i nie wymagać, by stała się kimś innym, niż była - istotą niedoskonałą, o uszkodzonym mózgu. Gdyby był człowiekiem, który mniej potrzebuje i dlatego potrafi więcej wybaczyć...

Lecz nie był nikim takim. Dla niego nie byłoby gorszej tortury, niż patrzeć, jak resztki osobowości Seleny z wolna obracają się w chaos, jak dziewczyna upodabnia się do Elizabeth. Nie mogłoby go spotkać nic gorszego. Nic! Ta męka zabiłaby go, jak zabiła Gilesa. Dzień po dniu, incydent po incydencie, jego umysł traciłby i tak chwiejną równowagę - i tyle. Musiał się jej pozbyć, by ocalić własną duszę. Rachunek był

prosty.

Owszem, jego lęki dowodziły dziecinnej, egoistycznej natury, ale nie były wyimaginowane. Nie przywykł gloryfikować swoich skaz w charakterze, osładzać zbędnymi wymówkami niepowodzeń czy udawać, że jest bez wad. Był, jest i pozostanie samolubem, ale ta cecha nigdy dotychczas nie dała mu się tak bardzo we znaki.

Będzie się trzymał z dala od domu, jak długo się da. Będzie spotykał się z tyloma nieznanymi, ilu zdoła wytrzymać. Będzie się nieustannie modlił, by ktoś zgłosił się po jego boginię - obtłuczony posąg, którego nie naprawi już żaden rzeźbiarz.

## 12

Selena leżała w łóżku z kołdrą podciągniętą wysoko pod brodę. Przez kilka bezcennych chwil, zanim całkowicie się rozbudziła, czuła w sobie tętniącą życiem świadomość nadchodzącego świtu. Wiedziała, że już niebawem ciemności za oknem rozświetli brzask.

Dzisiaj obiecali, że wyprowadzą ją na dwór.

Rozchyliła powieki i spojrzała w stronę okna. Nawet podłużne cienie przecinające szyby, świadectwo obrzydłych prętów, nie mogły dzisiaj przygasić jej uniesienia. Przeciągnęła się leniwie i odrzuciła nakrycie. Usiadła i rozejrzała się po sypialni, przywołując w pamięci rutynowe czynności poranne, których nauczyła ją Lara.

„Umyj twarz. Skorzystaj z toalety – po prostu na niej usiądź”.

Rozpromieniła się, że tak łatwo przypomniała sobie instrukcje. Stała na chłodnej podłodze stopami w nocnych pończochach – podeszła do komody. Przyziemna czynność chodzenia wydała jej ^tego dnia niestosowna. Dla uczczenia jego wagi, właściwiej byłoby fruwać, unosić się nad ziemią płynnie, jak za sprawą magii.

Napełniła fajansową miednicę letnią wodą i obmyła twarz. Sięgając P° ręcznik wiszący obok umywalki, zahaczyła spojrzeniem o odbicie Jasnej twarzy w owalnym lustrze i zastygła z dłonią wyciągniętą w Powietrzu. Przysunęła się bliżej do lustrzanej tafli. Opuchlizna ^ i z na tyle, że wreszcie mogła dopatrzeć się rysów twarzy. Oczy nie kryły się już za obrzmiałymi poduszkami sińców, wyraźnie Odziała tęczę i źrenice, a zagłębując w głąb własnych oczu czuła, ^by zagłębowała w głąb swojej nareszcie odzyskanej duszy.

Jak zahipnotyzowana dotknęła palcami policzka, zachwycając się gładkiego i sprężystego. Purpurowa czerń siniaków wyblakła i przeszła w odcień zielonkawej żółci, podbarwionej brunatną smugą na krawędziach. Selena pomyślała, że to najpiękniejszy kolor, jaki widziała w odzyskanym niedawno życiu – barwa przemiany, odcień wyzdrowienia.

Dotknęła chłodnej, śliskiej powierzchni lustra.

- Kim jesteś? – szepnęła, patrząc zafascynowana, jak poruszają się różowe wargi, kształtując kolejne słowa. Z lustra patrzyły na nią tajemnicze oczy nasycone miękkim brązem.

Pomyślała, że powinno jej chyba zależeć na odpowiedzi na zadane pytanie. Zaczęła bardzo się starać, ale nic z tego nie wychodziło –nie potrafiła wzbudzić w sobie zainteresowania, chociaż wiedziała, jak bardzo zależy na tym łanowi i wszystkim pozostałym. Nie dbała o to, jaka była jej przeszłość. Pragnęła przyszłości i tylko to miało znaczenie. Aż do bólu wyrwała się, by ją rozpocząć, by przekroczyć próg pokoju, w którym obudziła się do nowego życia. Wynurzyć się na świat i zacząć go odkrywać, doznawać wrażeń, myśli i uczuć, jakich nie potrafiła sobie nawet wyobrazić.

Dzisiaj zrobi pierwszy krok na tej drodze. Wczoraj cały dzień spędziła w murach domostwa. Edith nauczyła ją skubać z piór martwego, oślizgłego ptaka – przy posiłku odmówiła spożywania go, dla samej zasady, bo to było okropne, sama myśl o zjedzeniu istoty, która niegdyś cieszyła się życiem, fuj! Po tym wstępnym fiasku Edith przesunęła ją od robót kuchennych do sprzątanania i pokazała, jak polerować meble gęstą, lepłą substancją, która bosko pachniała.

Zapach był tak rozkoszny, że Selena nie mogła się powstrzymać i zjadła ją całą.

Wtedy Edith postanowiła przenieść lekcje do sypialni. Selena nie do końca rozumiała sens udzielanych jej nauk i swoich błędów’ chociaż jedna nauczka utkwiła jej w głowie: wolno jeść zdechłe ptakii a mazideł czyszczących – nie. Cóż za dziwaczne reguły panowały w tym osobliwym świecie!

W sypialni też nie poszło jej gładko. Zaczęła z animuszem i <sup>os</sup> konale pościeliła łóżko. Lara pokazała, jak spulchnić kołdrę i wytrzeć poduszkę. Selena szybko pojęła tę lekcję i szło jej znakomicie ° chwili, gdy ze szwu wysunęło się prześliczne białe piórko i P<sup>^</sup>

szybowało, kołyszając się na skrzydłach wietrzyka wpadającego przez otwarte okno. Nigdy w życiu nie widziała czegoś równie uroczonego:

y złotym paśmie wirowały w chłodnym powietrzu miliardy drobinek pyłu. Zastony falowały, miękko ocierając się o parapet. A to skończenie piękne piórko płynęło i tańczyło na wietrze, aż wreszcie spadło na podłogę.

Raptem Selena ujrzała w poduszce niewyczerpaną skarbnicę piękna i przygody. Rozerwała podszewkę i pełnymi garściami ją wygarniała lekkie piórka, rzucając je wysoko w górę. Obie z Lara zaśmiewały się przy tym, bawiły i podskakiwały, zauroczone wdziękiem zamieci śnieżnych puszków.

Edith, niestety, zauroczenie nie ogarnęło. W pierzastych gejzerach ujrzała jedynie bałagan, a gdy Selena usiłowała zwrócić jej uwagę na grację, z jaką pojedyncze piórko splotowało taneczną spiralą na podłogę, zignorowała ją całkowicie. Właściwie powiedziała nawet: „Przerwijcie te cholerne zabawy bez sensu!”

Ani Selena, ani Lara nie pojęły znaczenia wyrażenia „bez sensu”, ale Edith dość wymownie pokazała znaczenie słowa „przestać”. Załamała ręce, naburmuszona wybiegła z pokoju i już nie powróciła. Selena zrozumiała, że więcej nie będzie się uczyć zawodu gospodyni domowej. Trochę ją rozczarowało nieoczekiwane niepowodzenie, ale próbowała nie tonąć w smutku, tylko z nowym zapałem skupić się na innej lekcji.

Skoro zawiodła jako gosposia, powinna się doskonale sprawdzić J<sup>o</sup> „poddana Korony”. W rzeczy samej, niebawem królowa wyraziła S<sup>^</sup>bokie zadowolenie z postępów swej uczennicy. Selena doskonale „Panowała misterium płynnego ruchu, zwanego skłonem. Zapamiętała

z bezbłędnie, że ma kłaniać się wszystkim w domu z wyjątkiem <sup>^</sup> i, która była pomocą domową, i Lary, której „brakowało piątej <sup>^</sup>Pki”... ach, i jeszcze męża Edith, który był „beznadziejnym pijusem ‘d0 tego półgłówkiem”.

„szyscy pozostali, zdaniem królowej, zajmowali na drabinie

P<sup>o</sup>iecznej szczeble wyższe niż ten, na którym tkwiła Selena, przeto eza<sup>0</sup> się im kłaniać. Szczególnie król zasługiwał na to wyróżnienie. „i, na już niebawem poczuła zawrót głowy od nieustannych oow, zginając się ku ziemi za każdym razem, gdy ktoś nowy d1 do pokoju. Mimo to starała się wypełniać nakazy etykiety,

być posłuszną tradycji i biegle opanować wytworne maniery. Wkrótce na swoim koncie mogła zapisać kolejną umiejętność: zręcznie nalewała i popijała małymi łykami wrzątek pozbawiony smaku, który królowa nazwała herbatką, pamiętając, by mały paluszek był zawsze odgięty i skierowany do sufitu. Natomiast skinienie dłoni Seleny królowa określiła jako „szczyt doskonałości”.

Selena oderwała wreszcie spojrzenie od lustra i sięgnęła po brązową suknię, którą wieczorem rzuciła niedbale na oparcie fotela. Skrzywiła się na myśl, że znowu musi ją włożyć. Odruchowo cofnęła dłoń.

Wszystko, czego ją dotychczas nauczono o tym, jak być „damą”, było albo absurdalne, albo diabelnie niewygodne. Wciąż miała ochotę się sprzeciwić, chciała nosić spodnie – jak Andrew, a do tego obszerną, jedwabną koszulę sięgającą niemal do kolan. Podobały jej się śmiałe kolory, które przywodziły na myśl takie słowa jak niebo, morze, żonkile, irysy, trawa. Te kolory, jak żadne inne, otwierały jej pamięć na nowe obrazy i znaczenia. Biała koszula przywodziła na myśl śnieg, mróz i gwiazdny pył skrzący się na niebie; pienisty strumień mleka tryskający z różowego krowiego strzyka; aksamitne płatki stokrotki. Czasami znajdowała słowa, które pasowały do tych obrazów; czasami pamięć przywoływała sam obraz, a słowo w niewytłumaczalny sposób wskakiwało do głowy godzinę lub dwie później. Kolejność nie miała znaczenia, liczyły się tylko tak zwane wspomnienia, fragmenty i urywki, które w magiczny sposób dopełniały luk w wizji wszechświata obrazów, dźwięków i pulsujących barw. Tajemniczy świat przyzywał, wabił niezgłębionymi możliwościami.

Dzisiaj zaś miała go ujrzyć po raz pierwszy bezpośrednio, nie przez okienną szybę. Podniosła suknię, która nagle pomogła jej przypomnieć sobie, że jesienią zieleń liści rdzawieje i żółknie. Narzuciła miękkie fałdy przez głowę i wygładziła na karku koronkowy kołnierzyk w kremowym kolorze. Starannie zapięła guziczki

stanika i z bok” spódnicy, po czym usiadła na łóżku i czekała.

Wolność miała nadejść lada chwila.

W reszcie nadeszło oczekiwane pukanie. Poderwała się gwaito<sup>^</sup> nie z łóżka, ale stanęła jak wryta, słysząc trzask rozdieranej tkaniny. Spojrzała w dół i wzdrygnęła się na widok długiego rozdarć

biegnącego w dół stanika. Poszarpane brzegi tkaniny rozchyłały się, odsłaniając biel koszulki, a nad obrąbkiem dekoltu kipiły pagórki piersi.

Zapukano ponownie, bardziej niecierpliwie i dobiegł ją stłumiony drzwiami głos Andrew:

- Seleno? Czyś już się ogarnęłaś?

Zmarszczyła czoło w nagłej niepewności. „Ogarnąć” – chyba źle zrozumiała. Musiało chodzić o „rozgarnięcie”, a to słowo odnosiło się do kogoś, kto jest przy zdrowych zmysłach... czyli normalny. Czemu Andrew miałby się o to dopytywać, skoro jeszcze wczoraj sam ją upewniał, że wszystko z nią jest w porządku? Postanowiła nie zwracać uwagi na tę nielogiczność.

- Tak! – odpowiedziała, drzwi otworzyły się na oścież i do sypialni wszedł uśmiechnięty Andrew. Raptem zamarł jak kamienny posąg z oczami wielkimi jak spodki, utkwionymi w biel piersi wylewających się z koronek dekoltu.

- T...twoja sukienka...

- Okropnie jest ciasna!

Ujrzała rumieniec oblewający jego twarz aż po szyję.

- O...owszem... ale... – zerknął przez ramię na drzwi, jak gdyby przymierzając się do ucieczki. Selena rzuciła się ku niemu.

- Nie iść! – Uczepiła się jego ramienia jak kotwicy. – My iść... na dwór. Uczyc. Widzieć nowe!

Andrew oblizwał wargi i usiłował omijać wzrokiem jej biust, ale zanim zdołał wyjąkać odpowiedź, do pokoju wmaszerowały Edith ‘ Maeve. Gospościa rzuciła jedno spojrzenie na gors Seleny i podniosła gorszone oczy do sufitu.

- Jezusie, Maryjo, Józefie święty! Nigdy jeszcze przy żadnym Wirusie nie miałam tylu kłopotów z codzienną toaletą!

Maeve posłała Selenie leniwy, senny uśmiech i nie odezwała się.

&/6] widok dziewczyna poczuła ściskanie w dołku. Aż do tej chwili me zdawała sobie sprawy, jak bardzo brakowało jej Maeve, jak „aszliwie się obawiała, że jej pierwsza przyjaciółka zniknęła na dobre.

- Maeve! Tęskniłam za tobą!

Maeve, nie przestając się uśmiechać, podeszła do ściany i jęła „„,^Gznie walić w nią głową.

Edith burknęła niecierpliwie:

- Przestań! Bo i mnie rozboli głowa!

Selena podbiegła do przyjaciółki, dotknęła jej ramienia.

- Maeve... – szepnęła. Starsza kobieta wciąż uderzała czołem o ścianę. Każde głuche stuknięcie rozlegało się w uszach Seleny jak cios w jej własne serce. Spojrzała pytająco na Edith: - Czemu?

- Nawet nie pytaj, dziewczeczko... – Gospodyni machnęła ręką. –Czasami ogarnia ją takie szaleństwo, że nikt się z nią nie dogada. Nigdy nie wiesz, kiedy przyjdzie atak.

- Szaleństwo? – powtórzyła Selena i ściągnęła brwi. Obiema dłońmi złapała Maeve za ramiona i odciągnęła ją od ściany. Maeve odwróciła się i spojrzała na dziewczynę mętnymi, wodnistymi oczami bez wyrazu. Na czole, w miejscu, gdzie waliła w ścianę, pojawił się już niewielki siniak. W jej twarzy Selena nie dojrzała gniewu, tylko smutek. Czule odgarnęła kosmyk włosów, który spadł przyjaciółce na oczy.

- Nie. Nie szaleństwo. Krzywda. Ból...

Maeve zamrugnęła. Jeden kącik jej ust uniósł się w smętnym półuśmiechu. Selena czuła, że lada chwila starsza kobieta rozpozna ją – swoją przyjaciółkę – i przemówi do niej. Wreszcie bład grymas na ustach Maeve przeszedł w szeroki uśmiech.

- Mój mąż wrócił do domu! Słyszę koła powozu na podjeździe! –Zgarnęła ciężkie fałdy sukni i porwała się do biegu. Nie minęła sekunda, a zniknęła za załomem korytarza.

Edith potrzęsnęła głową:

- Ja chyba też tracę zmysły! Słyszę ten jej urojony powóz... Andrew podbiegł do okna i odciągnął zasłony.

Zza szyby wtargnęła

do sypialni atramentowa ciemność, ledwie rozrzedzona obietnica  
brzasku.

- Ktoś przyjechał!

Serce stanęło Selenie w piersiach. Radosna chwila zdawała i? Rozciągać w nieskończoność, wylewać z  
objęć czasu i ogarniać J6J całą istotę. Szeptęła:

- To łan!

- Nie, to tylko Johann – pokręcił głową Andrew, wpatrując sk w mrok. – Jest sam.

Ramiona Seleny opadły w przyptywie rozczarowania. Zanim zdoła\*  
odnaleźć w sobie dawny entuzjazm, z którym uczyła się nowego  
życia, Andrew złapał ją za rękę i wyciągnął na korytarz.

- Pospiesz się, Seleno, musimy porozmawiać z Johannem!

Biegli długimi schodami w dół i przecięli obszerną sień, wciąż pograżoną w ciemnościach. Andrew  
zatrzymał się przed masywnymi drzwiami prowadzącymi na dziedziniec, wyszarpnął dłoń z palców Seleny i  
wcisnął ją do kieszeni, wpatrując się w klamkę, jak gdyby był to jadowity wąż. Selena przecisnęła się obok  
niego i otworzyła drzwi. Do sieni wtargnął podmuch chłodnego powietrza, niosąc na rześkich skrzydłach rój  
jasnozielonych liści. Selena stanęła jak wryta, zaskoczona pieszczołą wiatru na policzkach i zapachem słonej  
morskiej bryzy. Poczwała chłostanie spódnicy na tydkach i łaskotliwe ocieranie luźno upiętych włosów na  
czole.

Od jej stóp aż po niewidoczną w mroku linię drzew rozciągał się poszarzały nocnym cieniem trawnik,  
stapiając się z ciemnością na granicy wzroku. Po odległym horyzoncie przesuwwały się ledwie widoczne  
pasma brzasku, odcinając jaśniejszą purpurą od głębokiej czerni nocy.

Johann zatrasnął drzwiczki powozu i podszedł ku nim ścieżką. Kamyki żwiru zgrzytały melodyjnie pod  
obcasami jego podróżnych butów.

- Lepiej wejdź do środka, Andrew. Świt już niedługo! Andrew skinieniem głowy wskazał Selenę,  
wytrzeszczając zarazem °czy w niemym sygnale.

- Aha... widzę, że w końcu znalazłeś sobie towarzyszkę! – Johann roześmiał się z własnego dowcipu. –  
Troszeczkę jak romans w stylu ^ Shelley, nie uważasz?

- To nie jest tak, jak myślisz – bronił się chłopak bez tchu. Johann zanurzył, oparł rękę na wysuniętym  
biodrze i zapatrzył się na Selenę. „ważne spojrzenie wędrowało od bosych stóp wystających spod rąbka ^kni  
do góry, po piersi wylewające się z rozdartego stanika. Selena P°czwała, jak w jej żołądku budzi się osobliwe  
ciepło. Wreszcie Johann

y^ i zał zęby w szerokim uśmiechu i podniósł jedną brew w ^donicznym grymasie.

- ^j twarz wygląda o wiele lepiej, Andrew. No, i do tego cóż za „^dziwa para bujnych piersiątek!

^ena nie rozumiała sensu wszystkich słów, ale wiedziała, że

chodzi o jej twarz. Bez wątpienia zauważył poprawę stanu jej urody Andrew syknął zduszonym głosem:

- Cicho! Ona rozumie już prawie wszystko! Johann leniwym gestem uniósł ramię i zaczął poprawiać  
koronkowy mankiet surduta.

- Jasne, mój chłopcze... a ja jestem król Jerzy.

Na ten sygnał Selena opadła ku ziemi we wdzięcznym ukłonie, pr czym powoli wyprostowała się i  
wyciągnęła prawą rękę na powitanie łabędzim ruchem zginając przegub. Opuściła oczy, zerkając  
i zał ik;

przez rzęsy – dokładnie tak, jak ją uczono.

- Komie kłaniam się Waszej Wysokości. Johann zastygł w pół gestu. Cała krew uciekła mu z twarzy.  
Oszołomiony spojrział na Andrew.

- Jasny gwint!

Selena zmarszczyła lekko czoło, bo usłyszane słowa nie pasowały do odpowiedzi, jaką po instrukcjach  
królowej Wiktorii spodziewała się usłyszeć. Ponownie zgięła się w ukłonie i wyciągnęła dłoń.

- Witam pokornie Waszą Wysokość!

Johann ujął jej rękę i wycisnął na niej dwornego całusa.

- Witaj, bogini – szepnęła i rzuciła jej spojrzenie spod ściągniętych w zamyśleniu brwi. – Czy mogłabyś przemówić do mnie?

Coś w jego spojrzeniu zaniepokoiło Selenę, która poczuła gorący rumieniec na policzkach. Z ulgą usłyszała, że wtrącił się Andrew:

- Ona potrafi czytać!

- Co takiego? – wybuchnął Johann, odwrócił się na pięcie i podszedł do powozu. Wyciągnął z czeluści kabiny niewielką książeczkę i otworzył ją na chybił trafił. – Przeczytaj to, boginko!

Selena skupiła uwagę na wskazanej linijce. Oddychając głęboko, usiłowała się uspokoić i rozluźnić.

- ... jego dwór pobladły w pięknie i zgniliźnie. Nadszedł Raju anioł utra... utra...

- ...cony – dokończył bez tchu Johann. – Słodki Jezu! – W dziewczynę pod brodę, łagodnie unioś jej twarz i zjrzał w oczy’ ‘ Nasz szacowny przywódca mylił się więc setnie!

Selena nie próbowała nawet rozszyfrować niezrozumiałej płątani<sup>^</sup> słów.

- Pomożesz mi się uczyć? – spytała z nadzieją.

- Oczywiście, bogini! Andrew i ja nauczymy cię wszystkich słów, yóre zapomniałaś. – Zwrócił się do chłopca: - Cóż to będzie za niespodzianka dla doktora lana, gdy wróci!

Serce załomotało w piersi Seleny.

- łan?

Johann ponownie odwrócił się do niej, a w jego oczach pojawił się nieco smutny wyraz zrozumienia.

- lana ze mną nie ma, bogini. Nie wiem, kiedy wróci... Selena usłyszała i pojęła: „nie ma”. Kiedy się zaciska palce na knocie, płomień świecy migocze, zamienia się w dym i potem go nie ma. Podniosła wzrok na Johanna, z wysiłkiem szukając słów.

- Tu jest... dom.

Oblicze Johanna bardzo stopniowo pojaśniało zgodnym uśmiechem.

- Tak, to jest dom lana. Wcześniej czy później ludzie zawsze wracają do domu... nawet tacy idioci, jak uczony doktor łan Carrick.

lyJLinął okrągły miesiąc, zanim łan wrócił.

Zatrzymał się przed kutymi z żelaza wrotami rezydencji zwanej Domem Zapomnienia i patrzył przez poczerwiałe od starości i i zał ik zawijasy prętów, słuchając, jak cichnie w oddali turkot kół wynajętego powozu. Otulił go kojący anonimowością mrok nocy. Poniewczasie pożałował, że wysłał telegram, uprzedzając domowników o powrocie.

Księżyc nad głową żegłował przez niebo jak opalizujący perłowo dysk, przyodziały w zwiewną szarą opończę obłoków. Wiatr szeptał wśród najeżonych igłami gałęzi starych świerków, drażniącą pieszczotą „łuskał wioski na odsłoniętym karku, łan odruchowo mocniej zaciągnął Poły płaszcza, chociaż właściwie nie czuł przejmującego chłodu nocy.

-^uł się dziwnie oddzielony od swego ciała – jak gwiazdy skryte Predjego spojrzeniem za zasłoną chmur, nierzeczywisty jak światło .Lżejszego poranka. Każdy kolejny dzień spędzony w Nowym Jorku Porażał go głębiej w mrocznej otchłani bez drogi ucieczki.

„erwotnie miał nadzieję, że w zgiełku wielkiego miasta odnajdzie °Jenie i zapomnienie, może nawet ucieczkę od poczucia winy, które 6 Pogniotło po fiasku, jakie poniósł w Alabaster. Rzeczywiście, Ka pierwszych dni zwiódło go spokojem. Służba odgadywała jego

zyczenia, zanim zdążył je wypowiedzieć. Odźwierni i pokojówki dokładali wszelkich starań, by omijać chlebobdawcę szerokim łukiem i nie odzywać się do niego ani słowem. Kiedy kompletnie pijany zataczał się przez salony miejskiej rezydencji, nikt nie ośmielił się stawać mu na drodze.

Niestety, po kilku dniach błogosławionego otumanienia, nowina o jego przyjeździe rozeszła się po mieście, mknąc z szybkością błyskawicy lub raczej ochłapu spływającego ściekiem plotek wymienianych przy brzęku kieliszków najprzedniejszego szampana. Pierwsi przybyli sensaci i stanęli wartą na progu domu, czekając na choćby przelotny widok osławionego doktora medium. Tuż za nimi do drzwi zastukali koledzy po fachu, spragnieni konsultacji naj biegłej szego z ich grona – bełkocąc zdławionym głosem wyrazy admiracji, zarazem łypali wymownie spod przymkniętych powiek, gdy odmawiał koleżeńskiego uścisku dłoni.



Zadziwiająco, ale to obłężenie mniej działało mu na nerwy niż kiedyś, widocznie nauczył się ignorować grubiańskie wizyty ciekawskich. Niebawem, deptając po piętach uczonym medykom i wścibskim plotkarzom, przybyli ci, których obawiał się najbardziej,; ci, przed którymi przed laty skrył się w Lethe, jak karaluch uciekający przed miotłą skrzętnej gospodyni w najciemniejsze zakamarki kuchni.

Odziani bez wyjątku na czarno, z pochylonymi w żałobie głowami, wchodzili do salonu, ściskając w dłoni strzęp koronki czy wyblakły dagerotyp. W ich zapadniętych oczach, w bruzdach wyżłobionych na policzkach czytał historię wielu lat lęku, niepewności i rozpacz. Chwytała się ostatniej szansy.

„Pomocy, doktorze Carrick! Straciliśmy ukochaną córkę...” „Mój syneczek, niemowlę jeszcze, cierpi na okrutną i tajemniczą przypadłość. Niech go pan dotknie i powie mi, czy przeżyje...” „Umieram, doktorze Carrick, czy użyje pan swojej potęgi, by mnie ocalić?

„Ratuj mnie... ratujże... ratuj...”

Z ich ust padały te same słowa, błagalne, żałosne inwokacje, na dźwięk których palił się ze wstydu, poczucia niemocy i odrazy. Chciał i próbował uciekać, lecz ani w zamknięciu rezydencji, ani w i zał i miasta nie znalazł skutecznej kryjówki: wyciągali do niego dłonie' gdy pojawiał się w drzwiach, padali na kolana, gdy mijali ich na i za' Ciche echo ich szlochów ścigało go wszędzie, gdzie się skierował-

Trunek tylko pogarszał sprawę. Z każdym nowym łykiem ogarniała go coraz większa senność i apatia. Prześladowały go wizje Seleny. Jej wspomnienie czuwało przy jego łóżku jak najwierniejszy anioł stróż, drażniąc, szydząc z jego niezdarnych prób ucieczki, przyzywając i wabiąc. Początkowo prawie bez przerwy widział przed sobą Elizabeth. Jej obraz przygniatał go ciężarem beznadziei, kazał sięgać po butelkę i pić bez umiaru. Stopniowo wspomnienie nieszczęsnej córki Wells-by'ego zbladło, zastąpił je coraz wyraźniejszy obraz Seleny – naturalnie nie takiej, jaką była naprawdę, lecz jaką łan sobie wymarzył. Piękna, inteligentna istota rozmawiała z nim aksamitnym, lekko gardłowym głosem; z powabnie ukształtowanych ust padały składne i logiczne zdania mówiące o realnych sprawach. Dopóki nie doścignęła go sfora i zał ików, całymi dniami przesiadywał w gabinecie, otumaniony dobrą przyjaciółką – whisky. Jej opary miały wymazać z pamięci wszelkie wspomnienie dziewczyny, ale im mocniej je odpychał, tym bardziej zawzięcie zapuszczały korzenie w jego duszy. Przyszła mu do głowy gorzka refleksja, że zgodnie ze swoją naturą niczego nie robił połowicznie. Gdy pojawiła się ranna w głowę dziewczyna, uczynił ją celem wszystkich marzeń, modłów i nadziei, zamiast rozpatrywać jej przypadek realnie, jak przystało wyważonemu w opiniach i prognozach uczonemu. Cóż za szaleństwo wierzyć, że ona będzie jego wybawieniem!

Okazał się kardynalnym głupcem i teraz płacił za mrzonki. A przecież w głębi serca od samego początku znał gorzką, nieuniknioną prawdę: dla Seleny nie było nadziei. Żadna z fachowych ksiąg nie dawała cienia szansy na wyzdrowienie dla osoby, której mózg został ale uszkodzony. Stan takiej pacjentki nie rokował nadziei na choćby najmniejszą poprawę...

Stał w cieniu bramy, kołyszając się lekko na piętach, czując na skórze Głodny dotyk nocy. Przed nim w ciemności rysowały się zwałiste tontury rezydencji – sprawiała wrażenie opuszczonej i zaniedbanej, ^z niezwykłej fortecy. Szyby w oknach połyskiwały zwod-^ymi ognikami księżycowej poświaty. Pomalowane na białą framugi ' okap wydały mu się szare i matowe.

Zgodnie z oczekiwaniami, w żadnym oknie nie paliło się światło, Przecież wyczuwał, że w środku ktoś czeka i obserwuje go z ukrycia. Snie przyjrzał się wszystkim zakratowanym prostokątom okien, usiłując przebić wzrokiem ciemności, dopatrzeć się zarysów ludzkiego cienia czy jakiegoś gestu w niezmaconym bezruchu mroku.

Przyjechał do domu.

Ta myśl rozbrzmiała w jego głowie jak huk tysiąca dzwonów, aż wzdrygnął się i zatoczył do tyłu pod ciosem nagłego olśnienia. Powinien wybrać jakkolwiek inny dzień na powrót, ale udało mu się trafić jak najgorzej – w czasie pełni księżyca!

Zmusił się, by wejść na ścieżkę prowadzącą do drzwi i iść nią powoli, by statecznie wspiąć się po schodkach ganku, zdecydowaną dłonią pchnąć masywne odrzwia i zanurzyć się w mrocznej sieni.

- Pokaż się. Wiem, że tam jesteś – szepnęła do miękkiej jak aksamit ciemności.

Nie otrzymał odpowiedzi.

Przeszedł do gabinetu, zerwał z ramion płaszcz i rzucił go niedbale na krzesło. Zapalił lampę, znalazł

karafkę, nalał sobie do pełna bursztynowego trunku i podążył na piętro. Na podeście natknął się na matkę. Rozpuszczone włosy spływały na szczupłe ramiona, ręce splecione na wysokości talii nerwowo mięły w palcach strzęp wstążki. Wypuścił oddech, który wstrzymywał dotychczas w nieświadomym napięciu.

- Matko, wracaj do łóżka.

- Czyżbyś nie miał zamiaru odwiedzić Seleny?

- Nie.

- Wiele się zmieniło podczas twojej nieobecności. Westchnął i zmilczał. Maeve uczyniła krok w jego stronę i i zał jej lęk, obnażony bystrym spojrzeniem w dziesiątku drobnych drgnień jej rysów, oczu i rąk. Mówiły o nim zbiegłe palce zaciśnięte na satynowej wstążce i zagryziona dolna warga. Zawsze odczuwał mdlący wstyd, widząc oznaki świadczące o tym, że własna matka się go boi.

Zatrzymała się tuż przed nim i podniósłszy oczy zjrzała niu w twarz. Nie musiał czytać w jej myślach, wystarczyło spojrzeć w zalęknione źrenice, by się zorientować, czego się bała: że i? Odwróci z gorzkim uśmiechem, zanim ona zdąży otworzyć usta, ^ nie będzie chciał jej wysłuchać, jak tyle razy przedtem. Mimo to stał nieporuszenie, blokując mu drogę. Taka śmiałość była do niej niepodob'

na- poczuł się zaintrygowany. Oparł się o chłodny, kamienny mur i skrzyżował ramiona na piersi, czekając, co ma mu do powiedzenia.

- M...my wszyscy... urządziliśmy zebranie... – wyrzuciła z siebie ^ zdyszany pośpiechu.

- My?

- Mieszkańcy tego domu.

- Ach, tak? Bunt załogi czy co?

- Postanowiliśmy pomóc Selenie.

Zesztywniał i o milimetr oderwał się od ściany.

- Pomóc jej – w czym?

Maeve oblizła nerwowo wargi, a w jej oczach pojawił się wyraz czegoś w rodzaju dumy. Wyprostowała ramiona.

- Jaja nauczyłam zachowywać się przy posiłku jak osoba dobrze wychowana, a królowa nauczyła ją kłaniać się.

Ujrzał przed oczami odrażającą wizję Seleny, która zgina się w mechanicznym ukłonie, jak nakręcana marionetka. Zacisnęła powieki i próbował odgonić koszmarny obraz.

- Jak to miło z waszej strony... dobranoc, matko! – uczynił ruch, jakby zamierzał się odwrócić.

- Nie pozwoliłam ci odejść! – niespodziewana nuta autorytetu w jej głosie zbiła lana z tropu do tego stopnia, że zatrzymał się i spojrzał na nią niedowierzającym wzrokiem.

- Chyba się przesłyszałem?

Znowu oblizła wargi i zatrzepotała powiekami, ale kiedy się odezwała, nie odczytał w jej głosie lęku, tylko spokojną pewność:

- Nie przesłyszałeś się. – Widział, ile ją kosztowało to niezwykle zachowanie; nigdy dotąd nie próbowała wydawać mu poleceń, a przeleż teraz stała przed nim wyprostowana, w aureoli kosmyków, które ^mknęły się spod nocnego czepka i otoczyły owalną twarz jak Widawę płomyki. Orzechowe tęczówki wpatrywały się w niego niegaszonym spojrzeniem istoty całkowicie trzeźwej i przy zdrowych Pysiach. Popatrzył na nią z miłym uczuciem dumy.

- Matko, o co ci chodzi?

- Selena jest inna niż my wszyscy, lanie.

- W rzeczy samej, matko... ty jesteś obłąkana, ona ma uszkodzony mózg.

- Nie. Ona jest prawie normalna.

Prawie! Te zupełnie niewinne słowa przeszły jego pierś bólem nie do zniesienia. Znowu przyszła mu na myśl Elizabeth, skulona w fotelu pod oknem, wpatrzona w świat, który już do niej nie należał któregoś części dawno przestała być. Niewątpliwie Maeve i o niej powiedziałyby, że jest „prawie” normalna.

- Co, bo umie się zachować przy stole i kłaniać jak dworka? Ależ oczywiście! Mogę ją śmiało zabrać do opery!

- Daj mi słowo, że nauczysz ją wszystkiego o świecie.

- Doskonale...

- Jutro. Ściągnął brwi.

- Któregoś dnia, gdy nadarzy się sposobność...

- Jutro!

- Dobrze, matko. Usiądę przy jej łóżku, otrę jej ślinę z ust i opowiem o tym potępionym świecie, w którym wszyscy zmuszeni jesteśmy żyć. Może nawet zrozumie coś, kiedy ją przywitam.

Maeve nie zdołała ukryć chytrego uśmiešku.

- Zobaczymy, kto się czego dowie.

Łan przewrócił oczami w komicznej rozpacz.

- Dobranoc, matko!

- Dobrej nocy, synu. Selena i ja spotkamy się z tobą na plaży jutro z samego rana.

- Oczywiście, matko. Rozumiem, że będziecie się przechadzać, prowadząc uczony dyskurs o pismach Platona.

Ujrawszy jej reakcję, zrozumiał, jak bardzo ją zranił. Pożałował bezmyślnych słów, goryczy w głosie, której nie zdołał stłumić. Jaka szkoda, że nie odwrócił się i nie odszedł, zamiast wysłać tę ostatnią zatrutą strzałę!

Jasne było dla niego, że dzisiejszego wieczoru oczekiwała od niego czegoś innego, co nie było częścią ich zwyczajowych wzajemnych stosunków w minionych latach ani nigdy w dotychczasowym życiu! Oczekiwała... być może otwartości? Szczerości? Zrozumienia? Nie wiedział, ale w jej smutnych oczach ujrzał wyraźnie, że ją zawiodł! Znowu ją zawiodł!

- Och, lanie... – podeszła i podniosła ku niemu bladą, szczupłą dłoń. W ostatniej chwili, gdy była już tak blisko, że widział lśnienie łez na rzęsach i siateczkę zmarszczek wokół ust, zatrzymała się. Ud jej ręka opadła bezwładnie wzdłuż boku, łan poczuł dziwną tęsknotę za dotknięciem, które nie nadeszło.

- O co chodzi, matko?

Patrzyła na niego bez mrugnięcia. W mroku korytarza jej oblicze bieląło niezwykle jasnością.

- Gdybym mogła, zmieniłabym wszystko!

Łan poczuł się tak, jakby go ktoś uderzył w żołądek. Powietrze uszło mu z płuc z głośnym świstem. Zagapił się na nią, usiłując znaleźć słowa odpowiedzi, ale nic stosownego nie przychodziło mu do głowy. Stosownych na tę okazję słów po prostu nie było i oboje o tym wiedzieli.

- Wiem... wiem, że ci przykro... Łzy załśniły w orzechowych oczach.

- Wiesz, ale nie dbasz o to ani odrobinę.

Zanim zdążył odpowiedzieć, pochyliła głowę i oddaliła się truchtem, jak zagonione zwierzątko, wślizgnęła się z powrotem do swej sypialni i zamknęła za sobą drzwi, łan oparł się ponownie o mur i przymknął oczy. Czemu nie potrafił wyciągnąć do niej pojedynczej dłoni? Dlaczego zawsze w jej obecności zachowywał się jak zagniewany, naburmuszony dzieciak? Westchnął i odwrócił się, by zejść do swojej pieczary.

Chciała od niego nie więcej niż zawsze: odpuszczenia grzechów. Ale on nie umiał jej przebaczyć. Chciałby, żeby było inaczej, by mógł zdobyć się na uśmiech, wzruszyć ramionami i powiedzieć jej, że to naprawdę nie miało znaczenia.

Byłoby to kłamstwo, które zraniłoby ich oboje bardziej niż naga, „iczym nie osłodzona prawda.

- Matko... dbam, i to bardzo – szepnął do siebie, ale jego głos „wiązał bezsilnie w pajęczynie cieni korytarza. Słowa, które odczuwał głęboką duszą, tak mocno, że nie potrafił powiedzieć ich wprost. Zawsze dbał i zawsze go obchodziła...

Po prostu nie wiedział, że to ma jakieś znaczenie.

### 13

Rankiem następnego dnia łan zszedł piaszczystą ścieżką prowadzącą na plażę. Przez splątane gałęzie drzew dobiegały go odgłosy kobiecego śmiechu, wdzierając się w cieniistą ciszę. Niezwykły dla tego zakątka dźwięk urwał się na chwilę i ponownie wystrzelił gejerem swobodnej wesołości, gardłowy, hipnotyzujący, łan, jak zniewolony, podążył jego śladem. Przedał się przez pas, zagajnika i rozejrzał po słonecznej plaży. Wprost przed sobą ujrzał Maeve i Larę siedzące na omszałym granitowym głazie. W pobliżu stały koślawe

sztalugi, wyglądające bardzo profesjonalnie z opartym na nich wielobarwnym płótnem i szeregiem słoików z farbami. Na kamieniu obok nich leżał porzucony i najwyraźniej zapomniany pędzel. Z czarnego włosia ściekały na szarość skały strumyczki jaskrawej żółci. Obraz na sztalugach przedstawiał fantazyjną wizję plaży: nadbrzeżne głązy pyszniły się na nim szkarłatem, o który rozbijały się promiennie błękitne fale. Nad całością królowało niebo skąpane we wszystkich barwach tęczy.

Maeve rozsiała się na skraju granitowej półki wieńczącej stromiznę brzegu. Złożyła dłonie na podołku, a rozpuszczone warkocze powiewały wokół ramion. Ujrzała go, gdy tylko wychynął z zarośli i na jej ustach pojawił się skryty, tajemniczy uśmiešek. Odwróciła wzrok-znacząco spoglądając w dół, gdzie między skałami utworzyły się niewielkie baseny morskiej wody. Łan nie musiał podążać za jej wzrokiem, by pojąć, co ujrzy. Wiedział, przeczuwał - choć wciąż nie mógł uwierzyć. Powoli, bardzo powoli odwrócił głowę.

Ona tam była - przykucnięta na głazie oplecionym wodorostami, z twarzą ukrytą pod bujną płataniną wilgotnych kasztanowych kędziorów. Miała na sobie zbyt obszerną męską koszulę i workowate spodnie. Ten dziwaczny ubiór całkowicie maskował jej sylwetkę.

- Selena... - wy szeptał z nabożnym przejęciem. Nie leżała bezradnie w łóżku! Chodziła, poruszała się, „prawie normalna”... powróciły do niego słowa matki, rozbrzmiały echem w myślach, oszołomiły i uwiodły znaczeniem, które dopiero teraz ośmielał się pojąć w pełni. Tymczasem Selena przyłożyła szklankę do prawego oka i pochyliła się do przodu, zanurzając twarz w lodowatej wodzie. Włosy rozłożyły się wokół jej głowy falującym wachlarzem, przez chwilę dryfowały na powierzchni, po czym powoli zniknęły w szmaragdowej głębi, łan odwrócił się do matki.

- Jezu! Ona się utopi! Maeve przechylała się przez krawędź.

- Nie sądzę, tam jest zaledwie kilka centymetrów głębokości. Selena wynurzyła się i odrzuciła ociekające wodą włosy z twarzy. W tym nieświadomym geście przywiodła mu na myśl syrenę z prastarych baśni. Ujrzał na mgnienie oka dziewczęcy profil, po czym kurtyna włosów opadła, rozpryskując na wszystkie strony migotliwą fontannę kropel. Dłonie miała pełne muszelek i kamyczków. Owinęła sobie wokół szyi oślizłe pasmo zielonych wodorostów i wróciła na plażę, brodząc w lodowatej wodzie Atlantyku z taką rozkoszą, jakby zanurzała stopy w nagrzanych słońcem falach tropikalnych morza. Wolną dłonią odgarnęła z twarzy ociekające wodą kędziory.

Pierwszy raz w życiu pod łanem ugięły się kolana na widok kobiety. Selena nieoczekiwanie okazała się olśniewająco piękna. Po długich Pasmach włosów w głębokim odcieniu mahoni ściekały srebrzyste „...ople. W owalnej twarzy królowały największe, jakie kiedykolwiek Odział, oczy, wypełnione po brzegi tęczówek płynnym, brunatnym „ursztynem. Pełne wargi układały się do uśmiechu. Poruszała się z gracją godną bogini, której imię jej nadał. Rytmiczne kroki zdawały się harmonizować z symfonią morskich przyptywów i odpływów, „odra kołysały się powabną kobiecością, która z zachwyty odebrała IIIU mowę. Kiedy Selena dotarła do skraju plaży, podciągnęła workowate spodnie i boso pokicała z jednego śliskiego głazu na drugi do miejsca, gdzie leżała porzucona niedbale para solidnych półbucików

i pończochy. Pochyliła się, by je naciągnąć na wilgotne stopy przedtem pieczołowicie kładąc na skale swoje skarby.

Serce łomotało mu tak głośno, że był pewien, iż z łatwością mogła je usłyszeć. Do głowy przyszła mu nagle, irracjonalna myśl, że Bóg wysłuchał jego modlitwy i zesłał mu tajemniczą, uwodzicielsko piękną kobietę. Nie, to nie mogła być prawda. Rany głowy musiały spowodować nieodwracalne uszkodzenia pod czaszką. To było niuniknione! Żaden mózg nie mógłby ująć cały z takiego wypadku. Nie ma nadziei, że jest normalna - nie ma żadnej nadziei. Pomyślał o Elizabeth, która spędzała dni w bujanym fotelu pod oknem, której twarz mimo tylu lat zachowała ślady dawnej urody, lecz której umysł był złamany, rozwinięty nie bardziej niż umysł niemowlęcia.

Jego własny umysł zaczął się z nim teraz droczyć, sącząc w duszę zabójczy jad nadziei: „Spójrz na nią i uwierz własnym oczom!”

Lecz długie lata rozpaczy uzbroiły go w cynizm, jak w zbroję przeciw daremnej, nierozumnej nadziei. Nie uwierzy, nie mając dowodu, że coś takiego jest możliwe.

Selena tymczasem zebrała muszelki i wodorosty i odwróciła się do Maeve i Lary. Zrobiła krok i stanęła jak wryta. Na stromym głazie ujrzała jedynie sztalugi. Kobiety gdzieś zniknęły. Łan ujrzał cień paniki w

brunatnych oczach. Zagryzła dolną wargę, jak zalęknione dziecko, i zawołała gardłowym, wibrującym głosem:

- Maeve? Lara?

Patrzył na nią skamieniały, a w głowie wirowało mu mnóstwo pytań. Próbował usilnie stłumić w sobie oczekiwanie i podniecającą nadzieję. Nie wolno mu się przejmować, nie może mu znowu zacząć zależeć! Uczynił krok do przodu.

- Jestem tutaj, Seleno!

Okręciła się na pięcie. Z rozchylonych dłoni posypały się na żwir plaży kamyki i muszelki.

- Ian? - wypowiedziała jego imię szeptem, jakby nie była pewna, czy rzeczywiście go widzi.

- Witaj, Seleno!

Jej oblicze rozjaśniło się żywiołowym uśmiechem. Zerwała się do biegu. Tuż przed nim zahamowała gwałtownie i zgięła się w pełnym gracji ukłonie. Podniosła się powoli, nie spuszczać z niego wzroku. i wyciągnęła dłoń. Zawahał się przez chwilę przed dotknięciem, ^e

ostrożnie wyciągnął rękę. Ich palce musnęły się koniuszkami, splotły ,v nieśmiałym powitaniu. Ujął jej drobną i miękką dłoń. Nie zatoczył się pod smagnięciem żadnej wizji. Jak niegdyś, nie było w jej umyśle nic, co by zawładnęło jego myślami.

- To pewnie królowa nauczyła cię, jak się kłamać? Jej uśmiech stał się jeszcze bardziej promienny.

- Tak!

- Świetnie sobie z tym radzisz.

- Dziękuję...

- Nie ma za co.

Nie mógł oderwać oczu od jej twarzy. Patrzył jak urzeczony na różane usta wygięte we wdzięcznym łuku uśmiechu, na bystre spojrzenie oczu, które błyszczały życiem, na harmonijne i ożywione zarazem ruchy. Widział cud.

Nie - to nie był cud, tylko fenomen naukowy! Poczuł, jak ogarnia go fala znajomego podniecenia, pojął w przeblysku chwili, co może dla niego oznaczać jej pełne uzdrowienie. Ile dla niego znaczył fakt, że oto stoi przed nim i uśmiecha się - wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, wbrew całej medycznej wiedzy! Dawne marzenia powróciły przmożną siłą. Mógł ją badać, starać się zrozumieć mechanizm tego, czego nie dojrzał i nie rozumiał żaden uczony medyk przed nim...

Mógł znowu stać się bogiem.

W umyśle zaroilo się od tak fascynujących pytań i planów, że bezwiednie wyszczerzył zęby w uśmiechu szczęścia. W jakim stanie Jest obecnie jej mózg? Do jakiego stopnia odzyskała władze umysłowe - czy potrafi myśleć, pojmować, rozumować logicznie? Jej mózg Jest uszkodzony, co do tego nie miał żadnych wątpliwości, to było „ieuniknione - ale jak poważne są te obrażenia? Które płyty uległy „szkodzeniem, jakie funkcje zostały upośledzone?

Jezu Chryste! Już się nie mógł doczekać, kiedy rozpocznie badania.

- Jesteś zadowolony z mojego wyglądu - stwierdziła znienacka.

Pogładził ją po policzku, podziwiając jedwabistą gładkość cery.

- Jesteś piękna!

- Widzę w litrze, że jest dużo lepko... lepiej. Czy teraz zostaniesz ^niną?

-” Nie rozumiem!

- Teraz nie jestem już brzydka... więc nie odjedziesz? Powoli uśmiech zgasł na jego wargach. Pojął okrucieństwo swojejegoistycznej ucieczki i poczuł palący wstyd.

- Nie odjechałem z powodu twojej brzydoty, Seleno... to moja brzydota była tego powodem.

Podeszła i podniosła na niego oczy pełne uwielbienia.

- Ianie! Ty jesteś piękny!

Zaskoczyło go ciepło, jakie jej słowa obudziły w jego sercu.

- Kobiety są piękne, Seleno. Mężczyzna może być najwyżej przystojny.

Gładkie czoło zmarszczył przelotny grymas zmieszania.

- Och! - Pokręciła głową, po czym promienny uśmiech powrócił. -Będziesz mnie znowu testował?

Przytaknął.

- Owszem... jeśli mi pozwolisz.

Zaśmiała się gardłowym, zmysłowym śmiechem. Jego brzmienie nie pasowało do anielskiej czystości rysów. To był śmieszek dziwki, jakby rozmyty nadmiarem trunku, uwodzicielski.

- Pozwolę ci na wszystko, czego chcesz, lanie. Czekałam na ciebie... Cóż za prostota, co za nieporównana niewinność. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z erotycznego podtekstu swoich słów. Zaczął się zastanawiać, na jakim poziomie operuje jej umysł - czy przypominała Larę, dziecko w ciele kobiety, czy wciąż cierpi na amnezję?

- I ja czekałem na ciebie, Seleno! - zapewnił ją miękko i słysząc własne słowa, pojął, że mówi szczerą prawdę. Przez sześć długich lat czekał na pacjenta, na kogoś, komu będzie potrzebny, kto pomoże mu odzyskać przeszłość z wszystkimi jej obietnicami. I oto pojawiła się wyczekiwana istota - w osobie Seleny przybyła do Domu Zapomnienia i stała teraz przed nim uśmiechnięta niewinnie jak dziecko. Jeżeli zdoła ją zrozumieć, jeśli rozszyfruje zagadkę jej ozdrowienia, dopisze ważki rozdział do historii medycyny!

- Sama myśl o testach sprawia mi przyjemność. Tym razem „a pewno przejdę je pomyślnie!

Uśmiechnął się i szarmanckim gestem podał jej ramię. Przesz” zagajnik i skierowali się w stronę domu. Pierwszy raz od lat wpr05 nie mógł się doczekać następnej chwili i tego, co miała mu przynieść

W umyśle Seleny kryła się największa zagadka medycyny, czekając na swego odkrywcę... i on zamierza nim być. On - i nikt więcej.

Helena siedziała na samej krawędzi przepastnej sofy, przyciskając stopy jedna do drugiej, dłonie złożony jak grzeczne dziecko na kolanach. Spłotła spocone palce w wilgotną kulę, by zdusić ich nerwowe drżenie. Została nauczona, że dama nie powinna dygotać i wiercić się, bo to niestosowne nawyki. A ona chciała koniecznie, by łąn widział w niej damę. W głowie wirowała jej niekończąca się litania reguł i zakazów. „Siedź prosto, nie wierć się... Nie odzywaj się, aż cię zapytają... Płaczą tylko dzieci, a ty nie jesteś dzieckiem, Seleno... Jedz powściągliwie, nabieraj na widelec porcje jak dla ptaszka...”

Starła się wszystko spamiętać, ale wbrew chęciom czasami napomnienia Edith wchodziły jednym uchem i zaraz wylatywały drugim. Czasami nie mogła sobie nawet przypomnieć, co właściwie usiłowała sobie przypomnieć!

- Masz ochotę napić się czegoś?

Selena poderwała głowę; serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Odezwał się do niej, pewnie zadał jakieś pytanie... nie była pewna, nie pamiętała. Jakimi słowami wyrazić niepewność i zagubienie? Nawet te uleciały z jej pamięci. Patrzyła na niego pustym wzrokiem, odbijającym równie rozpaczliwą pustkę w głowie. W oczach poczuła Pałace żądła łez. Głupia, jest bezdennie głupia! Głupia! Chciała mu zaimponować. Od tygodni ćwiczyła w oczekiwaniu na tę chwilę, pracowała w pocie czoła nad poszerzeniem granic swoich możliwości. I na co to wszystko? Teraz siedzi, wpatrzona w swojego boga „migającymi, wybałuszonymi oczami, jak ryba wyciągnięta z wody, ‘nawet dyszy tak jak ona.

Łan wskazał gestem porcelanowy imbryczek na ozdobnej srebrnej tacce.

- Czy chciałabyś się napić, Seleno?

Napić - herbata. Oczywiście, proponował jej coś do picia. Uśmiech-rw& się z ogromną ulgą.

- Owszem, jestem wielce spragniona. Dziękuję, z rozkoszą napiję ^ tyczek herbatki.

Spod przymrużonych powiek patrzyły na nią nieco dłużej, niż oczekiwała, szacujące, uważne oczy.

- Doskonale! - Odwrócił się i nalał po brzegi parującego napoju. Podał jej filiżankę. Uśmiechnęła się uprzejmie.

- Gorąca - oświadczyła, by mu udowodnić, jaka jest bystra.

- Owszem, jest gorąca. Czy bierzesz śmietankę albo cukier?

- Dokąd?

- Co takiego?

- Czy biorę śmietankę albo cukier dokąd? Zaśmiał się cichym, rozradowanym śmiechem. Poczuła się swobodnie, jakby żeglowała na skrzydłach ciepłego wiatru.

- Pytałem, czy bierzesz je do herbaty.

Jego śmiech był zaraźliwy, więc zachichotała.

- Ach, o to chodzi! Niespecjalnie dbam o takie drobiazgi jak cukier, sól czy pieprz. Widzisz, ja w ogóle nie mam smaku.

Uśmiech zamarł mu na wargach. Ostrożnie odstawił filiżankę na fikuśny orientalny stoliczek obok kanapy i sięgnął po oprawny notesik, który nosił w kieszeni. Drugą ręką wyjął okulary i założył je na nos.

- Co masz na myśli, mówiąc, że nie masz-w ogóle smaku? Zbierała powoli słowa potrzebne do opisanego tego, co chciała wyrazić. Wreszcie chwyciła solniczkę stojącą obok talerza z kanapkami posypanymi świeżutką rzeżuchą. Odchyliła głowę, rozwarła szeroko usta i wysypała na język strumień białych kryształków. Przełknęła sól bez skrzywienia i uśmiechnęła się do łana.

- Widzisz? Nie czuję smaku. Oczy mu rozbłyły.

- Nie czujesz, jak smakują potrawy?

- Ani trochę.

- Kiedy to zauważyłaś?

- Kiedy jadłam. Znowu się uśmiechnął.

- Pozwól, że zadam to pytanie inaczej: kiedy zrozumiałaś, że różnisz się pod tym względem od innych ludzi?

- Johann mnie przyłapał na picciu morskiej wody. Przez chwilę pisał gorączkowo w notesie, po czym podniósł na nrt błyszczące podnieceniem oczy.

- A wspomnienia? Czy wróciły do ciebie jakieś wspomnienia?

- Nie.

Ściągnął brwi w zamyśleniu, wpatrzony w nią palącym spojrzeniem, aż poczuła się odrobinę nieswojo. Potem znowu zaczął coś pisać. Skrobanie pióra po papierze wydało jej się nagle nie do zniesienia głośne. Poruszyła się na miękkich poduszkach kanapy i zamarła w pół gestu, napomniawszy samą siebie: Nie wierć się!

- Więc nie pamiętasz swego imienia?

- Nie, ale nie sądzę...

- Czy wiesz, skąd jesteś?

Zamrugnęła, oszołomiona raptowną zmianą tematu, łan za szybko przeskakiwał z zagadnienia na zagadnienie, jej umysł nie mógł nadążyć za tokiem jego myśli.

- Nie wiem, skąd jestem. Czy mógłbyś...

- A rodzina?

- O nich też nic nie wiem. Pomogłoby mi, gdyby...

- A opinie? Czy gdybym poruszył jakiś temat, masz swoje zdanie?

- Edith robi z nich dżem. Zmarszczył czoło.

- Co takiego?

On powiedział „zdanie”, nie „dynie”! Usiłowała uśmiechnąć się swobodnie, ale nie było to łatwe, kiedy widziała wbity w siebie baczny wzrok. Czowała, że ogarniają ją fala mdłości ze zdenerwowania i napięcia.

- Zdanie... masz na myśli moje przekonania?

- Tak. - Pióro znowu wyczekująco zamarło nad kartką.

- Uważam, że... - słowa ją zawiodły. Gorączkowo starając się uobić na nim wrażenie, szukała czegoś, czegokolwiek, co usłyszała od Johanna, Edith czy Maeve. Cokolwiek, co mogłaby powtórzyć Jsko swoje zdanie! Łan najwyraźniej spodziewał się, że będzie miała jakieś przekonania, widziała jego wyczekujący wzrok, czowała nadzieję w Jego przyspieszonym oddechu. - Wierzę, że... - Ramiona jej obwisły, głos zamarł w krtani. - Uważam, że nie mam żadnych P^ekonań.

. - Naprawdę? - wycedził przeciągle, jakby smakując każdą głoskę, -aK gdyby sprawiła mu przyjemność przyznaniem, że w głowie ma Pusto jak w garnku.

-w dbając o eleganckie maniery, przysunęła się bliżej do niego

i zadarła brodę, usiłując zajrzeć mu w oczy. Z tak bliska widziała wyraźnie ciemniejsze plamki na intensywnym błękitie tęczy, czowała jego oddech na swoich policzkach.

- Wierzę w ciebie, łanie.

Zaśmiał się, ale tym razem jego głos zabrzmiał niespodziewanie szorstko, aż poczuła się głupia i nieważna.

*Nie ma własnych przekonań i żadnej inteligencji* - zapisał w notesie i podkreślił tę uwagę.

- Nie jestem głupia - odezwała się cicho, z urazą. Spojrzał na nią z widocznym zaskoczeniem.

- Ależ nic takiego nie twierdziłem!

- Jak to, skoro przed chwilą...

- Ach, to! - Lekceważąco machnął piórem. - To był sarkazm, nic więcej. Chciałem po prostu powiedzieć, że ktoś, kto wierzy we mnie, musi być pozbawiony inteligencji... widzisz, to miał być żart ze mnie, a nie z ciebie!

Skinęła głową, udając, że rozumie. W rzeczywistości nie rozumiała ani w ząb. Czemu ktokolwiek miałby robić uwagi, których jedynym celem jest zadawanie bólu?

- Ja... wierzyłam, że do mnie wrócisz - wpatrzona w niego, czekała, że wyciągnie rękę i dotknie jej, że spojrzy na nią inaczej niż na pacjentkę, którą trzeba zbadać.

- Żałuję, że nie mogłem wrócić wcześniej. Dokumentacja twojego przypadku byłaby dużo dokładniejsza, gdybym obserwował każdy etap procesu ozdrowienia. - Zerwał się z kanapy i niemal podbiegł do biblioteczki stojącej pod ścianą. - Spróbujmy teraz testów na koordynację i sprawność manualną, dobrze?

Selena patrzyła bez słowa, jak łań zdejmuje z półki pudełko z granu planszowymi i obrazkami. Coś było nie tak, jak powinno, ale nie umiała określić przyczyny swojego niepokoju. Czuła się głupiś i bezużyteczna. A tak bardzo się starała...

łań usiadł przy niej - blisko, lecz nie za blisko. Znowu otworzył notes i przyłożył pióro do papieru.

- Zobaczmy, czy tym razem uda ci się włożyć kwadratowy kołek do kwadratowego otworu.

Nagle, zupełnie bez przyczyny, zaczęło jej się zbierać na pł30 ' Nie rozumiała własnych reakcji. Przecież powinna być szczęśli^

i śmiać się od ucha do ucha na myśl o wymarzonych testach! Na przykład to ćwiczenie trenowała tyle razy, że umiałaby je wykonać pr/ez sen. Całymi tygodniami marzyła, że kiedy łań wróci, zaimponuje mu swobodą, z jaką operuje drewnianymi kółeczkami. Ale gdy przyszła chwila próby, wszystko się zmieniło. Miała wrażenie, że jemu wcale nie zależy na jej powodzeniu, że nic, co mogłaby zrobić, nie zmusi go, by odłożył to przekłete pióro i po prostu na nią spojrzał!

W błysku olśnienia zrozumiała, co jest nie tak. Bezlitosna prawda przeszła jej serce bolesną szpilą rozpacz.

łań wcale o nią nie dbał!

O tak, chciał ją rozłożyć na części i zbadać jak jakiś mechanizm, żeby zrozumieć, jak udało jej się przetrwać to, co się jej przytrafiło, a czego nadal nie umiała sobie przypomnieć. Chciał zapisywać jej każdą myśl, uczucie i reakcję, chciał dociec przyczyny, która spowodowała utratę pamięci własnego imienia i pochodzenia, chciał pojąć, czemu nie zachowała jakichś przekonań... ale jej samej nie chciał poznać. Nie interesowała go.

On nie wierzył, by w czeluści utraconych wspomnień w ogóle zachowała się jakaś „ona”.

- Jestem dla ciebie pacjentką, prawda?

- Oczywiście!

- Sądzisz, że uda ci się mnie zreperować? Zapisywał tak szybko, jak tylko potrafił, nie chcąc pominąć żadnego Jej słowa.

- Nie wiem jeszcze, co ci jest i jak to naprawić... naturalnie poza tym, że doznałaś uszkodzeń mózgu. - Posłał jej przelotny uśmiech wyprany z radości i wrócił do pisania. Selena zagryzła ^ge i odwróciła wzrok. Marzenia, które ją ożywiały i popychały do działania w ciągu tygodni przygotowań, zaczęły się rozpadać, ^złazić w szwach jak stary, zmurszały łachman, łań był na złym ^opie, ale ona nie potrafiłaby mu tego wytłumaczyć. Jakże ktoś 0 „szkodzonym mózgu, wytracony z normalnego toku egzystencji 1 ^doświadczony, mógłby przekonać wielkiego naukowca, że musi wać się odkryć, co z nią jest w porządku, zamiast koncentrować sl? na jej brakach i nieomogach?

Podniosła drewniany kołek i włożyła go do właściwego otworu. wn głośno wciągnął powietrze i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Dobrze! - stwierdził, po czym pochylił się nad oprawnym notesikiem. Selena nie czuła uniesienia, jakiego oczekiwała. Zabrakło poczucia odniesionego triumfu; zamiast niego pojawił się smutek i niepokój



opuszczenia, łan sięgnął po stos obrazków i wyciągnął sztywny kartonik.

- Potrafisz nazwać ten obiekt?
- Księżyc - odpowiedziała martwym głosem.
- A ten? Co to jest, wiesz?

Selena spojrzała obojętnie na stylizowany rysunek serca.

- Tak - szepnęła niemal niedosłyszalnie. - Ja wiem, co to jest... a ty, lanie? Rzucił jej zaskoczone spojrzenie.

- Naturalnie! Ja na pewno wiem, co to jest!

- A czy je masz?

- Ciało nie może funkcjonować, jeśli jest tego pozbawione, Seleno. Wróćmy do mojego pytania: czy wiesz, jak to się nazywa?

- Serce.

Nawet nie podniósł wzroku znad dzienniczka i nie odrywał pióra od kartki.

- Znasz jego funkcje?

- Mieszczą się w nim ludzkie uczucia, marzenia i pragnienia. Jonami powiada, że serce to siedlisko duszy.

- Nie słuchaj bzdur, które opowiada Johann. Serce to tylko narząd organizmu, jak nerki czy wątroba. Pompuje krew, która rozplywa się z niego po całym ciele. Źródłem uczuć i emocji są określone obszary mózgu.

- Stanowię dowód, że się mylisz. łan podniósł wzrok.

- Jak to rozumiesz?

- Zapomniałam swego imienia, pochodzenia, rodziny... wszystko, co ma związek z moim poprzednim życiem, zostało wymazane-Spowodowały to oczywiście uszkodzenia mózgu...

- No, tak! - Pisał bez przerwy, niemal gorączkowo.

- Ale wciąż pamiętam uczucia. Potrafię się śmiać i płakać. Czuj?. gdy się mnie krzywdzi czy zadaje mi ból... Zmarszczył czoło.

- Bierzesz to za dowód, że uczucia kryją się w sercu... dosłowni^

a nie w przenośni. - Postukał obsadką po wargach i zapatrzył się w dal ponad jej głową. - Interesujące. Należałoby dodać, że to rozumowanie o wysoce złożonej logice. Nie spodziewam się, byś rozumiała znaczenie tego określenia.

Z wysiłkiem skrzywiła wargi w uśmiechu i spojrzała mu w oczy, błagając w myślach o zrozumienie. Na razie pojmował ją zupełnie opacznie.

- łan, chciałam powiedzieć, że odczuwam ból.

Odłożył pióro i długo wpatrywał się w nią bez słowa, aż serce zabiło żywiej w przyptywie nadziei. Chyba udało się jej dotrzeć do niego, nareszcie ją dostrzegł! Była tego pewna. W tej chwili nie kataloguje, nie analizuje ani nie sporządza uczonych wykresów, tylko rozważa jej słowa, bo udało jej się powiedzieć coś, co go poruszyło. Kąciki jej ust drgnęły w nieśmiałym uśmiechu. Pochyliła się ku niemu bez tchu.

Poprawił się na kanapie i ponownie sięgnął po pióro.

- Seleno, każdy odczuwa ból.

Czuła, jak się od niej oddala i jak sposobna chwila mija bezpowrotnie.

//om Zapomnienia w osobliwy sposób żył- łan wyczuwał pulsujące tętno starej, tak długo uśpionej rezydencji. Stał w swoim gabinecie, sącząc kieliszek porto, wsłuchany w nieopisany zgiełk głosów w salonie. Jego ucho wyraźnie chwytalo strzępy radosnego śmiechu - oni się śmieją, na litość boską! Nie pamiętał, by lokatorów tego przybytku kiedykolwiek łączyło tak serdeczne i ożywione poczucie koleżeństwa.

Selena i na nich rzuciła swój urok... od chwili, gdy przybyła pod ten dach jako okrwawiona i bezimienna ofiara tajemniczego wypadku, ^adia się do serca każdego mieszkańca Lethe. Wyraźnie czuł w powietrzu zauroczenie, słyszał jej magię w perlistym śmiechu ^oich podopiecznych. Skupili się wokół niej i stworzyli prawdziwą •'odzinę, ci ludzie dotychczas sobie obcy, te zagubione dusze, które Peszcze odnalazły przyjaźń i braterstwo.

wczoraj pewnie by tego nie zauważył.

Dzisiaj ponownie stał się lekarzem, który nade wszystko pragnie ^czuć się w myśli i odczucia pacjentów, zrozumieć każdy szczegół

ich stanu. Dzisiaj Selena okazała niezwykłą chłonność umysłu i zaskoczyła go zdolnością logicznego rozumowania. Miał do niej tyle pytań! Zaraz po posiłku wróci do fascynujących badań. Usłyszał pukanie do drzwi.

- Proszę!

Do pokoju wtargnęła zarumieniona i spocona Edith. Wytarła dłonie w umączony fartuch i kiwnęła kciukiem w stronę jadalni.

- Proszę pana, kolacja gotowa!

Wysączył ostatnie krople trunku i odstawił pusty kieliszek na gzyms kominka.

- Doskonale!

Edith nie ruszyła się, nie odeszła. Nerwowym gestem poprawiała kosmyk włosów, który wysunął się spod białego czepka.

- Selena chciała, żeby pan się do nas przyłączył.

- Do was?

Sieć zmarszczek na zwiędłym obliczu ułożyła się na podobieństwo radosnego uśmiechu.

- To silna osóbką i trzeba się z nią liczyć, proszę pana! Od pierwszej chwili, gdy zaczęła mówić, nie miałam nawet chwili spokoju! Ona chce zmieniać wszystkie zwyczaje i zasady, naginać je wedle tej jej dziwacznej, ale żelaznej logiki. Powiedziała, że będzie biegać po świecie golotka, jak ją Pan Bóg stworzył, jeśli nie może nosić spodni. - Gospodyni wyszczerzyła zęby w grymasie zgorznienia. -Spodni!

- O czym ty pleciesz, na miłość boską?

- O Selenie, proszę pana. Odmówiła spożywania posiłków, dopóki nie zrobiliśmy z tego całej ceremonii. Głodziła się przez calutkie dwa dni, aż nie było wyjścia - zgodziliśmy się wszyscy schodzić na posiłki do jadalni.

- Mieszkańcy jadają razem?

- Muszę przyznać, że to wcale nie jest takie złe. Trochę się czasami obrzucają jedzeniem, ale poza tym...

Do gabinetu wpłynęła tanecznym krokiem Maeve, ciągnąc za sobą tren białej wieczorowej sukni.

- Edith, czemu tak długo nie wracasz? -Podeszła do lana i zadari8 głowę. - lanie, chodźże wreszcie! Zagapił się na matkę.

- Chcesz powiedzieć, że ja mam jeść razem z... z pacjentami? Maeve ściągnęła brwi i skubnęła różową aksamitkę na szyi.

- Ja... tak, ja tego żądam! Patrzył na nią w osłupieniu.

- Czyżbym się przestyszał?

- Zdaje się, że to mój dom?

- Tak...

Maeve wyszczerzyła zęby w łobuzerskim uśmiechu, jakby łan wpadł w zastawioną pułapkę, odpowiadając na to nieskomplikowane pytanie.

- I ja tak sądziłam. Jako właścicielka i pracodawczyni Edith, ustanawiam niniejszym nowa zasadę: zakazuje się spożywania posiłków w sypialniach.

- Matko, ty nie możesz...

- Ależ mogę! A teraz czas na kolację. Edith, zacznij podawać do stołu. Ja i mój syn zejdziemy za chwilę.

Edith okazała posłuszeństwo szybkim kiwnięciem głowy i wybiegła z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi. Maeve przysunęła się jeszcze bliżej do lana.

- Nie pozwolę ci jej skrzywdzić, lanie!

- O czym ty mówisz?

- Selena od tygodni ćwiczy eleganckie zachowanie się przy stole. Byłaby załamana, gdybyś się nie pokazał na kolacji!

łan stłumił chętkę, by roześmiać się w głos. O takiej sposobności nawet nie marzył - móc swobodnie studiować manualną sprawność Seleny przy wykonywaniu złożonych operacji związanych z nakładaniem jadła i spożywaniem go, sprawdzić postępy w odzyskiwaniu koordynacji i płynności ruchów!

- Prowadź, matko! Nieco zdziwiona, zmarszczyła czoło, ale odwróciła się i wyszła z gabinetu, a on podążył za nią do jadalni. Scena, która ukazała się jego oczom, sprawiła, że stanął jak wryty. Pokoju panował nie lata ścisk, bo zgromadzili się w nim wszyscy

^sszkańcy Lethe: Lara, Andrew, Johann, Doty, królowa Wiktoria, „h i Fergus. Wszyscy siedzieli wokół owalnego mahoniowego oświetlonego tuzinem świec, rzucających rozedrgane cienie na rus w głębokim odcieniu burgunda. Na srebrnej tacy leżał pieczony

indyk, pieczołowicie obramowany talarkami marchwi i cebuli. Obok stały półmiski z tłuczonymi ziemniakami i surówką z rzepy. Między półmiskami i naczyniami ujrzał porozstawiane nieco na chybił trafił koszycki pełne jabłek i spodki orzechów, landrynek i pikli.

- Osobliwe menu! - mruknął pod nosem.

- Osobliwa zbieranina stołowników - odparowała Maeve i klasnęła w dłonie. - Ian zgodził się spożyć wieczerzę z nami!

W sufit jadalni uderzył ryk uznania, Ian spojrział szybko na Johanna który rozsiadł się niedbale na krześle, podciągnawszy jedną nogę pod siebie, z ramieniem opartym na kolanie. Johann posłał mu leniwy, sarkastyczny uśmiech. W szczupłych, arystokratycznych palcach kołysał do połowy opróżniony kieliszek wina, który na widok Iana podniósł do ust w ironicznym toaście.

- Panie doktorze! Jak to miło, że się pan do nas przyłączył. Tak mi przykro, że przegapiłem dzisiaj chwilę pańskiego powitania z naszą boginką... - Coraz szerszy uśmiech rozciągnął kąciki jego warg dosłownie od ucha do ucha. - Pomyśleć tylko: całkowicie błędna diagnoza!

Ian zignorował przytyk i rozejrzał się uważnie po otoczeniu. Tym razem zauważył ozdoby, którymi przystrojono pokój: z rozłożystego żyrandola zwisały złote sznury, uginając się pod ciężarem ozdóbek choinkowych. Mosiężną bazę lampy owinięto kolorową bibułą, na której odcinał się wyraźny napis: żyrandol - dla oświetlenia.

Ian rozejrzał się i dostrzegł dziesiątki podobnych inskrypcji przymocowanych do każdego niemal przedmiotu w pomieszczeniu. Przechodził od jednego do drugiego, czytając: kredens - tu stoją gorące potrawy; stół - tu siadamy do jedzenia; dywan; okno - przez nie można wyglądać na zewnątrz; zasłony - odcinają dopływ światła z zewnątrz.

Nagle wyczuł obecność Seleny, chociaż nie słyszał jej kroków. P° prostu wiedział, że pojawiła się u jego boku, a gdy się odwrócił ujrzał, jak stoi strzelista i prosta, a rozpuszczone luźno włosy spadają jej na ramiona. Miała na sobie workowatą suknię z bawełny w niebieska kratkę, przybraną koronką przy kołnierzyku i mankietach. Bogii” w zgrzebnym worku - przemknęło mu przez głowę. Rozpromieniona Seleny objaśniła:

- To Andrew napisał, żebym łatwiej mogła zapamiętać.

Objął spojrzeniem jej promienną twarz i przez chwilę nie miał pojęcia, o czym mówi. Potem pojął, że chodzi o karteczki. - No i co, pomogło?

- O, tak. Wystarczy, że raz zobaczę jakieś słowo, i zaraz jakbym sobie przypomniała jego znaczenie. Ponownie uczyć się dawnego życia.

- Świetny pomysł - zwrócił się do młodzieńca, który zarumienił się po uszy, znalazłszy się nagle w centrum uwagi. - Chciałbym porozmawiać z tobą przez chwilę po kolacji. Liczę, że wraz z innymi opowiesz mi o przebiegu rekonwalescencji Seleny.

- Zdaje mi się, że obecny stan Seleny powinien ci powiedzieć dostatecznie dużo - wtrącił Johann. - Wystarczy, że na nią spojrzysz, na litość boską!

Ian zmarszczył czoło.

- Nie tyle mi chodzi o jej wygląd, co o jej mózg, Johann. W jakim stopniu uległ obrażeniom, które z jego funkcji powracały i jak szybko? Czy w procesie powrotu do zdrowia pojawiły się jakieś trudności?

Johann spojrział na niego z nagłym chłodem.

- Widzisz tylko niedoskonałości i uchybienia, Ianie... Seleny przerwała mu łagodnie:

- Ianie, usiądziesz przy mnie?

Jej pytanie zaskoczyło go. Zanim zdążył się zdecydować, odezwała się Maeve:

- Naturalnie, usiądzie obok ciebie, Seleno!

Jak ogłuszony, Ian poszedł za dziewczyną i zajął miejsce przy stole. Kiedy zabrała się do posiłku, nie spuszczał z niej oka. Starannie rozpostarła serwetkę na kolanach i położyła na talerzu jabłko, marynowany ogórek i dwie landrynki. Podniosła widelec, pokroiła jabłko „a małe kawałeczki i zabrała się do jedzenia.

Zauważył, że ma ruchy nieskoordynowane i gwałtowne.

Założył okulary i wyciągnął z kieszeni notesik i pióro. *Pacjentka Podnosi jedzenie do ust ruchami niezdarnymi, niemal spazmatycznymi. ^aje się, że w wyborze potraw kieruje się nie smakiem, którego nie* „,,czuwa, lecz doznaniem płynącymi z dotyku.

Konwersacja przy stole nie płynęła równym strumieniem, lecz „^hła niespodzianie, by po chwili wybuchnąć owym zgiełkiem, kiedy ^zyscy zaczęli mówić równocześnie albo wybuchali nieopanowa-Vva śmiechem w najmniej stosownych chwilach. Selena siedząca

obok niego mówiła żarliwym szeptem coś chyba o królu Jerzym, ale jej ciche słowa tonęły w ogólnej wrzawie, Ian nie mógł wytrzymać hałasu. U podstawy czaszki zapulsowało słabe ómienie, zwiastujące rychłe nadejście migreny. Ból wspinał się coraz wyżej, obejmował chciwymi szponami skronie i potylicę. Odłożył pióro gwałtowniej, niż zamierzał. Kiedy podniósł wzrok, ujrzał utkwione w sobie oczy Seleny. Wyglądała, jakby jej coś doskwierało. Jak jego matka, gdy usiłowała oddzielić fantazję od rzeczywistości - zagubiona, trochę przygnębiona. Pochylił się ku niej i ponownie chwycił za pióro.

- Nie czujesz się dobrze?

Rozpoznawał wyraz jej oczu, znajome zwiastuny cierpienia schorzałych dusz, które rozpaczliwie szukały odpowiedzi na dręczące je pytania u osławionego doktora Carricka.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, co czuję?

- Nie. Spytałem, jak się czujesz. Czy boli cię głowa? A może odczuwasz mdłości?

- Och, Ian, pozwól jej jeść w spokoju, na miłość boską! - wtrącił Johann, zanim Selena zdążyła odpowiedzieć.

- Z wielką niechęcią przyznaję rację panu Strassborgowi, który jest, bądź co bądź, Niemcem... ale muszę to uczynić. Doktorze Carrick, jest pan niebywale niegrzeczny! - wtrąciła królowa.

Maeve zerknęła na nią znad talerza.

- Tak samo się zachowywał, kiedy będąc jeszcze chłopcem badał owady - zauważyła.

- Tuż przedtem, zanim podrywał im skrzydełka, jak sądzę -Johann upił łyk wina. Ian podniósł zrezygnowane oczy do sufitu. Oczywiście, powinien był przewidzieć, że nie sposób prowadzić prawidłowej naukowej obserwacji w tej ciżbie szaleńców. Johann nie stracił swojej zwykłej postawy uszczypliwego, zgorzkniałego uparciucha, ale rozwinął w sobie nieoczekiwane opiekuńcze uczucia w stosunku do „obfłuczonej” bogini. Zachowań Maeve i królowej nie dało się ani przewidzieć, ani zrozumieć - również jak zwykle. Selena zaś...

Westchnął. Selena? Spodziewał się czego innego... kogoś innego' Miała w oczach smutek, który błagał - niemal krzyczał - o uwag?'

Pochylił się do niej i przyłożył dłoń do jej czoła, sprawdzając, czy}’ nie ma gorączki. Posłała mu szybki uśmiech, który przegnał cię0

melancholii z brunatnych oczu. Ian cofnął dłoń i ujrzał, że na jej czole natychmiast pojawił się mars. Jakby chciała mu dać do zrozumienia, że czegoś po nim oczekuje.

- Przyniosę ci proszki od bólu głowy. Dalsze testy odłożymy do jutra.

- Oczywiście, jakże chwalebnie, lanie! Zatoszcz się o jej ciało, ale ignoruj potrzeby duszy! - Johann był niezmordowany.

Ian trzepnął notesem o stół i porwał się na nogi, aż zabręczała delikatna porcelana z Sevres.

- Edith, proszę o kolację do mojego gabinetu. Seleno, zobaczymy się jutro rano. Selena patrzyła na niego ze smętną żarliwością w sarnich oczach.

- Naprawdę? Ian, naprawdę chcesz mnie zobaczyć? Nie rozumiał sensu jej pytania.

- O wpół do dziewiątej w salonie. - Odwrócił się, ale zatrzymał go jej głos:

- Na plaży - powiedziała zaskakująco stanowczym tonem. -Lubię blask słońca.

Nie miało to jego zdaniem żadnego sensu, ale nie oponował. Ostatecznie, cóż za różnica - to tylko kwestia

miejsca. Wszędzie mógł prowadzić swoje badania.

- Doskonale! - rzucił i wyszedł z jadalni.

## 14

Selena siedziała na najniższym stopniu schodów, obejmując ramionami przyciśnięte do piersi kolana. W pograżonym w mroku nocy starym domu panowała niezmacona cisza. Całe godziny minęły już od kolacji, lecz w powietrzu wciąż unosiła się woń pieczonego indyka i cynamonu.

Coś między nią i Ianem było nie tak, jak powinno, ale nie umiała znaleźć przyczyny ani lekarstwa. Wszystko, czego pragnęła, to by on się do niej uśmiechnął - tak jak wtedy, gdy pierwszy raz wychynęła z ciemności snu i ujrzała go siedzącego przy niej z nieskończonym ciepłym uśmiechem na twarzy, a na czole poczuła dotyk silnej, troskliwej dłoni. Kąpała się w rozkosznym ciepłe tego uśmiechu, niosącego ukojenie i poczucie bezpieczeństwa, jakby nic groźnego nie mogło jej osiągnąć, dopóki pozostawała pod opieką bogalana.

Teraz jednak okazało się, że to było złudzenie, wytwór wstrząśniętego wypadkiem umysłu. Zastanawiała się, czy to możliwe, by sobie to wszystko wyobraziła, podczas gdy Ian nigdy nie patrzył na nią wzrokiem pełnym miłości. Czy to wspomnienia, czy tylko kłamliwe zwiidy? Skąd miała wiedzieć? Przecież jej mózg był uszkodzony. Is" bezustannie to powtarzał, za nim Edith, aż wreszcie sama Selena pojęła całe znaczenie suchego medycznego określenia. Pogodziła się z nieuchronnym, że przynajmniej ta część jej mózgu, która zawierał3 niegdyś całą wiedzę o świecie i wspomnienia dawnego życia, uległ8 nieodwracalnemu uszkodzeniu. Przyjaciele nie okłamaliby jej przecie2'

złościwie wmawiając tak poważne zaburzenie! Trudno - była uszkodzona, „zepsuta”. Ale co z tego ostatecznie wynikało? Nikt nie potrafił odpowiedzieć jej na to pytanie. A teraz nadeszła chwila, gdy ogarnęły ją zasadnicze wątpliwości, gdy zaczęła kwestionować wszystko, co wiedziała i czego, jak jej się wydawało, była pewna... Sądziła, to znaczy pamiętała, że Ian dotykał jej kiedyś z troską i czułością. Lecz skąd mogła to wiedzieć na pewno?

W tok ponurych myśli wdarł się cichy tupot *stóp*. Selena wyprostowała się, w jej sercu odezwała się nadzieja.

- Kto tam?

- To ja, Maeve.

Nadzieja zgasła. Selena posmutniała i przytuliła się mocniej do ściany. Maeve zeszła niżej i usiadła na schodku tuż przy niej. Obok postawiła świecę w wysmukłym lichtarzu. Selena zerknęła kątem oka na profil starszej kobiety. W ciągu minionych tygodni przekonała się, że to kruche ciało zamieszkiwały w istocie dwie Maeve - jedna była pełna życia, ruchliwa, gotowa się śmiać z lada powodu i o szczodrej naturze; druga markotna, apatyczna, nienawidząca siebie samej, spędzała czas na rozmowach z niewidzialnymi ludźmi i całowaniu wypchanych zwierzątek. Selena wciąż jeszcze nie zdobyła wystarczającego doświadczenia, by jednym rzutem oka oceniać, z którym wcieleniem ma właśnie do czynienia.

- Pomyślałam sobie, że jeszcze nie śpisz - odezwała się Maeve, a swobodny ton jej głosu napełnił Selene otuchą. Najwyraźniej odwiedziła ją zdrowa Maeve, panująca nad sobą i świadoma, co się ^kół dzieje. Selena oparła głowę na ramieniu przyjaciółki, zmuszając się do słabego uśmiechu. Powiedziała markotnie:

- Kolacja była okropna. - Powrót lana, po którym tyle sobie °biecywała, który wyobrażała sobie w najmniejszych, radosnych ^czegółach, okazał się tak inny od jej marzeń! Miał ją porwać w ramiona, okręcić dokoła i mocno przytulić. Nie spodziewała się, ^sgo obecność wywoła u niej napięcie, że będzie dygotać zalękniona PO'1 chłodnym, rzeczowym spojrzeniem badacza. Spoglądał na nią,

e widział tylko uszkodzony mózg.

Maeve przytaknęła:

- To prawda.

- Byłam... niedobra. To znaczy, głupia. Chciałam... - szukała słów w znużonym umyśle, jakby wypełnionym wąta.

- To naturalne, że chciałaś zrobić na nim wrażenie. Selena spojrzała na przyjaciółkę z uznaniem.

- Maeve, jak ty to robisz, że zawsze mnie rozumiesz? Starsza kobieta rzuciła jej ukradkowy uśmiech.

- Nie jest trudno cię rozszyfrować, moje dziecko. To reszta świata jest na tyle niezrozumiała, że sprawia mi trudności.

Selena długo milczała. Wreszcie spojrzała przyjaciółce prosto w oczy.

- Jak mam zmusić łana, żeby mnie pokochał?

Maeve zacisnęła silnie powieki. Kiedy po długiej chwili otworzyła oczy, orzechowe tęczówki lśniły od łez. Powiedziała załamującym się głosem, chrapliwym od powstrzymanego szlochu:

- Nie wiem. Ale wiem, jak ciężko jest próbować. To boli... Selena zgarbiła plecy i jakby zapadła się w sobie.

- Wciąż coś psuję, ciągle robię wszystko źle. Nie potrafię... jego obecność...

- Będzie cię teraz trzymał na dystans. Nie pozwoli ci się zbliżyć -oświadczyła Maeve wszystkowiedzącym tonem.

- Ale dlaczego? Maeve długo milczała.

- Bo jesteś „uszkodzona”.

Selena wiedziała o tym, zanim usłyszała to z ust Maeve; przeczuwała sercem tę prawdę, ale słowa sprawiły jej taki ból, jakby spadły na nią nieoczekiwanie.

- Więc nie ma dla mnie nadziei... bo zawsze będę „uszkodzona”.

- I dla mnie nie było nadziei, jeśli chodzi o łana... bo jestem wariatką.

Ból w głosie przyjaciółki ujął ją w samo serce, bo tak dobrze ją rozumiała. Objęła ramieniem szczupłe ramiona Maeve i przytulić do siebie.

- Ja czuję do ciebie miłość. Maeve zaczerpnęła drżący oddech.

- I ja cię kocham, Seleno.

Bardzo długo siedziały tak na dole schodów, czerpiąc onieśmięły

z milczącej, wszystko rozumiejącej bliskości. Wreszcie Selena przerwała milczenie.

- Pewnego dnia on mnie zobaczy.

- Może... - szepnęła Maeve. - Może?

Jakoś rano Selena szybko narzuciła zbyt obszerną bawełnianą suknię w niebieską kratkę i związała włosy z tyłu głowy różową wstążeczką, złapała książkę, którą łan zostawił poprzedniego wieczoru na jej łóżku i pospieszyła na dwór. W nocy jeszcze długie godziny leżała bezsennie, w mdłym świetle świecy usiłując dojrzeć linijki drobnego druku, który wypełniał karty oprawnego w skórę tomiku zatytułowanego *Albo - albo: Fragment życia*. Czytając powoli, zdołała pojąć znaczenie poszczególnych słów, ale składanie ich w sensowne zdania okazało się niewykonalne. Treść tomiku wydała jej się głupia i bez znaczenia. Widocznie nie była dość mądra, by ją pojąć. Kiedy wreszcie zdała sobie z tego sprawę, ogarnęło ją przygnębienie, bo wiedziała, co to oznacza, łan wysłucha jej zająkliwej relacji o niefortunnym przebiegu tego, co on określi „testem na zapamiętywanie” i skrzywi się i rozczarowaniem na wieść o niepowodzeniu. Potem naskrobie coś w swoim nieodstępnym notesiku - uwagę o kolejnej wykrytej niedoskonałości.

Z wysiłkiem spróbowała się uśmiechnąć. Nie, nie będzie teraz o tym roysleć! Dzisiejszy dzień okaże się inny od wczorajszego. Postanowiła, że zmusi łana, by ją zauważył, żeby zaczął traktować ją poważnie -jako osobę, a nie przedmiot badań. Nie miała pojęcia, jak się do tego zabierze, ale wierzyła w siebie i w to, że istnieje nadzieja, którą ona może obrócić w rzeczywistość. Złapała oburącz fałdy spódnicy i zaczęła Pobiegnęła wzdłuż gazonu. Miała zamiar nie ustawać w biegu przez gajnik aż do chwili, gdy poczuje pod stopami żwir plaży. Owszem, miała taki zamiar... ale kiedy wbiegła w cień drzew niebotycznych lak wieże, stanęła oczarowana zapachem igieł i szumem listowia. zadarła głowę i zapatrzyła się na wyrafinowany wzór przeplatających się iglastych gałązek świerków i liściastych buków: soczysta koronka, Plesiewająca miodowe promienie słońca. Gałązki tańczyły w poduchach lekkiej bryzy. Za każdym nowym skłonem odrywały się

owalne listeczki i spływały w dół, na poszycie usiane wielobarwnymi plamami porostów.

Selena opadła na kolana i podczołgała się po wilgotnej ściółce do niezwykłego, śnieżnobiałego pąka, wtulonego w puszyste pędy paproci. Ostrożnie ujęła kwiat w palce. Wpiła zachwycone oczy w satynowe listeczki i mlecznobiałe płatki. Wciągała nosem upojny zapach...

- Seleno? - w zaciszu zagajnika dobiegający z oddali głos łana zadźwięczał nieskrywaną niecierpliwością.

Porwała się na nogi, depcząc przy tym kwiatek.

- Och, nie! Ojejku! Tak mi przykro...

- Seleno!

Podciągnęła zabłocone fałdy spódnicy i pożegnała zasmuconym spojrzeniem złamany pączek, po czym spiesznym truchtem pognąła przez las na plażę, gdzie czekał Ian, strzelisty i prosty jak wiekowe drzewa za jej plecami. W dłoni trzymał kieszonkowy zegarek, spoglądając nachmurzonym wzrokiem na jego tarczę.

- Seleno! Wyszła z cienia.

- Tutaj jestem...

Zatrzasnął pokrywę repetera i odwrócił się twarzą do niej.

- Doskonale. Wobec tego możemy zaczynać.

Usiłowała się uśmiechnąć, ale drżące usta odmówiły współpracy. Czuła się równie zdeptana, jak nieszczęsny kwiatek w zagajniku. Odruchowo zbliżyła się do niego, włączając rąbek sukni po mokrych skałach. Ściągnął brwi i cofnął się o krok.

- Co z tobą, Seleno? Znowu boli cię głowa? Nie zatrzymała się.

- Nie.

Mars na jego czole pogłębił się.

- Więc czemu spoglądasz na mnie tak... dziwnie?

- Czemu ty spoglądasz na mnie tak dziwnie?

- Nie papuguj mnie, tylko odpowiedz.

- Właśnie to zrobiłam!

- Stań i nie ruszaj się! - niemal wykrzyknął tak rozkazujący głośnie, że usłuchała wbrew swej woli. Właściwie sama nie pojmowała czemu do niego podchodzi, czego od niego chce... z wyjątkiem tego jednego: żeby ją wreszcie zobaczył.

Ian wyciągnął z kieszeni notes i usiadł na wielkim głazie. Zmierzył ją badawczym spojrzeniem - przenikliwym, lecz oschłym, spod zmrużonych powiek.

- Jak ci poszła lektura Kirkegaarda? - A widząc jej oszołomienie, wyjaśnił: - Chodzi mi o tę książkę. Czy przeczytałaś choć fragment?

Stłumiła rosnącą panikę. Pieczołowicie zebrała nawięte fałdy sukni, podeszła nieco bliżej i uklękła na twardej skale u jego stóp.

- Do późna w nocy ją czytałam i... bardzo się starałam. Wytężałam całą uwagę, ale... - spojrzała mu w oczy - ...ale nie rozumiałam słów.

Naskrobał coś w dzienniku i posłał jej uśmiech, który na chwilę przemienił jego rysy w oblicze anioła z jej dawnych snów. Ale chwila uleciała, twarz stężała w rzeczowej powadze.

- Nic nie pojęłaś? Może jakieś oderwane myśli, zdania czy choćby słowa... Zupełnie nic? Opadła na pięty.

- Mężczyzna w tej książce twierdzi, że życie jest pozbawione nadziei, znaczenia i piękna. Że odnaleźć Boga można tylko wtedy, gdy się uwierzy w samo najgorsze zło. To... to po prostu głupie!

Ian popatrzył na nią przeciągle.

- Seleno... to coś niewiarygodnego!

Nie rozumiała słowa „niewiarygodne”, ale pojęła, że znowu go zawiodła. Znowu!

- Przykro mi, że... jestem zbyt uszkodzona na umyśle, by zrozumieć słowa tego piaskarza.

- Pisarza - poprawił odruchowo. Z wolna zsunął się z głazu ‘ ukląkł tuż przy niej. Nie odważyła się spojrzeć mu w oczy.

Dotknął palcem jej podbródka i bardzo łagodnie zmusił, by podniosła twarz. Napotkała jego wzrok i serce stanęło jej w piersi, bo błękitne Jeżówki spoglądały na nią z taką czułością, że zaparło jej oddech w piersi. Odgarnął kasztanowy lok, który opadł jej na czoło.

- Właśnie opisałaś w kilku trafnych słowach teorię egzysten-yalizmu.

- Co ja takiego zrobiłam?

- Pojęłaś sens tej książki!

Zbierało jej się na płacz, tak jej było przykro z powodu dźwięku Skoczenia w Jego głosie. Ach, więc niczego się po niej nie spodziewał.

Celnie zwalczyła łzy i pochyliła się ku niemu.

- łan, spójrz na mnie. Co widzisz? Zmarszczył czoło i odsunął się nieznacznie.

- O co ci chodzi?

Wyjęła notes z jego rąk i otworzyła na pierwszej lepszej stronie.

*Pacjentka ma wszelkie symptomy rozległej afazji poznawczej i ekspresyjnej. Złamanie podstawy czaszki.*

*Prognozowanie: przypadek nieprzewidywalny. Afazja receptywna i ekspresywna wydaje się przejściowa, lecz przyszłość tego przypadku jest niepewna. Pacjentka formułuje słowa, odpowiada na pytania i daje dowody, iż zachowała podstawy orientacji w otoczeniu, ale są one ograniczone. Jaki jest tego powód?*

Ostatnie zdanie było podkreślone grubą kreską.

Selena spojrzała na łana przez łzy, które piekącą falą napłynęły do oczu.

- łanie, nie wiem, czy rozumiem logicznie, natomiast wiem, że czuję. Być może właśnie to ocaliło mi życie?

Odwrócił wzrok, zaczerpnął głęboki oddech, wstrzymał go przez chwilę, po czym ze świstem wypuścił powietrze. Tak długo nie odzywał się ani słowem, że zaczęła mieć nadzieję, iż wreszcie udało jej się przedrzeć przez chłodną skorupę, że zmusiła go, by poświęcił choć jedną myśl jej samej, zamiast rozważać rozległość jej obrażeń.

Wstał i otrzepał się z piasku.

- Na razie to wystarczy, Seleno! - odsunął się od niej chyłkiem. Odezwała się, nie podnosząc głowy znad chropowatej szarości skały:

- Wiesz, łanie, być może mój mózg jest uszkodzony, ale jestem dość bystra, by wiedzieć o czymś, o czym ty nie masz pojęcia. Odwrócił się ku niej z ociąganiem.

- I cóż to takiego?

Spojrzała mu nieustępliwie w oczy.

- Ty jeszcze bardziej niż ja potrzebujesz ocalenia!

Siadł przy oknie, zapatrzony na gazon rozciągający się przed frontowym podjazdem. W dłoni czuł znajome ciepło kieliszka czerwonego szlachetnym starym winem. Machinalnie obracał w palcach wysmukłą kryształową nóżkę.

Nie potrafił się zmusić, by przestać myśleć o tym, co mu powiedziała rankiem na plaży. Czuł, że w jej słowach kryje się głęboka prawda:

zawsze lepiej sobie radził z faktami niż z ludźmi i lepiej się czuł w królestwie liczb niż uczuć. Kiedy przychodziło mu obcować z kimś, kogo nie rozumiał - szczególnie z osobami pozbawionymi pełni władz umysłowych - odsuwał się i odgradzał barierą rzeczowego chłodu. Tego dystansu nauczył się dawno temu, by przetrwać - to nauczka, jaką otrzymał od Maeve. Nieodmiennie postrzegał choroby umysłu w ostrym kontraście bieli i czerni. Człowiek albo był normalny, albo nie, i basta.

Kiedy przestał szukać prawdy i docierać do sedna? Kiedy przestał dostrzegać cokolwiek poza etykietką, poza lekarską diagnozą?

Oczywiście doskonale zdawał sobie sprawę, kiedy to się stało. Dawno, dawno temu, gdy już nie umiał znieść kolejnych odrzuceń przez Maeve, gdy przerósł go własny lęk przed kolejną chwilą, gdy będzie musiał stawić czoło jej irracjonalnemu zachowaniu. Nie zniósłby, gdyby kazano mu myśleć o matce w innych kategoriach niż jako o nieuleczalnym przypadku choroby umysłowej. Gdyby zaczął widzieć w niej istotę ludzką, musiałby dostrzec jej cierpienie i musiałby radykalnie się zmienić. Każda zaś zmiana groziła bólem, tak jak torturą były daremne nadzieje i gorzkie rozczarowania.

Gdzieś na szlaku życia zmógł go egoizm. Jak powiadał Johann, wymagał od tych, których kochał, nudnej normalności. Ludzie na jego drodze byli albo zdrowi, albo chorzy. Tak ich postrzegał i segregował. Świat według łana Carricka.

Westchnął w przygnębieniu. Żałował, że zadał jej cierpienie, a Jeszcze bardziej żałował, że taki nędzny z niego lekarz. Wiedział, że dobry medyk leczy nie tylko ciało, ale stara się uzdrowić też duszę... Nie miał talentów pocieszyciela i fatalne manery przy łozu kipiącego. Zazwyczaj nie przeszkadzało to ani jemu, ani pacjentom,

gdyż niewiele obchodził jego charakter, gdyż zależało im wyłącznie

o „miejętnościach medycznych, a te były niedoścignione. Lecz . Praypadku Seleny nie liczyło się żadne



„zazwyczaj”. Tak... należały Jej się od niego przeprosiny.

Drzwi skrzypnęły za jego plecami i zamknęły się z cichym stuknięciem - Usłyszał męski głos, leniwie przeciągający głoski:

- Tuszę, iż roztrząsasz piramidalne głupstwo, jakie popełniłeś? Łan wzdrygnął się na myśl o konfrontacji z Johannem. „Chryste!”

- Błagam cię, idź sobie!

Zadzwoił kryształ, zabulgotał trunek nalewany szczodłą dłonią.

- Chyba też się skuszę na kielicha!

Łan odwrócił się powoli i objął spojrzeniem Johanna, który oparty o mahoniowy kredens podnosił do ust kieliszek wina. Ujrawszy wzrok łana, skłonił głowę w drwiącym toaście.

- Cóż, udało ci się... myśmy próbowali przez okrągły miesiąc bez skutku, a ty dopiąłeś tego zaraz pierwszego dnia!

- O czym ty gadasz, do licha?

Johann odstawił kieliszek i zajął łanowi w oczy.

- Wywołałeś na jej twarzy uśmiech.

Łan podszedł do fotela pod przeciwległą ścianą i opadł nań ciężko.

- Naprawdę? - Starał się nadać słowom ton oschły i obojętny, ale niezupełnie mu się to udało. Johann nachylił się ku niemu.

- Wiem, że nie jesteś złym człowiekiem, chociaż zdaje się, że twoja głupota nie ma sobie równej, nie mówiąc już o ślepotie! Łanie, ta dziewczyna jest czysta jak łza. Czy nic to dla, ciebie nie znaczy?

- Jej umysł...

- Do diabła z jej umysłem! - Johann poderwał kieliszek i wbił ponury wzrok w karmazynowe światelka na dnie. - Kiedy umierasz, dopiero wtedy zaczynasz myśleć... o wielu rzeczach, które nie przychodzą ci nigdy do głowy w trakcie życia. Ja wciąż myślę o tym, jak je spożytkowałem, jak traktowałem ludzi, i najczęściej czuję? głęboki wstyd, wspominając własne postęпки. Ale... - potrząsnął głową i na jego usta wybiegł łagodny półuśmiech - ...ale wtedy przypominam sobie Marie i jak mocno ją kochałem, i czuję się oczyszczony. Odkupiony.

Ostatnie słowo trafiło boleśnie blisko.

- Czemu sądzisz, że potrzebuję odkupienia?

- Wystarczy kwadrans w twoim towarzystwie. Łan zaśmiał się szyderczo. - Trafiony, zatopiony!

- Idź do niej, łanie. Spójrz na nią i ujrzyj ją! W tej duszy króluj6 czystość, jakiej nie spotkałem u nikogo. Ona potrafiłaby cię odmienić-

Wzdrygnął się lekko, bo szept Johanna potracił czułą strunę i jego serce zalała fala przemożnych emocji, wśród których dominował lęk zaprawiony nadzieją. Raptownie zerwał się na nogi i wybiegł z pokoju.

- Tak, uciekaj, bojaźliwy chłopczyku! Zakop głowę w piasku... albo w tym swoim bezcennym dzienniku! - pomknęło za nim echo wymówek Johanna, lecz puścił je mimo uszu. Długim krokiem przeciął trawnik i zanurzył się w cień zagajnika, zmierzając prosto w stronę morza. Musiał odzyskać swobodę myśli, oderwać się od zniechęconego gmaszyska, niesłusznie zwanego domem... od pułapki pełnej niedołączonych, zdeformowanych dusz.

Na plaży natknął się na Selenę, odzianą w jedną z jego starych batystowych koszul i te same workowate spodnie, które miała na sobie poprzedniego dnia. Przytrzymał je w talii przetarty skórzany pas, w którym również rozpoznał część własnej garderoby. Długie włosy rozwiewał wiatr. Był właśnie odpływ i wilgotne skały parowały specyficznym odorem zgniłych małży. Przed dziewczyną stały sztalugi, a na nich rozpięta kremowa sukienka, na staniku której powstawał obraz: olbrzymi, jaskrawożółty kwiat, rzucony na osobliwe płótno śmiałą ręką malarza fantasty.

Nie zauważyła jego nadejścia, więc przez chwilę miał ochotę odwrócić się i uciec, ale zatrzymał go w miejscu jakiś pierwotny impuls, coś niezmiernie głębokiego, wymykającego się analizie rozumu. Był jej winien być może dotyk, może słowo... cokolwiek. Przeprosiny.

Po cichu zbliżył się do sztalug.

- Witaj, Seleno!

Podskoczyła na dźwięk jego głosu i upuściwszy pędzel, odwróciła się do Iana. Jej usta poruszały się przez chwilę w milczeniu, wreszcie ^krztusiła:

- Ian!

Niepewnie przestępował z nogi na nogę. Słowa - najzwyczajniejsze, ^Jstosowniejsze słowa przeprosin - utkwily mu w krtani drapiącą ^ Jak z ostrego żwiru.

- Iaa... przepraszam cię, Seleno

Oblicze dziewczyny rozjaśnił niewiarygodnie piękny uśmiech.

- Naprawdę?

- Nie miałem zamiaru cię zranić.

- Oczywiście, że nie miałeś takiego zamiaru! - Z jej ust wymknęła się niski, gardłowy śmieszek i pomknął, dzwoniąc beztrąsko na rześkich skrzydłach morskiej bryzy. - Przyjmuję przeprosiny i zaraz wypomnę.

Jej wesołość okazała się tak zaraźliwa, że usta Iana zadrgały w mimowolnym uśmiechu. Nie droczyła się i nie zaciniała w obrazie. Cóż za ulga! Sprawiała, że ciężar przewiny wydawał się lżejszy, jakby Ian miał prawo pobiłdźić.

- Chciałaś powiedzieć, że zapomnisz? Ponownie wybuchnęła swobodnym śmiechem. Jakże umiała śmiać się z własnych błędów!

- Masz rację. Nie umiałabym ci niczego wypominać! - I zanim mógł odpowiedzieć, wsunęła dłoń w jego rękę. - Chodź ze mną! -zawołała i pociągnęła go przez plażę w chłodną, pierwotną gęstwinę lasu. Roześmiana, przeskakiwała zmurszałe kłody, deptając miękkie dywan mchu wiodący na maleńką polankę, otoczoną strzelistą palisadą świerków. Promienie słoneczne przecinały gałęzie jak złociste szpady, w powietrzu rozchodził się balsamiczny aromat. Puściła jego dłoń i okręciła się w tanecznym piruecie, zdyszana, zarumieniona od biegu. - To moje miejsce! - oznajmiła dumnie. -Patrz! - Uklękła i zagrzebała dłonie w otwór w spróchniałym pieńku, jedynej pozostałości po prastarym drzewie. Po kolei wyciągała z kryjówek swoje skarby - doskonale okrągły, biały otoczek, różową muszlę kraba pustelnika, wysuszone pasmo żółtawozielonkawych wodorostów, morskiego jeża, niebieskie szkieleto - odłamek jakiejś flaszki czy kieliszka... Stał o kilka kroków dalej i obserwował fl w milczeniu, a przez jego ciało przebiegały fale dziwnych doznań, aż nie wiedzieć czemu poczuł zawrót głowy. Ta kobieta miała w sobie coś... była jakby nie z tego świata i sprawiała, że chwila w J6J towarzystwie nabierała niezwyklej, niepowtarzalnej jakości. Czy bycie normalna? Nie! Ale być może była uosobieniem tego, co powinno być normą - co niegdyś nią było?

Klapnęła na pupę, rozkładając wokół siebie trofea, i zapraszającym gestem zasygnalizowała, by usiadł koło niej.

Nie przypominała mu nikogo znanego dotychczas. Stanowiła nieprawdopodobne połączenie eterycznego piękna i solidnej, niemal przyziemnej siły. Kiedy podniosła na niego oczy, ujrzał w nich żarliwość dziecka, z całą niewinnością i czystością myśli, których próżno byłoby szukać w steranym, pełnym niesprawiedliwości i krzywdy świecie.

- Ian? - Ściągnęła gęste brwi w nagłym grymasie niepewności, który mu uświadomił, że od dawna się do niej nie odezwał. - Ja... ja zbierałam je... dla ciebie.

Nie mógł oderwać od niej oczu. Siedziała między dziecinnymi skarbami, zapatrzona w niego, jakby tulił w dłoniach sam niedosiężny księżyc. Przez bolesną, lecz szczęśliwie krótką chwilę serce rozdarł mu straszliwy żal, że nie zasługuje na to uwielbienie.

Nagle, w błysku objawienia, ujrzał swoją duszę obnażoną, wydaną na bezlitosny osąd - i zalała go fala bezmiernego wstydu. Od pierwszego dnia, gdy przybyła pod jego dach, myślał wyłącznie o sobie, starał się zaspokoić swoje potrzeby i pragnienia, a gdy zdało mu się to niemożliwe, opuścił ją. Wymknął się jak tchórz, zostawiając ją, by zgniła na tym pustkowiu, za zamkniętymi na głucho drzwiami Domu Zapomnienia.

A ona wciąż spoglądała na niego jak na swego boga, którym tak bardzo pragnął się stać.

W tej chwili pojął z całą jasnością, że już nie chce być bogiem, nie chce zabrać jej na Harvard i pokazywać, obwozić po uczonych zebraniach jak jakąś osobliwość, makabrycznego Frankensteina w ciele kobiety czy cud nowoczesnej medycyny. Chciał tylko paść przy niej „a kolana i ponownie stać się

mężczyzną. Tylko tym - i aż tym. ^czyżną.

i Zapragnął odzyskać dawno utraconą duszę... | - łan, chodź tutaj!

‘ Podszedł z ociąganiem i przysiadł w kucki koło niej. Nie wiedział, L00 Mógłby innego teraz począć.

^ twarz dziewczyny powrócił promienny uśmiech, jasny jak blask

słońca w zenicie. Sięgnęła po odprysk błękitnego szkła, który zamigota } tysiącem szafirowych iskier.

- Ten jest specjalny. Najważniejszy... - szepnęła.

- Czemu właśnie ten?

Podstawiła rękę trzymającą odłamek tuż pod oczy łana. Z dala od kąpielni promieni słonecznych odprysk pociemniał, leżał chłodny • i mętny w miękkim zagłębieniu jej dłoni.

- Spójrz, ma kolor twoich oczu - błękitny. łan poczuł w sercu drgnięcie, jakby skorupa, którą tak długo było opancerzone, zaczynała kruszeć i mięknąć.

- Zapamiętałaś kolor moich oczu?

Upuściła szklany odprysk w jego dłoń i pochyliła się bliźniutko, podnosząc ku niemu twarz.

- Pamiętam wszystko o tobie, łan. Johann mówi, że jestem „cadykiem”.

- Jak?

Zaśmiała się nagłym, gardłowym śmiechem, który wypełnił całą polankę.

- Znowu mi się pomyliło! Wybacz mi, proszę. Johann mówi, że jestem „cudem”. łan przełknął ślinę.

- Naprawdę nim jesteś! - ledwie zdołał wydusić ze ściśniętego gardła.

Odwróciła wzrok, marszcząc czoło w zamyśleniu, po czym znowu spojrzała na niego.

- Ja... ja wiem, ty byś chciał, żebym sobie przypomniała wszystko sprzed wypadku. Moje dawne życie. Próbowалам - dla ciebie. Bardzo się starałam, ale nie ma w mojej pamięci żadnych wspomnień. Umy^ jest pusty, z wyjątkiem... - zamilkła i zagryzła dolną wargę, odwracając niechętnie głowę.

- Z wyjątkiem czego?

- Pomyślisz, że jestem głupia.

Przypomniał sobie, ile razy nieopatrznie powtarzał w jej obecności określenie „uszkodzony mózg”, i aż się skrzywił. Cóż za *bezmysł* ze mnie łądak bez odrobiny serca, pomyślał. Całymi dniami badał

ją jak owada pod szkiełkiem mikroskopu i ani razu nie ujrzał w niej człowieka. Aż do tej chwili... za to teraz ujrzał kogoś tak wspaniałego, że łązy stanęły mu w oczach.

- Seleno, nigdy tak nie pomyśle!

- Nie zachowałam wspomnień, ale mam takie... uczucie. Zwłaszcza kiedy zasypiam albo budzę się, jestem okropnie smutna - bez żadnego powodu. - Podniosła na niego oczy z wyrazem zagubienia. - Moja dusza była chyba przez bardzo długi czas pogrążona w smutku. Ale teraz jest szczęśliwa. Jestem z tobą i z moją rodziną.

- Tu nie jest miejsce odpowiednie dla ciebie, Seleno. Nie jesteś szalona. - Paradoksalnie, te pocieszające słowa obudziły w nim bolesne przecucie straty. Nie chodziło już o to, że nie zyska światowej sławy jako jej uzdrowiciel, lecz o to, że ona go opuści. - Twój stan będzie się poprawiał z dnia na dzień. Pewnego dnia obudzisz się prawie zupełnie normalna... nawet wspomnienia mogą powrócić - chociaż w to akurat wątpię.

Cofnęła się i spojrzała na niego zagadkowo.

- Nie. Ja jestem szalona. Wszyscy jesteśmy szaleni, z wyjątkiem Johanna, bo on jest geniuszem - poprawiła się. łan wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście tak mówi Johann - dobrze zgadłem? Skinęła głową z powagą dziecka, któremu powierzono sekret. Śmiech zamarł mu w krtani. Spojrzał na otwartą, poważną twarzyczkę i nagle sytuacja utraciła w jego oczach całą śmieszność. Nie, w tym nie było nic wesołego. Selena była chodzącym zaproszeniem do jakiegoś nieszczęśliwego incydentu. Całkowicie nieświadoma grzechów tego świata, niewinna i naiwna, łatwowierna, pozbawiona Upomnień o krzywdach, jakie potrafią zadawać sobie ludzie, o pod-^pach i zdradach. Była jak dziecko, które oczekuje, że świat okaże s1? przyjazny i sprawiedliwy. Jakże dotkliwie się rozczaruje! Być ^że nie zniesie bólu konfrontacji z rzeczywistością...

- Och, Seleno. Jesteś zbyt ufna. To, że Johann tak o sobie mówi, nle szyni z niego geniusza. - Ale ty nauczysz mnie nie być zbyt ufna? Uśmieł się.

- No jasne. Któż prócz mnie miałby lepsze kwalifikacje, by zniweczyć twoje złudzenia i obnażyć przed

tobą ciemną stroną życia?

Na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

- Ojej!

- Co się stało?

- Miałam nadzieję, że nauczysz mnie grać w krokieta. Ian gapił się na nią w całkowitym zaskoczeniu.

- Krokieta?

Troskliwie pozbierała swoje skarby.

- To taka gra, w której używa się kuł i motyk, żeby potoczyć kulę przez bryczkę. Królowa powiada, że to bardzo zajmująca i elegancka rozrywka, ale Edith mówi, że prędzej w piekle zrobi się lodowisko, niż ona pokaże mi, jak w to grać.

Ian zdusił chętkę do śmiechu.

- A czemuż to tak się wzdraga?

- Mówi, że za żadne skarby nie da tej wariatce motyki do ręki. Ale skoro już wróciłeś... - Spojrzała na niego z nadzieją, Ian nie miał serca odmówić.

- Dobrze, Seleno. Nauczę cię grać w krokieta. Obdarowała go promiennym uśmiechem.

- Jutro mogę się nauczyć o tej ciemnej stronie życia. Cóż za niezrównana niewinność! - pomyślał.

- Doskonale. Teraz wracajmy już może do domu, bo trochę tu zimno w zagajniku. Chciałbym zobaczyć, jak czytasz. Tak dobrze poradziłaś sobie z egzystencjalizmem, że mam ochotę podrzucić ci nową lekturę.

- Ale proszę coś pogodnego.

Wstał i odruchowo wyciągnął dłoń, a Selena wcisnęła swoje skarby w spróchniałą dziuplę, ujęła jego rękę i podniosła się z klęczek. Razem powędrowali w kierunku domu. W połowie drogi zatrzymała się i wyrwała mu dłoń.

- Stój!

- Co znowu?

- Chciałam ci pokazać coś prześlicznego. To Lara mnie teg nauczyła.

- Lara?

- Ta wysoka dziewczyna, która ssie kciuk.

- Ależ wiem, kim jest Lara. Zastanawiam się tylko, czego ona mogła cię nauczyć!

- Och, Lara umie mnóstwo wspaniałych rzeczy - na przykład to. - I Selena ukucnęła, kładąc dłonie przed sobą na poduszce miękkiego mchu. Poderwała głowę, sprawdzając, czy Ian na nią patrzy, po czym potoczyła się przed siebie w zgrabnym koziołku. Wylądowała na sośnie i upadła na bok. Przez chwilę toczyła się po ziemi, wymachując w powietrzu butami, zanim odzyskała równowagę. Wyszczrzyła do niego zęby w dumnym uśmiechu, potrząsając włosami, w których pełno było zeschniętych igieł i okruchów kory. Wyglądała jak czarodziejka z baśni, która wyłania się z leśnej ściółki.

- Widziałeś? Czyż to nie wspaniała sztuczka? Jezu! Świat tak zwanych normalnych ludzi nie da jej żyć w spokoju, pomyślał. Westchnął ciężko, ale głośno przytaknął:

- Owszem, Seleno, to wprost wspaniałe.

- Spróbuj i ty!

- Ja?

Pokiwała z zapałem głową i poklepała miękką ściółkę przed sobą.

- Wcale a wcale nie boli!

- Wiem, Seleno. Robiłem fikołki... całe wieki temu. - Podeszedł do niej i troskliwie powybierał z jej włosów zeschnięte liście, po czym podał jej dłoń. - Chodźmy już... chciałbym zobaczyć, jak czytasz.

Westchnęła, ale posłusznie ujęła jego rękę. Rdzawy listek przylgnął jej do szyi tuż nad wycięciem koszuli, ale zdawała się go nie uważać.

- To chyba nie jest zbyt mądre, lanie. Wyglądasz, jakbyś naprawdę ^dzo potrzebował fikołka.

- Osobiście czuję, że najbardziej potrzebuje się czegoś napić! - Sierdził.

- Och, tak. Johann obiecał, że nauczy mnie o picciu.

- Ty nie będziesz piła, Seleno. Nigdy!

- Dlaczego?

- Bo tylko mężczyźni piją. Damy tego nie robią.  
Zastanawiała się przez chwilę.
  - To z powodu piersi? Chyba się przesłyszał!
  - Coś ty powiedziała?
  - Johann mi wyjaśnił, że między mężczyznami i kobietami istnieje taka różnica, że kobiety mają piersi i niewymowne, a mężczyźni...
  - Wiem, co mają mężczyźni. Różnice w budowie ciała nie są istotne, jeśli chodzi o kwestię picia.
  - Więc czemu nie będzie mi wolno? Przewrócił oczami w komicznej desperacji.
  - Bo ja tak mówię!
  - Johann zawsze podaje mi powód. Powiada, że w ten sposób szybciej się uczę.
  - Johann to idiota!
  - Och, nie. Johann to geniusz.
- Ujął ją za rękę i wyprowadził z lasu. Nie powracał już do kwestii picia, nie poruszał tematu umysłowej sprawności Johanna ani nie starał się podawać jakichkolwiek powodów. Tak było po prostu bezpieczniej.

## 15

Gdzieś w oddali, w głębszy otaczającej rezydencję, wrzasnął żbik. Ochrypli krzyk drapieżnika rozdarł mrok nocy i na skrzydłach wiatru powędrował w świat, przytłumiony szczelnymi szybami okien.

W salonie Ian zrobił sobie nowego drinka, dolewając tym razem znacznie mniej wody. Mechanicznie obracał w dłoni masywną kryształową szklaneczkę, śledząc bursztynowe i czerwone refleksy na powierzchni trunku. W powietrzu rozszedł się słodkawy, kojący zmysły zapach alkoholu, Ian odwrócił się od kredensu i długimi, stłumionymi przez puszysty dywan z Aubusson krokami przeciął pokój. Jego myśli wypełniała całkowicie Selena. Nie mógł przestać wspominać ich dzisiejszego spotkania. Czuł się jak odmieniony przez to, co między nimi zaszło. Jakby emocje, które go ogarnęły, gdy patrzył w jej szczerze oczy i słuchał gardłowego śmiechu, wypaliły na Dun niezatarte piętno. Dotychczas bał się panicznie każdej niedoskonałości czy skazy w ludzkiej psychice, każdego odchylenia od Bornny, ale Selena burzyła wszelkie pojęcia normy. W porównaniu z jej naturalną, nieskrępowaną spontanicznością to, co „normalne”, dało mu się raptem nudne i pospolite. Wreszcie pojął, co miał na ^yśli Johann, pokazując mu szklany okruch.

Powietrze nocy ponownie rozdarł wrzask drapieżnika, Ian podszedł do okna i zerknął w nieprzenikloną ciemność dziedzińca. Wokół „amentowej plamy gazonu ledwie majaczył w mroku bastion świerow. Wysoko nad ich wierzchołkami płynął przez nieboskłon srebrny przecinek księżycyca w nowiu.

Nagle pochwycił kątem oka jakiś mch, nieznaczne drgnienie tam gdzie powinien panować absolutny bezruch, błysniecie bieli w jednostajnej ciemności. Zmarszczył czoło i wytężył wzrok.

To była kobieta odziana w nocną koszulę. Przez ułamek sekundy widział ją dokładnie, zanim jej sylwetka roztopiła się w cieniu drzew.

Żbik wrzasnął tnumfalnie.

- Jezu Chryste! - Ian upuścił szklanekę, ochlapując spodnie płynem. W popłochu wybiegł na dwór. Nie zwalniając ani na chwilę, przeciął trawnik, ale na skraju zagajnika musiał się zatrzymać, bo nie sposób było dojrzeć czegokolwiek w głębokiej czerni nocy.

- Witaj, skarbie - odezwał się z mroku gardłowy, kobiecy szept. -Możesz już wyjść.

Chmura, która zasłaniała księżyc, odpłynęła i w mdłej poświacie Ian ujrzał Selenę stojącą z wyciągniętą ręką kilka metrów dalej, na skraju piaszczystej dróżki. Biały batyst nocnej koszuli wydymał się za jej plecami jak żagiel, rąbek smagał obnażone łydki, koronkowe obszycie dekoltu trzepotało na piersiach w rytm podmuchów wiatru. Po plecach spływała falująca kaskada włosów. Księżycowy blask posrebrzył delikatny profil i uyczył niezziemskiego lśnienia bieli jej szaty. Promienna w mroku nocy, wydała mu-się zmysłową boginką, jak ożywiona Afrodyta.

Tuż przed nią zaszeleściły krzaki. Usłyszał ciche, równe dyszenie wielkiego kota. Przez ułamek sekundy paniczny lęk sparaliżował go zupełnie. Serce waliło w piersiach głośnym łomotem, na czole czuł krople potu.

- Seleno... - zawołał ją szeptem. W ogłuszającym tętnie serca nie słyszał własnego głosu. Dziewczyna

odwróciła się, wyprostowała i posłała mu radosny uśmiech.

- łan! Skąd...

- Cicho! - wreszcie odzyskał swobodę ruchów i szarpnął się do przodu. - Nie ruszaj się!

Gładkie czoło dziewczyny przecięła pionowa zmarszczka.

- Nie ro...

- Cii! - syknął ostrym tonem i bardzo powoli, boleśnie świadom ryzyka, jakie stanowił każdy krok, zbliżał się do niej. Pięć *meuo*^ zdawało się rozciągać jak mila, a po chwili zdawało mu się, że tojeszcz6 dalej. Wreszcie zbliżył się na wyciągnięcie ręki i mocno ujął jej przeg1 l

„w- Masz wilgotne palce...

Zakrył jej usta dłonią i szarpnął ku sobie. Drugim ramieniem otoczył ją w pasie. Ponownie usłyszał szelest wśród listowia. Tym razem towarzyszył mu groźny, ostrzegawczy pomruk. Krok za krokiem, nie mając odwagi zaczerpnąć tchu, zaczął się wycofywać z lasu. Kot podążał ich śladem. Zeschłe liście szeleściły pod każdym stąpieniem wielkiej łapy. łan ujrzał błysk złotych oczu i jego uszu dobiegł trzask łamanej gałązki. Liście krzaków rozstały się z gwałtownym szelestem.

Na oślep uczynił kolejny krok i poczuł pod stopą miękki dywan trawy. Przelknął ślinę, ale nie zatrzymał się, tylko powoli, cierpliwie stąpał w stronę domu, nie spuszczać oczu z listowia, które na chwilę zamarło, jakby drapieżnik zastanawiał się nad następnym posunięciem. Wreszcie skończył się pas trawnika i pod nogami zazgrzytały kamyczki żwiru, łan sprężył się, gotując się do akcji. Teraz lub nigdy! Zagarnął Selenę w ramiona i popędził w górę schodów. Stare deski trzeszczały i dudniły pod nogami. l Kot wrzasnął na cały głos.

lij łan nie zatrzymał się, nie spoglądał za siebie, wbiegł do domu, lzatrzasnął drzwi i oparł się o nie bez tchu. Selena wyslizgnęła mu się lz ramion. Odwrócił się do niej, roztrzęsiony lękiem i gniewem. l - Co ty sobie myślałaś, u diabła?

w Selena stała nieporuszona. Patrzył oniemiały na zarumienione policzki, otoczone świetlistą aureolą nieujarzmionych kędziorów, na resztki uśmiechu w kącikach ust. - Co myślałam?

Gniew całkowicie go opuścił. Oczywiście, ona nie myślała i w tym był cały problem! Ujrzała czy też usłyszała coś, co przyciągnęło jej „wagę, więc podążyła tym śladem. Wszędobyłska, ciekawska Alicja w kramie czarów... Niczym pięcioletnie dziecko po prostu nie miała P°J?cia, ze naraża się na niebezpieczeństwo. Teraz, bardziej czując, mz rozumiejąc poruszenie lana, uśmiechnęła się drżącymi wargami.

- Maeve mówiła, że koty to miłe stworzonka. Że jak sieje głaszczce, to są takie mięciutki.

Ł& świstem wypuścił powietrze z płuc. Gniew na nic się zda - poza ^ właściwie nie czuł już gniewu. Przestraszyła go bardziej, niż ^ił, że to możliwe. Patrzył, jak stoi w leśnej gęstwinie niby księżycowy duszek na tle niezgłębionej czerni nocy i wyciąga szczupłą dłoń na powitanie dzikiego zwierzęcia - i coś w nim pękło.

Teraz podszedł bliżej i ujawszy maleńką dłoń Seleny, poprowadził ją do kanapy. Usiedli obok siebie. Selena spojrzała na niego z rozczulającą żarliwością niewinnej istoty, aż nie zdołał powściągnąć uśmiechu. Uczyniłaby wszystko, byle sprawić mu przyjemność. Czytał to w żarliwie pytających oczach. Jakże sprawić, by pojęła?

- Seleno, świat potrafi kryć w sobie wielkie zagrożenia. Zmarszczyła czoło.

- Ale żeby kotek...

- To nie był zwykły kotek, tylko dorosły żbik, dziki kot drapieżny. Mógł cię zabić. Rozumiesz?

Zerknęła w stronę okna i widział, jak w zaokrąglonych oczach pojawia się zrozumienie.

- Ten kot... mógł zrobić mi krzywdę? Zranić? Tylko za to, że chciałam go pogłaskać?

Nienawidził się za to, że niszczy jej wyobrażenia o przyjaznym świecie. Z goryczą myślał o jej rozczarowaniu, ale nie miał wyjścia. Musiała się nauczyć chronić sama siebie.

- Seleno, nie wolno ci nocą wychodzić samotnie na dwór. Pamiętaj! Oderwała spojrzenie od okna i podniosła na niego rozżalone oczy.

- Ależ ja zawsze wychodzę w nocy. Nie potrzebuję tyle snu co inni.

- Już więcej tego nie zrobisz!

Zdawała się rozważać w milczeniu jego słowa, wreszcie pokręciła głową.

- Tego nakazu nie będę przestrzegać.

Jan był tak oszołomiony, że nie od razu znalazł właściwe słowa.

- Nie będziesz wychodzić nocą, i basta! Zwilżyła wargi językiem.

- Owszem, będę.

Patrzył na nią bezradnie. Co ma teraz począć? Wydał jej wyraźny rozkaz, przemawiał tonem największego autorytetu, a ta filigranowa kobietka, która wierzyła, że to on własnoręcznie zawiesił księżyc Da niebie, odmówiła mu. Tak po prostu. Spokojnie, ale stanowczo.

Powiedziała: „Nie”!

- Seleno, ten zakaz ma na względzie wyłącznie twoje dobro. Skinęła głową.

- Och, jestem tego pewna. Ale uważam, że muszę sama szukać własnego dobra i zdecydować, na czym ono polega. To mój obowiązek.

Nie wiedział, co ma powiedzieć, jak ją zmusić do przestrzegania zasady, którą każdy normalny dorosły człowiek uznałby za oczywistą i rozsądną. Zresztą dotychczas wszyscy słuchali jego rozkazów. Wszyscy z wyjątkiem Seleny! Wreszcie wykrztusił:

- Doskonale. Wychodź, ale nie rób tego samotnie. Zastanawiała się przez chwilę.

- Tego nie mogę obiecać.

- Nie? A to czemu?

Rzuciła mu przelotny uśmiech i podniosła ręce w geście oznaczającym bezradność.

- Czasami księżyc mnie przyzywa...

- Jak mam to rozumieć?

- Czy ty nigdy tego nie widziałeś - srebrzystego blasku na kamieniach plaży? To olśniewający widok! Fale mienią się czernią, srebrem i błękitem i biegną ku tobie jak żywe. Czasami otwieram nocą okno, wciągam zapach słonej bryzy i... zew księżycajest wtedy nieprzeparty!

Jej oczarowane oczy i zmysłowy szept sprawiły, że utracił grunt pod nogami. Nie będzie okrutnikiem, który odbiera nieświadomej wszelkiego zła Alicji jej krainę czarów. Może jedynie czuwać przy Jej boku, strzec jej i chronić. Selena wygrała!

Westchnął.

- Cóż, miałaś nie lada przygodę... a teraz czas do łóżka. Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Przygoda była wspaniała! Dziękuję, że mnie obroniłeś przed wielkim, drapieżnym kotem. Słyszac jej poważny głos, ledwie zdołał opanować rozbawienie.

- Zawsze do usług!

Uśmiechnęła się od ucha do ucha i w podskokach podążyła do „^wi. z dłonią na mosiężnej gałce zatrzymała się nagle i odwróciła do niego.

- Jutro razem z Maeve wyrządzam przyjęcie. Czy nie zechciałbyś słę do nas przyłączyć?

- Wyrządzasz... ach, pewnie „urządzasz”?

„No, tak. Ojej, znowu te słowa!

- Jakie przyjęcie?

- Taki mały piknik - herbatka i biszkopty. Zaczynamy o trzeciej po południu w mojej sekretnej kryjówce w zagajniku. Nie potrafil jej odmówić.

- Doskonale, Seleno. Przyjdę.

Obdarowała go jeszcze jednym promiennym uśmiechem i wybiegła w podskokach z pokoju, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi. Wsłuchiwał się w cichnący tupot bosych stóp na trzeszczących schodach i uśmiechał do siebie odbiciem jej żywiołowego uśmiechu. Wreszcie zachichotał pod nosem.

Niech ją diabli porwą! Ależ to niewiniątka miało żelazną wolę!

Jan stał na skraju zagajnika, wsłuchany w przytłumione strzępy rozmowy, płynące z serca szmaragdowej gęstwiny. Od czasu do czasu wśród liści rozlegał się radosny kobiecy śmiech.

Czuł się jak głupiec, stojąc tak w absolutnym bezruchu, podsłuchując... ale nie potrafil zmusić nóg, by ruszyły w głąb zarośli.

Herbatka z moją matką, pomyślał. Cóż to będzie za koszmar.

Wreszcie przemógł niechęć i rozsunał krzaki, podążając krętą ścieżką zasypaną zeszłorocznymi liśćmi i igłami. Była tak wąska, że niemal ocierał się o omszałą korę drzew. Wreszcie skręcił na prawo, przeskoczył kłody, które zwałił niegdyś potężny wiatr i brodząc między grzybami i paprociami dotarł do kryjówki Seleny.

Widok, który ujrzał, sprawił, że znowu zastygł w miejscu, niezdolny się poruszyć.

Maeve i Selena siedziały przy małym, owalnym stoliku, nakrytym serwetą w wielobarwne wzory. Przyjrzał się uważniej i pojął, że to stara kapa na łóżko. Długie fałdy poniewierały się jaskrawymi falanami barw na wilgotnej ściółce. Kobietom towarzyszyli osobliwi, milczący biesiadnicy: na głazach i pieńkach otaczających stół sterczały wybrane trofea myśliwskie jego ojca. Śnieżna sowa o wytrzeszczonych niemym pytaniem oczach opierała się skrzydłem o borsuka, którego pyszczyk zastygł na wieki w krwiożerczym grymasie, a zakrzywione drapieżnie łapki daremnie łyły coś w pustym powietrzu. Na płaskim kamieniu po drugiej stronie stolika przytulały się do siebie wypchane pawie. Nieruchome, szklane oczka utkwiły w nieco zakalcowaty

placku, królującym wśród cząstek jabłek i ciętych kwiatów porzucanych wokół talerza z ciastem w kolorze... purpury! Ujrzawszy lana, Selena uśmiechnęła się i klasnęła w dłonie.

- Przyszedł, Maeve, przyszedł! Popatrz sama!

Maeve z wolna obróciła głowę i rzuciła mu puste spojrzenie, na widok którego poczuł znajome ściskanie w dołku. Potem matka bez słowa pochyliła się do wypchanego kojota, który siedział jej na kolanach i wsunęła mu do pyszczki kęs ciasta, łan jęknął.

Selena poklepała pusty pień obok siebie.

- To miejsce przeznaczyłam dla ciebie. Chodź i usiądź koło mnie! Z ociąganiem przysiadł się do dziwacznej uczty. Selena teatralnymi gestami nalała mu herbaty i ukroiła kawałek ciasta. Postawił ostrożnie kruchą porcelanową czarkę na kolanie i zapatrzył się w bursztynowy płyn - zimny jak lód. Maeve machnęła lekceważąco ręką.

- Och, postaw filiżankę obojętnie gdzie! Mój mąż uwielbia pudding chlebowy. Selena podniosła na nią oczy.

- Naprawdę? Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek jadła coś takiego jak pudding chlebowy. Być może spróbujemy go w kratce... wkrótce?

Łan łypnął na nią spode łba i upił mały łyk słabego, pozbawionego smaku naparu.

- Nie powinnaś jej wspierać, kiedy snuje te swoje chore fantazje, wiesz?

Uśmiech spełzył z oblicza Maeve. Zaciśnęła wargi w bolesnym grymasie i przytuliła do piersi wypchane zwierzątko, kołysząc je z gorączkową czułością. Selena spojrzała na lana.

-• O co ci chodzi?

- Zachęcasz ją do pogrążania się w obłędzie. Kiedy ją nachodzi ^n stan, powinna przebywać w swoim pokoju.

- Przebywałaby tam za często!

- Trudno.

Selena popatrzyła mu prosto w oczy i powoli odstawiła filiżankę. •an poprawił się na pieńku. Czuł rosnące zakłopotanie. „‘ Czemu się tak wpatrujesz? ‘ Sprawieś, że przestała się uśmiechać.

Prychnął lekceważąco.

- Moja obecność często tak na nią wpływa! Selena z naganą ściągnęła brwi.

- To żaden powód do dumy!

- Nie twierdę, że jestem z tego dumny... powiedziałem tylko, że często tak wpływam na swoją matkę. Stwierdziłem prosty fakt, więcej.

Zagryzła wargi.

- Nie sądzę, by to było takie proste. Z brzękiem odstawił filiżankę.

- Chyba powinienem sobie pójść. Najwyraźniej zepsułem \v zabawę.

- Co by ci szkodziło poudawać?

Spojrzał na nią spod przymrużonych rzęs i ponownie uderzył wyraz jej oczu: szeroko otwartych, szczerych, niewinnych. 1^ rozumiała go, nie rozumiała świata, nie znała zastarzałej historii krzywd, które



nienawistną siecią oplatały syna i matkę. Wiedział tylko to, że łąn ma wolny wybór, że mógł zdecydować się ranić Maeve albo nie czynić tego. Nie pojmowała, czemu w takim razie niepotrzebnie nie wybiera tę drugą możliwość.

Przejrzał się w jej oczach jak w lustrze niewinności i poczuł s istotą brzydką, mamą i małostkową. Selena go uwielbiała od pierwsz chwili, gdy spoczęły na nim jej ledwie zbudzone ze snu oczy - a dał jej właśnie dowody, że jest niegodny tego honoru.

Jakaś cząstka jego natury czuła zadowolenie, że pozbywa się lada ciężaru - obowiązku dorastania do jej oczekiwań. Mimo to duś wypełnił mu smutek. Jakby utracił jedyną szansę. Zasiadając owalnym stoliku w leśnej głuszy nie wiedział, że otworzy się p nim taka szansa. Możliwość, która już się nie powtórzy. Musi t wyciągnąć rękę, by ją pochwycić, by ją zatrzymać...

- Czego ode mnie chcesz, Seleno?

- Chcę, żebyś został.

Jaka prosta odpowiedź! Jest tylko czarne i białe, dobro i zło. Zosta albo odejdz. W świecie widzianym oczami Seleny nie było szarych odcieni - grubiaństwa do przyjęcia, bólu do zniesienia... było dobro i zło.

Pożałował, że nie potrafi odszukać w swojej duszy tej niewinnej ostrości widzenia, owego dawno zagubionego kompasu moralnego. Selena szepnęła z zachęcającym uśmiechem:

- Powiedz tylko, że się zgadzasz!

Tak łatwo...

Uśmiechnął się półgębkiem i przysunął bliżej do stołu. Potracił kolanami krawędź blatu, aż zabrzęczała porcelanowa zastawa. Maeve poderwała głowę.

- To łąn! - rozejrzała się nieprzytomnie. - Nianiu, proszę zaraz iść i ukołysać go. Ząbki mu się wyrzynają, dlatego jest taki niespokojny.

- Ja po niego pójde, Maeve. - Selena pospieszyła z krzepiącym zapewnieniem. Starsza kobieta zmarszczyła czoło, nerwowo zując dolną wargę i kołysząc wypchane zwierzątko.

- Kiedy ja go dotykam, wybuchają płaczem. -W jej oczach zalśniły Izy. - Czemu tak płacze? Selena patrzyła na nią łagodnie.

- Może cię nie poznaje?

Maeve roztargnionym machnięciem dłoni odpędziła wymagowaną muchę.

- Woda w wanience jest za gorąca! Przynieście wino!

łąn zamknął powieki i zgarbił się nad stołem, opierając na nim łokcie, aż kulawe nóżki zakołysały się niebezpiecznie. Maeve z głośnym okrzykiem zerwała się na nogi i zadzierając spódnice, rzuciła zalęknione spojrzenie za siebie, po czym skoczyła ku łąnowi, wyciągając dłonie w błagalnym geście. Powykręcane palce wczepiły się w jego przegub i pociągnęły z całej siły.

- Nie mogę znaleźć mojego dziecka! - Spojrzała na niego szklistymi oczami. - Pomóż mi odszukać syneczka...

W myśli łąna wdarła się przeraźliwa wizja. „Moje dziecko. Och, Boże jedyny, moje dziecko! Herbert na pewno zechce zobaczyć syna!” „ezradne słowa tłukły mu się po głowie, wirując w niekończącej się, Monotonnej litanii. Potem napłynęły obrazy: bezkształtne odbicia Panicznych myśli.

Popłoch. Lęk. Rozpacz.

Emocje matki zalewały go, wsysały w potężny wir. Czuł jej panikę jak swoje uczucie, aż serce przyspieszyło rytm uderzeń do opętanego galopu.

I nagle ujrzał ją przez czerwoną zasłonę bezsilności: siedziała przy ^ybotliwym stoliku na polance wśród drzew. Jego matka. Była tam,

pod duszącymi warstwami demencji i obłądu, przez cały czas czekała na niego, słyszała jego głos, potrzebowała go!

Nieoczekiwana wizja całkowicie go oszołomiła. Nigdy nie sądził, iż jest choćby marginalnie świadoma rzeczywistości, gdy miota się, zagubiona w otchłani szaleństwa. Teraz poznał prawdę. Była tam przez cały czas, błąkała się w zwodniczym labiryncie, bohatersko, acz daremnie odpierała kłamliwe szeptu własnych urojeń, brnęła pośród kalejdoskopowych odprysków wizji zrodzonych w opętanej wyobraźni. Tkwiła tam,

osaczona przez własne szaleństwo - maleńka, przerażona i samotna.

- Matko?!

Podniosła na niego oczy i zamrugwała niepewnie. Przez ułamek sekundy uwierzył, że zaraz go ujrzy, że przemówi do niego rozsądnymi słowy. Z nadzieją zerwał się na nogi i stanął tuż przy niej.

Znowu odpędziła machnięciem nieistniejącą muchę i potrząsnęła głową, jakby usiłując rozpedzić mgłę.

- Ulewa zaleje ulęgałki.

Wypuścił powietrze z płuc i czekał na znajome uczucie odrazy. Ku jego całkowitemu zaskoczeniu jedyną emocją, jaka wypełniła mu serce, było bezbrzeżne współczucie. Spoglądał na matkę z nową dla siebie tkliwością. Maeve wyrwała się z jego objęć i podreptała z powrotem na swoje miejsce przy stole, łan stał jak skamieniały. Był zbyt oszołomiony, by zdecydować się na jakikolwiek ruch. Wtem znalazła się przy nim Selena. Łagodnie pogłaskała go po ramieniu.

- Niedługo znowu stanie się sobą. Może zechciałbyś napić się jeszcze trochę herbatki?

Mało brakowało, a wybuchnąłby śmiechem. Odwrócił się i spojrzał na dziewczynę, strzelistą, dumnie wyprostowaną, oszalałomiaczko piękną w koronie potarganych kędziorów wokół twarzy. Uśmiechała się. Ona zawsze się uśmiechała.

Nagle zrozumiał z pewnością, jakiej nie czuł jeszcze nigdy w życiu, że mógłby pokochać tę kobietę. Nie tamtą, którą sobie wymarzył-stworzył w własnej wyobraźni i ocalił wbrew rozsądkowi, lecz t? żywiolową istotę, która stała obok niego z zagadkowym, dobrodusznym<sup>®</sup> uśmiechem na ustach. Która w ciągu zaledwie dwóch dni postawił<sup>3</sup> na głowie cały jego dotychczasowy świat.

Cofnął się nagle, przestraszony jej bliskością i własnymi myślami<sup>01</sup>

W normalnym świecie takie rzeczy po prostu się nie zdarzały, a jeśli i już, to tylko innym mężczyznom, nie jemu, nie łanowi Carrickowi. Dobro spotykało tylko dobrych, którzy na nie zasłużyli, on zaś nie miał nic wspólnego z dobrocią.

- Teraz będę robić naszyjnik z jabłek i kwiatów - oznajmiła Selena. - Czy nie chciałbyś mi pomóc?

Zerknął na jabłka i kwietne pąki porozrzucane na stole i uśmiechnął się. Jezusie słodki, naszyjnik z jabłek! Wkroczył w całkiem nowy, nieznany świat.

Sklonił lekko głowę.

- Jeżeli tylko ty tego chcesz...

- Och, łanie! - zaśmiała się gardłowo. - Zawsze chcę, byś przy mnie był. Czuję do ciebie miłość.

Te prostolinijne, dziwnie sformułowane oświadczenia zaskoczyły go do tego stopnia, że stanął jak wryty. Pierwszy raz usłyszał, że ktoś głośno deklaruje miłość do niego!

## 16

Ian stał przy oknie sypialni i z góry -jak Zeus, śledzący z wyżyn Olimpu poczynania śmiertelników - obserwował zamieszanie na frontowym gazonie. Szarpnął oporną framugę. Przeciągłym skrzypieniem przypomniała mu, że upłynęło wiele dni od czasu, gdy ostatni raz otwierał okno.

Na dole bawiono się isticie szampańsko. Johann i Lara, dusze towarzystwa, przechadzali się ramię w ramię po zwirowanym podejździe. Gestykułująca z podnieceniem Doty podążała ich śladem za drzewami, przemykając od pnia do pnia. Maeve podskakiwała za nimi, to wywracając koziołka, to wybuchając słodkim, melodyjnym śmiechem. Królowa kroczyła dumnie i wyniośle, łaskawie kiwając ręką do niewidzialnych poddanych.

Tuż za nimi serią wspaniałych fikołków przecięła trawnik Selena w tumanie fruwających spódnic. Zerwawszy się na nogi, zaczęła klaskać w dłonie i kręcić piruety, aż zdyszana opadła na trawę i leżała, zaśmiewając się do rozpuku. Naszyjnik z jabłek i tulipanów przekrzywił się komicznie. Oderwał się od niego pojedynczy płatek i sfrunął na szmaragd gazonu jak śnieżnobiały ptak.

Selena krzyknęła coś, ale łan nie zrozumiał jej słów, natomiast wszyscy uczestnicy zabawy zgromadzili się na ganku i zaczęli<sup>11</sup> wywracać zbiorowe koziołki w poprzek trawnika. Nad roześmiana czeredą czuwało słońce, jak pocziwy ojczulek nad igraszkami<sup>11</sup> dzieciarni. Refleksy światła złociły wielobarwne stroje i rozpuszczoii<sup>6</sup> włosy. Aż pod niebo unosiły się wybuchy podnieconego śmiechu.

łan starał się wzbudzić w sobie znajome uczucie odrazy w obliczu tego spektaklu obłędu, ale ku swemu

zaskoczeniu nie zdołał tego zrobić. Zamiast tego czuł, jak kąciaki warg unoszą mu się w mimowolnym dobrodusznym uśmiechu. Właściwie co było bardziej normalne -tarzać się na trawie w ciepłe popołudniowe słońca czy ukrywać jak puszczyk przed światłem dnia w mrocznej sypialni i umartwiać bolesnym poczuciem osamotnienia?

Raptem Selena zadarła głowę i spojrzała w górę. Kiedy ich oczy spotkały się, wyczytał w jej wzroku serdeczne zaproszenie i odkrył, że nie potrafi mu się oprzeć. Pomachała do niego. Johann tymczasem zebrał towarzyszy i poprowadził ich w kierunku plaży, łan poczuł, że bardzo chce przyłączyć się do nich. Oczywiście mógłby udawać obojętność i zmusić się do pozostania w domu, ale pogardzał udawaniem, a prawda była taka, że w tej chwili gorąco pragnął być z nią.

Zasunął okno i odwrócił się do drzwi. W pamięci przesuwały się obrazy dnia wczorajszego - wspomnienia ciepłych, wzruszających chwil. Zdumiewające, ale okazało się, że to Johann miał rację! Selena otworzyła mu oczy na możliwość wyboru, jakiej dotąd nie podejrzewał, a wystarczyło jej do tego zaledwie kilka prostych słów i uśmiech.

„Czuję do ciebie miłość, łanie!”

Wciąż słyszał w myślach echo jej słów. Towarzyszyły mu przez długie godziny bezsennej nocy w samotnym łóżku, wciąż nabierając większej mocy i słodyczy, obiecując magiczne przeżycia, o jakich nawet nie śnił... przyszłość, z jakiej już dawno zrezygnował.

Chwycił koszulę z krzesła i ubrał się pospiesznie, rozgorączkowany Jak dzieciak, któremu po długim zamknięciu pozwolono wreszcie wyjść do rówieśników. Zbiegł na dół i wypadł na rozświetlony słońcem dziedziniec. Poczuł na twarzy ciepło promieni. Rzucił się w pogoń za resztą przez chłodny cień zagajnika, kierując się tropem Kh śmiechu.

Gromadka jego podopiecznych siedziała na plaży w nieregularnym „•”, „egu. Była pora przyływu i morze cofnęło się w głąb bastionu Stażów, omywając szarobure powierzchnie rozpryskami piany. Za unią przyboju rozciągała się spokojna toń zatoki, lśniąc w promieniach ^ońca jak tafla wypolerowanej stali.

‘ohann pólleżał na niebieskim kocu, opierając głowę na splecionych na karku ramionach. Lara klęczała nad sadzawką, utworzoną w za głębieniu między skałami. Odłożone na bok wiaderko turlało się po obłej, oślizgłej od porostów powierzchni głazu, lada chwila grożąc że spadnie do wody. Maeve stała wpatrzona w morze, dłonią osłaniając oczy przed jaskrawym słońcem. Niewątpliwie znowu czekała na powrót męża.

- O, powraca syn marnotrawny - przeciągając głoski, zakpił Johann i podźwignął się leniwie na łokciach. Płynnym gestem odgarnął kosmyk z czoła i uśmiechnął się przyjacielsko. - Witaj, łanie!

- łan? - Selena odwróciła się gwałtownie. Kiedy spotkały się ich spojrzenia, obdarowała go najpromienniejszym z uśmiechów. - łanie, przyszedłeś!

Jej głos - ściszony do szeptu, lecz może dlatego właśnie nieodparcie uwodzicielski - sprawił, że na twarz łana oblała łuna. Tymczasem Selena wskazała na wiklinowy koszyk: - Mamy zamiar urządzić piknik. Przyłączysz się do nas?

Usta łana wygięły się w uśmiechu.

- Z rozkoszą!

Jto wielu godzinach wspólnej zabawy Selena i łan pozostali ni plaży jako ostatni. Posiłek dawno już zniknął w wygłodniałyct żołądkach, wszystkie resztki zostały troskliwie uprzątnięte i odniesionej

Leżeli obok siebie na niebieskim kocu i wpatrywali się w niezmacona nawet chmurką błękit nad głowami, a dokoła nich poniewierały s w nieładzie książki. Selena szepnęła nieco sennie:

- Opowiedz mi jeszcze jakąś historię...

Uśmiechnął się. Chwytała w lot wszelkie teorie i pojęcia, z niezwyk wprost bystrością odnajdując dla nich nowy, zaskakująco trafny pun widzenia. Czytał jej fragmenty Biblii, wybrane mity greckie, na desi zaś kilka baśni braci Grimm. Ulubieńcami okazali się jednak po6 romantyczni. Ich wierszy wciąż nie było jej dość.

- Wiesz, znam opowieść o Pandorze... stanowi swoistą wersjfl biblijnej przypowieści o Adamie i Ewie. Pandora została stworzon przez bogów jako pierwsza kobieta, a Jowisz wykorzystał ją, by ukai’3 Prometeusza - herosa, który wykradł ogień z niebios.

- Pierwsza kobieta miała ukarać mężczyznę? Spodziewał się, że zwróci uwagę na ten szczegół.

- Widzisz, Pandora została stworzona w niebie i każdy bóg przyczynił się do jejabsolutnego piękna i

doskonałości. Potem posłano ją na ziemię i została przyjęta przez Epimeteusza, wbrew ostrzeżeniom, że dary Jowisza mogą okazać się przewrotne. Tenże Epimeteusz przechowywał w domu dzban, w którym zamknięto wszystkie paskudztwa, niegodziwości i choroby świata...

- Powinien go po prostu wyrzucić! I on stłumił uśmiech.

- ...Pandora była kobietką ciekawską... - urwał i zerknął filuternie na Selenę. - Ciekawska to taka pannica, która wymyka się nocą z domu, słysząc zew dzikiego zwierzęcia. Powracając do naszej historii: pewnej nocy Pandora zakradła się do komnaty, gdzie stał dzban i otworzyła pokrywkę, wyzwalając w ten sposób wszelkie zło, które rozpełzło się po ziemi. Ujrzawszy skutki swojej nierozwagi, szybko zamknęła dzban, ale było już za późno... a w naczyniu została jedynie nadzieja.

Selena przetoczyła się na brzuch i podparła na łokciach, spoglądając na Iana z marsem na czole.

- Więc wypuściła zło, ale nie dała światu nadziei?

- Tak powiada mit. Zastanawiała się przez chwilę.

- Patrz, a podobno to ja mam uszkodzony mózg! Nie podoba mi się ta historia.

- Istnieje inna wersja: Jowisz zesłał Pandorę w dobrej wierze. Niosła ludziom puszkę, w której zamknięto błogosławieństwa zebrane przez wszystkich bogów. Niestety, wściebka kobietka otworzyła naczynie i wszystkie uleciały - z wyjątkiem nadziei.

Selena uśmiechnęła się.

- To już bardziej sensowne. Kto wkładałby nadzieję, tak drogocenny ual'. do puszek pełnej paskudztw i zła? - Pokiwała głową. - Tak, Pandora została stworzona, żeby pomagać, a nie po to, by karać. Miała być podporą mężczyzny.

wyciągnął dłoń, by odgarnąć z jej czoła potargane kędziory. Za to P^elotne dotknięcie - pieszczotę, którą ofiarował przed nią tak wielu

„Ile to - wynagrodziła go słodkim uśmiechem. Jakże wiele znaczyły

a O'ej drobiazgi: muśnięcie dłoni, uśmiech, przyjazne spojrzenie.

^clena opadła z powrotem na koc.

- Opowiedz mi jeszcze coś.

Sięgnął na oślep po pierwszą z brzegu książkę i kiedy ją otworzył, okazało się, że trzyma opowieść o Tristanie i Izoldzie. Czytał jej przez prawie godzinę bez przerwy, a w tym czasie słońce zdążyło zatoczyć pełen gracji łuk w swej wędrówce ku morskiej toni. Słowo po słowie, linijka po linijce snuł historię mężczyzny, który, schwytany w pułapkę honoru, musiał pojąć za żonę niewłaściwą kobietę; i historię żony, która, będąc z natury dobra, za podszeptem złośliwej wiedźmy pogrzeżyła się w zazdrości o drugą kobietę.

Kiedy skończył, odwrócił się ku Selenie i ujrzał, że płacze. Srebrzyste łzy spływały z kącików oczu, ściekając strużkami po pobladyłach skroniach. Odezwała się zdławionym głosem:

- To bardzo smutne... Czemu żona Tristana go okłamała?

- Bo była zazdrosna o jego wielką miłość do królowej Izoldy. Jej zazdrość kosztowała Tristana życie. Umarł, trapiiony goryczą, że ukochana opuściła go w największej potrzebie.

- Ale czemu od razu nie poślubił tej, którą kochał?

- Był człowiekiem honoru i dlatego musiał ponieść taką ofiarę. Otarła łzy z oczu i zapatrzyła się na Iana. Do wilgotnych policzków przykleiły się faliste kasztanowe kosmyki.

- Już kiedyś wspominałeś to całe „poczucie honoru”, ale ja tego nie rozumiem.

- To coś dotyczącego właściwie bardziej mężczyzn niż kobiet. Zmarszczyła czoło.

- To chmura!

Zaśmiał się dobrodusznie.

- O rety, znowu się pomyliłam! Przepraszam, chciałam powiedzieć, że to bzdura. Czy to takie ważne, by zachować się z honorem? Naiwne pytanie otworzyło w nim otchłań goryczy.

- Pytasz nieodpowiedniego człowieka, Seleno, boja nigdy w życiu nie zachowałem się z honorem.

- Powiedz, co to jest „honor”?

- To po prostu cecha człowieka moralnego, który żyje tak, by nie ranić innych, przynajmniej celowo i świadomie. Który dotrzymuje obietnic i nigdy nie kłamie.

- I powiadasz, że ty nie jesteś człowiekiem honoru? Prychnął drwiąco.

\*^Nie. Wprost przeciwnie, bywałem odstręczająco, obrzydliwie niehonorowy. Czasami robiłem coś mając na celu wyłącznie czyjaś la7,vwdę... no, a dotrzymywanie obietnic to nigdy nie była moja mocna strona. Zniżyła głos do szeptu.

- Czemu mi mówisz to wszystko?

Nachylił się ku niej tak blisko, że niemal zatracił się w przepastnej głębi zagadkowych oczu.

- Chciałem cię ostrzec, Seleno, żebyś przestała mnie idealizować. Nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem. Poczł coś na kształt rozdrażnienia, słysząc, jak beztrósko przyjmuje jego poważne oświadczenie.

- Ależ, lanie, ja cię nie idealizuję! Ja czuję do ciebie miłość... zdaje mi się, że to zasadnicza różnica, prawda?

Poczł się jak głupiec, ale jednocześnie zrobiło mu się niewypowiedzianie lekko na sercu.

- Powiedz, czy zawsze musisz mówić prosto z mostu, co myślisz i czujesz? Pogładziła go po policzku w przelotnej pieszczocie.

- Nie mogę przecież mówić tego, co myślisz i czujesz ty.

- Och, Seleno... - Westchnął, a ona podniosła uśmiechniętą twarz, na której strużka niedawnych łez wiła się wilgotnym śladem po umorusanych piaskiem policzkach. Popatrzył na potargane włosy, z których sterczały zeschnięte liście i świerkowe igły, na absurdalny Jabłkowo-kwietny naszyjnik i pomyślał, że nigdy nie wyglądała bardziej czarująco. Zdał sobie sprawę, że dotychczas nie rozumiał istoty piękna ani nie czcił go tak jak w tej chwili, patrząc na kogoś, kto olśniewał przede wszystkim urodą duszy.

- Jesteś... skończenie doskonała- szepnęła.

- Nie. Jestem uszkodzona.

2 chęcią spoliczkowałby siebie za słowa, których nauczyła się od „togo.

„, Seleno, masz wszystkie cechy pięknej osobowości -jesteś dobra, ^a, troskliwa, kochająca i uczciwa. Nie pozwól, by świat - czy

•^et ja sam - obrabował cię z optymizmu, który przepełnia twoje

^rce.

-otuliła się do niego.

- Sądzisz, że coś takiego można ukraść? To strasznie dziecinne lanie... głupiutkie!

- Ale...

- A ty jesteś człowiekiem honoru. Przecież zostałeś lekarzem po to, by ratować ludziom życie - czy to nie było honorowe? Dotykałeś mnie, chociaż bałeś się tego - to z pewnością oznaka honoru - przytuliła się bliżej, tak blisko, że z łatwością mógłby ją pocałować. Człł na wargach jej ciepły oddech, a w duszy niemal bolesną tęsknotę za całkowitą bliskością. - Ty i ja jesteśmy tacy sami.

Siedział jak zahipnotyzowany. Ta kobieta władała nie lada magią!

- Co masz na myśli?

- Może byłem złą kobietą - przedtem, zanim doznałam urazu mózgu? Ale nie dbam o to, jaka byłem, obchodzi mnie tylko, jaka się stanę. Przyszłość jest przecież ważniejsza od przeszłości.

- Przyszłość... - wyszeptał słowo, które budziło w nim respekt i obawę. Ach, ten straszliwy bezmiar nadziei, ta nieprzeparata moc pragnień! Przez lata całe wzbraniał sobie myśli choćby o jutrze - co dopiero mówić o całej przyszłości! Teraz zaś ta olśniewająca kobieta mówiła mu, by uwierzył w przyszłość, sięgnął po nią i zaufał jej. By uwierzył w samego siebie.

- Ja zrobię początek przy tobie, lanie - rzuciła mu z rozbijającym spojrzeniem, uklękała i ujęła jego dłoń.

- Będę uczciwa i honorowa... zawsze. Czy i ty przysięgasz to samo?

Dźwignął się na kolana obok niej.

- Być uczciwym - to jeszcze w miarę łatwe. Ale być honorowym... och, to piekielnie trudne zadanie! Nie spuściła płonących żarliwą szczerością oczu.

- Ja się nie złamię.

Zagarnęła go fala lęku, lecz kiedy ustąpiła, poczył uniesienie płynące z nadziei. Tak, Selena miała rację - wiedział o tym, czm to. Wiedział już od dawna, że moralność, honor, optymizm t0 kwestia wyboru. Niegdyś, dawno temu, wybrał źle i skręcił n błędną drogę. Czy znajdzie w sobie siłę, by zmienić kierunek wędrówki?

- To nie takie trudne, lanie. Obiecaj tylko, że spróbujesz. , Wiedział, że przegra, tak jak przegrywał dotąd

zawsze. Ale w

magicznej chwili nie potrafił się jej przeciwstawić ani odmówić samemu sobie ostatniej nadziei na uratowanie duszy.

- Dla ciebie, Seleno... spróbuję.

Psst!

Sepleniący szept zdawał się dochodzić z wielkiej oddali, z trudnością przebijając się przez osnowy snu. Poruszył się lekko i wcisnął twarz w puchową poduszkę.

- łan, psst! Zapomniałeś nauczyć mnie grać w krykieta! Zamrugał, czując piasek niewyspania pod powiekami, i wytrzeźwiał do reszty.

- Co...

Na brzegu łóżka siedziała Selena, pochylona tak nisko, że jej twarz znalazła się o kilka zaledwie centymetrów od niego. Płomień świecy pełgał złotawym blaskiem po jej czole, spod którego w łana wpatrywały się te niepojęte brązowe oczy. Jej usta drgały w gotowości do uśmiechu. Widząc, że się budzi, powtórzyła:

- Obiecałeś nauczyć mnie grać w krokieta.

Zmarszczył czoło i przetarł oczy. Wydało mu się, że jednak jeszcze śni i mocą sennego pragnienia sprowadził ją w samym środku chłodnej nocy.

- Jutro...

- Ale powiedziałaś, że to będzie dzisiaj. Już wkrótce wybiję północ, a Johann objaśnił mnie, że wtedy właśnie kończy się dzień.

- Johann, ten geniusz? Co on ma z tym wspólnego?

- Pomógł mi rozstawić bramki do gry na podwórku z tyłu domu.

łan podparł się na łokciach i spojrzał na nią niedowierzająco. °dziana jedynie w powiewną batystową nocną koszulę siedziała przy trojak zwinnie ptak, gotów poderwać się do lotu za łada skinieniem.

yrkztusił z zachrypniętego gardła głosem, który, jak miał nadzieję, Obrzmiął dostatecznie rozkazująco:

• Do łóżka, Seleno.

„rzuciła kołdrę i wsunęła drobne, bosc stopy pod przykrycie.

- Ooskonale!

„zytuliia się do niego. Przez chwilę leżał jak sparaliżowany, nie

8^c nawet zaczerpnąć tchu. Czuł ciepło bijące od jej ciała i prężne

członki przy swoich. Serce zaczęło tłuc mu się w piersi oszalałym rytmem, a na czoło wystąpiły krople potu. Nikt jej jeszcze nie wyjaśnił że niewinne dziewoje nie powinny zakradać się do łóżek szaleńców. łan - człowiek honoru. Człowiek, który dał obietnicę... Poderwał się i w gorączkowym pośpiechu zrzucił kapę na podłogę.

- Dobrze, chodźmy uczyć cię grać w krokieta!

Nie poruszyła się.

Z ociąganiem spojrzał w dół, na leżącą nieruchomo sylwetkę zwieńczoną burzą kasztanowych kędziorów na wyłoczonej płomykiem świecy poduszce. Pod rąbkiem dekoltu rysowały się łagodne pagórki piersi. Spojrzał w jej oczy i zaniemówił na widok niezziemskiego spokoju w brunatnych tęczęwkach.

- Wiedziałaam, że dotrzymasz obietnicy - szepnęła gardłowym, lekko zachrypniętym głosem.

Jezusie przenajświętszy, jakże pragnął jej dotknąć! Jej skóra w migotliwym blasku świecy wabiła miękkością kwiatnych płatków. Z ledwością stłumił nabrzmiały namiętnością jęk, zacisnął pięści i wbił wzrok w kuszące ciało. Wreszcie zmusił się, by odwrócić oczy:

podszedł do okna i utkwiał spojrzenie w mętnej szybie, czekając, aż odzyska równowagę, a wraz z nią spokojny oddech. Za plecami usłyszał ciche skrzyknięcie łóżka i tupot bosych stóp na deskach podłogi. Selena stanęła tuż za nim i czekała cierpliwie. Instynktownie zeszywniał z napięcia. Proszę, nie dotykaj mnie. Proszę, przemknęła mu przez głowę rozpaczliwa petycja skazańca oczekującego na ogłoszenie wyroku.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Kiedy pójdziemy?

Przez ułamek sekundy nie ruszał się. Czuł ciepło płynące z jej pąków, wzywał pomocy boskiej i zbierał wszystkie siły, by wreszcie z tłumionym sieknięciem okręcić się na pięcie i pobiec po spodnie, które wieczorem rzucił na oparcie krzesła. Pospiesznie precisiw stopy przez czarne, wełniane nogawki i zapiął guziki, chwycił P<sup>o</sup> gnieciony wełniany płaszcz i narzucił go na ramiona, przez cały ten czas starannie omijając wzrokiem dziewczynę.

- Ty też powinnaś ubrać się ciepłej. Załóż jakiś płaszcz. Zaśmiała się tym charakterystycznym, lekko zachrypniętym snu chem, który rozpałał w nim zmysły nie gorzej niż jej dotyk.

- Wezmę szale... chciałam powiedzieć żakiet, i spotkamy się na dworze.

Jan wyprysnął z pokoju jak oparzony i rzucił się w dół schodów. Pchnął drzwi prowadzące na tylną werandę i zaczął zachłannymi haustami pić rześkie, nocne powietrze. Zapiął płaszcz w ochronie przed chłodem i zszedł ze schodków. Młoda, wiosenna trawa ugięła się pod stopami. Pograżony w myślach, dopiero po chwili zwrócił uwagę na otoczenie i stanął jak wryty.

Prostokąt trawnika oświetlały przysadziste gromnice, ustawione w równych odstępach na jego skraju. W bezwietrznym powietrzu płomyki tańczyły i pulsowały na atramentowym tle lasu. Nad głową migotały gwiazdy na bezchmurnym niebie, a wśród nich żeglował księżyc jak sierp srebrzystosinego blasku, który odbijał się błękitnymi iskrami w metalowych bramkach porozstawianych na trawie. W oddali mruzczało sennie morze. Cała scena, stworzona przez kobietę, która wierzyła w baśnie i szczęśliwe zakończenia, tchnęła niewypowiedzianym urokiem i spokojem.

W ciągu minionych lat niezliczone razy stawał na tym ganku pod cienistym baldachimem wisterii pnącej się po słupkach na niski daszek i patrzył przed siebie. Ale widział jedynie prostokąt równo przyciętej trawy okolony drzewami. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że w gazonie drzemie iście magiczna sceneria, wystarczy ją tylko dostrzec.

Właśnie, kiedy przestał dostrzegać piękno kryjące się w zwykłym świecie? Bez walki utracił czy też pozwolił sobie odebrać zdolność wywoływania magii z otaczającej go codzienności - czemu? Nie musiał pytać, bo znał odpowiedź: otóż takiej zdolności w ogóle nie posiadał. Nawet będąc dzieckiem postrzegał świat chłodnym okiem rozumu... bardzo wcześnie nauczył się tego spojrzenia. Życie nie było aru sprawiedliwe, ani łatwe i miłe, więc skąd miał wpaść na pomysł, „Y stworzyć równie bajkowe miejsce?

Usłyszał skrzypnięcie drzwi.

- Jesteś gotów do gry? - Aksamitny głos opłynął go miękką falą

an 2dał sobie sprawę, że pomimo licznych wcześniejszych przygód kobietami w zetknięciu z tą dziewczyną jest na straconej pozycji. -'0 głębi poruszała go jej dziecięca ufność. W obliczu niezachwianej

^ w dobro czuł się bezbronny i pozbawiony kontroli. „Jesteś °w do gry?” - użyła tych słów, nieświadoma kryjącego się w nich

zmysłowego wyzwania. Przeszedł go dreszcz... choć wiedział, że dziewczyna nie zdaje sobie sprawy, jaką mogłaby otrzymać odpowiedź. Odwrócił się do niej.

Stała wyprostowana na stopniach werandy. Włosy zaplotła w gruby warkocz i przerzuciła go przez ramię, a na batystową koszulkę narzuciła bledożółty żakiet z lekkiej tkaniny, przejrzysty jak ślubny welon. Spod rąbka koszuli wystawały zabłocone, męskie buciory. Z uśmiechem sięgnęła do skórzanej teczki i nacisnęła zameczek, który odskoczył, odsłaniając wnętrze pełne starannie poukładanych kijków krokietowych i różnobarwnych kuł. Chwyciła ich pełną garść i z gracją spłynęła na zaimprovizowane boisko.

Przyjął od niej kijek i czerwoną kulę, po czym podał jej drugi kijek i wybrał błękitną kulę, a resztę odrzucił na werandę i odsunął się przezornie na bezpieczną odległość.

- Teraz...

Selena przysunęła się bliżej.

- Co teraz?

Znowu się odsunął, a ona postąpiła krok ku niemu.

- Seleno, wolałbym utrzymać między nami pewną odległość, o ile nie masz nic przeciwko temu. Podeszła bliżutko.

- Owszem, mam - zadarła brodę i posłała mu tak promienny uśmiech, że serce podskoczyło mu do gardła.

Zesztywniał i oblekł twarz w wymuszony uśmiech, żałując, że złożył przed nią tamtą wariacką obietnicę.

- Doskonale... zacznijmy więc - ścisnął kijek w garści i pochylił się nad kulą. Zademonstrował, jak należy celnym uderzeniem skierować kulę przez bramkę. Kiedy się prostował, zauważył, że Selena nie spuszcza z niego wzroku. Powiedział:

- Teraz twoja kolej.

- Pokaż mi, jak mam ułożyć dłoń na kijku.

Podszedł do niej z ociąganiem, a ona natychmiast odwróciła się plecami i pochyliła ku ziemi. Utkwił wzrok w smukłych plecach Lśnienie obnażonej skóry na karku przypomniało mu nagle, że p<sup>o</sup> zwiewną narzutką i cienką koszulką dziewczyna jest naga. I<sup>o</sup> stanąłby mu na przeszkodzie żaden gorset, stanik ani pantalon-

- łan?

Z wysiłkiem oderwał się od erotycznych wizji i przysunął bliżej. Ostrożnie otoczył ją ramionami i chwycił za przeguby, układając dłonie w prawidłowej pozycji na kijku. Pod jego dotknięciem dziewczyna westchnęła i zadrżała. Upomniął ją szorstko:

- Skup się! Uderz w kulę tak, by potoczyła się do bramki. Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, wypuściła kijek i odwróciła się ku niemu. Miał jej twarz, skąpaną w błogim uśmiechu, tak blisko, że przesłoniła mu cały świat. Nabrzmiała tęsknotą za pocałunkiem wargi drżały o milimetry od jego ust, a na brodzie czuł ciepło jej oddechu.

- Czemu mam się starać przetoczyć piłkę przez bramkę? Zaparło mu dech w piersiach. Jakaż była urocza, powabniejsza od wszystkich kobiet na świecie! Zmysłowa, uwodzicielska, czysta, a zarazem pożądana. Jakże mógł kiedykolwiek uważać ją za niepełną, uszkodzoną istotę? Z ledwością odzyskał głos i wykrztusił chrapliwie:

- Takie są zasady! Chciałaś, żebym cię nauczył w to grać.

- Ale chyba wolałabym pograć z tobą w coś innego, łanie... Wypowiedziała jego imię tak, że poczuł na plecach dreszcz podniecenia i zagubił się w tych szeroko otwartych oczach. Blask księżyca prześwitywał przez cienką tkaninę narzutki, znacząc srebrzystą linią kontury gibkiego ciała. Bezmyślnie musnął palcami koniuszek bujnego warkocza i patrzył, jak kosmyk cynamonowej barwy owija mu się wokół kciuka. Jak jedwabiste okowy, których nie miał najmniejszej ochoty zrzucić!

- Powinniśmy wracać do domu - powiedział prawdę, chociaż wolałby umrzeć, niż przerwać tę magiczną chwilę i wrócić do zimnego wyosobnienia swej sypialni.

- Nie chcę wracać. Chcę... - zawiesiła głos.

Poczuł podniecający zawrót głowy i spytał lekko zdyszany:

- Czego chcesz?

- Ciebie - szepnęła niemal niedosłyszalnie.

Jedno słówko, wypowiedziane cicho, lecz z jakimż przekonaniem!

-yrwało mu się mimowolne westchnienie. Czuł, że nie zdoła walczyć z <sup>^</sup>bą ani chwili dłużej! Pochylił się nad nią. Pierwszy pocałunek był zaledwie muśnięciem warg, które umknęły

-1<sup>^</sup> ust, zanim jeszcze zdążyła je poczuć. Usłyszał, że bierze

zdławiony oddech i ujrzał jej oczy pełne zaskoczenia. Niechętnie odsunął się, by dać jej czas. Spytała:

- Co to było? Pogłodził ją po policzku.

- To był pocałunek.

- Czemu to zrobiłeś?

- Bo bardzo tego chciałem. Ale nie powinienem był... Zmarszczyła czoło.

- Czemu bardzo tego chciałeś?

- Mężczyzna odczuwa... pewne potrzeby. - Podniósł na nią oczy, pragnąc jej tak mocno, że kolana się pod nim ugięły. - Nie chcę o tym mówić.

Uśmiechnęła się.

- Ja też.

- Ty też... co?

- Czuję w sobie takie potrzeby. Bardzo mi się to podobało. Jęknął rozpaczliwie, słysząc tak szczere



przyznanie.

- Och, Seleno... jakże jesteś naiwna i ufna. Mógłbym cię zniszczyć! Posłała mu radosny uśmiech.

- Ale tego nie zrobisz!

- Nie powinnaś mi ufać aż do tego stopnia - wyszeptał. - Nie jestem uczciwym mężczyzną! Zaśmiała się swobodnie.

- Lekarz to chyba łatwy zawód, co? Nie jest trudno nim zostać? Nieoczekiwana zmiana tematu zabiła go całkowicie z tropu,

choć powinien już się przyzwyczaić do skoków myślowych

Seleny.

- Czemu tak sądzisz?

- Bo czasami, lanie, wydajesz mi się taki... no, jakbyś miał uszkodzony mózg. Zaśmiał się mimowolnie.

- Seleno, nie bądź taka piekielnie powabna, kiedy ja staram si? zachować jak człowiek honoru! Musisz wiedzieć, że to okropnie niehonorowy czyn - uwieść skąpo odzianą dziewczicę w środku nocy'

- Co to jest dziewczica?

- Ktoś, kto nigdy... nie spał w jednym łóżku z mężczyzną. Ściągnęła brwi w zamyśleniu.

- A jeśli już kiedyś spałam z mężczyzną? Wtedy nie byłabym dziewczicą, i to byłoby całkowicie honorowe, gdybyś...

- Co?

Spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem.

- Co: „co”?

Zgiął się wpół, jakby potężny cios w splot słoneczny odebrał mu oddech. Jezusie najśłodszy, jak to się stało, że nie pomyślał o tym? Przyjął ze ślepą wiarą, że ma w jej osobie do czynienia z jeszcze jednym opuszczonym wyrzutkiem, samotnym, jak pozostali mieszkańcy Domu Zapomnienia! A jeśli jest mężatką? O Chryste! A jeśli ma dzieci?

Zakrył oczy dłonią.

- łan? Zrobiłeś mi strach...

Sam nigdy przedtem nie czuł takiego przerażenia! Przecież lada chwila może się zjawić ktoś, kto zechce mu ją odebrać. Powrócił myślą do niedawnej podróży, przebiegł wspomnieniem rzesze urzędników, którym zostawił jej opis, i poczuł w trzewiach mdlący ucisk lęku.

- Boże mój! Co ja zrobiłem, Seleno?!

Wspięła się na palce i musnęła jego policzek tak delikatnie i z taką miłością, że kiedy się odsunęła, poczuł, jak zbiera mu się na płacz.

- Pocałuj mnie jeszcze raz...

Chwycił jej ramiona i przyciągnął z taką siłą, jakby chciał ją wchłonąć w siebie, gdzie nikt jej nie dojrzy ani nie znajdzie, gdzie tylko on będzie mógł jej dotykać.

- Jesteś moja! - dyszał jej w twarz. - Tylko moja i niczyja inna! ; - łan...

- Nie puszczę cię od siebie! Zmarszczyła czoło.

- Nie chcę, żebyś mnie puszczał od siebie.

Szczerze pragnął uszanować jej czystość i niewinność, ale było już za późno. Wtulił usta w miękkie włosy i wdychał jej słodki zapach. kruszył wargami zaplątanymi w jedwabiste loki:

- Jesteś moja... - powiedział, wiedząc, że się powtarza, słysząc Jękliwą prośbę w swoim głosie, lecz niezdolny się powstrzymać ani Pomyśleć o czymś innym, co mógłby jej rzec.

Zaśmiała się radośnie.

- Och, lanie! Oczywiście, że jestem twoja. - Objęła go ramionami. Boże miłosierny! Gdyby to mogło być prawdą, oddałby chętnie

duszę! Ale utracił ją zbyt dawno temu, by teraz oferować jako zapłatę za łaskę.

- Czy słyszysz muzykę? - szepnęła. Ledwie ją usłyszał, pogrążony w gorączkowych myślach.

- Tu nie gra żadna muzyka.

Wietrzyk szeptał tajemnicze zaklęcia w gałęziach drzew, łopotał batystowymi fałdami nocnej koszuli.

Wyślizgnęła się z jego ramion i podniosła ku niemu oczy. W oddali morze nuciło monotonną pieśń i rytmicznie uderzało o przybrzeżne skały.

- Posłuchaj uważnie! Johann mówi, że muzyka ma przepiękny dźwięk... słyszę ją wokoło siebie, słyszę wszystko!

- Seleno - wyrzucił z zaciśniętego gardła jej imię i zamilkł. Spojrzała prosto w jego oczy.

- To doprawdy niezwykle, jak sądzisz?

Zazdrościł jej niewinności i łatwości, z jaką zamieniała życie w bajkę.

- Seleno, tu nie słychać żadnej muzyki. To tylko wiatr i morze... zwykle odgłosy. Uśmiechnęła się.

- Pewnego dnia ją usłyszysz...

## 17

Selena stała przy oknie sypialni, wpatrując się w mrok dziedzińca. Brzask wąską lawendową smugą rozpraszając czern horyzontu. Jak zawsze po przebudzeniu, czuła się rześka i wypoczęta - gotowa na rozpoczęcie nowego dnia. Czas płynął dla niej inaczej niż dla innych. Owszem, nauczyła się odczytywać godziny na zegarze, wiedziała więc, że właśnie mija pół do piątej. Dla Maeve byłaby to pora snu - zupełnie nieodpowiednia na wstawanie. Lecz ona, Selena, dość się już w życiu wyspała.

Przycisnęła czoło do chłodnej szyby. Gdy przypomniała sobie minioną noc, przebiegł ją dreszcz podniecenia i poczuła dziwne ciepło koło serca, łan ją pocałował i to przeżycie okazało się najcudowniejszym doznaniem, jakie mogła sobie wyobrazić. Wprost nie wiedziała, Jak doczeka następnego razu!

Za szybą świat pogrążony w rzedniejącym mroku przywoływał tysiącem subtelnych powabów. Pchnęła do góry ramę okna, wsłuchując a? w niechętne skrzypienie starego drewna jak w czarowną pieśń. „...zez kraty wpłynął rześki poranny wietrzyk, niosąc ze sobą charakterystyczną słonawą woń plaży odsłoniętej podczas odpływu. Listowie deptało w niekończącym się tańcu.

Nie powinna wychodzić - łan ostrzegwał, by tego nie robiła. Powinna arac się powściągnąć swoją ciekawość. To cecha, która zaszkodziła ^tej kobiecie, Pandorze. Ale Selena nie miała zamiaru ćwiczyć się

Przezorności. Po prostu musiała znaleźć się tam, gdzie wietrzyk

le pieścił jej policzki, a rosa chłodzić podeszwy bosych stóp.

Owinęła się w narzutkę, cichutko zeszała po schodach i wyślizgnęła się na dwór.

Noc wciąż więziła aksamitny błękit nieba w okowach mrocznego cienia. W oddali morze i las czerniały masywnym bastionem cienia.

- Powinnaś być teraz w łóżku!

Podskoczyła i okręciła się twarzą w kierunku, z którego doszedł ją nieoczekiwany głos. Ujrzała, że to Andrew siedzi wtulony w ciemny kąt werandy z kolanami przyciśniętymi do piersi. Na tle czarnego ubrania twarz chłopca odcinała się upiorną białością. Kołysała się w mroku jak balon, odłączony od reszty korpusu. Sine podkówki pod oczami podkreślały nabiegłe krwią białka.' Selena podeszła bliżej i przyklękła tuż obok.

- Co tutaj robisz? Wzruszył ramionami.

- Nie lubię światła dnia. Pewnie nie zauważyłaś, ale... Selena zawstydzona się, że umknął jej uwagi tak ważki szczegół dotyczący upodobań przyjaciela.

- Tylko nocą wychodzisz z domu?

- Właśnie.

Po prostu trudno było to sobie wyobrazić!

- Ja, kiedy czuję ciepło słońca na policzkach, mam wrażenie, że to Bóg mnie dotyka.

- A ja nie.

Uchwyciła ton bólu w drżącym głosie. Cierpienie chłopca uządliło ją prosto w serce. Ujęła jego dłoń i łagodnym szarpnięciem dała znak, by wstał.

- Pokaż mi noc. Jego oczy pojaśniały.

- Naprawdę tego chcesz?

- Tak!

Na pobladłym obliczu pojawił się niepewny początkowo uśmiech. Andrew mocniej ścisnął jej dłoń i niecierpliwie ruszył po schodach w kierunku lasu, na wprost ciągnąc dziewczynę za sobą.

- Musimy się pospieszyć, bo świt już niedaleko! Ręka w rękę przedzierali się przez gęstwinę, aż wyszli na niewielu polankę. Strzeliste drzewa wznosiły się dokoła palisadą czerń! rozświetloną strzałami księżycowych promieni. Selena stanęła J^

'wryta, oczarowana pierwotnym pięknem natury. Bóg stworzył za pomocą cienia i ciszy obraz, który ona sama nieco wcześniej nieporadnie starała się namalować płomykami świateł.

Andrew tymczasem położył się i poklepał chłodną ziemię, po czym wyciągnął z kieszeni długi pasek flaneli, którym zawiązał sobie oczy.

- Jest jeszcze cudowniej, gdy używam wyobraźni. Spróbuj zamknąć oczy! - zachęcił dziewczynę. Selena ochoczo rzuciła się na trawę obok młodzieńca i ponownie wsunęła dłoń w jego dłoń, aż splotły się ich palce. Gdy tylko zamknęła oczy, obudziły się do życia pozostałe zmysły. Wciągnęła nosem słodki zapach sosnowych igieł i słoną woń morza. Poczula na rżesach chłodny pocałunek wiatru, a na łydkach i piersiach łaskotliwe trzepotanie batysty nocnej koszuli. Leżeli tak obok siebie, zdawałoby się bez końca, snując marzenia i wizje, które swobodnym strumieniem przepływały przez ich myśli. Słońce powoli, lecz niepowstrzymanie wspinało się nad horyzont, sięgając bladymi jeszcze promieniami między gałęzie wyniosłych drzew. Andrew mocniej ścisnął jej palce.

- Szkoda, że nie jestem ślepy... - szepnęła. - Rzeczy, które widziałem... okropne, przerażające rzeczy...

Selenie zabrakło nagle tchu, jakby Andrew popchnął ją za krawędź przepaści w otchłań wypełnioną przejmującym bólem. Spadała na grząskie dno i choć rozpaczliwie się szamotała, nie umiała odzyskać równowagi. Jakże potrzebowała teraz lana albo Johanna - kogoś mądrego i uczonego. Ale nie było przy niej żadnego z nich, a Andrew wybrał ją na swoją powiemiczkę. Nieskończenie powoli dźwignęła się na łokciach i odwróciła ku niemu. W mdłym świetle poranka wydał jej się żałośnie młody i bezbronny.

- Ty wcale nie jesteś szalony, co, Andrew?

- C...co ci przychodzi do głowy? Wszyscy tutaj jesteśmy szaleni... Z Wyjątkiem ciebie i lana.

- Nie. Johann to geniusz, ale jest chory. Ja odniosłam poważne obrażenia, a poza tym chyba jestem ciut obłąkana, ale ty... - urwała, dukając odpowiednich słów.

Andrew zadygotał i nieco odsunął się od niej. ih- Gdybyś wiedziała, co robiłem... zniechęciłabyś mnie... Nie mogę sobie wyobrazić, co takiego... Rzeczywiście. Tego nie mogłabyś sobie wyobrazić. - Przerwał

jej ostro. - Nie chcę tu dłużej zostawać... - Usiadł i zerwał z głowy przepaskę. Blask słońca zalał mu oczy.

Selena nigdy przedtem nie była świadkiem strachu, który z taką siłą zagarnia swoją ofiarę, wdzierając się we wszystkie zmysły i obezwładnia. Ujrzała, jak oczy chłopca otwierają się szeroko - szkliste, pozbawione wyrazu, lśniąco gorączką przerażenia. Z wolna zaczął kręcić głową, wznosząc zaciśniętą pięść, odstraszać tym gestem drapieżnika, którego nikt prócz niego nie potrafił dostrzec.

- Andrew?

Z gardła chłopca wydarł się zduszony jęk. Ramionami wstrząsał spazmatyczny szloch. Gramoląc się na oślep po wilgotnej ziemi, zderzył się z pniem, aż deszcz igieł obsypał mu głowę i oblepił mokre od łez policzki. Zdawał się tego nie zauważać. Jęcząc i skomląc, zwinął się w dygoczący kłębek.

- Odejdź... - wychrypiał z zaciśniętego gardła, zachłystując się szlochem. Zakrzywionymi w szpony palcami zaczął szarpać blizny na nadgarstkach, jakby chciał na nowo otworzyć rany. -Błagam...

Selena podczołgała się bliżej.

- Andrew?

Zalśniły białka w pozbawionych wyrazu oczach, usta otworzyły się do krzyku. Selena chwiejnie porwała się na nogi.

- Ktoś musi mi pomóc! - zadarła nasiąknięty rosą rąbek spódnicy i popędziła przez gąszcz. Dysząc ciężko, przecięła ganek i wpadła do sieni. Pobiegła na piętro, przeskakując po dwa schodki naraz. Bez pukania otworzyła drzwi sypialni lana i wpadła do środka. - łan!

Siedział na łóżku, pogrążony w lekturze. Rozchełstana na piersiach nocna koszula odsłaniała muskularny tors. Miał twarz bladą i ściągniętą od braku snu.

- Co się stało?

- Andrew... zrobiłam coś źle i teraz on... - Powrócił koszmar sceny z zagajnika. Przycisnęła dłoń do ust, by stłumić łkanie. - On jest n3 dworze...

Łan zamknął książkę.

- Andrew nigdy nie wychodzi w dzień!

- To ja... zabrałam go tam. - Mówiła coraz szybciej, coraz bardziej gorączkowo. - Było jeszcze ciemno. Nie miałam pojęcia...

- Chryste! - odrzucił kołdrę i zerwał się z łóżka, złapał szlafrok przewieszony przez poręcz krzesła i ruszył do drzwi. - Chodźmy tam!

Selena ruszyła za nim. Gdy tylko otworzyli frontowe drzwi, usłyszeli przeraźliwe wrzaski przeszywające ciszę poranka. Poczuli, że serce podchodzi jej do gardła i odruchowo zatrzymała się w miejscu. Łan dotknął jej dłoni.

- To nie twoja wina, Seleno. On tak po prostu czasami wybucha... Co kilka miesięcy coś w nim uruchamia taki atak i wtedy... tracimy go na jakiś czas.

Potrząsnęła głową, wiedząc, że to nie jest prawda, że to ona wyrządziła przyjacielowi jakąś straszną krzywdę, łan otoczył jej twarz dłońmi i zmusił, by spojrzała pełnymi łez oczami prosto w jego oczy.

- Seleno, to miejsce jest schronieniem zbłąkanych i chorych dusz. Andrew jest chory. To naprawdę nie twoja wina!

- A więc czyja?

Naiwne pytanie zaskoczyło go całkowicie.

- Nie mam pojęcia... Skąd miałbym wiedzieć, co trapi tego chłopca? Zmarszczyła czoło i pomyślała, że musiała źle sformułować pytanie.

- Przecież jesteś jego lekarzem? Łan zeszywniał.

- Nie. Jestem tylko jego opiekunem, nadzorcą - to wielka różnica. - Oderwał dłonie od jej twarzy, a ona natychmiast poczuła chłód osamotnienia. - Chodź, pokażesz mi, gdzie jest Andrew.

Starła się uporządkować myśli. Tyle pytań cisnęło jej się na usta, tyle wątpliwości domagało się wyjaśnienia. Dotychczas miała wrażenie, że nadzorca pilnuje zwierząt, a lekarz zajmuje się ludźmi, opiekuje „nu... ale widocznie znów była w błędzie. Pytania wirowały w głowie, tó poczuła taki zamęt, że w ogóle przestała myśleć. Wyciągnęła rękę do łana, lecz on już biegł w stronę lasu. Potykając się, podążyła za nim. Dogoniła go na skraju gęstwiny i poprowadziła w głąb. W połowie ^gi na polankę wrzaski ustały. W jednej chwili świat wstrząsany „Stosami meczami zastygł w nienaturalnej, złowrogiej ciszy.

„elena podciągnęła koszulę wyżej i pognała przez zarośla, prze-

^”Jąc przez zmurszałe pnie, głązy i kępy mchu na szlaku do , etne) kryjówki Andrew. Odnalazła go tam, zwiniętego w dygoczący

wek. Łzy złożyły ścieżki na umorusanych chłopięcych policzkach.

Spój

•Jrzały na nią puste oczy. Zatrzymała się niepewna, co robić, łan

podszedł do leżącego i przykucnął nad nim, a Selena powoli uklękła po drugiej stronie.

- Andrew! - odezwał się łan zdecydowanym, rozkazującym tonem. - Słyszysz mnie, Andrew? Milczenie.

- Andrew - powtarzał miarowo imię chłopca, a za każdym powtórzeniem glos mu słabł, aż wreszcie urwał i ze znużeniem potarł skronie. - Och, Jezu miłosiwy!

- Zmusz go, żeby na ciebie spojrzał. - Selena walczyła z własną paniką, ale dotkliwy lęk brał górę, podkopywał resztki opanowania. Znowu zbierało jej się na płacz, łan zaczął przewiercać ją spojrzeniem pełnym rozpacz.

- Jak mam go do tego zmusić?

- Przysuń się bliżej i mów ciszej, łagodniej.

Za każdym jej słowem wzdrygał się, jakby ktoś wbijał mu pod skórę niewidzialne, lecz raniące dotkliwie strzałki. Zacisnął szczęki i pochylił się niżej.

- Andrew, czy mnie słyszysz?

Znowu nie było odpowiedzi. Selena przysunęła się bliżej.

- Dotknij go tak, jak wcześniej dotykałeś” mnie, zmusz go, by na ciebie spojrzał.

- Mam go dotknąć?

Usłyszała lęk w jego głosie i pojęła przyczynę, bo Maeve opowiedziała jej kiedyś o przedziwnym darze lana i cierpieniu, jakie z sobą niesie.

- Musisz!

- Nie mogę!

Selena nie spuszczała oczu z jego twarzy. Przełknął i odwrócił wzrok. Przez nieskończenie długą chwilę wpatrywał się w milczeniu w korony drzew, wreszcie odwrócił się ku chłopcu i ostrożnie ujął w dłonie jego twarz, obracając ją ku sobie.

- Andr... - nie zdołał dokończyć, bo do mózgu wdarły się przerażające obrazy, aż krzyknął i oderwał palce od wilgotnych policzko • Zatoczył się i upadł na kolana, ukrył twarz w dłoniach i zaczął si trząść na całym ciele. - Jezusie przenajświętszy!...

Selena podbiegła do niego.

- łan, co się dzieje?

Powoli unosił udręczoną głowę. Ręce bezwładnie opadły na kolana.

- Nie wiedziałem. - Wpatrzył się w skulonego chłopca. - Nikt mi nie powiedział. Jezu Chryste, jak mogłem nie wiedzieć?

- Co zobaczyłeś?

Pochylił głowę i ze znużonym westchnieniem przetarł oczy.

- Są takie rzeczy, co do których mam nadzieja, że nigdy ich nie poznasz, Seleno.

- Ale Andrew...

- ...jest zbyt młody, by poznać takie cierpienie! Potrząsnął głową. Selena przysunęła się bliżej i spojrzała mu prosto w oczy.

- Pomożesz mi! - To miało być pytanie, ale wyszło z niego pozbawione wątpliwości stwierdzenie.

- On nie potrzebuje pomocy lekarskiej.

- Pomożesz mi - powtórzyła ciszej, łagodniej, lecz nie mniej zdecydowanie, łan dźwignął się na nogi i odsunął o krok.

- Seleno, przestań stawiać mnie na piedestale! Nie jestem w stanie pomagać ludziom... poza tym to, czego potrzebuje Andrew, leży poza ludzkimi możliwościami. Nie potrafię zmienić przeszłości!

- Ale możesz zmienić przyszłość.

- Och, Seleno... - Jej proste słowa sprawiły, że ciało lana obwisło jakby pod nieznośnym ciężarem. Spojrzał na skulonego chłopca. -Dla niego nadszedł teraz niebezpieczny czas. Po krótkim okresie katatonii zazwyczaj usiłuje popełnić samobójstwo. Na szczęście nie jest w tym zbyt sprawny... - urwał, słysząc, jak dziewczyna gwałtownie 'ciąga powietrze. Spojrzała na niego i pojęła, że sam nie zdaje sobie ^rawy, jak prostacko, nieczule zabrzmiały jego słowa, jak obrzydliwy „ył jego chłodny dystans do cierpień chłopca.

Niewrażliwość lana na ból i udrękę zraniła ją bardziej, niż myślała, że to możliwe. Poczuła się bezbronna i krucha, niepewna siebie -Jakby właśnie odkryła, że w pełnym sprzeczności i niebezpieczeństw ciecie miała jej służyć oparciem kotwica z dmuchanego szkła. Ujęła So rękę, otoczyła palcami przegub, usiłowała odnaleźć znajomą siłę ^epło, które jej dawał samą swą bliskością... lecz tym razem nie znalazła nic - ani siły, ani otuchy, ani wsparcia. Jakby pod opuszkami '°w miała ulotnego ducha. Podniosła wzrok, wiedząc, że łan ujrzy JeJ „czach ból, który przepełnił jej serce.

- On cię potrzebuje.

Westchnął przeciągle i pokręcił głową.

- Och, Seleno...

- Zrobisz to, co słuszne. Wiem, że tak będzie. Rozpaczliwie starała się sama uwierzyć w to dziarskie zapewnienie, ale strach ścisnął jej żołądek lodowatą, okrutną dłonią. Wreszcie pojęła, na czym polega kłamstwo.

-łan stał przy łóżku Andrew, który spoczywał bez ruchu pod stosami szarych koców. Ledwie widać było spod nich kredowobiałą twarz i otwarte, lecz niewidzące oczy.

Jakże żałował, że nie okazał się silniejszy od Seleny, nie odwrócił się od błagalnie utkwionych w sobie oczu, nie zamknął uszu na jej prośby. Ale nie mógł tego zrobić. Zniszczyłyby ją całkowicie! I w niczym go

nie pocieszała świadomość, że byłoby to postępowanie najbardziej uczciwe z możliwych i najdalsze od jakiegokolwiek ryzyka.

Przyciągnął krzesło i usiadł, wpatrując się w chłopca w niepewnym świetle świeczki. Okno było szczelnie zasłonięte, tak jak zawsze życzył sobie Andrew. Teraz wreszcie łan zrozumiał i pojął przyczynę tych upodobań. Jakże żałował, że uzyskał ten wgląd! Bynajmniej nie sprawiało mu ulgi zrozumienie istoty nawracających napadów depresji chłopca, nieodmiennie kończących się próbą samobójczą. Cóż z tego, że już wie, iż takie zachowanie nie jest objawem obłądzenia czy tragiczną skazą charakteru!

W swym krótkim życiu chłopiec wycierpiał już wiele upokorzeń i prześladowań cielesnych najpodlejszej, najboleśniejszej natury... <sup>aa</sup> gotów był się założyć, że krzywdzicielem był ktoś z krewnych - może nawet sam ojciec chłopca.

Poczuł mdłości na samą myśl o tym. Przypomniał sobie własnego ojca i dzieciństwo, które aż do dziś uważał za wypełnione męczeński<sup>o</sup> cierpieniem z powodu choroby matki, i zrozumiał, jak śmieszna i dziecinna była jego udręka. To Andrew przeszedł przez prawdziwe piekło!

Chłopiec poruszył się na łóżku, łan pochylił się nad nim.

- Andrew?

Usłyszał cichy jęk, a spod zaciśniętych powiek wypłynęły łzy i wąską strużką zaczęły ściekać po skroniach na poduszkę.

- Odejdź... nie mogę już...

Instynktownie wyciągnął dłoń i odgarnął kosmyk włosów, który opadł na oczy chłopca. Ten przelotny dotyk wystarczył, by przed oczami znowu przetoczyła się lawina odrażających wizji, łan wzdrygnął się, walcząc z koszmarem, utrzymując go pod kontrolą najwyższym wysiłkiem woli. Po kilku chwilach siła wizji zmalała, kontury zatartyły się w miękkiej mgłę. Westchnął ciężko, dysząc jak po wielkim trudzie.

Musiał pomóc temu chłopcu! Ale jak? Jak można wymazać takie wspomnienia?

Rozsądek podpowiadał, że to najzwyczajniej w świecie niemożliwe, że Andrew będzie je dźwigał jak przygniatający głaz aż po dzień śmierci... aż któregoś z niezdatnych usiłowań samobójczych nareszcie mu się powiedzie. Co może zrobić on, łan? Wrócić do Seleny i przeprosić, wyjaśnić, że niektórych złamanych serc nie da się skleić?

Nie zniesie takiej klęski! Całe życie podejmował wyzwania, które inni przed nim uznawali za absurdalne i tchórzliwie odrzucali. Niemożliwe było jego żywiołem i spełnieniem. Ileż to razy stawiał czoło losowi w sytuacjach, które wydawały się z góry przegrane?

Poczuł, jak budzi się w nim dawna ambicja. Lekarz, którym niegdyś był, podniósł steraną głowę, zajrzał przez zakurzoną szczelinę w głąb znużonej duszy i uśmiechnął się. Miał doskonałe wykształcenie i biegłość niezrównaną, zaliczono go do najlepszych z samej śmietanki lekarskiej profesji, ponadto przysięgał pomagać cierpiącym. A nie „legało wątpliwości, iż Andrew cierpiał bardziej niż każdy z jego dawnych pacjentów.

Poszedł do gabinetu i sięgnął do książek. Wyciągnął z półek Czystko, co miał na temat chorób umysłowych, a kiedy już zgromadził <sup>a</sup> skarbnicę uczonej wiedzy, wrócił do sypialni Andrew, usiadł ‘ zaczął przeglądać jeden po drugim opasłe tomy, aż słońce rozpoczęło <sup>dzienne</sup> wędrówkę ku srebrzystej morskiej toni. Wybiła siódma, S<sup>a</sup> zamykał ostatnią księgę.

Rzucił tomisko przez pokój i wpatrzył się tępym wzrokiem w stos, który w czasie drugich godzin lektury zgromadził się pod oknem.

‘Sdy nie studiował psychiatrii, a już na pewno nie zagłębiał się w tę

dziedzinę, mając na względzie konkretny przypadek. Szczerze mówiąc, uważał, że ten dział medycyny stanowi poboczne wiedzy ścisłej i daje pole do popisu szarlatanom, a w najlepszym razie zbłąkanym lekarzom, usiłującym wyleczyć nieuleczalne, zatrzymać nieuniknione. Mimo to miał mgliste wrażenie, że najprzedniejsze umysły specjalizujące się w tej dziedzinie posiadały jednak jakąś wiedzę, że przynajmniej udało im się stworzyć teorię, którą kierowali się w próbach wyleczenia swoich pacjentów.

Teraz przekonał się, że to niebezpieczni oszuści o wąskich horyzontach, postrzegający świat - a szczególnie kobiety - w przerażająco niskich kategoriach. Jego wzrok padł na tytuł artykułu, którego kopia upadła mu pod nogi. Thomas Hawkes Tanner rozważał *Usunięcie tektaczki w leczeniu hysterii*.

Histeria? Tak określali przypadki, kiedy kobieta skarżyła się, że została w dzieciństwie zgwałcona.

- Histeria! - potrząsnął głową, jeszcze raz przebiegając myślą treść przeczytanych esejów i traktatów. Czuł się zbrukany. Przytłaczał go wstyd za kolegów po fachu. Doktor Freud, najlepszy ponoć współczesny alienista, wysuwał początkowo tezy, które jako jedyne wątlą iskierką światła rozpraszały głęboki mrok uprzedzeń i głupoty: na przykład wierzył, że kobiety opowiadające o gwałcie w okresie dzieciństwa mówiły prawdę. Jego teorie wzbudziły nadzieję łana. Ale wnet okazało się, że bez wyraźnego powodu Freud porzucił uprzednią linię rozumowania i przestał wierzyć kobietom. W jego oczach ni z tego, ni z owego z ofiar przemocy zamieniły si? w historyczki. Ich relacje o krzywdzie stały się „chorymi fantazjami”.

Żadne źródło w bibliotece nawet nie dopuściło cienia możliwości ohydy takiej jak ta, która spotkała Andrew. Szacowni psychiatrzy potraktowaliby chłopca jak przypadek hysterii, jego wyznania jak urojenia, które - zamiast przyjąć za prawdę - należy leczyć wstrząsał@ elektrycznymi w genitalia.

Zbierało mu się na mdłości.

Przeciagnał palcami przez włosy, zastanawiając się, co począć. W odróżnieniu od „kolegów po fachu” miał dostęp do nagiej, niczyj” nie upiększonej prawdy. Wiedział, że Andrew nie fantazjuje ani „le podlega napadom hysterii. Chłopiec był ofiarą - i tyle.

łanowi przypadł więc w udziale trudny obowiązek niesienia pomocy pacjentowi.

Ponownie poczuł dreszcz podniecenia. Od dziesięciu lat posiadał na własność zakład dla obłąkanych, a od sześciu lat osobiście nim kierował. Teraz wreszcie nadeszła chwila, by zaczął leczyć swoich podopiecznych. Znalazł pierwszego pacjenta.

Z ust Andrew wydarł się przeciągły jęk. łan pochylił się nad chłopcem i przemógłszy obawy, dotknął jego ramienia.

- Andrew, czy mnie słyszysz? Jestem przy tobie. Andrew zwrócił ku niemu głowę.

- Doktor Carrick?

łan utkwiał wzrok w bladoszarych tęczęwkach.

- Witaj, chłopcze! Aleś nas przestraszył!

- Pan... mnie dotknął - szepnął Andrew.

- Tak.

W oczach chłopca zalśniły łzy, wargi mu zadrżały.

- Nie powinien pan, doktorze... zawsze bardzo uważałem, kiedy pan był w pobliżu.

- Chciałbym ci pomóc. Młodzieniec odwrócił oczy.

- Nikt nie jest w stanie mi pomóc.

- Ale gdybyśmy... porozmawiali? Andrew zagrzebał twarz w poduszcze.

- Powiedział, że mnie zabije, jeśli komukolwiek opowiem!

- Musiałby najpierw zabić mnie.

Andrew powoli podniósł głowę i spojrzał łanowi w oczy.

- Pan by mnie obronił?

Skinął głową. Andrew zaczął płakać - cicho, jednostajnie. Minęła ^higa chwila, zanim się uspokoił, łan nie mówił nic, tylko siedział \* ozekał. Wreszcie Andrew otarł policzki i uniósł oczy pełne cierpienia, lecz zarazem nowej nadziei.

- Ja bardzo potrzebuję pomocy, doktorze Carrick!

‘tó poczuł w gardle bolesną grudę. Wszyscy potrzebujemy pomocy, Andrew. Wszyscy bez wyjątku!

## 18

Księżyc przezierał przez szary welon chmur - pełny, błyszczący, zwycięski. Jak baśniowy czarnoksiężnik barwił błękitnawym blaskiem mrok nocy.

Selena skradała się w ślad za łanem.

Uchylił skrzydło bramy z kutego żelaza i prześlizgnął się do ogródka. Podeszedł prosto do altanki i usiadł na granitowej ławeczce, zostawiając za sobą uchyloną furtkę.

Stąpała ostrożnie, uważając, by nie potraćić kamyczka ani nie złamać stopą jakiejś gałązki. Przy furtce zatrzymała się i przez chwilę rozkoszowała się nadzieją, że łan rozmyślnie zostawił ją otwartą W milczącym zaproszeniu.

Nie pozwoliła sobie długo tonąć w fantazjach. Tego ranka ujrzała drugą, ciemną stronę jego natury, która napełniła ją lękiem i zburzyła dotychczasową wizję świata. Ten człowiek, który pochylał się nad Andrew skulonym na polance, był zimny i nieczuły bez żadnej widocznej potrzeby.

Jego egoizm był jak zatrzaśnięte drzwi, przed którymi stanęła osamotniona i zagubiona, jak gdyby jakaś niezwykle ważna część jej duszy pękła na tysiąc odłamków. Przez długie godziny siedziała na schodkach ganku, starając się zrozumieć, co zaszło w lesie, a sama nie знаła odpowiedzi, a nie było nikogo, kogo inogiw spytać. Z góry wiedziała, że Johann zareagowałby sarkazmicznie a Edith po prostu odmówiłaby tego rodzaju dyskusji o swoim „panu”. Maeve...

Selena westchnęła. Biedaczka Maeve spędziła cały dzień w kuchni, piekąc placek z wiśniami dla dawno zmarłego małżonka!

Dziewczyna wędrowała niespokojnie po cichym domu, raz po raz wracając pod zamknięte drzwi sypialni Andrew. Czekwała cierpliwie, a potem coraz mniej cierpliwie, że łan wyłoni się z pokoju chorego chłopca, lecz drzwi ani drgnęły - aż do tej chwili kilka minut temu.

Usiłując zrozumieć łana, niezmordowanie przeglądała książki jedna po drugiej, ale żadna nie odpowiedziała na jej pytanie. Wreszcie, gdy już miała się poddać, otworzyła tomik poezji, z którego łan jej kiedyś czytał. Jak za sprawą magii kartki rozchyliły się na słowach, których potrzebowała.

Jeżeli mnie kochać myślisz, uczyn to W imię miłości samej. Nie przez wzgląd Na uśmiech, oczy, głos słodki jak miód Czy też dlatego, że myślisz podobnie, Choć to z pewnością radość sprawić może. Lecz te zalety, ukochany mój, Nietrwałe są z natury. Lub twój smak Zmienić się może. I tak zadzierzgnięta Miłość nietrwałe sploty swe rozluźni. Sczeźnie...

Jakiś czas zajęło jej odszyfrowanie przesłania zawartego w wierszu. Wreszcie pojęła, że panna Browning wyjaśnia samą naturę miłości. Roztrzaskując słowa poematu, zaczęła rozumieć uczucie, którym dotąd ^szczodrze szafowała, łan był jej pierwszym wspomnieniem. Ryzykując, że zabrzmi prostacko i śmiesznie, nie wahała się przyznać, że odkąd sięga pamięcią, łan był jej słońcem, księżycem, całym Fiatem. Sądziła naiwnie, że go kocha, bo jedynie to słowo wydawało się oddawać ogrom jej uczucia; teraz rozumiała własny błąd. Łan ją Hipnotyzował, zauroczył zmiennymi jak bystry nurt górskiego ^myka nastrojami, uwiódł promiennym uśmiechem. Ale to było tylko złudzenie, dziewczęca fantazja. Gdyby miała przekroczyć 9'anicę dzielącą powierzchowne zakochanie od głębokiej miłości, ^usiłaby uczynić ten krok właśnie teraz, z szeroko otwartymi oczami

^rcern przepełnionym czułością tak wielką, że wydawała się nie do zniesienia. Musiałaby wówczas pogodzić się z jego niedoskonałością przyjąć go ze wszelkimi skazami i słabościami jego natury, jak i on musiałby przyjąć ją taką, jaka jest. A i to byłby zaledwie początek.

Zrobiła krok do przodu i dotknęła niepewnymi palcami chłodnych prętów furtki. W powietrzu unosiła się oszałamiająca woń hiacyntów żonkili i przebiśniegów, które właśnie zaczęły rozchyłać młode pąki, zaglądając białymi twarzyczkami przez kratę tworzącą ściany altanki. Łan siedział na kamiennej ławeczce, odwrócony plecami do niej. Księżyc kładł się tajemniczym blaskiem na jego włosach. Jaśniały jak złocista aureola na tle posępnej czerni surduta. Nie odwracając głowy, powiedział:

- Witaj, Seleno! Wstrzymała oddech.
- Skąd wiedziałeś, że to właśnie ja?
- Nikt inny nie ośmieliłby się skradać tu za mną.

Zacisnęła kurczowo dłonie i poszła ścieżką wykładaną płytami granitu między klombami białych kwiatów. Serce biło jej jak oszalałe, palce zwilgotniały od potu.

Nadchodząca chwila mogła oznaczać koniec dla nich dwojga. Nastąpiłby teraz, w magicznej ciszy zakłętego ogrodu, łan odwróci się od niej, porzucając ją na pastwę ciemności, którą było jej życie, zanim po raz pierwszy ujrzała jego olśniewający uśmiech.

Wypuściła powietrze z płuc i jeszcze mocniej spłotła spocone palce. Pierwszy raz powiedziała nie to, co naprawdę wypełniało jej myśli:

- Czy udało ci się pomóc Andrew? Wciąż nie odwracał się do niej.
- Jeszcze nie.

Słyszając cichą, prostą odpowiedź, poczuła falę przemożnego uczucia. Łan zapewne nawet nie wiedział, że w



dwóch krótkich słowach zabrzmiał cały ogrom trudu, jakiego się podjął! Uklęka przy nim i podniosła oczy. W jego wzroku odczytała spokojną, bolesną rezygnację. Odezwał się rzeczowo:

- Dzisiaj cię zawiodłem.

- Tak.

Zaśmiała się urywanie i gorzko.

- Mówiłem ci, że tak będzie!

Aż się zachwiała, usłyszawszy w jego głosie nieodwołalne postanowienie.

- Za szybko się poddajesz.

Ze świstem nabrał powietrza w płuca i spojrzał na uniesioną ku sobie twarzyczkę.

- Zawsze wolałem wycofywać się z sytuacji bez wyjścia!

- Ale miłość...

- Miłość! - wypluł to słowo, jakby zawierało truciznę. - Nie wiesz nic o miłości, a jeszcze mniej o mnie.

- Znam cię jak samą siebie.

- Jasne. Oczywiście to drobnostka, że nie znasz nawet własnego imienia!

Zasmucił ją sarkazm tej repliki. Nie pojmowała, czemu usilnie starał się uwierzyć w ciemną stronę swej natury.

- Och, łanie... Tak się przejmujesz drobiazgami! Wiem o sobie wszystko, czego mi potrzeba.

- Na przykład co? Że mnie kochasz? To cię określa?

- Nie. Jestem podobna do innych ludzi. Określają mnie moje przekonania, poglądy i uczucia, a nie jakies słowo, którego nie mogę sobie przypomnieć.

Wtedy jej dotknął, a ona ujrzała smutek w jego oczach.

- Ach, więc wreszcie odnalazłaś swoje przekonania. I w cóż to wierzysz, moja bogini?

! Nagle odnalazła bez trudu wszystkie potrzebne słowa. Wypływały ! swobodnym strumieniem z samego źródła - z uczuć, które nosiła J w sercu.

! - W dobroć i uczciwość. W piękno. W to, że zawsze można ' „trzymać drugą szansę - albo ją komuś dać... w dotyk deszczu na Oloich wargach, w dźwięk śmiechu, w słoność łez i w uzdrawiającą @oc jednego i drugiego. - Podniosła się z klęczek i przysunęła twarz ^°Jego twarzy. - I wierzę w ciebie, łanie! - Seleno..

Położyła mu palec na ustach, by zamilkł.

i - Psst... wysłuchaj mnie! Być może mam uszkodzony mózg, ale I^ „ie jestem głupia. Patrę i widzę, łanie. Obserwuję świat i dostrzegam ^j ^czy, które ty dawno temu przestałeś widzieć, przestałeś w nie ^erzyć. Dla mnie są one wciąż jak najbardziej realne. Kto bardziej

się myli: dziecko, które wierzy w bajki, czy dorosły, który uważa je za kupę bzdur?

Popatrzył na nią w milczeniu. Wreszcie musnął kciukiem jej podbródek, lekko przechylając twarz dziewczyny ku sobie.

- Co mam z tobą począć, Seleno?

Oczy zapiekły ją od łez. Żałowała, że brak jej inteligencji, by dokładnie wytłumaczyć, co czuje. Niestety, nie była poetką!

- Kochaj mnie, łanie, nic więcej. To będzie początek! Błękitne oczy jarzyły się jak bliźniacze płomienie w rozświetlonym księżycem mroku. Wykrztusił ze ściśniętego gardła:

- A jeśli uczynię źle, Seleno? Jeśli należysz do kogoś innego? Kwestia, która jego dręczyła tak bardzo, jej zdawała się w ogóle nie obchodzić. Ważne było tylko spojrzenie jego oczu i to, jak się czuła, gdy jej dotykał.

- Czemu miałyby to okazać się źle, łanie?

Posłał jej uśmiech przejmująco smutny i pogładził ją po policzku.

- Ach, Seleno...

Pochyliła się ku niemu, wtuliła policzek w ciepłą dłoń i zamknęła oczy.

Jęknął cicho i przeciągle, po czym objął ją tak mocno, że niemal nie mogła oddychać.

Nalał sobie kolejną, szczodłą porcję whisky i przełknął trunek jednym haustem, ale nie poczuł nic - żadnego smaku, tylko oszukańcze ciepło w trzewiach.

Potykaçąc się i zataczając, odnalazł drogę do biurka i klapnął na fotel, zanosząc się gorzkim śmiechem. W

oczach tańczyły zamazane zarysy porzucanych po mahoniowym blacie papierów.

Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że ma przed sobą wachlarz formularzy, które wypełniał w każdym urzędzie pocztowym między najbliższą osadą i Nowym Jorkiem. Setkom ludzi opowiedział historię tajemniczej kobiety, która znalazła się pod jego opieką. do diaska! Przecież on dosłownie błagał jej rodzinę, by się ujawniła i zdjęła mu z barków niechciany ciężar. Uderzył pięścią w biurko. zrzucając na podłogę nienawistne kartki. Rozsypały się po całym pokoju.

Co ma teraz począć? Słodki Boże, co ma teraz począć? To pytanie nie dawało mu spokoju, aż złamał się i sięgnął po butelkę. Nie było sekundy, minuty, godziny ani dnia wolnego od lęku, że ktoś przyjedzie i odbierze mu Selenę, bo on - zaślepiony, samolubny drań -otrąbił wszem i wobec miej sce jej schronienia. Kiedy gałązka kołysana wiatrem uderzała w szybę, on wzdygał się, sądząc, że to stukanie do drzwi. Za każdą wyprawą Fergusa do miasteczka po pocztę drżał i pocił lsię, czekając przy oknie na przybycie listu, którego tak się obawiał.

*Do dawcy ogłoszenia: przyjeżdżam zabrać żonę. Żonę, żonę, żonę! Matkę moich dzieci...*

Chwycił kruchą lampę stojącą w kącie gabinetu i cisnął ją na oślep, by dać upust rozdrażnieniu. Lampa z hukiem roztrzaskała się o ścianę i spadła na podłogę deszczem szklanych odprysków. Z kałuży rozlanej nafty podniósł się czerwony jęzor ognia i zaczął chciwie lizać ciemnowiśniową boazerię. W powietrze uniósł się żrący odór dymu.

Zapatrzył się w coraz śmielsze płomienie i w czerwonych błyskach ujrzał jej oczy barwy syropu klonowego, oczy, w których mężczyzna mógł się zagubić bez reszty. I włosy: nieujarzmione sploty w odcieniu starej miedzi, miękkie i pachnące tak słodko. Prześlizgujące się między palcami jak jedwab.

Zacisnął powieki, wyrzucając sobie, że nie dotykał ich częściej, że nie całował jej namiętnie i bez opamiętania, że nie zdarł z jej ciała sukienki z taniej bawełny, by głaskać skórę gładką jak płatki kwiatu. Ach, jakże żałował. Słodki Jezu!

Drzwi otworzyły się gwałtownie i Johann warknął zgryźliwie:

- Dobry Boże, lanie! Co się z tobą dzieje, do diabła?

Podbiegł co tchu do rozbitej lampy i ściągnawszy z ramion surdut, Tłumił nim tańczące żwawo płomienie, łan usiłował skupić na nim wzrok, ale sylwetka przyjaciela zamazywała mu się przed oczami i falowała. Z ust wydarł mu się na pół histeryczny śmieszek.

- Napijesz się, Johann?

Johann poderwał osmalony surdut i odwrócił się do łana. Nad Fotelowym dywanem fruwały w powietrzu skrawki spopielatej

łany. Z niegdyś eleganckich mankietów unosiły się strużki śmierdzącego dymu. łan ponownie parsknął śmiechem.

- Och, popatrz tylko! Płonący surdut! Johann podniósł wzrok do sufitu.

- Zalałeś się w trupa.

łan kiwnięciem ręki przywołał go do siebie. Wszystko było lepsze niż samotność i towarzystwo myśli, które wirowały w głowie z obłąkańczą szybkością.

- Napij się ze mną, Johann!

Johann nalał sobie solidną porcję trunku i usiadł naprzeciw łana. Nadpalony surdut upuścił niedbałym gestem na podłogę obok swoich nóg.

- Nie wyglądasz dobrze - zauważył.

- Czuję się jeszcze gorzej! Johann ściągnął brwi.

- Mój Boże, odpowiadasz jak zwykły śmiertelnik! Do czego to dochodzi na tym świecie?

łan oparł łokieć na drewnianej poręczy fotela i z ciężkim westchnieniem przetarł oczy.

- Co się ze mną dzieje, do diaska?

Surowe rysy Johanna złagodniały w wyrazie pełnego zrozumienia i współczucia.

- Naprawdę nie wiesz?

- Wiem tylko, że w końcu chyba rzeczywiście postradałem zmysły. Jedno słowo z ust Seleny... jedno maleńkie słowo opętało mnie bez reszty. Nie potrafię dać sobie z tym rady.

- Jakież to było słowo?

- „Spałam” - a cytując dosłownie: „a jeśli spałam z mężczyzną” -no wiesz, zanim uległa temu wypadkowi...

- Matko Przenajświętsza! - wydarło się z ust Johanna, który jakby zapadł się w siebie. - Ona jest taka niewinna... Nigdy nie przyszło mi do głowy, że może być mężatką. Co zamierzasz zrobić?

Tym razem pytanie, które go dręczyło, padło z ust Johanna. Widocznie naprawdę nie mógł przed nim uciec.

- Zabiję każdego, kto będzie chciał ją stąd zabrać! Johann powoli dźwignął się na nogi.

- Nic dziwnego, że od tyłu dni siedzisz zamknięty w swojej pustelni-Tak dobrze było móc z kimś pogadać! Od razu poczuł się n111161 samotny.

- Boję się na nią natknąć, Johannie. Mężczyzna honoru z pewnością trzymałby się w takiej sytuacji na dystans.

Johann pociągnął potężny łyk trunku, zanim zdecydował się odpowiedzieć.

- Zawsze dawalesz do zrozumienia, że chlubisz się swoją pogardą dla zasad honoru! Ian nabrał pełne płuca powietrza i wypuścił je powoli.

- Mówiłeś, że ona mnie odmieni - cóż, nie myliłeś się! Wiem, że tkwi we mnie kawał samolubnego drania, ale tego chyba nie będę już mógł zmienić. Jeśli ją zobaczę, niechybnie zaciągnę ją do łóżka, a gdyby to się stało, musiałbym naprawdę zabić mężczyznę, który rościłby sobie do niej prawa.

- Szczerze mówiąc, to najbardziej rozsądne słowa, jakie przez cały okres naszej znajomości słyszałem z twoich ust. W czym więc rzecz? Masz wielką fortunę. A bogaczowi morderstwo łatwo ujdzie płazem.

Ian zerknął niedowierzająco na Johanna.

- A jeśli ona ma dzieci?

Uśmiech znikł z twarzy przyjaciela.

- Nie wiem, co mógłbym ci powiedzieć!

Ian popatrzył na niego w zamyśleniu, dziwiąc się, że morze wypitej whisky nie rozproszyło lodowatego chłodu, który ścisnął mu trzewia. Szepnął:

- Powiedz mi... powiedz tylko tyle: jak mam odnaleźć normalne życie? Johann desperackim gestem wyrzucił ręce w powietrze.

- Pytasz o to mnie? Ianie, normalne życie nie istnieje! Ian pochylił się ku niemu, przeczesując palcami włosy wiszące w brudnych strąkach.

- Johannie, ja chcę móc spać... i chcę mieć sny, a nie koszmary. Chcę...

- Seleny - dokończył tamten spokojnie, Ian zacisnął powieki i natychmiast zrozumiał, że nie powinien tego robić, bo przed oczami pojawiła się ona jak żywa - wabiła, drażniła zmysły, przypominała 0 ^oim uroku. „Czuję do ciebie miłość, Ianie. Wierzę w ciebie. Pocałuj mnie jeszcze raz. A jeśli nie jestem dziewicą? A jeżeli...” ; Oczy same rozwarły się pod wpływem rozpaczy wyzutej z nadziei. ! ^^chowo sięgnął po kieliszek.

- Co ty byś zrobił, żeby zatrzymać Marie? - Pod wpływem nadmiaru alkoholu zaczął zamazywać głoski i zapewne również pod wpływem alkoholu wymknęło mu się to zbyt osobiste pytanie zdradzając głębię jego desperacji. Wbił oczy w mahoniowy blat, starając się nie podnosić wzroku, żeby zachować chłód i bezosobową obojętność!

Milczenie przedłużało się. W ciszy słychać było tylko rytmiczne pulsowanie oddechu Johanna. Wreszcie opanowanie Iana pękło. Podniósł przekrwione oczy na przyjaciela.

- Odpowiedz! - szepnął, wiedząc, że potrzebuje od towarzysza czegoś, czego sam nie umiałby w tej chwili nazwać i nawet nie miał ochoty się zastanawiać, czy miałyby to być rozgrzeszenie, czy tylko zrozumienie... cokolwiek to było, jego brak pozbawił go siły i uczynił załosnym desperatem. Johann uczynił ruch, jakby chciał podnieść się z fotela, a gdy wreszcie zdecydował się przerwać milczenie, miał głos cichy i niepewny.

- Zrobiłbym... wszystko.

Pryśło całe napięcie i Ian opadł do przodu, kryjąc twarz w dłoniach. Chciał znaleźć w słowach Johanna pocieszenie, chciał utwierdzić się w przekonaniu, że jego myśli są całkowicie „normalne, ale do tego stopnia nie postradał jednak jeszcze rozumu! Nigdy niczego nie czynił połowicznie. Jego natura nie znała umiarkowania, zawsze pędził przez życie, popadając z jednej obsesji w drugą. Kiedy był lekarzem, odrzucał

wszystko inne poza granice swego bytu. Kiedy porzucił zawód, skrył się w mroku i stał się nikim. Nie szukał niczego, czym dałoby się zastąpić dotychczasowe zajęcie, bo potrafił żyć tylko albo w pełnym świetle, albo w całkowitej ciemności. Nie znał metody złotego środka.

Teraz odezwał się cicho, nie adresując nawet swych słów do Johanna, po prostu mówiąc do siebie:

- Nie pozwolę jej odejść. Johann zmarszczył brwi.

- Lecz jeśli jest mężatką...?

- Dość! - warknął tak głośno, że sam się stropił swoją gwałtownością. Nie mógł już tego znieść. Nie mógł dalej tak żyć! Niegdyś byłoby mu nawet na rękę, że może nurzać się w rozpacz i uzalać nad sobą. Każdy powód był dobry, by się odsunąć od świata i sięgnąć po alkohol, który wówczas wystarczał jako sposób topienia smutków. Teraz nawet ta metoda pocieszenia została mu odebrana i pozostała tylko Selena. To ona wyrwała go z paraliżu sumienia, wypchnęła z mroku w światło dnia... teraz nie potrafiłby już wrócić w mrok. Nie chciał tam wracać! Złapał kryształową szyjkę karafki i chlusnął do kieliszka nową porcję trunku. Połknął go jednym haustem, nie czując nawet smaku.

- Niech tu przyjdą Edith, Fergus i wszyscy pozostali. Zaraz! Johann przypatrzył mu się bacznie.

- Co zamierzasz, lanie?

Cisnął pusty kieliszek o gzyms kominka i patrzył, jak rżnięte szkło rozbryzguje się o seledynowy marmur.

- Chcę zamknąć dom, zaryglować na cztery spusty, zamienić w fortecę tak szczelną, że nawet mysz się nie prześlizgnie w jedną ani drugą stronę! Do wszystkich miast, które odwiedziłem, prześlę wiadomość, że tajemnicza ofiara wypadku cierpiąca na amnezję została zidentyfikowana i że zgłosiła się po nią rodzina. Nie odejdę od Seleny na krok - czy to w dzień, czy w nocy będę czuwał u jej boku, żeby nikt nie mógł jej odnaleźć.

Johann zamilkł na długą chwilę.

- To, co proponujesz, to więzienie.

Łan zmiądzzył go spojrzeniem o twardości stali i pożałował, że w ogóle mu się zwierzył.

- Pomyśl o tym raczej jako o... sanktuarium.

- lanie...

- Przestań! - uciał szorstko i zorientował się, że przesadził. Widząc w oczach Johanna troskę, poczuł coś na kształt wyrzutów sumienia. Nie powinien tego robić. To nie było słuszne. To było niehonorowe. Słowa rozsądku przelatywały przez głowę jak pociski, szukając celu - racjonalnie myślącego człowieka, jakim niegdyś był. Ale w nim nie pozostało już nic oprócz palącej obsesji, która gnała go w krainę obłędu - byle zatrzymać Selenę przy sobie, byle pozostać w jej „Wietle. Nie będzie siedział beczynn timer, czekając na nieuchronny koniec!

^o dawcy ogłoszenia: ... przyjadą zabrać moją żonę...” gardła wydarł mu się krzyk:

Nie!!!

- lanie, jesteś...

- Obląkany - przerwał i zaniósł się przenikliwym śmiechem. - Tak, jestem. Ale nikt mi jej nie odbierze, Johannie. Nikt!

W gwałtownych słowach usłyszał to, co naprawdę się w nich kryło: wyzwanie rzucone samemu Panu Bogu. Cisnął rękawicę na niebiański ńng!

Selena nie pojmowała, co się działo. Poprzedniego wieczoru łan zachowywał się wobec niej jak ktoś obcy, oschły i pełen rezerwy. Stał na środku salonu, tocząc dokoła lodowatym wzrokiem z oczami zmrużonymi w szparki. Krążył po zagraconym meblami pomieszczeniu jak tygrys w klatce, obijał się o ściany i zataczał na każdym kroku. Z ust sypały się rozkazy jak grad, wypowiedane głosem, którego nie poznawała - zaciętym i zamazującym głoski. Wyliczał niezrozumiałe ograniczenia: nikomu nie było wolno opuszczać posiadłości, bez względu na powód. Drzwi miały być zawsze zamknięte i zaryglowane. Tylko łanowi wolno było odpowiadać na pukanie i tylko on mógł rozmawiać z ewentualnymi przybyszami. Nikomu nie wolno było wysyłać listów - nawet korespondencja Lary z rodzicami została zakazana. Fergus wyjechał w nocy z jakąś sekretną misją i jeszcze nie wrócił.

W okamgnieniu w Domu Zapomnienia zaszły wielkie zmiany. Miały one jakiś związek z Seleną. Czuła, że z niepojętego powodu wszystko dzieje się z jej winy, ale nie wiedziała, czym zawiniła.

Chciała wypytać lana, lecz on omijał ją wzrokiem i trzymał się z daleka. Kiedy ich spojrzenia przypadkiem się zbiegły, prędko odwrócił oczy - choć nie na tyle szybko, by nie zdążyła ujrzeć w nich rozpaczy. Nie mógł też ukryć przed nią drżenia splecionych rąk.

Ilan postradał kontrolę nad sobą - i to przejęło ją lękiem.

Nie przestawał mówić... w każdym zdaniu pojawiała się jej inu?> lecz wymawiane tonem twardym - bez miłości, która mu zwykle towarzyszyła. Za to ile razy zrobiła krok czy to w kierunku drzwi, czy okna, podbiegał do niej z krzykiem, żeby „natychmiast wracała • „natychmiast schowała się w domu”. Jak gdyby zesza noc w ogrodzie białych kwiatów była tylko snem, pokrętną wizją intymności zrodzona w jej żalonym, zbłąkanym umyśle.

Pełen wspaniałości świat za drzwiami został nagle zamknięty nie tylko przed nią, lecz przed wszystkimi mieszkańcami domu. Maeve, Lara i Andrew natychmiast zrzucili barwne stroje i pojawili się w starych, zgrzebnych ubraniach. Zmieniło się też ich zachowanie. Jak dawniej stali ze spuszczonej oczami i porozumiewali się między sobą zdyszczym, lęklwym szeptem.

Seleną podeszła do okna sypialni - jedynego, przez które wolno jej było patrzeć na utracony świat. Zapadał zmrok kolejnej nocy. Linie drzew na horyzoncie spowijały wydłużone cienie. Cały dzień zamknięta w murach rezydencji, czuła dręczący niepokój. Wprost nie mogła usiedzieć w miejscu. Nie miała pojęcia, czym wywołała gniew lana, ale wiedziała z całą pewnością, że dłużej nie wytrzyma nieoczekiwanego uwięzienia.

On potrafił przetrwać w ciemności, jak jakaś płożąca się tuż przy ziemi roślina z podmokłych lasów, wicznie skryta w cieniu paproci i drzew - ale ona była jak kwiat, który rozkwitał na otwartej przestrzeni;

jak żonkil, plamiący kaskadą złota trawiaste zbocza pagórków. Do życia potrzebowała ciepła słonecznych promieni i nie wystarczało jej powietrze zatęchłe w czterech ścianach domu. Musiała czuć trzepotanie wiatru w fałdach sukni i słony podmuch morskiej bryzy na ustach.

Wyprostowała ramiona, uniosła rąbek długiej do ziemi spódnicy i ostrożnie uchylła drzwi. Stare drewno zaskrzypiało przeciągle, jęcząc jak prosiłna baba w nienaturalnie głębokiej ciszy domu. Na obliczu Seleny pojawił się wywołany podnieceniem uśmiech, serce poczęło bić szybciej. Skradała się mrocznym korytarzem, mijając drzwi sypialni Maeve i schody wiodące do apartamentu lana. Powoli, schodek po schodku, schodziła do sieni, zatrzymując się i nasłuchując za każdym razem, gdy stare drewno zatrzęszczało rozgłośnie. W przestronnym hallu stanęła i wstrzymując oddech nasłuchiwała niskiego P°niruku rozmowy dobiegającej z salonu. Rozpoznała głosy lana ‘ •fohanna. Znowu się kłócili.

Teraz lub nigdy! Nacisnęła masywną klamkę drzwi frontowych ‘wybiegła na dwór, zatykając sobie usta, by nie wybuchnąć radosnym sniechem. Nareszcie wolna, popędziła zwirową ścieżką, wpadła do asu i zaczęła przedzierać się przez splątane gałęzie w kierunku, skąd „torze przyzywało jednostajnym szmerem.

Plaża witała ją znajomymi dźwiękami i kształtami jak stary,

stęskniony przyjaciel. Po ciemniejącym nieboskłonnie żeglowały leniwie purpurowe strzępy obłoków. Ich cienie tańczyły na ruchliwych grzbietach fal. Beztrosko grzechotały maleńkie kamyczki poruszane wiatrem. Powietrze pachniało sosnowymi igłami, morską wodą i życiem.

Selena objęła się ramionami i zawirowała w wyrażającym zachwyty piruecie, całym ciałem chłonąć odzyskaną swobodę. Podbiegła na skraj skalistego brzegu i wpatrzyła się w zbryzgany pianą tumult fal. Morze pulsowało, oddychało jak żywa istota, cofało się i rzucało z nową fułą na czarną ścianę granitu, posyłając w górę słoną fontannę, która smagała jej policzki. Kwiaty drżały w chłodzie nocy, otwierając barwne kielichy na chłostę wilgotnej bryzy. Floksy przedarły się dziarskim kordonem przez granicę zarośli i dotarły aż tu, jakby stęsknione do wspaniałego widoku rozciągającego się ze skalnej półki. Nagle ciszę przeciął gniewny głos lana:

- Seleno!

Zesztywniała i odwróciła się niechętnie. Stał na skraju zagajnika. Widać było, że ubierał się naprędce: na nogach miał czarne spodnie do jazdy konnej, a rozchełstana koszula zwiwała z barku pod dziwacznym kątem, odsłaniając tors.

- Co ty tu robisz, u diabła? - spytał tonem tak oziębłym, że dziewczynę przeszedł dreszcz.

- Musiałam wyjść na dwór.

Pędem rzucił się ku niej, przeskakując wielkimi susami pokryte porostami głązy. Złapał ją za rękę powyżej

łokcia i brutalnie odciągnął od brzegu urwiska. Trzymając w żelaznym, nieczułym uchwycie, na pół prowadził, na pół ciągnął z powrotem do domu. Na brzegu gazonu zatrzymał się na chwilę, którą Selena wykorzystwała, by wyrwać mu się z rąk. Dyszała ciężko.

- Nie rozumiem, co robisz.

- Wracaj do domu!

Nerwowym ruchem języka zwilżyła wargi. Stał przed nią wysoki, niewiarygodnie przystojny, z koroną złocistych włosów lśniący w dogasającym świetle dnia. Tęczówki połyskiwały jak szafirom płomienie. Jakże chciała być mu posłuszna i zrobić to, co jej powiedział. Niestety, nie mogła wyrzec się światła słońca. Potrząsnęła głową: 'Wszystkiego, tylko nie słońca!'

- Nie.

Na mgnienie chwili krótkiej jak jedno uderzenie serca przymknął powieki, lecz zdążyła przedtem ujrzeć ból w jego oczach.

- Wejdź do środka!

Instynkt podpowiadał jej, by podejść do niego, wziąć go za rękę i uklęknąć, pociągając go za sobą w ciepłą trawę. Pieścić jego policzki stęsknionymi palcami, zatonać w błękitach jego spojrzenia i spytać, czego się tak strasznie obawia... ale nie ośmieliła się zbliżyć. W ciągu tych ostatnich dni ujrzała w nim coś, co ją przeraziło: rozpacz granicząca z desperacją, gniew wrzący tuż pod kruchą powłoką opanowania. Przypominał dzikie zwierzę, sprężone do skoku, gotowe zranić nawet istotę sobie najbliższą, byle pozostać na swobodzie.

Patrzył na nią też inaczej niż kiedyś - to spojrzenie łamało jej serce, przywołując wspomnienie dni, gdy była wyłącznie pacjentką. Teraz zaczęła się czuć jak przedmiot, obiekt posiadania, tak drogocenny, że należy ponieść wszelkie koszty, byle go zatrzymać, łan znowu jej nie dostrzegwał.

Rzucił się do niej, złapał za ramiona i przyciągnął blisko do siebie.

- Usiłuję zapewnić ci bezpieczeństwo, ty mała idiotko! Nie przeciwstawiaj mi się! Podniosła wzrok.

- Nie mogę być tobą, łanie.

- Co to znaczy?

- Nie wczułam się w mrok, byle skryć się przed niebezpieczeństwem.

- Ale to jedyny sposób, Seleno!

- Więc pozwól mi odejść. Teraz.

Jego oczy zapłonęły fułą. Znowu brutalnym szarpnięciem przyciągają do siebie, tak blisko, że czuła drżenie całego ciała i woń alkoholu w oddechu.

- Nigdy! - syknął. - Jesteś moja!

Popatrzyła na niego i ujrzała nagle mężczyznę, którego dotąd nie miała. On nie chciał jej kochać! Chciał ją tylko posiadać!

To odkrycie napełniło ją smutkiem i rozdzierającym poczuciem brzozy.

Czy pamiętasz poemat, który mi kiedyś czytałeś? *Panią na zamku* „?a/or?

Dzikość w jego oczach zelżała nieco i na ułamek sekundy wyjrzał zza niej dawny łan: dostrzegwał ją, słuchał jej.

- Pamiętam.

- Przypomnij sobie: pędziła dni w całkowitym odosobnieniu komnaty na wieży, a jej życiem rządziło tylko jedno prawo:

nie wolno jej było spoglądać w dół, na Kamelot. Ale kiedy pojawił się Lancelot, nie mogła powściągnąć pragnienia, by na niego spojrzeć... - Selena wspięła się na palce i odgarnęła nieposłuszne kosmyki, opadające mu na oczy. - Ja też musiałabym spojrzeć!

Długo milczał. Stali blisko siebie, niemal dotykając się, lecz przecież osobno. Patrzyli sobie w oczy: w głębi źrenic otoczonych szafirom dostrzegła niepewność i lęk, które niemal rozdarły jej serce. Po raz pierwszy pojęła, że życie może być niesprawiedliwe, a miłość ranić.

Och, Boże, jakże mocno mogła ranić!

Przesunął dłonie po jej nagich ramionach. Zadygotała pod jego dotykiem, tak intymnym, tak pełnym uczucia. Dokończył szeptem:

- Spojrzała na niego... i to ją zabiło.

- Tak - wykrztusiła tylko jedno słowo. Wiedziała, że łań wyczyta w jej oczach całą resztę: i ona woli umrzeć, byle móc rzucić choć jedno ostatnie spojrzenie na świat.

- Jezu! Seleno... - oderwał oczy i odwrócił twarz. Wyrazisty patrycjuszowski profil był jak wyrzeźbiony z granitu: twardy, nie znający przebaczenia. Dziewczyna dostrzegła jednak lekkie drżenie brody i instynktownie wyciągnęła rękę, przyciskając chłodne palce do kłującego zarostem policzka. Łagodnym naciskiem zmusiła go, by znowu na nią spojrzeć.

- Nie bój się, łanie. Ja się nie boję!

- Ty się niczego nie boisz.

- Mylisz się. Boję się, że cię utracę. I boję się, że znowu będziesz na mnie patrzył tak, jak przez te ostatnie dni.

- To znaczy jak?

- Jak na... swoją własność.

Powoli osunął się na kolana i pociągnął ją za sobą na trawę pokrytą chłodną rosą zmierzchu. Otoczyła ich noc, ciepła, kojąca, niosąca błogosławieństwo i przebaczenie. Nagle świat przestał istnieć, „le

było nic poza objęciami kochających ramion, tylko dwie złączone dusze, tylko one w otchłani gwiazdnej pustki, łań szepnął:

- Boję się, Seleno. Nie wiem, co mam poczuć z tym lękiem... Przytuliła się, a on otoczył ramieniem jej talię. Podniosła ku niemu twarz. Za ich plecami Dom Zapomnienia mrugał złotawymi światełkami okien. Gwiazdy uśmiechały się dobrotliwie z atramentowego nieba.

- Pocałuj mnie! - szepnęła.

Powoli, bardzo powoli, zbliżył dłoń do jej twarzy, ujął ją pod brodę delikatnie, jak gdyby była zrobiona z kruchego szkła, i pochylił się ku niej. Jego usta spadły na jej wargi w zapamiętałym, czułym pocałunku, który pozbawił ją tchu. Instynktownie podała się ku niemu, wyginając ciało w łuk, i wsunęła palce w złotą, jedwabistą grzywę, przyciągając go bliżej, jakby chciała go wchłonąć, by stał się częścią niej samej. Usłyszała zdyszane słowa:

- Wolniej, mała!

Wilgotne tchnienie jego oddechu łaskotało jej wargi. Potrząsnęła głową, pijana odnalezionym pożądaniem.

- Nie, nie przestawaj!

Zaśmiał się drżącymi wargami i odsunął od niej.

- Lepiej przestańmy, boginko moja. Ktokolwiek wyjrzy przez okno, może nas zobaczyć w całej okazałości.

- Mnie to nie obchodzi!

Posłał jej nieco krzywy uśmiešek.

- Ale, choć może cię zdziwię... mnie obchodzi, i to bardzo!

Poczuła na skórze chłodny powiew wiatru i mrowienie gęsiej skórki. Spojrzała na niego i ni stąd, ni zowąd poczuła się nieswojo, jakby ziemia usunęła jej się spod nóg. łań stał przed nią na mocnych „egach, wysoki i wyprostowany, zachowując się tak, jakby nic ^czegoś nie zaszło, a ona miała wrażenie, że oś ziemskiego globu przekrzywiła się w kosmicznej otchłani.

Z wolna wzięła go za rękę i poczuła ciepłą wilgoć jego skóry na ^ojej dłoni. Znowu przeszedł ją dreszcz i raptem wszystko zrozumiała.

Dlatego ją zamykał, ryglował drzwi i okna. Chronił ją po to, by ^ogio dojść do chwili takiej jak ta. Tu nie chodziło o lęk, chociaż 1 on występował, ale przede wszystkim chodziło o nagą, nieugaszoną j b ^c. O samą esencję życia.

Teraz już nie mogła sobie wyobrazić życia bez łana. Ta chwila była jej potrzebna jak powietrze - a za nią kolejna podobna, całe miliony takich chwil rozciągające się w przyszłość. Zarazem wiedziała, czego lęka się łań. On odbierał ten moment jako coś nierzeczywistego - cud, który w każdej chwili może prysnąć. Bał się, że gdzieś tam, poza murami Domu Zapomnienia, jest ktoś, kto może mu ją odebrać!

Rzuciła się ku niemu i przytuliła z całych sił, bo nareszcie pojęła istotę jego lęku i zrozumiała, że teraz będą go dzielić, nieść wspólnie ciężar tej niepewności.

Boże, proszę Cię... nie dopuść, bym okazała się męzatką!

Nie chciała żyć, gdyby zabrakło lana.

## 19

Następnego ranka Selena obudziła się wcześniej i wyszła na dwór. Ze wszystkich pór dnia najbardziej ukochała purpurowe godziny zmierzchu i blask świtu, gdy słońce rozświetlało linię horyzontu i malowało świat odcieniami czerwieni, złota i seledynu. Jak zwykle, nie miała na sobie nic poza koszulą nocną i nie dbała o to, że batystowy rąbek nurza się w błocie i rosie, a stopy ziębną od chłodnej ziemi w cieniu zagajnika.

Liczyły się doznania- tysiące nieoczekiwanych, słodkich niespodzianek. Grzyb zgnieciony palcami tryskał lepkiem sokiem. Trawa pieściła lodowatymi palcami posiniałe kostki. Stopy zsuwały się z oślizgłych kamyczków na plaży.

Chodziła po lesie, dotykając wszystkiego, co dostało się w zasięg Jej dłoni. Zauważyła, jak bardzo się różnią chropowatością i zapachem liście z rozmaitych drzew porastających zagajnik. Wsłuchiwała się w szczebiotanie ptaków w niebosiężnych kryjówkach na wierzchołku Berków i sosen.

Odświeżona i pełna wigoru, wróciła do domu, zgarniając nasiąknięte rosą fałdy koszuli i ćwicząc po drodze nową, fascynującą sztukę ^aną gwizdaniem. Była pewna, że po powrocie zostanie wszystkich Mieszkańców na nogach, lecz myliła się - uśpiony dom tonął w ciszy. „estchnęła i poszła do salonu. Odnalazła swoją robótkę i wtuliła się

Miękki fotel, czekając, aż obudzi się reszta domowników. Na kółeczku obok postawiła koszyczek do robótek - podarunek od

^Ye, japońskie cacko z hebanu. Podniosła wieczko i -jak tyle już

razy - zapatrzyła się, oczarowana barwną zawartością: szpulki przędzy i kordonku. Wybrała jaskrawoczerwoną nitkę i zagłębiła się w pracy. Zanim wygasło jej zainteresowanie, upłynęły aż trzy minuty. Uznała to za poprawę i poczuła niezmiernie zadowolenie. Wczoraj bowiem straciła chęć do szycia natychmiast, gdy tylko wzięła igłę do ręki. Od tamtej chwili skrawek płótna naciągnięty na hafciarskie kółko urągał dziewiczą bielą, a każde bolesne ułknięcie ostrym stalowym szpicem przypominało, że jej palce nie pracują jak należy. Zazwyczaj nie zauważała tej ułomności, chyba że przy jedzeniu - ale tego rodzaju precyzyjne zadania dawały jej się we znaki. Między mózgiem i rękami istniała niepojęta więź - łan nazwał to „sprawnością manualną”. U niej sprawność owa była ograniczona.

Zaśmiała się na tę myśl. Kogo obchodzą takie drobnostki? Z własnej woli nawet do głowy by jej nie przyszło, by zabrać się do robótek, a i jeść nie miała wielkiej ochoty, a jedno i drugie czyniła jedynie, by zrobić przyjemność Maeve. Sama wcale nie widziała potrzeby, by fabrykować kolejne ozdobne poduszki na kanapy w bawialni. W całym domu było ich już pełno. Natomiast Dom Zapomnienia zyskałby niezmiernie, gdyby urządzić dokoła ogrody - mnóstwo ogrodów, gdzie kwiaty kwitłyby przez okrągły rok całą gamą żywych barw. Można by też obwiesić ściany obrazami słonecznych dni nad jaskrawo błękitnym oceanem. Można by wypełnić pokoje wielkiego gmaszyska śmiechem. Tak, tego najbardziej potrzeba było temu domowi -śmiechu i radości.

Skrzypnęły drzwi i do pokoju wtoczył się Johann.

- Seleno, na litość boską! Czy ty nigdy nie sypiasz? Posłała mu przelotny uśmiech.

- W każdym razie niewiele.

Mruknął coś pod nosem i łyknął potężny haust tego rozkosznie pachnącego napoju, który zwali kawą. Grzejąc palce o delikatną porcelaną filiżanki, ogarnął wzrokiem bałagan koło jej fotela: P<sup>o</sup> rzucone płótno, częściowo rozwinięty motek nici.

- Jak widzę, odniosłaś swój zwykły sukces w robótkach ręcznych011-

- Owszem. Prawdziwe utrapienie! - spojrzała na niego przenikli<sup>a</sup> i zauważyła zdradliwe sińce pod załzawionymi oczami. - Coś ni wyglądasz mi na zdrowego.

Uśmiechnął się blado i usiadł w fotelu naprzeciw.

- Nie wiedziałaś, że umieram? Serce Seleny ścisnęła nagły chłód.

- Nic na to nie powiesz? - zakpił. - Nie będzie żadnego okolicznościowego frazesu o czekającej mnie z pewnością wspaniałej przyszłości?



Westchnęła przeciągle.

- Przecież powiedziałeś mi przed chwilą, że umierasz. Nie mogę cię okłamać w tej sprawie!

Znowu uśmiech podniósł kąciki jego warg - tym razem był to uśmiech żalony, lecz prawdziwy.

- Doceniam twoją szczerość, Seleno!

- Ale co to właściwie znaczy, że umierasz? Popatrzył na nią dziwnym wzrokiem. Już zaczęła sądzić, że nie doczeka się odpowiedzi, kiedy odezwał się cedząc słowa:

- To trudne pytanie. Filozofowie od wieków zastanawiają się nad odpowiedzią. Śmierć... jest chyba jak sen. Tyle że z tego snu nie ma przebudzenia. Kiedy zatrzymuje się serce, ciało przestaje funkcjonować. Nie może. Wtedy mówi się, że ktoś jest martwy. A ciało, które opuściło życie, grzebie się w ziemi - wzruszył ramionami. -1 tak się kończy... Większość ludzi nie wie, kiedy i jak umrze, ale ze mną jest inaczej, bo wiem, że syfilis mnie zabije, chociaż oczywiście mam przed sobą jeszcze sporo lat życia. Do tego czasu zwariuję pewnie do reszty, ale kiedy postradam wszystkie zmysły, nie będzie mi to przeszkadzało.

Selena poczuła ukłucie w sercu, słuchając jego cichych, monotonnych objaśnień. Zalała ją fala mieszanych uczuć, odmiennych od tych, które już poznała. Wyzwolili ją myśl, że pewnego dnia Johanna już „ie będzie.

- Wiem coś o takim śnie, kiedy wokół nie ma nic prócz pustki, kiedy nie ma granicy, za którą czeka jawa. Ta nicość przeraża!

- Tak - odpowiedział.

Pochyliła się ku niemu i dotknęła jego dłoni.

- Masz wielkie szczęście, Johann.

- Co masz na myśli?

Uśmiechnęła się, świadoma tej jedynej niepodważalnej prawdy.

- Każdy dzień w świetle jest darem, którego nikt ci nie odbierze.

„yglądał na zaskoczonego.

- Tak - odrzekł, a oczy zalśniły mu łzami.

Nie chciała, żeby się rozplakał, więc szybko powiedziała:

- Opowiedz mi o Marie. Johann zapytał miękko:

- Skąd ty zawsze wiesz, że ja tak bardzo pragnę o niej opowiadać? Nikt poza tobą nigdy tak naprawdę mnie o nią nie pyta. - Rozsiadł się wygodniej na fotelu. - Najbardziej niewiarygodna kobieta, jaką kiedykolwiek poznałem... byłem w niej szaleńczo zakochany. Zanim ją spotkałem, byłem... no wiesz, samolubny, obrzydliwie bogaty i bezmyślny. Sądziłem, że zjadłem wszystkie rozumy. Ale ona sprawiła, że zwątpiłem we wszystko, czego mnie nauczono o dobru i złu, a gdy raz zacząłem kwestionować ustalone prawdy, wszystko zaczęło się zmieniać i nigdy nie było już takie same. Śmierć... -Machnął niedbale ręką. - Chętnie oddałbym życie, byle spędzić z nią tylko jeden dzień. Bóg zaś kazał mi żyć jeszcze tyle lat bez niej!

- Skąd wiesz, że ją kochałeś?

- A skąd ty wiesz, że na dworze pada deszcz? Albo że jesteś głodna, zmęczona czy przemarznięta? Darwin sądził, że działa tutaj pierwotny instynkt, i to w swej najsilniejszej formie - no wiesz, dobór naturalny, przetrwanie gatunku i te rzeczy. Być może miał rację... ale gdy to ogarnia człowieka, nie masz wrażenia, że chodzi o fakt naukowy. Raczej masz uczucie, że otwarła się przed tobą kraina czarów.

Selena wspominała swoje pierwsze doznania związane z łanem -gdy usłyszała jego głos, gdy pierwszy raz spojrzała mu w oczy, poczuła jego dotyk. Każde wspomnienie, każda chwila tętniła magicznym urokiem, o jakim wspominał Johann, który w tejże chwili dokończył:

- Dokładnie to, co czujesz do łana.

Zaśmiała się. Nie umiała ukrywać myśli tak, jak czynili to zdrowi ludzie - ci o nie uszkodzonych mózgach. Każde uczucie czy refleksja zdawały jej się niesłychanie ważne, wypełniały ją po brzegi, skłaniaj^ do śmiechu tam, gdzie nikt prócz niej nie zareagowałby śmiechem, do płaczu, gdy nikt inny by się nie rozplakał. Tak już po prostu było-

- Tak... - owszem, kochała łana całym sercem i duszą. Ale *ci* to wystarczało? Ostatnio coraz częściej zadawała sobie to pytan^ łan wydawał się żądać czegoś więcej.

- Seleno, powiedz, co cię trapi. Widzę, jak obracają się te małe kółeczka w twoim mózgu.

- To słowo... „mąż”, wiesz? łan bardzo się tym przejmuje. Brwi Johanna powędrowały do góry.

- To raczej łagodnie powiedziane!

Prawidłowo zinterpretowała sarkazm i zignorowała go.

- Co to jest „mąż”? Wyjaśnij mi, proszę. Hałaśliwie wypuścił powietrze z płuc i zaniósł się chrapliwym kaszlem.

- Cóż, zasadniczo wiadomo ci, że mężczyzna i kobieta mogą zawrzeć małżeństwo, prawda?

- Kolejne słowo, o definicję którego chciałam prosić. Małżeństwo. Złączył czubki palców w wieżyczkę i oparł na nich brodę. Utkwił w dziewczynie zamyślony wzrok.

- Małżeństwo to obietnica złożona w obliczu Boga, że mężczyzna i kobieta zostaną razem do dnia, gdy śmierć ich rozłączy.

- Więc... gdybym miała męża, znaczyłoby to, że przyrzekłam Bogu zawsze z nim żyć?

- Trafiałś w dziesiątkę! Zmarszczyła czoło.

- Nie widzę tu żadnej dziesiątki.

- To znaczy... że odkryłaś sedno sprawy.

- Aha. Łan ma więc rację, obawiając się tego mojego męża, o ile on istnieje. Uśmiech spełził mu w warg.

- Absolutnie!

- Jak mogłabym zapomnieć kogoś, komu przysięgałam przed Sogiem?

- Nie mam pojęcia, ale zdarzały się już osobliwsze przypadki. „atomiast wiem, że w dniu, gdy cię do nas przyniesiono, nie miałaś na palcu obrączki ślubnej, a mężatki zazwyczaj takową noszą. To ^mbol ich przysięgi.

Oblicze Seleny pojaśniało.

- Naprawdę?

- Naprawdę! - Uśmiech powrócił mu na twarz. - Obrączka została

P^sz kobiety wynaleziona po to, by wycisnąć z narzeczonego ostatni

„Sfosz!

Selena odpowiedziała uśmiechem.

- Czuję niezmierną ulgę. To więc dowodzi, że nie jestem żoną żadnego mężczyzny?

- Niekoniecznie, ale ta okoliczność z pewnością wskazuje na twój panieński stan. Aby uzyskać ostateczny dowód, trzeba by się uciec do metody bardziej... namacalnej. Konkretniej.

- Nie rozumiem. Chodzi o jakieś znamiona?

- Nie, nie zapanowała u nas jeszcze moda na tatuaż mężatek -powiedział i usta mu zadrgały z tajonego śmiechu. - Mężczyźni zaznaczają swoje terytorium w inny, bardziej romantyczny sposób.

- Och, masz na myśli całowanie! - skinęła głową. - Łan powiedział, że gdyby mnie pocałował, byłby to uczynek niehonorowy.

- Całowanie i jeszcze coś innego. Rzeczy, które mężowie i żony robią razem w łóżku. Nie powiem ci nic więcej, choćbyś się nie wiem jak przymilała!

Selena zdobyła się na wielką przebiegłość.

- W łóżku... ach, tak. Chodzi ci o dziewicę. Johann tyknął kawy, by ukryć uśmiech.

- Dziewica i żona to nie to samo.

- Więc Łan musi się przekonać, czy jestem dziewicą, czy nie! Johann zachłysnął się i poplamił wyplutą kawą cały surdut. Dopiero

po długiej chwili wydobył z siebie głos, lecz usta wciąż trzęsły mu się podejrzenie.

- Oczywiście taki dowód raz na zawsze wyjaśniłby kwestię twego stanu cywilnego.

Westchnęła i usiadła wygodniej, bardzo z siebie zadowolona. Bez dwóch zdań - całe to „myślenie” nie jest tak bardzo zawiłą sztuką!

Jtowietrze wibrowało podniecającym buczeniem, jakby wszystka dawno pogrzebane sny zmartwychwstały i ożyły czarodziejską pal613 barw. Natura też to poczuła: morze biegło naprzód skłębioną ścianą piany, by rzucić się do szturm na skalisty brzeg. Nad głowa rozciągało się niebo - czarne, puste i bez granic. Powierzchnię ocean spowił całun mgły, a mleczne pasma sięgały leniwymi palcami mi?02’ drzewa nadbrzeżnego lasu. Ziemia, gwiazdy i księżyc jakby roztopiły w magicznym niebycie. Na świecie pozostała

jedy

l,eteryczna poświata. Magiczne smugi owijały się wokół domu i zdawały l się unosić go nad ziemię, jak mityczny Kamelot pośród zaklętych puszczy.

Serce w piersi Seleny waliło tak mocno, że w głowie zaczęło jej się kręcić, a podniecenie przyspieszało pulsowanie krwi w żyłach do oszalałego tętentu.

Od czego powinna zacząć? Jak zabrać się do sprawdzania swojego dziewictwa?

Szukała wszędzie informacji mających odkryć przed nią mechanizm zadania, które postawiła przed sobą jako misję dzisiejszej nocy. Niestety, wszystkie znane dotychczas źródła zawiodły. Z opasłej książki w gabinecie lana dowiedziała się tyle co nic; hasło w słowniku nie miało nawet żadnych odsyłaczy. Potem rozpytywała ludzi: wszystkich, na których się natknęła. Johann wprost odmówił odpowiedzi;

policzki Andrew zamieniły się w płonące wiśnie, po czym chłopak na oślep wypadł z pokoju; Lara nie rozumiała pytania lepiej, niż sama Selena, a Maeve uśmiechnęła się tylko ze słodyczą i poleciła jej zająć się sprzątaniami pokoju.

Jedno było więc jasne: w tej kwestii była zdana wyłącznie na siebie.

Wpatrywała się w swoją twarz w lustrze. Pomyślała, że to całkiem przyjemne, acz nieco bezbarwne oblicze o spokojnych rysach. Leniwie uniosła dłoń i powoli zaplotła włosy w gruby warkocz, który zakończyła różową wstążką. Kilka nieposłusznych pasemek wiło się buntowniczymi kędziorkami na czole i policzkach, ale nie traciła czasu, by je ujarzmić, bo i tak za chwilę ^y mknęłyby się na wolność. Z wolna przecięła pokój i otworzyła szeroko drzwi mahoniowej szafy. Wpatrzyła się w rządki sukni we ^zystkich odcieniach tęczy, którymi wypełniła mebel Maeve, ale ^dna nie wydała jej się odpowiednia, poza tym wszystkie wymaga-v/ poddania się torturze gorsetu. Zamyśliła się. Skoro odpadały kobiece stroje, pozostawał dwojaki wybór: spodnie pożyczone od Andrew albo nocna koszula.

Odwróciła się. Jedwabna szatka leżała na łóżku. Uszyta z cieniutkiej daniny, była nieledwie przezroczystym cackiem ozdobionym przy ^ i mankietach francuską koronką. Przez przód biegł rząddek ,,,^iczków - od dekoltu po sam rąbek spódnicy. Ze wszystkich ubrań,

r>re posiadała, to było najwy godniej sze, a w mroku pokoju biel

materii na białej pościeli przywiodła jej na myśl blask gwiazd, poświatę księżycza i ulotną moc magii.

Uśmiechnęła się i rzuciła koszulkę i majteczki. Fałdy śliskiego jedwabiu pieściły miękkim dotykiem skórę piersi i nóg. Okręciła się na pięcie i podeszła do drzwi, otwierając je na całą szerokość. Pograżony w ciszy korytarz roztapiał się w mrocznej pustce podestu. Wspięła się lekkimi krokami po krętych schodach prowadzących do sypialni lana, ale przed samymi drzwiami zatrzymała się, by złapać oddech. Pomyślała, że nie tylko trud wspinaczki spowodował, że tak się zadyszała. Kiedy się uspokoiła, zastukała do drzwi i usłyszała zrzędlawy ze znużenia głos lana:

- Wejść!

Wbiegła tanecznym krokiem do pokoju. Jak dławiącym płaszczem owinęły się wokół niej cienie, które wypełzły z kątów. Jedyne światło pochodziło z lekko uchylonego okna.

Uśmiechając się, usiłowała przeniknąć wzrokiem ciemność.

- lan?

- Tutaj jestem! - melodyjny głos dochodził z płamy gęstego mroku nieopodal komody. Usłyszała trzask pocieranej główki zapałki. Błękit-no-żółty płomyk rozdarł ciemność, a w powietrzu rozszedł się kwaśny zapach siarki. Płomyk powędrował wyżej i zaczepił o knot świecy, rozjarzając się blaskiem, w którym pojawiła się smutna twarz lana. Siedział w masywnym fotelu pokrytym czarną skórą, głęboko wciśnięty w mroczny kąt, i popijał whisky z kryształowej szklaneczki. Koszula z białego batystu rozchyliła się na piersi i zsunęła z jednego ramienia.

Podeszła bliżej.

Wyprostował się i wcisnął w oparcie fotela, jakby cofając się przed nią. Usłyszała znajomy brzęk kryształu, gdy wziął karafkę z blatu komody i dolał sobie trunku.

- Sądziłam, że przestałeś pić!

Odpowiedzią był szczekliwy, urywany śmiech.

- Tylko zrobiłem sobie przerwę. Skoro zaś już to wiesz, najwyższy czas, żebyś sobie poszła!

- Przyszłam poprosić cię o pomoc.

Znowu śmiech, tym razem cichszy, lecz szorstki.

- Czego ode mnie potrzebujesz? Stała przed nim w milczeniu.

rżącymi ustami wciągnęła powietrze i uśmiechnęła się do niego. Bardzo się trapisz, czy mam męża... To prawda.

Jedno krótkie słowo, wymówione przyciszonym głosem, nabrzmiałe uczuciem. Szarpnęło ją za serce, napełniło miłością do tego mężczyzny, który siedział w ciemności i snuł posępne myśli, oskarżając się o brak honoru - mimo iż przecież jej nie tknął! Ani zeszłej nocy, ani teraz, gdy tak bardzo tęskniła do jego dotyku, że ciało jej płonęło, a na ramionach wystąpiła gęsia skórka.

Uklękła przed nim na chłodnej, twardej podłodze i postawiła własną świecę obok. Patrzył na nią oczami mrocznymi od cierpienia.

- Wiem, że się dręczysz. Ja też się tak czuję. To niepewność. Chyba użyłam dobrego słowa? Niepewność sprawia nam największy ból.

Szklanka wypadła mu z ręki i rozbiła się z głośnym trzaskiem, a do nozdrzy dziewczyny dotarł aromat bourbona. Jan odezwał się głosem chrapliwym od powstrzymywanych emocji:

- Widzisz, jak się czuję? Zmarszczyła czoło.

- Jestem całkowicie zdany na twoją łaskę, Seleno. Jak kruche szkło w twoich rękach - wystarczy, że je zacisniesz, a zmiążdżysz mnie bezpowrotnie.

To dziwne wyznanie zmieszało ją. Usiłowała znaleźć sens jego słów, ale nadal nie pojmowała: czemu miałyby grozić mu zmiążdżenie, i to przez nią? Powinien raczej zamartwiać się istnieniem domniemanego męża. Podniosła oczy i utkwiała w nim szczere, niezmacone ^oską spojrzenie.

- Więc nie zacisnę dłoni.

Głośno wypuścił powietrze z pnie.

- Ach, Seleno, dla ciebie wszystko jest takie proste... takie łatwe.

Uśmiechnęła się.

- Już kiedyś prowadziliśmy podobną rozmowę. Dla ciebie zaś Czystko jest trudne!

- Złożyłem ci obietnicę, niech to piekło pochłonie! Przysięgłem ^Rymać zasad honoru. Choć raz w moim żalonym życiu usiłuję Stępować jak człowiek prawy... a ty pojawiaasz się w środku nocy

w mojej sypialni, przystrojona jak na miłosną schadzke... -powiedział zduszonym szeptem i nagle urwał. - Seleno, musisz wyjść.

- A co pocniemy z nim? Z tym mężem, jeśli któregoś dnia zjawi się po mnie?

Wzdrygnął się, słysząc, jak z jej ust pada słowo „mąż”, i z wolna spuścił oczy, aż spotkały się z jej wzrokiem.

- Myślę o nim przez cały czas, gdy na ciebie patrzę!

- A jeśli jestem dziewicą? Zmarszczył czoło.

- Oznaczałoby to, że nie jesteś mężatką. Odetchnęła i uśmiechnęła się z ulgą.

- No widzisz, lanie? To takie proste! Wstrzymał oddech.

- Co próbujesz mi powiedzieć?

- Chcę wiedzieć! Nie mogę się pogodzić z niepewnością. Parsknął wymuszonym śmiechem, po czym odwrócił wzrok. Pochyliła się do przodu, wśliznęła między jego rozstawione nogi i podniosła uparte spojrzenie na jego twarz.

- Ty wiesz, jak rozwiązać tę niepewność, prawda?

- Nie zdajesz sobie sprawy, o co prosisz!

- Nie. Za to ty doskonale zdajesz sobie z tego sprawę, a ja ufam ci całkowicie.

- Prosisz, bym uprawiał z tobą miłość - wyszeptał głosem, w którym pochwyliła radosne zdumienie i nadzieję. Serce przepełniły uczucia tak głębokie, że niemal bolesne.

- Sądziłam, że już to czynisz?

Znowu odwrócił wzrok od jej twarzy i przez długą chwilę zapatrzył się na łóżko oczami zmrużonymi w szparki, tak że nie mogła odczytać ich wyrazu. Wreszcie odezwał się:

- Co byś zrobiła, gdyby on po ciebie przyjechał? Pytanie smagnęło jak policzek. Patrzyła na niego,

zagryzając wargi' Już rozumiała, czemu Ian unika jej spojrzenia, czemu na *po'10* bezmyślnie gapi się na łóżko za jej plecami. Nigdy przedtem n1 rozważała tego tak prostego, lecz jakże ważkiego pytania; nigdy w przyszłość jej do głowy, lecz oto stanęło przed nią w całej brzydo0

dłużej

i nieuchronności. Błyskawicznie zrozumiała, że nie może się przed nim uchylać. Rzeczywiście nie pojmowała natury lęku w1

„...jak kruche szkło w twoich rękach - wystarczy, że je zaciśniesz, a zmiądzysz mnie bezpowrotnie!” Naturalnie obawiał się nie mężczyzny, który czaił się gdzieś za murami, gotując się, by załomotać do wrót i zażądać zwrotu Seleny, Ian bał się wyboru, który w takiej sytuacji będzie zmuszona uczynić ona sama.

Nagle pożałowała, że nie umie kłamać. Patrzyła na niego, zbita z tropu, czując falę mdłości podchodzącą do gardła. Pochyliła się li dotknęła dłonią jego policzka, zmuszając go, by spojrzał jej w oczy.

- Jeżeli dobrze rozumiałam znaczenie słów „honor” i „małżeństwo”, będę zmuszona wrócić do męża, prawda?

Przez oczy lana przemknął bolesny cień, a usta drgnęły spazmatycznie.

- Tak.

- Ale mnie się nie wydaje, bym w ogóle miała męża! Serce mi to podpowiada... Bóg nie mógłby naigrawać się tak okrutnie, wystawiając mnie na niesprawiedliwą próbę!

Zaśmiał się szorstko i chrapliwie.

- Uwierz mi, takie ofiary są Jego racją bytu!

- No, cóż. Przyjmijmy, że faktycznie mam męża, który mnie teraz szuka.

- Właśnie... - szepnęła niemal niedosłyszalnie. Pochyliła się tak blisko, że ich usta dzieliło zaledwie westchnienie. Zaleciała ją woń bourbona.

- Wobec tego powinniśmy kochać się, dopóki możemy - najlepiej, Jak potrafimy! Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Jeżeli choćby raz wylądujemy w tym łóżku, które stoi pod ścianą, Przekonasz się, że kiedy twój mąż wreszcie przybędzie, twoje cierpienie ^zrośnie po stokroć!

Zaśmiała się cicho, tajemniczo. Tym razem to on był ignorantem, P°dczas gdy ona jasno widziała prawdę. Szepnęła:

- Nie, teraz już nie...

Ich pocałunek był zrazu lekki jak muśnięcie motyli skrzydeł, ale netJęzyk lana wdarł się do jej ust, biorąc je w wyłączne posiadanie. „Pasał ją w talii, a drugą dłoń położył jej na karku, zakotwicząc ją Przy sobie jak statek w bezpiecznym porcie. Szlak pocałunków - °d kącika ust przez policzek i delikatne płatki uszu, dalej biegł

w dół po łuku szyi, aż dotarł w najbardziej wrażliwe zagłębienie nad krtanią.

- Kocham cię, Seleno! Cokolwiek się wydarzy, ja cię kocham. Pochwyciła niemal płacziwą nutę w jego wyznaniu, ślad chryпки w głosie i przemknęło jej przez głowę, że on pierwszy raz w życiu składa podobną deklarację. A czując, że ją samą owe trzy proste słowa przywiodły na krawędź łez, nareszcie pojęła potęgę mowy. Odszepnęła zdławionym głosem:

- I ja cię kocham, Ianie!

Wstał i zagarnął ją w ramiona gestem tak szybkim, że zaparło jej dech. Z ust dziewczyny wyrwał się urywany śmiech, głowa opadła bezwładnie do tyłu. Ujrzała nad sobą inkrustowany miedzią sufit. Płomień świecy odbijał się w złocistych płatkach ruchliwymi falami blasku.

Położył ją na łóżku, a po chwili wrócił z lichtarzem, szepcząc nieskładnie, że pragnie ją widzieć - pochłonięta swoimi własnymi emocjami, nie słuchała dokładnie i w gruncie rzeczy nie obeszło jej to ani trochę. Patrzyła, jak rozpina pasek spodni, jak tkanina opada wzdłuż muskularnych ud i układa się w stosik czarnych fałd wokół jego kostek. Niecierpliwie wyplątał się i pods2edł do niej. Nagie ciało połyskiwało w miękkim półmroku sypialni. Drgnęła, przestraszona.

- Nie bój się! - szepnęła i położył się obok niej, przyciągając ją do siebie. Głęboki, zmysłowy pocałunek znowu zaparł jej dech w piersi. Przeszedł ją dreszcz podniecenia, gdy Ian zaczął przesuwać pożądlive wargi po jej szyi, wędrując ku piersiom, pieszcząc je przez zwiewna tkaninę koszuli. Zanim się zorientowała,

guziczki zostały rozpięte a jego zwinne dłonie wyłuskały ją z koronek jak owoc z łupiny-Poczuła muśnięcie chłodu na sutkach, które wnet ustąpiło fali gorąca, gdy dotknął obnażonej skóry piersi wilgotnym językiem.

Położyła rękę na jego ciele - z początku nieśmiało, zaskoczona ciepłem spoconej skóry. Wydyszał jej w ucho tonem otuchy:

- Tak, właśnie tak... dotykaj mnie... Przesuwała dłonie coraz niżej, badając, odkrywając, pieszcząc-Jego dłonie wędrowały podobną trasą w dół jej ciała. Poczuła se różnych doznań, gdy muskał palcami w nieoczekiwanych miejscach, wzbudzając coraz to nowe dreszcze i bolesną tęsknotę zmysłów-wprawnymi dłońmi rozpalał się płomień w zakątkach, których

ona sama nie dotykała. Niebiańska tortura trwała w nieskończoność, aż dziewczyna zlekła się, że nie znieśie tego ani chwili dłużej.

Łan położył się na niej i spojrzał jej prosto w oczy. Dyszał ciężko, a złociste kędziory opadały splątana grzywą na czoło i czepiały się kłujących szpileczek zarostu na jego policzkach. W jego oczach ujrziała rozpaczliwą potrzebę, której nie pojmowała. Chłodna dłoń lekko ścisnęła serce, zmroziła budzące się zmysły, jak niewczesny nawrót zimy ścina lodem pierwsze wiosenne kwiaty, łan znowu myślał o jej mężu i bał się!

- łan...

Uciszył ją pocałunkiem. Znowu zatraciła się w morzu rozkosznych doznań. Łagodna dłoń wślizgnęła się między jej uda i delikatnie rozchyliła je na boki. Dotyk mężczyzny w tak intymnym miejscu był jak potarcie zapałki, spod której wystrzelił niecierpliwy płomień pożądania. Z ust dziewczyny wyrwał się jęk rozkoszy; odruchowo zacisnęła ramiona na jego wilgotnych od potu plecach.

Wsunął się w nią!

Ból nadszedł niemal natychmiast, aż krzyknęła i instynktownie zaczęła go odpychać.

- Nie!

Zamarł i spojrzał szeroko otwartymi oczami pełnymi niedowierzania. Do spoconego czoła przyłgnęły wilgotne kosmyki.

Leżał nieruchomo, nie wydając najmniejszego dźwięku, aż poczuła się nieswojo. Musiała zrobić coś nie tak, coś bardzo złego. Szepnęła, niemal nie otwierając ust:

- Co?

Pochylił się i ucałował jej czoło, potem odsunął się nieco i spojrzał „a nią oczami lśnącymi od łez.

- Jesteś dziewczicą!

I zanim zdążyła zapytać, skąd to wie, objął ją uściskiem tak mocnym, 12 niemal miażdżącym, wtulając twarz w pulsujące zagłębienie pod „Jezykiem. Czowała, jak drży na całym ciele, słyszała zdławiony

Mszaniem głosu. Męskie łzy spływały gorącą stróżką po jej skórze, Pamiły rozsypane wokół głowy kasztanowe pukle. Pod wpływem

pojętego uniesienia zaczęła obsypywać go pocałunkami, z początku i „ymi, które stopniowo nabierały ognia. Całowała jego policzki,

& barki, wkładając w pieszczotę warg swoją własną, rosnącą -fzebę.

Jęknął cicho i wsunął dłonie między jej nogi. Wprawnymi palcami ponownie obudził do życia intymne zakątki. Z wolna wsunął się w nią jeszcze raz. Czowała, jak ją wypełnia po brzegi, jak pod jego naporem wydaje się rozciągać w rozkoszną nieskończoność. Ból znowu dał o sobie znać ostrym żądłem, ale jej radość była tak wielka, że prawie tego nie dostrzegała.

Przyłgnęła do łędźwi mężczyzny biodrami, które tańczyły w instynktownej harmonii z rytmem jego ruchów, to się kołysząc, to prąc śmiało do przodu. Fala doznań wzbierała coraz wyżej, zagarniając ją w elektryzujący nurt, aż zdało się jej, że żegluje wśród odmętów uczuć i wrażeń przejmujących niemal nie do zniesienia, łan lepiej od niej wiedział, czego potrzebuje, więc poddała mu się, a on obdarowywał ją szczodrą, zatapiając się w niej raz po raz, do samego dna głębi.

Gdy było już po wszystkim, tulił się do niej, jakby nie chciał jej od siebie puścić. Dokładnie tego pragnęła: by leżał obok, przyciskając zdyszane ciało do jej gorącej skóry, między fałdami wilgotnych od wspólnego potu prześcieradeł. Nozdrzami wciągała nowy, upojny zapach miłości.

Nagle łan odwrócił się i wdrapał na nią, wciskając ją w miękki materac. Zerknęła do góry, zaskoczona

wyrazem jego twarzy. Pojawił się na niej szeroki, figlarny uśmiech, aż serce w niej stopniało. Nigdy przedtem nie wydał się jej tak przystojny, tak młodzieńczo bez troski.

- Seleno... więc nie ma żadnego męża!

Wypełniło ją nieopisane szczęście, gdy pojęła, co to oznacza: że Odtąd tutaj naprawdę będzie jej dom, że nikt nie przybędzie w środku nocy i nie zmusi do podjęcia łamiącej serce decyzji.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie pewien!

- To dlatego, że... przekonało cię to, co właśnie zrobiliśmy?

- Och, tak!

- Nie wiem... - popatrzyła na niego i ze zdumieniem poczuła, że bu się w niej nowa tęsknota. Wygięła wargi w kusicielskim uśmiechu- ^ Może powinniśmy spróbować jeszcze raz - no wiesz, żeby się upewnić”

Pochylił się do pocałunku i wyszeptał wprost w nabrzmiał@ pieszczot wargi:

- Ach, bogini moja, zgadzam się z tobą w całej pełni!

## 20

Przez cztery następne dni nie wychodzili z pokoju. Łan leżał rozciągnięty niedbale na łóżku. Naciągnął skłębione prześcieradło na łydki, a pod głowę wsunął sobie kilka poduszek. Na stoliku obok syczała i skwierczała świeca, wysyłając w powietrze smuzkę kwaśno pachnącego dymu. Poza granicami łóżka sypialnię wypełniały głębokie cienie - tylko księżycowa poświata zza okna pozwalała mu coś dojrzeć i upewnić się, że przez cały czas znajduje się w swoim domu, we własnej sypialni.

Zamknął książkę, którą leniwie przeglądał i popatrzył na śpiącą obok Selenę. Leżała przytulona do niego, a po rozrzuconych włosach przemykały czerwone i złote refleksy. Przeciągnął palcem po aksamit-w/ gładkości ramienia. Dziewczyna westchnęła i uśmiechnęła się błogo przez sen.

Tak właśnie łan wyobrażał sobie miłość, taką ją opisywano w książ-•^h i poematach: wszechświat uczuć i doznań, obecnych w każdym sowe- spojrzeniu i dotknięciu, mienił się całą paletą emocji, wśród °rych była obsesja i żądza posiadania, dreszcz zwycięstwa i błogość dania, radość i ból. Czuł je wszystkie w sobie, zachwycony własną olnością tak głębokiego odczuwania, tak całkowicie wypełniającego P^gnienia. To była magia.

slena sapnęła cichutko i przetoczyła się na drugi bok. Szczupła pip11 ^e.sllz8n^{a sie bezwładnie po kędziorach porastających jego ^ -, 'az poczęła w zagłębieniu pod pachą. Wchłaniał wrażliwą skórą 0 Promieniujące z koniuszka każdego palca. Dziewczyna zgięła

nogę w kolanie i zarzuciła na biodro mężczyzny płynnym ruchem, pełnym instynktownej zmysłowości.

Chryste, jakaż była piękna! Sen powlókł policzki rumieńcem, splątane pukle osłaniały szyję jak welon. Łaskotliwy całus na lewym sutku dał mu znać, że się właśnie ocknęła.

- Czy dość długo już odczekaliśmy? - zapytała cichutko. Na dźwięk gardłowego szeptu poczuł, że umiejętnie drażniony organ budzi się rączo do życia. Jęknął na myśl, że potrafi go podniecić samym głosem. Wróciła z niesłabnącą mocą potrzeba, by jej dotykać, by ją poczuć w sobie. Wsunął ramię pod plecy dziewczyny i dźwignąwszy ją do góry, wycisnął na jej ustach namiętny pocałunek. Przedłużał pieszczotę, smakując wilgoć miękkich warg i słonawy smak jej skóry. Odsunęła się i zachichotała figlarnie.

- Znowu zgłodniałam!

Wsunął palec pod jej podbródek i zadarł leciutko ku sobie.

- Na co tym razem masz ochotę?

- Czy to ma dla mnie jakieś znaczenie? - Uśmiechnęła się. Ogarnął spojrzeniem stos półmisków, talerzy i szklanek na nocnym stoliku. Mieli jeszcze do dyspozycji owoce i mnóstwo słodczy.

- Masz rację, musimy dbać o zachowanie sił!

Selena sięgnęła na oślep i wyjęła z misy dojrzałą brzoskwinię. Wgryzła się w soczysty miąższ, zaśmiewając się, gdy strużka blado-złotego soku pociekła po brodzie na pierś, łan pochylił się i oderwał zębami spory kęs, po czym pocałował ją na deser. Opadła na spiętrzone poduszki.

- Tęsknię do promieni słonecznych na twarzy... chodźmy na spacer. Słyszac bez troskie zaproszenie, poczuł ukłucie w sercu, ale atak lęku minął równie szybko, jak się zaczął. Nie musiał się już wszak niczego

obawiać: Selena okazała się dziewicą. Wyraźny opór przy penetracji, ból i krew na posłaniu rozproszyły wszelkie wątpliwości. Nie istniał żaden mąż czający się za bramą, nikt, kogo trzeba by się było wystrzegać. Cóż za nieopisane uczucie, owa wolność od lęku, nagła, podniecająca nadzieja na otwierającą się p<sup>^</sup> nimi przyszłość! Przez trzydzieści pięć lat żył, nie znając nawet tego uczucia. Wreszcie przyszło jak drogocenny podarunek i08 jak najbardziej oszałamiający cud.

Nie boję się... - powiedział zduszonym głosem i mimo yzdrygnął się, słysząc, jak niemądrze, prawie dziecinnie zabrzmiały te słowa.

Selena nie zrozumie, co ma na myśli.

- I co teraz poczniesz z tym brakiem lęku?

Zmarszczył czoło, zaskoczony odpowiedzią, jakiej nie oczekiwał. Ta dziewczyna nigdy nie mówiła tego, czego można byłoby się spodziewać! Odgarnął z jej policzka jedwabiste pukle i uśmiechnął się.

- Co masz na myśli?

Ściągnęła usta w dzióbek - rozczulający grymas, który oznaczał, że coś rozważa bardzo głęboko - i przygryzła dolną wargę.

- Od wielu lat mieszkasz tu jako... strażnik tych ludzi, prawda?

- Tak.

- Powodował tobą strach.

- Tak.

- Wobec tego teraz powinieneś zmienić swoje życie.

- Zmieniłem je!

- Jak?

Przytulił ją do siebie.

- Spędziłem właśnie cztery dni w łóżku z kobietą, którą kocham. Rozpromieniła się.

- Aleja zupełnie o tym myślałam... słownik definiuje „zmianę” jako przekształcenie, podjęcie odmiennych działań...

- Ja nie...

- O czym marzysz?

- O czym marzę? - powtórzył jak bezmyślne echo. Wzruszył ramionami. - Nie wiem sam... żeby cię kochać aż do śmierci?

- Głupi! To nie marzenie, to... fakt. - Popatrzyła mu w oczy z całą powagą. - Spodziewam się po tobie czegoś więcej.

- Ach, tak?

, - Tak. Oczekuję, że porzucisz zajęcie strażnika i staniesz się tutaj i naprawdę kimś. Jesteś lekarzem i mógłbyś zrobić wiele dobrego dla l<sup>^</sup>iata.

- Ale moje dłonie...

Szerokim gestem rozwiąła jego protesty.

„ Nie bądź takim samolubem! Ja mam uszkodzony mózg, Johann j <sup>^</sup>era na syfilis, Andrew toczy bój z demonami wspomnień, a Maeve <:odziennie rozpoczyna od nowa bitwę o choćby jedną myśl niezmaconą halucynacjami. Czymże w porównaniu z tym są dłonie, które wiedzą zbyt wiele? Nauczysz się blokować wizje!

- Łatwo powiedzieć, trudniej uczynić. One są...

- Nie trudniej, niż nauczyłeś się ignorować Maeve, gdy staje ci na drodze - a robisz to od tyłu już lat! Nie trudniej, niż wśród zgiewku rozmów przy ogólnym stole słyszeć tylko ten jeden, interesujący cię głos. To po prostu umiejętność, którą musisz osiąść.

Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zmienił zamiar. A jeśli dziewczyna ma rację i to jest możliwe? Gdyby zdołał nauczyć się zamykać umysł na niechciane wizje tak, jak umie zamykać uszy na toczące się obok rozmowy? Znowu mógłby podjąć pracę w zawodzie -jeżeli nie chirurga, to przynajmniej alienisty, lekarza dusz. Właściwie mógłby wtedy wykorzystać przeklęty dar, obrócić go na korzyść pacjenta, pomagać poprzez zagłębienie wprost do chorej duszy!



Dobry Boże! Mógłby zacząć od nowa i stać się lepszym człowiekiem.

Selena patrzyła na niego poważnie. Z wolna na jej twarzy pojawił się ukradkowy uśmiech, a oczy rozbłyły się ogniem.

- Taką właśnie przemianę miałam na myszy... myśli!

- Znowu byłbym lekarzem!

- Teraz dopuściłeś do głosu marzenia... ale wciąż są one zbyt małe! Uśmiechnął się przewrotnie.

- Nie ma we mnie nic małego...

Przez chwilę patrzyła nie rozumiejąc, a gdy wreszcie pojęła, roześmiała się swobodnie.

- Nie o tym mówię, z czego doskonale zdajesz sobie sprawę. Chcę ci uprzytomnić, że twoje życie nie ogranicza się do medycyny. Powinieneś stać się kimś więcej niż najdoskonalszym nawet lekarzem.

Powiodł koniuszkiem palca w dół nagiego brzucha dziewczyny.

- Czynię wszystko, by wnet stać się ojcem. Pracuję na to żarliwie i z zapamiętaniem, a gdybyś tak przestała gadać, moglibyśmy wznowić wysiłki!

Zaśmiała się na cały głos.

- Nie próbuj mnie znowu omamić tymi andronami o dziećmi rosnących w ludzkim ciele! I tak ci nie uwierzę... poza tym mo<sup>^</sup> już teraz zacząć spełniać ojcowskie powołanie!

- Za stary jestem, by być ci ojcem...

W głosie Seleny pojawił się ton opiekuńczej troski.

- To Lara rozpaczliwie potrzebuje ojca. Od zaraz!

Przeszył go nieoczekiwany ból.

- Ja też go potrzebowałem... życie nie zawsze jest sprawiedliwe, bogini moja! Przekręciła się na brzuch i zajrzała mu w oczy.

- Teraz przemawiasz głosem brzydkim, pełnym gniewu. Spróbuj jeszcze raz!

Patrząc w oczy wypełnione po brzegi płynnym miodem, poczuł, że pod naporem wszechogarniającej miłości gorycz stopniowo go opuszcza.

- Mój ojciec zmarł, gdy miałem zaledwie dziesięć lat.

- Bardzo za nim tęskniłeś?

Pierwszy raz w życiu był zdolny wypowiedzieć sekret, który ukrywał głęboko w sercu. Wyrzucił z siebie bolesną prawdę:

- Nie było odtąd dnia, żeby mi go nie brakowało.

- Czy sądzisz, że Lara odczuwa inaczej swoją stratę? Westchnął.

- Pewien jestem, że nie, ale...

- Więc ulżyj jej tęsknocie!

- Ale...

Położyła mu palec na ustach.

- Nie zaczynaj tym słowem żadnego zdania. To początek odmowy. A ja nie przyjmuję odmowy!

Patrzył na nią i czuł, że tonie w ciemnej otchłani kochających oczu. Jak zwykle żądała od niego, by okazał się lepszy, by wybrał najuczciwszy, najbardziej honorowy kierunek postępowania.

Janie, to takie proste!"

Z wolna kąciki jego ust podniosły się w uśmiechu.

- Sądzę, że mógłbym spróbować z tym dzieciakiem... - Zrób to... - szepnęła, a on słysząc jej głos pełen miłości, ufny

i szczerzy, wreszcie zaczął rozumieć, co znaczy kochać kogoś naprawdę.

Znowu przemknęło mu przez myśl, że to magia. Przyciągnął dziewczynę do siebie i pochylił się do pocałunku.

- Kocham cię! - wymruczał w usta kuszące słodkim smakiem „zoskwini.

Selena wspięła się na niego i popatrzyła uśmiechniętymi oczami „bramowaniu kasztanowych pukli. Koniuszki jej włosów łaskotały

„m barki.

- Teraz miałabym ochotę na jeszcze trochę seksu! - wyszeptła uwodzicielskim, z lekka ochryplym głosem,

aż łanowi dreszcz przebiegł po krzyżu.

- Ach, tak? - przesunął dłonią po łuku obnażonych pleców, aż dotarł do pośladków. Ujął całą garścią jeden z jędrnych pagórków. -Widzę, że stoi przede mną zadanie nie do pozazdroszczenia: nauczyć cię zachowywać się jak dama!

- To już umiem, łanie. -Zatrzepotała wdzięcznie rzesami i uśmiechnęła się. - Uprzejmie proszę o odrobinę seksu, jeśli to nie sprawi panu zbyteńgo kłopotu.

Roześmiał się w głos. Boże, jak dobrze było mieć ją przy sobie, leżeć w łóżku z kobietą swoich marzeń, w bezpiecznym schronieniu pełgających płomyków świec i ruchomych cieni na ścianach, wdychając słodki zapach brzoskwini i miłości -jak dobrze było leżeć tak i marzyć.

!Ytyślisz, że jest im tam dobrze? - syknęła Edith, zasłaniając usta pulchną dłonią. Johann zaśmiał się cicho.

- Myślę, że jest im lepiej niż komukolwiek z nas. Andrew w zakłopotaniu ściągnął brwi i utkwiał szeroko otwarte oczy w zamkniętych drzwiach sypialni łana.

- Nie wiem... tyle czasu już nie wychodzą. Lara zachlipała żałościwie:

- Stęskniłam się za Seleną! Królowa prychnęła pogardliwie:

- Taka dawka obłapek nikomu nie wyjdzie na zdrowie! Zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się w zamknięte na głucho drzwi. Już czwarty raz w ciągu tych dni zebrali się w wąskim korytarzyku przed apartamentami łana. Pierwszego dnia czekali z zapartym tchem. Każdy czuł nieopisane podniecenie, rozmyślając, jakie zmiany ujrzy w Selenie i łanie, gdy wyłonią się z ich kryjówki-Drugiego dnia podniecenie utraciło powab nowości i wkradł się wen cień niepokoju. Ktoś wypowiedział na głos dręczącą wszystkich wys'

że może za zamkniętymi drzwiami coś źle się dzieje. Teraz nastąpił dzień czwarty i tylko Johann zachował niezmacony spoi

Królowa Wiktoria już trzy razy podsuwała pomysł, by spalić dr2

broniące dostępu do sypialni, Andrew proponował, by zacząć pukać, Edith przyniosła szklankę w nadziei, że lepiej będzie słyszała odgłosy zza ściany... Maeve, która aż do poprzedniego dnia w ogóle nie zauważyła zniknięcia Seleny i własnego syna, teraz stała przed drzwiami zdecydowana coś przedsięwziąć, by dowiedzieć się, co się stało. Przepchnęła się przez zaś zalęknioną gromadkę.

- Dość już tego będzie! - Podniosła wiotką dłoń .kóji. zwiniętą w piąstkę i załomotała do drzwi. Z wnętrza dobiegło stłumione przekleństwo, w ślad za nim napłynął chichot i odgłos czegoś ciężkiego upadającego na podłogę. Maeve szarpnęła gałkę u drzwi i wtargnęła do pokoju, za nią cisnęła się reszta towarzystwa. Ujrzeni łana golusieńkiego jak go Pan Bóg stworzył: leżał na podłodze i zanosił się od śmiechu. Również naga Seleną leżała rozciągnięta na nim, a wokoło wałały się brzoskwinie, jabłka i reszta smakołyków. W dwunastu lichtarzach dopalały się ogarki świec. Z osmalonych knotów płynęły w sufit strużki błękitnawego dymu.

Seleną podparła się ramieniem, usiadła na kolanach łana i pomachała do intruzów.

- Jak się macie!

łan chwycił z łoża pomięte prześcieradło i omotał ją na wysokości biustu. Zachichotała.

- Ach, prawda, zapomniałam, że nie wolno mi pokazywać piersi Andrew... proszę, wybacz mi!

Zapadła głęboka cisza. Pierwszy przerwał ją cichym śmiechem Johann, potem do chóru dołączyła królowa, za nią Edith. Maeve Postąpiła krok do przodu; na jej twarzy nie widać było wesołości.

- Domyślam się, że niedługo będziemy mieli tu wesele! Seleną wyprostowała się.

- Naprawdę? Jakie to ekscytujące! - Nagle, jakby uderzona jakąś ^yślą, ściągnęła brwi. - Ale co to jest wesele? Oblicze Maeve stężało w niezwyklej u niej surowości. - Coś, co dwoje ludzi robi, zanim pójdą ze sobą do łóżka! Seleną zaśmiała się perliście. - Więc jest już na to za późno! „\*aeve nie zwracała na nią uwagi. Wyniośle zwróciła się do syna:

- łanie, oczekuję cię w salonie za dziesięć minut. - Zadarła „ródek i majestatycznym krokiem opuściła sypialnię, zmuszając

tym samym rozdziawionych z osłupienia towarzyszy, by podążyli za nią. Drzwi zatrzasnęły się za nimi z głośnym łomotem. Już na korytarzu Maeve zaczęła śmiać się cichutko, pod nosem.

łan sam nie wierzył w to, co robi. Zdążył się już ubrać i właśnie podążał mrocznym korytarzem do salonu,

gdzie oczekiwała go matka -prawdopodobnie z gotowym wykładem umoralniającym. Jego matka!

Zbiegł po schodach i skręcił do zalanej słonecznym blaskiem sieni. Światło podrażniło przywykłe do półmroku oczy i ponownie przypomniało, że oto opuścił przytulne miłosne gniazdko i powrócił do świata.

Drzwi salonu były zamknięte. Zapukał niecierpliwie i usłyszał stłumiony głos matki:

- Wejź!

Ujrzał Maeve obok kominka. Włosy upięła pospiesznie w kok, który chybotął się ryzykownie tuż nad lewym uchem. Stała wyprostowana, wcisnąwszy dłonie w kieszenie seledynowego kaszmirowego szlafroka. Coś się w niej odmieniło - ale nie byłby w stanie nazwać tej nieuchwytej zmiany.

Miedziane brwi powędrowały w górę czoła w ironicznym grymasie.

- Z niejakim zaskoczeniem stwierdzam, że potrafisz jeszcze utrzymać się na nogach. W zaistniałej sytuacji poczytuję ci to za nie lada sukces.

Nagle pojął, na czym polega owa zmiana: z oczu i postawy Maeve zniknął strach, wierny dotychczas towarzysz. Nie miała nerwowo wstążki, nie zerkała na niego spod przymrużonych powiek, lecz śmiało patrzyła mu prosto w twarz. Wyglądała na osobę trzeźwą i panującą nad sobą. W pełni.

Był z niej dumny.

- Doskonale wyglądasz, matko!

Kąciki jej ust wygiął zagadkowy uśmieszek.

- Doprawdy? - przyklepała włosy, wyczuła pod palcami źle upięty kok i zmarszczyła brwi. Bez namysłu podszedł do niej i poprawił fryzurę, zabezpieczając węzeł kilkoma szpilkami. Kiedy dotykał jej skroni, w mózgu pojawiły się obrazy. Myślała o jego ojcu i o Y - jak niegdyś poprawiał jej uczesanie, gdy stali dokładnie w tym samym salonie. Było to przed jakimś balem... nie, po kolacji...

Usiłował zapanować nad wizjami i odkrył, że gdy się mocno skupi, rozplývają się w niewyraźne, nieznaczące plamy kolorów i kształtów, a dźwięki tracą ostrość. Nie było to bardziej drażniące niż bzykanie komara nad uchem.

Cofnął rękę i popatrzył na matkę. Ujrzał dziwny wyraz jej twarzy i zorientował się, że oszołomił ją jego gest, tak dobrze znany w wykonaniu kogoś innego, kogo kochała. Wnet jednak opanowała się i powiedziała spokojnie:

- Dziękuję ci!

- Nie ma za co.

- Więc przespałeś się z Seleną. Oczywiście mówię „przespałeś” w sensie... romantycznym.

- Chyba nie sądziłaś, że czekamy nadzy, aż nam wyschną ubrania? Z ust Maeve wyrwał się krótki śmieszek.

- Nie bądź impertynentem, mój drogi! Ja tu staram się być ci... matką.

Uśmieszek spęłzył z jego oblicza. Popatrzył na kruchą, znużoną życiem kobietę i nagle pożałował wszystkich sytuacji, gdy ją ranił, kwitował wyższością odezwania nie z tej parafii i odpychał od siebie. Jakżeby chciał to wszystko odwołać!

- Zawsze nią byłaś - odezwał się cicho. „Więcej! - usłyszał podszept sumienia. - Powiedz jej coś więcej!” Ale nie mógł znaleźć słów. Czuł w gardle dławiącą gulę żalu i palącą potrzebę otrzymania rozgrzeszenia. W oczach Maeve stanęły łzy, wargi jej zadrżały.

- Nie... - szepnęła, łzy przelały się przez brzeg powiek i pociekły po policzkach. - Nie...

Jakżeby chciał pokonać dzielącą ich odległość, otrzeć łzy z jej oczu! „tal jednak jak wrośnięty w ziemię, nie mogąc się nawet ruszyć. Jego Wiadomość nie potrafiła ogarnąć podobnej bliskości między nimi. ^był wiele się wydarzyło, zbyt wiele wody upłynęło pod mostem, na „ym samotne dziecko oczekiwało na matkę. Zbyt głęboki i wzbu-^ony był nurt jego wspomnień, nabrzmiały utraconymi chwilami, ^m życiem braku porozumienia.

„teli nieruchomo przez chwilę, która rozciągała się w wieczność, łan °w, że nie tylko jego przytłoczył nieznośny ciężar. Matkę sparaliżo-

Podobny żal za utraconymi szansami. Na gzymsie kominka cykał i klanowy zegar, odmierzając miarowo uciekające sekundy.

Możesz ranić swoją matkę albo jej nie ranić, pomyślał. To prosta decyzja.

Myśl nadeszła jasna i jednoznaczna, jakby miał w sobie Selenę, która mu podpowiadała, nalegała, by zdobył się na odwagę i ryzyko.

„Dla ciebie wszystko jest takie proste, Seleno”.

„A dla ciebie takie trudne, lanie”.

Miała rację. Rzeczywistość kształtowały nieustanne wybory. Niektóre z nich były na szczęście równie proste jak ten: mógł sięgnąć ręką albo dotknąć matkę słowami i być może nie było to wiele, może nawet nie zdołałby naprawić wszystkich krzywd i zatrzeć raniących wspomnień ciążyących nad ich związkiem - ale mogłoby się w ten sposób wydarzyć coś, czego nigdy tak naprawdę nie dopuszczał do wyobraźni, choć nie przestał za tym tęsknić.

To mógł być początek.

Popatrzył na matkę i ujrzał srebrzyste ślady łez na pobladyłych policzkach. Na Chrystusa, gdybyż tak zdołał się przemóc i ją objąć! Ale jeszcze nie nadeszła pora. Mógł jedynie uczynić ten nieśmiały pierwszy krok.

- Matko, ja... strasznie mi przykro. Przepraszam cię za wszystko. Uświadomił sobie, jak niewiele jej dał - zaledwie blade odbicie uczucia, którego potrzebowała. Ale ona, zaskoczona przeprosinami, otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się drżącymi ze wzruszenia wargami.

- I ja cię przepraszam, lanie! - wyciągnęła dłoń, niemal przeźroczystą w smudze słonecznego blasku z wysokiego okna. Popatrzył na nią z odruchowym lękiem, który wnet ustąpił miejsca nadziei. Z wolna wplótł swoje palce między jej kruche paluszki i łagodnie uścisnął. Umysł zalało kłębowisko obrazów, aż w obronnym odruchu zacisnął powieki. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że wizje są piękne, a słowa wzruszają uczuciem.

„Kocham cię, lanie!”

Otworzył oczy i spojrzał na matkę. Ich spojrzenia spotkały się i stopiły w jedno, a łan zrozumiał, że tych słów nie potrafił *J* powiedzieć na głos - jeszcze nie teraz, nie bezpośrednio do niego. Zbyt wiele razy podstępnie ją zranił, by mogła mu łatwo zaufać. <sup>^</sup> była nawet pewna, czy czuła chwila między nimi należy do rzeczy

tości. W głębi duszy obawiała się, że wciąż pozostaje w

Jasnego obłąkanego umysłu, że tworzy złudne wizje, że jutro obudzi

(się i wyjdzie mu na spotkanie - a on ją zignoruje, jak dawniej. lOdezwał się cicho:

l - To się dzieje naprawdę.

l Nie odpowiedziała, tylko skinęła głową, a po policzku potoczyła

l się następna łza. Odchrząknęła i zapytała:

- Jak masz zamiar postąpić w stosunku do Seleny?

- Postąpić? Cóż za dziwne pytanie. Oczywiście zamierzam się ; nią ożenić!

- A czy już ją poprosiłeś o rękę?

- Nie. Ale to ostatecznie zwykła formalność. Maeve parsknęła śmiechem.

- Kiedy się ma do czynienia z Seleną, nic nie jest zwykłą formalnością! łan zawtórował jej i zadziwił się, jak dobrze pasują do siebie ich roześmiane głosy.

- Z pewnością masz rację. Ona musi najpierw pojąć sens instytucji małżeństwa, zanim się na nie zgodzi! - Urwał i zmarszczył czoło w zamyśleniu. - Och, do diabła...

- Tak - zgodziła się Maeve. - Możemy spodziewać się problemów.

W szycy zebrali się w gabinecie, czekając na Maeve i łana. W dusznym pomieszczeniu panowała ciężka cisza, jak gdyby nikt nie wiedział, co powiedzieć. Seleną przenosiła spojrzenie z jednej twarzy na drugą i czuła za każdym razem nową falę miłości. Byli jej rodziną. Uśmiechnęła się szeroko.

- Wszyscy macie takie nasępięte miny... z wyjątkiem Johanna. - Podeszła do niego, a jej uśmiech jaśniał z każdym krokiem. - Ty Siedziałeś, prawda? - Johann szczyrzył zęby w nie mniej promiennym „śmiechu.

- Owszem... A więc?

Królowa podparła się z rozmachem pod boki i wydała z siebie „bąknięcie donośne niczym hejnał myśliwskiego rogu.

- Więc - co? Nikt nie ma prawa mieć przede mną sekretów -w „tóiir. własnym królestwie!

kleiła nie zdołała się powstrzymać i roześmiała się w głos, i<sup>^</sup> Upomnienia upojnych chwil powlekły jej

policzki rumieńcem.

- To było wspaniale... - szepnęła do Johanna.

- Czy okazałaś się... wiesz czym?

- Do cholery! - zasyczała królowa. - Czy była... czym? - Krokiem dragona podeszła do Johanna i zdzieliła go w głowę złożonym wachlarzem.

- To żaden sekret. Wasza Wysokość - odezwała się Selena. - Johann chce wiedzieć, czy byłam dziewicą. Tym razem władczyni trzepnęła Johanna otwartą dłonią.

- Cóż za nieprzystojne pytanie, by je zadawać damie! - Po czym zwróciła się do Seleny: - No i co, byłaś?

- Byłam! - odrzekła dziewczyna i uśmiechnęła się szeroko. - Ale już nie jestem. Poza tym. Wasza Wysokość, to było... no... wspaniale. Królowa westchnęła sentymentalnie.

- To niezaprzeczalnie jest wspaniale...

- Seleno! - dobiegł ich tubalny głos łana. Wszyscy odwrócili się i ujrzeli go na progu pokoju. - O czym ty mówisz, na litość boską?

Był taki przystojny, męski, wysoki i kochający, że niemal roztopiła się z czułości i zapragnęła podbiec do niego, zarzucić mu ramiona na szyję i całować. W każdy centymetr ciała! Odpowiedziała na jego pytanie:

- Mówię o seksie.

- Damy nie rozprawiają na takie tematy! Zmarszczyła czoło.

- To znaczy, że mogę to robić, ale nie mogę o tym rozmawiać? Wyglądał, jakby w gardle utkwilo mu coś gorzkiego.

- No, to niezupełnie tak...

- Słuchaj, ależ to absurdalne! Jeśli wolno mi cię całować w...

- Dość! - krzyknął. - Wszyscy wynocha! Królowa zjeżyła się gniewnie.

- Cholernie mało prawdopodobne, młodzieńcze, bym usłuchała tego rozkazu. Sytuacja zaczyna się robić interesująca.

Przez chwilę łan milczał i wyglądało na to, że wybuchnie wrzaskiem, ale gdy się odezwał, był to ledwie dosłyszalny szep:

- Chciałbym zadać Selenie pewne pytanie.

Dziewczyna powiodła wzrokiem po twarzach przyjaciół, ktöffy gapili się na łana w niedowierzającym oszołomieniu, jakby wiedzi coś, o czym ona nie miała pojęcia. I wszyscy nie wiedzieć czeir szczerzyli zęby. Królowa ponagliła:

„ - Pospiesz się! Mężczyzna to istota tak zmienna, że nie powinien się zastanawiać!

- Owszem - zawtórowała Edith. - Mężczyzna tak łatwo traci odwagę...

Johann popatrzył na łana i na jego obliczu pojawił się osobliwy uśmiech.

- Ten jej nie straci, bo właśnie ją odnalazł!

Nagle wszyscy mieszkańcy Domu Zapomnienia zaczęli szurać nogami w stronę drzwi, jak wielka stonoga, zacierająca dłonie z niepojętej dla Seleny uciechy. Drzwi zamknęły się za nimi i zostali sami. Selena poczuła w sercu drgnienie niepokoju.

- łan... nie pojmuje...

Rzucił jej uśmiech wymuszony, a zarazem pełen napięcia, i niezdarnie zaczął przeszukiwać kieszeń. Podszedł do niej i odgarnął swawolny kosmyk włosów, który opadł na czoło, po czym ukląkł przed nią.

- Seleno...

Za jego plecami ujrziała przez cienkie zasłony w oknie całą gromadkę. Tłoczyli się na werandzie tak, by każdy mógł zajrzeć do pokoju i nie stracić ani sekundy widowiska. Jej uszu dobiegł pomruk męskich głosów, w który wdarło się głośnie „Zamknijcie się!” królowej. Szepty ucichły jak ucięte nożem.

łan zwilżył wargi i spojrzał niepewnie na dziewczynę, wyciągając z kieszeni przepiękny pierścionek.

- Seleno, czy uczynisz mi ten honor i zostaniesz moją żoną?

Zza okna dobiegł stłumiony odgłos aplauzu.

łan zmroził rozentuzjasmowaną gromadkę morderczym spojrzeniem •odwrócił się z powrotem do Seleny. Nie wiedziała, co ma powiedzieć an! uczynić. Nie miała pojęcia, jak się postępuje w takiej sytuacji. ^y

pierścionek był podarunkiem? A te słowa, które zabrzmiały jak Jakieś ważne zakłęcie?

- Nie rozumiem. Chciałbyś może, byśmy się stali małżeństwem?

Odetchnął, jakby wielki ciężar spadł mu z piersi.

- Tak!

• Czemu?

^ Bo cię kocham.

-^miechnęła się czule.

- Ja czuję do ciebie miłość tuż... też. Ale co to ma wspólnego z małżeństwem?

Rozważnie dobierał słowa.

- Małżeństwo to obietnica, że zostanie się razem na zawsze.

- Oczywiście, zostaniemy razem na zawsze! Obiecuję ci to w tejże chwili w obliczu Boga. Więc tak zawarliśmy małżeństwo.

- Nie. To nie tylko prywatna obietnica, ale ceremonia dopełniająca pewnych wymogów. To prawne zobowiązanie. Musimy złożyć przysięgę przed pełnomocnym przedstawicielem kościoła lub urzędu państwowego.

Zmarszczyła czoło.

- Samo moje słowo nie jest dość wiążące? Potrząsnął głową.

- Nie.

- Ale ja nie potrzebuję nikogo, kto by zatwierdził prawdziwość mojej przysięgi. Ja obiecałam, a jestem człowiekiem honoru i dotrzymam przysięgi. To wystarczy.

Zasłonił twarz dłonią.

- Do diabła! Wiedziałem, że będą problemy. Nie rozumiesz...

- Nie jestem na tyle uszkodzona, by nie rozumieć słów, lanie. Ale cały ten pomysł małżeństwa wprawia mnie w z mieszanie, bo nie rozumiem sensu. Złożyłam przysięgę, o którą mnie prosiłeś... a tu okazuje się, że to nie wystarcza. Chcesz czegoś więcej i sądzisz, że nie pojmuję, na czym polega istota owego „prawnego zobowiązania”, które pragniesz na mnie wymusić... i tu się mylisz. Wcześniej) sprawdziłam w wielkiej księdze słów termin „małżeństwo” i dobrze pojęłam jego znaczenie. W małżeństwie kobieta to żona, a żona stanowi własność mężczyzny, który ją poślubił. Krowy też stanowią podobną własność, lanie... - Głos jej się załamał. - Bydło!

Zaklął pod nosem.

- Tak.

- Nie zamierzam stać się czyjąś krową. . Z jego ust wydarł się urywany śmiech, potem powoli podni głowę i spojrział na nią oczami, z których uleciała poprzednia surow. Zamiast niej ujrzała miłość, zrozumienie i szacunek. . ,l

- Jak zwykle, umiałaś prawidłowo naświetlić zagadnienie - ^ się. Położył pierścionek na stole i nie wstając z klęczek przysuń^

Rizej. - Przyznaję, że z punktu widzenia kobiety małżeństwo nie ma większego sensu, bo mężczyzna niczego nie musi poświęcać, podczas gdy ona wyrzeka się wszystkiego na rzecz małżonka. Przynajmniej •tak sprawa wygląda według słownikowej definicji.

- Tak - przytaknęła z dumą. - Właśnie tak to rozumiałam.

- Ale jest coś więcej - ściszył głos do szeptu, który przejął ją dreszczem biegnącym po krzyżu. - Zapomnij o moralnych i prawnych względach związanych z małżeństwem, bo nie dla nich proszę cię o zgodę na nie. Proszę cię, byś mnie poślubiła z przyczyn dalece bardziej ważkich, zarazem niezwykle prostych i niesłychanie złożonych. Seleno, odmieniłaś mnie, nauczyłaś postrzegać świat oczami człowieka, który naprawdę widzi, nauczyłaś kierować się przy podejmowaniu decyzji kwestiami dobra i zła i ufać w stare zasady moralności, honoru, miłości i zobowiązań. Dlatego właśnie przychodzę dzisiaj do ciebie, ofiarowując ci ten pierścionek, który należał do mojej matki... nie dla zdobycia tytułu własności do ciebie w obliczu prawa czy za błogosławieństwem kościoła. Ta prośba wypływa z mojego egoizmu i niczego więcej: kocham cię. Jesteś moim światem.

- Och, lanie...

- Wyjdź za mnie, bo jestem słaby, samolubny i nieoświecony -szepnął ochryple. - Bądź moją małżonką, bo tak bardzo cię potrzebuję! Dotknęła czubkiem palca jego policzka.

- Potrzebujesz, bym stała się twoją żoną?

- Tak.

- Kiedy?

Uśmiechnął się promiennie.

- Co powiesz na przyszły wtorek? Odpowiedziała równie promiennym uśmiechem.

- Wtorek znakomicie będzie pasował! Tłumek za oknem oszalał.

## 21

Ian czuł się jak kompletny głupiec.

Stał na werandzie i spoglądał na dziewczynkę niemal niewidoczną wśród paproci na skraju zagajnika. Była zupełnie sama. Siedziała w kucki, przyciskając do piersi szmacianą lalkę.

I co teraz? Ma podejść do niej jak gdyby nigdy nic i powiedzieć:

„Cześć, Lara. Selena chce, żebym zabawił się w twojego tatusia”?

Żałował, że jej to obiecał. Że myśl o tak zwariowanej obietnicy mogła mu w ogóle przyjść do głowy. Zerknął na drzwi za sobą, ale wiedział, że nie może wrócić, bo zastałby tam Selenę i musiałby stawić czoło jej spojrzeniu, pełnemu wyrzutu i rozczarowania. Postąpił niepewnie do przodu. Zaskrzypiały stare deski werandy. Skrzyżował ramiona na piersiach i zmusił się, by iść dalej, w dół schodów, przez szmaragdowy dywan gazonu. Zatrzymał się wreszcie, rozplótł dłonie i opuszczył ręce wzdłuż boków.

- Jak się masz, Laro?

Powiew wiatru zaszeleścił gałęziami, poniósł jego zdławione po' witanie w gęstwinę lasu. Zaskoczona Lara pisnęła i odwróciła się ° niego w takim popłochu, że zachwiała się i przewróciła na bok. Lalka wypadła jej z dłoni i potoczyła się po ziemi, aż zderzyła się z g,131" towym głazem i spoczęła nieruchomo z przekrzywioną sziaci główką. Dziewczynka niezgrabnie zaczęła gramolić się na a°S" bełkocząc:

- D.-.doktor Carrick... ^ Przywołał na twarz najbardziej kojący uśmiech, na jaki go było

‘ - Nie bój się, dziecko! - słowa pociechy same jakoś spłynęły mu z ust. Podeszedł nieco bliżej, przykucnął, a potem usiadł wprost na ziemi obok wciąż spłoszonej dziewczynki. Ona tymczasem poderwała się chwiejnie na nogi i zerknęła przez ramię w stronę domu.

- Cz...czy zrobiłam coś nie tak...?

Zalała go fala piekącego wstydu na widok nieskrywanego lęku małej.

- Ależ nie, Laro! Chciałem sobie po prostu z tobą pogawędzić, spędzić trochę czasu. Szeroko otworzyła oczy.

- Naprawdę?

- Pomyślałem, że może czujesz się tutaj trochę samotna.

Dolna warga dziewczynki zadrzała. Przygryzła ją drobnymi ząbkami.

- Ja... bardzo często czuję się samotna.

To ciche, pozbawione emocji przyznanie ścisnęło mu serce żalem. Nagle poczuł się zadowolony, że przemógł się i podeszedł do niej. Usiłował znaleźć odpowiednie słowa na początek, ale jak się dociera do dziecka? Nie miał pojęcia, czy uda mu się coś zdziałać, bo dysponował jedynie zrozumieniem. Ale może właśnie to wystarczy?

- I ja niegdyś często bywałem samotny. Kiedy byłem w twoim wieku.

- Naprawdę?

- Czasami życie jest strasznie ciężkie, co? I trochę przerażające. Powoli przysunęła się bliżej. Podniosła lalkę, przytuliła ją do piersi i usiadła tuż przy nim. Czekał, żeby się odezwała, ale ona tylko siedziała i patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami. Wyciągnął z kieszeni niewielki tomik.

- Może chcesz, żebym przeczytał ci historyjkę?

Usta dziecka wygięły się w uśmiechu szczęścia.

Otworzył książkę i zaczął jej czytać głosem czystym i pewnym ^śń o Kopciuszku.

Kiedy doszedł do miejsca, gdy Kopciuszek wybiera się na bal, ^a poruszyła się, przysunęła jeszcze bliżej i

przez chwilę wydało mu się, że położy mu głowę na ramieniu. Gdy tego nie uczyniła, ^ zdziwieniem stwierdził, że czuje mimowolny żal.

Kiedy bajka się skończyła. Lara spojrzała na niego błyszczącymi Czarni.

- Jaka piękna historia!

Miał ochotę wyciągnąć dłoń, odsunąć potargane włoski z twarzy... ale nawet nie drgnął. Czuł się niezręcznie: gorąco pragnął jej pomóc, lecz nie wiedział jak. Otworzył usta, by coś powiedzieć, sam nie mając jeszcze pojęcia co... i nagle w powietrzu nad ich głowami rozległ się cienki skrzek i z gniazda wysoko na drzewie wypadło maleńkie pisklą, uderzając o ziemię jak bezwładna kupka pierza. Leżało z przekrzywioną główką, żółtawy dzióbek otwierał się i zamykał, złamane skrzydełko opierało o ziemię pod nienaturalnym kątem, łan zgarnął pisklą w dłoń.

- Biedactwo... - zamruczał. Lara wpatrywała się w ptaszka jak w cud.

- Mogę go dotknąć?

łan oparł dłoń na zgiętym kolanie.

- Proszę.

Niezdecydowana, patrzyła na niego przez chwilę, po czym wysunęła łapkę i różowe paluszki zaczęły głaskać opierzoną główkę. Podniosła uśmiechnięte oczy:

- Och, to takie mięciutki...

Pochyliła się niżej i pieściła ptasią główkę, jak poprzednio szmacian-ką laleczkę. Wreszcie wyszeptwała:

- Lepiej fruń do domu, pisklaczku!

- Zdaje się, że ma złamane skrzydełko - odezwał się łan. Lara zachłysnęła się.

- Czy ptaszek umrze? - zakwiliła głosem podobnym do ptaszcęgo lamentu. W pierwszej chwili chciał odruchowo udzielić obiektywnej odpowiedzi, jak lekarz klinicysta: „Tak. Ten ptak jest prawdopodobnie skazany na śmierć”. Ale spojrzął w pełne nadziei oczy Lary i poczuł, że coś w nim mięknie. Nagle zdał sobie sprawę, że bezwzględna szczerłość zawsze była tarczą, którą zasłaniał się przed niechcianymi rozmowami i odpychał uczucia, które były dla niego niewygodne. Pozorna uczciwość pozwalała mu uciec od prawdziwej odpowiedzialności. Kiedy tak siedział na skraju zagajnika w towarzystwie opóźnionej w rozwoju dziewczynki i pisklęcia o złamanym skrzydle, pojął, jak bardzo błędził. Zazwyczaj były bowiem dwie prawdy: taKa> która zawierała w sobie ziarno nadziei, i taka, która była J@! pozbawiona.

- Być może, gdyby dostawał codziennie pokarm, odzyskałby „^

- Moglibyśmy podrzucić go z powrotem do gniazdka. Tam byłoby bi chyba lepiej.

l - Jego matka nie będzie się już chciała nim zajmować. t- Bo ma złamane skrzydełko?

P-Skinął głową, a ona na chwilę odwróciła wzrok. Gdy znowu ujrzał Fjej oczy, były pełne łez.

- Mamusie nie lubią połamanych dzieci, prawda?

- Och, Laro! - wyszeptał i raptem zapragnął naprawić wszelkie krzywdy wyrządzone temu dziecku o wielkich oczach i przyciszonym głosiku, usunąć ból, który tkwił głęboko w jej duszy. Wiedział, że nie mówi o ptaszkach, tylko o swojej matce. Przypomniawszy sobie kobietę, która tyle lat temu przywiozła tu Larę... dawno, kiedy dziewczynka była jeszcze rozchichotany, szczęśliwym dzieckiem, gotowym śmiać się z byle czego.

Jezu Chryste, jak udało mu się wygrzebać to wspomnienie z pamięci zatrutej morzem whisky? Cały czas czekało, przyczajone w mroku zapomnienia, by teraz wystrzelić do niego jak śmiercionośna strzała.

Małe, spragnione uczucia dziecko... a on nawet nie wyciągnął do niej ręki, nie osuszył łez strachu po odjeździe matki. Nie uczynił nic. Po prostu wziął pieniądze tej kobiety i przyjął jej córkę pod opiekę. Ale nic nie powiedział, ani słowa!

Przełknął z trudem bolesny kłęb śliny, która zaległa w gardle.

- Przepraszam cię, Laro! Zamrugła oczami.

- Za co pan przeprasza?

Tak bardzo cię przepraszam, powtórzył w myślach. Tym razem odważył się jej dotknąć, przelotnym gestem ścierając łzę z puciołowatej buzi. Poczuł przyływ przejmującego bólu istoty nierozumianej i odrzuconej, który wypełnił jego umysł jak czerwonawa mgła udręki, ^gubienia i utraty. Wstyd przejął go do samego dna duszy. Co ma J6J teraz powiedzieć? Jak ma zadośćuczynić za cierpienie, które Przedłużał, a



nawet pogłębiał swoją egoistyczną ślepotą?

Nie było takich słów. Nic nie mógł uczynić...

- Będę już inny - powiedział półgłosem.

Lara zmarszczyła czoło.

- Doktorze Carrick?

Wiedział, że nie rozumiała, ale to i tak nie miało znaczenia. Selena

się nie myliła: przeszłość nie przesłaniała życia. Liczyła się przyszłość i wybory, które się czyni w teraźniejszej chwili. Posłał dziewczynce ciepły uśmiech.

- Posłuchaj, może poszukamy jakichś robaczków dla tego maleństwa? Moglibyśmy też urządzić mu coś w rodzaju gniazdka z kłębów bawełny z jakiejś starej kołdry, co?

- Naprawdę?

- Naprawdę! - wstał i uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Chodź!

Złapała swoją lalkę i zerwała się na nogi. Zrobiła krok w stronę domu, ale zatrzymała się nagle i nie oglądając się, wyciągnęła do niego rękę. Widział zbliżającą się dłoń i choć raz w życiu nie starał się uniknąć kontaktu, nawet go oczekiwał.

Wizja nadeszła bez ostrzeżenia i niemal zbiła go z nóg, bo z umysłu małej zniknął wszelki ból, a jego miejsce wypełniło dziecięce podniecenie: „Mam nadzieję, że ja pierwsza znajdę robaczka... trzymaj się, pisklaczku, już ja się tobą zaopiekuję!”

I nagle zdał sobie sprawę, że udało mu się! Nie potrzebował niczego poza bajką i odrobiną serdeczności, by przywrócić temu dziecku uśmiech i dać chociaż chwilę nadziei. Spojrzał na małą rączkę spoczywającą umie w jego dłoni i jego serce wypełniło się nieopisanym szczęściem. Niech to diabli, jeśli nie czuł się jak ojciec - pierwszy raz w życiu!

Razem poszli na poszukiwanie robaków.

Helena zapukała do drzwi pokoju Maeve. Usłyszała szuranie stóp i zdyszane: „Proszę wejść!” Przekręciła mosiężną gałkę i otworzyła drzwi, znajdując za nimi pomieszczenie wypełnione słonecznym blaskiem. Zaskoczona, stanęła w progu. W sypialni królowało obszerne łóże przykryte biało-żółtą jedwabną kapą i zarzucone wysokimi stosami koronkowych poduszek. Ściany pomalowano na ciepły żółty kolor i gdzieś tam dodano tapetę w słodkie różane pączki. Jedną stronę pokoju zajmowały szafki biblioteczne wypełnione książkami, ozdobnymi drobiazgami i wypchanymi zwierzątkami, które wyginały jak prawdziwe. Koło marmurowego kominka ustawiono wygodną *SOK* pokrytą pomarańczowo-żółtym obiciem z mnóstwem poduszek w barwne kwiaty. Mebel aż się prosił, by na nim usiąść. Nad kominku

wisiał obraz w złoczonej ramie, przedstawiający nagą kobietę, ledwie przesłoniętą całunem z migotliwej złotej tkaniny. W dolnym rogu widniał zamaszysty podpis malarza tego dzieła, wykonany grubą czarną kreską: Jonasz. Selena rozglądała się z nabożnym podziwem.

- Masz piękną sypialnię, Maeve - powiedziała. Kobieta podziękowała jej uśmiechem.

- Cieszę się, że ci się podoba, no i dziękuję, że przyszłaś. - Odwróciła się i zaczęła przeszukiwać zawartość przepastnej szafy. Wreszcie wyciągnęła spomiędzy sukien przepiękną kreację z jedwabiu w odcieniu akwamaryny i bukiet suchych kwiatów. - Masz! - rozłożyła szatkę na łóżku i starannie wygładziła fałdy spódnicy. - To była moja suknia ślubna. Chcę, żebyś teraz ty ją włożyła.

Selena wolnym krokiem podeszła do łóżka, wpatrzona w suknię, która była zaiste niezrównanym dziełem sztuki krawieckiej. Skubnęła palcami rąbek spódnicy, podziwiając miękkość tkaniny, obfitość koronek w odcieniu kremowym, które ozdabiały śmiałe wycięcie dekoltu, zwiewne falbany rękawów, zakończone eksplozją koronek u mankietów.

- Och, Maeve... - wyjąkała.

- Przymierz ją. Mamy zaledwie pięć dni do ślubu, a mogą się okazać konieczne jakieś poprawki - powiedziała i podeszła do komody, szarpiąc kolejne szuflady. Niebawem naręcze koronkowych cudeniek urosło w pienisty stos. Selena ujrzała pośród nich narzędzie tortury, zwane gorsetem, i wzdygnęła się.

- Tego nie nałożę!

Maeve zaśmiała się z pobłażaniem.

- Gorset i ślub to nierozłączna para towarzyszy. Taka już jest tradycja!

- Ja nie słucham tradycji... i nie zamierzam paść zemdlona przy Pierwszym ukłonie.  
- Ależ wszystkie kobiety to robią! Przy moim ślubie damy osuwały się na posadzkę sali balowej jak muchy w upalny dzień! - To nie ma sensu! Maeve wzruszyła ramionami.

- Większość życia jest go pozbawiona, moja droga... ale jedno ^g^ ci powiedzieć: nie wciśniesz się w tę suknię bez gorsetu °Pinającego talię!

Selena westchnęła i podeszła do Maeve, skubiąc sztywne fiszby gorsetu.

- Kto wymyślił ten... ubiór?

- Mężczyzna. Czy to nie wystarczający dowód wrodzonego zła ich natury? - Maeve uśmiechnęła się szeroko.

- Czy damy naprawdę nie mają ani kropli własnego rozsądku w głowach? Przynajmniej niektóre powinny zdobyć się na odwagę i wyśmiać konstruktora tego świństwa!

- Święta prawda, moja droga. A teraz włóż to. Selena westchnęła.

- Wiesz co, Maeve? Czasami myślę sobie, że wolę cię w napadzie szaleństwa niż przy zdrowych zmysłach. Maeve zaśmiała się ponownie.

- Zaczekaj tylko dziesięć minut!

Selena stała nieruchomo, chwyciwszy się słupka łóżka, biernie pozwalając na zabiegi Maeve, która przez dziesięć minut rozciągając się w nieskończoność ubierała ją... ubierała... ubierała. Koszulka, majteczki, pończochy, pas, niezliczone warstwy haleczek, rękawiczki, bluzeczka bez rękawów... dawno zgubiła rachubę szmatek, w które ją odziano, kiedy wreszcie Maeve ostrożnie wsunęła jej przez głowę jedwabną suknię. Pastelowy turkus zamigotał w promieniach słońca i szeleszczącymi fałdami ułożył się wokół kostek dziewczyny.

Selena poczuła się jak kopciuszek z baśni. Okręciła się dokoła, obserwując swoje odbicie w wysokim lustrze szafy. Po chwili odezwała się, zdumiona:

- Maeve... wyglądam tak pięknie.

- Tak - zgodziła się Maeve tonem iście macierzyńskiej dumy. -Twoja matka, gdziekolwiek jest, byłaby zachwycona!

I zanim dziewczyna mogła coś odpowiedzieć, Maeve wzięła ją za rękę i poprowadziła do ozdobnej toaletki z orzechowego drewna. Gestem poleciła jej usiąść przed owalnym lustrem. Wyszukała wśród inkrustowanych przyborów na blacie szczotkę i zaczęła pieczołowicie szczotkować lśniące kasztanowe sploty.

- Większość panien młodych w moich czasach ubierała się na białe. Ja już wtedy byłam odmieńcem - szepnęła z wielo mówiacym wruszeniem. Selena popatrzyła na twarz starszej kobiety w lustro i jej uwagi nie umknął ból w jej oczach i znużonym głosie.

- Czy zawsze byłaś... odmienna?

Na twarzy Maeve odmalowało się chwilowe zaskoczenie, jak gdyby pytanie dziewczyny było zbyt osobiste, lecz niebawem uśmiechnęła się swobodnie.

- Najsmutniejsze jest to, że rzeczywiście nie zawsze tak było. To znaczy, odkąd pamiętam, słyszałam głosy, ale sądziłam, że wszyscy je słyszą. Tylko że gdy byłam jeszcze dzieckiem, one mnie nie wstrzymywały, nie rozkazywały... po prostu były obecne, szeptały i śmiały się cichutko, towarzysząc mi wszędzie, zachęcając, bym dążyła naprzód. Kiedy miałam szesnaście lat, zakochałam się w Herbercie. On dobiegał wówczas trzydziestki, ale siła jego miłości do mnie nie ustępowała mojej. Nie zastanawiając się długo, wzięliśmy pospieszny ślub i przez jakiś czas byłam tak szczęśliwa, że głosy w mojej głowie ucichły, a napady depresji, które towarzyszyły mi od dzieciństwa, przeszły jak ręką odjął. Miałam nadzieję, że tak już zostanie. Myślałam... -Wzruszyła ramionami, wpatrując się w przestrzeń ponad ramieniem Seleny. - Byłam młoda i naiwna. Sądziłam, że doskonałość przetrwa wiecznie. Niemal natychmiast zaszłam w ciążę i urodziłam lana.

Zniżyła głos do szeptu, a palcami zaczęła nieświadomie przeczesać włosy Seleny.

- Pamiętam jak dziś, kiedy zaczęła się zmiana, początek końca. Bałam się karmić piersią. Potrafisz to sobie wyobrazić? - Podniosła wypełnione łzami oczy i zapatrzyła się we własne odbicie w lustrze. -Myślałam, że

niemowlę wysie ze mnie życie.

- Och, Maeve...

- Początkowo starałam się ukryć swoje obawy przed Herbertem, śle on zawsze wszystko zauważał, więc rychło odkrył moje uczucia. I wtedy głosy wróciły, tylko już bardziej natarczywe, podszeptując mi złowróżnym skrzekiem, że Ian to wcielenie zła, które chce mnie ^bić, a Herbert już mnie nie kocha. Zaczęłam z nimi rozmawiać... I z nieobecnymi osobami. Robiłam wszystko, by zmusić je do odejścia, zaliłam głową o kamienny mur... ale nic nie działało. One zawsze Wracały, a gdy stawały się nie do zniesienia, uciekałam przed nimi w głąb siebie. Wyobrażałam sobie, że skulona w kłębek przebywam ^ciepiyni, zacisznym pokoiku, w którym panuje bezpieczny półmrok. O Jakimś czasie głosy cichły... ale zawsze wracały.

Selena przypomniała sobie, że już kiedyś widziała Maeve skuloną na podłodze, kołyszącą się rytmicznie, mruczącą coś pod nosem, głuchą na wszelkie odgłosy zewnętrznego świata. Nie zwracała uwagi na nikogo, nie odpowiadała na wołania. W końcu trzeba ją było, wciąż skuloną, zanieść do łóżka.

Maeve odłożyła szczotkę na marmurowy blat toaletki i przyklęła przy dziewczynie.

- Ale przecież nie zaprosiłam cię tutaj, żeby ci opowiadać o tych smutnych rzeczach. A może... może właśnie tak? Chyba chciałam ci powiedzieć, jaka jestem szczęśliwa, że wychodzisz za mojego syna, że cię kocham i witam z otwartymi ramionami w mojej rodzinie. I jeszcze chciałam ci obiecać, że... - urwała i przełknęła ślinę, spuściła głowę na dłonie złożone bezwładnie na kolanach.

- Co, Maeve?

Z wolna uniosła głowę i spojrzała Selenie prosto w oczy.

- Nie powtórzę dawnych błędów. Nie przestraszę twoich dzieci, Seleno - przysięgam! Będę się trzymała z daleka, będę je oglądać z okna, a dotykać tylko w nocy, gdy będą pogrążone we śnie.

- O czym ty mówisz, Maeve?

- Nigdy nie miałam nadziei, że kiedykolwiek uda mi się spojrzeć w bezdenny błękit oczu mojego syna i poczuć Coś innego prócz hańby i wstydu za swój obłęd, który mu zniszczył dzieciństwo. Ale ty go odmieniłaś, sprawiłaś, że złagodniał i zaczyna do mnie wracać. - Łzy zaczęły płynąć po jej policzkach, olbrzymie i ciche. - Nigdy nie uczyniłabym nic takiego, co by przestraszyło jego dzieci... przekaz mu to ode mnie, Seleno.

Dziewczyna pogładziła wilgotny policzek Maeve.

- Och, Maeve... nasze dzieci nigdy nie będą się ciebie bały. O” początku powiemy im, że babcia miewa dobre i nieco gorsze dni-ale mimo to zawsze je kocha. Będą o tym wiedziały i to wystarczy, by nigdy nie poczuły przed tobą lęku.

- Nie - Maeve potrząsała głową z cichym uporem.

- Tak! - odparowała stanowczo Seleno, wkładając w to krótkie słowo całą moc swej wiary. - Dawno temu to właśnie powinien „Y powiedzieć Ianowi Herbert.

Maeve przysiadła na stopach i zwiesiła nisko głowę.

- Będę się modlić, by się okazało, że masz słuszność.

- Nie musisz się modlić, Maeve. Wystarczy, że uwierzysz.

Ian odchylił się na oparcie fotela i skrzyżował ręce na piersiach.

- Szach i mat!

Johann studiował szachownicę, na której pozostało już tylko kilka kluczowych figur: król i królowa lana, jego własny goniec.

- Niech to diabli!

- Dwa do zera dla doktora Carricka - ogłosił Andrew z szerokim uśmiechem.

Johann odpowiedział mu zrezygnowanym grymasem. i - Zaproponowałbym zmianę oręza na pokera, ale biorąc pod uwagę ytwoją rozpustną przeszłość, miałbym w tej oszukańczej grze jeszcze [mniej szans! Hej, a co powiesz na szarady? Nie, jesteś za bardzo I napuszony własną powagą, by umieć dobrze odegrać żywy obraz...

Ian otworzył usta, szykując się do ciętej repliki, lecz przerwał mu odgłos końskich kopyt i turkot powozu

na podjeździe. Andrew, Edith i królowa równocześnie poderwali się na nogi i pognali do frontowych drzwi. Ściśnięci jak śledzie, gapili się przez niewielkie okienko w ich prawym skrzydle. Edith zastanawiała się na głos:

- Kto mógł wybrać się w podróż w taką pogodę? Leje jak z cebra!

- To jakiś stary człowiek na jeszcze starszym wozie - odpowiedział Andrew. Królowa sapnęła i zgięła się w ukłonie do ziemi.

- To Albert! A więc przyjechał po mnie... nareszcie! Edith mlasnęła językiem.

- Jeśli tak ma wyglądać królewska karoca, źle się musi dziać w krainie tego władcy.

Łan oparł się dłońmi o brzeg stolika do gry, wstał i wolnym krokiem podszedł do drzwi. Otworzył je i stanął w przejściu, patrząc, jak wóz zatrzymuje się trzeszcząc i skrzypiąc, a z siedzenia woźnicy gramoli si! mężczyzna. Przybysz skierował się żwirową ścieżką w stronę ganku.

Był to masywnie zbudowany mężczyzna o barczystych ramionach i niuskułach jak u wieśniaka. Jego twarz kryła się w cieniu kapelusza o szerokim rondzie. Mokry od deszczu filc opadał na uszy i kark. 'tómnobrązowy garnitur i czarne buciory dopełniały stroju podróżnego.

Mężczyzna doszedł do schodów ganku i zatrzymał się na chwilę, P° ^ym, nie podnosząc głowy, rozpoczął powolną wspinaczkę po ,'^ypiących stopniach. Kiedy wreszcie znalazł się na werandzie, h ^nął z głowy kapelusz i wsunął go pod ramię, mocno przyciskając

łokciem, aż zgniół filcowe rondo w harmonijkę. Edith i królowa wrzasnęły jednym głosem i cofnęły się w panicznej ucieczce.

Odsłonięta twarz mężczyzny była zdeformowana straszliwymi bliznami - najwyraźniej starymi, pochodzącymi sprzed wielu lat. Kość policzkową przecinała brzydka, czerwona szrama, która ściągała powiekę lewego oka w dół, niemal zakrywając źrenicę. Jedno ucho ziało czarnym otworem w środku pofałdowanego wybrzuszenia, jakby pozostałości po głębokim oparzeniu. Lewa strona czaszki była niemal łysa, zachowały się na niej tylko rzadko porozrzucone, nastroszone kępki; za to prawą pokrywała gęsta czupryna, przycięta na jeża.

- Dzień dobry - odezwał się łan. - Jestem doktor Carrick. Przybysz odwzajemnił się uśmiechem, który rozciągnął blizny w groteskowym grymasie.

- Nazywam się Elliot Brown. łan wskazał gestem:

- Proszę wejść!

Gromadka tłocząca się za jego plecami rozproszyła się jak stadko wróbli, kryjąc się w ciemnych kątach sieni. Nie spuszczała jednak wzroku z poranionej twarzy wchodzącego. Elliot przestąpił próg i stanął na niedużym dywaniku służącym za wycieraczkę, który pod wielkimi buciorami wyglądał jak znaczek pocztowy. Mężczyzna wbił wzrok w podłogę i milczał przez długą chwilę. Wreszcie odchrząknął i podniósł wzrok.

- Przepraszam, że pana niepokoję... łan uśmiechnął się uprzejmie.

- Proszę sobie nie czynić wyrzutów. Elliot sięgnął do obszernej, przemoczonej od deszczu kieszeni i wyciągnął z niej pogniecioną karteczkę.

- Przyjechałem w sprawie kobiety, którą pan znalazł... mojej żony.

- O, Boże! - dobiegł z salonu głos Johanna i skrzypnięcie jego fotela, po czym szybki stukot obcasów zasygnalizował, że wstał i maszeruje do sieni. Kompletnie oszołomiony łan zapatrzył się na przybysza.

- Co takiego?

W zdumioną ciszę wdarł się w tejże chwili wysoki, podni^0^ krzyk Seleny:

- łan, popatrz!

I Dziewczyna pojawiła się u szczytu schodów w sukni ślubnej jego matki. Długie pukle opadały po obu stronach zarumienionej twarzyczki i układały się kasztanowym welonem na bladym turkusie stanika. Uśmiechnięta dziewczyna pożeglowała z gracją w dół schodów, lecz ujrawszy przybysza, zatrzymała się jak wryta. Przez chwilę gapiała się na niego z rozchylonymi wargami, ale szybko odzyskała kontenans i znowu się uśmiechnęła.

- Och, mamy gościa! - podbiegła tanecznym krokiem do Elliota. - Witam w Domu Zapomnienia, łaskawy panie. Czy pozwoli pan, że go uwolnię od płaszcza?

- Witaj, Agnes! - odpowiedział Elliot i zrobił krok w jej stronę. - Szeryf Monahan dostał wiadomość, że w tym domu przebywa jakaś zabłąkana kobieta, a ponieważ wiedział o twoim zniknięciu... przyjechałem po ciebie.

Łan nie mógł się ruszyć z miejsca. Ten okropny, pobrużdżony bliznami człowiek przyjechał po Selenę?! Słowa przybysza tłukły mu się po głowie jak spłoszone ptaki, wypierając wszystkie inne myśli, dławiąc mu oddech.

- Proszę łaskawie dostarczyć nam jakiś niepodważalny dowód! - warknął. Elliot drgnął, zaskoczony.

- Nie rozumiem...

- Proszę mi okazać dowód! - Łan niemal wypluł te słowa. - Pokaż pan dowód!

Selena spojrzała na niego z takim lękiem, że zdawało mu się, iż słyszy jej krzyk. Poczuł, jak gdyby ktoś zadał mu potężny cios. Potem dziewczyna zemdlła, Łan i Elliot równocześnie rzucili się w jej stronę, ale to Łan zdążył pierwszy. Objął ją ramionami i przytulił do Piersi.

- Proszę zabrać ręce! Niech pan nie śmie jej dotknąć! - zasyczał, odpychając Elliota. Zgarnął zemdloną w ramiona i zaniósł do salonu, Płóżył na przepastnej sofie i rozluźnił stanik, by mogła oddychać. 'o d spodem dojrzał biały rąbek gorsetu. Kiedy indziej byłby się ^ześmiał i zaczął z nią droczyć, że złamała zasadę zdrowego ^zsądku, przy której tak się dotąd upierała, że wreszcie pozwoliła kadzić się w „kaftan bezpieczeństwa”, ale w tej chwili nie miał thoty na żarty. Klęczał przy dziewczynie i gładził jej twarz dłonią, która nie przestawała drżeć. Zapragnął kielicha czegoś mocnego. Słodki Jezu, jakże potrzebny był mu teraz łyk alkoholu!

- Bogini moja, już wszystko dobrze... odpocznij sobie tutaj, a ja wszystkim się zajmę. Elliot odezwał się spokojnym tonem, pełnym szacunku:

- Doktorze Carrick...

Łan poderwał się na równe nogi i odwrócił się do przybysza. Elliot stał na środku pokoju, a wokół niego tłoczyli się mieszkańcy rezydencji, podnieceni jak dzieci, paplając jedno przed drugie, macając jego garnitur, wytykając palcami. Lara szlochała cichutko, kołyszając w splecionych dłoniach rannego ptaszka. Andrew miał wyraz osłupienia na twarzy. Nawet Johann pobladł. Widok ten podsycił gniew Łana-czyżby obawiali się tego żalosego człowieka? Syknął rozkazująco:

- Wynoście się wszyscy!

Nie musiał tego powtarzać. Andrew, królowa i Edith zniknęli jak zdmuchnięci. Najbardziej ociągał się Johann i on jedyny został, opierając się o wiśniową tapetę z rękami skrzyżowanymi na piersiach w swobodnej, nawet niedbałej pozie, w której tylko zwężone oczy zdradzały napięcie i niepokój.

- Idź! - Łan chciał dodać „stąd”, ale zdrewniałe usta odmówiły posłuszeństwa. Zdobył się jedynie na niezrozumiałą bełkot.

- Ale...

- Idź! - udało mu się niesłuchanym wysiłkiem woli powtórzyć polecenie. Johann rzucił mu wymowne spojrzenie, wycofał się i cicho zamknął za sobą drzwi.

Łan zwrócił się do Elliota i znowu poczuł narastającą falę gniewu. Jezu! Miał wielką ochotę rzucić się na niego, tłuc pięściami, zmiażdżyć do reszty tę pokiereszowaną twarz, wgnieść ją w posadzkę.

- Pan nie jest jej mężem! Proszę teraz wyjść z mojego domu. Da)? panu dziesięć sekund, żeby pan się zabrał do diabła!

Selena poruszyła się na sofie i cicho jęknęła. Powoli usiadła, ujrzała Łana i uśmiechnęła się radośnie, ale gdy jej spojrzenie padło na Elliota oblicze jej spoważniało i ściągnęło się lękiem. Elliot pogrzebał w kieszeniach i wreszcie wyciągnął niewielki kartonik oprawiony w ramkę.

- Proszę! - wyciągnął mięsistą dłoń. - To nasze ślubne zdj? Selena rzuciła Łanowi przenikliwe spojrzenie i podeszła do b1

Łan towarzyszył jej jak cień. Jakże pragnął jej dotknąć, objąć ramionami i przytulić! Jednak nie mógł, nie odważył się, czując, że byłby zdolny zgnieść jej palce w gniewnym, karzącym uścisku. Selena pierwsza dotknęła starej fotografii, pogładziła ozdobną ramkę i wzięła ją w rękę. Nie było wątpliwości, że to zdjęcie ślubne: Seleny i Elliota.

Dziewczyna odetchnęła głośno, Łan poczuł, że gniew wycieka z niego jak powietrze z przedziurawionego

balonu, a zamiast niego do serca napływa paraliżujący lęk. Żałował, że nie potrafi odzyskać siły płynącej z gniewu. Nagły chłód zmroził go do szpiku kości.

Selena szepnęła:

- Jestem tu taka młoda...

- Miałaś dwanaście lat - przytaknął Elliot. Łan poderwał głowę.

- Ożenił się pan z nią, gdy miała dwanaście lat? Elliot skinął głową i przez chwilę wyglądało, że chce coś wyjaśnić,

ale zmienił zamiar i utkwiał w łanie tępe, puste spojrzenie, zaciskając

odruczowo palce na ramce starej fotografii. Selena poskarżyła się zdziwionym głosem:

- Ale ja ciebie nie pamiętam...

Elliot popatrzył na nią, potem zwrócił się do łana.

- Co pan z nią zrobił?

- Uratowałem ją. To ja pana pytam: co pan z nią zrobił? Przyniesiono ją tu z roztrzaskaną czaszką, bliską śmierci.

Pobrużdżone oblicze pobladło, aż wstęgi blizn wystąpiły tym Jaskrawiej.

- Co jej się stało?

- Niech pan mi to powie! - syknął łan. - Ja nie mam pojęcia... Jak udało jej się przeżyć? - Jestem doskonałym chirurgiem - odrzekł łan z goryczą. Bardzo Aciał uwierzyć, że Elliot jest odpowiedzialny za rany Seleny, ale Postrach i szok mężczyzny nie mogły być udawane. Elliot jej nie wywdził, co do tego nie było wątpliwości, łan żałował, że tak nie było, bo dałoby mu to wspaniałą pretekst, by zabić tego mężczyznę.

- Czy to dlatego mnie nie poznaje? Z powodu ran głowy? Łan uchwycił nutę nadziei w głosie tamtego i ból kryjący się w Prosty pytanie. | -Tak.

Elliot zamrugnął, odpędzając łzy.

- Ja... nie wiem, co zrobiłbym bez niej. Strasznie panu dziękuję! Wdzięczność ujęta w tak proste słowa raniła bardziej niż wszystko, co dotąd zaszło.

Selena przenosiła wzrok z Elliota na łana i z powrotem.

- Nie rozumiem... p...przecież byłam dziewczicą. Krew odpłynęła z twarzy Elliota. Starzec popatrzył na łana. „Dobrze - przemknęło przez głowę doktora. - Wścieknij się na mnie, strać panowanie nad sobą, wyzwij mnie na pojedynek! Zrób coś!” Cokolwiek, co by mu pozwoliło odzyskać zdolność do gniewu, gorączkę gwałtownych emocji. Cokolwiek, co by wypełniło przeraźliwą pustkę w jego trzewiach. Lecz w oczach starca nie ujrzano nienawiści ani gniewu, tylko wszechogarniający, przejmujący smutek. I nagle zrozumiał, a to zrozumienie niemal go dobiło. Ten postarzały, pokiereszowany olbrzym kochał Selenę - równie mocno, jak kochał ją łan. Przyjechał z daleka, ze ślepa wiarą szukając żony, miłości jego życia... i odkrył, że ona tymczasem poszła do łóżka z innym mężczyzną i nie pamięta niczego z ich wspólnego życia. Lecz z głębi cierpienia wydobył tylko jedno słowo, ciche i drżące:

- Byłaś?

- Nie rozumiem - powtórzyła Selena z rosnącą obawą. - Jak dziewczica może być mężatką?

Z bezwładnych palców Elliota wyslizgnął się kapelusz i z miękkim plaśnięciem upadł na podłogę. Mężczyzna skrzyżował ramiona na piersiach i spojrzął na Selenę.

- Agnes, ożeniłem się z tobą, by cię ocalić. Byłaś zupełnie sama, mała dziewczuszka trudniąca się kieszonkowymi kradzieżami na ulicach Nowego Jorku, by przeżyć. Znalazłem cię strasznie pobitą, porzuconą na śmierć jak beżpański pies. - Kącik zniekształconych ust podniósł się w smętnym uśmiechu, niemal zamykając oko pod opadającą powieką. - Nawet w takim stanie zachowałaś silną wolę życia^ Walczyłaś i udało ci się odzyskać zdrowie. Powiedziałaś, że to two) ojciec cię skatował i że niechybnie lada chwila wróci po ciebie. I” chciałaś się nigdzie ruszyć beze mnie. Wreszcie wymusiłaś na nu” małżeństwo, bo bałaś się, że wymknę się ukradkiem i po1’2” cię, jeśli nie będę twoim prawnie poślubionym mężem. w^ zgodziłem się.

- Ale przecież musieliśmy się... dotykać. Milczał przez chwilę. Wreszcie odezwał się cicho:

- Agnes, spójrz na mnie! Usłuchała.

- Tak?

Dziewczyna nie pojęła, o co chodziło Elliotowi, ale Ian zrozumiał w mgnieniu oka. Zdeformowane oblicze męża odpychało Agnes, stało na drodze ich fizycznemu zbliżeniu. Słodki Boże, jakże to musiało boleć - odraza ukochanej! Tyle lat spędzonych razem i nie móc jej nawet dotknąć... Selena zapytała wreszcie:

- Co twoja twarz ma wspólnego z naturą naszego małżeństwa? Elliot odetchnął przeciągle, jakby zbierając odwagę.

(Mówiłaś, że... - Przełknął boleśnie. - Nie chciałaś mnie takiego.

Ojej, Elliocie - zdziwiła się dziewczyna. - Dlaczego?

Jak to dlaczego? - Podniósł wysoko brwi. - Sądziłem, że to jasne.

- Nie, chodzi mi o to, dlaczego tak bardzo kochałeś taką kobietę? Ponownie zapadła niezręczna cisza. Selena popatrzyła na Iana, po czym ponownie odwróciła się do Elliota.

- Jestem pewna, że jesteś dobrym człowiekiem, Elliot, bo widzę to w twoim oczach. Ale nie mogę kłamać. Czuję wielką miłość do Iana.

Elliot zacisnął powieki, stał tak przez długą chwilę, po czym otworzył oczy.

- Wciąż jednak jesteś moją żoną.

- Co teraz pocniemy? - spytała spokojnie.

- Pocniemy? - powtórzył, jakby nie rozumiejąc. - Cóż, wrócimy do domu!

Jedno małe słowo. „Dom”. Trzy litery, przez które wszystko przepadło.

W mgnieniu oka Ian zapomniał o współczuciu dla Elliota z powodu Poranionej twarzy i cierpień niekochanego męża. Zapragnął wyrwać n11' serce i pogrzebać martwe ciało w zimnym, bezimiennym grobie, którego nikt by nigdy nie odnalazł. A potem udawać, że ten człowiek Dle pojawił się w ich życiu.

Pragnął... o Jezu! Jakże pragnął, bo powrócił dzień wczorajszy!

## 22

Ian stał na ganku ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i półprzymkniętymi powiekami. Nie ruszał się i niemal nie oddychał. Czuł się jak kruchy przedmiot, który może za lada dotknięciem rozlecieć się na tysiące kawałków.

Przybysz okazał się mężem Seleny! Nowina rozeszła się po domu z szybkością błyskawicy i wszędzie rozlegały się szepty, przerywane kontrapunktem żałosnych okrzyków smutku. Nawet obłąkani mieszkańcy tego zakładu wiedzieli, co oznacza wizyta Elliota.

Ian zazdrościł im, że potrafią się smucić i dawać temu wyraz. Sam nie był do tego zdolny. Czuł się pusty w środku i odrętwiały. Starał się odnaleźć w sobie resztki dawnej tożsamości - i odkrył, że ze zgorzkniałego, cynicznego samotnika nie pozostało nic, co by teraz pomogło mu odbudować chroniącą serce skorupę. Stał się pod wpływem Seleny innym mężczyzną i teraz odczuwał życie w pełni - ze wszystkimi towarzyszącymi mu emocjami... i nie mógł od niego uciec, mimo bólu rozrywającego pierś.

Jak nieobecny wydał Edith konieczne polecenia: miała przygotować pokój na nocleg dla Elliota. Patrzył, jak stary człowiek oddalał się powłócząc nogami, a gdy zniknął za zakrętem korytarza, odczuł chwilową ulgę. Wnet jednak zdał sobie sprawę, że za zamkniętymi drzwiami sypialni przybysz odczeka jedynie do świtu i powróć przypomnieć się o swoje prawa.

Szkoda, że Elliot nie okazał się przystojnym i majątnym mężczyzną w sile wieku. Z takim mężem Seleny Ian jakoś dałby sobie radę

zatlukłby go na krwawą miazgę, odwrócił się i odszedł. Natomiast nic nie mógł uczynić przeciw starszemu człowiekowi o zniekształconym obliczu, który tak długo szukał żony i wyznał, że nie potrafi bez niej żyć.

Zapatrzył się przed siebie. Wzrok gubił się w cieniach nocy i ulewy. Minęło już więcej niż pół godziny od chwili, gdy Selena wybiegła z domu. Powtarzał sobie, że to lepiej, że nie mógłby teraz znieść jej widoku, ale wiedział, że powinien pójść za nią.

I co by jej powiedział, gdyby ją już doścignął?

Powoli przechadzał się po skrzypiących deskach werandy, wreszcie zszedł po schodach i zwirową ścieżką poszedł na spotkanie mroku. Niebo nad głową przypominało olbrzymi żołądek wypełniony szarością zwalistych chmur, rzygający siekącym deszczem i szarpiącym wiatrem. Gęste krople smagały gałęzie drzew, dziurawiły liście i piekącymi żądłami kasały policzki. Zagłębił się w las. Szedł ścieżką na oślep, ledwie

wyczuwając z obu stron nieruchome jak opoka, szorstkie pnie drzew. Przeskoczył ten, który dawno temu zwał się w poprzek szlaku, skręcił w jeszcze głębszą ciemność i odnalazł ją tam, gdzie się spodziewał. Skuliła się między mokrymi paprociami i grzybami w swojej sekretnej kryjówce.

Przez chwilę stał milcząc i napawał się jej widokiem, chcąc na zawsze zachować jej obraz w pamięci. Ociekając wodą klęczała wśród pierzastych liści, pochylając głowę nad dłońmi pełnymi skarbów. Wiedział dobrze, co tam trzyma: muszlę, którą fale morskie omyły do gładkości aksamitu; wyschnięte pasmo wodorostów, skręcone w warkocz poczerniały od mokrej ziemi zagajnika; biały otoczak, który nazywała „kamieniem zmartwień”; wreszcie okruch szafirowego kła, które barwą przypominało jej oczy lana. Poczul falę smutku t<sup>^</sup> obezwładniającego, że przez chwilę zabrakło mu tchu jak pod piekącym smagnięciem bata.

- Seleno! - wargi wyszeptaly jej imię niemal niezależnie od jego kła jak modlitwę.

Dziewczyna nie odpowiedziała, przymknęła tylko oczy i wyciągnęła „?kę. Rzucił się ku niej, upadł na kolana i chwyciwszy tę dłoń, Przywarł do niej z całej siły. Pod jego dotknięciem z ust dziewczyny Wydarł się zdławiony jęk smutku. Potrząsnęła głową i powoli otworzyła

oczy. Krople deszczu ściekały po jej policzkach, kapały z koniuszka nosa i zbierały się w zagłębieniu nad górną wargą. Oczy miała zaczerwienione i zapuchnięte.

Tyle jej miał do powiedzenia... a zarazem nic, ani słowa. Poczul w ustach ohydny smak goryczy. Przybyła do niego jak pusta skorupa... jak nieforemna bryła gliny, która błagała, by ją ukształtował, wyrzeźbił i wygładził. A on zadośćuczynił jej życzeniu, otworzył jej umysł na urok poezji, literatury i sztuki. Odnalazł w sobie cudem zachowaną resztkę dobroci, zdefiniował ją - po czym ofiarował jej w darze.

Gdybyż tego nigdy nie uczynił! Gdyby nie wyuczył jej tak znakomicie!

Na usta cisnęły mu się błagania, by została przy nim. Miał ochotę paść na kolana i żebrać zmiłowania, które oznaczałoby, że dziewczyna musi odrzucić honor.

Selena spojrzała mu w oczy.

- Rozmyślałam... - Uśmiechnęła się przez łzy. - Myślałam, aż głowa mnie rozboleła i oczy pieką jak od ognia. Wciąż bym chciała, żeby znalazł się wybór... ale w tej sytuacji nie ma żadnego wyboru, prawda?

Powiedziała głośno to, czego się obawiał do głębi duszy, odarła go z daremnych marzeń i oddała na pastwę rzeczywistości. Nieuchronną decyzję postrzegala jako brak wyboru. Wiedział, że tak się stanie i chociaż z całych sił chciałby zaprzeczyć, nie mógł nic poradzić.

- Będę człowiekiem honoru, lanie. Czy ty przysięgniesz to samo? Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Seleno... - wyszeptał łamiącym się głosem i umilkł, bo nie potrafił ukryć bólu i udawać, że jest silny w chwili, gdy wszystko bolało tak, jakby nigdy nie miało przestać.

Moglibyśmy uciec gdzieś razem, przemknęło mu przez głowę i aż zrobiło mu się słabo, tak bardzo chciał wypowiedzieć te słowa na głos. Selena pogłaskała go w zamyśleniu po policzku i szyi dłonią, która nieświadomie odnawiała ich wzajemne przysięgi. Po chwili oderwała palce i opuściła rękę na kolana.

- Miałaś rację, że się bałaś.

Zagubił się w brunatnym cieple jej oczu. W tej chwili czuł, że potrzebuje jej bardziej, niż kiedykolwiek potrzebował kogokolwiek czy czegokolwiek.

- Co ja bez ciebie pocznę?

Zaczęła szlochać, z początku cicho, potem rozpaczliwymi, szarpiącymi pierś spazmami. Otoczył ją ramionami, przyciągnął tak, że usiadła mu na kolanach, a wtedy wtulił twarz w mokry łuk dziewczęcej szyi. Myślą powracał do wszystkich pocałunków, które wycisnął na tym karczku, do każdej pieszczoty dłoni, pod którą drżały te ramiona i piersi. Do wszystkich słów, które mieszała, i do śmiechu, którym obdarowywała go tak szczerze. Potem zaś musiał pomyśleć, jak pusty będzie bez niej jego świat. Jezu Chryste!

Wreszcie tama pękła i do oczu piekącą falą napłynęły łzy, zamazując kontury świata. Przez chwilę długą jak wieczność trwali w objęciach, odnajdując w swej bliskości ciepło pomimo deszczowej, wietrznej nocy. Wreszcie - zbyt szybko! - dziewczyna oderwała się od niego. Pociągając nosem, wytarła oczy i dotknęła jego zapłakanej twarzy.

- Wiele razy mi powtarzałaś, że świat jest nieczuły, okrutny i niesprawiedliwy, a ja ci nie wierzyłam, ale teraz... zaczynam przyznawać ci rację. - Zaśmiała się sucho, sztucznie.



- Będę na ciebie czekał, jak długo będzie trzeba. Kiedyś... - urwał, a łązy nową falą wystąpiły z powiek i popłynęły w dół policzków. - Pewnego dnia...

Potrząsnęła głową.

- Nie, lanie! To by mi złamało serce. Muszę odejść, oboje o tym wiemy. Ale... ja tak bardzo cię kocham. Nie ukrzyżuj sam siebie w imię naszej miłości, proszę cię! Tego bym bowiem nie zniosła. - Pochyliła się ku niemu, ujęła obie zlodowaciałe dłonie mężczyzny w swoje ręce i wpatrzyła się w oczy w czerwonych obwódkach. - Uczcij to, co było między nami, odnajdując to ponownie z inną kobietą. Oddaj hołd naszej miłości zakochując się w niej i poślubiając ją. Miej z nią dzieci, tego od ciebie chcę! - Głos jej się załamał i ucichła na chwilę, która jemu wydała się wiecznością. Wreszcie dokończyła ledwie dosłyszalnym szeptem: - Proszę cię... bądź szczęśliwy!

Zacisnął powieki i długo potrząsał głową.

- Nie!

Wycisnęła na jego wargach gorący pocałunek.

- Błagam, lanie. Proszę cię.

Przytulił ją w miazdzącym uścisku i nakrył jej wargi chciwymi ostami, które jeszcze raz - ostatni raz - potwierdzały, że należy do

niego. Jego usta obejmowały w posiadanie i wdzierały się w samą głąb jej istoty, aż poczuł zawrót głowy z oczarowania, z braku tchu i z bolesnej potrzeby, by stopić się z nią w jedno. Wyszeptał jej do ucha:

- Ach, Seleno! Ja tak bardzo, straszliwie cię kocham!

- I ja cię kocham.

Przywarł do niej, rozkoszując się słodkim zapachem wilgotnych splotów i miękkim dotykiem warg na swoich ustach. Starał się utrwalić w pamięci każdy szczegół tej chwili, przelotnego ułamka czasu, który bezlitośnie pędził do przodu. Będzie mu potrzebne to wspomnienie, gdy jej przy nim zabraknie. Już teraz zmieniał w myślach rzeczywistość, by, kiedy spojrzy wstecz, nie powracać do czerwonych od płaczu oczu ani rozdzierającego bólu rozstania, tylko rozpamiętywać miłość, oddanie, namiętność. Zapamięta smak deszczu, ale nie łez.

- Nigdy żadnej kobiety nie pokocham tak, jak kocham ciebie! Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale było już za późno. Do świtu co prawda brakowało jeszcze kilka godzin, lecz ich czas się skończył. Więc zamiast miłosnych zaklęć, wypowiedział stateczne:

- Do widzenia, Seleno! „Do widzenia...”

Selena stała na szczycie schodów, kurczowo obejmując wypolerowaną do gładkości poręcz. Słoneczne promienie malowały złote plamy blasku na deskach podłogi. „Ostatni raz tu stoję i ostatni raz czuję po palcach znajome ciepło drzewa. Ostatni raz słyszę skrzypnięcie schodka...”

Siłą woli odegnała uparte myśli w głąb pamięci, gdzie drzemiać w ciemności nie będą jej dręczyć wspomnieniami, które na zawsze pozostaną tylko cieniem. Pospieszenie zeszła na dół i otworzyła drzwi do salonu. Czekali na nią wszyscy: gromadka szarych, milczących postaci. Jedyna rodzina, jaką znała i pamiętała.

Przygryzła wargi, unikając ich spojrzeń.

Nikt nie przerwał milczenia.

Cisza przygniatała ją jak nieznośny, lepki ciężar, przeciwieństwo wszystkich chwil, które spędziła niegdyś w tym pokoju. Ta cisza urągała każdemu wspomnieniu wspólnych zabaw i rozmów z przyjaciółmi z Domu Zapomnienia.

- Żadnego smutku! - odezwała się surowym tonem i powędrowała w stronę Lary i Andrew, którzy siedzieli skułem na sofie. Zatrzymała się przed nimi, przyklękła i spojrzała w górę, na ich twarze. Obie naznaczone były piętnem smutku i zagubienia. Andrew powiedział:

- Nigdy cię nie zapomnimy! - I ramiona zadrgały mu spazmatycznie. Selena patrzyła na niego przez chwilę dłużej, niż powinna, i poczuła bolesny ucisk w gardle.

- Kiedy poczujesz słońce na twarzy, Andrew, to jakbym ja cię dotykała. Pamiętaj! Będę tęsknić za wami.

Objęła ich szerokim uściskiem i dopiero po dłuższej chwili rozluźniła ramiona i wstała, podeszła do Edith i

uściskała z kolei ją. Potem odwróciła się do królowej, która miała na twarzy przyklepiony smętny uśmiech.

- Jesteś jedyną prawdziwą poddaną, jaką kiedykolwiek miałam! -szepnęła władczyni.
- Żegnaj, Wasza Wysokość. Podeszła do Johanna.
- Bogini! - usłyszała szept.

To krótkie słowo zabolalo tak, że sama się zdziwiła. Pod powiekami zapiekły gorące łzy, obraz zamazał się za szklistą kurtyną, której nie starała się otrzeć. Nie było sensu udawać przed Johannem siły ani opanowania, bo on zawsze umiał ją przejrzeć.

Odezwał się cicho:

- Nie musisz odjeżdżać!

Żalowała, że to nieprawda - całym sercem i duszą.

- Wiesz, że to kłamstwo.

Czynił bohaterskie wysiłki, by się roześmiać.

- Cóż ty wiesz o kłamstwach, bogini moja?

- Tylko to, czego sam mnie nauczyłeś. Jonami. - Kpina wymknęła ^ jej bezwiednie i na chwilę nastrój między nimi zelżał. Zrzuciła „M ramiona na szyję. - Dziękuję! Właśnie takiego wspomnienia o tobie potrzebowałam. Dziękuję ci, Johann!

Jego ramiona zacisnęły się przez chwilę na jej plecach.

- Bądź zdrowa, Seleno!

Po chwili, która zdawała się zbyt krótka, oderwała się od niego.

Maeve stała pod ścianą, dotykając plecami bibliotecznych półek. „olna warga drżała, a palce nerwowo wykręcały wstążkę.

- Seleno! - szepnęła. Dziewczyna rzuciła się w jej objęcia. Otoczyła ramionami kruchą kobietę i uściskała serdecznie. Szepnęła głosem szorstkim ze wzruszenia:

- Maeve, zaopiekuj się nim.

- Spróbuję - obiecała Maeve. To słowo zawisło między nimi w ciszy, jaka nastąpiła. Żadna nie powiedziała nic więcej. Selena wiedziała, że czas odwrócić się i zamknąć krąg pożegnań, lecz raptem okazało się, że nie ma siły się ruszyć.

- Seleno! - wyszeptał, a ona poczuła, że jest bliska płaczu. „Selena” - to on dał jej to imię, skąpane w snach i legendach. Bogini księżycy. Cokolwiek miało się z nią stać, to jedno pozostanie jej na zawsze: dar imienia i jego marzeń.

Odszukała spojrzeniem lana stojącego w przeciwległym kącie pokoju. Na jego widok świat zachwiał się i pochylił pod wariackim kątem, a wszystkie zasady utraciły znaczenie: zło pomieszało się z dobrem, honor z miłością, a nad wszystkim królowała bezdenna pustka. Zdrętwiała i zboliała ruszyła ku niemu, pragnąc wyciągnąć rękę i poczuć pod palcami szorstkość jego skóry, która zawsze dodawała jej otuchy. Ale nie ośmieliła się go dotknąć. Nie teraz. Teraz już nie wypadało. Wszystko, na co pozwalał honor, to spojrzenie oczu i to, co zdołały powiedzieć. Podniosła dłoń i odsunęła z jego twarzy kosmyk włosów. Zapatrzyła się w szafirowe oczy.

- lanie... - szepnęła samym oddechem i zaczęła zdejmować z lewej dłoni pierścionek, który jej podarował. Złapał ją za przegub.

- Nie, Seleno. Jezu Chryste, nie rób tego!

Nie podniosła wzroku, tylko wpatrywała się w pierścionek, aż zamazał się przed załzawionymi oczami w złote pasemko. Chciałaby zapomnieć tę chwilę już teraz, zanim jeszcze się dokonała. Później, gdy znajdzie się w samotności swego pokoju, wymyśli inne zakończenie, romantyczne, radosne i pełne miłości. Zakończenie, które nie będzie tak bolało.

Nie mogła znieść choćby jednego więcej spojrzenia, więc zamiast tego skinęła nieznacznie głową i chwiejnym krokiem cofnęła się w stronę Elliota, który stał w mrocznym kącie, skrywając poorana bliznami twarz pod szerokim rondem kapelusza. Wyciągnęła dłoń do swojego męża.

- Skończyłam, Elliot. Teraz możesz zabrać mnie do domu.

- Chodźmy! - Poprowadził ją do drzwi. Selena nie odwróciła się ani razu. Nie mogła. Zamiast tego zadarła dzielnie brodę i podążyła za Elliotem. Razem opuścili dom. Ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nimi, pod

stopami zatrzeszczały deski werandy. Wsunęła dłoń w wielką łapę Elliota i z jego pomocą wspięła się na siedzenie wozu, uważając, by nie usiąść na którejś z licznych, sterczących groźnie drzazg. Wciąż sobie obiecywała, że zaraz się obejrzy, ale Elliot nagle zacisnął zęby i szarpnął lejce, koła zaskrzypiały i wóz potoczył się po żwirze podjazdu. Niebawem dojechali do wrót z kutego żelaza, minęli je i zagłębili się w las. Kiedy droga skręciła, oddalając się od ukochanego brzegu morza, Selena ujrzała, że otwiera się przed nimi gościniec obrośnięty żywopłotem.

Owszem, miała zamiar odwrócić się i rzucić ostatnie spojrzenie. Ale jakoś tego nie zrobiła.

I rzeź długi czas Selena milczała. Elliot również nie odezwał się ani słowem. Koń miarowo truchtał do przodu, koła podskakiwały na wyboistej drodze. Stopniowo oddalali się od dobrze znanego dziewczynie nadmorskiego krajobrazu i zagłębiali w cienisty las. Nadchodził zmierzch. Mrok osnuwał wierzchołki drzew, zbierał się kałużami atramentowego cienia wokół omszałych pni. Rozległo się hukanie sowy.

Selena objęła się ramionami i oparła brodę na zaciśniętych mocno kolanach. Kiedy koła podskakiwały na kolejnym wyboju, boleśnie uderzała czubkiem podbródka o kościsty guzek prawego kolana, ale ledwie to czuła i zdawała się nie dbać o fizyczne niewygodności. Myślami powędrowała z powrotem do Domu Zapomnienia, w krąg twarzy tych, których uznała za członków swej rodziny. Raptem poczuła obawę, że niedługo ich zapomni, ukochane uśmiechy roztopią się w mgłę Przeszłości i pewnego dnia znikną bez śladu - jak wspomnienia Poprzedniego życia. Otworzyła usta i zaczęła pospiesznie opowiadać:

- Lara świetnie umie fikać koziołki. Lepiej ode mnie! A Maeve „Blie stanąć na rękach.

Elliot nie odpowiedział, z czego była właściwie zadowolona, bo nle mówiła do niego, tylko do samej siebie. Przechyliła głowę na „ainię i przymknęła powieki, zatopiona we wspomnieniach.

- Kiedyś próbowałam nauczyć się fachu gospodyni. Byłam w tym kiepska, ale jako poddana Korony okazałam się satysfakcjonująca. -Wspomnienia były jak tarcza, która będzie ją chronić i dodawać sił. Postara się nigdy nie zapomnieć. Nigdy! Nawet, gdyby żyła jeszcze tysiąc lat. - A nasze herbatki... - Głos zamarł jej w gardle kiedy przypomniała sobie popołudnie spędzone z Maeve i Ianem na skrytej w gąszczu polance. To był początek porozumienia matki i syna. Kiedy podjęła opowieść, w jej głosie drżała nuta żalu. -Ian nalał wtedy Maeve herbaty i nie wypomnił ani słowem jej wypchanych ulubieńców.

- Z tego, co opowiadasz, to miejsce wydaje się bardzo interesujące -odezwał się zniecierpliwiony Elliot. Spojrzała na niego zaskoczona. Siedział zgarbiony nad lejcami. Kapelusz naciśnięty głęboko na czoło zasłaniał pokiereszowane policzki. Z miejsca, gdzie siedziała, bliźni były zupełnie niewidoczne. Odpowiedziała:

- Owszem. Nawet bardziej niż interesujące. Było... jak z magicznej krainy. Jak z baśni... zawsze będę za nim tęsknić. Za nimi wszystkimi.

Nie odezwał się na to ani słowem, ale coś w jego milczeniu przykuło jej uwagę. Odwróciła się do niego.

- Elliot?

I tym razem nie odpowiedział, jednak dojrzała pojedynczą łzę, która drżała uczepiona rzęs okalających jego oko. Niecierpliwą dłonią otarł zdradziecki dowód wzruszenia.

- Co?

W gardle poczuła grudę wstydu. Jasne, że boli go, gdy papie wesoło o życiu w tamtym domu, ze swoją „rodziną” - a przecież to on był jej rodziną!

- Przepraszam, Elliot.

Naciągnął kapelusz jeszcze głębiej na czoło.

- Nie przepraszaj, Agnes. Nigdy nie chciałem usłyszeć od ciebie słów przeprosin.

- Czego ode mnie chciałeś?

Na białych ustach pojawił się niepewny uśmiech.

- Dobrze pytanie... Niełatwo na nie odpowiedzieć.

Popatrzyła na niego i po raz pierwszy poczuła, że coś w niej drgnę\*

- Wiesz? Niemal sobie ciebie przypominam!

- Ja nigdy nie potrafiłbym cię zapomnieć.

Wyznał to głosem tak żalosnym, przepełnionym smutkiem i świadomością klęski, jak gdyby kiedyś już chciała, by ją zapomniał... albo jakby próbował bez skutku. Zaśmiała się z przymusem.

- Cóż... teraz jesteś wszystkim, co mi zostało. Moją jedyną rodziną. Po chwili odwrócił się i spojrzał jej w

oczy.

- Zawsze tak było, Agnes!

Długo patrzyli na siebie. Wreszcie Elliot z ociąganiem skupił uwagę na drodze. Selena popatrzyła w nieskończoną dal gościńca i poczuła nagły dreszcz chłodu.

- Boję się! - wyznała szeptem. Elliot przełożył lejce do lewej ręki i nakrył jej drżące palce szeroką dłonią w szorstkiej rękawicy.

- Nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić!

Rozpaczliwie starała się zaczerpnąć otuchy z tej cichej obietnicy.

## 23

Ian siedział na plaży, wyciągnąwszy nogi przed siebie, wcisnąwszy dłonie w gruboziarnisty piach. Słona piana fal omywała łaskotliwą pieszczołą bose stopy.

Letni wieczór olśniewał bogactwem barw, które z pewnością przyciągnęłyby tu Selenę, gdyby jeszcze mieszkała w Domu Zapomnienia. Łagodna bryza rozwiewała czuprynę i targała białymi połami koszuli. Wystarczy, że zamknie oczy, a będzie mógł sobie wyobrazić, że ona tu jest, że siedzi obok niego. Niemal słyszał jej niski, gardłowy szept, radosny śmiech niesiony nad morskie odmęty na skrzydłach wiatru. Niemal czuł jej dotyk na ramieniu. Ależ nie - to tylko mocniejszy powiew.

Westchnął z żalem, że nie okazał się wprawniejszym marzycielem.

Żwir zazgrzytał rytmicznie pod licznymi stopami. Trzasnęła gałązka, zaszeleściły rozsuwane liście krzaków.

Nie musiał odwracać głowy, by zgadnąć, kto się zbliża. To była cała gromadka szaro odzianych sylwetek, stąpających ukradkiem w jego ślady, gdziekolwiek się udał. Nie wiedzieli, co myśleć ani ja» się czuć po odjeździe Seleny, ale byli dotkliwie świadomi drastyczne) zmiany ich życia na gorsze i tęsknili za dawną, utraconą radością-Wymyślili sobie, że trzymając się blisko lana, pozostają w pobliżu Seleny, jak gdyby przechował w sobie niewidoczną esencję jej *istoty*-Nawet Dotty wychynęła zeszłego wieczoru ze schowka na szczou” i pojawiła się w salonie.

Jak zawsze, pierwszy przemówił Johann:

- Podobałaby się jej ta noc.

Wśród gromadki rozległ się potakujący pomruk, lecz gdy zgasł, ponownie zapadła cisza. Czekali. Jak zwykle, czekali, że Ian coś powie, jak gdyby mógł słowami rozwiązać koszmar utraty, zamienić rzeczywistość w wyrafinowany gmach fikcji.

Uniósł powieki i rozejrzał się wokoło. Ponownie uderzyło go subtelne, wieczorne piękno krajobrazu. Boleśnie odczuł swoją samotność. Od dwóch dni spędzał niezliczone godziny w samotności, usiłując dotrzeć do korzeni smutku, w nadziei, że lada chwila sięgnie dna rozpacz, a wtedy w jakiś magiczny sposób jego życie ulegnie zmianie, a on sam albo wyłoni się po drugiej stronie cierpienia, albo na zawsze utonie w ciemnej otchłani.

Wędrówka przez udrękę zdawała się jednak nie mieć kresu. Im dalej zaglądał w zakamarki własnej duszy, tym głębiej spadał, aż doprowadził do stanu, gdy nie czuł zupełnie nic - to jest nic z wyjątkiem chwil, gdy zdarzyło mu się wspomnieć Selenę. Tym razem nawet upijanie się nie pomagało. Spróbował zresztą tylko raz, pół butelki szkockiej, czyli mierząc dawną miarą - marna kropelka, a wystarczyło, by skulił się w kącie i szlochał jak małe dziecko łzami, które nie oczyszczały ani nie przynosiły ulgi.

Maeve przysiadła obok niego. Kiedy kuciała, zatrzeszczały zreu-matyzowane kolana. Przynęła się tak blisko, że warkocze pachnące lawendą musnęły jego policzek, złożyła głowę na jego kolanach i westchnęła z głębi serca. Po drugiej stronie zjawił się Johann, a królowa, Andrew i Lara przyklękli za ich plecami. Władczyni odezwała się głosem, w którym zabrzmiał tajony płacz:

- Była z nami zaledwie kilka miesięcy!

Biedaczka, chwyciła się słomki, byle znaleźć ulgę w cierpieniu, do którego nie przywykła. Johann skontrolował:

- Krótko, lecz cóż to były za miesiące!

„Były”! Maleńkie, zwykłe słowo smagnęło lana z siłą morderczego giosu. Była. Kochała. Mówiąc o niej

jak o zmarłej, drażyli wspólny ^utek. Ledwo dwa dni upłynęły od jej wyjazdu, a już zamykali ją w albumie wspomnień o tych, którzy odeszli!

Johann zaśmiał się smętnie.

- Sprawiała, że znowu zacząłem myśleć o życiu. I to właśnie teraz, gdy już przyzwyczałem się do myśli o nieuchronnej śmierci i zacząłem nawet czerpać z niej zadowolenie!

- Nigdy nie odznaczała się zmysłem praktycznym - podjęła królowa. - Przecież ty naprawdę umierasz! Lara skubnęła rękaw koszuli lana i szepnęła:

- Ona nie umarła.

- Dla nas tak - sprzeciwił się Andrew. Lara pociągnęła mocniej batystowy mankiet.

- Właśnie, że nie!

Łan odwrócił się do dziecka, zaskoczony nutą zażartego sprzeciwu w jej głosie.

- Laro, co chcesz powiedzieć? Dziewczynka przełknęła ślinę.

- To...my teraz...nasze biadolenia zasmuciłyby Selenę tak okropnie, że pewnie zaczęłyby płakać! Johann przytaknął.

- Lara ma rację. Selena bardzo wierzyła w nas wszystkich. Zabiłaby ją świadomość, że po jej wyjeździe znowu się rozpadliśmy!

Przez kilka minut panowała niezmacona cisza. Wszyscy utkwili spojrzenia w cieniach zmierzchu pełzających po spienionych falach... i nagle Łan odkrył, że Selena zostawiła im bezcenny dar. Nadal była wśród nich, skryta głęboko w duszy każdego z mieszkańców Domu Zapomnienia. Odnalazł ją niespodziewanie w najczarniejszym piekle osamotnienia, smutku i żałoby. Dzieliła z nim ciężar cierpienia i uśmiechała się, dodając mu otuchy.

- Musimy żyć dalej - powiedział spokojnym głosem i usłyszał echo jej słodkiego głosu, a na twarzy poczuł ciepło uśmiechu jak pieszczotę dogasających promieni słońca. - Pomimo bólu i cierpienia, które nie miną od razu, lecz będą nam towarzyszyć jeszcze przez bardzo długi czas... musimy iść dalej. Jeśli tego nie uczynimy, zapomnimy o niej! Dzień po dniu, z każdym słowem zrodzonym z egoistycznych pobudek własnej utraty będziemy wracać do dawnego0 życia, zamkniętego w opuszczeniu i dystansie do reszty świata... az pewnego dnia zbudzimy się i nikt już nie będzie pamiętał Seleny. Ni0 w nas nie pozostanie, co by przypominało jej pobyt tutaj. Lecz je^ będziemy troskliwie nasłuchiwać jej głosu w naszych sercach, bądźz tak, jak gdyby nigdy nie odeszła!

Maeve dźwignęła się na nogi i wyciągnęła ręce. Kolejno wstawali i bez słowa dołączali do kręgu, Łan był ostatni. Przez ułamek sekundy ociągał się z lęku przed dotykiem, lecz większa okazała się obawa, że będzie musiał w samotności stawiać czoło utracie. Że resztę dni tutaj spędzi jak zgorzkniały pustelnik. Rozejrzał się po smętnych twarzach współmieszkańców i nagle zalała go potężna fala wdzięczności. Maeve miała rację, zachęcając, by się wzięli za ręce, bo właśnie tego potrzebowali: wzajemnego dotyku, złączenia w smutku i żałobie, otwartego przyznania się do tych uczuć wobec drugich. On już raz przeszedł przez to piekło samotnie, kiedy umarł mu ojciec, i z doświadczenia wiedział, że stłumiony żal zżera duszę, nie pozostawiając ani szczypty człowieczeństwa. Powoli, jakby z przymusem, zaciskając powieki, wyciągnął dłoń. Jedną ujęła Maeve, drugą Lara.

Obrazy wdarły się do jego mózgu z takim impetem, że zachwiał się i uczynił chwiejny krok do tyłu. Przez chwilę wchłonął go wir zbiorowego smutku. U podstawy czaszki zatlił znajomy ogienek bólu, promieniując do oczu.

„Nauczysz się nie słyszeć ich głosów...” - powróciły słowa Seleny i Łan otrząsnął się i skupił uwagę na zewnętrznych doznaniach:

pieszczocie wiatru na czole, smaku soli morskiej na ustach, szeleście drzew i pomruku fal. Stopniowo pulsujący ból zelżał, obrazy zmatowiały, płaczliwe głosy zacięły w pomruk, który utonął w szumie oceanu. Monotonna pieśń fal wznosiła się i opadała łagodnym łukiem, niosąc ze sobą echo słów Seleny: „To początek, łanie!”

A o nieboskłonie toczyły się napęczniałe deszczem bure chmury, coraz głębszym cieniem spowijając skrzypiący wóz. Droga, poznaczona kałużami jak dziobami po ospie, zakręcała wokół kępy dygoczących na wietrze klonów o płomiennie czerwonym listowiu.

Selena siedziała z łokciami opartymi na kolanach, podpierając policzek mokrą dłonią. Rozpięta nad głową parasol dla ochrony przed Oepłym deszczem, który nie przynosił ulgi w wilgotnej duchocie. Ołowiane niebo zawisło tak nisko, że zdawało jej się, iż może sięgnąć ‘ obrysować palcem wydęte brzuszyska chmur. Dopiero minutę temu ^taia dokuczliwa mżawka i wciąż słychać było rytmiczne kapanie kropel ściekających po burtach wozu. Wydłużone łezki chwiały się

na czubkach prętów parasolki, a potem jedna po drugiej odrywały się i rozpryskiwały na bawełnianej spódnicy w kratkę. Tkanina przylegała do jej ud wielkimi, wilgotnymi plamami.

Już teraz Selena tęskniła za rześkim klimatem nadmorskim, a minęły dopiero trzy dni, odkąd wyjechała.

Na wybrzeżu oddychało się swobodnie w czystym jak brylant powietrzu, przesyconym zapachem soli, ziemi i morza. Tu, w głębi lądu, w puszczańskiej dzicy hrabstwa Maine, panowała nieznosna duchota, a powietrze wydawało się wyzute z barw i smaku - jak szklanka mleka obficie rozcieńczonego wodą. Rozległe połacie lasu stały nieruchomo, gałęzi drzew nie poruszał nawet zefirek, a słońcu rzadko udawało się przedrzeć i ozłocić plamą blasku parującą ściółkę. Dokuczliwy upał nie zelżał nawet po deszczu.

Za zakrętem powóz wynurzył się z lasu i pierwszy raz od trzech dni Selena ujrzała soczystą zieleń pastwisk ciągnących się aż po horyzont. Tu drzewa rosły jedynie kępami, rozrzuconymi pośród bujnej trawy w starannie rozplanowanych odstępach.

Zerknęła spod rzęs na Elliota, który siedział na ławeczce przygarbiony, luźno trzymając lejce w mięsistych, włochatych paluchach. Mokry od deszczu kapelusz osłaniał zryte bliznami czoło.

Zbierała myśli, by coś powiedzieć, lecz, jak tyle razy przedtem, nic rozsądnego nie przychodziło jej do głowy. Nie chciała okazać się okrutna i snuć wspomnienia o życiu w Domu Zapomnienia i pozostawionej tam rodzinie, a poza tym nie widziała żadnego tematu wartego poruszenia. Raz zainicjowała rozmowę o poezji, ale uciał *fi* zwięzłym oświadczeniem: „Nie umiem czytać”.

Potem już zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć, więc wkrótce zdecydowała, że lepiej nie mówić nic. Starannie skrywała uczucia, jakby wcisnęła je do komórki i zatrasnęła kłódkę. Siedziała milcząco i zdrętwiała, podczas gdy droga umykała spod kół mila za milą a krajobrazy przesuwają się leniwie za burtami wozu. Nagle Elu0 wyciągnął rękę.

- Tam mieszka nasza wspólnota - wskazał ledwie widoczną w szrości horyzontu grupkę drewnianych chat, wciśniętych między złociste łany zboża i zieleń pastwisk. Selena pomyślała, że te budowle różni się od zabudowań w osiedlach, które mijali po drodze. Usiło^ . zdefiniować tę różnicę i nagle zorientowała się, że wszystkie n13'

pobielone ściany. Nie tylko niektóre, ani nawet nie większość, lecz wszystkie bez wyjątku.

- Czy to nie dziwne? Wszystkie są pomalowane na biało! W ostatnim miasteczku...

Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy - pierwszy raz w ciągu trzech dni podróży.

- Ty rzeczywiście nie pamiętasz, co? Nie była pewna, jak sformułować odpowiedź. Pomyślała, że może źle go zroszumiała.

- Przecież mówiłam...

- Pamiętam, co mówiłaś! - barczyste ramiona drgnęły w lekceważącym geście i Elliot utkwiał wzrok w pyle gościńca. - Pomyślałem sobie tylko, że kłamiesz.

- Och, nie. Ja nie kłamię.

Kiwnął głową, lecz nie oderwał wzroku od drogi. Selena ponownie popatrzyła na osadę i jej ciekawość rosła w miarę, jak kontury budynków rosły w oczach. Jaki jest ich dom? Jacy ludzie są ich sąsiadami?

- Miasteczko wygląda na starannie utrzymane. Szarpnął rondo kapelusza, ściągając je nerwowym gestem głębiej na czoło.

- To nie jest właściwie miasteczko, Agnes. Nie w zwykłym znaczeniu tego słowa...

Czekała, że doda jakieś wyjaśnienie, ale znowu pogrzyżył się w milczeniu. Rosnąca trema zalała żołądek falą mdłości. Raptem, bez widocznego powodu, Selena wyrzuciła z siebie szybki potok słów:

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że można mieszkać w takiej bliskości od innych domów, innych ludzi. Dom Zapomnienia stał na Pustkowiu... będzie mi brakowało plaży. Jak daleko mieszkają nasi Biedzi?

Uplętnęła chwila ciszy, zanim usłyszała odpowiedź, ale gdy tylko Elliot otworzył usta, wyczuła, że coś jest

nie tak.

- Nie wyraziłem się dostatecznie jasno, Agnes. My wszyscy jesteśmy członkami grupy religijnej, która jest znana pod nazwą -Jednoczonej Wspólnoty Wyznawców Powtórnego Przyjścia Chrystusa. W skrócie mówimy o sobie jako o Wyznawcach, chociaż ludzie „bywają nas Shakerami.

Słowa pędziły jedno za drugim, a wśród nich wiele było takich których Selena nie znała.

- Nie rozumiem.

- Prr! - Ściągnął lejce i wóz zatrzymał się ze skrzypleniem kół. Przed nimi leżała uśpiona wioska: długie rzędy białych budynków po obu stronach drogi. Wszystkie były jednakowe jak krople wody i rozmieszczone w równych odstępach. Pośród szarości poranka Selena nie dostrzegła ani jednej kępki kwiatów zdobiących białe sztachety. Żadna z chat nie miała frontowego ogródka. - Wiele będziesz się musiała ponownie nauczyć o naszych zwyczajach, ale teraz nie ma na to czasu. - Rzucił jej ukradkowe spojrzenie i szybko odwrócił wzrok. - Właściwie powinienem był przypomnieć ci to wszystko w czasie jazdy.

- Możesz mi opowiedzieć, kiedy będziemy w domu.

- Nie. Nie wolno nam rozmawiać na osobności... to niezgodne z naszą regułą. Zmarszczyła czoło.

- Znowu nie rozumiem. Przecież jesteśmy małżeństwem.

- Nie wedle wiary Wyznawców. Tu nie istnieje instytucja małżeństwa. Wszyscy są członkami wspólnoty. Mieszkamy w jednej wielkiej rodzinie - mężczyźni oddzielnie, kobiety oddzielnie. My dołączyliśmy do grupy już po ślubie, ale tutaj nie mieszkamy razem jako mąż i żona, jesteśmy po prostu bratem Elliotem i siostrą Agnes.

Selena czuła coraz silniejsze mdłości. Elliot wskazał ręką tył wozu.

- Lepiej przesiądź się tam teraz.

- Do tyłu?

- Kobiecte i mężczyźni nie wolno siedzieć obok siebie. Kiedy dojedziemy, powiem im, że cały czas jechałaś z tyłu wozu.

Selena zacisnęła przemarznięte palce na czarnej rączce parasola i oparła się na silnej, pokrytej odciskami ręce Elliota, uniosła spódnicę i zeskoczyła na rozmokłą drogę. Buciki zatonęły aż po kostki w zimnym błocie. Spojrzała w górę, na Elliota, zbierając myśli, ale już wiedziała, co powiedzieć i co zrobić. Ścisnął jej dłoń pokrępiącym gestem.

- Zawsze będę blisko ciebie, Agnes. Zawsze! - przyrzekł jej cicho, uroczystym głosem, po czym odprowadził ją na tył wozu i po chwili wdrapał się do środka. Umościła się jako tako na wilgotnych deski podciągając kolana do piersi. Elliot odwrócił się, by wrócić na ławkę woźnicy. Zatrzymała go wyciągniętą dłonią.

- Elliot, czy ja...

- Czy ty co?

- Czy ja byłam tu szczęśliwa?

Widziała, że pytanie go zaskoczyło, przez jego twarz przemknął cień jak gdyby lęku, lecz czego miałby się bać? Pomyślała, że przywidziało jej się. Milczał tak długo, że straciła nadzieję na odpowiedź, w końcu jednak nerwowymi palcami naciągnął kapelusz jeszcze głębiej na czoło i szepnął:

- Zdaje mi się...

- Co to znaczy, że ci się zdaje? Ściszył głos do chrapliwego szeptu.

- To znaczy, Agnes, że mam taką nadzieję. Z tymi słowami odwrócił się i kulejąc podążył na przód wozu. Wspiął się na ławeczkę, usiadł, chrząknął niewyraźnie i zaciął konia. Skulił barczyste ramiona i pochylił głowę tak nisko, że z miejsca, gdzie przycupnęła, widziała białe pasemko skóry na obnażonym karku, pod równą linią burch włosów obciętych na jeża. Nie musiała widzieć jego twarzy, by domyślić się jej wyrazu - smętnego oblicza zbitego psa, pokonanego przez życie i samotnego. Zastanowiło ją, że powrót do domu wydaje się działać na niego tak przygnębiająco. „To znaczy, że mam taką nadzieję, Agnes”. Nie wątpiła w szczerść jego słów, ale była dostatecznie przenikliwa, by dostrzec ukryte znaczenie dwuznacznego zapewnienia. Od po prostu nie wiedział, czy była tu szczęśliwa, więc niewykluczone, że nie była... te słowa mogły też znaczyć, że wbrew nadziei Elliot zdawał sobie sprawę, że nie była szczęśliwa w owej „północie.

Utkwiła wzrok w szerokich plecach i powróciła myślą do tego, co Jy powiedział o Shakerach i o ich życiu

tutaj. „...Nie mieszkamy ^ern jako mąż i żona” - ostrzegł. Lęk ścisnął jej trzewia nieczułą „...la, zimną i twardą. Nagle uświadomiła sobie, że ów Elliot, którego na zaledwie od trzech dni i który mieni się jej mężem, chociaż ledwie .u godziny prowadzili coś na kształt rozmowy -jest w nowym świecie ^ynym znanym jej człowiekiem. Lecz nie mogli ze sobą nawet ^mawiać, bo byłoby to „niezgodne z regułą”! A więc była sama,

bardziej, niż mogłaby to sobie wyobrazić. Znała tutaj tylko tego człowieka, a jemu nie wolno było odezwać się do niej.

Chwyliła swoją jedyną własność - lalkę o imieniu Sara - i przycisnęła to udawane dziecko do piersi. Wsunęła nos w miękkie włoski na lalczynie główce i wciągnęła głęboki oddech, ale poczuła tylko woń przędzy, drzewa i wilgotnego płótna. Nie zachował się nawet ulotny zapach Domu Zapomnienia czy Lary, poprzedniej właścicielki lalki. Selena trzymała w objęciach martwy przedmiot z guziczkowymi oczkami wśród poprzecieranych nitek szmacianego rumieńca.

## 24

Powoli zbliżali się do osady. Z prawej strony rozciągał się sad, po wszystkich czterech bokach ogrodzony schludnymi białymi sztachetami. Jabłonie, brzoskwinie, gruszki i wiśnie stały w karnym ordynku pośród łagodnie pofalowanej równiny.

Kiedy dotarli do centrum wioski, ujrzeli pierwszych ludzi, którzy zaczęli wychodzić z białych chat i podążać za wozem. Uśmiechali się powściągliwie, machali dłonią, mruzczyli przyciszonymi, kontrolowanymi głosami słowa powitania.

Wszyscy ubrani byli jednakowo. Kobiety miały ciemne, pozbawione ozdób suknie o plisowanych spódnicach sięgających do kostek i obszerne, bure opończe zapięte pod szyją. Upięte wysoko włosy skrywały pod nieskalaną bielą wykrochmalonych czepków. Mężczyźni nosili bure albo ciemne spodnie, płócienne koszule ze stójką i kamizelki zapięte pod samą szyję.

Elliot zatrzymał wóz i zeskoczył na ziemię. Cizba stłoczyła się wokół niego. Selena patrzyła, jak wita się uściskiem dłoni z kilkoma •Mężczyznami. Gdy skończył, podszedł do niej i wyciągnął dłoń, by Pomóc jej zsiąść. Przytuliła do siebie szmacianą lalkę i popatrzyła w dół, na mężczyznę, który mienił się jej mężem. Miała uczucie, że Wlazała się tu przez jakąś koszmarną omyłkę, chociaż powinno być inaczej, skoro osada była jej domem. Ludzie dokoła uśmiechali się ł kiwali do niej rękami, szepcząc serdeczne wyrazy powitania, lecz „irno wszystko nie czuła się tu jak w domu. Domem wciąż była ^ydencja na pustkowiu nad brzegiem morza, otoczona pierwotną

puszczą, która olśniewała człowieka dzikim majestatem. W domu panowała zazwyczajatmosfera podniecenia i zgiełku, i czuć było tchnienie swobody. Przełknęła grudę niepewności, tkwiącą w gardle ujęła podaną rękę i zesłała na ziemię, z lalką dyndającą w drugiej dłoni. Gdy stanęła na dziedzińcu, Elliot szepnął tak cicho, że tylko ona mogła go usłyszeć:

- Witaj w domu! Tęskniłem za tobą.

Potem pospiesznie wycofał rękę i wcisnął ją głęboko do kieszeni. Szaro ubrana cizba przysunęła się bliżej. Otoczyło ją przyciszone buczenie podobne do pieśni pszczelego roju. Przez tłum przycisnęła się wysoka kobieta w podeszłym wieku. Na widok Seleny pobrużdżona zmarszczkami twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- A więc jesteś znów w domu!

Selena rzuciła spłoszone spojrzenie na Elliota. Nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć i jak się zachować. Powitanie starszej kobiety było szczere - widać to było w jej oczach - mimo to za kontrolowanymi słowami Selena nie wyczuła ani śladu emocji. Pomógł jej Elliot, wtrącając wyjaśnienie:

- Siostra Agnes doznała obrażeń głowy, siostrzo Beatrycze, i nie pamięta nikogo z nas.

Tłum zamarł i Selena poczuła na sobie oczy wszystkich. Uplynęła dłuższa chwila, zanim siostra Beatrycze odezwała się ponownie, tym razem łagodnym, świszczącym szeptem:

- Nic dziwnego, skoro tak długo cię nie było. Ktoś z nas oprowadzi cię po osadzie i zadba, byś ponownie się z nią zapoznała. Zapewne niezwłocznie zechcesz zrzucić te światowe szatki i zakryć włosy, jak przystało siostrze. Dzisiaj możesz odpoczywać do samego wieczora, a od jutra zaczniesz dyżur w pralni. - Ponownie uśmiechnęła się i ujęła ramiona dziewczyny w geście pokrzepienia. - Jestem pewna, że pamięć naszego



zycia powróci szybciej, niż się spodziewasz. Przecież tyle lat mieszkałaś wśród nas!

- Jej obrażenia są bardzo rozległe i może potrzebować szczególnej pomocy ze strony kobiet.

Starsza siostra jeszcze raz zmrużyła oczy w przelotnym uśmiechu.

- Nasza siostra Agnes zawsze potrzebowała dodatkowej pomocy. -Odwróciła się i przeszukała wzrokiem tłum. - Siostrzo Lucyndo, pokaż siostrze Agnes nasz barak sypialny i pomóż jej się zadomowić.

przed inne szaro ubrane postacie wyszła niska kobieta o kruczoczarnych włosach wysuwających się spod czepka i bystrych oczach, w których migotały błękitne iskierki. W odróżnieniu od sukni innych kobiet jej szata połyskiwała miękkim odcieniem szafiru, jakby odbijając błękit tęczę. Miała szczery, choć skrępowany uśmiech.

- Witaj, siostrzo Agnes! Brakowało mi ciebie. Drugie ciepłe powitanie, w którym zabrakło swobody uczuć! Selena zmusiła się, by odpowiedzieć uśmiechem.

- Witaj... siostrzo Lucyndo.

Kobieta mrugnęła porozumiewawczo i wsunęła łokieć pod ramię Seleny, przyciągając ją bliżej.

- Mów mi Lucy! - szepnęła i wyprowadziła dziewczynę z kręgu. Selena minęła Elliota. Stał niemy i nieruchomy, z twarzą zamkniętą w dziwnym wyrazie, którego nie umiała rozszyfrować. Zdawało jej się, że to gniew, ale nie miała okazji zapytać, bo Lucy ponaglała. Szybkim krokiem dotarły do białego płotu i poszły starannie wypieloną ścieżką w kierunku obszernego, białego budynku.

Dormitoria zbudowano na łagodnym wzniesieniu, wokół którego rosły kępy starych drzew o szerokim listowiu. Dwa rzędy miarowo rozstawionych okien o ciemnozielonych framugach przecinały biel deskowania na wysokości pierwszego i drugiego piętra. Pośrodku budynku widniały dwie pary drzwi, umieszczone z symetryczną precyzją. Lucy objaśniła różnym głosem:

- Mężczyźni używają wschodniego wejścia, a kobiety zachodniego. Zanim Selena zdążyła wyrazić zdziwienie, Lucy pociągnęła ją w górę schodków, przekręciła gałkę i pchnęła drzwi, za którymi znajdowała się obszerna sień o podłodze z sosnowych desek. Z sieni otworzył się widok na dwa równoległe korytarze biegnące na całej długości domu. Przy tylnej ścianie stał archaiczny, szafkowy zegar, Jak strażnik strzegący dwóch identycznych par drzwi po swych obu bokach. Za nimi Selena dojrzała rzędy bliźniaczo urządzonych pokoi, umeblowanych drewnianymi ławami. Lucy ponownie ostrzegła:

- Kobiety po zachodniej stronie! - i wprowadziła Selenę przez właściwe drzwi i w górę po schodach, które jak wszystko w tym dziwnym domu były rozdzielone pośrodku chybottliwą poręczą. Górny Podest też okazał się podzielony na dwie symetryczne połówki, Prowadzące do czterech pomieszczeń o identycznych rozmiarach -

dwóch po wschodniej, dwóch po zachodniej stronie domu. Lucy skierowała Selenę do pierwszych drzwi.

Znalazły się w przestronnym, wysokim pokoju. Promienie słoneczne odbijały się w wypolerowanych do blasku deskach podłogi. Selenie spodobało się tu: ściany pomalowano na ciepły, kremowy kolor niezakłócony obrazami ani żadnymi innymi ozdobami. Na poziomie oczu wzdłuż każdej ściany biegła wąska listewka najeżona w równych odstępach kółeczkami, z których zwisały szczotki, mopy i dwa krzesła o drabinkowych oparciach, charakteryzujące się elegancką prostotą. Jedna ściana była cała pokryta pszczelim plastrzem szafek, a pośrodku pokoju stał niewielki żeliwny piecyk. Rura biegła pionowo ku sufitowi, a dalej ukośną linią w poprzek pomieszczenia. W każdym kącie stało wąskie jednoosobowe łóżko. Poza nimi jedynym meblem w pokoju była komoda, na której stała miednica i dzban do codziennej toalety. Na haczykach wisiły cztery schludnie złożone ręczniki. Nie było w tym pokoju rzeczy, która znajdowałaby się nie na swoim miejscu, niczego zbędnego czy dekoracyjnego, lecz meble stanowiły prawdziwe arcydzieła snycerskiego kunsztu, dzięki któremu wnętrze wydało się dziewczynie urządzone z wyszukaną elegancją. Lucy wyjaśniła:

- To nasz pokój wypoczynkowy. Ty i ja-dzielimy go z siostrą Bertą i siostrą Teresą.

Lucy obejrzała się na drzwi, po czym podbiegła do nich i zamknęła je szczelnie.

- Czy to prawda? - szepnęła. Selena popatrzyła na nią zmieszana.

- Czy co jest prawdą?

- Że nie pamiętasz nikogo z nas?

- Czemu miałabym kłamać?

Lucy zdusiła dłonią atak śmiechu podobnego do czkawki i ponownie rzuciła lęklive spojrzenie na zamknięte drzwi.

- Skoro pytasz, to rzeczywiście nic nie pamiętasz! Za drzwiami rozległo się skrzywienie schodów. Lucy ukradł<sup>111</sup> odsunęła się od Seleny.

- Jeszcze pogadamy. Teraz przejrzyj rzeczy - pierwszy rząd szafę” należy do ciebie. Przebierz się na wieczór!

Selenę ogarnął niepokój na myśl, że ma zejść z powrotem do tyć obcych ludzi i dzielić z nimi posiłek. To by przywiodło zbyt wie e

wspomnień, które jeszcze zbyt mocno bolały. Potrzebowała jednego wieczoru dla siebie. Tylko ta jedna noc, obiecała sama sobie, a potem całą duszą postara się żyć z tym dziwacznym, nowym otoczeniem. Teraz jednak nie mogła się na to zdobyć. Jeszcze ta jedna noc, by pamiętać... by zapomnieć.

- Ja... nie jestem głodna. - A widząc karcące skrzywienie Lucy, zaczęła szukać bardziej wiarygodnej wymówki: - Podróż trwała tak długo, że dostałam okropnego bólu głowy!

- Ach, twoje bóle głowy - skinęła głową Lucy. - Wciąż je miewasz! Zdziwiona Selena uniosła brwi.

- Naprawdę?

- Przynajmniej tak było przedtem.

Zapadła niezręczna cisza, jakby Lucy chciała powiedzieć coś więcej, ale nie otworzyła ust, patrzyła tylko na Selenę smutnymi oczami.

- O co chodzi, Lucy?

Młoda kobieta podeszła bliźutko i dotknęła policzka Seleny szybkim, ptasim gestem.

- Sądziłam, że wydostałaś się na dobre... - szepnęła cichutko. -Przez ten czas... gdy cię nie było... wierzyłam, że jesteś szczęśliwa tam, dokąd trafiłaś!

Drzwi za ich plecami otworzyły się i na progu stanęła siostra Beatrycze.

- Siostrzo Lucy, proszę za mną. Daj siostrze Agnes czas na ogarnięcie się i odpoczynek. Brat Elliot mówi, że wciąż jeszcze słabuje po tym wypadku

Selena podniosła dłoń do skroni.

- Mam okropnie zbolałą głowę... starsza siostrzo. Pójdę teraz na spoczynek.

- Oczywiście. Jutro rano poczujesz się o wiele lepiej. Kobiety zniknęły, jakby wymiotły je czary, i Selena została sama. Wzeszła się po pokoju, dotykając sprzętów i ścian, badając palcami ^orstkie płótno ręczników i niedoścignioną gładkość wypolerowanych „afek. Szukała czegoś, co przywołałoby wspomnienia i pozwoliło Pokonać rosnące uczucie obcości, ale nie znalazła. Niczego nie mogła s1? uchwycić, grzęzła w beznadziejnej, przytłumionej desperacji, w dręczącym poczuciu, że to miejsce nie było dla niej odpowiednie a”1 dobre.

Wsunęła dłoń do kieszeni i zacisnęła palce na ostrych brzegach odłamka szafirowego szkła.

„Och, łan...”

Wszystko było jakoś nie tak! Nie czuła się jak dawna lokatorka tego pokoju. Nie wierzyła, by kiedykolwiek tu mieszkała! Zapragnęła otworzyć drzwi na oścież i wyrzyczeć na całe gardło, że to wszystko musi być jakąś potworną pomyłką i Elliot przywiózł do osady niewłaściwą kobietę.

Niestety wiedziała, że tak nie było, a gdy przypominała sobie jego oczy przepełnione bezdennym smutkiem, rozumiała, jakie było źródło jego rozpacz. Była nim miłość. Tylko to uczucie miało potęgę, z której wyrastały tak silne emocje. Tylko miłość potrafiła zadawać ból nie do zniesienia. Wreszcie pojęła do końca sens słów poetów, którzy opiewali cierpienia rozdzielonych kochanków. Nareszcie rozumiała, czemu skomponowano tyle ballad o miłościach utraconych -i odnalezionych. Ponieważ za miłością szło życie, a bez niej ludzie grzęzli w straszliwej otchłani pustki.

Z ociąganiem podeszła do okna i natychmiast pożałowała, bo odczuła jeszcze wyraźniej, że to było niewłaściwe okno w niewłaściwym miejscu.

- Musisz coś znaleźć! - szepnęła sama do siebie i pochwyciła we własnym głosie nutę palącej potrzeby, jakby odpowiedź na okrzyk rozdartej duszy. Mocniej ścisnęła szklany talizman i wyjrzała przez okno. Przekonywała samą siebie, że tutaj też uda jej się znaleźć coś, co przyniesie ukojenie i da powód do radości - że gdzieś, z kiffłs poczuje się znowu szczęśliwa. Przełamie barierę bólu utraty. Przecież nikt nie potrafi żyć z

taką straszliwą, szarpiącą pustką w *duszy*-Niebawem wyrazistość bólu zblaknie, a ludzie, między którymi zdecydowała się zamieszkać, owi Shakerzy, jeden po drugim znajda drogę do jej serca. Więzy sympatii zakotwiczą ją tu, jak statek P<sup>o</sup> długim rejsie przybija do portu przeznaczenia - podobnie, jak to si? stało w Domu Zapomnienia.

Pochyliła się i oparła czoło o chłodne szkło. Przymknęła znużone oczy i pozwoliła, by wspomnienia ogarnęły ją pokrzepiającym ciep znajomych obrazów.

„Kocham cię, Seleno. Pewnego dnia...”

.ć zdania-

Teraz pożałowała, że nie pozwoliła mu wówczas dokończy

nie wysłuchała jego marzeń, choćby daremnych. Gdyby wypowiedział je na głos, może teraz czerpałaby z nich otuchę? Byłyby tarczą przeciw torturze osamotnienia. Cóż, położyła mu palec na ustach i nie pozwoliła skończyć. Starła się zachować honor, chciała być uczciwa i pozostawić mu choćby nadzieję na przyszłość - skoro sama musiała powrócić do przeszłości.

W oddali zabrzmiał dzwonek i jakby w odpowiedzi na schodach rozległy się kroki wielu stóp, choć nie towarzyszyły im odgłosy rozmów. Drzwi do pokoju otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Weszła Lucy w towarzystwie dwóch kobiet, których twarze były Selenie całkowicie obce. Jedna była wysoka i chuda jak patyk, o włosach przetykanych siwizną, druga przysadzista i rumiana. Na twarzach obu przybyłych trwał jak przyklejony radosny podobno uśmiech powitania, za którym nie szły uczucia. Obie jednocześnie rzuciły się ku Selenie i objęły ją serdecznie, po czym jak na komendę odsunęły się i powiedziały:

- Witaj, siostró Agnes.

- Witajcie - odwzajemniła się cichym głosem.

Chuda jak patyk wystąpiła do przodu i przedstawiła się:

- Jestem siostra Teresa, a to jest siostra Berta.

Zanim Seleno zdążyła otworzyć usta, powtórnie rozbrzęczał się dzwonek i wszystkie trzy kobiety pospieszyły do swoich szafek, z których wyciągnęły skromne białe koszule nocne. Szybko i sprawnie przebrały się, ustawiły rzędem przed komodą, obmyły twarze i wyszorowały zęby. Żadna przez cały czas nie odezwała się ani słowem. Po zakończeniu ablucji odwróciły się i popatrzyły na Selenę. Wreszcie Da twarzy Lucy pojawił się uśmiech.

- Przecież ona nic nie pamięta, siostry!

Siostra Berta przytaknęła.

- Pewnego dnia przypomnisz sobie nasze reguły.

- Reguły? - szepnęła Seleno, ściskając aż do bólu okrusz szkła w kieszeni.

Głowa siostry Teresy podskoczyła w urywanym, potakującym geście.

- Dzwonki sygnalizują kolejne czynności dnia. Mówią nam, kiedy 2as na modlitwę, a kiedy trzeba się gotować na nocny spoczynek. Jedy ponownie rozlegnie się dzwonek, zgasimy lampki i pójdziemy SPAć• Pamiętasz?

Żołądek podskoczył Selenie do gardła jak na wariackiej karuzeli. Nie, tego nie mogli jej zrobić, nie będą jej dyktować każdego ruchu kierować każdą chwilą, jakby była dzieckiem. Zaczęła się cofać i nie zatrzymała się, aż za plecami poczuła ścianę.

- Ale ja... chciałabym pójść na spacer. Wyjść na dwór! Lucy podeszła do niej i spojrzała oczami, których błękit zagasi i spłowił w wyraz smutnej, bezsilnej rezygnacji.

- Zawsze buntowałaś się przeciw regułom, Agnes.

- Ale...

- Jutro mamy razem dyżur w prasowni. Wtedy odpowiem na wszystkie twoje pytania.

Seleno nie znalazła dalszych słów protestu, podeszła więc do szafki i wyjęła nocny strój.

Przestań myśleć o batystowej koszuli z koronkami u mankietów, o nocy, kiedy ją włożyłaś i zakradłaś się do sypialni lana, powtarzała sobie w myśli.

Zagryzła dolną wargę, rozpięła bawełnianą sukienkę i narzuciła koszulę na dzienną bieliznę, jak to uczyniły wcześniej jej współlokatorki. Umyła naprędce twarz i zęby. Podeszła do jedyne wolnego łóżka i wsunęła się między prześcieradła z miękkiej bawełny.

Zabrzmiał kolejny dzwonek.

- Dobranoc! - powiedziały chórem kobiety i płomyki wszystkich lamp zgasły równocześnie, a w pokoju zapanowała duszna ciemność.

Selena długo leżała bezsennie, zasłuchana w monotonną pieśń kobiecych posapywań. Niedługo po tym, jak usłyszała zegar wybijający pomoc, za oknem zaczęło padać. Krople wybijały dźwięczny werbel na dachu i szybach.

Przytuliła do piersi lalkę i starała się zasnąć, lecz nie dane jej było tej nocy zaznać ukojenia. Wspomnienia tłoczyły się w jej głowie, rozpychały, popędzały jedno drugie jak rozkapryszone dzieci do-praszające się względów matki. Ona zaś nie miała siły, by się im przeciwstawić, nakazać im iść precz, rozpląnąć się w mroku, z którego szeptały do niej słodkie, wabiące słowa bez znaczenia...

„Kocham cię, Seleno. Kocham cię, kocham cię, kocham...”

Gorące łzy zapiekły pod powiekami i potoczyły się po skroniach na poszewkę poduszki z szorstkiego płótna.

Jidliot stał pośrodku dormitorium braci, wpatrzony w zamknięte drzwi. Za plecami słyszał odgłosy krzątania, gdy towarzysze w swój zwykły, miarowy sposób przygotowywali się na spoczynek: gulgotała woda, trzeszczały ramy łóżka pod ciężarem braciszka, który właśnie wsuwał się pod koc, dzbanek brzęknął o miednicę. Jak zwykle, nikt nie odzywał się ani słowem, poza stłumionym pomrukiem indywidualnych modlitw. Braciszkanie byli zmęczeni - nie dziwota o tej porze roku, przy pogodzie sprzyjającej pracom gospodarczym. Najpewniej cały dzień spędzili strzygąc owce.

Wyteżył słuch, by wbrew możliwości pochwycić odgłosy z pokoju sióstr, może nawet przyciszony głos Agnes odmawiającej wieczorny pacierz. Co ona teraz robi? O czym myśli?

Usłyszał karcący szept:

- Bracie Elliotcie, był już dzwonek na gaszenie światła!

Elliot, nie odwracając się, skinął głową i pierwszy raz w życiu boleśnie odczuł ograniczenia narzucone przez nieubłagane reguły sekty. Nie chciał posłusznie jak baranek rozebrać się i iść spać. Chciał przekroczyć niewidzialną barierę korytarza, zapukać do zamkniętych drzwi, ująć żonę za rękę i poprowadzić w ciepły mrok. Chciał z nią porozmawiać.

Panie na wysokościach... tylko tyle, porozmawiać!

Westchnął z rezygnacją i odstąpił od drzwi, błyskawicznie przebrał się do snu i wślizgnął do łóżka, podciągając pod samą brodę cienki bawełniany koc. Zgasł płomyk ostatniej lampy i w pokoju zapanowała cisza. Przez okno sączył się blade blask księżyca.

Odwrócił głowę do źródła bezcielesnej poświaty. W głowie wrzało od myśli i wspomnień, zaprawionych ostrym smakiem żalu i wstydu.

Doskonale pamiętał dzień, kiedy przybyli do osady - przygarbiony olbrzym o zniekształconej twarzy i jego chudziutka, wystraszona dziecięca żona. Wówczas to miejsce wydało się obojgu oazą, schronieniem, które witało bezdomnych ciepłym ogniem na kominku i pełną miską wieczornej stawy.

Warunki nie wydały im się ciężkie: oboje podpisali Kowenant, ułożyli wyznanie wiary, i oddali wszystkie swoje ziemskie dobra, czyli Jic, Wyznawcom - i w ten magiczny sposób zyskali dom. Miejsce, które mogli nazywać swoim własnym. Nie miało dla nich znaczenia,

• nie wolno im było dzielić pokoju, bo i tak nigdy nie spali razem.

Nie przeszkadzała im reguła zabraniająca rozmów mężczyźni i kobiet dłuższych niż kwadrans, i to za zgodą starszych - i tak nigdy nie mieli sobie wiele do powiedzenia. Elliotowi do szczęścia potrzebna była tylko bliskość Agnes, a ona oczekiwała od niego wyłącznie ochrony. Wyznawcy zaspokoili obie te potrzeby.

Westchnął i skrzyżował dłonie pod głową, a niewidzący wzrok utkwiał w suficie. Wspominał dzień, w którym spotkał Agnes -zabiedzoną, kruchutką dziewczuszkę o podbitych czarnymi sińcami oczach. Podtrzymując resztką sił złamany nadgarstek, szukała w śmietniku jadalnych odpadków.

Pamiętał, jak podszedł do niej ostrożnie, wyciągając srebrną jedno-dolarówkę, by dowieść, że nie musi się go obawiać. Chwyliła monetę i odbiegła jak zaszczute zwierzątko, ale on wracał cierpliwie, dzień po dniu, aż kiedyś ujrzał, że mała czeka na niego. Stopniowo doprowadził do tego, że po otrzymaniu jałmużny zostawała coraz dłużej i rozmawiała z nim.

Nie zapomniał, jak się czuł w jej obecności. Pierwszy raz, odkąd sięgał pamięcią - a miał wówczas trzydzieści cztery lata - przestawał być olbrzymem o pokieszowanej twarzy i uschniętej ręce, którego życie składało się z samego cierpienia. Patrzył w brunatne oczy Agnes i widział w nich inne odbicie siebie: wybawcy i opiekuna.

Przez całe lata, odkąd poprosił ją o rękę, wmawiał sobie, że uczynił to dla niej, ale teraz, leżąc w mroku i ciszy wspólnej sypialni, zdobył się na odwagę i stawiał czoło gorzkiej prawdzie. Być może na początku rzeczywiście kierował się dobrem obojga, lecz w którejś chwili zszedł z tego szlaku i obrał za cel wyłącznie swoje potrzeby i marzenia. W miarę upływu lat przestawał zauważać, że ona może czuć co innego.

Agnes nie była szczęśliwa wśród Wyznawców.

Wiedział o tym teraz. Gdy sięgał pamięcią wstecz, musiał przyznać, że prawdopodobnie wiedział już od dawna, ale dopiero gdy odeszła, przejrzał na oczy.

Powinien ją zostawić, powinien kroczyć dalej przez życie bez słowa skargi, czerpiąc siłę i radość z faktu, że ukochana odnalazła szczęście i spełnienie gdzieś tam, w szerokim świecie. Ale okazał się zbyt słaby, bo tęsknił za nią. Och, Boże, jakże on za nią tęsknił! Brakowało i»u jej jak blasku słońca w pochmurny dzień, jak świeżego powietrza Każda chwila bez niej wżerała się rozpaczą w duszę, niszczyła go °

środka, aż nie mógł jeść, spać ani modlić się, potrafił tylko powtarzać jej imię w nie kończącej się litanii.

Wmawiał sobie, że chce się tylko przekonać, czy jest szczęśliwa, czy wszystko jest z nią w porządku. Lecz kiedy dotarł do tego ogromnego, świetlistego domostwa na brzegu oceanu, kiedy ujrzał oczy pełne szczęścia i uśmiech, którego jej twarz nie znała od lat, przekonał się, że jego prawda jest inna. Nie zależało mu na jej szczęściu, obchodziło go wyłącznie to, by wróciła, bo myślał tylko o sobie.

Nie potrafił żyć bez niej. Nie potrafił bez niej oddychać.

- Och, Boże! - jęknął pełen nienawiści do samego siebie, przeklinając własną słabość. Przekreślił się na bok i zagrzebał zdeformowany policzek w poduszkę. Co ma teraz począć? Co mógł teraz począć?

Człowiek o dobrym, uczciwym sercu zwróciłby jej wolność. Pocałowałby ją w policzek i odesłał z przyjaznym pożegnaniem...

Ta myśl rozdarła mu duszę. Poczul ból tak ostry, że przez chwilę sądził, iż to atak serca. Nie odpychał tego bólu, wprost przeciwnie -witał go jak przyjaciela, niemal życząc sobie szybkiej, nagłej śmierci. Byłaby wyzwoleniem po tej straszliwej chwili, gdy zajrzał w głąb swej duszy i znalazł w niej szkaradną prawdę.

Okazał się bowiem niedobrym człowiekiem.

## 25

Pierwszy poranny dzwonek rozległ się o wpół do piątej rano. Przez kilka sekund, zanim rozbudziła się na dobre, rozkoszowała się ciepłem słonecznych promieni na twarzy. Otworzyła rozspane oczy i przeciągnęła się, myśląc o nowym dniu. Nagle usłyszała skrzypnięcie łóżka, potem następnego i jeszcze jednego. Te odgłosy przypomniały jej brutalnie, że nie jest już w domu.

- Wstawaj, leniuszku! - skarciła ją łagodnie siostra Berta. Selena uniosła się na łokciach i rozejrzała po pokoju. Ze zdumieniem ujrzała współlokatorki odziane już w te same bure sukienki, w których widziała je wczoraj. Stały w luźnym szyku trójkąta po przeciwnej stronie sypialni i patrzyły na nią z oczekiwaniem. Rozległ się kolejny dzwonek.

Korytarz ożył. Na całej jego długości skrzypiały otwierane drzwi. Potem rozbrzmiały kroki, przytłumione, lecz liczne. Lucy ponagliła:

- Lepiej się pospiesz, bo za pięć minut zadzwonią ponownie. a wtedy powinniśmy już być w męskim dormitorium i zbierać rzeczy do prania.

Berta cmoknęła z namysłem.

- Lucy, zostań z Agnes i pomóż jej się ogarnąć. Ja z Teresą poradzimy sobie dzisiaj w męskich sypialniach.

- Berto... - odezwała się Teresa przyciszonym głosem, w którym zabrzmiała ostrzegawcza nuta. Jednocześnie obejrzała się lęklonie „a zamknięte drzwi.

- Nikt nie musi się o tym dowiedzieć! - Berta posłała Seleni

elotny uśmiech i pociągnęła siostrę Teresę do drzwi, otworzyła je (ostrożnie, sprawdziła, że korytarz jest pusty i ponagliła towarzyszkę ldo wyjścia. Kiedy obie zniknęły, Selena odrzuciła przykrycie i wy-Iskoczyła

z wąskiego łóżka. Lucy zademonstrowała jej, jak kilkoma (sprawnymi ruchami złożyć koce i wywiesić na poręczu, by je przewietrzyć. Przymrużyła porozumiewawczo oko:

- Tak pościel dłużej zachowuje świeżość! - Po czym zdjęła z kołka na ścianie szczotkę i zaczęła zmiatać sosnowe deski podłogi, zbierając na szufelkę drzazgi i popiół, które wysypały się wokół piecyka. Skończywszy, przetarła czystą szmatką parapety i powierzchnie szafek, blat stołu i krzesła. Potem uzupełniła poziom nafty w lampie z wielkiej butli ukrytej za komodą.

Selena stała przez chwilę nieruchomo, przyglądając się tej krzątaninie, nie wiedząc, co ma robić. Wreszcie podeszła do szafek i wyciągnęła brązową sukienkę z bawełny i flanelowy fartuch. Szybko się ubrała, umyła twarz i podbiegła do okna.

Rozległ się trzeci dzwonek.

Lucy odwiesiła narzędzia i odwróciła się do Seleny.

- Czas iść do pracy!

Selena pożegnała spojrzeniem lalkę, którą ułożyła na poduszce, i pospieszyła w ślad za Lucy do zatłoczonej sieni. Mężczyźni przechodzili pod wschodnią ścianą pojedynczym szeregiem, kobiety pod zachodnią, a wszyscy witali się skinieniami głowy i kilkoma przytłumionymi słowami, unikając przy tym bezpośrednich spojrzeń.

Wyjątkiem był Elliot, który stał na progu swojego dormitorium, ściskając w rękę kapelusz. Selena popatrzyła na niego i ponad głowami milczącego pochodu ich spojrzenia spotkały się. W jego oczach dojrzała smutek i żal. Zmarszczyła czoło, ogarnięta nagłą Pokusą, by przeciąć niewidzialną granicę, podejść do niego i poprosić o wyjaśnienie... lecz Elliot w tejże chwili odwrócił wzrok, nacisnął kapelusz na czoło i wtopił się w tłum mężczyzn. Niemal natychmiast Fiknął w głębi korytarza.

Selena poczuła w dłoni rękę Lucy, która ścisnęła ją porozu-”Uwawczo.

- Chodź za mną! - szepnęła. Selena przyłgnęła do jej dłoni jak do „y ratunkowej w obcym żywiole. Czują się całkowicie zagubiona w tym nienaturalnie cichym domu, gdzie ludzie żyli w osobliwej segregacji. Dziewczyny zeszyły po schodach i skręciły za róg. Minęły kuchnię, która zaczęła się właśnie budzić do życia brzękiem rondli pluskiem wody i rozgardiaszem kobiecych głosów.

Te, które nie miały dyżuru przy gotowaniu strawy, wysypały się z zachodnich drzwi jak stado krów idących w posłusznym ordynku na pastwisko. Na dworze wciąż jeszcze panował półmrok przedświt, w którym roztapiały się ciche sylwetki, spiesząc we wszystkich kierunkach do swoich zajęć. Lucy poprowadziła Selenę cichą dróżką obrosniętą wysokimi drzewami w stronę niewielkiej, białej chaty, równie skromnej i pozbawionej ozdób, jak inne zabudowania osady. Za drzwiami znalazły obszerne pomieszczenie zastawione rzędami długich stołów. Pośrodku królował olbrzymi, stożkowaty piec osadzony na masywnej podstawie odlanej ze stali, a na nim rzędy żelazek. Pod ścianami piętrzyły się stosy koszyków wypełnionych bielizną i pościelą. Prześcieradła, fartuchy i czepki suszyły się rozwieszane na drewnianych stojakach. Wzdłuż jednej ze ścian jeżył się rząd drewnianych kopyt do suszenia pończoch. Za oknami w przeciwległej ścianie Selena ujrzała drugie, jeszcze obszerniejsze pomieszczenie, w którym krzątały się kobiety pochylone nad olbrzymimi kotłami.

Lucy otworzyła drzwiczki w stożkowatym piecu i roznieciła ogień. Już po chwili nad płytą zaczęło falować rozgrzane powietrze, wysyłając dokoła fale spiekoty. Lucy podniosła jeden z koszyków i wysypała zawartość na stół.

- Gdy tylko żelazka dobrze się nagrzeją, zaczynamy! Selena podeszła do stołu i stanęła naprzeciw Lucy.

- Opowiedz mi o tym miejscu. Lucy uśmiechnęła się blado.

- Dość już widziałas, by się zoñentować, jak tu jest. To wspólnota religijna.

- Ale jaka religia wymaga dzwoneków kierujących życiem codziennym, segregacji i tego sztucznego milczenia?

- Praktykujemy celibat.

- Nie znam takiego słowa.

- Ja chciałabym je zapomnieć. - Lucy zaśmiała się blado. - A znasz słowo „seks”? Napłynęły wspomnienia

- wyraziste, tętniące zmysłową słodycz-

- Tak. Znam to słowo.

- No, to my po prostu nie uprawiamy seksu.

- Ale małżeństwa...

- Instytucja małżeństwa jest sprzeczna z regułą wspólnoty. Tak bliskie związki między mężczyzną i kobietą są postrzegane jako nieprzyzwoitość - zacytowała Lucy z przekąsem.

- Wyczuwam w twoim głosie gorycz. Znam to uczucie. Czemu jest w tobie tak silne?

Lucy spojrzała na nią zaskoczona, lecz po chwili uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Ach, zapomniałam, że straciłaś pamięć i nic o mnie nie wiesz! Mój mąż, Blake, mieszka w sąsiedniej kwaterze... a nasz syn Samuel -w jeszcze innej.

- Nie rozumiem. Masz dziecko i męża, lecz nie mieszkacie razem?

- Doskonale rozumiesz.

- Przecież dziecko potrzebuje matki.

- Nie tutaj! - Lucy rozłożyła na stole do prasowania fartuch, spryskała go wodą lawendową, sięgnęła po żelazko i zaczęła starannie przeciągać nim po tkaninie. - W zeszłym roku Sammy zachorował na ospę, ale nie pozwolono mi go nawet odwiedzić. Dopiero gdy zagroziłam, że spalę to miejsce do szczytu, dostałam specjalny przywilej na czas jego choroby. Widzisz, wychowanie dzieci to „zadanie wspólnoty”, więc matka nie powinna budować ze swoim potomkiem więzi ściślejszej niż wszyscy inni członkowie grupy.

Nawet w głosie Johanna nigdy nie słyszała tak przejmującej goryczy! Pilnie naśladowując ruchy Lucy, Selena wyciągnęła ze stosu pogniecionej bielizny fartuch i wygładziła go na stole. Ostrożnie ujęła gorące jak piekło żelazko i zaczęła prasować.

- Czemu nie wyjedziesz?

Lucy westchnęła.

- Gdzież bym się podziała? Mąż podjął decyzję o przyłączeniu się do wspólnoty bez mojej zgody. Nawet nie zapytał mnie o zdanie! Cały nasz majątek przepisał Wyznawcom i zabrał ze sobą Sammy'ego, a mnie pozwolił łaskawie dokonać własnego wyboru... pod warunkiem, że wyrzeknę się syna. Przez kilka pierwszych lat podejmowałam Próby ucieczki, ale on nas zawsze odnajdywał i przywoził z powrotem. •sstem kobietą i nie mam żadnego wyboru.

- Ale...

- Sammy jest całym moim światem. Żyję oczekiwaniem na chwilę, gdy go zobaczę przez podwórko. - Łzy w oczach Lucy wystąpiły z brzegów i zaczęły spływać po policzkach. - Może gdy trochę podrośnie...

- Czy wszystkie kobiety sprowadzono tu podstępem i przemocą jak ciebie?

Lucy otarła twarz.

- Och, nie. Wiele z nich uważa, że wspólnota to prawdziwy raj na ziemi. Berta i Teresa tak myślą i większość innych... Widzisz, tu żyje się nie znając głodu, chłosty ani nędzy. I wszystkie członkinie wspólnoty cieszą się ogólnym szacunkiem. Tę grupę założyła bowiem kobieta, niejaka matka Anna Lee.

Selena nieostrożnie przytknęła gorący metal do kciuka, zawyła z bólu, rzuciła żelazko i zanurzyła palec w lawendowej wodzie.

- Czy ja... czy mnie się tu podobało? Lucy potrząsnęła głową.

- Zawsze krępowały cię reguły. Tak było od początku, ale na kilka miesięcy przed zniknięciem zaczęłaś uparcie podnosić kwestię posiadania dziecka. Tak bardzo chciałaś mieć dziecko... Siła twojego pragnienia budziła we mnie lęk o ciebie, bo zwykłaś mawiać, że nie ma dla ciebie wyjścia innego niż śmierć, tylko nie chciałaś ranić Elliota. Gdyby nie wzgląd na niego, sądzę, że już dawno popełniłabyś samobójstwo - i to nie odchodząc daleko, w samym dormitorium! Ale pewnego dnia zniknęłaś... - Oblicze młodej kobiety zajaśniało dziwnym uniesieniem. - Byłam z ciebie taka dumna, Agnes! Sądziłam... miałam nadzieję, że odnalazłaś wolność.

- Bo i tak było - odrzekła cicho Selena. Pochyliła się nad stołem i niezgrabnie uniosła ciężkie żelazko nad fartuchem.

- Dokąd poszłaś? Co zrobiłaś?

- Nie wiem. Pewnego dnia obudziłam się po prostu w bardzo szczególnym miejscu, w nadmorskiej rezydencji. Doznałam ciężkie' i obrażeń głowy i straciłam pamięć.

- Jak doszło do tych obrażeń? Selena wzruszyła ramionami.

- Tego nie wie nikt!

- Jak tam było, w tej rezydencji?

Przed oczami Seleny zaczęły przesuwać się obrazy piękne aż do bólu. Instynktownie zacisnęła palce na rączce żelazka.

- Był tam pewien mężczyzna... - Ścisnęło ją w gardle. Umilkła, nie mogąc wydusić ani słowa więcej.

- Kochałaś go?

Spuściła oczy, nie mogąc nawet skinąć głową.

- Nie powinnaś była wracać.

- Ale czy miałam inny wybór, Lucy? Jestem mężatką. Mąż po mnie przyjechał.

Zapała cisza nabrzmiąta emocjami i nie wypowiedzianymi słowami. W tejże chwili Selena pojęła, że do tego będzie się ograniczało jej życie we wspólnocie: przyjaźń z innymi kobietami - współtowarzysz-kami niedoli - i codzienna rutyna pod surową kontrolą. W zamian za to wolność od głodu i bicia. Owszem, nie zazna braków materialnych, ale i nie zakosztuje swobody. Nie stworzy ani nie znajdzie prawdziwej rodziny, nie usłyszy szczerego śmiechu. Lucy obserwowała ją zaniepokojona.

- Agnes, czy wszystko w porządku?

- Nie - szepnęła Selena. Nic nie było w porządku! Poznała swoją przyszłość: rozciągała się przed nią smutnych szeregami dni przerywanych dzwonekami. Odtąd nic nigdy nie mogło być w porządku.

-tunktualnie o szóstej rozległ się dzwonek na śniadanie. Selena opadała już z sił. Ramiona bolały ją od wysiłku przesuwania ciężkiego żelazka po wygniecionych fartuchach i prześcieradłach, a palce miała pokryte pęcherzami licznych oparzeń. Wraz z Lucy skończyły prasować kołnierzyki koszul, które leżały przed nimi na stołach, i postawiły żelazka na piecu. Razem w milczeniu wróciły do głównego domu, Zewsząd schodzili się członkowie wspólnoty, maszerując bez słowa w zdyscyplinowanych szeregach. Pogrążeni w głębokim milczeniu, kierowali się karnie do dwóch par drzwi, a z nich do oddzielnych korytarzy.

Selena czuła pokusę, by wrzaskiem przerwać tę nienaturalną ciszę, ^y podskakiwać i wymachiwać ramionami jak mewa... ale czuła się ^yt znudzona, by stawić czoło niechybnej naganie. Łatwiej było Oaśladować bierne posłuszeństwo, niż się buntować. Na razie.

Nie tylko prasowanie wyczerpało jej siły - chociaż zajęcie wymagało zręczności dłoni, która po wypadku jeszcze jej nie wróciła. Męczyło ją tutaj wszystko: cisza, zamknięte drzwi, niezliczone reguły, którym trzeba było się podporządkować. Miała ochotę minąć kuchnię i zaszyć się w swoim pokoju, choć oferował tylko pozorne schronienie i nie był naprawdę jej własny. Miała ochotę przebrać się z powrotem w sukienkę, w której tu przyjechała, wsunąć się do łóżka, naciągnąć koce pod brodę i zasnąć - spać, spać i nigdy się nie obudzić. Czuła, jak grzęźnie w lepkiej, beznadziejnej rozpacz, z której nie widać ucieczki. Nie potrafiła zdobyć się na uśmiech. Rozglądała się po sterylnym otoczeniu i nie dostrzegła nic, co miałyby jakąś wartość, do czego mogłaby zacząć przywiązywać wagę. Wiedziała, że nie ma racji, bo w osadzie mieszkało wielu kochających i godnych miłości ludzi - ale cóż mogła poradzić, że to nie byli właściwi ludzie? Jej prawdziwa rodzina została na wybrzeżu, a od tych tutaj nie chciała ani serdeczności, ani miłości, ani troski. Chciała odzyskać przyjaciół, wrócić do krainy lasów, usłyszeć szum oceanu zamiast pluskania strumyków przecinających pszeniczne pola. Pragnęła lana, a nie Elliota... „Och, lanie. lanie...”

Lucy ujęła dłoń Seleny i ścisnęła znacząco:

- Przestań, Agnes! - syknęła.

- O co chodzi?

- Znowu masz w oczach rozpacz i determinację. Selena zdusiła gorzki śmiech.

- Nie martw się o mnie, Lucy, dam sobie radę. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze, muszę tylko jeszcze trochę odpocząć. Głowa mnie boli, i tyle.

Pomyślała smutno, że oto znowu skłamała... i przyszło jej to z taką łatwością!

Bracia i siostry nadal wchodzili dwoma milczącymi szeregami do wnętrza domu, gdzie z sieni prowadziły dwie pary drzwi do jadalni. Mężczyźni zajmowali stoły po wschodniej stronie pomieszczenia, kobiety siadały pod zachodnią ścianą. Lucy zaprowadziła Selenę do ich stołu. Po drugiej stronie jadalni Elliot siadał



właśnie między braćmi. Ich spojrzenia spotkały się przez chwilę krótką jak mgnienie oka i olbrzym pospiesznie zerknął dokoła, czy nikt ich nie śledzi, P<sup>^</sup> czym poruszył ustami, formułując pytanie: „Czy dobrze się czujesz.

Selena nie znalazła odpowiedzi. Był wyraźnie zatroskany, więc

I chętnie skinęłaby głową, by rozproszyć jego obawy, ale nie potrafiła się zmusić do tego prostego gestu. Na dźwięk kolejnego dzwonka Wyznawcy uklękli obok ław i połączyli głosy w przyciszonej modlitwie. Selena uświadomiła sobie właśnie, że też powinna klęknąć, gdy wstali, a Lucy pociągnęła ją na jej miejsce przy stole. Nieheblowany blat ugiął się pod ciężarem kopiastych półmisków. Selena ogarnęła wzrokiem różnorodność potraw: były tam gotowane ziemniaki, smażona kiełbasa z cebulą i rzepą, biały chleb, świeżutkie masło i marmolada agrestowa, a do tego mus jabłeczny z cynamonem i dzbany pełne tłustego mleka.

Wspólnota posilała się w milczeniu. Jedynymi słowami, które od czasu do czasu przerywały ciszę, były wymruczane pod nosem podziękowania, gdy półmiski przechodziły z rąk do rąk. Selena próbowała nie myśleć o posiłkach w Domu Zapomnienia, spożywanych wśród śmiechów i dobrodusznym kpin, w serdecznej, przyjacielskiej atmosferze. Odpychała wspomnienia o tym, jak ciskało się kawałkami chleba w sąsiadów, gdy chciało się coś szczególnie mocno podkreślić, i o niemądrych, lecz szczerych modłach wznoszonych do Boga miłującego wesołość swoich wyznawców. Johann na przykład recytował z namaszczeniem: „Po języku, przez przełyk, strzeż się, żołądka! Nadchodzi kęs”... Byłaby się zaśmiała w głos na to wspomnienie, gdyby nie sprawiło jej tyle bólu.

Ledwie zdołała uporać się z jedzeniem na talerzu, gdy odezwał się dzwonek i zabrzęczały odkładane widelce. Wszyscy jednocześnie odsunęli talerze na środek stołu. Mężczyźni wstali, jednocześnie opadli na kolana i odmówili bezgłośnie modlitwę, po czym równie bezszelestnie opuścili jadalnię.

Selena przełknęła ostatni kęs tłustej kiełbasy, nie czując jej smaku. Nie trudziła się klękaniem i odmawianiem modlitwy do Boga, którego nie rozumiała, lecz dokoła nikt nie zwracał na to uwagi. Lucy znowu wzięła ją za rękę i wyprowadziła przez kobiecy korytarz. Przecięły słoneczną sień i zadrzewioną drogą poszły do pralni.

Prasownia była duszna i wilgotna. Selena zmierzyła okiem tuziny <sup>^</sup>arannie złożonych koszul, fartuchów i prześcieradeł - dorobek Pracowitego poranka, po czym ogarnęła spojrzeniem stosy koszyków Pełnych bielizny czekającej na ich żelazka. Nagle pojęła, że ich robota

nigdy się nie skończy, bo to nie było zadanie, które miało swój koniec. To była wieczna harówka, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku. Przedtem coś takiego nie przyszłoby jej do głowy. Suknie i bielizna w Domu Zapomnienia znikaly jak za sprawą magii i wracały czyste i pachnące. Pojęła, że i tam ktoś musiał je prać, suszyć i prasować. Teraz to od niej i od Lucy oczekiwano, że wyprasują przyodziewek setki mieszkańców osady. Kobiety za oknem były odpowiedzialne za pranie, a w kuchni - za gotowanie jadła. Ciężka, monotonna praca, której nigdy nie było kresu.

- Czy tak ma wyglądać moje życie? - pytanie wymknęło jej się z ust, żałosne w swej bezsilności. Lucy podniosła wzrok znad koszuli, której mankiety wykańczała, i bardzo powoli odstawiła żelazko.

- Dyżury się zmieniają. Nasze następne zadanie to praca przy wypiekach. Na jedną tylko wieczórę potrzeba stu sześćdziesięciu bułek. Potem będzie tydzień haftowania; sprzedajemy nasze robótki w sklepach w mieście.

Selena pomyślała o swoich niesprawnych dłoniach, które czeka misterna robota. Te obowiązki sprawiały jej najwięcej kłopotów:

pieczenie, prasowanie, haftowanie... Przygarbiła ramiona.

- Lucy, nie wiem, czy to wytrzymam - szepnęła. - Boję się! Lucy rzuciła jej posępne spojrzenie, świadczące o nie mniejszym znużeniu.

- Zawsze się tego bałaś, Agnes. I ja się zawsze bałam... o ciebie.

Łan stał pośrodku sypialni i popijając wodę z kryształowej szklanki spoglądał przez okno. Na granatowym niebie wisiał księżyc w pełni.

- Selena... - wyszeptał jej imię samymi wargami i znowu wyteżył zmysły, by poczuć jej obecność lub odczytać jej myśli, oddalone o setki mil.

Nic. Pustka. Milczenie.

Odwrócił się plecami do okna i wyszedł z pokoju. Po omacku zszedł po schodach i odnalazł drzwi na tylną werandę. Stał naprzeciw rozgwieżdżonej ciemności i przez chwilę starał się wyobrazić sobie rzędy świec w blaszanych lichtarzach wokół trawnika, poczuć woń dymu unoszącego się nad tańczącymi płomykami. Przymknął *oczy* i niemal mu się udało usłyszeć głuchy stukot młotka uderzającego

r w drewnianą kulę i gardłowy pomruk jej śmiechu, poczuć jedwabistą gładkość palców, gładzących jego policzek. „Pocałuj mnie, lanie!”

Opadł na kolana i utkwiał wzrok w gwiazdach. Przemknęło mu przez głowę, że może ona też stoi teraz pod atramentowym niebem, wpatruje się w srebrzysty dysk i wspomina go.

Gdzie przebywa? Co porabia?

To były te same dwa pytania, które zadawał sobie każdego ranka tuż po przebudzeniu, a zarazem ostatnie, którymi żegnał miniony dzień. Jątrzył go przymus, by znaleźć odpowiedź na nie i choćby jeszcze jeden raz ją zobaczyć. Myślał o niej bezustannie i zamartwiał się o nią. Jakże poradzi sobie z samotnością? Czy zdołał ją tego nauczyć?

Nie przypominał sobie, czy w czasie pobytu w jego domu kiedykolwiek była sama. Och, wyedukował ją w filozofii, wyuczył wszystkiego, co wiedział o religiach świata i o sztukach pięknych... ale czy nauczył ją, jak przetrwać w obojętnym świecie?

Boże jedyny! Pragnął tylko, by pozwolono mu odnaleźć ją i skrywszy się za krzakami jak złodziejaszek podglądać, czy wciąż idzie przez życie uśmiechnięta. Czy nie zatraciła jeszcze magicznej umiejętności dostrzegania słońca za każdą burzową chmurą.

Wiedział, że nie wolno mu podążać jej tropem. Powtarzał sobie ten zakaz codziennie o świcie i w porze nocnego spoczynku. Honor wymagał od niego, by tutaj został, tak jak ona musiała wyjechać. Poza tym, nawet gdyby ją odnalazł, cóż byłby jej powiedział? Jeszcze raz musiałby ją pożegnać, odnowić ból rozstania. Jedyne, co mógł jej teraz ofiarować, to samokontrola - dar swojej nieobecności.

„Zawsze będę człowiekiem honoru. Zawsze...”

Boże, sam dźwięk tych słów napełniał go nienawiścią. Od dwóch miesięcy, odkąd odjechała, ani razu ich nie powtórzył bez odrazy do impulsywnie złożonej obietnicy. Cóż, zawsze wymagała od niego, by dawał z siebie wszystko, na co go było stać. By składał dowody honoru i uczciwości. Teraz bardziej niż kiedykolwiek zobowiązany był wypełniać kodeks honoru, łan miał nadzieję, że nie zawiódł Pokładanych w nim nadziei. Czynił wszystko, czego mogła się po Rim spodziewać, co mogłoby uczynić ją szczęśliwą: zaczął na terenie Posiadłości budować zakład dla obłąkanych z prawdziwego zdarzenia,

w którym znalazłoby się miejsce dla co najmniej pięćdziesięciu rezydentów. Skontaktował się z dawnymi znajomymi po fachu i powiadomił ich, że Dom Zapomnienia otwiera podwoje dla starannie dobranej grupy obłąkanych, których będzie przyjmował bez względu na ich wypłacalność czy pozycję społeczną. Nawiązał korespondencję z profesorem Freudem, doktorem Welisbym i kilkoma innymi czołowymi alienistami i stopniowo zgłębiał wiedzę o ludzkiej psychice niezbędną w nowej dziedzinie uzdrawiania.

Osobliwym skutkiem ubocznym działań podejmowanych dla uszczęśliwienia Seleny było zadowolenie, jakie sprawiały jemu samemu, choć nie odważył się nazwać tego uczucia „szczęściem”. Pierwszy raz od wielu lat własne postępowanie sprawiało mu szczerą satysfakcję. Andrew czynił olbrzymie postępy, łan, obserwując chłopca, był z niego dumny jak nigdy dotychczas z żadnego innego pacjenta.

A Lara? Słodka dziewczuszka, cierpiąca za nie swoje winy? Stała się dla niego pociechą, o jakiej nigdy przedtem nie śnił. Całe godziny spędzali razem, czasami czytając baśnie, czasami rysując lub zgoła nic nie czyniąc, jedynie siedząc i ciesząc się swoją bliskością.

Pozornie więc życie łana uległo olbrzymiej odmianie na lepsze. Mimo to wszyscy mieszkańcy Domu Zapomnienia znali prawdę.

Rozumieli nastroje, które go nachodziły ni stąd, ni zowąd: depresje, ucieczki, przytłaczające poczucie straty. Tęsknota za Seleną, zrodzona z prawdziwej potrzeby serca, była jak nigdy nie gasnący płomień, jak przymus, który każdej nocy gnał go w mrok werandy. Kulił się na niej godzinami - zbyt słaby, by stać prosto, zbyt samotny, by zapłakać. Trawiony nieopisaną tęsknotą. Och, Boże, jaką straszliwą tęsknotą!

Modlił się do Boga, który niegdyś dał mu tak wiele, by potem wszystko odebrać: Opiekuj się nią. Panie, błagał. Proszę Cię tylko o to - otocz ją swoją troską.

Jesień zawitała do osady przenikliwym, chłodnym wiatrem. W drewnitni Elliot wyprostował się nad pieńkiem i wyciągając wzrok popatrywał w stronę pralni. Przysadzisty barak skrył się niemal do połowy w kępach żółknących traw. Bielone ściany odcinały słaby jaskrawym kontrastem od burych, deszczowych chmur. Okalający S° trawnik mienił się wszystkimi odcieniami czerwieni, złota i szkarlate

[opadłych liści. Wkrótce i te ostatnie klejnoty barw znikną, starannie (uprzątnięte do wiklinowych koszy, zmagazynowane jako podpałka na zimę.

Przez nieskazitelnie czyste szyby widział plecy Lucy, zgarbionej nad stołem do prasowania. Stał na palcach, by zajrzeć głębiej i uchwycić choćby przelotny widok żony. Boże, podaruj mi to jedno spojrzenie. Nic ponadto, prosił. Wiedział, że nazajutrz Agnes i Lucy rozpoczną dyżur w kuchni przy chlebowym piecu i zostanie mu odebrana nawet ta skromna rozkosz ukradkowych spojrzeń przez okno. Mocniej ścisnął w garści trzonek siekiery i ułożył kolejne polano na pieńku. Jednym płynnym ruchem uniósł ciężkie ostrze nad głową, zamachnął się i rozszczępił drzewo na cztery równiutkie szczapki. Cisnął je na coraz wyższy stos opału i otarł czoło bawełnianą chustą. I chociaż prosił Boga o wytrwałość, znowu nie mógł się powstrzymać i zerknął w stronę pralni.

Starał się nie myśleć o Agnes. Wiedział, że grzechem jest tak często powracać wspomnieniami do kobiety, ale nie mógł się powstrzymać. Odkąd ją przywiózł z powrotem, zmieniała się nie do poznania. Codziennie widział, jak staje się coraz bledszym odbiciem tej kobiety, która stanęła na szczycie schodów w Domu Zapomnienia.

Usiłowała dopasować się do otoczenia. Nauczyła się chodzić sztywno wyprostowana i mówić przyciszonym głosem - o ile w ogóle ważyła się odezwać. Nosiła się z wdziękiem pełnym pobożnej prostoty... i pozornie robiła wrażenie istoty pełnej kojącego spokoju. Elliot jednak znał ją zbyt dobrze, by zwiodły go pozory. Jego żona przegrywała walkę. Jej duszę toczył czerw choroby. Spokojna postawa i wdzięczne ruchy stanowiły maskę - cienką warstwę lodu nad śmiertelnością otchłania. Początkowo miewała nastroje zmienne i wyraźne, jak dziecko: wybuchy śmiechu na znak upojenia pięknem deszczowej kropli, rześiste łzy żałoby nad padłym indykiem. Stopniowo uspokajała się i tonęła w otępieniu, wypranym z ciekawości, obojętnym tta wszelkie wydarzenia zewnętrzne. Nic jej nie intrygowało ani nie interesowało, nie odczuwała zachwyty ani rozpacz. Na zebraniach Wspólnoty siedziała nieruchomo jak bezbarwny duszek. Uśmiechała się blado i odpowiadała oczami na jego spojrzenia, lecz w jej wzroku nie było iskry świadczącej o tym, że go poznała. Jakby w rzeczywistości „nie dostrzegała ani jego, ani nikogo innego. Nigdy się nie skarżyła,

nie wdawała w żadne spory, nie wyrażała sprzeciwu ani protestu. I nigdy, przenigdy się nie śmiała.

Pochylił się nad stosem drew i wybrał wyjątkowo grube polano. Podnosząc je ujrzał pod spodem maleńki, biały kwiatusek, który jakimś cudem przetrwał - dziki i swobodny - w stiamszonej, zeschniętej trawie pod ścianą drewnitni.

Kwiatek ponownie przywiódł mu na myśl Agnes. Po ostatnim zebraniu udało mu się wyprosić przywilej spotkania na osobności;

mogł zamienić z nią kilka cichych stów, podczas gdy pozostali obserwowali ich z oddali.

„Elliot, tak chciałabym mieć w pokoju kwiaty. Tęsknię za kwiatami...”, powiedziała wówczas.

Smutek w jej głosie rozdarł mu duszę. Odpowiedział mechanicznie, przypominając, że ozdabianie pokojów kwiatami było sprzeczne z regułą, bo nie wolno niczego hodować wyłącznie dla jego piękna. Przedmioty musiały być użyteczne; tylko takie wolno było mieć. Róże na przykład uprawiano, by z ich płatków przyrządzić wodę różaną, nie dla słodkiego zapachu czy urody pąków. Agnes odpowiedziała z cichym westchnieniem: „Och, jakie to smutne...”

Nagle uświadomił sobie, że miała całkowitą rację. To było szalenie smutne! Nie doceniać daru, jakim było piękno kwiatów? To naprawdę smutne, wyobrażać sobie, że Bóg żąda takiej ofiary - ten sam Stworzyciel, za sprawą którego kwiaty pojawiły się na świecie.

Pochylił się i zerwał kwiatusek. Jakże kruche wydawały się białe płatki w jego sękatych paluchach!

Po drugiej stronie drogi usłyszał Lucy:

- Zaraz wracam, Agnes. Zabrakło nam wody lawendowej do spryskiwania obrusów.

Elliot podniósł wzrok i ujrzał otwarte drzwi do prasowni. Nie zastanawiał się ani chwili. Obejrzał się na

wszystkie strony, jak strzała przeciął drogę i zanurkował w uchylone drzwi, zamykając je cicho za sobą. Agnes oderwała się od prasowania. Przez jej oblicze przerzutow cień zaskoczenia, lecz rychło zniknął, i znowu miała poprzednia, obojętną na wszystko minę.

- Witaj, Elliot - odezwała się drętwym głosem. Boże Wszechmogący, jakże się zmieniła! Pamięcią wrócił do tamtej chwili w Domu Zapomnienia, gdy stanęła u szczytu schodów w eleganckiej sukni.

Jednej sukni. Jej ramiona urzekały kremową gładkością skóry, oczy sypały iskry szczęścia... pierwszy raz przyszło mu do głowy, że nigdy nie zastanawiał się nad przyczyną jej obrażeń. Do czego przywiodła ją rozpacz i chęć wyrwania się ze wspólnoty? Czy popchnęła ją na drogę, pod koła pędzącego powozu?

»Wyjął zza pleców rękę ściskając kwiatek i podał dziewczynie.

- Nie chcę, by brakowało ci kwiatów.

popatrzyła na białe płatki i w szklistych, nieobecnych oczach

unigotał nieśmiały błysk. Uśmiechnęła się miękko.

- Jest biały... - szepnęła. I przez chwilę nie dłuższą od pojedynczego uderzenia serca stała się na powrót kobietą, którą spotkał w Domu Zapomnienia: olśniewająco piękną, kipiącą życiem i emocjami. Wzięła od niego kwiatek, podniosła do nosa i powąchała, a kąciki jej ust wygięły się w nieśmiałym, pełnym wahania uśmiechu. - Dziękuję!

Milczał, nie wiedząc, co powiedzieć ani zrobić. Podniosła na niego wzrok.

- Czy ty nigdy nie rozważasz opuszczenia tego miejsca? Już miał przyznać się, że tak jest, lecz przypomniał sobie, jaki jest świat poza granicami osady, i nadzieja zgasła, zanim mogła przekształcić się w zamiar. Ludzie „tam na zewnątrz” traktowali okrutnie olbrzymia z pokiereszowaną twarzą.

- Ja... widzisz, w tamtym świecie nie było mi lekko.

- Johann mi mówił, że świat to bezlitosne, zimne miejsce. I chyba miał rację, skoro taki pocziwy, łagodny człowiek jak ty był w nim źle traktowany.

- Ty byłaś jedyna, która... - Zaskoczyło go to wyznanie. Nie miał zamiaru zdradzać się ze swoim sekretem. Poczuli, że rumieniec zalewa mu policzki.

- Jedyna, która co?

- Która nie uciekała ode mnie. Nigdy nie widziałaś we mnie potwora z powodu mojej twarzy. Uśmiechnęła się smutno.

- Musiałeś znać samych złych ludzi! W Domu Zapomnienia nikogo by to nie obchodziło. Westchnął. Znowu ten Dom Zapomnienia!

- Być może...

Opuściła oczy na kwiatek.

- Czy kiedykolwiek chciałeś mieć dzieci?

Wstrzymał oddech. Dzieci! Wiele nocy spędził bezsennie na wąskim łóżku, rozmyślając o dzieciach, których nigdy mieć nie będzie; o wnuczętach, które nie usiądą na starczych kolanach. Dawno ponadawał imiona wymagowanej trzódce, marzył o ich zabawach i małych sprzeczkach, lecz w końcu porzucił bezowocne wizje, ugiąwszy się w obliczu niemożności ich spełnienia.

Kiedy teraz patrzył na Agnes, poczuł, że marzenia ponownie budzą się do życia. Gotów byłby oddać wszystko - nawet duszę nieśmiertelną - gdyby mógł wziąć w ramiona dziecko, które ona by mu urodziła! Zawsze pragnął swojej własnej kruszynki, którą obsypywałby całusami i pieszczotami, której dałby całą miłość, jakiej sam nie zaznał w dzieciństwie. Samo myślenie o tym sprawiało tak dotkliwy ból, że odepchnął od siebie niewyraźną wizję i ściągnął surowo usta.

- Nie zawsze taka jest wola Boga! Prychnęła pogardliwie.

- Zawsze jest wolą Boga powoływać na świat dzieci - małe duszyczki. Bóg przecież nie zmuszał cię, byś wybrał celibat. - Przynęła się bliżej. - Powinieneś mieć ze mną dziecko, a jeśli nie ze mną, to trzeba, byś znalazł kobietę, która ci je da.

Zaczął się jękać, straszliwie zbity z tropu.

- A...ale m...moja twarz...

- Twoja twarz nie stanowi o tym, kim jesteś, Elliot - zganiła go łagodnie i zadarła brodę. - Dziecka nie będzie obchodził twój wygląd, tylko serce!

Elliot patrzył na nią i czuł się, jakby coś wypchnęło go z orbity zwykłego rozumowania, jakby świat utracił zwykły porządek, a on punkt oparcia.

- Zmieniłaś się, Agnes!

Gdy padły te słowa, natychmiast pojął, że powiedział coś złego. Dziewczyna cofnęła się, a gdy odpowiedziała, pochwycił w jej głosie znajomą nutę obojętnego znużenia:

- Naprawdę?

Zapadła między nimi cisza. Elliot nie spuszczał z niej oczu, a ona utkwiała wzrok w białym kwiatku. W oddali rozległ się dzwonek na wieszak.

Westchnęła i upuściła kwiat na stół.

• - Teraz pójdziemy jeść, jak potulne bydło!

Zanim znalazł odpowiedź, do prasowalni wpadła Lucy. Na widok nieoczekiwanego intruza zatrzymała się jak wryta. Zebrała fałdy spódnicy i dygnęła, jak przystało.

- Witaj, bracie Elliocie!

Kiwnął głową, bo taka była właściwa reakcja.

- Witaj, siostrzo Lucy.

Agnes uniosła głowę i rzuciła mu grymas bez wyrazu - groteskową karykaturę prawdziwego uśmiechu.

- Miłego dnia, Elliot.

Wrócił myślą do Domu Zapomnienia i wizji wolnej, kipiącej uczuciami kobiety, którą w nim poznał.

## 26

Co tydzień wspólnota zbierała się na ogólne zebrania w specjalnie do tego przeznaczonej sali. Tego wieczoru zasiedli, jak zwykle, na długich ławach ustawionych pod przeciwległymi ścianami. Mężczyzn od kobiet dzielił dwumetrowy pas ziemi niczyjej. Przez okna chłostane deszczem zaglądał do sali nieprzenikniony mrok październikowej nocy.

Selena bardzo się starała skupić na tym, co się wokół niej działo. Członkowie wspólnoty siedzieli sztywno i porozumiewali się półgłosem, czasami brat Mateusz intonował psalm albo powolną pieśń. Bywało, że dawał sygnał do tanów, oczywiście w dwóch oddzielnych rzędach posuwających się w przeciwnych kierunkach. Uważano, że mimo ograniczeń taka rozrywka sprawia przyjemność pobożnym Wyznawcom.

Selena odpowiadała uśmiechem na spojrzenia sąsiadek, wiedząc, że na swój przyciszony, skrępowany regułami sposób usiłują okazać jej serdeczność i sprawić, by czuła się wśród nich mniej obco. Kiedyś mogłoby im się to udać. Gdyby obudziła się ze śpiączka wśród nich, gdyby to oni pielęgowali ją w chorobie i prowadzili ku wyzdrowieniu, przyjęłaby bez zastrzeżeń ich religię i dyscyplinę celibatu. Pewnie nawet byłaby z nimi szczęśliwa, bo byli to dobrzy, troskliwi ludzie.

Ale Selena przekonała się już, że dla niej było na to za późno. Odkąd na krótki czas uniosła się zasłona ograniczająca ją szerokiego świata - „zewnątrznego”, jak mawiano we wspólnocie

gdzie poznała piękno, poezję i uzyskała w nim obietnicę szczęścia, coś się w niej zmieniło. Potem zasłona ponownie opadła, a świat nabrał odcieni modlitewnej szarości, chociaż dziewczyna miała świadomość, że żywe kolory nadal istnieją. Niebo nad jej głową nie utraciło błękitu, obłoki - pierzastej bieli, słońce - złocistego blasku. To tylko ona przestała je dostrzegać, a piękno natury już jej nie obchodziło. Dane jej było oglądać świat oczami tyłu ludzi - Johanna, Maeve, Andrew, Lary... wreszcie lana. Każdy z nich dał jej wyjątkowy dar widzenia rzeczywistości przesianej przez pryzmat niepowtarzalnej duszy, ukształtowanej przez osobiste doznania.

Wszystko to utraciła.

Nieobecnym spojrzeniem powędrowała po sali. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że szuka oczami Elliota. Rzadko zamieniali ze sobą kilka słów, czasami upływały całe tygodnie bez kontaktu, lecz stopniowo zaczęła mieć ciepłe uczucia dla tego olbrzyma, którego życie potraktowało tak okrutnie. Czuła, że on nieustannie czuwa nad nią i skrycie chroni ją z właściwym sobie uporem. Nie zapomniwała kwiatka, który przyniósł jej w zeszłym miesiącu. Wspominając tamto spotkanie, uśmiechnęła się pod nosem.

Zaskrzypiały otwierane drzwi i taneczny korowód zamarł w bezruchu. Zapadła niezmacona cisza. Do sali wkroczyła starsza wspólnoty, siostra Beatrycze. Ciężka rozstępowała się przed nią bez słowa i Selenie

przemknęło przez głowę pytanie, czy starsza nie czuje się czasami samotna. Beatrycze mieszkała w obszernym domu odsuniętym od skupiska innych zabudowań, dzieląc go z drugą starszą i dwoma starszymi braćmi. Zawsze żyli w odosobnieniu i nie wolno im było zżyć się z nikim ze wspólnoty, ^y nie utracić obiektywizmu i surowości w kwestii zachowania reguł.

Spojrzenia Seleny i Beatrycze spotkały się ponad głowami tłumu. Starsza torowała sobie drogę prosto ku ławie, na której siedziała dziewczyna, a stanąwszy przed nią, powiedziała:

- Siostró Agnes, przyszłam zabrać cię na rozmowę.

Selena podniosła się, marszcząc niepewnie czoło. t””• - Tak, starsza siostró?

- Chodź ze mną - poleciła Beatrycze i Selena podreptała za nią, jakby zapadała się w otchłań. Poczła mdłości. A więc dowiedzieli się o ukradkowym spotkaniu w prasowni! Kontakty bez zezwolenia starszych były naturalnie zakazane. Nawet za ich zgodą nie wolno było mężczyźnie i kobiecie rozmawiać dłużej niż kwadrans.

Wychodząc z sali, napotkała spłoszony wzrok Lucy i nieznacznie wzruszyła ramionami. Nie schodził jej z pamięci incydent z zeszłego miesiąca, gdy przyłapano na potajemnej rozmowie z mężem siostrę Joannę. Wszyscy Wyznawcy zostali zwołani na nadzwyczajne zebranie, a gdy zasiedli na ławach, wystąpiła siostra Matylda, filigranowa staruszka, która była członkinią wspólnoty od urodzenia. Przemówiła głosem wysokim i czystym:

- Jest wśród nas osoba, której potrzeba ukorzenia! Starsza Beatrycze poprosiła wówczas Joannę, by wstała.

- Oskarżycielko, w jaki sposób siostra Joanna zawiniła wobec reguły?

Siostra Matylda nie wahała się ani chwili.

- Siostra Joanna uchybiła wierze, odzywając się bez zezwolenia do brata Winstona. Oskarżam ją o to, że kusila brata do grzechu. Jeden po drugim podnosili się kolejni Wyznawcy, powtarzając:

- Biada jej, biada!

Nie mówili nic innego, tylko to jedno słowo. Zgiełk tężał, aż ściany zaczęły wibrować w rytm oskarżycielskiego chóru. Siostra Joanna rozplakała się, błagając o przebaczenie. Krzyk wciąż narastał, stawał się nie do zniesienia. Selena już miała zatkać uszy, narażając się bez wątpienia na srogą karę, gdy jakiś głos wznosił się nad inne, nakazując milczenie. W sali zapadła grobowa cisza, która przerywał tylko szloch Joanny. Kobieta upadła na kolana ze zwieszoną głową.

- Módlmy się, bracia i siostry, o zbawienie duszy siostry Joanny! Selena coraz bojaźliwiej szła za Beatrycze, ze wzrokiem utkwionym w dumnie wyprostowane plecy starszej. Usiłowała stłumić narastającą panikę, kiedy tamta skierowała się korytarzem kobiet ku drzwiom wiodącym na zewnątrz. Czy tak to się zaczynało? Czy teraz odbędzie się śledztwo? A potem publiczne upokorzenie? Bóg jej świadkiem, że tego nie zniesie! Brakowało jej wewnętrznej siły, jaką mogła dawać innym ślepa wiara.

Beatrycze pchnęła drzwi, a gdy obie znalazły się na ganku, Izatrzymała się pod wąskim okapem. Wiatr świszczwał w gałęziach Idrzew po obu stronach głównej drogi osady, wzbijając tumany ^poczerniałych liści. Selena nerwowo skręcała w palcach kwadratową (chustkę, którą siostry obowiązkowo zasłaniały kolana podczas wspól-nych zebrań. I; - Słucham, siostró Beatrycze?

[ - Zdarzył się wypadek. Wczoraj wieczorem Elliot z kilkoma innymi braćmi wyprawił się poza osadę. Nie wiem dokładnie, jak to się stało, ale bracia ponoć przypadkiem wkroczyli na cudze ziemie. Zewnętrzny świat - podkreśliła te słowa jakby z niesmakiem - nie dopuszcza do takich swobód ze strony naszych wyznawców. Elliot został postrzelony, a lekarz jest zdania, że niebawem umrze.

- Umrze? - Pod Selena ugięły się nogi i aby utrzymać równowagę, musiała oprzeć się na ramieniu starszej. - Muszę go zobaczyć!

- Siostró, Elliot jest pod dobrą opieką. To nie byłoby właściwe...

- Muszę go zobaczyć.

Nuta determinacji w głosie dziewczyny sprawiła, że Beatrycze umilkła, a po chwili skinęła głową.

- W takich okolicznościach krótkie pożegnanie nie ma charakteru światowej rozpusty. - Głową wskazała na lewo. - Infirmeria mieści się w budynku tuż za suszarnią ziół. Skręć, zanim dojdiesz do warsztatów prząśniczych.

- Dziękuję! - wyrzuciła Selena z głębi serca, skinęła starszej i pobiegła w ciemność, zadzierając ciężką

sukienną spódnicę. Deszcz siekł jej policzki i ramiona, wiatr smagał powieki, aż musiała zmrużyć oczy w wąskie szparki. Przy każdym kroku bezgłośnie modliła się o to, by zastać go jeszcze przy życiu. Nie do końca pojmowała istotę śmierci, ale wiedziała, że kiedy ktoś umrze, to jakby odszedł na zawsze i nigdy już nie będzie można go spotkać. Martwe ciała grzebano głęboko w zimnej, nieczułej ziemi.

Proszę, niech to ominie Elliota, błagała.

Nie mogła sobie wyobrazić, by te pełne miłości i współczucia oczy zgasły na zawsze.

Wdarła się przez dwuskrzydłe drzwi do infirmerii, aż z głuchym hukiem uderzyły w ścianę zbitą z bali. Zatrzymała się jak wryta. Przez

chwilę rozpaczliwie starała się odzyskać oddech i odruchowo strzepywała krople deszczu z fałd spódnicy. Woda zbierała się wokół jej stóp w niewielką kałużę. W półmroku odezwał się spokojny, męski głos:

- Na litość boską, toż to wejście całkowicie nie w stylu Wyznawcy! Selena wyprostowała ramiona i rozejrzała się po obszernym pomieszczeniu o ścianach pomalowanych na biało i podłodze z heblowanych desek. W jednym kącie stał przysadzisty piec, z którego rozchodziły się na cały pokój fale krzepiącego ciepła. Pod ścianą naprzeciw wejścia leżały trzy zgrabne kołyski z drewna. Cztery wąskie łóżka stały pod oknami, a przy każdym pościenu stał stolik z kubkiem i talerzem. Na jednym z łóżek leżał Elliot. Jego twarz była tak samo biała, jak podciągnięte wysoko pod brodę prześcieradło.

- Och, Elliot... - Zatkaną usta lodowatą i wilgotną od deszczu dłonią, by stłumić płacz. Przed oczami wciąż miała kwiatek, który jej przyniósł do pralni.

Od biurka w drugim kącie wstał przygarbiony, śnieżnowłosy mężczyzna.

- Witaj, siostrze Agnes. Czy otrzymałaś zezwolenie na rozmowę z bratem Elliotem?

- Tak - wykrztusiła cichutko.

- Podejdź więc bliżej.

Zmusiła się, by podejść na miękkich nogach, wyciągnęła stołek i usiadła przy rannym.

- Elliot, słyszysz mnie?

Doktor podążył za nią, szurając nogami, i stanął z drugiej strony pościenu.

- Niczego nie słyszy, siostrze. Już od dwudziestu ośmiu godzin to zapada w śpiączkę, to budzi się na kilka chwil, by wnet ponownie stracić przytomność. Przyniesiono mi go bez zwłoki, lecz niewiele mogłem zdziałać, z wyjątkiem usunięcia kuli. Już zaczął się proces zapalny... Teraz wszystko jest w rękach Boga.

- W rękach Boga? - powtórzyła tępo i pochyliła się nad Elliotem. Leżał nieruchomo, tak jak wyobrażała sobie, że spoczywają zmarli. Tylko oddech, płytki i chrapliwy, pozwalał wciąż mieć nadzieję.

- Siostrze, przyniosę sobie trochę maślanki. Czy i ty masz ochotę się napić?

- Nie.

Doktor oddalił się, powłócząc nogami, a dziewczyna siedziała atrzona w Elliota, wierząc, że mimo słów lekarza olbrzym jest świadomy jej obecności przy swoim boku, i modląc się, by tak było. Zaczęła mówić lilo niego miarowym, równym głosem, starając się dodać mu otuchy. Nie jdbierała specjalnie słów i nie obchodziło jej, czy cokolwiek znaczą, <sup>TM</sup> ważne było tylko, by mówić. Wreszcie Elliot poruszył się lekko. Złapała go za wielką, poranioną rękę i przycisnęła do wilgotnego od łez policzka.

- Elliot!

Zatrzepotały powieki, z ust rannego wydobyło się westchnienie.

- Agnes...

Zalała ją fala ulgi tak silnej, że mało brakowało, by krzyknęła z głębi serca. Delikatnie odgarnęła zmierzwiłone kosmyki z jego czoła i utkwiała spojrzenie w załzawionych, nabiegniętych krwią oczach. Ujrzała w nich miłość.

Elliot zdobył się na słaby uśmiech.

- Słyszałem, co powiedział doktorek. Według niego umieram.

- Nie pozwolę ci umrzeć!

Z wolna dźwignął zdrową rękę i dotknął jej policzka. Chciała, by to dotknięcie nigdy się nie skończyło, ale ledwie musnął ją koniuszkami palców i dłoń opadła.

- Powinienem był zostawić cię z nim - uleciało jak westchnienie z poblądłych ust.

- Nie patrz w przeszłość, Elliot. Myśl o przyszłości, o tym, że musisz wyzdrowieć.

- Nie sądzę, bym szczególnie chciał wyzdrowieć, droga Agnes... -Pierś rannego zatrzęsała się w ataku chrapliwego kaszlu, a twarz skurczyła się w grymasie bólu. - Jeśli umrę, opuść to miejsce, wracaj do Domu Zapomnienia. To dziesięć mil za Cyplem Craigrdarroch. Każdy w miasteczku Alabaster pokaże ci drogę. Zapamiętasz?-Znowu przerwał mu uporczywy kaszel.

- Elliot...

Ścisnął jej dłoń i zaczął dosłownie przewiercać ją nieustępliwym <sup>o</sup>jrzeniem. - Obiecuj! Nie wiedziała, co począć.

- Obiecuję - ustąpiła. Z ust rannego uleciało westchnienie ulgi, a ciało rozluźniło się.

- Dobrze!

Zsunęła się ze stoika i ostrożnie przysiadła na skraju łóżka. Głaskała poraną bliznami dłoń chorego, czując bijącą od niego gorączkę. Na myśl, że go utraci, załapała ją fala mdłości. Ten olbrzym o smutnych oczach nie wyrządził jej nigdy krzywdy, tylko kochał ją całym sercem.

- Nie opuszczę cię, Elliot!

Powieki opadły bezwładnie na oczy rannego, oddech stał się płytszy, mniej wysilony.

- Kocham cię, Agnes...

- Elliot? - Nachyliła się bliźniutko, czując w sercu lodowate muśnięcie lęku. Czy tak właśnie przychodziła śmierć? Czy miłosne wyznanie uwolniło jego duszę z okowów? - Elliot? - powtórzyła bezradnie. Poczula na ramieniu lekką, starczą dłoń.

- Obudził się? - spytał doktor. Selena odwróciła się do niego.

- Czy on... - Nie mogła dokończyć pytania. Lekarz sprawdził puls i potrząsnął głową.

- Jeszcze nie. Zobacz sama, pierś unosi się w oddechu. Napięte ramiona dziewczyny opadły.

- Bogu dzięki!

- Ale... to już niedługo. Kilka dni, jeśli -nie krócej. Zabije go infekcja. - Popatrzył na Elliota i skrzywił się lekko na widok okropnych blizn. - Być może to dla niego błogosławieństwo... Brat Elliot większość swych dni spędził w cierpieniu.

Selena powtórzyła mechanicznie:

- Błogosławieństwo?- Początkowe osłupienie z wolna ustąpiło miejsca fali gniewu. - Błogosławieństwo?! Lekarz wzruszył ramionami.

- Tam na zewnątrz dzieci uciekały od niego z krzykiem przerażenia. Nigdy ci o tym nie mówił? Nawet tutaj niektórzy Wyznawcy przechodzili na drugą stronę drogi, byle umknąć spotkaniu. Jak gdyby jego blizny były stygmatem diabła... Sam kiedyś widziałem, jak...

- Czy mogę go zabrać do lekarza z zewnątrz? Doktor ściągnął brwi w zamyśleniu.

- Czy możesz? O co ci chodzi?

- O to, czy reguła tego nie zabrania. Czy jeśli zabiorę go do lekarza z tamtego świata, Elliot nie straci szansy na pójście do nieba?

*fi* Jsta doktora drgnęły w tłumionym uśmiechu.

- Nieraz wzywaliśmy do pomocy lekarzy „stamtąd”, ale... Selena porwała się na nogi i okręciła na pięcie.

- Za pół godziny będę tu z wozem. Proszę go przygotować!

- Ale, siostrze Agnes...

Uśmiechnęła się i po raz pierwszy od chwili, gdy stanęła nad łóżkiem rannego, ujrzała promyk nadziei. Znała jedynego na świecie człowieka, który potrafił uratować Elliota.

- Być może to ja jestem rękami Boga, doktorze. Proszę go przygotować!

Jan siedział w salonie, sącząc kawę i wertując najnowszy traktat o leczeniu zaburzeń psychicznych kobiet autorstwa Henry'ego Cun-ninghama. Na sofie Johann i Andrew wspólnie zagłębiali się w lekturze najświeższego numeru „New York Timesa”. Maeve od jakiegoś czasu zapałała szczególną miłością do Szekspira i cytowała go nieustannie, przerywając jedynie, by udzielić reprimendy wypchanej sowie -według niej bowiem ptaszysko kleło jak najęte. Zza okien dochodził werbel młotków, przypominając, że nowe skrzydło zakładu jest już na ukończeniu.

Maeve przemaszerowała dramatycznym krokiem przez pokój. Ramieniem uniesionym na wysokość brody podkreślała rytm wiersza:



- „A najważniejsze, byś zawsze był wiemy samemu sobie!” -recytowała. Nagle przerwała i zaczęła nasłuchiwać z głową przechyloną na ramię. - Ktoś nadjeżdża!

Johann podniósł głowę znad gazety.

- Zdaje mi się, że teraz odzywa się Laertes! Maeve opuściła ramiona.

- Nie, mam na myśli, że ktoś naprawdę tutaj jedzie. Do nas! - W podskokach wybiegła do sieni. Zwiewny welon włókł się za nią po podłodze, zaczepiając o nierówności w deskach. Wyjrzała przez ^parę w drzwiach i pokręciła głową: - Och, jejku! O jej, o jej!

- Chyba trochę późno jak na dostawcę - zauważył kwaśno łan, ^e podnosząc oczu znad swoich papierzyk. Maeve rzuciła mu zagadkowe spojrzenie.

- łanie, to Selena!

łan poczuł przypływ nadziei i na pół uniósł się z fotela, zanim przypomniał sobie, z czyimi rewelacjami ma do czynienia. W czasie kilku miesięcy, które upłynęły od wyjazdu dziewczyny, Maeve widziała Selenę już z tuzin razy. Powoli opadł z powrotem na obity skórą fotel.

- To bardzo miłe, matko.

Andrew poderwał się na nogi, podbiegł do drzwi i odepchnął Maeve, by samemu zerknąć przez okienko w mosiężnych ramkach.

- Och, Boże na wysokościach!

W cichym głosie chłopca zadźwięczała nuta takiego oszołomienia, że łan skoczył na równe nogi. Popatrzył na dwójkę swoich podopiecznych, stłoczonych przy okienku z nosami przyciśniętymi do kolorowych szybek. W jego sercu obudziła się nadzieja. Obejrzał się na Johanna z niemą prośbą w oczach. Ten natychmiast odłożył gazetę.

- Czy to możliwe?

łan sam lękał się uwierzyć, lecz jeszcze większa była obawa, że alarm może okazać się fałszywy. Ruszył do drzwi, a z każdym krokiem absurdalna nadzieja rosła, aż sięgnął drżącą ręką do mosiężnej gałki i z rozmachem otworzył drzwi na oścież.

Jesienna noc była ciemna i ponura. Księżyc oprószył srebrzystym blaskiem cieniutką warstewkę szronu, który po zmroku osiadał na poczerwiałej trawie. Na podjeździe stał kryty wóz. Znużony koń parsknął, a za każdym oddechem z rozdętych chrap unosił się kłęb pary. Na ławeczce koło woźnicy siedział ktoś o sylwetce podobnej do wiotkiego cienia, bardziej podobny do widma niż do człowieka. łan rozpoznał głos, którym przybysz zwrócił się do powożącego:

- Oni pomogą mi go wnieść. Dziękuję ci! Kolana ugięły się pod nim. W mdłej poświacie ujrzał wreszcie jej twarz, ocienioną fałdami wielkiego, czarnego kaptura. Odezwała się:

- łan.

Tylko to jedno słowo, wypowiedziane szeptem.

Maeve krzyknęła przenikliwie:

- Selena wróciła do domu!

Edith, królowa i Lara zbiegły na wyścigi z góry, niemal przewracając się o fałdy spódnic, wymachując ramionami i wrzeszcząc nieskładne powitania. Wszystkie cztery wraz z Andrew rzuciły się do przybyłej-

Mierna! przemocą ściągnęły dziewczynę z powozu. Szczupła sylwetka utonęła w ich ramionach. W podnieceniu paplały jedna przez drugą. łan stał nieruchomo. W jego duszy, nie wiedząc czemu, wzbierał niepokój. Coś było nie tak... Wypowiedziała jego imię, ale nic poza tym. Nie usłyszał słów, za którymi tęskniło jego serce. A teraz, czemu nie podbiegła do niego, nie przytuliła się, nie zasypała go słodkimi całusami powitania? Przy jego boku zjawił się Johann.

- Stoisz jak słup - zauważył towarzysz. Gruda niepokoju w gardle nie pozwoliła łanowi wydobyć głosu. Czuł się boleśnie odsłonięty na cios, który mógł spaść lada chwila. Czy ona wciąż go kocha? Pytanie nadleciało nie wiadomo skąd, raniące bezpośredniością, okrutnie jednoznaczne. W ciągu tych miesięcy, które upłynęły, wyobrażał sobie, że dziewczyna tęskni równie silnie jak on, że jest równie samotna i przygnębiona. Lecz jeśli się mylił? Może to ów Elliot był przez dwadzieścia dwa lata jej prawdziwą miłością, a czas spędzony z łanem liczył się jedynie jako przyjemny, lecz przelotny epizod?

- Nie dręcz się, łanie... chociaż oczywiście zapomniałem, że to lubisz. łan popatrzył przyjacielowi w oczy.

- A jeśli...

Johann machnięciem dłoni zlekceważył jego obawy.

- Gdybanie to przywilej dzieci i pisarzy.

Wreszcie rozgadany tłum ucichł i jeden po drugim rezydenci zakładu poczęli odsuwać się od swej bogini i przemykać z powrotem do domu, aż tylko Selena została obok wozu. Ian czekał nieporuszony na ganku. Łomot serca zagłuszał wszystkie inne odgłosy, w gardle czuł nieznośną suchość, a ona stała wyprostowana, z dłońmi splecionymi na wysokości talii. Podróżna opończa wydymała się wokół jej kostek jak groteskowy żagiel wędrowca, a blada twarzyczka - zbyt blada, przemknęło mu przez głowę - odcinała się jasną plamą w atramentowej czerni kaptura. Mimo cienia widział wyraźnie szeroko otwarte, zagadkowe oczy. Drgnął lekko i pochylił się ku niej. Zaraz się odezwie, zaraz wypowie słowa, których on tak bardzo potrzebuje:

„Wróciłam do domu, lanie!”

Ruszyła ku niemu. Żwir ścieżki zgrzytał pod stopami obutymi ^ praktyczne buciki podróżne. Zatrzymała się przed pierwszym

schodkiem, a Ian doznał nagle szalonego wrażenia, że dziewczyna lęka się podejść bliżej. Usłyszał cichy szept:

- Mój mąż...

Skinął głową. Tak, kochanie. Powiedz, że go rzuciłaś! - pomyślał.

Słabym gestem, jakby zbierając resztki sił, wskazała na wóz.

- Mój mąż jest ranny. Pomóż mu, lanie. Tylko ty to potrafisz.

Zamarł w bezruchu, czując, jak krew krzepnie mu w żyłach. Wszystkie nadzieje, wszystkie marzenia runęły, przekreślone w jednej chwili kilkoma prostymi słowami.

Dziewczyna podniosła na niego oczy, w których nie było uśmiechu. Zamrugwała w zmieszaniu, świadoma, że sprawia mu ból. Niech to piekło pochłonie! Przecież wiedziała, co chciałby usłyszeć... ale nie dodała nic do swej prośby. Czekwała w milczeniu.

Płynęły minuty napiętego oczekiwania. Nikt nie śmiał zakłócić ciszy nawet głośniejszym oddechem. Wreszcie Andrew gestem nakazał woźnicy znieść rannego z wozu, a Johann rzucił się do pomocy, lecz Ian wciąż stał nieruchomo. Z trzewiami ściśniętymi w spazmie straszliwego bólu patrzył na Selenę i milczał.

W jej oczach nie błysnęła ani jedna łza. Ta, która niegdyś szlochała nad złamanym kwiatkiem, stała przed nim ze spokojną twarzą i suchymi oczami.

Z wysiłkiem oderwał wzrok od twarzy, której widok sprawiał mu ból. Niemal szczęśliwy, że może zająć myśli czymś innym, podszedł do wozu. Selena, jakby uwolniona spod zaklęcia, natychmiast pospieszyła na pomoc Johannowi i Andrew. W trojkę położyli rannego na noszach i zaczęli wnosić po schodach, Ian odsunął się na bok.

- Zabierzcie go do pustej sypialni na drugim piętrze - polecił. Gromadka jego podopiecznych podążyła w chaotycznym orszaku na górę, skręciła na podeście w lewo i zniknęła mu z oczu. Pozostał jedynie mglisty zapach w powietrzu, woń obca w jego domu - lawenda, zauważył bez większego zainteresowania. Od kiedyż to Selena pachnie wodą lawendową? Nie ruszając się z miejsca, czekał u stóp schodów, niemal nie oddychając, aż upewnił się, że został sam i nikt nie kryje się w cieniu korytarza. Przemknęło mu przez głowę, że może to wszystko mu się przywidziało. Może kiedy podniósł si? z fotela i wyrżał, zobaczył jedynie szron na trawniku i blady sierp księżycy? Skądże by ona się tu wzięła? Jak mogła stać na ganku

i wpatrywać się w niego bez śladu łez, szepcząc jedynie: „Mój mąż”? Jakby poza nim nic na świecie się nie liczyło! Nagle usłyszał krzyk Maeve:

- Ian, chodź tutaj zaraz!

Poruszył odrętwiałymi członkami, poczłapał do gabinetu, odszukał swoją torbę lekarską i powoli wszedł po schodach. Pchnął drzwi do pogrążonej w półmroku sypialni, pełnej milczących ludzi.

- Wszyscy muszą wyjść - zwrócił się do nich martwym głosem. -Nie, niech zostaną Johann, Andrew i... Selena.

Nikt nie zaprotestował. Maeve zagoniła gromadkę na korytarz i zamknęła za nimi drzwi. Andrew zakrzętnął się przy lampie naftowej i już po chwili sypialnia wypełniła się gryzącym dymem, a chwiejny płomyk rozświetlił gęste cienie pajęczyn w kątach dawno nie używanego pomieszczenia, Ian zbliżył się do

łóżka, gdzie Elliot leżał bezwładnie na prześcieradle. Poorana bliznami twarz miała ten sam odcień, co poszarzałe ze starości płótno poduszki pod jego głową. Na obnażonym torsie Ian zauważył równie straszliwe blizny po oparzeniach jak te, które pokiereszowały lewy policzek i sparaliżowały rękę. Na grubej warstwie bandażu spowijającej pierś i ramię gęsto było od brunatnych plam starej i - czerwieńszych - świeżej krwi.

- Co się stało?

- Został postrzelony.

- Kula tkwi w ranie?

- Nie. Lekarz w osadzie powiedział, że ją wyjął. Ian skinął głową, lecz nie spojrział na nią - nie ośmielił się. Jeszcze nie teraz, gdy świeży ból krzywdy pulsuje mu w sercu.

- Ten konował idiota użył niewysterylizowanych narzędzi albo zgoła brudnych paluchów, żeby wyciągnąć kulę. Pewnie przyszedł prosto z ogrodu, gdzie pielili grządki - kpił bezlitośnie, żeby ukryć własne uczucia. - Zdejmijcie bandaż!

Andrew przysunął się do rannego i zręcznymi palcami zaczął odwijać posklejane warstwy płóciennych szarpi. Gdy tylko odsłonił ranę, Ian pochylił się i przyjrzał jej uważnie. Poszarpane brzegi nabrały już odcienia wściekłego szkarłatu, a z otworu ciekła zielonkawa ropa. Powiedział cicho:

H - Wdała się infekcja...

Selena stanęła u jego boku. Czuł wyraźnie jej bliskość i musiał zebrać całą siłę woli, by nie odwrócić się i nie porwać jej w ramiona. Opanował się jednak i utkwiał wzrok w mężczyźnie, który odebrał mu wszystko... nawet duszę.

- Ian? - odezwała się znajomym tonem, przyciszonym, gardłowym, którego tak strasznie mu brakowało! Czekał na nieuchronne dotknięcie delikatnych palców na ramieniu, ale na próżno. Nawet nie wyciągnęła ręki. - Ianie, to dobry człowiek. Nie zasługuje na śmierć.

- Naprawdę? - usłyszał we własnym głosie nutę zdradliwej goryczy i przeklął się za brak kontroli. Cóż, każdy ma jakieś granice wytrzymałości!

- Czy potrafisz go ocalić?

„Nie chcę!” Znowu odezwał się w jego głowie podszept nienawiści. Chciałby go zagłuszyć, ale wolał się nie oszukiwać. Stawił czoło brzydkiej prawdzie: pragnął śmierci Elliota! Najlepiej zaraz, jeszcze tego wieczoru. To takie łatwe - wystarczy, że się odsunie, rozłoży ręce z udawanym smutkiem i pozwoli starcowi umrzeć.

Śmierć Elliota była równoznaczna z jedyną dla Iana szansą na odzyskanie życia. Wiedział o tym od chwili, gdy zajrzał w oczy Seleny i zobaczył w nich nieugiętą decyzję. Jeśli uda mu się uzdrowić Elliota, dziewczyna zostawi Iana - powtórnie odejdzie z mężem.

- Ian? - powtórzyła. W jednym słowie potrafiła zawrzeć tyle uczuć: nadzieję, ufność, wiarę w niego i jego umiejętności... Wszystko to zaciążyło mu na sercu jak młyński kamień. Z trudem przełknął ślinę i pomyślał, jaka to szkoda, że los nie zrzucił inaczej. Było tyle możliwości: Elliot mógł zginąć na miejscu, mógł umrzeć w czasie długiej podróży, mógł być beznadziejnym przypadkiem. Szaleńcze myśli przemknęły mu przez głowę jedna po drugiej - bezcelowe, jęczące tylko żal. Na samym końcu przyszła gorycz, że kiedykolwiek przysiągł Selenie być człowiekiem honoru.

Ale tylko poprzez doskonalenie samego siebie, poprzez niestrudzone wysiłki, by dotrzeć do najlepszych pokładów własnej natury, stawał się godny kobiety swoich marzeń. Wolałby umrzeć, niż ją zawieść.

Przymknął oczy i starał się przygotować na trudną, lecz nieuniknioną chwilę. Nabrał powietrza w płuca i pochyliwszy się nad nieprzytomnym, dotknął dłonią rozpalonego czoła. Początkowo uderzyło go

„ylko, jak gorąca jest skóra rannego, lecz wnet pojawiły się wizje. Wirowały szaleńczo i goniły jedna drugą, aż poczuł zawrót głowy. Nadlatywały jak błyskawice i znikwały, zanim zdążył skupić się nad nimi. Uchwycił tylko oderwane fragmenty kilku obrazów:

Ciemnowłosa, umorusana jak nieboskie stworzenie dziewczuszka grzebie w śmietniku... Grupka mężczyzn w brunatnych ubraniach siedzi na wąskiej ławie... Biały kwiatusek... Selena w brunatnej sukience w szeregu milczących kobiet o spuszczonej głowach... Elliot stoi przy niej z białym kwiatkiem z poprzedniej wizji.

Obrazom towarzyszyły uczucia - miłość silna aż do bólu i przejmujący żal. „Przepraszam cię, Agnes. Tak mi przykro. Wybacz mi!”

Najdziwniejsza ze wszystkich była myśl, która przewijała się w mózgu rannego z niezwykłym natężeniem jak bicie dzwonu: „Wróć do niego, Agnes... obiecaj...”

Skronie pękały z bólu, oczy pulsowały znajomym cierpieniem. Zacisnął powieki i spróbował skupić całą uwagę na badaniu rany. Zamknął umysł na wszystkie zbędne obrazy, sondując otwór wlotowy niewielkiej średnicy, umiejscowiony tuż pod obojczykiem. Szczęśliwie pocisk ominął serce i płuca. Z dziury sączyła się smolista trucizna infekcji.

Przy odpowiednim leczeniu Elliot się wyliże, ale jeśli nie zacznie kuracji natychmiast, nie umknie śmierci.

Selena, wciąż milcząc, stała koło łana. Wiedział już, że nie odezwie się ani słowem, będzie tylko czekać w bezruchu, wierząc w niego bardziej niż on sam w siebie. Wierzyła w niego całym sercem i wiedziała, że on postąpi słusznie. Westchnął.

- Podajcie mi kwas karbolowy z torby. Andrew, biegnij po nową butelkę, będę potrzebował bardzo dużo środka dezynfekującego! Johann, przynieś świeże prześcieradła z pralni, żeby je podrzeć na bandaże. Mnóstwo bandażu! Niech Edith zacznie gotować wodę i przyniesie tu pełen gar wrzątku.

Andrew i Johann wybiegli z pokoju, trzaskając w pośpiechu drzwiami, łan powoli odwrócił się i spojrzał na Selene.

Dziewczyna stała tak blisko, że z łatwością mógł jej dotknąć, a nawet pocałować, lecz jej sztywno wyprostowane plecy zdradzały, że lepiej, by łan trzymał się z dala. Uśmiechając się żałośnie, powiedziała:

- Wiedziałam, że postąpisz, jak należy.

- Wiem, że o tym wiedziałas.

Słowa, które między nimi padały, były wyzute z emocji i znaczenia. Nie to powinni sobie teraz wyznawać! Spojrzał jej w oczy, ona jednak odwróciła głowę i utkwiała wzrok w mężu.

Łan największą siłą woli opanował chęć, by jej dotknąć. Bogini moja, czy tęskniłaś za mną? - rozpaczliwie pragnął zadać to pytanie, ale nie zdobył się na śmiałość, bo nie wiedział, czy zniósłby jej odpowiedź.

Minęła dłuższa chwila, zanim dziewczyna podniosła głowę i spojrzała mu w oczy, ale nadal nie odezwała się ani słowem.

Jej milczenie ostatecznie złamało mu serce.

## 27

Selena wcisnęła się w kąt sypialni i skryta w głębokim cieniu patrzyła, jak łan walczy o życie Elliota. Napiętą ciszę przerywały odgłosy charakterystyczne dla zabiegu chirurgicznego - brzęk instrumentu odkładanego na metalową tacę, ciche pojękiwanie Elliota, chrapliwy oddech łana, szorstki ton głosu, gdy wydawał zwięzłe polecenia asystującemu Andrew.

Selena wciąż od nowa przeżywała w pamięci swój powrót do Domu Zapomnienia: pierwsze spojrzenie, które rzuciła na łana, pierwsze słowo, jakim go powitała. Utrzymanie kontroli nad swoim zachowaniem kosztowało ją więcej, niż się spodziewała. Okazało się jednak, że drzemią w niej pokłady sił, o które się nie podejrzewała - to dzięki nim potrafiła zachować wstrzemięźliwe milczenie mimo uczuć, które targały duszą.

Obrazy wciąż powracały. Świadomość, jak wielki zadaje mu ból, dręczyła czule serce dziewczyny. Boże Wszechmogący! Żądała od niego tak wiele - milczeniem i słowami. Ocal go, łan. Ocal go, abym mogła powtórnie cię opuścić!

Upłynęło wiele godzin od tamtej chwili, a ona wciąż boleśnie odczuwała wstyd. Jakże chciała podejść do niego, zarzucić mu ramiona na szyję i wtulić twarz w miękkie gors batystowej koszuli! Wdychać znajomy zapach jego ciała i przesypywać między palcami Jedwabiste kędziory. Nie ważyła się na to, bo bała się przeraźliwie, że skoro raz go dotknie, to jej samokontrola pęknie, a ona sama napadnie się w otchłań. Tym razem nie byłoby już drogi powrotu,

szansy na wyzdrowienie, żadnej nadziei, która by wspierała ich oboje. Tym razem wiedziała, jakiego życia domagał się od niej honor. Życia które nie było nawet w połowie prawdziwym życiem, tylko wiecznym umartwieniem i udręką. Nie była pewna, czy zdobędzie się na to powtórnie, czy potrafi wsiąść do wozu i opuścić to miejsce, gdzie panuje rodzinne ciepło, aby wrócić do osady Wyznawców. Właściwie nie warto było się oszukiwać: była przekonana, że nie zdoła tego uczynić. Jednak będzie musiała tak postąpić. Nie było innego wyjścia.

A gdyby łan dojrzał w jej oczach prawdę? Zabiłaby go świadomość, że ona jest nieszczęśliwa we

wspólnocie, że opuściła jego kochające ramiona dla życia w sterylnych koszarach, w nieludzkim chłodzie uczuć. Nie, nigdy nie może mu zdradzić sekretu życia, jakie wie z Elliotem. Nigdy!

Łan wyłuskał ręce z gumowych rękawiczek, które założył czyszcząc ranę, i rzucił je na tacę poplamioną krwią.

- Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Reszta zależy od niego.

Stojąca po drugiej stronie łóżka Selena podniosła głowę. Nagi ból w jej oczach przykuł jego wzrok z hipnotyzującą siłą. Po chwili dziewczyna spuściła głowę, wpatrując się we własną dłoń, mocno zaciśniętą na poranej bliznami wielkiej ręce Elliota.

W zatłoczonym pokoju panowała nienaturalna cisza. Wszyscy stali sztywno i nieruchomo, zwracając oczy to na Selenę, to na łana, na Elliota - i z powrotem na dziewczynę. Zakradali się tu jedno po drugim ukradkiem, aby być blisko swej bogini. Ale przez wszystkie te godziny żadne z nich nie ośmieliło się szepnąć choćby słowa -nawet Johann milczał jak grób.

Łan nie spuszczał oczu z Seleny. Widział wszystko: zeszywniałe ramiona, wyzywająco zadarty podbródek, dłoń zaciśniętą kurczowo na ręku rannego. Jej napięcie sprawiało mu ból. Ranił go jej matowy głos, przywiedła cera i znużona rezygnacja w promiennych niegdyś oczach. Coś się w niej zmieniło, ale nie umiał tego określić słowami. mimo iż dręczyło go to przez cały wieczór. Ilekroć odsuwał się na chwilę odpoczynku od pacjenta, podnosił na nią oczy w nadziei, że napotka jej spojrzenie, lecz ani razu mu się to nie udało. Wreszcie, po długiej chwili, puściła dłoń męża i wycofała się w mroczny kat, gdzie skryła się na czas zabiegu.

Ale wystarczyło, że ranny jęknął, by wyskoczyła z cienia i pochyliła się nad nim, szepcząc słowa otuchy, ocierając pot z płonącego gorączką czoła, aż uspokoił się i ucichł.

Łan odsunął się od łóżka. Rana została starannie oczyszczona i przemyta kwasem karbolowym, a potem opatrzona czystym płótnem.

- Teraz musi odpocząć - odezwał się i pomyślał: Teraz wreszcie Selena spojrzy na mnie...

Skinęła głowę i przysunęła sobie fotel do łóżka. Nie spuszczać wzroku z rannego, cicho usiadła przy nim. Maeve podeszła do dziewczyny i położyła jej dłoń na ramieniu, łan ujrzał, jak Selena drgnęła w reakcji na delikatny dotyk.

- Ja przy nim zostanę - powiedziała Maeve. Łan chętnie wycałowałby matkę za jej domyślność. - Edith przygotuje ci coś do zjedzenia. Jesteś stanowczo za chuda!

Selena długo nie odpowiadała, a gdy wreszcie się odezwała, usłyszeli głos zachrypnięty i zdławiony, jakby od tłumionych łez:

- Nie spałam od dwóch nocy...

Maeve pochyliła się i ucałowała policzek dziewczyny.

- Znam to uczucie przytłaczającego przerażenia, które nie pozwala nawet zmrużyć oka. - Przysunęła sobie drugi fotel i usiadła przy Selenie. - Ofelia była idiotką, to pewne... ale jej historia jest taka romantyczna! Czy już widziałaś pomarańcze? - Ujęła bezwładną dłoń di Elliota i pochyliła się nad nim. - Herbercie, jak się dzisiaj miewasz?

Selena z wolna dźwignęła się na nogi. Łan dopiero teraz dostrzegł na jej twarzy oznaki znużenia: bladofioletowe sińce pod oczami, delikatną sieć zmarszczek wokół zaciśniętych ust. Pod czarnymi fałdami kaptura owalna twarzyczka straszyla niezdrową bladością. Tymczasem Maeve rozejrzała się po pokoju.

- Mam wrażenie, że on chciałby zjeść kanapkę z rzeżuchą... Edith? Selena cofnęła się od łóżka, łan ocalił życie Elliota - była tego tak samo pewna jak tego, że jutro wszędzie słońce. Ocalił go... więc [niebawem będzie musiała ponownie pożegnać się z tym miejscem. ..Znowu?"]

Miała wokół siebie przybraną, lecz nie mniej prawdziwą rodzinę. Wiedziała, że wszyscy osobliwym szóstym zmysłem obłąkańców Wyczuwają nienaturalność sytuacji, że są zagubieni i zmieszani. Osoba, która przyjechała, nie była tą samą Seleną, która ich opuściła lalka miesiący temu, i nie wiedzieli, jak mają ją traktować. Chciała

im powiedzieć, jak bardzo jej ich brakowało, że czasami czuła się niemal chora z tęsknoty... ale nie śmiała. Takie słowa otworzyłyby drzwi, które bezpieczniej było trzymać zamknięte.

Odwróciła głowę i spojrzała na Iana. W jego oczach zobaczyła ból. Upartym milczeniem zadawała tortury gorsze od śmierci mężczyźnie, którego kochała... Otworzyła usta, ale słowa, które padły, nie przyniosły mu zbawienia:

- Dziękuję ci.

- Tylko tyle, Seleno? - wykrztusił urywanym głosem. - Po tak długiej nieobecności wracasz tutaj... i dziękujesz mi za usługę medyczną? Tylko tyle?

Czuła się słaba i krucha w obliczu tak wielkiego bólu i gniewu. Powoli opuszczała ją siła woli, słabły nakazy honoru, a wraz z nimi postanowienie, które uczyniła. Rozpaczliwie sięgnęła w głąb duszy, by znaleźć coś, co pozwoli jej wytrwać. Szepnęła:

- Co chciałbyś, żebym ci powiedziała?

Ian wyglądał tak, jakby go uderzyła. Zastygł przez chwilę nieruchomo, potem trzasnął pięścią w metalową tacę, aż instrumenty rozleciały się po całym pokoju z ogłuszającym brzękiem.

- Wynocha! - wrzasnął. Rodzina podreptała do drzwi jak rząd posłusznych mrówek. Seleno zamrugła, starając się zebrać myśli. Nie znajdowała niczego, co mogłaby mu powiedzieć. Usłyszała, że Maeve łaje syna łagodnym tonem:

- Pozbieraj zabawki, kochanie!

Ian chwiejnym krokiem okrążył łóżko i chwycił Selenę za przegub. Poczula palce wpijające się boleśnie w jej ciało, gdy bez słowa pociągnął ją w kierunku drzwi. Tłum na korytarzu wstrzymał oddech i rozstąpił się, by ich przepuścić. Seleno potykała się, lecz Ian nie zwracał na to uwagi, prowadząc ją schodami w dół i na pogrążony w ciemnościach ganek. W strugach deszczu przecięli trawnik i skierowali się zwirową ścieżką. Seleno domyśliła się, dokąd zierają. Och, nie! - krzyknęło jej serce, gdy ujrzała furtkę prowadzącą do księżycowego ogrodu Maeve. Nie, proszę. Tylko nie to. Panie Boże, błagam-

Wreszcie Ian odwrócił się do niej i stanął, blokując jej drogę. przewiercając ją oczami, których błękit płonął bólem i gniewem.

- Co chciałbym, żebyś mi powiedziała?! - krzyknął. - Seleno, na rany Chrystusa!

I' - Przestań, Ianie!

I' - Ach, mam przestać? - Złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie tak gwałtownie, że głowa dziewczyny poleciała do tyłu

\*i kaptur zsunął się, odsłaniając twarz na uderzenia chłodnego deszczu. - Co chciałbym, żebyś mi powiedziała? - Głos mu ścichł, pojawiła się w nim nuta bezbrzeżnego smutku. - Może to: „Wiem, że nie ma dla nas przyszłości, ale wciąż cię kocham”. Co, Seleno? Spójrz na mnie! Dotknij mnie, zrób coś... powiedz mi, że mnie kochasz!

Zacisnęła powieki, nie mogąc znieść widoku wykrzywionej w cierpieniu twarzy. Gdybyż to zrobiła... o Boże, wybuchnęłaby z pewnością płaczem i wszystko by zepsuła. Jak długo jeszcze zdoła zapanować nad palącą potrzebą jego uścisku? Tak bardzo go pragnęła! Marzyła tylko o tym, by otoczył ją silnymi ramionami, by mogła wdychać znajomą woń, poczuć go blisko przy sobie... przez chwilę krótką jak jedno uderzenie serca wróciła pamięcią do wspomnień. Ujrzała rozrzuconą pościel na łóżku, w którym się kochali, poczuła rumieniec na policzkach.

- Seleno? - wyszeptał jej imię, a ona jęknęła boleśnie i przeciągle.

Z wolna, jakby wbrew własnej woli, uniosła powieki i ujrzała jego ściągniętą twarz i usta zaciśnięte w twardą kreskę. Ale najbardziej

zabolał wyraz oczu pełnych smutku. Niechby pochyliła się odrobinę, niechby uniosła lekko brodę...

poznałby, że milcząco odnawia przysięgę miłości, odczułby siłę jej i pragnienia i tęsknoty! Wziąłby ją wtedy - tu i teraz, pośród uschniętych kwiatów i pożółkłej trawy, w ogrodzie pachnącym ostatnimi białymi [ chryzantemami. A ona nie stawiałaby oporu. Boże, dopomóż! Po-lzwoliłaby mu na wszystko... I; „Będę człowiekiem honoru, Ianie...” f - Ach, Seleno, zabijasz mnie! - Ian skurczył się, jakby zapadł gW sobie, gniew opuścił jego oczy, ramiona zgarbiły się, dłonie łciskające jej barki rozluźniły uchwyt. Wyglądał jak zbity pies, ^pozbawiony nadziei i przyszłości. Seleno zrozumiała, że nie znieśli ani chwili dłużej jego rozpacz... ani swojej własnej. Kochała go i nadal, kochała nad życie i nie wolno jej było go ranić. Jak mogła

•kiedykolwiek pomyśleć, że ten plan się uda?

- Tak szybko tracisz wiarę? - szepnęła i motylił dotknięciem odsunęła wilgotny kosmyk, który spadł mu na oczy. - Już się martwisz, że przestałam cię kochać?

Kiedy odezwał się po chwili milczenia, miał głos drżący i szorstki z tłumionego wzruszenia.

- Sam już nie wiem, co myśleć! Niech Bóg jej przebaczy!

- Więc przestań myśleć, zdaj się na uczucie...

Drżące dłonie ześlizgnęły się po mokrych fałdach podróżnej opończy i otoczyły ją w pasie. Przyciągnął ją do siebie, a ona zadarła brodę i wtuliła się w niego, czując przez warstwy nasiąkniętej deszczem odzieży ciepło jego ciała. Nad ich głowami niebiosa chłostały świat ulewą. Olbrzymie krople ściekały po ich twarzach.

Stopili się w zapamiętałym pocałunku, który smakował słodyczą deszczu i goryczą desperacji. Wczepiła się w niego z nieoczekiwaną siłą, zmysłowym jękiem sygnalizując uległość. Nagle pojęła, że w rzeczywistości nigdy nie miała wyboru. Nie w obliczu takiego uczucia.

Odsunął się i pożerał ją zachłannym spojrzeniem, a jego palce błądziły po dziewczęcych policzkach, nie dowierzając swemu szczęściu, że może ich dotykać, pieścić, zapisywać w pamięci każdy rys, każdą zmarszczkę nieobecnej przedtem troski. Ściągnął jej z głowy wykrochmalony, biały czepek i upuścił go niedbale na ziemię.

- Seleno, och... jakże za tobą tęskniłem! - wyznał cichutko.

- I ja tęskniłam, lanie. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Przywarł do niej, odgarniając wilgotne włosy z twarzy, żarliwie całując zlodowaciałe od deszczu czoło. Skuliła się w jego ramionach, czerpiąc otuchę i siłę z jego bliskości. Miała uczucie, że wszystko jest nareszcie tak, jak należy. Przymknęła oczy i zaczęła snuć marzenia: o przyszłości, której nie będą mieli; o dzieciach, których nigdy mu nie urodzi.

- Seleno - powiedział tak cicho, że w pierwszej chwili wzięła jego głos za powiew wiatru. Czekwała w napięciu, ale zamilkł, a jego milczenie zraniło ją bardziej od słów. Powoli otworzyła oczy i popatrzyła na jego twarz ociekającą deszczem.

- Musisz mnie nauczyć jeszcze jednego, lanie. Otoczył jej policzki dłońmi pełnymi czułości.

- Czego, bogini moja?

- Naucz mnie, jak żyć bez ciebie!

Za jego plecami błyskawica przecięła niebo, trysnęła oślepiającym fajerwerkiem pośród leśnej gęstwiny, łan otoczył ją rozpaczliwym uściskiem. Deszcz siekł nieruchome sylwetki, ściekał po ubraniach ciężkich od wilgoci.

- Nie mogę, Seleno - odezwał się zdławionym głosem. - Nie potrafię.

Owionęła ją gorąca Wilgoć ciężkiego oddechu. W błękitnych oczach pojawiły się łzy. Pęczniały, aż oderwały się od rzęs i zaczęły spływać po jej szyi, mieszając się z kroplami deszczu. Zebrała siły i spojrzała na ukochaną twarz, a serce zapłonęło tęsknotą, miłością i pragnieniem. Wyciągnęła dłoń przed siebie i patrzyła, jak krople deszczu rozpryskują się na skórze.

- Bóg płacze nad nami... łan nie uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że drań żałuje nas choć trochę!

JLiliot przebudził się i ujrzał, że znajduje się w nieznanym otoczeniu. Leżał na obcym łóżku w przestronnym pokoju, pełnym słonecznego blasku. Rozejrzał się ze zdziwieniem po niesamowitym bałaganie, który tu panował. Na krzesłach i na podłodze poniewierały się części jego garderoby, metalowe instrumenty chirurgiczne i strzępy bandaży. Przez szeroko otwarte okno do pokoju wpływał świeży powiew. Białe zasłony poruszały się lekko pod dotykiem morskiej bryzy. Obok łóżka ujrzał stół pomalowany na niebiesko, a na nim dzban wody, dwie filiżanki i termometr.

Wspomnienia powróciły z przytłaczającą siłą. Huk wystrzału... Przeszywający ból w piersiach... Palce ściskające ranę, ciało osuwa się na zmarznięty grunt... Agnes krzyczy jego imię, trzyma go mocno za rękę... Lekarz mówi, że niechybnie umrze, co będzie zresztą błogosławieństwem...

Usiadł tak raptownie, że ostry ból zdławił okrzyk w gardle. Chwycił mdlejącymi palcami płonące ramię i wyczuł grubą warstwę bandaży. Osunął się na miękkie poduszki.

„Agnes, gdzie jesteś?” i Jak gdyby w odpowiedzi na milczące pytanie drzwi otworzyły się

i w progu pojawiła się Agnes z tacą pełną półmisek. Poczł smakowite wonie i natychmiast zaburzało mu w żołądku. Dziewczyna zbliżyła się do niego. Po sukni poznał, że nie są w osadzie, chociaż domyślał się już tego na widok nieznanego pokoju i panującego w nim bałaganu.

Agnes miała na sobie piękną sukienkę w odcieniu ciepłego brązu, który podkreślał czerwone i brązowe ogniki w jej oczach. Rozpuszczone włosy spływały miękkimi falami wokół twarzy. Dziewczyna tryskała życiem i radością. Uśmiechnęła się promiennie.

- Dzień dobry, Elliot!

Lekceważąc ból pulsujący w barku, dźwignął się, próbując usiąść.

- Witaj, Agnes!

Postawiła tacę na stoliku i usiadła, przysuwając krzesło do łóżka.

- Pewnie jesteś głodny.

Zerknął na potrawy: smażona kielbasa z ziemniakami, maślane bułeczki z dżemem i dzbanek parujący apetyczną wonią kawy. Kawa - zakazany, jakże kuszący napój!

- Owszem, jestem głodny.

Nałożyła mu pełen talerz, smarując dżemem miękkie pieczywo, posypując ziemniaki solą. Elliot zapatrzył się na jej pełne wdzięku ruchy. Jakże była młoda, piękna i szczęśliwa!

- Gdzie jesteśmy? - spytał.

Dziewczyna drgnęła nerwowo, odstawiła solniczkę i spojrzała mu w oczy.

- Jesteśmy w Domu Zapomnienia, Elliot. Nie znałam nikogo innego, kto mógłby uratować ci życie.

- I mnie ocalił? Skinęła głową.

- To znakomity lekarz!

Elliot nie spuszczał z niej oczu. Czy rzeczywiście była tak niewinna, na jaką wyglądała? Czy nie pojmowała ogromu poświęcenia tamtego, nie rozumiała, że ratując rywala, rujnował własne życie?

- Wierzę ci, naturalnie. Jak długo już tu jesteśmy?

- Od trzech dni.

Trzy dni? A ona już zdążyła odzyskać świeżość policzków i radość w oczach? To miejsce dawało jej szczęście. On sam miał dwadzieścia dwa lata, by uczynić ją szczęśliwą - i nie zdołał tego osiągnąć. <sup>1^</sup> potrzebował zaledwie kilku dni!

H Westchnął i podniósł wzrok.

V - Powinnaś była pozwolić mi umrzeć - szepnął. Pochyliła się do RUIego i przytuliła ciepłą dłoń do zdrowego policzka, w którym nie BStracił czucia. Rozkoszował się jej pieśczętą.

- Przecież mnie znasz, Elliot!

- Więc wrócisz ze mną do osady?

Nawet nie mrugnęła, ale dostrzegł, jak kurczowo zacisnęła szczęki i splotła dłonie na kolanach.

- Oczywiście. Jesteś moim mężem, moją rodziną. Nie pojmował jej determinacji. To nie była Agnes, którą nigdy nie znał. To była zupełnie inna kobieta! Silna, odważna, honorowa, uczciwa... o wielkim sercu. Nie spotkał dotychczas tak wielkodusznej osoby. Uwierzył, że uznała go za swoją rodzinę i ta myśl dodała mu nieco otuchy.

Rodzina? Tak, on i Agnes stanowili rodzinę. Zawsze tak było. Para wyrzutek, którzy zbratali się w obliczu wrogiego świata, by przeżyć. Tyle że teraz dziewczyna znalazła innych bliskich. Czuł ich obecność w tym starym domu. Słyszał szepty ludzi czekających na dole. To oni byli teraz jej rodziną. On zaś - bezużyteczną pozostałością z przeszłości, częścią życia, które powinna zamknąć za sobą... ale z jego powodu nie mogła.

- Agnes, wiem, że nienawidzisz życia we wspólnocie.

- Nienawiść to zbyt mocne słowo. Nie czuję nienawiści ani do tego sposobu życia, ani do tych ludzi.

- Więc co czujesz?

- Ja tam po prostu gasnę. Umieram. Nie potrafię wyjaśnić czemu. Wiedział, że powinien ją uwolnić, i to zaraz, zanim straci odwagę. Zasługiwała na kogoś lepszego od złamanego cierpieniem człowieka, który nie miał jej nic do zaoferowania. Zasługiwała na dzieci, na światło, na śmiech - to wszystko, co nigdy nie mógł jej dać. Lecz już nie teraz... Dla nich było za późno, przegapili zbyt wiele szans. ; Nagle drzwi do sypialni



otworzyły się na oścież i na progu pojawiła ; się kobieta, której uroda zaparła mu dech w piersi. Krucha i niewysoka, sięgałaby mu zaledwie do ramienia, gdyby stał. Głowę wieńczyła korona włosów, których odcień przypominał napęczniałe słońcem truskawki. Stała niepewnie, jakby zbита z tropu, nie zdejmując dłoni z gałki. Nagle przypomniał sobie, kim jest ta kobieta. To matka lana.

- J...ja... nie chciałam przeszkadzać... Agnes rozpromieniła się na jej widok.

- Cóż to za głupstwa, Maeve! Ty miałabyś przeszkadzać? Wchodź-że. Elliot, poznaj Maeve, która towarzyszyła mi przez dwie noce przy twoim łóżku.

Maeve płynnym krokiem podeszła do posłania.

- Dzień dobry, Elliot. Może pamiętasz? Jestem Maeve. - Miała głos słodki i melodyjny jak kołysanka. Oczarowany, nie mógł wydusić ani słowa.

- Seleno - zwróciła się przybyła do dziewczyny - idź odpocząć. Ze zmęczenia wyglądasz jak trup!

- Och, nie, nie powinnam...

- Ja zostanę z Elliotem - stanowczo ucięła Maeve. Poczuł przypływ radości, słysząc protesty Agnes. Nawet w tym cudownym miejscu, gdzie lan czekał za ścianą, ona wybierała towarzystwo jego, Elliota! Uśmiechnął się ze wzruszeniem. - Idź, moja droga. Ja tu sobie poradzę.

Agnes ucałowała pobrużdżony bliznami policzek i zostawiła Elliota w towarzystwie piękności o imieniu Maeve.

Zapatrzył się na nią. Wprost nie mógł oderwać wzroku. Była taka urocza: skóra jak bita śmietanka, orzechowe oczy, rudawe kędziory, które odbijały słoneczny blask. Co sobie o nim myśli ta olśniewająca istota, ta czarodziejka z baśni? Wykręcił twarz, żeby ukryć w poduszce zdeformowany policzek.

- Elliocie, czemu wciskasz się w pościel? W ten sposób nie będzie ci wygodnie jeść.

- Nie musisz przy mnie siedzieć...

Po jej twarzy przemknął cień obrazy, lecz po chwili westchnęła cicho, a ramiona opadły jej w geście bezbrzeżnego smutku.

- Och, nie chcesz mojego towarzystwa? Pewnie Seleno ci o mnie opowiadała. Elliot zmarszczył czoło.

- Nie. Ja tylko... tak sobie pomyślałem, że to ty chcesz wyjść. Zaśmiała się czystym, jasnym śmiechem, lżejszym niż zimowe tchnienie wiatru. Przez głowę przemknęło mu absurdalne skojarzenie:

Dzwoneczki gwiazdkowe! Skądże u niego te nieprzystojne, światowe myśli? Ale jakże prawdziwe: jej śmiech rzeczywiście brzmiał jak

dawno zapomniany dźwięk dzwoneczków przy saniach, którymi po

mieście jeździli brodaci święci Mikołaje. s - Elliot, zostaw myślenie innym, dobrze? Nie jesteś w tym zbyt mocny! II Melodyjny głos zahipnotyzował go. Na chwilę zapomniał, jaki jest masywny, niezgrabny i zeszpecony.

- Maeve, jakaś ty piękna... - Ostupiał, słysząc, co wymknęło mu się z ust. Kąciki warg Maeve uniosły się w radosnym uśmiechu.

- Naprawdę tak sądzisz? - Położyła mu na piersi szczupłą dłoń. - Nikt mi tego nie mówił... od tylu lat.

Nie mógł uwierzyć, że nie kręci się wokół niej rój adoratorów. Zaśmiał się ze skrępowaniem.

- Mnie nigdy nikt czegoś takiego nie powiedział! Popatrzyła na niego zdumiona.

- Ależ jesteś takim przystojnym mężczyzną! Zmarszczył się. Czyżby z niego kpiła? Nie potrafił przeniknąć, jakie myśli naprawdę kryją się w przejrzystych orzechowych oczach.

- Czy... ciebie nie odstrasza ta okropna blizna? Znowu wybuchnęła śmiechem, tym razem cichszym, miękkim, z domieszką smutku.

- Nie widziałeś jeszcze mojej blizny, Elliocie. Uwierz mi, w porównaniu z nią ślady na twojej twarzy są drobiazgiem niewartym wzmianki!

- Drobiazg niewarty wzmianki? W jej uśmiechu pojawiła się gorycz.

- Wiesz, w pewnych kulturach... a może wzięłam to z jakiejś powieści, sama nie pamiętam... w każdym razie podobno istnieją ludzie, którzy uważają blizny za coś w rodzaju honorowego odznaczenia, dowodu uczciwości duszy. Mnie tam taka mała blizna na ciele wcale by nie przeszkadzała. Lepsze to niż problem, który mnie trapi...

Nie powinien zadawać tak osobistego pytania, ale jej wynurzenia zabrzmiały jak zaproszenie. Starannie

dobierając słowa, ostrożnie, jakby skradał się po kruchej gałązce, która lada chwila mogła się pod nim załamać, spytał:

- Jaki jest twój problem?

- Szaleństwo.

- To znaczy, że czasami wpadasz w szał gniewu?

- Nie.. To znaczy, że jestem obłąkana. Lada chwila najdzie mnie szaleństwo i wtedy mogę przestać cię poznawać. Albo ni stąd, ni zowąd zacznę dyskutować z łóżkiem... albo lizać farbę, którą pomalowany jest stół. Jestem wariatką, czubkiem! - Mężnie usiłowała utrzymać na twarzy uśmiech, ale Elliotowi nie umknął smutek w jej oczach i towarzyszący mu wstyd. Jakże dobrze znał oba te uczucia!

- A następnego dnia?

- Mogę obudzić się przy równie zdrowych zmysłach, jak ty czy ktokolwiek inny. Albo mogłabym uważać się za samego Zygmunta Freuda. Nie da się tego przewidzieć. - Parsknęła drżącym, wymuszonym śmiechem. - Oczywiście można mnie w takie dni omijać szerokim łukiem. Moich uczuć bynajmniej to nie urazi...

- Nie kłam!

Wciągnęła oddech ze świstem, słysząc gwałtowny protest.

- Co masz na myśli?

- Mam pięćdziesiąt sześć lat, a od czterdziestu dziewięciu żyję z tą odrażającą gębą, Maeve. Wiem, że przywykłaś do tego, iż ludzie cię odrzucają. Nawet zaczynasz się tego spodziewać... ale to nie znaczy, że to cię nie boli. Całe życie czekasz na kogoś - na choćby jedną osobę - która potrafi sięgnąć wzrokiem poza twoje blizny!

W oczach Maeve zabłyśły łzy. Spojrzenia obojga spotkały się i ich dusze zbliżyły się do siebie w błysku wzajemnego zrozumienia i akceptacji. Nigdy przedtem nie doznał czegoś równie wzruszającego, nigdy nie znalazł istoty, z którą mógł bez wykrętów i przemilczeń dzielić cały ból nędznego, pełnego cierpienia żywota. Załapała go fala uniesienia graniczącego z religijną ekstazą. Jak gdyby koszmar, dzielony z kimś innym, zelżał... a może po prostu dwojgu ludziom łatwiej było go dźwigać?

## 28

Nie wiadomo skąd dobiegał głośny śmiech.

Elliot odrzucił wełniany koc i ostrożnie usiadł na posłaniu. Wciąż odczuwał ból w zranionym ramieniu, ale cierpienie stępiło ostrze, przechodząc w rodzaj pulsującego ucisku, który można było znieść bez jęku.

^ Nieco niezdarnie spuścił nogi z łóżka i wstał. Ciepła, flanelowa koszula, [Storą użyczono mu w tym gościnnym domu, opinała ciasno potężną pierś {•uwierała pod pachami. Wolnym krokiem skierował się do okna. i Za szybą rozpościerał się oszałamiający pięknem zimowy poranek. Końce przenikało welon mgły, która o świcie spowijała ziemię, krzeszło iskry na stalowej tafli morza. Świat okryła cienka warstwa śnieżnego puchu.

Na frontowym gazonie tuż pod jego oknem ludzie odziani w ciepłe płaszcze i grube rękawice tłoczyli się na płacie śniegu, zdeptanego już licznymi stopami. Grali w krokieta. Wśród uczestników rozpoznał Agnes, Johanna i Andrew oraz kobietę, którą wszyscy nazywali „królową”. Inna starsza pani tkwiła w gałęziach krzaka jak w kryjówce, wymachując rękami do jakichś niewidzialnych istot. Lara przycupnęła na pieńku i bawiła się szmacianymi lalkami. Maeve zaś tańczyła i wirowała, tuląc w ramionach wypchanego tchórza. Tylko lana nie było wśród roześmianej czeredy. Odgłosy wesołej paplaniny płynęły na skrzydłach wiatru do jego okna. Elliot odsunął się, zanim zdążyli go zauważyć, westchnął ciężko i oparł się o chłodną ścianę. Starał się odegnać myśli od swawolnej sceny przed domem.

Takiego miejsca szukał przez całe życie! Niegdyś - całe lata temu - sądził, że odnalazł je wśród Wyznawców, ale kiedy tak wsłuchiwał się w radosne śmiechy, objawiła mu się bezlitosna prawda. Rodziny nie tworzyły skupisko ludzi podzielających te same wierzenia czy przekonania. Nie tworzyła jej wspólnota wychowująca dzieci w jednej grupie, której członkowie dzielili sypialnię z kilkoma innymi osobami swojej płci. Rodzina to nie był twór uporządkowany, zorganizowany i samowystarczalny. Rodzina - to było to, co ujrzał na trawniku pod swoim oknem. Duża, roześmiana grupka ludzi, którzy troszczyli się o siebie

nawzajem. Może nie potrafili zachowywać się grzecznie i układnie, ale się kochali.

Ta myśl sprawiła mu taki ból, że czym prędzej odepchnął ją od siebie. Podeszedł do masywnej szafy i otworzył ciężkie, dębowe drzwi z lustrem. W środku znalazł rzędy ubrań zwisające z mosiężnych wieszaków. Z niejakim trudem zrzucił zbyt ciasną koszulę nocną i założył swoje stare wełniane spodnie i płócienną koszulę. Zanim skończył, zadyszał się i spocił, a w piersiach poczuł tępy ból. Usiadł i zaczekał, aż ból minął, po czym powoli podeszedł do drzwi. Musiał coś zrobić - i właśnie nadszedł odpowiedni czas.

W salonie Ian stał przy uchylonym skrzydle francuskiego okna. Z tego korzystnego punktu obserwował swoich podopiecznych, wsłuchując się w ich śmiech. Każdy niuans rozbawionych głosów, chichot czy parsknięcie było jak nóż, który bezlitośnie wbijał mu się w serce. Jakże pragnął wybiec na dwór i bawić się z nimi, udając, że wszystko jest po starym... ale czy mógł się na to zdobyć? Czy potrafiłby patrzeć na Selene bez uczucia jątrzącej rozpacz, bez wyobrażania sobie, że zapada się w bezdenną czeluść?

Za plecami usłyszał skrzypnięcie drzwi i szuranie ociężałych stóp. Po chwili kroki ucichły i odezwał się powolny, męski głos:

- Doktorze Carrick.

Ian poczuł, że oddech więźnie mu w gardle, a serce ścisną ostry ból. Oblekł twarz w maskę opanowania i powoli obrócił się do drzwi. W progu ujrzał Elliota, który stał ze zwieszoną głową, ubrany w wygnieciony, znoszony garnitur, wciąż jeszcze splamiony zaschlą krwią. Wyglądał na wiekowego starca, złamanego życiem. Dobrze

Rnu tak! - przemknęło przez zgorzkniałe myśli Iana, lecz mściwe uczucie minęło równie szybko, jak się pojawiło. Elliot nie przedstawiał obrazu triumfatora, nie miał aroganckiej, pewnej siebie miny zwycięzcy - wyglądał po prostu jak starzec, który utracił bliską sercu kobietę, tołość swego życia.

Ian podeszedł do srebrnej tacy z serwisem do kawy i nalał sobie

Inżankę aromatycznego napoju.

- Więc wstał pan już. Jakże się pan czuje?

- Żyję.

Ian skinął głową. Powinien pewnie powiedzieć coś więcej, zrobić coś - kłopot w tym, że nic nie przychodziło mu do głowy. Poza 'wariackim pomysłem, by ukorzyć się przed tym żałośnie zgarbionym starcem i zebrać zmiłowania... lub zabić go na miejscu.

- Pańska rana goi się bez powikłań.

- Już tak nie jątrzy. Dziękuję panu!

- Hmm... - mruknął Ian, kiwając w zakłopotaniu głową. Potem I zamilkł i czekał na reakcję tamtego. Elliot też milczał, w salonie zapanowała więc niezręczna cisza. Wreszcie starszy mężczyzna zrobił chwiejny krok do środka pokoju.

- Przyszedłem, by podziękować panu za uratowanie życia.

- Jestem lekarzem.

Starzec zbliżył się o jeszcze jeden krok i spojrzał Ianowi w oczy.

- Czemu pan to zrobił?

Ian napił się kawy, dobierając słowa odpowiedzi.

- Nie chciałem.

- Tak właśnie przypuszczałem.

Upił kolejny łyk, zerkając na Elliota znad złoconej porcelany.

- Długo by wyjaśniać, ale nie będę pana zanudzał szczegółami... IKrótko zaś mogę powiedzieć tak: ocaliłem pana, bo ona sobie tego j życzyła. I - Wiedząc, że jeśli przeżyję, to pan ją...

- Wiedząc - wpadł mu w słowo, odstawił filiżankę i podeszedł do I Elliota, mierząc baczny wzrokiem pooraną bliznami twarz w po-lszukiwaniu... właściwie nie miał pojęcia, czego szuka. Co mogłoby j zmienić los, odwrócić to, co nieuchronne? Nagle powróciły do niego osiowa zasłyszane podczas wizji: „Wróć do niego, Agnes”. Ciekawe,

i stary miał na myśli? Odezwał się z namysłem:

- Ona powiada, że pan jest dobrym człowiekiem. Elliot sapnął ze wzruszeniem.

- Jakże pragnąłbym, by miała rację! Ian zajął głęboko w oczy tamtego i wyciągnął dłoń. Elliot nie odwrócił wzroku, tylko ujął podaną rękę i krzepko uścisnął.

- Jeszcze raz dziękuję za życie, lanie.

Ian skrzywił się mimowolnie, gdy ze splecionych palców wystrzelił jakby fajerwerk ognia, a skronie zatętniły znajomym bólem. Wizje pojawiły się z mocą huraganu: Selena stoi w pomieszczeniu pełnym ludzi, samotna, odcięta od reszty... zamknięte drzwi, jednoosobowe łóżko...

Raptem uchwycił czytelną myśl: „Ona cię kocha, lanie, a ja kocham ją”.

Wyszarpnął dłoń. Przez moment chwiał się pod naporem mdłości, spowodowanych bólem głowy. Po chwili słabość minęła i mógł uśmiechnąć się do Elliota, chociaż niezbyt dobrze mu to wyszło.

- Czy Selena opowiedziała panu o moim... darze?

- Nie.

Bezpośrednie zaprzeczenie zabolowało. Nie wiedzieć czemu pragnął stać się ośrodkiem rozmowy, chciał skupić na sobie uwagę tamtego, chciał, by jego imię dręczyło Elliota, prześladowało jego myśli tak, jak imię starca wypełniało myśli lana.

Ponownie zapadła między nimi niezręczna cisza.

Elliot odezwał się pierwszy:

- Sądzę, że jutro opuścimy ten dom.

Ian drgnął, przeszyty nieoczekiwanymi słowami jak ostrą strzałą. W głowie zahuczał niemy krzyk: „Nie! Nie. Ja jeszcze nie jestem gotów!” Jednocześnie przyznał sam przed sobą, że na jej odjazd gotowy nie będzie nigdy, a poza tym jego uczucia bynajmniej się tu nie liczą. Powtórzył więc tylko martwym głosem:

- Jutro - żalując, że nie potrafi znaleźć słów, które zmieniłyby to, co nieuchronne.

Elliot podniósł wzrok; przez chwilę przewiercał nim lana, potem odwrócił głowę.

- Myślę, że pójde się położyć. Jeszcze muszę odpocząć.

- Czy mógłby pan ją... przywozić od czasu do czasu z wizytą? -” prośba wymknęła mu się, zanim zdołał ją powstrzymać. Spojrzał na

pobladałą, jakby zmrożoną twarz Elliota i zrozumiał, że nie powinien zadawać tego żalosego pytania.

- Nie sądzę, by to było możliwe.

Jakżeby chciał odnaleźć w sobie siły, by odpowiedzieć zdawkowym skinieniem i zachować się jak mężczyzna, chociaż dusza łkała z żalu, a trzewia skręcał nieznośny ból! Nie potrafił. Mógł tylko stać bez ruchu, tłumiąc krzyk. Wreszcie wykrztusił, świadom, że to zaledwie cząstka tego, co chciał powiedzieć:

- Niech pan będzie dla niej dobry!

Elliot skinął z prostotą głową i opuścił pokój.

Selena zajął się do Elliota około pierwszej po południu i odkryła, że rekonwalescent wciąż śpi. Wycisnęła na jego policzku szybki pocałunek i wyszła. W swoim pokoju ściągnęła przemokniętą suknię i przebrała się w pożyczone od Andrew czarne wełniane spodnie i koszulę z białego płótna. Właśnie chciała pójść na poszukiwanie lana, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

- Proszę wejść!

Na progu stała Maeve w seledynowej muślinowej sukni i ciężkiej, czarnej opończy. Uśmiechała się ciepło.

- Chodź ze mną!

Selena wsunęła dłoń w rękę przyjaciółki.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Zamknij oczy!

Selena ze śmiechem spełniła żądanie, a Maeve przewiązała jej oczy czarną przepaską. Mocno zaciągnęła węzeł i poprowadziła dziewczynę korytarzem i w dół po schodach. W końcu zatrzymały się.

- Maeve...

- Niespodzianka! - usłyszała chóralny krzyk. Maeve zerwała przepaskę. Selena odkryła, że stoi w salonie, a cała rodzina tłoczy się wokół niej. Pokój był dosłownie zasypany jabłkami. Leżały na parapetach, meblach, na podłodze. W każdy owoc wetknięto świecę. Niezliczone płomyki migotały jak krople płynnego złota na tle ścian wytapetowanych wiśniowym aksamitem. Pomieszczenie wypełnił korzenny zapach dymu zaprawionego aromatem dojrzałych jabłek.

Wszyscy mieli na sobie odświętne ubrania: Lara wyglądała jak słodki duszek w białej koronkowej sukience przewiązanej w pasie wiśniową szarfą z olbrzymią kokardą; królowa zadawała szyku w szacie z purpurowej satyny, a Edith wcisnęła pulchne kształty w kreację obszytą falbanami z jedwabiu, nastroszonymi wokół ramion jak tęczowa piana, Ian, Jonami i Andrew nosili czarne spodnie i także surduty na śnieżnobiałych koszulach.

- O jejku! - westchnęła Selena, pozerając ich dosłownie wzrokiem, zapisując w pamięci najmniejszy szczegół: niuanse ubioru, wyglądu, głosu.

Ian przeciął pokój i podszedł do niej, dwornie wyciągając ramię.

- Milady, zapraszamy łaskawą panią na wspólną biesiadę. W wieczorowym stroju wyglądał tak urodziwie, że dech jej zaparto. Złote kędziory odcinały się promiennym blaskiem od dostojnej czerni surduta, oczy sypały szafirowe skry. Poczowała, że serce zaczyna szybciej bić w piersi.

- Co zrobimy, Ianie?

Potrząsnął głową i pozornie pogodnie oczy na krótką chwilę omroczył cień smutku.

- Dziś nie pora na pytania czy żalobę. Nagle zrozumiała.

- Ach, więc to jutro...

Przytaknął bez słowa. Wsunęła ramię pod podany szarmancko łokieć i przywarła do boku Iana, tuląc policzek do miękkiej wełny surduta.

- Tak... - szepnęła. - Spraw, żebym zapomniała o jutrze! Johann dźwignął ciężki wiklinowy kosz pełen wiktuałów. Lara zgarnęła pełne ręce zabawek, Andrew chwycił skrzypce, a Maeve triumfalnie podniosła wielki dzban wina. Wszyscy zaczęli paplać jedno przez drugie i przeciskać się do wyjścia. Zachręścił śnieg deptany ochoczymi stopami piknikowiczów. Doszli już do połowy gazonu, gdy Selena zatrzymała się jak wryta i odwróciła do tyłu, gdzie maszerował roześmiany Andrew. Uświadomiła sobie, że oto świeci jasne słońce, a on jest na dworze!

- Witaj, Seleno! - powiedział z cichym triumfem. Oderwała się od Iana. Podbiegła do młodzieńca i zarzuciła mu

ramiona na szyję z takim zapałem, że omal nie przewróciła go na ziemię.

Wokół nich wirowały śnieżynki. Ulotne płatki osiadały jak pocałunki aniołów na kruczoczarnych rzęsach chłopca i topniały na

, podobieństwo łez.

< - Jestem z Ciebie taka dumna! - szepnęła.

! Krople, które pojawiły się na jego rzęsach, były tym razem

! prawdziwymi łzami.

! - Dziękuję, Seleno...

Od tej chwili dzień nabrał magicznego czaru. Selena i Andrew wstali i trzymając się za ręce wrócili do Iana. Tam chłopiec bez słowa puścił jej dłoń i pobiegł naprzód. Po chwili już wesoło przekomarzał się z resztą towarzystwa. Doszli do skraju trawnika i jedno po drugim zagłębili się w cień listowia. Selena patrzyła w ślad za nimi, stojąc przy boku Iana. W tej chwili kochała go mocniej, niż kiedykolwiek mogła sobie wyobrazić. Samymi wargami, bezgłośnie, wymówiła jak zakłęcie: Ian-bóg. Wiedziała, że nie musi dodawać nic więcej. On uśmiechnął się, ujął ją za ramię i przyciągnął do siebie. Rozmawiając półgłosem, ruszyli w ślad za rodziną, która dotarła już tymczasem na skraj skalnego urwiska. Na dole fale rozbijały się o twardy granit, strzelając ku nim pienistą fontanną.

Cały dzień spędzili razem, stłoczeni na nieco zbyt małym kocu. Rzucali kamyki w rozkołysane fale, bawili się w berka, jedli przekąski na zimno, którymi Edith załadowała koszyk. Blade słońce powoli zniżało się nad horyzontem, spowitym siwą mgiełką. Zmieniała się stopniowo muzyka krajobrazu: przenikliwe krzyki mew milkły, za to im bliżej wieczoru, tym silniej świszczwał nadmorski wiatr. Na niebie pojawił się niewyraźny przecinek księżycy.

Gromadka topniała powoli. Pierwszy wrócił do domu Johann, by rozpędzić ziąb w kościach łykiem przedniego bourbona. Lara z królową wzięły między siebie Edith i poszły w jego ślady, gdy zrobiło się naprawdę chłodno; następna Maeve powiedziała, że musi sprawdzić, co słychać u Elliota, a Andrew po

prostu zniknął bez słowa. Selena leżała na zwilgotniałym od wieczornej mgły kocu, przytulona do lana. Oboje dygotali z zimna, ale żadne nie chciało opuszczać plaży. Wciąż rozbrzmiewało im w uszach nienawistne słowo: „jutro”, zabarwiając goryczą pozornie pogodną rozmowę. Z każdą chwilą niewypowiedziane echo stawało się głośniejsze, zagłuszając wszystkie inne myśli.

Selena zapatrzyła się na nieboskłon. Wiatr poświstywał monotonną melodię, zakłócaną sporadycznie skrzekiem mewy. Morze zbliżało się w przypiływie, coraz śmielej szturmując urwisko.

- To był uroczy dzień - odezwała się wreszcie. - Dziękuję ci!

- Mówi, że jutro zabierze cię do domu.

„Dom”... pierwszy raz w życiu na dźwięk tego słowa poczuła chłód zaprawiony niepokojem. Przecież powinno być zupełnie inaczej! „Dom” - to słowo powinno tchnąć ciepłem, miłością, być jak przewodnie światło w ciemności! Zerknęła z ukosa na lana, a widząc bolesny cień w błękitnych tęczęwkach, pomyślała, że gdyby знаła sposób, pocieszyłaby go jakoś. Cóż, skoro to niemożliwe, i

- Nie wiem, co zrobić, żeby go powstrzymać! - łan westchnął. - Gorączka spadła, zakażenie minęło, rana goi się szybko; teraz byle konował potrafi dokończyć kuracji.

Selena przymknęła oczy. Na fali rozpaczy przypląnęła szarpiąca tęsknota.

Jeszcze nie była gotowa, by porzucić pozory. Pragnęła za wszelką cenę nadal udawać, że jej światem jest baśń. Rzeczywistość nadejdzie i tak zbyt rychło. Jednak już teraz przeczuwała ból nieuchronnej chwili przebudzenia.

Mieli tylko fikcję, za fasadą której kryli się z uporem skazańca, co nie chce uwierzyć, że zbliża się dzień egzekucji. Żyli w bajce tkanej cierpliwie ze słów, dotknięć i marzeń. Tylko to Selena będzie mogła stąd zabrać, dlatego nie chciała przestać marzyć. Kiedy sen dobiegnie końca, nadejdzie okrutne cierpienie.

Przytuliła się mocniej, chcąc poczuć lana każdym skrawkiem zziębniętego ciała. Na ulotną jak błyskawica, lecz brzemienną doznaniem chwilę pogrążyła się w fantazji. Ujrzała przed sobą przyszłość, której nie zaznają, poczuła siłę miłości, jakiej nie będzie im dane dzielić. Wizji towarzyszył ból niemal nie do zniesienia, choć zarazem krzepiła i kołał niepokój.

- ' Madeleine - szepnęła. Pogłaskał ją po włosach.

- Co za Madeleine?

- Tak nazwałabym naszą córkę. Uśmiechnął się.

- Z pewnością byłaby podobna do ciebie. Zmieniłbym jej życie w prawdziwe piekło!

E Usiadła i wykręciła szyję, by lepiej go widzieć. Mokre koniuszki ;j warkoczy wiły się jak węże po jego torsie. Nie rozumiała znaczenia jego słów, lecz nie to było ważne. Ważna była ta chwila, wspomnienie, które wspólnymi siłami tworzyli, by było im oparciem w samotnej przyszłości. Przypomniła sobie puste dni w osadzie Wyznawców, kiedy żałowała, że gdy miała okazję, nie pozwoliła mu snuć marzeń za nich oboje. Teraz nie położy mu palca na ustach, nie każe przestać, bo wie już, że słowa fantazji są jak podarunek, który będzie mogła otwierać za każdym razem, gdy poczuje się opuszczona i nieszczęśliwa. Tylko jego słowa zostaną z nią na zawsze.

- Co masz na myśli?

łan podłożył ręce pod głowę i wpatrzył się W pochyloną nad nim wdzięczną twarzyczkę.

- Nie wiesz nic o flirtach i uwodzeniu... ale gdyby jakiś mężczyzna próbował skraść całusa naszej córce, ja...

- Pewnie zamknąłbyś ją na cztery spusty?

Odgarnął kasztanowy lok, który przywarł do jej ust. dzielnie próbował przywołać uśmiech na twarz, ale wargi zdrząły mu żałość, aż Selena poczuła, że zbiera jej się na płacz.

- Tylko na ten najgroźniejszy okres: od dziesiątych urodzin do chwili, gdy skończyłaby dwadzieścia lat.

Nagle misterny gmach fantazji rozpadł się na tysiące poszarpanych odłamków, pozostawiając Selenę bez oparcia. Słowa nie wystarczały. Wspomnienia okazały się zbyt ulotne. Choć starała się odsunąć od siebie prawdę, nie potrafi: nigdy już nie zobaczy jego uśmiechu, nie poczuje łagodnej pieszczoty jego dotyku, nigdy nie zaśnie w muskularnych, opiekuńczych ramionach.

- Och, łan... to tak bardzo boli! Nieudany uśmiech spelzł mu z warg.

- Wiem, dziecino.

Z nieba zaczęły bezszelestnie opadać płatki śniegu. Osiadały miękko na jej włosach, łaskotały w czubek nosa, zdobiły rzęsy jak klejnoty.

- Seleno? - wyszeptał tak cicho, że wzięła jego głos za poszum wiatru. - Seleno, nigdy przedtem cię nie prosiłem... bi Zaciśnęła powieki, przewidując następne słowa. Niewypowiedziane

pytanie wisiało między nimi przez każdą chwilę jej pobytu, przytłaczając serce jak głaz. „Czy nie mogłabyś zostać?”

- Nie prosź i teraz, lanie. Nie ma sensu. Długo wpatrywał się w nią bez słowa. Wreszcie ujrzała, jak na jego usta zakrada się cień uśmiechu.

- Jestem z ciebie dumny, bogini! A teraz zmieńmy temat, na litość boską, bo nie zostało nam wiele czasu. Opowiedz mi o swoim życiu... tym prawdziwym, do którego wracasz. Ilekroć dotykam Elliota, widzę ciebie w osobliwym stroju, jak przechodzisz obok w długim szeregu kobiet. Chcę, żebyś mi opowiedziała treść każdej minuty swojego dnia, bo wtedy będę mógł towarzyszyć ci myślą...

- Nie! - przerwała nerwowo. - Nie życzę sobie, byśmy marnowali ostatnie wspólne chwile na roztrząsanie przeszłości, która nie ma żadnego znaczenia.

- Lecz o czym innym możemy mówić? Przyszłości nie mamy. Pochyliła się i pocałowała go z rozmysłem i powoli.

- Mamy to, co mieliśmy zawsze, kochany. Marzenia i wspomnienia. •

- Och, Seleno... - Otoczył jej twarz mokrymi dłońmi. Jakże czułe były te zmarznięte palce! - Kiedy muszę być z tobą i tylko marzyć, to boli...

Oczy zapiekły ją od łez. Odezwała się drżącym głosem:

- Wiem. Ale nic innego nam nie zostało.

i Nazajutrz rano stanęła przed lustrem. Przeszło jej odbicie, na widok którego ogarnął ją mdlący niepokój. Miała na sobie zgrzebną suknię o prostym kroju uznawanym przez Wyznawców. Spódnica w nieokreślonym burym odcieniu sięgała za kostki. Pod szyją uwierała wysoka stójka. Selenę już teraz swędziała skóra podrażniona szorstką tkaniną. Niechętnie zapięła guziki stanika i zawiązała chustkę, której fałdy skrywały nieprzystojny zarys biustu. Zaplotła włosy w długie warkoczki, które spięła w ciasny węzeł na karku, a na głowę wcisnęła sztywno wykrochmalony czepek. Przypięła go starannie szpilkami, by żaden buntowniczy lok nie wymknął się spod białego obrąbka.

Potem posłała łóżko. Pedantycznie wsunęła brzegi koca pod materac i wygładziła poszewkę. Przeciągnęła palcami po cienkiej bawełnie.

wzdychając na myśl, że musi pożegnać się z miękką pościelą. Ostatni raz spała w tak wygodnym łóżku.

Ostatni raz...

Stała nieruchomo, czekając na żądła łez pod powiekami, lecz tym razem oczy pozostały suche. Dzielnie uniosła brodę, wyprostowała ramiona i ruszyła do drzwi.

W całym domu panowała podejrzana cisza.

Selena drgnęła, gdy podeszwa topornego bucika zaskrzypiała na deskach podłogi. Powoli, stopień za stopniem, schodziła w dół, gdzie zgromadzili się wszyscy rezydenci zakładu. Elliot czekał przy drzwiach frontowych z kapeluszem w dłoni; na tle stłoczonej gromadki wydawał się samotny jak najbardziej opuszczony człowiek na ziemi,

Gdy tylko zesza z ostatniego schodka, otoczyli ją ciasnym kręgiem. Słysząc było urywane chlipanie, przyciszone słowa pożegnania, zdławione wzruszeniem głosu. Każdego po kolei uściskała serdecznie. Przedłużała ostatnie wspólne chwile jak mogła, lecz w końcu przyszedł decydujący moment, łan zwrócił się do Elliota:

- Czy pozwoli pan na pożegnanie w cztery oczy? Elliot zaciśnął powieki, schylił głowę i kiwnął markotnie, łan podszedł do dziewczyny, a każdy krok odzywał się w jej sercu bolesnym echem jak smagnięcie bata. Ujął ją za rękę i wyprowadził na ganek. Ujrzała wóz przygotowany do podróży, a w tle - świat pogrążony w bieli i ciszy zimowego poranka.

Wziął ją w ramiona i przyciągnął do siebie. Przytuliła się mocno i wdychając znajomą woń jego skóry pomyślała ze smutkiem, że chyba ostatni raz czuje ciepło ludzkiej bliskości, łan w odpowiedzi tchnął jej w

samo ucho:

- Pewnego dnia...

Podniosła na niego oczy. Ten mężczyzna był jej opoką w niepewnym świecie, jej pasem ratunkowym we wzburzonych odmętach, był drugą połową jej duszy... a ona nie potrafiła znaleźć jednego słowa na pożegnanie.

Co pozostało? Dotąd ich każde „witaj” okazywało się w rzeczywistości pożegnaniem na wieki.

-iLiliot stał w sieni i zastanawiał się, ile czasu powinien im zostawić. Czy w ogóle można było określić czas wystarczająco długi na takie pożegnanie?

Maeve podeszła i położyła szczupłą dłoń na jego ramieniu.

- Elliot, będę za tobą tęskniła. Już teraz brakuje mi Ciebie. Przeszył go nieznośny wstyd, że wniósł do domu tej serdecznej kobiety smutek i nieszczęście. Ze wszystkich ludzi, z którymi miał do czynienia, ona jedna przyjęła go takiego, jakim był, i nie okazała ani szczypty przymusu czy skrupowania.

- Przykro mi, Maeve. Orzechowe oczy zalśniły łzami.

- Wiem, że jest ci przykro. Zaopiekuj się Seleną. Ledwie zdołał wykrztusić ze ściśniętego gardła:

- Obiecuję.

- I o siebie się zatroszcz. - Uśmiechnęła się. - Zrób to dla mnie.

Skinął głową na znak zgody i sięgnął do gałki w drzwiach, Ian i Agnes stali na ganku, stopieni w rozpaczliwym uścisku. Na widok Elliota odsunęli się od siebie z ociąganiem. Agnes rzuciła jeszcze Ianowi pożegnalny uśmiech i podeszła do męża. Milcząc, wsparła dłoń na jego ramieniu.

Nadal bez słowa zeszli ze schodów i brnąc w miękkim puchu skierowali się do wozu. Wspięli się na ławeczkę woźnicy, Elliot ujął skrzypiące od mrozu lejce i zaciął konia. Koła zaskrzypiały przeciągłym protestem, drgnęły i wykonały pierwszy obrót, potem drugi i następny. Wóz potoczył się do wrót.

Elliot długo nie patrzył na Agnes, a gdy wreszcie się na to zdobył, natychmiast gorzko tego pożałował. Dziewczyna siedziała skulona i drżała na całym ciele. Pochyliła głowę tak nisko, że broda zniknęła w fałdach chusty na piersi. Oto nie ujechali dalej niż pięćdziesiąt metrów od tego domu, a ona już zaczynała więdnąć.

Widok jej cierpienia złamał mu serce.

Była jedyną prawdziwą rodziną, jaką miał na tym świecie - żona, która nigdy nie stała się naprawdę żoną. Nie byli kochankami: *soi* w cielesnym, ani w uczuciowym znaczeniu tego słowa.

Kiedy zdał sobie z tego sprawę, poczuł się jak uwolniony z koszmaru. Pierwszy raz od wielu lat - może nawet w ogóle pierwszy raz w życiu - zrozumiał w pełni swoje uczucia względem Agnes. Owszem.

była jego rodziną; była przyjacielem. Zawsze stała przy jego boku, kiedy jej potrzebował. Nawet wtedy, gdy przywiózł ją do sterylnego świata Wyznawców, nie opuściła go, lecz żyła cicho obok, gotowa w każdej chwili wesprzeć go - przelotnym spojrzeniem, ukradkowym gestem, znużonym uśmiechem. Była jak kotwica w czasie sztormu, jak skała chroniąca przed zawieją.

Ale czym on był dla niej? Obrońcą, zbawicielem. W żadnym wypadku nie mężem. Nie naprawdę. Oczywiście kochał ją, ale ona zasługiwała na inną miłość. Miłość Elliota była tak różna od uczucia, jakim darzył ją Ian. Elliot ani przez chwilę nie czuł do niej pociągu zmysłowego albo było to tak dawno temu, że już o tym zapomniał. Pragnął jej przy sobie dla tego samego powodu, dla którego ona chciała go kiedyś poślubić. Aby nie zostać na świecie samemu.

Sęk w tym, że ona już nie była samotna.

Dojechali do miejsca, gdzie podjazd rozwidlał się na dwie odnogi:

jedna prowadziła do masywnych, kutych wrót; druga... z powrotem do domu.

Ian oparł się o słupek werandy z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Zaciśnąwszy wargi w cienką kreskę goryczy, patrzył, jak Seleną go opuszcza - ponownie.

Świat zamarł w pełnej przerażenia ciszy, podkreślanej tylko szumem wiatru i stukotem końskich kopyt na podjeździe.

Ian stał wyprostowany, jakby się obawiał, że jeśli się ruszy, nawet gdyby to miało być tylko mrugnięcie, to pryśnie opanowanie, a on sam pobiegnie za wozem, padnie na kolana i zacznie ją błagać, by z nim została: „Wyjdź za mnie, Seleno. Wyjdź za mnie, bo jestem samolubny, słaby i nieoświecony, i tak bardzo cię



potrzebuję...”

Zacisnął powieki, jeszcze nie czując się gotowy na przyjęcie wspomnień. Zastanowił się przelotnie, czy kiedykolwiek będzie na to gotowy? Całe życie przesunęło mu się przed oczami, jak spirala długich dni i jeszcze dłuższych nocy, wypełnionych jęczącą samotnością. Pomyślał o dzieciach, którym nie będzie ojcem. O pocałunkach, które ominą jego usta.

- Jezu! - jęknął i zacisnął dłonie w pięści. Nigdy nie sądził, że można doświadczać tak dotkliwego bólu i mimo to nadal oddychać, żyć, pamiętać. Maeve szepnęła za jego plecami:

- Wracają...

Łan poderwał głowę i szeroko otworzył oczy. Wóz dojechał do rozwidlenia i - zawrócił w lewo, kierując się ku domowi. Johann postąpił naprzód i stanął u boku łana.

- Co, u diaska...?

Andrew, Lara, królowa, Maeve, Johann i on sam - stali nieruchomo i bez słowa. Niemal nie śmieli oddychać, by nie przysła nieśmiała nadzieja. Wóz zatrzymał się przed drzwiami, łan oderwał się od słupka, zrobił krok do przodu i znowu stanął. Spojrzał na Selenę, która siedziała z wyprostowanymi plecami i policzkami już zaróżowionymi od mrozu. Zaczął w myślach dziękować Bogu, że wróciła. Nawet gdyby się okazało, że tylko na chwilę...

Elliot zawiesił lejce na kołku i wygramolił się z wozu. Obszedł go dokoła i pomógł wsiąść Selenie. Poprowadził ją na ganek i dalej, do wnętrza domu, a milcząca gromadka cofnęła się, zostawiając łana samego u szczytu schodów. Para podróżnych weszła po schodach i stanęła przed nim.

Elliot zaczerpnął głęboki oddech, ujął zgrabiałą od mrozu dłoń Seleny i wsunął ją w dłoń łana. Mówił cicho, ale głos mu nie zadrżał:

- łanie, oddaję ci moją żonę, niech się stanie twoją. Wszystko, o co w zamian proszę... - Oczy steranego życiem człowieka załśniły łzami, które wnet zaczęły spływać po policzkach. - ...Proszę tylko, byś ją kochał i uszczęśliwiał. Ja już tego nie jestem w stanie jej dać.

Potężna fala uczuć niemal zbiła łana z nóg. Kolana ugięły się pod nim. Ścisnął dziewczęcą dłoń tak silnie, że mógł połamać jej palce. Spojrzał na nią i zobaczył, jak ciche łzy płyną po jej twarzy - ale jej wzrok wbity był w Elliota.

- Elliot... - szepnęła zdławionym głosem. Na jej obliczu pojawił się wyraz niepokoju. Starzec rzucił jej rozdzierający uśmiech.

- Nigdy nie byliśmy naprawdę mężem i żoną, Seleno.

- Ale... - umilkła, zdławiona wzruszeniem. Spojrzała na łana oczami pełnymi łez, miłości i zachwytu. Elliot pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Bądź szczęśliwa, Seleno!

Odsunął się, zostawiając ją łanowi. Odwrócił się i zaczął schodzić po skrzypiących schodach. Przez chwilę łan stał zbyt oszołomiony, by zareagować. Kiedy wreszcie pojął, co się stało, zagarnął dziewczynę w ramiona i niemal zmiażdżył w niedźwiedzim uścisku. Wtuliła się w niego kurczowo, szepcząc jego imię jak niekończącą się litanię. Jeszcze nie wierzyła, że wolno jej z nim zostać.

Wreszcie oderwali się od siebie, łan popatrzył na ukochaną twarz.

- Jak ja cię kocham! - szepnął załamującym się głosem. Słowa wydały mu się zbyt słabe, by wyrazić ogrom uczucia rozrywającego mu pierś.

Łzy przepełniły brązowe oczy i zaczęły spływać po zarumienionych policzkach. Uśmiechnęła się drżącymi wargami i odwróciwszy głowę spojrzała ze smutkiem na odchodzącego męża.

- To nie w porządku... - szepnęła, a po policzku potoczyła się nowa łza.

I raptem łan zrozumiał. Wszystkie elementy układanki trafiły na swoje miejsce i odsłonił się przed nim ukryty sens. Bóg domagał się od każdego, by dał z siebie to, co najlepsze. Żądał tego wysiłku od Seleny, Elliota i od niego także. Każde musiało poszperać w duszy i odnaleźć w niej honor, miłość, wiarę. Dopiero znajdując w sobie dobro, dostępowali zbawienia.

- Masz rację - przytaknął, ścisnął jej dłoń i powiodł w dół schodów i przez zaśnieżony dziedziniec. - Elliot!  
- zawołał.

Zgarbiony olbrzym zatrzymał się. Stopa, którą już, już miał postawić na schodkach wozu, znieruchomiała w powietrzu. Odwrócił się. Zobaczył, że Ian i Selena idą ku niemu i ze zdziwienia szeroko otworzył oczy. Ściągnął z głowy kapelusz i tak mocno przycisnął go do piersi, że zgniótł skrzydła szerokiego ronda.

- O co chodzi?

Ian milczał, szukając właściwych słów. Chciał, by to, co miał powiedzieć, zabrzmiało należycie... dostojnie, ale w końcu rzucił tylko:

- Zostań!

Selena wstrzymała oddech i utkwiała w nim niedowierzające oczy. Była tak piękna w swoim oszołomieniu, że musiał zebrać całą siłę woli, by jej nie porwać w namiętym uścisku. Z ganku usłyszeli zdławiony okrzyk i Maeve podbiegła do wozu. Elliot przenosił wzrok po kręgu otaczających go twarzy, jeszcze nie w pełni rozumiejąc.

- To tylko grzeczność z waszej strony...

- Nie - przerwał Ian.

Selena ścisnęła jego dłoń, po czym podeszła do Elliota.

- Kiedyś ci powiedziałam, że jesteś moją rodziną, Elliot. Tak nadal jest, a rodziny robią właśnie to, co się tu dzieje: dojrzewają. Wszyscy w rodzinie rosną, każdy w swoim tempie, codziennie, krok po kroku zmieniają się, a przecież w przedziwny sposób pozostają wciąż sobą, wciąż złączeni rodzinną więzią.

Elliot musnął jej policzek przelotnym gestem pełnym czułości.

- Już nie ma w tobie Agnes - zachrypiał i w wyblakłych oczach znowu pojawiły się łzy, których chyba wcale się nie wstydził. Kąciki ust drgnęły i podniosły się w uśmiechu. - Darowujesz mi rodzinę!

Rodzina... Nabożny szacunek w głosie mężczyzny ujął Iana. Ten pokiereszowany olbrzym pragnął tego samego, czego szukali wszyscy - i co znaleźli, gdy tylko otworzyli serca.

Teraz wystarczy jedno skinienie głowy Elliota, by przypieczętować zmianę. Mógł tym gestem uwolnić Selenę i siebie samego z okowów przeszłości. Po czym mogli zacząć razem budować nową przyszłość. Oni wszyscy... To było takie proste! Selena od samego początku miała rację. Życie sprowadzało się do prostych wyborów. Teraz odezwała się gardłowym głosem, który zawsze go hipnotyzował:

- Elliot, twoje miejsce jest tutaj, wśród nas.

Maeve podeszła do olbrzyma i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Zostań!

Podniósł oczy i ponad głowami kobiet pytająco spojrzął na Iana. Ten skinął głową - wolno, z namaszczeniem. Pobrużdżone oblicze rozjaśniło się uśmiechem.

- Bardzo chciałbym zostać.

W gromadce na ganku zerwał się ogłuszający wrzask. Wszyscy rzucili się przez zaśnieżony trawnik, dopadli wozu, jęli potrząsać ręką Elliota i klepać go po plecach. Witali go w rodzime.

Selena odwróciła się do Iana, a on zrozumiał, że choćby miał żyć sto lat, nigdy nie zapomni tej chwili i wyrazu jej oczu, błyszczących bezgraniczną miłością.

Wyciągnął ramiona, a ona przytuliła się do niego, stapiając się w jedno z muskularnym ciałem. Tym razem nic nie wejdzie między nich, pomyślał z ulgą i przymknął oczy. Połyszał odległy pomruk

oceanu, rytmiczne sapanie końskich chrap, ożywione głosy za ich plecami. Wysoko w górze wrzasnęła mewa - piskliwie, jak nowo narodzone dziecko. Cóż za przepiękna symfonia kompozycji samego Boga!

Z wolna otwierał oczy, by zapatrzeć się na jej twarz z miłością tak silną, że niemal bolesną.

- Ach, bogini moja... - wykrztusił ochryple ze wzruszenia. -Nareszcie słyszę muzykę.

## Epilog

Powiadają, że stara rezydencja na oddalonym zakątku wybrzeża Maine wciąż stoi i czeka, by czyjaś kochająca, troskliwa dłoń przywróciła ją do dawnej świetności. Drzewa i krzaki zarosły niegdyś starannie utrzymany gazon i owinęły się śliskimi, zielonymi pędami wokół słupków werandy. Tysiące białych pąków dzikiego kwiecia trwa niepokonane w gąszczu chwastów. Ich słodka woń unosi się w powietrzu wspomnieniem radosnych dni, które przeminęły.

Nikt nie odwiedza już starego zakładu dla obłąkanych. Od lat żaden powóz nie zaturkotał na zarośniętym

podjeździe. Liczna gromadka dzieci lana i Seleny dawno temu wyfrunęła z gniazda i rozproszyła się po świecie jak pył na wietrze. Zakładali rodziny i wychowywali swoje potomstwo w innych miejscach, bliższych cywilizacji i nowoczesności.

Od czasu do czasu do opuszczonego zakątka zakradają się mieszkańcy okolicznych wiosek, by popatrzeć na tajemniczy dom. Nawet teraz, po dziesiątkach lat, rozbite szyby okien zdają się połyskiwać w słońcu radosnym powitaniem. Ten i ów przysięga, że słyszał urywane śmiechy płynące z ciemnego wnętrza. Niektórzy drwią, w to tylko wiatr, inni potakują głowami: nieutulone dusze zmarłych szaleńców krążą w pobliżu miejsca, gdzie niegdyś mieszkali.

Ale dzieci, które tam wyrosły, podobnie jak ich dzieci wiedzą, J<sup>^</sup> było naprawdę. Ten dom stojący wśród głuchej dziczy na urwistym brzegu oceanu nie przypominał żadnego innego zakładu dla obłąkanych. Nie prześladowają go demony, czary ani złośliwe duchy. W Jego ścianach zamieszkują czułe wspomnienia miłości, która nigdy nie przemija.

A w porze przypływu, kiedy zapada noc i dzikie kwiaty pachną słodko, rozrzucone w trawie jak diamenty, w powietrzu słychać radosne śmiechy. Mogą je usłyszeć kochankowie, którzy staną na opuszczonym brzegu i zapatrzą się na spowite mrokiem fale oceanu.